
EMILIE RICHARDS

KLĄTWA KRÓLOWEJ PEREŁ

Historia Australii jest doprawdy niezwykle barwna. Ciekawa i dziwna zarazem. Sama w sobie stanowi najwspanialszą opowieść. Można ją odczytać niejako ciąg historycznych zdarzeń, lecz jako zbiór najpiękniejszych kłamstw.

Mark Twain, Wzdłuż równika

Kropliste tży, które uronięś, przemienia się w perty Wschodu.

Homer, Odyseja

Scandalous

ROZDZIAŁ PIERWSZY

San Francisco, czasy współczesne

- Halo, paniusiu! Niech no pani uważa na rekiny!

W innych okolicznościach owa na pół żartobliwa przestroga nie zabrzmiałaby zapewne złowieszczo. Gdyby wyszła z ust matki pouczającej nieopierzoną nastolatkę - początkującą adeptkę surfingu - albo z ust przechodzącego na emeryturę szefa ratowników, przekazującego pałeczkę swojemu następcy, niewątpliwie zostałaby potraktowana po prostu jako dobra rada. Lecz na Lianie Robeson słowa te wywarły porażające wrażenie, potęgując jej graniczący z paniką nastrój obezwładniającego strachu. Zimny dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Niemal namacalnie czuła, jak nadpływa stado krwiożerczych rekinów, jak okrąża ją i osacza ze wszystkich stron.

- Nie zapomni pani, złociutka?

Liana utkwiała tępo wzrok w podrygującej jej przed nosem pacynce - roześmianym od ucha do ucha delfinie, poruszanym ręką miejskiego włóczęgi.

- Nie... nie zapomnę - odparła.

Kukielka znieruchomiała i opadła, odsłaniając ogorzałą twarz i wychudłą sylwetkę nieznajomego.

- Dobrze się pani czuje? - zagadnął mężczyzna, przysuwając się bliżej, by przekrzyczeć stukot przejeżdżającego ruchliwą ulicą tramwaju.

- Coś nietęgo pani wygląda.

- Ja... - słowa uwięzły Lianie w zaciśniętym gardle. Wcale nie czuła się dobrze. Miała trzydzieści osiem lat, była samodzielną, przedsiębiorczą kobietą interesu, a bała się spacerować sama po ulicy. Otwarta przestrzeń napawała ją dławiącym lękiem. Wszystko, co nieznane, budziło grozę. Skryte, kłębiące się w niej emocje paraliżowały ją i dręczyły.

Zaledwie kilka godzin wcześniej pożegnała syna. Wsadziła go do

Boeinga 737 i powierzyła nieznanemu losowi, wielkiej niewiadomej. Tego ranka o 8:16 Liana była świadkiem, jak jedyne jej dziecko znika w mrocznej czeluści samolotu i odlatuje, by połączyć się z ojcem. Teraz płaciła wysoką cenę za to, że udało jej się nie wpaść na lotnisku w histerię ani nawet się nie rozpłakać.

Oczy włóczęgi zasnuły się troską.

- Nie chciałem pani przestraszyć - rzekł skruszony, kiedy ucichł stukot oddalającego się tramwaju. - Niech się pani nie boi, Flipper nie pozwoli nikogo skrzywdzić.

Liana zacisnęła mocno powieki. Zelżał kłujący w oczy, przenikliwy blask słonecznych promieni. Przez moment trwała w swoim zamkniętym, dalekim świecie, odgradzona od rzeczywistości znieczulającą warstwą lepkiej, chłodnej mgły. Jeśli natychmiast nie wyzwoli się z tego stanu, lada chwila owa powłoka znowu przemieni się w paraliżującą skorupę.

Lodowaty dreszcz, gwałtowne bicie serca, tysiące kąśliwych igiełek przeszywających kończyny - te objawy Liana знаła na pamięć. Dobrze wiedziała, na co się zanosi.

- Jadła coś pani dziś, złociutka? Otworzyła oczy. Mężczyzna tkwił uparcie w miejscu. Otulona w tajskie jedwabie oraz irlandzkie lny, nieruchomo stała naprzeciw włóczęgi i patrzyła na jego nieogolone policzki oraz bawełniany, mocno znoszony podkoszulek. Mężczyzna trzymał pod pachą plik gazet wydawanych przez stowarzyszenie bezdomnych. Zwykle szofer kupował Lianie egzemplarz tego pisma, nigdy jednak nie miała czasu do niego zajrzeć.

- Nic mi nie jest, dziękuję - zapewniła włóczęgę i z trudem przewyciężywszy niemoc, wskazała zmięty plik. - Wezmę jedną.

- A, to świetnie! Flipper, podziękuj pani - odparł i zaczął szperać w papierowym stosie, szukając najmniej zniszczonego egzemplarza.

W tym momencie Liana uświadomiła sobie, że nie ma drobnych. Nie nosiła przy sobie gotówki, wszędzie płaciła kartą. Była wiceprezesem jednego z największych w rejonie Zatoki San Francisco koncernu Pacific International Growth, zwykła przemieszczać się służbową limuzyną, a zakupy zawsze robili za nią inni.

I właśnie dzisiaj popełniła błąd. Wysiadła z limuzyny i postanowiła

przejsć pieszo ostatnie trzy przecznice do Gmachu Robesona, gdzie mieściła się siedziba koncernu. Zmusiła się do przechadzki wzdłuż California Street, ponieważ czuła, że świat ją osacza i dopada i że musi zwalczyć w sobie to irracjonalne wrażenie. Zdawała sobie sprawę, że jeśli mu się podda, to któregoś dnia nie będzie w stanie podnieść się z łóżka.

Jakimś cudem znalazła zmiętoszony banknot jednodolarowy. Za mało, pomyślała i postanowiła wynagrodzić solidnym napiwkiem życzliwość, z jaką nieczęsto się spotykała.

- Proszę - podała mężczyźnie banknot drżącą dłonią. - I jeszcze to. - Sięgnęła do klapy czarnego żakietu, by odpiąć broszkę, która pochodziła z czasów beztrioskiej młodości, kiedy Liana wierzyła jeszcze, że w życiu można kierować się porywami serca. Sześć niedużych, drogocennych pereł osadzono w bukicie konwalii z czternastokaratowego złota. Perły podarował jej jedyny mężczyzna, którego kochała. Ona oprawiła je w złoto.

- Nie mogę tego przyjąć - zaprotestował zdumiony włóczęga.

- Oczywiście, że możesz. - Wetknęła mu w dłoń klejnot i zamknęła na nim jego palce. - Zanieś to do dobrego jubilera.

Wpatrywał się w broszkę z mieszaniną fascynacji i niedowierzania. Tymczasem Liana odwróciła się na pięcie i odeszła. Włóczęga odprowadził ją wzrokiem pod drzwi biurowca, potem śledził jej kroki po posadzce z biało-czarnego marmuru, póki nie dotarła do mosiężnych, zdobionych drzwi windy. Liana wsiadła, nacisnęła guzik i przymknęła oczy.

Cóż w tym dziwnego, że właśnie dziś ogarnął ją przemożny, nagromadzony od dawna strach i ból, który w sobie nosiła? Był czerwiec, a co roku w czerwcu jej ukochany syn należał ciałem i duszą do swojego ojca, Cullena Llewellyna. Jeśli podczas lotu nie zaszło nic niespodziewanego, Matthew tonie teraz w objęciach Cullena na nowojorskim lotnisku LaGuardia.

Od kilku tygodni chłopiec niecierpliwie oczekiwał tego spotkania. Cullen i Matthew wybierali się z namiotem na wspólną włóczęgę w Góry Białe, potem mieli spędzić jakiś czas na wybrzeżu Maine, gdzie Cullen wynajął łódź i prymitywną, rybacką chatę. Jej były mąż, który

dorastał w dzikim, australijskim interiorze, chował się na kangurzym mleku i mięsie bawołów, otoczony krajobrazami jak z filmu „Mad Max”, zamierzał nauczyć syna, jak być mężczyzną.

Matthew był gotów sprostać temu zadaniu. W wieku czternastu lat był wysokim, silnym chłopcem i imponowały mu takie „męskie” pomysły. Nadal jednak nosił w sobie kruchą wrażliwość dziecka. Ten rośły młodzieniec o szerokich ramionach i tkliwym sercu, już nie chłopczyk, ale jeszcze nie mężczyzna, dla matki stanowił sens istnienia. Dlatego właśnie pozwoliła mu jechać do ojca, choć tak bardzo bała się rozstania i samotności.

Próbowała się pocieszać, że to zwykła matczyna troska - ale to było coś znacznie więcej. Bo choć Matthew ani jednym słowem czy gestem nigdy nie dał po sobie poznać, że wolałby zamieszkać z ojcem, to zawsze kiedy nadchodził czerwiec, a ona wsadzała syna do samolotu i wysyłała na Wschodnie Wybrzeże wprost w ramiona Cullena - zgodnie ze ściśle ustalonymi przez sąd opiekuńczy regułami - nękały ją wątpliwości i obawy, czy zobaczy jeszcze swoje ukochane dziecko.

Nie mogła być przecież pewna niczego, co dotyczyło Cullena Llewellyna. Przed stu laty jeden z jego przodków omal nie zniszczył rodziny Robesonów. Przed dziesięciu laty Cullen omal nie zniszczył Liany.

Oparła się ciężko o drewnianą boazerię windy i zakryła oczy wierzchem dłoni. Wmawiała sobie, że przecież jest bezpieczna w budynku, który był jej drugim domem. Matthew co prawda opuścił ją, ale oczywiście wróci.

Tak, wróci.

A ona jest bezpieczna.

W końcu atmosfera znajomego, przyjaznego wnętrza podziałała na nią kojąco. Choć niespokojne myśli wciąż nawiedzały ją i dręczyły, udało jej się po raz kolejny umocnić w przekonaniu, że uczucia jej syna są stałe. Zanim automatyczne drzwi otworzyły się na najwyższym piętrze, gdzie mieściły się gabinety dyrektorów, Liana całkowicie odzyskała panowanie nad sobą. Wychodząc z windy, omiotła otoczenie taksującym wzrokiem - wyprostowana, zwarta w sobie, znowu pewna siebie.

- Dzień dobry, pani Robeson.

Skinęła głową recepcjonistce i sprężystym, równym krokiem ruszyła korytarzem, którego opalizujące białą ściany ozdobiono spokojnymi, pastelowymi widokami morskimi. Tak, to wnętrze działało doprawdy kojąco. Lecz nawet najdroższa w mieście dekoracja nie była w stanie zamaskować tej tak charakterystycznej atmosfery bezustannie czającego się napięcia. Światem biznesu rządzą zbójeckie, bezlitosne prawa, a w tym budynku czuło się to silniej niż gdziekolwiek.

- Cześć, Liana. Masz chwilę?

Frank Fong, dyrektor działu marketingu, zastąpił jej drogę, ominęła go jednak z władczym, kamiennym spojrzeniem.

Frank, niezrażony, zrównał z nią krok.

- Twój były dzwonił do ciebie. Dwa razy. Nie zwolniła tempa. Skinęła po drodze głową Grahamowi Wesleyowi, który był jej przybranym bratem oraz dyrektorem administracyjnym koncernu. Graham odpowiedział podobnym skinieniem, a dostrzegając ponury nastrój siostry, powstrzymał się przed bardziej wylewnym powitaniem. Liana nie zaszczyciła nawet spojrzeniem swojej sekretarki Carol, spokojnej młodej kobiety, którą szczególnie łatwo było urazić. Odczekała, aż znajdzie się w swoim gabinecie, zatrzasnęła drzwi i dopiero wtedy zwróciła się do Franka:

- Co mówił?

- Wydawało mi się, że był zdenerwowany - oznajmił Frank. - Carol przełączyła go do mnie, tak ją zmroził jego głos.

- Nie przejmuj się, Frank, to taka gra rozwodników. Cullen dzwoni, żeby mnie zawiadomić, że Matthew dojechał bez kłopotów, a przy okazji zasypuje litanią skarg i narzekań. Nic mu się nie podoba i wszystko ma mi złe. A to że zapakowałam synowi nieodpowiednie ubranie, a to że wybrałam fatalną godzinę lotu, a to że coś jeszcze spartaczyłam...

- Przypomina mi to przepychanki małolatów.

- I słusznie. Cullen jest infantylnym ekstrawertykiem, nie potrafi kontrolować własnych emocji - odparła Liana, dobitnie akcentując każdy wyraz.

- Dzięki temu sprawdzał się w nocy w roli wspaniałego kochanka, ale był kompletnie nie do zniesienia przez resztę doby.

- Był wspaniałym kochankiem? - Frank uśmiechnął się lekko. - W takim razie nie spieszyłbym się tak z tym rozwodem, gdybym był na twoim miejscu. Od tej strony zupełnie go nie znałem. Muszę przyznać, że jego akcje wyraźnie wzrosły w moich oczach.

Liana oparła się o krawędź biurka. Figlarny uśmiech Franka zmusił ją do uśmiechu. Z Frankiem łączyły ją luźne więzy pokrewieństwa, lecz fizycznie wcale nie byli do siebie podobni. On, ciężki, okrągły, misiowaty, był z natury pogodny i skory do śmiechu. Na jego dobroduszny charakter miała z pewnością wpływ atmosfera Chinatown, gdzie Frank się wychował. Za to Liana była pełna rezerwy i zasadnicza, szczupła, odrobinę kanciasta i niewysoka. Ciemna oprawa jej oczu i smagły odcień cery wskazywały na przodków z Dalekiego Wschodu.

Uśmiech zgasł na jej twarzy. Zerknęła na zegarek marki Cartier i zapytała:

- Czy Matthew dotarł o czasie? Słyszałam, że zapowiadano burzę nad Górami Skalistymi, a mały przesiadał się właśnie w Denver.

- Nie wiem, twój Cullen upierał się, że musi porozmawiać z tobą osobiście.

Liana nie okazała zdziwienia.

- No cóż, jego strata, będzie musiał poczekać. Za dziesięć minut mamy z Grahamem umówiony wywiad.

- Uprzedziłem go, że masz spotkanie i być może nie będziesz mogła oddzwonić.

- I co on na to?

- Stwierdził, że ma gdzieś „te wszystkie jej cholerne spotkania” - zacytował Cullena Frank, usiłując naśladować przy tym australijski akcent. - Sądzisz, że wojna z byłym jest dobrym pomysłem? - zapytał już przy drzwiach, zanim nacisnął na klamkę. - A jeśli on rzeczywiście ma coś ważnego do przekazania?

Liana przypomniła sobie niezliczone dyskusje, jakie odbywali z Cullenem przez wszystkie lata małżeństwa i w ciągu dziesięciu lat po rozwodzie. Prowadzili ze sobą odwieczny spór, podobnie jak rodziny Robesonów i Llewellynów już od stu lat wzajemnie niszczyły się i zdradzały. Zdawało im się kiedyś, że z nimi będzie inaczej. Pokochali się od pierwszego wejrzenia, wierzyli, że uda im się oszukać los i mimo

rodowych waśni, intryg i zapiekłego żalu nagromadzonego przez dziesięciolecia, potrafią ułożyć sobie wspólną przyszłość. Pomylili się.

- Liana? - Frank wyrwał ją z rozmyślań.

- Dobrze - skinęła głową. - Jeśli Cullen jeszcze raz zadzwoni, niech Carol mnie połączy. W przeciwnym razie będzie dobijał się wieczorem do domu. Aha, i niech Carol spróbuje też porozmawiać z Matthew. Może przynajmniej od niego dowiemy się, jak minęła podróż.

Drzwi za Frankiem zamknęły się z lekkim kliknięciem. Nim jednak Liana zdążyła odetchnąć, następna osoba wkroczyła do jej gabinetu.

- Widziałem, że Frank wychodzi... - W progu stanął Graham. - Nie przeszkadzam?

- Trochę. Szykuję się do wywiadu. Myślę właśnie, co zrobić, żeby PIG wypadła jak najlepiej i żeby wszyscy uwierzyli, że nic lepszego nie mogło zdarzyć się temu miastu od czasu gorączki złota - odparła Liana.

Graham skrzywił się, słysząc skrótową nazwę firmy, którą tak wydajnie i z takim oddaniem administrował.

- Daruj sobie te słowne igraszki. Skoro nie jesteś w sosie, może ja poprowadzę to spotkanie?

Liana nie odpowiedziała, gestem zaprosiła go do środka. Nie byli z Grahamem zaprzyjaźnieni.

Jej ojciec, Thomas, osobiście o to zadbał. Za to wyjątkowo dobrze się rozumieli. Razem znosili złe humory, obelgi, intrygi i machlojki Thomasa Robesona. Owszem, mieli do siebie żal, pielęgnowali rozmaite urazy, lecz także czuli dla siebie respekt i nie toczyli otwartej wojny. Bo choć inaczej myśleli o pewnych sprawach, choć jasnowłosy, chłopięco pulchny Graham nie przypominał w niczym Liany, to przecież pod powłoką niezliczonych odmienności łączyła ich jedna rzecz wspólna: więź z nikkzemnikiem, który ich wychował. Graham zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

- Przed chwilą dzwonił Jonas.

Jonas Grant był dziennikarzem działu gospodarczego „San Francisco Chronicle”, który od jakiegoś czasu interesował się działalnością PIG. To właśnie on namówił ich na wywiad.

- Znowu? - Liana wzruszyła ramionami. - Wysłałam mu kompletny opis naszej działalności, przynajmniej to, co chcemy, żeby wiedział.

Czego jeszcze potrzebuje?

- Prosi, żebyś przyniosła na spotkanie perłę. Przez chwilę Liana gapiła się bezmyślnie na brata. Wiedziała, o jaką perłę chodzi. O Królową Perłę, bezcenny klejnot, który krążył między jej przodkami a przodkami Cullena od czasu wyłowienia go z Oceanu Indyjskiego. O perłę, która stała się symbolem sukcesu i znakiem firmowym koncernu Pacific International Growth.

- Chyba żartujesz - odezwała się wreszcie. - Po co mu ta perła?

- Nie żartuję. Twierdzi, że musi ją sfotografować. Motyw perły ma być zgrabnym wprowadzeniem do całego artykułu, a jej zdjęcie główną ilustracją. Nie cieszysz się? Będziemy mieli w gazecie za darmo nasze logo.

Liana milczała, zastanawiając się nad życzeniem Granta. Przerazenie graniczące z paniką, które przed chwilą udało się jej odsunąć i zepchnąć na dno umysłu, ponownie dało o sobie znać. Okrążyła biurko i wpatrzyła się w panoramę miasta za oknem.

- Nie podoba mi się ten pomysł - orzekła.

- Dlaczego?

Liana westchnęła. Długo by mówić, mogłaby odpowiedzieć. Królowa Perłę miała burzliwą historię. Z powodu rzadkości i nieskazitelnej urody nigdy nikomu nie przyniosła szczęścia.

- Nie mogę tak po prostu wyjąć jej z sejfu i wrzucić do torebki jak szminkę - odparła, wiedząc, że nie czas teraz, by wdawać się w bardziej zawile argumentacje.

- No to jej nie wyjmuj - zgodził się Graham i rozłożył bezradnie ręce.

Mimo obojętnego, zrezygnowanego tonu, jakim to powiedział, Liana wyczuła, że jest zadowolony i że w gruncie rzeczy chce, by dziennikarza spotkał zawód. Wprawdzie dobro firmy by na tym ucierpiało, ale Graham miałby jeszcze jeden dowód, że jego siostra nie jest skłonna poświęcić się dla dobra firmy i że on znacznie lepiej sprawdziłby się w roli prezesa.

- No dobrze, weźmiemy perłę - szybko zmieniła zdanie. - Naturalnie będziemy potrzebowali ochrony. Poproś Franka, żeby się wszystkim zajął.

- Jeśli boisz się o nią, ja ją wezmę. I bez przesady. To w końcu tylko perła.

- A ja chcę się tylko upewnić - skwitowała Liana, pomijając milczeniem jego propozycję - że będzie odpowiednio zabezpieczona.

Graham kiwnął głową i nie powiedział już nic więcej. Gdy drzwi zamknęły się za nim, Liana przekręciła klucz, oparła się o nie plecami i zapatrzyła w obraz Georgii O'Keeffe, który wisiał po prawej stronie biurka.

W gabinecie nastąpiła cisza. Przez grube, dźwiękoszczelne szyby dochodził jedynie daleki, stłumiony pomruk miasta. Lecz nawet za zamkniętymi drzwiami Liana nie była sama. Ten gabinet należał kiedyś do jej ojca i nie sposób było o tym zapomnieć. Usilne zabiegi dekoratora nie zdołały wypędzić stąd ducha Thomasa Robesona, co więcej - w ukrytej w ścianie skrytce tkwił namacalny dowód, że są rzeczy, które trwają wiecznie i od których nie sposób się uwolnić.

Jak echo powtórzyła słowa Grahama:

- To w końcu tylko perła... Uśmiechnęła się z goryczą, podeszła do obrazu, ostrożnie zdjęła go ze ściany i odłożyła na komódkę. Na odsłoniętej ścianie ujrzała cztery niewielkie śrubki przytrzymujące drewniany panel. Odkręciła je śrubokrętem i po chwili dotknęła mosiężnych drzwiczek sejfu z imponującym szyfrowym zamkiem.

Graham, Frank i reszta pracowników wiedzieli, że perła spoczywa właśnie tutaj. Żadnego z nich nie zwiodła maskująca boazeria, choć mogła ona zmylić zwykłego włamywacza - ojciec zamówił w końcu najlepsze zabezpieczenie sejfu, jakie w owym czasie było na rynku.

- Byłeś draniem, Thomasie Robesonie - wycedziła Liana, sięgając dłonią do cyfrowego zamka. - Byłeś skończonym, podłym łajdakiem...

Oczami wyobraźni ujrzała srebrzysty blask, jaki piękna perła roztacza w aksamitnej ciemności. Odczuła nagłą potrzebę powtórzenia sobie chyba po raz tysięczny, że ten przeklęty klejnot nie może jej skrzywdzić. Zaraz jednak przypomniała sobie czasy, kiedy to co rusz odnosiła wrażenie, że Królowa Pereł ją prześladuje, naigrawa się z niej, szydzi...

- Psychiatra się kłania - roześmiała się cicho.

Spocona dłoń ześlizgnęła się z chłodnego zamka. Liana wytarła ją o spódnicę i zaczęła ustawiać szyfr. Tylko trzy osoby znały kombinację

cyfr, która dawała dostęp do wnętrza sejfu -jej ojciec, ona i człowiek, który instalował zamek. Odsunęła się o krok i miała właśnie wybrać ostatni numer, kiedy nagle odezwał się interkom, a w głuchą ciszę wdarł się piskliwy głosik Carol:

- Pan Llewellyn na linii!

Liana wzdrygnęła się, serce zaczęło jej bić mocniej. Oto znowu znalazła się między młotem a kowadłem, między niegodziwą perłą a człowiekiem, który potrafił zranić ją do głębi.

- Pani Robeson? Jest pani tam? - zaniepokoiła się Carol.

Liana wybrała ostatnią cyfrę, otworzyła machinalnie drzwiczki i podeszła do biurka.

- Tak, jestem. - Odchrząknęła. - Czy mówił coś o Matthew?

- Nie, przykro mi, zdaje się, że jest wściekły. Liana opadła na skraj biurka.

- Dzięki.

- Mam nie łączyć?

- Nie, nie, zaraz odbiorę... - Przez chwilę przebierała palcami nad migającym guzikiem, aż w końcu z irytacją wcisnęła przełącznik. - Cześć, Cullen, i tak wiem, że jesteś wściekły, więc nawet nie zaczynaj się kłócić. Jak się miewa Matthew?

Po drugiej stronie zaległa cisza. Słyszać było dalekie odgłosy lotniska, jakieś trzaski. Liana poczuła narastającą irytację.

- Cullen, do diabła! Przestań się wygłupiać!

- Co to znaczy, jak się miewa? - W słuchawce zawibrował znajomy głos z silnym australijskim akcentem. - Masz mnie za idiotę?

Delikatnie zastukano do drzwi, zapewne po to, by przypomnieć jej o spotkaniu.

- Liano, już pora - usłyszała, zasłoniła jednak ręką drugie ucho i wycedziła do słuchawki:

- Zadałam ci proste pytanie. Chyba rozumiesz ludzką mowę. Czy Matthew doleciał na czas? Czy podróż się udała? Wiesz co, daj mi go na chwilę do telefonu. Spieszę się. Porozmawiamy innym razem.

- Mam ci go dać do telefonu? A niby w jaki sposób, skoro go tu nie ma? Doskonale o tym wiesz, bo wcale go nie wsadziłaś do żadnego pieprzonego samolotu! Tym razem ci tego nie daruję...

Serce Liany zamarło.

- O czym ty mówisz? - przerwała mu szybko.

- Matthew nie przyleciał! - wrzasnął Cullen i wtedy, po raz pierwszy, usłyszała w jego głosie panikę. - Gdzie jest mój syn? Albo mi zaraz powiesz, co jest grane, albo złapię pierwszy samolot do San Francisco, żeby to z ciebie wydusić!

- Liana, spóźnimy się... - niecierpliwił się Graham za drzwiami.

- Pewnie pomyliłeś loty, Cullen - odezwała się spokojnie, choć serce podchodziło jej ze strachu do gardła. - Pewnie przyleciał i teraz tuła się gdzieś po lotnisku. Boże, wysłałam ci przecież informację! Podałam numer i godzinę lotu! Zapewniałeś, że wszystko w porządku, a teraz...

- Nie pomyliłem lotu - odparł Cullen głosem tak zimnym i głuchym, że przez plecy Liany przebiegł lodowaty dreszcz. - Małego nie było na pokładzie. Od godziny śledzę wszystkie przyloty z Denver i z San Francisco. Nie było go w żadnym samolocie.

- Ale... ale przecież sama odwiozłam go na lotnisko! Widziałam, jak wsiadał! Widziałam, jak samolot startował!

Znowu zapadła cisza. Oboje milczeli kilka sekund, wreszcie Cullen odezwał się zdławionym głosem:

- Więc gdzieś po drodze, między San Francisco a Nowym Jorkiem, nasz syn przepadł.

Słuchawka wyślizgnęła się Lianie z dłoni, twarz jej zbladła. Słyszała odpływający gdzieś w dal głos Cullena, niknący, coraz cichszy. Grahama, który natarczywie dobijał się do drzwi, nie słyszała w ogóle. Spojrzała na otwarty sejf, zacisnęła zęby. Czy ten nieskazitelnej urody, przeklęty klejnot, który przez sto lat wyznaczał losy ich rodzin, spowodował teraz, że straciła syna?

I wtem uświadomiła sobie, że to kompletny absurd. Sejf był pusty. Perła zniknęła, podobnie jak dziecko, które znaczyło dla Liany więcej niż cokolwiek na świecie.

*Ojca morskie tulą fale; Z kości jego są korale, Perta lśni, gdzie oko było. Każda cząstka jego ciała
W drogi klejnot się przebrała.*

William Shakespeare, Burza

ROZDZIAŁ DRUGI

Broome, Australia, rok 1900

Australia karmiła się ludzkimi duszami. Kruszyła je, miażdżyła i ścierała na czerwony drobnutki pył, który rozsypywała po bezkresnych, ogołoconych z drzew równinach, rozsiewała po pustynnych bezdrożach, topiła w bagnistych starorzeczach. Australia była ziemią niespełnionych obietnic, rozpostartą pod niebem usianym obcymi konstelacjami.

Zadawała cierpienia, skazywała na męki, poddawała torturom.

Udręczony całorocznym upałem przybysz boleśnie tęsknił za tym, co dla tej ziemi zostawił gdzieś za oceanem, choćby to było nawet samo piekło.

Lecz dla Archera Llewellyna Australia stała się nowym domem, na dobre i na złe. W 1898 roku na Kubie zamordował w ogniu walki pewnego oficera Pierwszego Oddziału Kawalerii Ochotników, w którym służył. Zrozumiał, że albo ucieknie, albo pożegna się z życiem. Uciekł i nie było dla niego powrotu.

- Tego zostaw mnie, Tom!

Archer zrobił unik i zbirowaty obszarpaniec przeleciał niczym bezwładny wór ponad rozklekotanym stolikiem. Archer natychmiast powalił go i rozpląszczył kilkoma mocnymi ciosami. Rosły osilek, cuchnący zgniłymi krewetkami, nadaremnie próbował się dźwignąć. Oniemiały ze zdumienia, leżał bez ruchu, mrugając powiekami, jak

gdyby nie mógł uwierzyć, że został pokonany.

- Dzięki! - Tom Robeson posłał przyjacielowi krzywy uśmiezek, odpierając tymczasem atak drugiego napastnika. Nawykły do walk na bokserskim ringu, które zawsze toczyły się zgodnie z ustalonymi regułami, nie oczekiwał podstępного ataku od tyłu.

- Do licha, Tom, schył głowę!

Archer złapał trzeciego z awanturników niedźwiedzim, miażdżącym chwytem i bez namysłu gruchnął głową o jego czaszkę. Natychmiast stanęły mu przed oczami wszystkie gwiazdy, dobrze znane w przeciwieństwie do tych, jakie oglądał co noc od dwóch lat na obcym niebie. Po chwili przejaśniało mu nieco w głowie, a zamroczony obwieś bezwładnie opadł na podłogę.

- Jeszcze któryś chętny? - Odstąpił od powalonych zbirów. - No, który jeszcze podskoczy?

Kilku zalegających po kątach oberwańców, niemych świadków wydarzeń, odwróciło głowy, udając, że nic nie zaszło. Archer podszedł do Toma i zapytał:

- Nic ci nie jest?

- Na szczęście nic. - Tom delikatnie wywinął się z rąk przyjaciela i serdecznie poklepał go po ramieniu. - Co z nimi zrobimy?

Archer zerknął pogardliwie na pokonanych. Mniejszy właśnie pomagał wstać większemu. Po chwili stanęli z jękiem na chwiejnych nogach i powlekli się do wyjścia, nie oglądając się ani na kolegę, ani na dwóch Amerykanów, którzy dali im łupnia.

- Chyba przeżyją. Jutro zresztą znów pójda w tango - skrzywił się Archer.

- A ty znów uratowałeś mi skórę - zauważył Tom, pocierając policzek.

- Bo też nigdy się nie nauczysz! Ciągłe ci się wydaje, że przestrzegają tu zasad, jak u ciebie, na ringu. W takiej zakazanej dziurze jak Broome nikt nie bije się czysto. Któregoś dnia porządnie oberwiesz i dasz się wykończyć.

- Nic mi nie grozi, dopóki kręcisz się w pobliżu - roześmiał się Tom, wyciągając silną dłoń o stwardniałych i zgrubiałych, lecz wciąż smukłych palcach arystokraty. Ta dłoń, nawykła do potu i znoju,

należała do człowieka, który zawsze gotów był podać ją wiernemu przyjacielowi, niezależnie skąd ów przyjaciel pochodził.

Archer wykrzywił usta w kwaśnym grymasie i uściśnął wyciągniętą rękę swoją szeroką i masywną dłonią.

- No dobra, nie przerywajmy sobie.

Na skorych do radości, choć spuchniętych wargach Toma wykwitł blady uśmieszek.

- To znaczy czego? Draki, popijawy czy snucia planów, jak zbić majątek?

Archera zmęczyła awantura, a ze szklaneczki dżinu została jedynie kałuża na wypaczonej ze starości, gołej podłodze. Pozostało więc trzecie rozwiązanie - zaplanować przyszłość, która jawiła się w coraz bardziej ponurych barwach.

- Chodź, postawię ci kolejkę. Należy ci się. - Tom wskazał przyjacielowi puste krzesło w kącie, a sam ruszył do baru.

Archer przysunął krzesło do stolika i opadł na nie, obserwując, jak Tom przeciska się do bufetu. Plugawa spelunka, która stała się ich tymczasowym domem, wcale nie zasługiwała na szumne miano pensjonatu, jakie nosiła. Składała się z kilku ciemnych klitek na tyłach baru, z brudnymi pryzkami i widokiem na łaźnię. Sam bar, zwany eufemistycznie „pijalnią grogu”, zbudowano z byle jak skleconych arkuszy falistej blachy, utrzymywanych w pionie kilkoma bezkształtnymi, grubo ciosanymi, drewnianymi kłocami. W okna nie wstawiono szyb ani nawet ochronnych siatek, a niezgrabny otwór między dwoma arkuszami blachy służył za drzwi, przysłonięte zasłoną ze zdartej rybackiej sieci.

Owszem, były w Broome przyzwoite hotele, gdzie perłowi magnaci w nieskazitelnie białych garniturach rozprawiali o wyłowionych klejnotach, które zapewniły im fortuny i świetność. Z całej Europy tłumnie zjeżdżali do Broome poszukiwacze pereł w pogoni za iluzoryczną szansą na sukces. Zasięgali języka, węszyli, wtykali nos w każdą dziurę. Rozpaleni żądzą posiadania, byli w stanie sporo zapłacić, żeby być tu, na miejscu, gdzie tyłu przed nimi odkryło już źródło bogactwa. Lecz Toma i Archera nie stać było na nic lepszego niż pokój wynajęty w tej nędznej ruderze, a zapowiadało się, że wkrótce zapewne i na to nie

będzie ich stać.

Tom torował sobie drogę do baru, krocząc majestatycznie, z dumnie podniesioną głową, niczym król łaskawie pozdrawiający tłum uniżonych sługusów. Nie był wysokim mężczyzną, lecz nosił się z pyszną, jak gdyby sięgał niebiańskich sfer zastrzeżonych dla bogów. Miał ciemne włosy, jasną karnację i drobne kości. Każdego zwykł obdarzać życzliwym uśmiechem, najcieplejsze uczucia rezerwując jednak dla tych, na których mu zależało.

Archer był jego dokładnym przeciwieństwem - żyłastym, mocno zbudowanym, topornym mężczyzną o płowych włosach i piegowatej twarzy, którą odziedziczył po irlandzkiej matce, oraz jasnoniebieskich oczach, otrzymanych w spadku po ojcu Walijczyku. Zazwyczaj był równie skory do wesołości, jak przyjaciel, lecz tego dnia jego twarz przypominała posępną, gradową chmurę.

Gdy więc podłoga zaskrzypiała za jego plecami i dobiegł go niski, tubalny głos, pomyślał zrazu, by odprawić intruza.

- Skąd pochodzisz, cudzoziemcze? - usłyszał, a wówczas odwrócił się, zmierzył ponurym wzrokiem mężczyznę, który dostawiał krzesło do jego stolika i odpowiedział:

- A kto pyta?
- John Garth. Kapitan John Garth.

Gość był wysokim mężczyzną w podeszłym wieku, o ogorzałej, czerstwej twarzy i starannie przyciętych, krzaczastych wąsach. Miał na sobie stosowny dla perłowych magnatów biały mundur kapitana floty, teraz swobodnie rozpięty.

Krótkie oględziny wypadły na korzyść przybysza, Archer odetchnął więc z ulgą i przedstawił się krótko:

- Jestem Archer Llewellyn. Pochodzę z Ameryki.

Podali sobie ręce. John Garth rozsiadł się wygodnie i powiedział:

- Niewielu Amerykanów zapuszcza się do Broome. Skoro przyjechałeś na wakacje, Archer, to dlaczego wybrałeś taki podły hotel? W tej spelunie można spodziewać się tylko bijatyk, kanciarstwa i nieświeżego żarcia.

- A co ty tu w takim razie robisz, John?
- A zajrzałem sobie z ciekawości. Właśnie przetrzepałem skórę

otwieraczowi muszli i bosmanowi z mojego statku. Widziałem, jak wytaczali się na ulicę. Przyszedłem sprawdzić, co zaszło i kto ich tak poturbował.

- Skąd wiesz, że to moja robota?

- Spójrz na tę hołotę - uśmiechnął się John. - Któż inny mógłby to zrobić?

- Facet obraził mojego przyjaciela - mruknął Archer tonem usprawiedliwienia.

- Zawsze stajesz w obronie przyjaciół?

- Jeśli trzeba.

- Lojalność to rzadka cecha. Gdyby nie ona, w mieście i na morzu zapanowałyby kompletne rozprężenie. Przy werbowaniu załogi lojalność liczy się najbardziej.

- W takim razie przypuszczam, że z lojalności dla swojej załogi zechcesz wyrównać porachunki. Mam rację, John?

- Mam ci pokazać, co znaczy lojalność? - John popatrzył nań tajemniczo i po chwili wyciągnął z kieszeni sakiewkę. - Patrz.

Archer rozluźnił troki, zajrzał do woreczka, zmarszczył brwi. Na dnie zabłyśły trzy niewielkie, nieskazitelnej urody perły.

- Za takie perły można dać się zabić - westchnął, zwracając kapitanowi sakiewkę.

- Prawda. Pochodzisz z Georgii czy z Karoliny, Archer?

- Z Teksasu.

- A twój przyjaciel?

- Z Kalifornii.

- A skąd się tu wzięliście?

Archer nie dosłyszał pytania, bowiem myślami krążył już wokół pereł. Marzył, by choć chwilę potrzymać je w dłoni. Widział już w swoim życiu kilka klejnotów, ale nie takie. U wybrzeży Broome znajdowały się największe na świecie łowiska perłopławów. Ich muszle, wyłożone grubą warstwą macicy perłowej, były obiektami nieustannego pożądania producentów modnych guzików. Handlujący masą perłową dorabiali się olbrzymich fortun, ale i poławiacze mogli zarobić. Niestety, od trzech dni Archer wyłącznie pozbywał się pieniędzy.

Tymczasem do stolika wrócił Tom. Postawił na stole dwa niedomyte

kufle, wypełnione zimnym piwem, i zagadnął:

- Czy z tobą też mamy się bić? Daj przynajmniej skończyć piwo.
- Nie ma sprawy, zaczekam. - John uściśnął wyciągniętą ku niemu rękę, dał znak barmanowi, by ten nalał jeszcze jeden kufel, a potem wznosił toast: - Za kamratów!

Mężczyźni unieśli lekko kufle, a potem popijali w milczeniu kwaskowaty, zwietrzały trunek.

- Pytałem właśnie pana Llewellyna, jakie wiatry was tu przywiały - przerwał ciszę kapitan, odstawiając kufel.

- Walczyliśmy razem na Kubie na wezwanie Roosevelta - odparł Tom bez zająknięcia. Już dawno przygotowali z Archerem zgrabną opowiastkę, tłumaczącą ich obecność na tej oddalonej od ojczystego kraju ziemi. - Po skończonej kampanii postanowiliśmy wyruszyć w świat. Przyjechaliśmy szukać szczęścia tutaj. Cóż, na razie los nam nie sprzyja.

- Niektórym jednak powiodło się w Broome - zauważył John.

- Aha, widziałem tę zgraję mieszkańców i zakapiorów, którym rzekomo się powiodło - prychnął ironicznie Archer, odstawiając pusty kufel. - Dogorywają w Chinatown, jak żywe trupy. Czekają chyba, aż wykończy ich to parszywe słońce i przebrzydłe muchy.

- Fakt, niektórzy poławiacze mieli pecha - westchnął John z ubolewaniem. - Ale łowienie pereł to hazard. Niekiedy przynosi bogactwo, niekiedy nie.

- Zależy kto się do tego bierze, to chciałeś powiedzieć, John?

- Ano właśnie. Większość śmiałków marnie ginie albo zostaje kalekami na całe życie. Tylko nielicznym udaje się wyłowić tyle muszli i pereł, żeby żyć jak bogacze Wschodu. Tu trzeba szczęścia.

- Tylko szczęścia?

John Garth uśmiechnął się tajemniczo.

- Muzułmanie wierzą, że ich los jest z góry przesądzony przez siłę wyższą. Nie mówią o szczęściu. Japończycy z kolei pod ubraniami noszą ochronne talizmany. Moje zdanie jest takie, że człowiek powinien kierować się wiedzą i ostrożnością. No i czasem zaryzykować. Bywa, że ryzyko się opłaca.

Archer przypomniał sobie wszystkie ryzykowne decyzje, jakie wspólnie z Tomem podjęli od czasu zwolnienia z wojska. A także

ryzyko, na jakie naraził się, zabijając człowieka w obronie przyjaciela. W ciągu tych wszystkich lat po ucieczce spod stryczka razem zaciągnęli się na statek handlujący rumem na Karaibach, ścinali ogromne drzewa kauri na Nowej Zelandii, przemierzali bezbrzeżne przestrzenie australijskiej pustyni, patrolowali konno ogrodzone pastwiska w Nowej Południowej Walii, przetrząsali okolice Wyżyny Kimberley i przepłukiwali wody górskich rzek w poszukiwaniu złota.

Nagrodą za ten morderczy trud była jedynie bieda, brud i poniżenie. Archer Llewellyn wciąż wierzył, że jest przeznaczony do wyższych celów, ale te nieustannie wymykały mu się z rąk.

- Broome to nie jest miejsce dla białych - odezwał się po chwili milczenia. - Tom i ja jesteśmy doświadczonymi żeglarzami, ale póki nie kupimy własnego lugra, nie mamy większych szans. W mieście roi się od skośnookich mieszańców i ciemnych tubylców, którzy najmą się do każdej roboty za trzykrotnie niższą cenę. Powiem ci szczerze, John, że coraz bardziej mam ochotę stąd prysnąć.

- Czy mam rozumieć, że nie w smak ci towarzystwo Azjatów i Aborygenów?

- Mnie? - wyszczerzył zęby Archer. - Zniósłbym towarzystwo samego diabła, gdybym miał szansę zdobyć choćby dolara! Ale między mną a tą hołotą, co to pałęta się po nabrzeżu bez grosza przy duszy albo gnije w tych budach, ściśnięta jak śledzie w beczce, istnieje zasadnicza różnica. Ja mam większe wymagania, nie dam się zadowolić byle czym.

- Ale szczęście, jak twierdzisz, opuściło cię ostatnio...

- Tak to ze szczęściem bywa - wtrącił Tom. - Pojawia się w najmniej spodziewanym momencie.

- A co do tych pereł... - Archer zniżył głos.

- A tak, perły - John przestał skubać koniuszek wąsa - pewnie chciałeś zapytać, po co ci je pokazałem. Otóż istnieje pewna kategoria ludzi, którzy za pół grosza gotowi są na każdą podłość. Pamiętasz? Mówiliśmy o lojalności. Te właśnie perły zostały wyłowione przez mój lugier „Odyseja”, ale dopiero dziś wpadły mi w ręce. Cambridge Pete, ten osiłek, którego powaliłeś, znalazł je w muszli. Schował je i wczoraj, po zawinięciu do portu, sprzedał paserowi, który handluje fałszywkami.

- Fałszywkami? - zdumiał się Tom.

- Kradzionymi perłami - machnął ręką John - czyli tymi, które marynarze, a niekiedy nawet sami nurkowie, przemycają ze statków różnymi sposobami, jeśli trafi się okazja. Cambridge Pete wydrążył dziurę w okrętowej linii i tam ukrył moje perły. Handlarz, który je nabył, sprzedał mi je dziś rano wraz ze zmyśloną historyjką.

- Jesteś pewien, że nie kłamię?

- Pete nie oczekiwał mnie w porcie, był więc nieostrożny. Znalazłem tę linię w jego kabinie. Nie starczyło mu sprytu, żeby się jej pozbyć, choćby wyrzucić za burtę.

- W takim razie na „Odysei” brakuje marynarzy - zauważył domyślnie Tom.

Kapitan skinął przytakująco głową.

- Ucięliśmy sobie krótką pogawędkę i wiedzą, co ich czeka, jeśli nie zdążą po południu wsiąść na parowiec płynący do Perth. Oczywiście odpłyną z pustymi rękami.

Archera nie zdziwił fakt, że Garth puścił złodziejaszków wolno. Broome było granicznym miasteczkiem, a w takich zakazanych miejscach roilo się zwykle od obwiesi i wyrzutków, rozmaitych typków spod ciemnej gwiazdy, przybyłych z wielu okolicznych wysepek. Tutejsze więzienie przeważnie pękało w szwach, a sprawiedliwość często wymierzali przypadkowi stróże prawa.

- Krótko mówiąc, potrzebuję nowego pracownika do otwierania muszli. - John pochylił się nad stolikiem. - Niestety, tak ważne zadanie mogę powierzyć tylko białemu. Chodzi o lojalność, rozumiecie?

- Biała skóra nie daje gwarancji uczciwości, nieprawdaż? - zauważył Tom z przekąsem. - O ile się nie mylę, pod grubą warstwą brudu Cambridge Pete jest całkiem biały.

- Wybacz, John - wtrącił się Archer. - Mój przyjaciel wychowywał się wśród chińskich służących. Zachował sentyment dla żółtków z war-koczykami.

- Ma jednak trochę racji - odparł John, a potem zwrócił się do Toma: - Nie zrozum mnie źle, przyjacielu. Cenię każdego, kto dobrze wykonuje swoją pracę. Ale otwieranie muszli to naprawdę zajęcie tylko dla białych. Podlegają bezpośrednio moim rozkazom, dzielę się z nimi zyskami. Musimy się doskonale rozumieć... - przerwał na chwilę, potem

popatrzył uważnie na Archera. - Czy to jasne?

- Jasne, John, rozumiem, że proponujesz robotę. O ile jednak pamiętam, było ich dwóch, Pete i bosman...

- Zgadza się - odpowiedział szybko kapitan. - Wywalam dwóch, potrzebuję dwóch nowych. Was jest dwóch. Podobno jesteście żeglarzami. Widzę, że potraficie o sobie zadbać. Udowodniliście też, że umiecie być lojalni, no i wreszcie...

- Jesteśmy biali - dokończył Tom z nutką ironii.

- Dokładnie tak, przyjacielu. Jestem z natury hazardzistą, instynkt rzadko mnie zawodzi. Sezon niebawem się kończy, zależy mi na czasie. Bosman twierdził, że „Odyseja” wymaga naprawy i że trzeba uzupełnić zapasy, dlatego zawinęliśmy do portu. Ale jutro wypływamy z powrotem na łowisko. Załoga nauczy was, co i jak macie robić. To co, decydujecie się?

Cisza, która zapadła po tych słowach, nie była długa, lecz wszystkim rozmówcom zdawało się, że w czasie jej trwania rozważyli wszystkie za i przeciw złożonej przed chwilą oferty.

John Garth miał ambitne plany i liczył na uczciwych współpracowników. Łowił perły od dwóch lat, po roku powiększając flotę o drugi lugier, którym komenderował osobiście. Gdyby w tym sezonie dopisało mu szczęście, wkrótce byłoby go stać na duży, wielomasztowy szkuner, statek macierzysty, na którym magazynowałby połowy bez potrzeby zawijania z ładunkiem do portu. Posiadanie morskiej floty zapewniłoby mu niewiarygodne wręcz dochody.

Archer miał skromniejsze wymagania. Chciał skorzystać z nowej szansy, odbić się od dna. Wierzył w swoje szczęście i dlatego nie odpowiedział od razu tylko dla zasady. Bywało przecież, że nawet niewielki lugier, z nieliczną załogą, przynosił fortunę, kiedy nurek wyłowił szczęśliwą muszlę.

Tom natomiast powtarzał w myślach dwa łacińskie słowa i zastanawiał się nad hojnością natury, która pozwala tak łatwo się wzbogacić. *Pictada maxima* - mięczaki o tej wdzięcznej nazwie, żyjące w przybrzeżnych wodach Zachodniej Australii, wytwarzały najcenniejsze i najbardziej poszukiwane perły. Jeden taki małż mógł sprawić, że i on, i Archer wylegiwaliby się brzuchami do góry do końca

swoich dni i nie musieli więcej martwić się o przyszłość.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, że będziesz zarabiał na życie otwieraniem muszli?

Archer błysnął zębami w szerokim uśmiechu. Z nową nadzieją w sercu, stał się jakby mniej ponury, bardziej ugodowy i przystępny.

- Nie, tak jak nie przyszło mi nigdy do głowy, że znajdę się w równie zakazanym miejscu. Popatrz no tylko...

Dampier Terrace w chińskiej dzielnicy Broome sprawiała wrażenie cząstki Singapuru, żywcem przeniesionej na australijski kontynent. Po obu stronach wąskiej, zatłoczonej uliczki przycupnęły rządkiem małe pobielone sklepiki i stragany naprędce sklecone z kawałków blachy i desek. Krzywe, wypaczone balkony z rozwieszonym na sznurkach i balustradach praniem tworzyły galeryjkę nad głowami przechodniów, a dym z palenisk i kadzideł nasycił powietrze ostrą, przenikliwą wonią. Tom posłusznie zlustrował rojny, brudny zaułek i zapytał:

- A co tak cię tu dziwi?

- Przyjrzyj się tym żółtkom - parsknął Archer, nie kryjąc pogardy. - Boże, jak ci faceci mogą chodzić w sukienkach?

Kilku ciemnoskórych mężczyzn w jaskrawych sarongach stanęło zwartym kręgiem w jednej z wąziutkich przecznic. Sądząc z wyrazu uniesienia, jaki malował się na ich twarzach, prawdopodobnie odprawiali jakiś religijny rytuał.

Na ich widok Toma ogarnęła przemożna tęsknota. Zapachy Chinatown przypominały mu dzieciństwo spędzone w San Francisco. Chadzał niekiedy do chińskiej dzielnicy z domowym kucharzem, kiedy matka była zajęta i niczego nie podejrzewała. Ah Wu prowadził zafascynowanego chłopca wzdłuż szpaleru sklepików zdobionych papierowymi lampionami i jaskrawymi jedwabiami, między wozy wypełnione kuszącymi, egzotycznymi kształtami warzyw i owoców, które nie pojawiały się nigdy na stole Robesonów. Teraz, wśród tych wszystkich znajomych świateł i zapachów, Tomowi zdawało się, że czuje na ramieniu silną, pewną dłoń Ah Wu.

- Wyobrażasz sobie, jak to miejsce będzie wyglądało po sezonie połowów? - pytał tymczasem Archer. - Wkrótce nadejdzie pora huraganów i piekielnych upałów. Skoro już teraz tak nieludzko tu

śmierdzi, to wyobrażasz sobie, jak będzie tu cuchnęło za dwa miesiące? Dlatego powiem ci coś, Tom, już wolę otwierać muszle na pokładzie „Odysei”.

Tom również pragnął odmiany i wcale nie marzył o pozostaniu w prowincjonalnym Broome. Jednak w przeciwieństwie do przyjaciela podziwiał różnobarwną, tętniącą życiem chińską dzielnicę, chciwie chłonał jej żywiołową atmosferę i egzotyczne aromaty. Nie komentował sarkazmu Archera, przywykł bowiem do zawężonej perspektywy jego myślenia. Archer był uczciwym i niezawodnym kompanem, brakowało mu jednak niekiedy wyrozumiałości i okrzesań. Archer - niecierpliwy, zadziorny, impulsywny - choć potrafił zimno kalkulować, trafnie oceniać sytuację i cało wychodzić z opresji, pod wieloma względami był przeciwieństwem Toma. Przeważnie kierował się własnym interesem. Nie wahał się jednak poświęcić życia w obronie przyjaciela i dlatego byli sobie tak bliscy.

Tom położył rękę na jego ramieniu i łagodnym gestem pokierował go w stronę kramów, tak jak kiedyś Ah Wu kierował nim samym.

- Jestem pewien, że Broome pokaże ci jeszcze swoje dobre strony i że nie ominą cię jego atrakcje.

- Na razie jedyną atrakcją będzie dla mnie otwieranie muszli z perłami, które i tak trafią do cudzej kieszeni - zachnął się Archer i splunął soczyście pod nogi.

- Nie szkodzi. Na razie musimy dobrze nauczyć się swojej roboty. Kto wie, może w przyszłym roku zdobędziemy własny lugier. Wciąż dysponuję pewnymi funduszami w kalifornijskim banku.

- Nie wystarczą, żeby kupić własny statek. Przecież wiesz.

- Na początek wystarczą. Tymczasem trzymajmy rękę na pulsie, trzeba mieć oczy i uszy szeroko otwarte. A nuż trafi się jakaś gratka. Bierzmy przykład z naszego kapitana. Nie zapominaj, że to dopiero początek drogi. Mister Garth też kiedyś zaczynał, prawda?

Archer był nieustępliwy i mierzył wysoko, lecz brakowało mu cierpliwości i nie był usposobiony refleksyjnie. Strząsnął więc dłoń Toma z ramienia i odpowiedział:

- Na razie poszukam jakiegoś żarcia.

John Garth wypłacił im zaliczkę na poczet przyszłych połowów.

Skromną kwotę wydali na opłacenie kwatery w hotelu Roebuck Bay, nieco wygodniejszego od speluny, w której nocowali poprzednio. Resztę przeznaczyci na wyczyszczenie ubrań, by mieć w czym wypłynąć w morze następnego dnia, a także na tani, lecz pożywny posiłek - John uprzedził ich bowiem, że na pokładzie „Odysei” przez kilka miesięcy nie będą mogli liczyć na nic więcej poza rybami i ryżem.

- Patrz, pralnia Sing Chunga, którą polecił nam John - Tom wskazał skromny sztyl na narożnym domu, kiedy szli po kolacji w stronę hotelu. Chińczycy, podobnie jak we wszystkich krajach, w których się osiedlili, uprawiali tu poszukiwane na rynku rzemiosła - gotowali, a także czyścili i prasowali mundury oraz okolicznościowe stroje tych poławiaczy pereł, których nie stać było na wysyłanie prania do Singapuru.

- Myślisz, że te żółtki pracują całą dobę na okrągło? Nie potrzebują snu jak każdy normalny człowiek? - zagadnął Archer, wciąż z nutą niechęci w głosie.

- Oni też są normalni, Archer. Robią wszystko, żeby przetrwać.

- Ja tam nie wytrzymałbym stania tyle godzin przy gorącym kotle.

- Wytrzymałbyś, gdyby zależało od tego byt twojej żony i dzieci.

- Co? Ja się ożenię z taką, która będzie mnie utrzymywać! - oznajmił Archer i roześmiał się głośno.

- Oczywiście, Broome aż się roi od takich kandydatek. Jeśli w ogóle znajdziesz tu choćby jedną kobietę.

- Mam gdzieś całe to Broome. Nie zamierzam tkwić w tej piekielnej dziurze. Jak tylko znajdę perły, zaraz dam nogę do Victorii. Szybko się dorobię, kupię farmę i będę hodował bydło. Ustawię się, Tom, zobaczysz. A jak już będę bogaty, pomyślę o dziedzictwie dla synów. Zbuduję dla nich królestwo.

Tom rozumiał przyczyny wygórowanych ambicji przyjaciela. Archer był jedynym dzieckiem imigrantów, którzy przebyli Atlantyk, marząc o własnej ziemi. Jego ojciec zmarł jednak w tek-saskim więzieniu, nie dorobiwszy się przez lata harówki niczego poza niesprawiedliwym wyrokiem sądowym. Natomiast matka, słaba i chorowita, została bez środków do życia i musiała oddać syna do sierocińca. Całe dzieciństwo Archer spędził na ranczu miejscowego notabla w charakterze darmowego pacholka.

- Dobra, królu, najpierw załatwmy pranie. - Tom poklepał Archera po plecach. - Potem możesz się pokrzepić, żebyś miał siłę na budowanie tego królestwa.

Jego przyjaciel prychnął śmiechem i pchnął drzwi do pralni. Pokój był mroczny, ciasny, panował w nim niemiłosierny żar. Zza grubej kotary buchały kłęby pary. Półmrok rozpraszało jedyne nikłe światelko, sączące się z sąsiedniego pomieszczenia. Kiedy wzrok Toma przywykł do ciemności, dostrzegł kruchą, wiotką sylwetkę pochyloną nad niskim stołem. Młoda kobieta o delikatnych rysach twarzy w kształcie serca wstała na ich widok i podeszła do nich ze skromnie spuszczonego wzrokiem.

Archer, któremu spieszo było wracać do hotelu, bezceremonialnie cisnął tobołek z bielizną na stół.

- Musimy to mieć na jutro rano. Zdażycie? Tom poszedł w ślady przyjaciela i położył swój

pakunek obok zawiniątka Archera. Dziewczyna milczała.

- Nie mówisz po angielsku? - zapytał miękko.

- Mówię bardzo dobrze - odezwała się, nie podnosząc oczu. W jej melodyjnym głosie zabrzmiał ledwie zauważalny obcy akcent.

- Tylko bez szachrajstwa. - Archer popatrzył na nią ostro. - Albo wyrobicie się na jutro z tym praniem, albo idziemy gdzie indziej.

- Nie złość się - próbował załagodzić sytuację Tom. - Zajmę się praniem, a ty wracaj do hotelu i zamów dla nas porządne jedzenie. Dołączę do ciebie za kilka minut.

- Tylko pamiętaj, że w Chinatown jest mnóstwo pralni - warknął od drzwi Archer. - Nie upieraj się przy tej, jak coś będzie nie tak.

Tom odczekał, aż przyjaciel zniknie, i ponownie zwrócił się do dziewczyny:

- On nie chciał być opryskliwy. Jak człowiek głodny, to zły.

- A pan się nie śpieszy?

Tomowi wcale nie było spieszo. Widział w Australii zaledwie kilka urodziwych kobiet. Nie spotykało się ich na pustynnych odludziach ani na złotonośnych wzgórzach. W Broome mieszkali przeważnie mężczyźni.

Ta młoda Chinka, z długimi czarnymi włosami, smagłą cerą i gęstymi

rzęsami przewyższała urodą wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek spotkał. Nie szpecił jej ani obfity pot spływający z czoła, ani nieforemny, niezgrabny strój.

- Nie nalegalibyśmy na taki pośpiech, gdyby nie pewien ważny powód. Właśnie udało nam się zatrudnić na jednym z lugrów i jutro wypływamy na kilka miesięcy w morze. Mamy ostatnią szansę, żeby wyczyścić ubrania. Pewnie wkrótce znowu się pobrudzą.

Tom wabił dziewczynę uśmiechem z nadzieją, że choć na chwilę podniesie na niego oczy. Kiedy zaś wreszcie to zrobiła, jej spojrzenie uderzyło go nieoczekiwaną jasnością.

- Przyjmę to zamówienie. Zdążymy.
- Dziękuję. Jest pani bardzo miła.

Nie mógł od niej oderwać wzroku. Przypominała mu piękne Chinki, które widywał za młodu: żony kupców w bogato haftowanych szatach i misternie upiętych, świątecznych fryzurach, a także dorodne służące w siermiężnych tunikach i bezkształtnych spodniach. Kobieta, którą miał przed sobą, nosiła podobny strój - tunikę z czarnej bawełny, ozdobioną delikatnym haftem na stójce. Aksamitna skóra i jedwabiste włosy uplecione w gruby warkocz silnie kontrastowały z wyszarzałym, mało kobiecym ubiorem, a kontrast ten jeszcze bardziej podkreślał zewnętrzne walory praczki. Nie sprawiała wrażenia, jakby się spieszyła. Może cieszyła się chwilą wytchnienia od parujących za zasłoną kotłów?

- Przyjechała pani z Chin? - zapytał. Skinęła głową.
- Razem z rodziną?
- Tak. Przyjechaliśmy tu dziesięć lat temu. A pan skąd pochodzi? - odważyła się zapytać, zachęcona jego przyjaznym spojrzeniem.
- Z Kalifornii.
- To daleko.
- Bardzo daleko. Tęsknię za Kalifornią. A pani tęskni za swoim krajem?

- Wkrótce tam wracam. Mam wyjść za mąż za mężczyznę z mojej wioski.

Tom poczuł absurdalne ukłucie zazdrości.

- Szczęściarz z niego.

Jaskrawy rumieniec wypłynął na smagłe policzki. Tom zdał sobie

sprawę, że się nieco zagalopował.

- Przepraszam, nie chciałem pani urazić.
- Rozumiem. Zapewne tak zachowujecie się w Kalifornii - tuszując zażenowanie, zaczęła rozsypywać tobolek Archera.
- Nie, w Kalifornii powiedziałbym inaczej.
- A jak? - Popatrzyła przez moment w jego skupione oczy.
- Czy na pewno chcesz wracać do Chin, a nie zostać tu i wyjść za mnie?

Rumieniec przybrał barwę głębokiego karminu, a na kształtne wargi wypłynął wstydlivy uśmieszek.

- Ojciec nie pozwala mi rozmawiać z mężczyznami. Teraz rozumiem dlaczego.
- A właśnie, gdzie się podziewa twój ojciec?
- Jest chory. Śpi.
- Przykro mi. Mam nadzieję, że wkrótce wyzdrowieje.

Chinka starannie oszacowała rozpostarte na stole brudne rzeczy i wyznaczyła wysokość zapłaty.

- W porządku - zgodził się Tom.
- Tyle samo będzie kosztowało pana ubranie.
- Tak bez oglądania? Skąd wiesz, czy cena nie będzie wyższa?
- Taka sama. Albo nawet niższa - odparła, najwyraźniej coraz bardziej skrepowana obecnością obcego mężczyzny.
- Płacę z góry? - spytał z zachęcającym uśmiechem.

Znów rzuciła mu przelotne spojrzenie. Zauważył, że ma prześliczne ciemne oczy z wyrazem inteligencji, który od razu go urzekł.

- Może pan zapłacić jutro, przy odbiorze.
- A kto będzie jutro, pani czy ojciec? Wzruszyła ramionami na znak, że nie wie.
- A czy będzie tu pani jeszcze, kiedy wrócimy z łowiska?
- Jeśli ojciec nie wyzdrowieje, zostanę przy nim i będę się nim opiekować.
- Pewnie przykro pani będzie odkładać ślub. Nie odpowiedziała. Kolejny raz wzruszyła ramionami.
- Boże, ciągle mówię coś, czego nie powinienem - westchnął Tom. - Przepraszam raz jeszcze.

- Mężczyzna, którego mam poślubić, jest stary i ma już dwie żony.

Tom zmarszczył brwi. Perspektywa oddania tej ślicznej, młodej kobiety w ręce żonatego starucha rozsierdziła go nie na żarty. Dwie pierwsze żony będą ją pewnie traktować jak służącą. Nie znał dobrze chińskich obyczajów, ale wiedział, że ta krucha, urocza istota zasługuje na o wiele lepszy los niż ten, który jej szykowano.

- Proszę już iść - odezwała się. - Pranie będzie gotowe na rano.

Nim zdołał cokolwiek powiedzieć, zgarnęła ze stołu brudy i zniknęła za kotarą. Tom wpatrywał się jeszcze chwilę w falujący kawałek materiału, w końcu jednak nieznośny żar buchającej pary wypędził go na ulicę.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZECI

Archer zamówił dania dla siebie i Toma, po czym wypatrył stolik w kącie sali. Usadowił się w dogodnym punkcie obserwacyjnym, plecami do ściany, i śledził wzrokiem gości oraz krzątających się kelnerów. Hotel Roebuck Bay był wedle miejskich standardów dość prymitywny, lecz o niebo elegantszy od pseudopensjonatu, w którym koczowali poprzednio i gdzie spotkali Johna Gartha. Tu przynajmniej przebywali w większości ludzie tego samego co oni pokroju. Kilku mężczyzn w bluzach koloru khaki i zakurzonych spodniach z moleskinu oraz oficerów w białych mundurach popijało piwo i gawędziło z kolegami. Nikt nie zwrócił uwagi na nowego przybysza, ale Archer był pewien, że wieść o dwóch Amerykanach rozniosła się już po mieście. W takiej dziurze trudno zachować anonimowość.

W oczekiwaniu na upragniony posiłek zaczął wodzić leniwie wzrokiem po tłoczących się w sąsiedniej sali amatorach bilardu. Wtem do baru wkroczył mężczyzna w średnim wieku, w nieskazitelnie białym garniturze, któremu towarzyszyła kobieta o ptasiej twarzy, ubrana w czarną i sztywną niczym arkusz blachy suknię. Ku zdumieniu Archera obok tej dziwacznej pary natychmiast wyrosło jak z pod ziemi dwóch kelnerów. Zaprowadzili nowo przybyłych do stolika i zastygli przed nimi w pełnej uszanowania pozie.

- Powiało wielkim światem, co?

Archer zerknął na szynkarza, który ułożył przed nim sztuce i postawił szczerze napełnioną whisky szklanę.

- Kto to? - zapytał.

- Ten facet? Jak któregoś dnia znajdzie pan perłę godną korony Jej Królewskiej Mości albo jakiegoś maharadży, to też będzie pan się tak nosił.

- Jeden z tych krezusów, co nabili kabzę na perłach?

- Największy krezus w Zachodniej Australii, Sebastian Somerset. To jest gość, ubrania szyje na miarę w Singapurze, cygara zamawia w Egipcie, a szampana sprowadza z Francji. - Brzuchaty, spocony oberżysta przejechał nie pierwszej czystości szmatą po blacie stolika i zniżył głos. - Ale żony nie umiał sobie wybrać. Co do mnie, to nawet za największą perłę świata nie wytrzymałbym z taką jędzą.

Archer zrozumiał, że sztywność sukni owej damulki jest niczym w porównaniu z oschłością charakteru. Somerset, ciemnowłosy mężczyzna o gładkiej twarzy, regularnych rysach i spojrzeniu ostrym jak brzytwa, wyglądał na człowieka o nieugiętej woli. Jeśli kobitka staje mu okoniem, to rzeczywiście nie lada z niej sztuka.

- Jak się nie ma fartu w miłości, ma się w interesach - skomentował.

- Święta prawda, szefie.

- To co, Somerset miał fart?

- Szefie, niech pan nawet nie pyta! Kapitan Somerset ma szesnaście lugrów i dwa statki macierzyste, jego flota cumuje w okolicy Zatoki Pikuwaq i co rusz łowi perły wielkości strusiego jaja.

- A macicą perłową brukuje sobie drogę do nieba? - zakpił Archer.

- Bez żartów, to prawdziwy nabab, najbogatszy facet w mieście.

Każdy kawaler, jak stąd do Perth, tylko marzy, żeby zdobyć rękę jego córki.

- A ta córka jaka jest, przypomina mamuszkę?

- Viola? Jest niczego sobie, nie powiem. Ale język to rzeczywiście ma ostry jak brzytwa. Odstraszyła wszystkich zalotników.

- To może trzeba by przytrzeć jej rogów?

- Bez obrazy, szefie, ale poskramianie złościcy zostawmy jakiemuś bogaczowi - skwitował oberżysta i wrócił za kontuar w tym samym momencie, kiedy w drzwiach pojawił się Tom.

- Pranie będzie gotowe na rano - oznajmił, opadając na wolne krzesło.

- Świetnie, bo mam w planie wczesną przechadzkę.

- Spacer?

- Taa... Wygląda na to, że nie poznaliśmy wszystkich zakamarków Broome.

- To znaczy których?
- Tych, gdzie mieszka moja przyszła żona - oznajmił Archer,

krzyżując ramiona i szczerząc szelmowsko zęby.

Viola Somerset miała w głębokiej pogardzie Broome i całą Australię. Matka obiecała wysłać ją do Anglii do szkół, by dokończyła tam stosownej edukacji, lecz ojciec stanowczo sprzeciwił się podobnym planom. Jego zdaniem Viola była zbyt krnąbrna i uparta, by wypuszczać ją spod opiekuńczych skrzydeł rodziców. Był pewien, że gdyby wybrała się na północną półkulę, nie zobaczyłby jej już nigdy więcej. A wtedy wszelkie szanse na zachowanie ciągłości perłowego imperium rozwiąłyby się bezpowrotnie.

Na nic zdały się prośby i błagania. Kiedy Viola miała czternaście lat, przeprowadziła nawet tygodniową głodówkę protestacyjną, lecz i ona nie zmiękczyła serca jej ojca. Przez tydzień ostentacyjnie pałaszował przy niej obfite dania, nie dzieląc się z córką najmniejszym kąskiem. Rok później dziewczyna straciła wszelką nadzieję na wymarzoną przyszłość w Anglii i zaczęła błagać ojca, by pozwolił jej choć na skończenie szkoły w Perth. Przekonywała, że powinna nabrać ogłady i poloru, nauczyć się wytwornych manier młodej damy, dzięki czemu któregoś dnia poślubi człowieka, godnego przejąć schedę po Sebastianie Somersecie.

Niestety, ojciec był głuchy na argumenty. Obstawał przy swoim, twierdząc, że żadna szkoła nie uczyni damy z niepoprawnej i zatwardziałej uparciuchy.

Bo też Sebastian Somerset był równie zajadły i nieprzejednany, jak Viola. Choć córka gardziła ojcem -jak i całym tym znenawidzonym krajem - podziwiała go jednocześnie za wytrwałość oraz twardy charakter. Wbrew powszechnemu mniemaniu i obiegowym poglądom, Somerset nie tylko szczęściu zawdzięczał swój sukces; może zresztą szczęściu najmniej. Łączył w sobie wrodzony talent do interesów z cierpliwością oraz odwagą. Krok po kroku budował w Zachodniej Australii prawdziwe imperium i zawsze wiedział, jaki jest jego cel. Jako pierwszy z białych przywiózł do Broome żonę i nowo narodzoną córeczkę, mimo że miejsce to nie cieszyło się wówczas najlepszą opinią. Z czasem inni poszli w jego ślady, lecz on mógł już spokojnie zbierać

owoce swojej żelaznej konsekwencji. Był pierwszy i bez wahania korzystał z tej przewagi.

Kiedy Viola skończyła szesnaście lat, Sebastian nieco zmiękł i pozwolił jej odwiedzić kuzynkę na wielkiej farmie owczej w Południowej Australii. Viola podziękowała mu przykładowo, lecz w duchu obmyśliła podstępny plan. Postanowiła zejść ze statku w Adelajdzie, sprzedać naszyjnik z pereł, który wiozła kuzynce w prezencie, i wsiąść na pierwszy lepszy statek płynący jak najdalej od Australii.

Jednakże i ten plan spalił na panewce, bowiem kuzynka czekała na nią już w porcie. Na szczęście Viola znalazła w Marcie pokrewną duszę i obie panny spędziły kilka beztroskich, sielankowych miesięcy, porwane w wir towarzyskich rozrywek. Viola bezustannie balowała, tańcowała i flirtowała podczas przyjęć, rautów i wyścigów konnych. Martha nauczyła ją kokieteryjnie upinać złote kędziory i ponętnie odsłaniać dekolt w wieczorowych kreacjach. Viola uczyła się pilnie i chętnie, lecz przecież sztukę zniewalania męskich serc i tak miała zapisaną w genach.

Przywołana do powrotu nastolatka zjechała do domu wzbogacona o przydatną wiedzę, jak dzięki zalotnym potrzęsaniom lokami i trzepotaniu długich rzęs zjednywać sobie adoratorów i przeprowadzać swoją wolę. Co z tego, że ojciec ma co do niej własne plany, myślała. Ona nie podda się, zdobędzie odpowiedniego mężczyznę, jednego z tych niebieskich ptaków, którzy życie spędzają na zabawach i swawolach, a wtedy uwolni się od przeklętych pereł i opuści przebrzydłe Broome na zawsze.

W kilka miesięcy później zaczęła popadać w rozpacz, że nie znajdzie właściwego mężczyzny. Czekala, czekała - i nic. Obserwując któregoś dnia z ganku wysiadających z powozu rodziców, przyrzekła sobie solennie, że musi zachować cierpliwość. Nie będzie się dąsać i narzekać. Nie da ojcu pretekstu do kolejnego wybuchu irytacji albo do kolejnych podejrzeń. Nie znosiła go, ale jego wytrwałość i konsekwencja budziły w niej respekt. Ona też będzie taka - i wreszcie doczeka się swego szczęścia.

- Jak się udała herbatka? - zagadnęła, schodząc ku nim po schodach i siląc się na uprzejmy uśmiech.

- Paskudnie. Nie spotkaliśmy w hotelu nikogo z towarzystwa -

prychnęła Jane Somerset.

- Jaka szkoda - westchnęła z ubolewaniem Viola, podając matce ramię.

Jane nie rozstawała się z mocno zasznurowanym, staromodnym gorsetem, który krępował ruchy i utrudniał stąpanie. Sapiąc i postępując, z trudem wspinała się po schodkach ocienionej werandy, uprzecznie podtrzymywana przez córkę.

- A na dodatek pieczeń była żyłasta i twarda - gderiała. - Co ten kucharz sobie wyobraża?

Sebastian Somerset zignorował utyskiwania żony.

- Viola - zwrócił się do córki, zdejmując kapelusz. - Tak wycięty dekolt jest wysoce niestosowny. Pamiętasz naszą rozmowę?

- Ależ tato - odparła cierpko pomimo danej sobie obietnicy, by go nie drażnić. - Uważasz, że powinien być jeszcze głębszy?

- Uważam, że powinnaś być mniej bezczelna!

- A ja uważam, że czepiasz się mnie z byle powodu! - wypaliła Viola i dumnym gestem odrzuciła bujne loki. - I tak nikt nie ma okazji mnie zobaczyć. Nikt nie dba o to, jak wyglądam, więc w czym problem?

- A Freddy Colson, to co? Ten chłopak też cię nie zadowala? Jeszcze się taki nie urodził, co by tobie dogodził?

Freddy Colson pod żadnym względem nie spełniał wymagań Violi. Ojciec upatrzył go na potencjalnego kandydata do jej ręki, bowiem ten niepozornej postury młodzieniec, bezbarwny i wymoczkowaty, obrał sobie za życiowy cel zarządzanie przedsięwzięciem Somersetów oraz inwestowanie zysków pryncypała. Freddy znał cenę każdego gwoźdźca w statkach przyszłego teścia, każdej beczułki ryżu wnoszonej na pokład i każdego kosza muszli znoszonego z pokładu. Viola była pewna, że jedynym jego marzeniem były funty i szylingi, a nie ona ani jakakolwiek inna kobieta.

- Freddy byłby najszczęśliwszy, gdyby mógł ożenić się z tobą - prychnęła. - W tej konkurencji zajęłabym dopiero drugie miejsce.

- Postanowiłaś koniecznie wyprowadzić mnie z równowagi, prawda? - warknął ojciec, gniewnie skubiąc krzaczaste wąsy.

- Postanowiłam ci wyjaśnić, że nie wyjdę za Freddy'ego Colsona, niezależnie od tego, czy zna się na interesach Somersetów, czy nie. -

Viola usadziła zasapaną matkę w fotelu. - I że wybiorę na męża takiego kandydata, który będzie chciał stąd wyjechać.

- Jeśli tak się stanie, to cię wydziedziczę!
- Jeśli tak się stanie, uznam to za błogosławieństwo losu!

Po tych słowach odwróciła się na pięcie, zła na matkę, że nie zabrała w tym sporze głosu, i zła na siebie, że znów dała się sprowokować. Najbardziej była jednak zła na ojca, że postanowił zniszczyć jej życie.

Na resztę dnia zaniknęła się w swoim pokoju.

Łóżko Archera było twarde i wąskie, lecz i tak wygodniejsze od pryczy, na której sypiał przez ostatnie tygodnie. Pościel pachniała czystością, a okno przysłaniała jasna moskitiera, chroniąca przed złośliwymi komarami, lecz przepuszczająca kojący powiew wieczornej bryzy. Do świtu spał twardo, głośno chrapiąc po obfitej kolacji złożonej z baraniej pieczeni, zakropionej szczodrą dawką whisky. O brzasku jakiś nieznaną dźwięk wyrwał go ze snu.

Przez chwilę leżał czujny i napięty. Początkowo nie potrafił rozpoznać niczego niezwykłego. Gdzieś w oddali ujadały psy, bo w mieście rojło się od na wpół zdziczałych kundli, walczących o każdy ochłap. Potem dobiegł go głuchy pomruk dzwonu, dochodzący z pagody w pobliskiej chińskiej dzielnicy. Z dołu dochodził normalny o tej porze brzęk szklanek i sztućców, szykowanych przed otwarciem baru.

- Nie, Linc, nie chcę walczyć, nie będę z tobą walczył... Nie bądź głupcem... - mamrotał nieskładnie Tom, przewracając się niespokojnie z boku na bok. - Linc... nie!

Dopiero teraz Archer zdał sobie sprawę, co wyrwało go z drzemki - Tom znów miał złe sny. W pierwszym roku wojny z Hiszpanią często miewał nocne koszmary, niekiedy tak przerażające, że trzeba go było budzić dla jego własnego bezpieczeństwa. Bywało, że dopiero po wielu minutach wracał do przytomności. Najwyraźniej i tym razem prześladowa biedaka jakieś majaki, pomyślał Archer i zaczął rozważać, jaką obrać strategię. Czasami wystarczyło lekko śpiącym poruszyć, by odegnąć zmyły. Kiedy indziej trzeba było silnie nim wstrząsnąć i natychmiast obudzić.

- Nie! Nie po to tu jesteśmy, żeby walczyć między sobą... - wymamrotał ponownie Tom i nagle się uspokoił.

Tak, Tom był szlachetny i uczciwy nawet we śnie. Ochotników Pierwszego Oddziału Kawalerii rzeczywiście nie wysłano na Kubę po to, by ze sobą walczyli. W szeregach służyli nieokrzesani kowboje ramię w ramię z subtelnymi idealistami z wyższych sfer. To połączenie wytrawnego rozumu z brutalną siłą tworzyło prawdziwą mieszankę wybuchową, w której co rusz dochodziło do konfliktów, ale która gwarantowała zarazem wyjątkową skuteczność oddziału. Mimo różnic w wykształceniu i pochodzeniu ochotnicy umieli walczyć ze wspólnym wrogiem, Hiszpanami, którzy wysadzili w powietrze „Maine” i gnębili kubański lud.

Prawdę mówiąc, Archera guzik obchodziło, co stanie się z ciemnoskórymi mieszkańcami odległej wyspy. Zaciągnął się do wojska na wezwanie Teddy'ego Roosevelta, bo armia stanowiła schronienie przed jego prywatnymi kłopotami. Tak się złożyło, że pewien farmer przegrał akurat do Archera niemal wszystkie oszczędności w pokera i uparł się udowodnić, że przeciwnik szachrował. Ponieważ zaś ów farmer nie mijał się z prawdą, Archer uznał, że fundując sobie bezpłatną wycieczkę na Kubę, nie tylko wyjdzie cało z opresji, ale też przy okazji zachowa dobre imię.

Tom, rzecz jasna, nie wstąpił do wojska z powodu tarapatów ani też z chęci poznawania świata. Potrafił głęboko wczuwać się w cierpienia bliźnich, jak gdyby to jemu z głodu kiszki grały marsza i jak gdyby to na jego szyi zaciskała się śmiertelna pętla. Ten wysportowany młodzieniec, świetny jeździec i wyborowy strzelec, był jedynym dziedzicem rodzinnej fortuny. Jego ojciec był potentatem kolejowym w znakomicie prosperującym w owych czasach San Francisco. Pewnego dnia Tom miał odziedziczyć niemałą połąć miasta i olbrzymią fortunę. Nie bacząc jednak na nic, złożył swój los w ręce Roosevelta, mimo gróźb ojca, który zapowiadał, że zapisze majątek dalszym krewnym.

Tak oto Tom i Archer trafili do oddziału kawalerii i tak zaczęła się ich znajomość. Początkowo nie zwracali na siebie uwagi. Ale którejś nocy, w pewnej piwiarni w pobliżu Riverside Park w San Antonio, pewien sierżant od musztry, prostak i grubianin o imieniu Linc, a nazwisku Webster, zawziął się na Toma i postanowił swoje wojskowe talenty obrócić przeciwko niemu.

Po męczących ćwiczeniach Linc lubił sobie popić. Owej nocy, po kolejnym kuflu piwa, niespodziewanie ostro zareagował na zgoła niewinną uwagę Toma. Od słowa do słowa doszło do sprzeczki. Impulsywny i zawsze gotów do bitki Archer, niewiele myśląc, wstawił się za arystokratą w sporze z nieokrzyszczonym gburem. Rozwścieczony Linc zamierzył się pięścią na Toma, wtedy zaś Archer odepchnął kompana z linii ciosu i Linc siłą bezwładu runął jak długi na ziemię. Świadkowie zdarzenia ryknęli niepohamowanym śmiechem, a Tom i Archer stali się od tamtej nocy bliskimi przyjaciółmi.

Lecz Linc poprzysiągł Tomowi zemstę, którą wyznaczył sobie za życiową misję. Szykanował go i dręczył, przydzielał mu najgorsze zadania. Tom próbował ignorować narastającą wrogość sierżanta, co jeszcze bardziej rozjuszało prześladowcę. Odcięte guziki od błękitnego munduru przyszywał bez szemrania. Kapelusz uwalany końskim łajnem czyścił bez protestu. Po prostu uznał, że rozsądkiem i cierpliwością wyciszy w końcu niepotrzebny gniew. Archer, któremu brakowało i rozsądku, i cierpliwości, uważał, że Tom popełnia karygodny błąd.

Po wylądowaniu w porcie Daiquiri na południowym wybrzeżu Kuby wydawało się, że napięcie opadło. Że Linc obrał sobie inny cel zemsty i że niemiłosierny żar tropikalnej dżungli oraz bezlitosne popołudniowe ulewy osłabiły w nim wolę odwetu. Z pierwszej potyczki z Hiszpanami pod Las Guasimas Linc, Tom i Archer wyszli bez szwanku, choć ośmiu żołnierzy poległo. Tydzień później, po krwawym ataku na przedmieścia Santiago, wszyscy byli rozsierzzeni, a Linc najbardziej.

Toma ostrzeżono, że Linc o nim nie zapomniał. Cały dzień oddział morderczym marszem przedzierał się przez dżunglę, grzęznąc po kolana w błocie, maczetami torując sobie drogę przez splątany gąszcz, opędzając się od jadowitych tarantuli i lądowych krabów o wielkich szczypcach. Kilku żołnierzy zmarło na tropikalną gorączkę, inni wpadli w panikę. Dopiero wieczorem zarządzono postój. Żołnierze pozrzucali ciężki ekwipunek i zwałili się na ziemię gdzie popadło. Nie wolno było rozmawiać ani palić, zamknęli więc oczy, modląc się o sen. Tom zapadał właśnie w błogą niepamięć, kiedy dobiegł go syczący szept Linca:

- Nie dożyjesz jutra, Robeson. Już moja w tym głowa.

Otworzył gwałtownie oczy i ujrzał tuż nad sobą wykrzywioną

paskudnym grymasem twarz sierżanta. Poderwał się, usiadł, lecz zjawa w mgnieniu oka rozplynęła się w ciemności. Tom był kompletnie wyczerpany, toteż zaczął się zastanawiać, czy usłyszane słowa nie były przypadkiem wytworem owładniętej strachem wyobraźni. W końcu zapadł w niespokojny sen, przeświadczony, że groźba mu się przyśniła.

O czwartej rano znowu byli na nogach. Podczas marszu Tom opowiedział przyjacielowi o nocnych zwidach, a Archer od razu uznał, że to nie był żaden sen i ostrzegł Toma, by za wszelką cenę unikał Linca.

Na razie jednak szykowali się do ataku. Mieli przypuścić szturm na Santiago z dwóch stron. Dostępu do miasta bronili zaciekle partyzanci ze wzgórza San Juan, ostrzeliwani nieustanną kanonadą z hiszpańskich armat. Wydano rozkaz, by oddział ochotników zasymulował taktyczny odwrót na zachód przez przełęcz San Juan. Żołnierze przyczaili się w wysokiej trawie nad brzegiem rzeki, czekając na dalsze rozkazy, mając po lewej stronie obłożone przez Hiszpanów wzgórze, a po prawej nieco mniejsze wzniesienie. Powietrze przeszywał huk wystrzałów z hiszpańskich dział, głośnie jęki rannych i soczyste przekleństwa.

- Rozejrzę się w sytuacji - szepnął znudzony przeciągającym się czekaniem Archer. Podczołgał się do przodu, przycupnął w nieckowatym zagłębieniu i ostrożnie wychylił głowę ponad linię traw. Potem obejrzał się na Toma.

Tom tkwił w tym samym miejscu, ale tuż za nim Archer dostrzegł pełzającego ukradkiem Lincolna Webstera. Sierżant wychynął zza skały i wymierzył rewolwer w plecy Toma. Archer nie czekał, aż usłyszy wystrzał, i pierwszy pociągnął za spust.

Nikt oprócz przerażonego Toma nie zorientował się, co się wydarzyło. I nikt nie podejrzewałby nawet, że Linc nie stał się ofiarą zbłąkanej kuli z broni hiszpańskiego strzelca, gdyby nie wszędobylski reporter z nowojorskiej gazety, ukryty za wyłomem skały. Jego to baczny wzrok Archer uchwycił tuż po oddanym strzale.

Cała historia mogłaby się w tym momencie zakończyć. Nawet Tom, choć z gruntu prawy, nie zamierzał umniejszać chwały zwycięstwa, rozgłaszając prawdę. Linc nie żył, reporter też poległ, a dwaj przyjaciele przeżyli szczęśliwie natarcie na wzgórze San Juan. Kiedy jednak odtrąbiono sromotną klęskę Hiszpanów i oddział zakończył kampanię

triumfalnym w marszem do miasta, Archer przypadkowo odkrył, że reporter wcale nie zginął tamtego ranka. Rannego w głowę, skrwa-
wionego i nieprzytomnego dziennikarza zabrał na pokład amerykański
statek. Nikt dokładnie nie wiedział, co się z nim potem stało, jednak
Archer zaczął się obawiać, że okoliczności śmierci sierżanta Webstera
wyjdą wkrótce na jaw.

Na pokładzie okrętu „Miami”, którym zwycięscy ochotnicy wracali na
Long Island, codziennie oczekiwał aresztowania. Nie aresztowano go
wszakże i dopłynął szczęśliwie do wybrzeży Ameryki. Aż pewnego
wrześniowego dnia, kiedy rozpuszczono oddział kawalerii i pozwolono
żołnierzom wracać do domu, dowiedział się, że bohaterski reporter
dochodzi do zdrowia w szpitalu w Albany. Archer uznał, że wścibstwo
dziennikarzy to choroba nieuleczalna, i obawiając się, że jedyny świadek
zdarzenia któregoś dnia przypomni sobie, co widział na Kubie, na
wszelki wypadek postanowił wyjechać.

Tego samego wieczoru oznajmił przyjacielowi, że definitywnie
opuszcza kraj. Tom zaprotestował. Przekonywał, że nawet jeśli prawda
zostanie odkryta, sąd z pewnością oczyści Archera z zarzutów. Archer
nie dowierzał. Czuł, że jego los byłby przesądzony. Za reporterem stała
duża, wężąca sensację gazeta. A czy jest coś bardziej sensacyjnego niż
zamordowanie kawalerzysty przez kompana z oddziału? Archer był
kowbojem przemienionym w żołnierza. Gdyby skłamał, nikt nie
uwierzyłby mu. Gdyby się przyznał, prawdopodobnie czekałby go pluton
egzekucyjny.

- Więc ruszam z tobą - oznajmił Tom bez wahania. - Moja rodzina
nam nie pomoże, ale mam trochę własnych oszczędności. Trzymajmy się
razem, a na pewno nam się uda. Potem możemy się rozstać, ale
przynajmniej pomogę ci na starcie.

Archer przyjął propozycję z wdzięcznością, zdając sobie sprawę, że
bez grosza przy duszy nie uda mu się rozpocząć nowego życia.

I oto teraz Tom Robeson przewracał się z boku na bok w niewielkim
pokoiku w hotelu w Broome, a on, Archer Llewellyn, poprawiał na nim
troskliwie kołdrę. Nie uważał się za bohatera, ale ratując Tomowi życie,
urósł do tej rangi w oczach przyjaciela. Taka pozycja mu odpowiadała,
zapewniała bowiem źródło utrzymania i gwarantowała lojalność.

Mimo kilku lat spędzonych wspólnie na poszukiwaniu szczęścia, Tom wciąż stanowił dla Archera zagadkę. Nie wyciągnął nauczki z bezsensownych wydarzeń na Kubie i wciąż wierzył, że w głębi duszy każdy człowiek jest dobry. Skłonny był wybaczyć każdemu nicponiowi i każdego niktzemnika usprawiedliwić. Przede wszystkim jednak całkowicie i bezwarunkowo oddany był Archerowi. Ten nigdy od nikogo nie zaznał miłości, uznał więc taką postawę za wielce zagadkową.

On sam był buńczucznym, zaczepnym zawadiaką, który zwykle działał bez zastanowienia. I choć przyszło mu zapłacić wysoką cenę za uratowanie Tomowi życia, nie czuł żalu ani wyrzutów sumienia. Przywykł do przyjaźni bogatego Kalifornczyka, a nawet uzależnił się od niej.

Tom poderwał się raptem i rozejrzał wokół nieprzytomnym wzrokiem. Potem westchnął, ucichł, położył się na szorstkim prześcieradle i obrócił na drugi bok.

Archer nie mógł zasnąć. Wpatrywał się bezmyślnie w sufit, ale sen nie przychodził. Nie dumał o okolicznościach, które go tu przywiodły, lecz o sytuacji, w jakiej się obecnie znajdował.

No cóż, powąchał przygody, radząc sobie sam, jak również wspomagany kurczącym się kontem kompana. Lecz zmęczyła go już tułaczka po świecie. Niczego w życiu nie dokonał, a powab nieznanego stał się przekleństwem. Podobnie jak ojciec pragnął założyć dynastię. Chciał mieć synów, wielkie stado bydła i ziemię rozciągającą się dalej niż wzrok sięga. Nawet gdyby mógł wrócić do Teksasu i tak miałby nikłe szanse na kupienie dobrej ziemi i zbudowanie wymarzonego imperium. Dlatego trafił do Australii.

Tu, na tym wielkim kontynencie, wciąż pełno było ziemi do wzięcia, i to po niskiej cenie. Co prawda ziemia ta nie wszędzie była gościnna i nie wszędzie dałoby się wykarmić na niej stado bydła, ale było jej pod dostatkiem. Wystarczyło kupić lub wydzierżawić posiadłość, zakasać rękawy i harować w pocie czoła od świtu do zmroku.

Ba, tylko skąd wziąć na to forszę?

By ziściły się te marzenia, Archer potrzebował bogatej narzeczonej. A by bogata kobieta, taka jak Viola Somerset, zwróciła na niego uwagę, musiał zdobyć najpiękniejszą i najbardziej drogocenną perłę. To była

jego droga do powodzenia i sławy.

Zerwał się, sięgnął po ubranie i wyszedł cicho, nie budząc Toma. Rześkie powietrze poranka było ciężkie, duszne i nieruchome. Najdrobniejszy poblask nie mącił ciemnego horyzontu. Poprzedniego dnia wypytał szynkarza, gdzie w Broome mieszkają bogacze, i teraz ruszył we wskazanym kierunku.

Pochłonięty wyłącznie szukaniem roboty, nie miał dotychczas okazji zastanawiać się nad urodą Broome. Dopiero teraz, wędrując zakurzoną drogą i opędzając się zawzięcie od natrętnych moskitów, zauważył, że miasto rozbudowało się daleko poza obręb Chinatown i poza nabrzeża, gdzie cumowały statki i gdzie koczowali poławiacze w nędznych, walących się budkach. Tutaj, z dala od brudu i smrodu, były całkiem inne widoki. I całkiem inne życie.

W ostatnich latach do Broome zaczęli przyjeżdżać ludzie z wyższych sfer. Wybudowano urząd celny, posterunek policji, więzienie oraz całkiem sporo luksusowych rezydencji. Archer mijał teraz eleganckie bungalowy, opasane wokół obszernymi werandami, z oknami osłoniętymi żaluzjami i myślał, że gdyby tu przyszło mu mieszkać, być może wcale nie miałby ochoty porzucić Broome.

Droga zaczęła się łagodnie wspinać, a pierwsze promienie słońca rozjaśniły niebo. Domy stawały się coraz większe i coraz wystawniejsze. To tu, pomyślał, oto dzielnica perłowych magnatów.

Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał wokoło. Która z tych posiadłości należy do Sebastiana Somerset? Skoro Somerset jest najbogatszym człowiekiem w Broome, zapewne mieszka w najokazalszej rezydencji. Lecz ani jeden z domów w zasięgu wzroku nie był godny takiego bogacza.

Nagle przed Archerem wyrósł ciemnoskóry młodzieniec ubrany na zachodnią modłę, najprawdopodobniej służący, który śpieszył do pracy. W Broome nawet najbiedniejszy kapitan mógł sobie pozwolić na trzymanie służby.

- Hej, możesz mi powiedzieć, w którym domu mieszka Sebastian Somerset? - zagadnął Archer.

Chłopak przystanął i z zakłopotaniem rozłożył ręce. W Broome mówiono wieloma narzeczeniami, lecz dziwacznie kaleczony angielski

uchodził za uniwersalny język wszystkich nacji.

- Dom Somerset. Bogaty pan. Perły - powtórzył Archer, jednak chłopiec wciąż stał jak wryty i uparcie milczał.

Archer sięgnął do kieszeni po monetę. Bawił się, podrzucając ją i łapiąc na przemian. Powtórzył tę czynność kilkakrotnie, nim ponowił pytanie, tą samą łamaną angielszczyzną.

- Tamta trzecia dom. Duża płot - odezwał się wreszcie ciemnoskóry chłopak.

Archer skinął głową. Przez chwilę rozważał, czy nie zatrzymać sobie monety, zaraz jednak cisnął ją w pył drogi. Chłopak rzucił się na poszukiwania, grzebiąc zachłannie w kurzu, on zaś uśmiechnął się lekko i poszedł dalej.

Wkrótce pożałował łatwo oddanej monety. Willę Somerset rozpoznalby bez zbędnych wskazówek. Choć nie umywała się do okazałych domów bogaczy z Teksasu, przyćmiewała przepychem sąsiednie rezydencje. Była wprost imponująca - utrzymana w miejscowym, eklektycznym stylu, wdzięcznie wtopiona w pejzaż. Okalały ją przepastne werandy, hojnie zdobione wymyślnymi ażurami i oplecione bujną latoroślą. Podwyższony parter wyrastał z wysokiej podmurówki, całość zaś wieńczył dach z zielonej blachy. Wejściem skierowana w stronę ulicy, szeroko rozpostarta między drzewami, willa przypominała królewski pałac. Od parkanu do rozłożystej werandy prowadziła wąska, starannie utrzymana ścieżka. Somerset tak zaprojektował dom, by stale mieć oko na port i na swoje statki, pomyślał kąśliwie Archer.

Ogród również zrobił na nim wrażenie. Różne gatunki strzępiastych palm przeplatały się z dorodnymi eukaliptusami, tamaryszkiem i metasekwoją chińską o bulwiastych konarach. Egzotyczne krzewy magnolii i bugenwilli wyrastały w malowniczych kępach, nadając otoczeniu harmonijny charakter. Gałęzie złotokapu zwieszały się poza dyskretny, metalowy parkan, bez wątpienia importowany z oceanu. Archer przystanął w cieniu gałęzi i bacznie lustrował dom.

Jakie życie wie dzie panna Somerset? Czy zawsze mieszkała w Broome, czy też ojciec posyłał ją do szkół, by stała się damą? Czy kocha to barbarzyńskie miasteczko, jego ostre zapachy, egzotyczne obrazki i

rozmaitość etniczną? A jeśli tak, to czy da się namówić na wyjazd, znęcić pokusami życia w innym miejscu?

Wtem dostrzegł na werandzie sylwetkę młodej kobiety, jak gdyby wyczarował ją myślami. Pojawiła się nagle, niczym cudowne zjawisko, okryta białym powłóczystym negliżem, z kaskadą złotych włosów upiętych bezładnie wysoko nad karkiem. Sunęła spokojnie, bezszelestnie, pełna dostojnej gracji. Przystanęła nagle, tęsknie wpatrzona w ogród, a wtedy Archer wstrzymał oddech, niepewny, czy został dostrzeżony.

Czyżby to ona, córka Somerseta? Bo przecież nie jego żona. Ta zjawiskowa kobieta była zbyt młoda i zbyt smukła. Nie widział wyraźnie jej twarzy, lecz wiedział na pewno, że ma regularne rysy i zuchwałe spojrzenie. Oparła się o kolumnę werandy, splotła ramiona na piersi, przymknęła oczy.

Tymczasem słońce podniosło się już wysoko nad horyzontem, a niebo pojaśniało od blasku. Ptaki, jak wszystko w tym pogańskim mieście, poczynają sobie doprawdy zbyt zuchwale. Jeden z nich, który mienił się wszystkimi kolorami tęczy, przysiadł na gałęzi tuż nad głową Archera i świergotał zawzięcie, jak gdyby dopominał się o rozmowę.

Zwabiona ptasimi trelami kobieta odwróciła się i zobaczyła nie tylko ptaka. Wychyliła się przez barierkę werandy niczym Julia wyczekująca Romea, a bujne włosy rozsypały się złotą kaskadą na ramionach. Archer wyszedł z cienia i uniósł dłoń powitalnym gestem.

- Czy my się znamy? - spytała cicho, lecz wyraźnie.
- Jeszcze nie - odparł i obdarował nieznajomą najbardziej zabójczym ze swoich uśmiechów.
- Jeszcze? A z jakiej to przyczyny ten stan miałby się zmienić?
- A z takiej, że zostaniesz moją żoną.
- Tak sądzisz? - wcale nie wydawała się speszona jego beczelnością.
- Już się zdecydowałem.
- Na co, jeśli można wiedzieć?

Nawet w najbardziej niebezpiecznych momentach Archera nigdy nie zawiodła intuicja. Dzięki niej ocalał życie Toma podczas kubańskiej kampanii. Dzięki niej uniknął stryczka w kochanej ojczyźnie. Teraz

intuicja podpowiedziała mu, że Viola Somerset potrafi być groźną i nieprzejednaną przeciwniczką, która lubi znać prawdę po to, by móc zaplanować następne posunięcie. Nie należała do tych płochliwych, nieśmiałych dziewczyc, które wymagają od mężczyzn rycerskich cnót i oddania, jakim żaden z nich nie potrafił sprostać. Ta młoda, lecz silna i stanowcza kobieta gotowa była na wszystko, byle uczynić zadość swoim pragnieniom. Szkoda tylko, że nie wiedział jeszcze, czego pragnęła.

- Wyjdiesz za mnie, bo jesteśmy ulepieni z tej samej gliny - odezwał się zuchwale. - Chcę cię, bo dasz mi rozkosz w łóżku, silnych synów i bogatego teścia. Ty natomiast chcesz mnie...

- O, naprawdę?

- ...bo dam ci wszystko, czego najbardziej pragniesz.

- To znaczy?

- Przykro mi, księżniczko, ale tego właśnie muszę się dowiedzieć.

- To skąd wiesz, że możesz mi to dać?

- Będę próbował do upadłego.

Viola roześmiała się perliście.

- No dobrze, chcę więc opuścić Broome raz na zawsze. Sprostasz takiemu zadaniu?

- Jasne. Mam taki sam zamiar.

- Chcę mieć majątnego męża i być prawdziwą panią domu, a nie niewolnicą. Masz jakiś majątek?

- Na razie niewielki, ale to się wkrótce zmieni.

- Doprawdy? - w tonie jej głosu zadźwięczała nutka lekceważenia. - Więc wróć, kiedy to się zmieni. - Dumnie uniosła podbródek i zagarnęszy falbany koszuli, ruszyła do środka.

- Księżniczko?

Odwróciła głowę i przeszła intruza lodowatym spojrzeniem.

- Nazywam się Archer Llewellyn. Możesz zacząć wyszywać narzeczeńską wyprawkę, kiedy będę na morzu.

- A ja nazywam się Viola Somerset. Możesz o mnie pomarzyć, póki nie pogrzebią cię na dnie oceanu.

Roześmiał się donośnie, a ona odwróciła twarz, by nie dojrzał jej uśmiechu. Potem zamknęła za sobą drzwi i zniknęła we wnętrzu rezydencji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- A niech go szlag! Franca, nie wieloryb! Jak on popłynąć na łowisko, to koniec, krewa...

Bernard, sternik z „Odysei”, masywnie zbudowany mieszaniec z holenderskiego Timoru, potrząsnął filozoficznie głową i nie odrywając rąk od rumpla, zręcznie manewrował niewielkim lugrem w wąskim przesmyku, by ominąć tryskającą przed dziobem fontannę wody. Za statkiem ciągnął się lekko spieniony kilwater. Przechylony przez burtę Tom wypatrywał dowodów, że w istocie statek ma towarzystwo.

- To nie jest jedno zwierzę, ale pewnie całe stado. - Archer przyłączył się do niego, skrzyżował ramiona i przybrał wyniosłą minę sułtana wydającego rozkazy królewskiemu katu. - Do czego to doszło, żeby taki zbir kierował statkiem.

Kadłub lugra zaskrzypiał jękliwie, posłuszny manewrom sternika. Żagle raptem wzdęły się od wiatru. W kilka minut oddalili się szmat drogi od niewykazującego jakiegokolwiek zainteresowania wieloryba i obrali kurs na perłowe łowisko. Załoga - zbiorowisko najrozmaitszych nacji, od Japończyków po Malajczyków - dokładnie znała swoje zadania. Każdy pracował sprawnie, w milczeniu, jedynie w razie konieczności wymieniając skąpe, szorstko rzucane uwagi.

- Widziałeś kiedy taką zbieraninę szubrawców i zbirów? - znów zagadnął Archer.

- Dlaczego zbirów? - Tom, swoim zwyczajem, dopatrywał się w tej rasowej mieszance rzeczy niezwyklej i frapującej. - Te zbiry i ci szubrawcy pomogą stanąć nam na nogi albo nas zniszczą - odparł przyciszonym głosem. - Nie sądzisz, że lepiej z nimi nie zadzierać? Poza tym pamiętaj, że to tacy sami ludzie...

- No dobra - przerwał mu Archer - powiedz mi w takim razie, czego

się spodziewasz po takim Bernardzie? Wczoraj pokłócił się z Ahmedem i powiesił nieboraka za rękę trzy stopy nad pokładem. Zobaczysz, któregoś dnia ten opryszek i nam dobierze się do skóry. Cichcem po nocy wypruje z nas flaki i upiecze nas nad ogniem. Te łotry zdolne są do wszystkiego. Jeszcze będzie podzegał resztę tej hałastry, jak się z nimi dogada, bo z angielszczyzną to u nich na bakier.

Tom uważał, że przedziwna gwara, jaką posługiwali się członkowie załogi, zupełnie wystarczy do sprawnego porozumiewania się. Wątpił też, czy ci przygodni marynarze skorzy są do buntu.

- Spałeś dziś w nocy? - zagadnął przyjaciela, zmieniając temat.
- Oka nie zmrużyłem.

Tom nie był zaskoczony. W ciągu dnia można było jako tako urządzić się na pokładzie, ale w nocy statek stawał się placem zabaw tysięcy wielkich, uskrzydlnych karaluchów, uczujących na resztkach ostryg lub dla odmiany podgryzających paznokcie u nóg i stwardniałe odciski na stopach marynarzy. Co nocy Tom czuł obrzydliwe łaskotanie ruchliwych odnóży i słyszał złowieszczy szelest chitynowych pancerzy. Jakby tego było mało, powietrze pod pokładem zatęchło od smrodu rozkładających się ryb, ostrej woni orientalnego curry i pleśni. Obaj spali w głównej ładowni na gołych deskach, rozstawionych między beczkami z wodą. Reszta załogi spędzała noc na pokładzie pod prowizoryczną zasłoną.

Tom przyjrzał się chmurnej twarzy Archera, ocienionej kilkuniedniowym zarostem.

- Będzie jeszcze gorzej. Juan nas uprzedzał, czym pachnie spanie pod pokładem. Dziś przenoszę się na górę, tam gdzie reszta. Znajdzie się miejsce i dla ciebie, jeśli masz ochotę choć trochę się zdrzemnąć.
- Mam spać razem z tymi rzezimieszkami? Kiedy Juan zajmuje całą kajutę?

Juan Fernandez był pokładowym nurkiem, bezdyskusyjnie najważniejszą osobą na statku. Przybył do Australii z Manili i choć nie był najlepszym poławiaczem w mieście, miał na koncie całą masę złowionych pereł.

- Zajmij więc wolną koję w jego kabinie - poradził zyczliwie Tom. - Ja natomiast będę rozkoszował się świeżym powietrzem.

Skwaszona mina Archera odrobinę rozchmurzyła się i złagodniała.

- Jeśli któryś z nas nie zajmie miejsca w kajucie, skorzysta z niego ktoś, kto na to nie zasługuje. Ostatecznie jesteśmy zatrudnieni do otwierania muszli.

Dwa dni wcześniej, tuż po zaokrętowaniu, John Garth udzielił im szybkiej, pogłądowej lekcji na temat życia na statku. Podobnie jak inni magnaci perłowi, John pilnie przestrzegał zasady, by kompletować załogę z najrozmaitszych krajów i środowisk. Taka gromada, podzielona animozjami narodowościowymi i nie posługująca się wspólnym językiem, dawała większe gwarancje, że nie skrzyknie się i nie wystąpi przeciwko kapitanowi. Toteż na statku służył poławiacz z Manili, sternik z Timoru, kucharz z Chin, dwaj silni Malajczycy do pompowania powietrza Juanowi, kiedy ten nurkował, oraz stary japoński marynarz, którego wieloletnie schodzenie pod wodę doprowadziło do niemal kompletnej głuchoty i ślepoty.

Mimo że większość załogi zdobyła niemałe doświadczenie na licznych statkach, nowicjusze Tom i Archer mieli nad nimi przewagę.

- Jak myślisz, jak jest pod wodą? - odezwał się zadumany Tom. - Szczęściarz z tego Juana, co?

- Szczęściarz? Popatrz na Tosziharu. Oto co nurkowanie robi z człowiekiem. Nie pojmuję, dlaczego Garth go zatrudnił. Nie słyszy i prawie nie widzi. O wszystko się potyka.

- Był z Johnem od początku, więc czuje się za niego odpowiedzialny.

- Nie pasuje mi to do człowieka interesu.

- Nieprawda, postąpiłbyś tak samo - odparł Tom, zastanawiając się, dokąd udał się wieloryb, bo fontanna znikła. - To jak, chciałbyś zanurkować? - spytał znowu. - Wiem, że tam na dole nie jest bezpiecznie, ale chętnie bym zaryzykował.

- Poproś Juana, może ustąpi ci miejsca - odparł Archer, po czym oddalił się w poszukiwaniu ciekawszej rozrywki na resztę dnia.

Tymczasem z ładowni wynurzył się Juan. Wszedł na pokład zamaszystym, marynarskim krokiem na szeroko rozstawionych nogach, jakiego nauczył się po latach spędzonych na morzu. Spodnie i koszulę zastąpił wygodniejszym sarongiem. Szyję ozdabiał mu złoty łańcuszek.

Tom od razu polubił Juana, człowieka niezwykle religijnego, który w swojej kabinie postawił ołtarzyk ku czci Matki Boskiej.

- O czym tak dumasz? - zagadnął nurek.
- Hm... O wieczności.
- Wielu znalazło wieczność w tych wodach.
- Wiem. Powiedz mi, jak jest tam na dole? Oczy Juana zasnuły się

rzewną mgiełką.

- Jak tam jest? Na dole nie jesteś taki samotny jak tutaj. Masa ryb, cały czas masz towarzystwo. Tutaj człowiek ciągle czegoś szuka. I niczego nie znajduje. Tutaj tęsknię za domem, a tam, na dole, myślę tylko o muszlach...

Dom... Kiedy Juan odszedł, Tom zaczął wspominać rodzinny dom. Od chwili kiedy z Archerem opuścili Stany Zjednoczone, prawie wcale o nim nie myślał. Owszem, pisywał do rodziców, ale od czasu kiedy ojciec pod groźbą wydziedziczenia zażądał, by syn natychmiast wracał, Tom nie otrzymał ani razu odpowiedzi.

Czy mógł coś poradzić na to, że nigdy nie podzielał ojcowskiej namiętności do bogactwa? Jako marynarz czuł się o wiele szczęśliwszy niż w roli dziedzica ogromnej fortuny. Niewiele potrzebował do życia, miał skromne wymagania i nie widział powodu, dla którego miałby zmieniać ten stan. Rezydencja Van Ness Avenue w Kalifornii kojarzyła mu się z więzienną celą, a szykowne młode dziedziczki były nudne, płóche i płytkie.

Tom dumiał o kobiecie pozbawionej tych cech. Tej samej, która szykowała się teraz do ślubnej podróży i z obawą myślała o maleńkiej wiosce w dalekich Chinach, gdzie oczekiwał jej mąż oraz dwie żony-współtowarzyszki.

Spróbował głośno wymówić jej imię:

- Lian...

To dziwne, że ta młoda Chinka wywarła na nim tak silne wrażenie. Widział ją zaledwie dwa razy. Za drugim razem, kiedy rankiem poszedł odebrać pranie, ojciec pilnował jej niczym cerber. Przygarbiony staruszek o głęboko osadzonych oczach, z mysim warkoczykiem z tyłu głowy, trząsł się konwulsyjnie na stołku w kącie pokoju, lecz ani na chwilę nie spuścił jej z oka.

A Lian, ubrana w świeżo odprasowaną tunikę, z gładką, niegorejącą od pary twarzą, była jeszcze piękniejsza niż poprzedniego dnia. Włosy upięła w wysoki węzeł, przytrzymywany szerokim grzebieniem z kości słoniowej. Jedno cienkie pasmo wymknęło się spod kontroli i spływało wdzięcznie na piersi.

- Sprawiliśmy wam ogromny kłopot - przywitał się Tom uprzejmie.
- To żaden kłopot - odparła, nie podnosząc oczu.
- Jestem pewien, że to był kłopot - Tom zniżył głos, żeby ojciec nie słyszał, i dodał: - Dziękuję.

Skinęła głową, ale nie podniosła wzroku.

- Twój ojciec jest chyba ciężko chory.
- Dzisiaj nie będzie miał okazji odpocząć. Mężczyzna w kącie wyrzucił z siebie potok chrapliwych słów w dialekcie kantońskim. Dziewczyna zarumieniła się.

- Muszę zainkasować należność - powiedziała zażenowana i wymieniła uzgodnioną sumę.

Tom zwlekał z zapłatą, udając, że szuka drobnych.

- Wypływam dziś w morze. Pewnie cię tu nie zastanę, kiedy wrócę. Powiedz mi przynajmniej, jak się nazywasz, żebym wiedział, jakim imieniem przywoływać cię w myślach.

- Dlaczego miałby pan o mnie myśleć? - Lian zniżyła głos do szeptu.
- Ja się nazywam Tom Robeson - odparł, unikając odpowiedzi i ostentacyjnie wywracając kieszenie. - A ty?

Dziewczyna zawahała się i zerknęła na niego przelotnie, jeszcze bardziej zarumieniona i spłoszona.

- Lian.
- Co to znaczy?
- Po angielsku to Willow, wierzba...
- Willow -powtórzył jak echo Tom, smakując to słowo i uśmiechając się serdecznie. - Pasuje do ciebie.

- Może. Matka mówiła, że zawsze powinnam się pochylać.

Starzec znów wyszczeakał kilka ostrych rozkazów. Lian westchnęła leciutko i zgarnęła monety.

- Ojciec mówi, że musisz już iść.

Nie wiedział, co jeszcze dodać. Prawdopodobnie dziewczynę taką jak

Lian czekał w Broome los służącej lub prostytutki. Może będzie dla niej lepiej, jeśli wróci do rodzinnego kraju, gdzie przynajmniej zajmie należne miejsce w lokalnej społeczności.

- Niech ci się szczęści w podróży, Lian - powiedział.

- Niech ci się w życiu darzy, Tom - odparła i podniosła na niego jasne, pełne smutku spojrzenie. Patrzyli się na siebie dłuższą chwilę, wywołując tym ponownie niezadowolenie starca. Przerwał im kilkoma krótkimi zdaniem, a wtedy Tom zabrał tobolek z praniem i wyszedł, nie obejrzawszy się za siebie.

Teraz szczegółowo rozpamiętywał tę scenę. Zastanawiał się, czym też Lian tak mocno poruszyła jego serce, skoro jak dotąd żadnej z kobiet się to nie udało. Z pewnością żał mu było dziewczyny, podziwiał też jej urodę. Drażniły go jednak uczucia o wiele silniejsze niż współczucie i upodobanie. Coś go do niej nieodparcie ciągnęło od chwili, kiedy spojrzeli sobie w oczy. Wtedy, tuż przed odejściem, zapragnął nagle dotknąć jej policzka. Do diabła, pragnął porwać ją w ramiona, wprowadzić z tej zatechłej nory i rozpocząć nowe, wspólne życie!

Nie zrobił tego jednak. Odszedł. Czy gdyby zastał ją w Broome po powrocie, byłoby go stać na powtórne odejście? Nie był człowiekiem skorym do wzruszeń i uniesień. Mimo to pragnął całą duszą zawrócić statek i popłynąć z powrotem do Broome.

- Willow - szepnął cichutko, wsłuchując się w dźwięk tego słowa. Kobieta, której nakazano pokornie się pochylać niczym płaczącej wierzbie, miała mu towarzyszyć w czasie całej jego podróży.

Archer pogardliwie traktował pracę, którą wykonywał. Bardziej niż te, których poprzednio się imał. Kilka dni po wypłynięciu z Broome „Odyseja”, wlokąc za sobą stado krzykliwych mew, dotarła w okolice Eighty Mile Beach, gdzie Garthowi poszczęściło się w tym sezonie już wcześniej. Juan niecierpliwie wyczekiwał momentu, kiedy znowu zanurzy się w głębinie, a Bernard, do którego należało pilnowanie lin, kiedy Juan schodził pod wodę, uważał, że łowisko jest bezpieczne i że także ta wyprawa okaże się owocna.

Mimo to pierwszego dnia połów był nader skromny. Wyłowione muszle zostawiono na noc na pokładzie, a rankiem Tom i Archer specjalnymi toporkami zaczęli obłupywać je z morskich narośli. Potem

nożami o wąskich ostrzach uczyli się otwierać skorupy tak, by nie uszkodzić ukrytych w nich klejnotów.

Archer odczuwał dreszczyk emocji przy każdym patroszonym małżu. Lecz po trzech tygodniach, kiedy nie znaleźli ani jednej perły, emocje opadły. Pozostała jedynie obrzydliwa robota, ohydny smród i śliskie, splugawione dłonie, które nigdy nie chciały się doszorować.

Lugier też się zmienił. Stos suszących się, cuchnących muszli zalegał na pokładzie. Skorupy były gotowe do pakowania i sprzedaży w porcie w Singapurze. Nimi też handlowano, ale za ich przyczyną w ładowniach rozpleniły się tysiące nowych, spasionych karaluchów, a stęchły, morski odór nie pozwalał zaczerpnąć oddechu.

Ustawiczne skrzywienie i huśtanie statku, wymuszona beczynność i nieznośna nuda doprowadzały Archera do krańcowej frustracji. Nie mógł uwolnić się od wrażenia, że życie przecieka mu przez palce. Jedząc, śpiąc i pracując z bandą oberwańców, których języka ni w ząb nie rozumiał, cierpiał i dręczył się ponurymi myślami. Wydawało mu się, że jego marzenia bezpowrotnie ulatują w bezkresną dal.

Wierny druh i kompan nie podzielał ani nie rozumiał jego uczuć. Przeciwnie, promieniał z radości, uśmiechał się do wszystkich, a na pokładzie było mu całkiem wygodnie. Członkowie załogi lubili go i szanowali, zaś dzięki wspaniałomyślności Juana miał właśnie po raz pierwszy zejść pod wodę.

- Hej, Archer! - zawołał, otoczony grupką marynarzy. - Chodź no tu i pomóż mi!

Archer powlókł się niechętnie, nie mając nic ciekawszego do roboty.

- Jesteś pewien, że chcesz nurkować?

- Najwyższa pora spróbować - odparł raźnie Tom, podczas gdy Juan owijał go flanelową płachtą. - Po co tracić bezproduktywnie czas? Dopiero jutro popłyniemy na inne łowisko, więc dlaczego dziś nie wykorzystać okazji?

- Tylko nie zgub się tam gdzieś na dole - odburknął Archer. - Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż jakieś głupie zabawy.

- Pierwszy raz nie powinien być długo pod wodą - wtrącił Juan. - Wyciągniemy go, nawet jak się będzie opierał.

Toma ubrano w dwie flanelowe pizamy, wełniane spodnie i sweter

oraz wysokie wełniane skarpety, sięgające do połowy ud. Mimo że na powierzchni panował męczący upał, pod wodą było zimno i nie sposób byłoby wytrzymać dłużej bez okrycia. Tom cierpliwie poddawał się wszystkim zabiegom, ufny w doświadczenie Juana. Ten wkładał mu właśnie kombinezon. Wetknął stopy Toma w otwory nogawek i podciągnął całość stroju na ramiona. Wyciągnął jego dłonie z zatłuszczonych, gumowych mankietów i skrupulatnie pozapinał zatrzaski ciężkiego, gumowego kołnierza. Potem doprowadził Toma do luku i usadowił go na krawędzi. Tutaj, z pomocą Tosziharu, wepchnął mu na nogi specjalne buty do nurkowania, obciążone czternastofuntowymi podeszwami.

Kiedy przygotowania zakończono, Bernard spuścił w otwór luku linę, która miała zaprowadzić adepta nurkowania na dno. Potem ostrożnie nałożył Tomowi miedziany hełm i starannie przykręcił go śrubami do gumowego kołnierza, kilkakrotnie sprawdzając szczelność kombinezonu.

- Gotowy - orzekł w końcu z zadowoleniem.
- Jesteś pewien, że chcesz nurkować? - powtórzył Archer, czując w brzuchu nagły skurcz niepokoju.
- No jasne!

Tom słuchał uważnie ostatnich instrukcji. Potem na skinienie Juana obrócił się przodem do linowej drabinki i ciężko stawiając nogi, zaczął ostrożnie schodzić. Bernard umocował mu na piersi i na plecach specjalne ciężarki, które miały utrzymać nurka w równowadze. Upewniwszy się, że przewód powietrzny jest drożny, a lina bezpieczeństwa zwisa prosto z pleców, Bernard dał znak, że wszystko gotowe.

Dwaj Malajczycy rzucili się do pompy. Powietrze z sykiem wpłynęło do hełmu. Dopiero teraz Tom się zawahał - przez szklaną wypukłość hełmu wyraźnie było widać jego skupioną twarz. Po chwili oderwał się jednak od drabinki i zanurzył w głębinę. Początkowo miotał się i ciskał, wzbijając gwałtowne bryzgi, lecz zaraz uspokoił się i chwycił równowagę. Powoli i sprawnie zaczął pogrążyć się w oceanie, jak gdyby nurkowanie nie było dla niego niczym nowym.

- Twój przyjaciel jest prawdziwym żeglarzem - stwierdził Juan z

uznaniem.

Archer wyczuł w słowach Filipińczyka wyraźny podtekst i spojrzał na niego krzywo:

- O mnie masz inne zdanie, co?
- Ty chcesz tylko pereł. On szuka czegoś lepszego.

Wieczór był ulubioną porą Toma na statku. Kiedy ostatnie promienie słońca znikają za horyzontem, spuszczano kotwicę, a statek kołysał się leniwie. Zmęczeni całodzienną pracą mężczyźni sadowili się rzadkiem na pokładzie, by przekąsić przygotowaną przez Wong Fai rybę z ryżem zaprawionym curry i wypić niezliczone porcje mocnej, gorącej herbaty.

Tom z upodobaniem przysłuchiwał się ich rozmowom. Coraz więcej rozumiał z tego przedziwnego żargonu. Szczególnie lubił gawędzić z Juanem, który posługiwał się angielszczyzną o wiele swobodniej niż Tom językiem hiszpańskim. Juan był człowiekiem wykształconym, utalentowanym muzycznie, znawcą i miłośnikiem poezji. Dzięki dźwiękom jego gitary czas płynął szybciej, a wieczór nie dłużył się nieznośnie.

Wieczorem, po pierwszym nurkowaniu Toma, Juan przysiadł się do niego, proponując kawałek konserwowanej wołowiny, która była na statku prawdziwą rzadkością.

- Nie mogę tego przyjąć. - Tom z uśmiechem pokręcił głową. - To ty potrzebujesz pożywnego mięsa. Teraz wiem, jak ciężko pracujesz.
- Dzisiaj ty ciężko pracowałeś. Weź. Jak twoje uszy?

Tom przełknął ślinę, żeby to sprawdzić. Kiedy się wynurzył, z uszu i z nosa płynęła mu krew. Na szczęście krwotok szybko ustał, bo też Tom nie nurkował głęboko i krótko przebywał pod wodą, a Bernard uparł się przy stopniowym, bezpiecznym zanurzaniu i wynurzaniu. Cała ta procedura pochłonęła zresztą więcej czasu niż samo penetrowanie morskiego dna.

Mimo to znalazł kilka muszli.

- Chłopaki mówią, że to szczęśliwy znak. Może przyniesiesz „Odysei” szczęście? - zagadnął Juan.

Tom roześmiał się sceptycznie.

- Obawiam się, że gdybyśmy liczyli na moje szczęście, wrócilibyśmy do portu z pustą ładownią. Wypatrzeć muszle na dnie to

prawdziwa sztuka. Sam nie wiem, jak udało mi się znaleźć tych kilka sztuk.

- Może sprawił to Bóg muszli.
- Bóg muszli? Wierzysz w takie rzeczy?
- Nie. Nikt nie wierzy.

Tom znów się roześmiał, Juan zawtórował mu cichym chichotem. Skończyli posiłek w milczeniu, ciesząc się swoim towarzystwem.

Po kolacji marynarze rozproszyli się po pokładzie. Archer grał w kości z Tosziharu i Ahmedem, młodszym z dwóch Malajczyków. Teksańczyk ciągle wygrywał i nikt nie chciał z nim grać o wyższe stawki niż odrobina tytoniu. Natomiast Tom rozsiadł się wygodnie na dziobie i zapatrzył w gwiazdy. Decydując się na ryzykowną eskapadę z Archerem, nie zastanawiał się nad przyszłością. Mimo gróźb ojca wiedział, że w San Francisco czeka na niego dostatnie, beztroskie życie. Był moment, że chciał wrócić do domu - z obowiązku wobec rodziców, choć nie darzył ich gorącym uczuciem. Ale teraz, wdychając rześkie, wieczorne powietrze, napawając oczy migotliwym blaskiem księżyca na spokojnej wodzie, wsłuchując się w tajemnicze szepty i pomruki oceanu, zastanawiał się, co by było, gdyby osiedlił się w Broome, kupił własny lugier i wziął los w swoje ręce.

Dawno nie czuł się równie szczęśliwy. Odpowiadał mu marynarski żywot. Podobał mu się wielonarodowy koloryt Broome. Podziwiał bezkresne krajobrazy Australii, jej gościnność i otwarte granice, dziwaczne, niespotykane gdzie indziej stworzenia i rośliny.

- Spotkałem w Broome pewną kobietę - odezwał się, nie patrząc na Juana, który wciąż mu towarzyszył. - Chinkę. Ma na imię Lian. Jest córką Sing Chunga, właściciela pralni na Dampier Terrace. Czy można ożenić się w Broome z taką kobietą?

- Nie jest dobrze się mieszać - odparł cicho Juan. - Żółty to niedobry kolor. Biali nie lubią mieszania. Nie zrozumieją i odwrócą się od ciebie.
- Naprawdę?
- A co? Dziewczyna chce za ciebie wyjść?
- Nie, tak tylko pytałem. Ona ma wrócić do Chin, zostać żoną jakiegoś starucha. Prawdopodobnie już jej nie spotkam.
- Ona nie wyjedzie. Sing Chung tak szybko nie umrze, córka

zostanie i będzie się nim opiekować.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Wszystkim się podoba. Marynarze zakładają się, któremu uda się ją zdobyć.

Tom uśmiechnął się. Lian zapewne nie zdawała sobie sprawy, że ma aż tylu adoratorów.

- Wiesz, co jest fajne w Broome? - westchnął.

- Kiedy kogoś opuszczą swoi, ma szansę znaleźć przyjaciół wśród obcych.

Juan nie odpowiedział. Sięgnął po gitarę, delikatnie brzęknął w struny.

- Patrz, światło na wodzie. Tam jest inny lugier - wskazał kierunek - widzisz?

Tom podążył wzrokiem za ręką nurka i wyteżył wzrok. Po chwili dostrzegł na wodzie nikły świetlny punkcik latarni zawieszanej na odległym maszcie.

- Szkoda, że są tak daleko. Przydałoby się towarzystwo, ożywiłoby atmosferę.

Juan odłożył gitarę i przechylił się przez reling, pilnie wpatrując się w ciemność. Marynarze przerwali zajęcia, widząc, że coś się świeci.

- W naszą stronę płynie szalupa! - zawołał Juan.

- Naprawdę? - ucieszył się Tom. - Więc jednak będziemy mieli towarzystwo.

- To Nakaniszi, nurek z „Sophii”, statku należącego do Somerseta - objaśniał Juan. - Jest z nim jeszcze dwóch ludzi.

- Statek Somerseta? - zaciekał się Archer.

- Jego flota kotwiczy w Zatoce Piquwa. - Juan wskazał na wschód. - Z początkiem każdego miesiąca macierzysty statek płynie na łowisko i dostarcza marynarzom zapasów.

- Co za wspaniała noc... - Archer zerknął na Toma, zacierając ręce z uciechy. - Faceci od Somerseta! Los mi wyraźnie sprzyja. Kilka rozdań i odkuję się za wszystkie czasy.

- Lepiej uważaj. Nie znamy ich. A jeśli zechcą zemścić się za przegraną i wyrzucą cię za burtę?

- No, nie wiem - Archer zerknął na podpływającą szalupę - nie

wyglądają... - nagle urwał, oczy mu rozbłysły i bez jakichkolwiek wyjaśnień błyskawicznie wspiął się na burtę i dał nura do wody. Wynurzył się w odległości kilku jardów od statku. - Spuścić łódź ratunkową! - ryknął, a potem odpłynął w ciemność.

- Jezu, co się dzieje? - krzyknął przerażony Tom. - Archer, wracaj!

- Człowiek za burtą! - Juan wskazał tańczącą na fali szalupę z dwoma mężczyznami na pokładzie. Nieopodał, ale jednak zbyt daleko, by podać mu wiosło, unosił się na wodzie trzeci marynarz.

- Dlaczego go nie ratują?

- Fale spychają ich w naszą stronę.

- Ależ ta woda jest koszmarnie zimna! Archer nie jest najlepszym pływakiem, nie da rady!

Juan nie wydawał się tym faktem zaniepokojony. Z wyrazu twarzy nurka Tom bezbłędnie odczytał jego myśli: jeśli Archer wyłowi Nakaniszi - to dobrze, jeśli zaś pójdzie na dno - jeszcze lepiej.

Wyprężył się do skoku, ale czyjeś silne ramiona złapały go w pasie.

- On płynąć dalej. Ty zostań.

Usiłował uwolnić się z barczystych ramion Bernarda, lecz ten nie zwolnił uchwytu.

- Ty zostań - powtórzył.

Usłyszał za plecami szcęk łańcuchów spuszczonej na wodę szalupy, a zaraz potem uspokajający głos Juana:

- Da radę. On pływa lepiej, niż ci się wydaje. Nakaniszi albo za dużo wypił, albo ma atak. Nurkowie mają swoje choroby.

Rzeczywiście, Archer szybko zbliżał się do Japończyka, który szamotał się bezładnie w wodzie. Łódź ratunkowa z „Odysei”, z Tosziharu i dwoma Malajczykami na pokładzie, zbliżała się do szalupy z „Sophii”. Wszystko wskazywało na to, że Nakaniszi nie pójdzie na dno i że uda się go uratować.

- On zarabia dla Somerseta mnóstwo pieniędzy - tłumaczył Juan. - Somerset nie chciałby go stracić. Jak dowie się o tym, co się stało, będzie zadowolony i wynagrodzi człowieka, który uratował mu najlepszego nurka.

Tom uśmiechnął się tylko. Jego impulsywny przyjaciel po raz kolejny nie zawahał się ryzykować życia. Nie przestraszył się drapieżnych

rekinów oraz innych niebezpieczeństw, które czyhają w oceanie na zuchwałych śmiałków. Czy zrobił to z myślą o nagrodzie? Tom stanowczo odrzucił to podejrzenie. Nie, niemożliwe, by Archer rzucił się na ratunek z wyrachowania, tylko po to, by potem opływać w łaski Somersetu. To zbieg okoliczności, że Nakaniszi jest nurkiem bogacza.

- Wierzysz w przypadki? - zwrócił się do Juana.

- Wszystko ma swój cel. - Juan potrząsnął filozoficznie głową. - Ale czasem człowiek sam wytycza swój los.

Tom w milczeniu obserwował, jak Archer walczy ze wzburzonymi falami, i zastanawiał się, czy przyjaciel zachowałby się równie odważnie, gdyby za burtą znalazł się ktoś inny.

Scandalous

ROZDZIAŁ PIĄTY

Viola Somerset z bliska wydawała się jeszcze piękniejsza. Długie rzęsy kładły ruchliwe cienie na twarz o subtelnych rysach, a niebiesko-zielona suknia podkreślała żywy kolor oczu. Kiedy ojciec przedstawiał jej Archera, zarysowana misternym łukiem brew nieznacznie drgnęła.

- To pan ocalił życie Nakaniszi - powitała gościa uprzejmie, podając mu łaskawie dłoń w białej rękawiczce.

Archer ujął dłoń i skłonił się dwornie, zuchwałym uśmiechem zadając kłam udawanej wytworności.

- Nie wiem, czy go uratowałem. Faktem jest, że ucieliśmy sobie miłą pogawędkę, zanim przyплыnęła szalupa.

- Nie pozwól, Violu, by pan Llewellyn cię zwodził - przerwał Sebastian Somerset, który na cześć gości przywdział olśniewająco biały mundur perłowego magnata. - Gdyby nie on, nasz najlepszy nurek dokonałby żywota na dnie, nie wyłowiwszy dla nas więcej ani jednej perły.

- Co za odwaga - ironizowała Viola. - Co pana skłoniło, by ratować zupełnie obcego człowieka, bez jakiegokolwiek nadziei na rewanz?

- To proste, panno Somerset. Japoniec był w tarapatkach. To samo uczyniłbym dla pani.

- Wiedząc o tym, będę spać spokojniej - Viola obdarzyła Archera czarującym, zalotnym uśmiechem.

- Zostawiam was, żebyście lepiej się poznali - oznajmił Sebastian Somerset. - Wybaczcie, ale muszę się z kimś przywitać. Violu, nie zapomnij, że przy kolacji siedzisz po prawej ręce Freddy'ego.

Archer uchwycił twardą nutę w głosie ojca, a w oczach córki dostrzegł błysk buntu.

- Jakże mogłabym zapomnieć, drogi ojcze. Od trzech dni

przypominasz mi o tym co chwila.

- Rzadko moje słowa stanowią dla ciebie wystarczający argument - stwierdził z przekąsem Sebastian i przeprosiwszy, zostawił ich samych.

- Mój ojciec i ja nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi - westchnęła Viola. - A Freddy Colson to jego prawa ręka. Może powinnam przedstawić cię Freddy'emu i przyjąć zakład, któremu z was ojciec okaże dziś więcej względów?

- Podejrzewam, że twoim zdaniem uratowałem Japończyka po to, by zrobić wrażenie na twoim ojcu, i że uważasz, że na nic zdały się moje trudy.

- Z pewnością zaskarbiłeś sobie jego przychyłność.

- A czy zaskarbiłem sobie przychyłność jego córki?

- A czy zdobyłeś już pieniądze?

- Niestety, jeszcze nie. Wnoszę z tego, że na ślubnej wyprawie nie widnieją jeszcze moje inicjały?

- Żałuję, że jesteś biedakiem - odparła Viola. - Masz w sobie niezwykłą zuchwałość, którą moglibyśmy razem spożytkować, z obopólną korzyścią. Ale cóż, nie interesuje mnie mężczyzna, któremu brakuje środków, by ze mną wyjechać.

Uśmiechnęła się cierpko i z nutą znużenia w oczach zbierała się do odejścia, kiedy Archer przytrzymał ją za ramię.

- Księżniczko?

- Tak? - Obrzuciła go leniwym, litościwym spojrzeniem.

- Obiecuję, że zabiorę cię stąd. Ale potrzebuję trochę czasu. Czy jest coś, co nie pozwala ci czekać?

- Tylko Freddy Colson - odparła po chwili zastanowienia. - Ojciec postanowił, że mam za niego wyjść. Nie wiem, jak długo jeszcze będę mogła zwlekać z zaręczynami.

- No to sprawa jest prosta.

- Tak? - Uniosła brwi.

- Freddy musi zniknąć.

- Zniknąć! - roześmiała się perliście. - Freddy przyłgnął do ojca jak perłopław do muszli.

- Potrafię otwierać muszle. Wystarczy podważyć krawędź ostrzem noża i wydłubać mięczaka.

- Jeśli mogę coś podpowiedzieć, oddzielenie Freddy'ego od ojca wymaga większej finezji.

Skinęła głową, ujęła w dłonie rąbek sukni i odpłynęła w daleki kąt pokoju.

Do Archera dołączył Tom. Sebastian Somerset zawitał do hotelu Roebuck poprzedniego dnia, godzinę po tym, jak Archer i Tom zeszli z pokładu „Odysei” po kilku miesiącach spędzonych na morzu. Somerset nie tracił czasu - w kilku oszczędnych słowach wyraził Archerowi wdzięczność za bohaterski czyn i zaprosił go na obiad. Teksańczyk, nieco zaskoczony i zbity z tropu, zażyczył sobie obecności Toma. Życzenie spełniono, która to okoliczność okazała się dla kowboja błogosławieństwem. Tom ze swoimi salonowymi manierami i niewymuszoną elegancją przydawał przyjacielowi wiarygodności.

W willi Somerseta zebrała się śmietanka towarzyska Broome. Przybyli bankierzy, magnaci perłowi i notable z firmy zarządzającej kablem telekomunikacyjnym, zainstalowanym na dnie oceanu między Jawą a Broome. Jako mały chłopiec Archer często usługiwał takim ludziom, obserwował ich wykwinętą etykietę, ogładę i układne maniery. Miał odrobinę dosyć tej napuszonej szopki, bowiem nie należał do ludzi, którzy tracą czas na niepotrzebne subtelności. Jednak do zdobycia ręki Violi i jej wiana potrzebował uznania ojca, musiał więc grać dalej.

- Jak ci się podoba dom? - zagadnął przyjaciela.

- Całkiem przyjemny - odparł Tom, nie wykazując jednak większego entuzjazmu. Znał styl podobnych wnętrz i podobnych imprez. Nie gustował w nim zbyt. - Sporo tu azjatyckich akcentów - dodał, czując, że powinien powiedzieć coś jeszcze - zapewne pan Somerset sprowadził wyposażenie z Singapuru. Dom ma dobre proporcje i harmonijnie współgra z otoczeniem. Czuję się w nim całkiem nieźle.

Archer nigdy nie gościł w tak wspaniałej rezydencji, a zdawkowość Toma po raz kolejny uświadomiła mu, jak wiele ich dzieli.

- Nie będziesz miał takiego domu - prychnął - jeśli nie zdobędziemy lugra i nie zaczniemy sami poławiać pereł!

- Wciąż snujesz mrzonki o własnym statku?

- A masz inny wybór? To najlepsze źródło dochodów, jakie znam.

- Pieniądze, którymi dysponuję, nie wystarczą, żeby kupić własny

statek. Może uda nam się za rok lub dwa.

- E, tam...
- Co?
- Nie chcę czekać. Będziemy mieli lugier, i to wkrótce. I

wypłyniemy na morze.

- Wiesz coś, czego ja nie wiem?
- Wiem tylko, że nie mam czasu do stracenia.
- Nie spiesz się tak. - Tom zmarszczył brwi. - Po co ryzykować?

Jeszcze napytasz sobie biedy. Jesteśmy młodzi, naprawdę możemy poczekać.

Archer uśmiechnął się kwaśno. Jego młodość minęła z chwilą, gdy matka podrzuciła go do sierocińca.

- Spokojna głowa - posłał Tomowi uspokajający uśmiech. - Będziemy mieli lugier. Zdobędę rękę panny Somerset. Zobaczysz. A teraz chodź, trzeba pomizdrzyć się trochę do tych frajerów.

Kiedy kwartet smyczkowy stroił instrumenty, by uraczyć gości kolejnym występem, tym razem z udziałem lokalnej sopranistki, niejkiej Stephen Foster, Tom wytłumaczył Jane Somerset, że czekają na niego niecierpiące zwłoki sprawy, których nie zdążył załatwić poprzedniego dnia. Na odchodne wygłosił długą litanie komplementów pod adresem domu oraz gościnności gospodyni.

Na zewnątrz odetchnął z ulgą. Jako dziedzic jednego z najbogatszych ludzi w San Francisco uczestniczył w wielu podobnych rautach. Już po jednym dniu w Broome zatęsknił do spokojnych nocy na pełnym morzu i szorstkiej w obejściu, lecz szczerzej i prostolinijnej załogi „Odysei”. Owszem, na przyjęciu starał się zachowywać nienagannie, ale duszą i sercem był zupełnie gdzie indziej.

Od powrotu zbyt był zajęty rozładunkiem statku, by znaleźć czas na odwiedzenie Willow. Dopiero tego ranka udało mu się wygospodarować wolną chwilę. Pognał do pralni, lecz jej nie znalazł. Duszne pomieszczenie zamieniono na chińską jadłodajnię, gdzie na płaskich stoikach siedzieli skośnoocy Azjaci i gwarzyli o czymś w języku, którego Tom nie rozumiał. Nadaremnie usiłował dowiedzieć się, co się stało z pralnią - nikt nie przejawiał ochoty, by mu pomóc.

Postanowił zasięgnąć języka u Wong Fai, kucharza z „Odysei”.

Ponieważ podczas rejsu poczuli do siebie nieukrywaną sympatię, Tom miał nadzieję, że teraz Chińczyk okaże mu życzliwość. Wątpił wprawdzie, by Willow wciąż była w mieście, postanowił się jednak upewnić.

Wong mieszkał na tyłach zakładu krawieckiego w bocznej od Sheba Lane uliczce w chińskiej dzielnicy. Był chudym mężczyzną, który potrafił z ryb i ryżu przyrządzać wielce smakowite dania. Wieczorami znajdował wolny kąt na pokładzie i z upodobaniem wróżył przyszłość z podrzucanych monet lub w milczeniu palił fajkę. Mimo niepozornego wzrostu był silny i pełen wigoru, a utarczki, w jakie niekiedy się wdawał, przeważnie kończyły się dla niego pomyślnie.

- Coś nie tak, przyjacielu? - przywitał Toma i uprzejmym gestem zaprosił do środka.

- Nie, nic takiego. - Tom wszedł do ciasnej klitki z lekkim ociąganiem. - Mam tylko do ciebie drobną prośbę. Szukam Lian, córki Sing Chunga. Pralnię przemieniono w jadłodajnię i nie wiem, gdzie mógłbym dziewczynę znaleźć.

Wong milczał, lecz całą swoją postawą i gniewnym zaciśnięciem warg dał wyraz jawnej dezaprobacie.

- Wiem, że to głupie - ciągnął Tom, westchnąwszy ciężko na widok reakcji Chińczyka. - Wierz mi, nie zamierzam jej skrzywdzić. Chcę się tylko upewnić, czy z nią wszystko w porządku.

- Skąd znasz tę kobietę?

Tom opowiedział Wongowi o dwóch spotkaniach z Willow.

- Robiła ci pranie? Nic więcej?

- Absolutnie nic. Ale polubiłem ją. Może wiesz, czy nadal jest w Broome? Czy jej ojciec umarł?

- Umarł.

- Och, to pewnie wróciła do Chin? Wong milczał.

- Powiedz, wyjechała do Chin?

- Co cię ona obchodzi? To tylko praczka.

- Sam nie wiem dlaczego, ale mnie obchodzi. Wong zawahał się, po czym potrząsnął głową i skrzyżował ramiona.

- Jest teraz w Chinach. Wyszła za męża. Tu nie wróci.

- Rozumiem - powiedział Tom.

Ale nie rozumiał. Wyczuwał, że pod maską wystudiowanej obojętności Wong coś ukrywa. Chińczyk niepewnie przestępował z nogi na nogę i jawnie unikał jego wzroku. Tom wypróbował więc innej taktyki.

- A gdyby tak Lian nie wyjechała do Chin, to gdzie twoim zdaniem byłaby teraz?

Wong odetchnął z ulgą - skoro spełnił swój obowiązek, może wyznać prawdę.

- Wielu mężczyzn chce takiej dziewczyny jak ona. Może jeden z nich zabrał ją i ukrył?

Tom poczuł narastającą panikę.

- Ukrył? Jak myślisz, gdzie mógłby ją schować? Gdzieś w Broome?

- Można ukryć kogoś w wielu miejscach. Na statku. W pokoju... - Wong znowu się zawahał i wzruszył ramionami. - A jak się ma kasyno, to można kobietę schować na górze i postawić ludzi, żeby jej pilnowali.

Tom próbował zachować spokój.

- Powiadasz, kasyno...

- Mężczyzna, który chciałby mieć taką kobietę, prawdopodobnie byłby Chińczykiem. Ważnym facetem, z dużą forszą.

- No dobrze, a gdyby rzeczywiście tak się stało, to jak ci się wydaje, co by ludzie powiedzieli, gdyby ktoś ją znalazł i pomógł jej uciec?

- Ktoś byłby szczęśliwy. Inni chcieliby go zabić.

- Jak taki ktoś mógłby się przed nimi ochronić?

- Mógłby wybrać się do kasyna z przyjaciółmi. Marynarze robią raban, ten ktoś idzie na górę i zabiera dziewczynę.

- Dzięki, Wong.

- Ale pamiętaj - kucharz przytrzymał go za łokieć - córka Singa jest w Chinach. Wyszła za mąż.

Bernarda i Juana łatwo było odnaleźć. Trudniej było odszukać Ahmeda i jego kumpla Reeca. Kiedy Tom przedstawił im swój plan działania, zapalali nieukrywanym entuzjazmem, bo też zawsze skorzy byli do rozróby. Nawet Tosziharu, któremu kalectwo na ładzie mocno dawało się we znaki, zapalił się do projektu.

Na wyznaczone miejsce wszyscy stawili się uzbrojeni po zęby w naprędcie skompletowany oręż, od którego Tom wołał trzymać się z

daleka. Z członków załogi brakowało jedynie Wonga i Archera. Ten pierwszy z oczywistych powodów nie mógł przyjść, drugi zaś utkwiał zapewne na dobre w rodzinnych pieleszach Somersetów, wsłuchany w kojące dźwięki pieśni „Jeannie o jasnych włosach”. Tom żałował, że nie było przy nim przyjaciela, ale nie mógł dłużej zwlekać. W tych okolicznościach czas liczył się dla niego najbardziej.

Słowa Wonga dokładnie powtórzył Juanowi, który w Broome przebywał najdłużej. Juan po wysłuchaniu opowieści wykluczył większość właścicieli domów gry - oprócz dwóch. Hazard należał do lokalnego folkloru na równi z moskitami i mangrowcami. Każda narodowość miała swoje ulubione gry i miejsca, które najczęściej odwiedzała. Brytyjczycy i Australijczycy pasjonowali się głównie wyścigami konnymi i bilardem. Przegrywanie całej sezonowej wypłaty już pierwszego dnia po zejściu na ląd nie należało wśród nich do rzadkości. Azjaci mieli inne rozrywki.

- Ten pierwszy, hm... - zastanawiał się Juan, drapiąc się po brodzie. - Ma wielki dom, ale to chyba nie on. Tam gra się tylko w madżonga, a jego żona... nie, ta nie byłaby zadowolona, gdyby mąż sprowadził do domu Sing Lian.

- A ten drugi? - dopytywał się niecierpliwie Tom.

- Może być ten drugi. Faceci przepuszczają w jego kasynie kupę forsy. Bobby Chinn nabił sobie kabzę i teraz odgrywa wielkie panisko.

- Wiesz coś o nim?

- To cwany gość, kawał drania. Chcieli go wysiudać z powrotem do Chin, ale miasto ciągnie z niego niemałe zyski. To brudna forsa. On szmugluje opium. Dużo trefnego towaru. Własnych pobratymców wpędza w chorobę.

- No to idziemy do niego - zawyrokował Tom. Dom, do którego zmierzali, znajdował się na Dampier Terrace, na tyłach domu towarowego należącego również do Bobby'ego Chinna. Wejście ukryto za stertami worków z mąką, belami materiałów i stosami słomianych butów i kapeluszy. Tom i jego kompani wdarli się na zaplecze, ignorując głośne protesty rozkrzyczanych sprzedawców. Na końcu korytarza Juan zapukał do drzwi, a Tom otworzył je zamaszystym gestem, gotów do natychmiastowego starcia.

W pokoju gęsto było od dymu, hałasu i śmiechów. Gawędzący mężczyźni zalegali na ławach lub tłoczyli się grupkami wokół stołów, na których piętrzyły się stosy kamyków do gry w fan-tana. Na odrapanych z farby ścianach wisiały rządkiem morskie mapy, podpisane chińskimi ideogramami. Jakiś mężczyzna uważnie studiował owe ryciny, drugi zaś krzyczał mu coś do ucha.

Zawadiacy z „Odysei” nie czekali długo, by ktoś zwrócił na nich uwagę. Na widok przybyszów gwar powoli cichł. Mężczyzna w ciemnej koszuli i spodniach koloru khaki zagroził im drogę.

- Iść stąd - zamachał gwałtownie rękami, dając do zrozumienia, że nie są mile widzianymi gośćmi. - Iść, już!
- To Bobby Chinn - przedstawił go Juan.
- Chcemy zabawić się i wydać trochę forsy - oznajmił nieustępliwym tonem Tom.

- Iść stąd - powtórzył uparcie Chińczyk. Tom, kilka cali wyższy od gospodarza, miał za plecami Bernarda, wyższego o kolejnych kilka cali. Przez chwilę w milczeniu mierzył Azjatę taksującym wzrokiem, po czym zbliżył się i stanął tuż przed nim.

- Chcesz mieć kłopoty, Chinn? Chcesz mieć policję na karku? - zapytał, choć dobrze wiedział, że groźba i tak na nic by się nie zdała. Policjanci z Broome z pewnością uznaliby Toma za szaleńca, który pakuje się tam, gdzie go nie proszą.

Twarz Chinna pociemniała gniewem, lecz Tom nie dał za wygraną i postanowił pójść za ciosem.

- Na twoim miejscu nie pakowałbym się w taką kabałę. Zaczną u ciebie węszyć, znajdą to i owo, a wtedy...

- Zgoda. Zostać krótko. I żadnych awantur. Tom przystroił usta w promienny uśmiech.

- Po co miałbym wszczynać awantury? Chinn nie ruszał się z miejsca w nieustępliwej pozie. Odstąpił dopiero wtedy, kiedy marynarze na niego natarli. Zajęty słowną potyczką z gospodarzem, Tom miał sposobność jedynie na pobieżne zaznajomienie się z rozkładem pokoju i dopiero kiedy w asyście osiłków z „Odysei” pokonał zażarty opór Chińczyka, mógł dokonać drobiazgowej inspekcji. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie miało tylko jedno wyjście - to, którym się wdarli, ku

zaskoczeniu obecnych. Po chwili zauważył jednak drugie drzwi, ściśle wpasowane w falistą blachę i prawie niewidoczne. Może to wejście na pierwsze piętro, pomyślał. Gdzieś przecież muszą być schody.

Wyciągnął z kieszeni banknot i położył go na najbliższym stoliku do gry.

- Jak się w to gra?

Krupier zaszwargotał coś do Chinna w narzeczu kantońskim. Chinn przerwał mu zniecierpliwionym machnięciem ręki.

- Po co tracić czas? - wycedził przez zęby.

- Kamyki dzieli się na cztery kupki - przyszedł z pomocą Juan. - Musisz postawić na to, ile kamyków zostanie.

- Jasne, nie ma sprawy. - Tom wysunął banknot na środek stołu. - Zostaną trzy.

Pozostali gracze naprędce obstawili swoje typy. Tom obrał taktyczną pozycję bokiem na obrzeżu grupy, a krupier zaczął rozdzielać kamyki w tak błyskawicznym tempie, że ledwo można było nadążyć za ruchami jego rąk. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bowiem w chwilę później Bernard wydał z siebie przeciągły ryk i z głuchym łomotem wywrócił stół.

- Zaczęło się - mruknął Tom.

Chińczycy rzucili się na Bernarda. Juan ruszył mu na pomoc. Tosziharu wyrwał nogę od stołu i wymachiwał nią na wszystkie strony z zadziwiającą wprawą. Ahmed i Reece wskoczyli na grzbiety dwóm gorylom, którzy usiłowali dopaść Bernarda. Reszta graczy rzuciła się na Malajczyków, by ich odciągnąć.

Tymczasem Tom niestrudzenie torował sobie drogę przez to kłębowisko ciał ku tajemnym drzwiom.

- To taka być twoja gra? - Chinn wyrósł przed nim jak spod ziemi. Tom powalił przeciwnika celnym ciosem w szczękę, jednym susem przeskoczył żywą przeszkodę, gwałtownie pchnął blaszane drzwi i wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie jednocześnie.

Piętro przypominało istne mrowisko. Z wąskiego korytarza odchodziły liczne drzwi do wielu pomieszczeń. Tom z rozmachem otwierał kolejne pokoje. Dwa pierwsze były puste. W trzecim na łóżku siedziała zgarbiona młoda kobieta o apatycznych, załzawionych oczach,

okręcona zwojem brudnego jedwabiu.

- Gdzie Sing Lian? - wrzasnął.

Kobieta nie poruszyła się. Gapiała się bezmyślnym, nieobecny wzrokiem w jakiś punkt na ścianie, jak gdyby nikogo nie widziała ani nie słyszała.

Tom uznał, że szkoda czasu, i ruszył dalej.

- Lian! Gdzie jesteś? To ja, Tom! Usłyszał za plecami szmer i uskoczył na bok.

Bobby Chinn dotarł za nim na górę i zaatakował go z nienacka, wymachując pięściami i kopiąc na oślep. Tom wykonał błyskawiczny manewr mylący przeciwnika, stosując się do nieocenionych wskazówek Archera. Chinn był sprawny, lecz Tom miał więcej do stracenia. Kiedy więc Chińczyk znów natarł na niego z impetem, zrobił zgrabny unik, przepuścił rozpędzonego napastnika, a potem jednym ruchem przygwoździł go do ściany. Krawędzią rozłożonej na płask dłoni wymierzył mu mocny cios w szyję i Chinn osunął się bezwładnie na podłogę.

Tom znów ruszył korytarzem, wiedząc, że lada chwila zwali mu się na kark reszta towarzystwa.

- Lian!

Biegł szybko, zaglądając do wszystkich pokoi. W ostatnim usłyszał lekki rumor, przekręcił gałkę, ale drzwi nie ustąpiły.

- Lian! Willow! - Zawzięcie próbował dostać się do środka. - To ja, Tom! Otwórz!

Z wnętrza dobiegł go stłumiony szloch.

- Lian, to ty? - Zrozpaczony cofnął się, wziął rozbieg i z całych sił walnął barkiem w nieustępliwą przeszkodę, która teraz wreszcie puściła.

Pomieszczenie bez okna było mroczne, zakurzone i wilgotne. Przyćmione światło z korytarza rozproszyło nieco ciemności i w kącie pokoju Tom dostrzegł znajomą sylwetkę Lian. Wystraszona, zapłakana dziewczyna kulila się na brudnym kocu. Jej potargane włosy zwisały zlepionymi od potu kosmykami na czarną tunikę.

- Willow... - Ujął delikatnie jej twarz w obie dłonie. - Już dobrze. Wszystko będzie dobrze.

- Zostaw mnie. Umarłam.

- Nieprawda, żyjesz! Pomogę ci!
- Bobby Chinn mnie zabił.
- Zabiję tego łotra! Czy on cię skrzywdził? Rozpłakała się na dobre.
- Jestem tu z tobą i nie pozwolę cię skrzywdzić - zapewniał ją gorączkowo. - Musimy się stąd wydostać, jak najszybciej. W przeciwnym razie ten drań zabije nas oboje.

- Nie warto. Zasłużyłam sobie na to. Jestem głupia.
- Musisz mi pomóc. - Podniósł się i pociągnął opierającą się dziewczynę. - Wstań. Nie uciekniemy daleko, jeśli będę musiał cię nieść.

- Zostaw mnie.
- Nie zostawię cię, Willow. Musisz mi pomóc.

Zachłysnęła się gwałtownie. W rozpaczy pomyślał, że nie zdoła jej przekonać. Lecz wtedy nieznacznie skinęła głową.

- Dobra dziewczynka.

Ruszył ku wyjściu, ciągnąc ją za sobą. Z parteru dobiegały jazgotliwe wrzaski. Miał już to, po co przyszedł, ale co dalej? Jak mają się stąd wydostać? Z pewnością nie uda się uciec tą samą drogą, którą przybyli.

- Jest stąd inne wyjście?

Lian wyglądała na kompletnie rozkojarzoną, uznał więc, że musi radzić sobie bez jej pomocy. Zaciągnął bezwonną dziewczynę do pokoju naprzeciwko. Przebiegł wzrokiem wewnątrz, daremnie szukając okna. Pokój połączony był z następnym pomieszczeniem, więc wciąż wlokąc za sobą bierną towarzyszkę, wpadł tam i ujrzał otwór okienny prowadzący na krzywy, chwiejący się balkonik. Jednym rzutem oka ocenił sytuację i uznał, że to jedyna droga na wolność. Okno nie dało się otworzyć, toteż nie namyślając się wiele, silnym wymachem nogi stukł szybę, przesunął ciało przez najeżony odłamkami szkła otwór i ostrożnie pomógł przejść Lian.

- Posłuchaj. Tu nie jest wysoko. Skoczę pierwszy, a potem cię złapię. Patrz, jak to robię, i zrób to samo. Dasz radę?

Szlochała cichutko. Wcale nie był pewien, czy słyszała jego słowa.

- Willow - potrząsnął nią delikatnie - bardzo wiele zależy od ciebie. Powiedz, dasz radę?

Z trudem zdobyła się na potakujący gest.

- Patrz i rób dokładnie to samo, co ja. Będę cię łapał na dole.

Hałas z korytarza wyraźnie się przybliżał. Nie było czasu do stracenia. Przemknęło mu przez myśl, by po prostu przerzucić ją przez barierkę balkonu, ale zaniechał tego pomysłu z obawy, że w ten sposób dziewczyna zrobi sobie krzywdę. Sam więc wspiał się na balustradę, ześlizgnął się po drugiej stronie, wpijając palce w gzyms, rozciągnął ciało i - skoczył. Poderwał się szybko na nogi, nie bacząc na impet uderzenia.

- Teraz ty! Skacz! No, prędzej, skacz! Spodziewał się wahania, a nawet rezygnacji, lecz Lian zręcznie pokonała balustradę, opuściła się na rękach, powtarzając dokładnie jego ruchy, po czym wpadła wprost w rozłożone ramiona wybawcy.

Willow czesała włosy drżącymi rękami. Była sama w pokoju, podobnie jak w spelunie Bobby'ego Chinna. Tym razem jednak miała na sobie czystą suknię, a drzwi pokoju zostawiła otwarte. Pokój był mały i skromnie umeblowany, lecz schludny. Łóżko starannie przykryto nową kapą, koło okna ustawiono zgrabną serwantkę.

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili w progu stanął Tom.

- Przyniosłem ci kolację - obwieścił, wkraczając z tacą do środka. - Nie wiem, co lubisz, więc przyniosłem to, co było w barze. Wygląda to na zapiekankę z mięsa i ziemniaków. Jest też chleb i herbata. - Postawił tacę na serwantce i krzątał się bezradnie, nie bardzo wiedząc, co dalej począć.

- Lepiej się czujesz?

Lubiła na niego patrzeć od chwili, kiedy po raz pierwszy zjawił się w pralni. Od tamtego czasu myślała o nim bezustannie. Wspominała jego lekki krok, dumę, z jaką się nosił, falujące kędziory opadające mu na czoło. Nie spodziewała się, że go jeszcze zobaczy. Nie przypuszczała też, że Tom ujrzy ją brudną, rozczochraną i zapłakaną. Nie chciała, by ją kiedykolwiek oglądał w tak żalonym stanie. Nie była warta oglądania.

- Dlaczego mi pomagasz?

- Nie zasługujesz na to, co ci się przytrafiło - odparł, wzruszając nieznacznie ramionami.

- Czy sądzisz, że zostawiłbym cię w tym parszywym miejscu?

- Nie trzeba było przychodzić.

- Jak możesz tak mówić?

- Jestem martwa.
- Przecież oddychasz. Serce ci bije.
- Bobby Chinn mnie zabił.
- Opowiedz mi, jak to się stało.

Zerknęła na niego ukradkiem i pokręciła zdecydowanie głową.

- Wszystko jedno, to nie ma znaczenia - skwitował bez gniewu. -

Grunt, że teraz jesteś już bezpieczna. Znajdziemy dla ciebie jakieś lokum... - urwał. - Chcesz wracać do Chin?

- Nie mogę wrócić. Jestem martwa.
- Dlaczego nie możesz? Dlatego że Chinn cię porwał?

Milczała uparcie, więc zniżył głos i zapytał:

- Dlatego że Chinn... cię zgwałcił?

Nie wydawała się zaszokowana tym pytaniem. Zdaje się, że już nic nie mogło jej zaszokować.

- Nie chodzi o to, co zrobił Chinn.
- A o co?

- Byłam posłuszną córką. Miałam wyjść za mąż za czcigodnego człowieka. Ale kiedy zmarł mój ojciec, nie pojechałam do Chin, choć dobrze wiedziałam, że to mój obowiązek.

- Dlaczego? - Tom podszedł do łóżka i kucnął, by nie musiała patrzeć na niego do góry.

- Pochodzę z chińskiej wioski, ale nie jestem wieśniaczką.

Rozumiesz?

- Urodziłaś się tam, lecz od dzieciństwa mieszkałaś tutaj?

- Tak. Nie chciałam opuszczać Broome. Tu nauczyłam się angielskiego, nauczyłam się czytać i pisać. Ojciec tego nie rozumiał. Ukarzał mnie, kiedy próbowałam mu to wyjaśnić. A przecież to Broome jest moim domem.

- Rozumiem.

- Kiedy ojciec umarł, za pieniądze zapisane mi w posagu wynajęłam pokój. Nie chciałam wracać do Chin. Wierzyłam, że znajdę tu jakąś pracę. Nie posłuchałam ojca. Jestem przeklęta.

- Chinn wywąchał, że jesteś sama, i cię porwał?

- Obiecał mi pracę w swoim sklepie. Wiedziałałam, że to niedobry człowiek, ale miałam nadzieję, że będę mogła trzymać się od niego z

daleka.

- Nie udało się.

Powiedział to tak serdecznym, tak wyrozumiałym tonem, że wbrew woli łzy napłynęły Lian do oczu.

- Nie powinienes mi współczuć. Byłam nieposłuszna i zostałam ukarana.

- Zgubiła cię ufność w ludzi, którzy nie zasługują na zaufanie.
- Te złe rzeczy zdarzyły się dlatego, że sprzeciwiłam się woli ojca.

Sięgnął po jej dłonie, nie protestowała. Pozwoliła mu trzymać się za rękę. Skoro była martwa, nie miało to większego znaczenia.

- Posłuchaj, Willow... - uściśnął serdecznie jej szczupłe palce - gdybyś wychowała się w Chinach, inaczej traktowałabyś swoją sytuację. Ale wychowywałaś się w Australii, a tu kobiety mają więcej do powiedzenia na temat własnego losu. Jesteś wykształcona, masz inne poglądy niż ojciec. On nie rozumiał twoich potrzeb. Ponieważ jednak...

- Ponieważ go nie posłuchałam? - przerwała Willow.

- Nie - zaprzeczył stanowczo - ponieważ jesteś Chinką, nie masz tutaj nikogo, kto by się za tobą ujął po śmierci ojca. Chinn posiada władzę i pieniądze, twoi pobratymcy boją się wchodzić mu w paradę. Inni natomiast wolą się nie wtrącać.

- Ale ty się nie bałeś.

- Gdybym tu był - zapewnił Tom twardo - nic złego by ci się nie stało. Tak mi przykro, to także moja wina.

Patrzyła na niego zdumiona. Popełniła niewybaczalny, karygodny czyn, a on tłumaczył się przed nią i sam poczuwał się do winy.

- Jestem zhańbiona.

- Zhańbiona? A nie martwa? - Delikatnie otarł łzę z jej gładkiego policzka i uśmiechnął się znowu. - Robimy postępy. Na razie ożyłaś, więc tylko patrzeć...

- Nie ma na co patrzeć ani czego oczekiwać. Nie mogę już żyć normalnie. Nie wolno mi wyjść za mąż. Moi synowie będą wyklęci. Nikt nie przyjmie mnie nawet na służącą. Mogę tylko żyć tak, jak chciał Bobby Chinn.

- Jako prostytutka?
- Jestem martwa.

- Kiedy ostatni raz jadłaś? Pokręciła głową, zacisnęła usta.
- Chcesz się zagłodzić?
- Martwa kobieta nie potrzebuje jeść.
- Martwa kobieta nie mówi, nie chodzi i nie płacze.
- Wkrótce przestanę.
- Willow, nie wiń się za to, co obmyślił dla ciebie Bobby Chinn.

Skoro nie możesz pozostać wśród swoich, powinnaś poszukać dla siebie innego miejsca, z dala od nich. Jesteś inteligentna, wykształcona. Na pewno któryś z magnatów perłowych chętnie zaproponuje ci pracę guwernantki albo służącej. Pomogę ci. Tylko mi zaufaj.

Była martwa. Czowała się na wskroś martwa. Natomiast Tom uparł się, by tchnąć w nią życie, choć na to nie zasługiwała. Raptem iskierka gniewu zapłonęła w jej sercu, ożywiła zmartwiałą duszę, pobudziła uśpiony rozum.

- Powiedz od razu, czego się spodziewasz! - wybuchła. - Czym mam ci się odplącić za pomoc? Tym, do czego przeznaczył mnie Chinn? Własnym ciałem?

- Jak długo Chinn trzymał cię w zamknięciu?
- Dostatecznie długo, by umrzeć.
- Dlaczego zamknął cię na górze?
- Jakiś mężczyzna obiecał mu za mnie dużą sumę. Odtąd Chinn trzymał mnie z dala od innych.
- I naprawdę uważasz, że w zamian za pomoc zażądam od ciebie zapłaty?
- Każdy mężczyzna chce takiej zapłaty.
- Może i każdy chce, ale nie każdy dostaje. Nigdy bym cię nie dotknął, chyba żebyś sama tego chciała.
- Niczego nie chcę! Jestem...
- ...martwa. Wiem, słyszałem.
- Wydaje ci się, że wiesz! - krzyknęła, poniesiona kolejną falą gniewu. - Jesteś mężczyzną. A ja jestem niczym. Jestem zupełnie sama!
- Nieprawda, nie jesteś sama. Masz mnie. I nie pozwolę, żebyś się głodziła, umartwiała ani sprzedawała swoje ciało.
- Chcę umrzeć - szepnęła głosem przepelnionym tak głębokim smutkiem, że serce Toma ścisnęło się z żalu. Ukryła twarz w dłoniach i

wybuchnęła płaczem. Nie bezsilnym jak poprzednio, lecz spazmatycznym, rozdzierającym płaczem z głębi duszy uwięzionej w cięższej, niepotrzebnej, nic niewartej ziemskiej powłoce.

Tom usiadł koło niej i wziął ją w ramiona.

- Płacz, kochanie, płacz - tulił ją serdecznie do siebie - ostatnie dni były koszmarne. Ale obiecuję ci, że od dziś wszystko się zmieni. - Poglądził delikatnie czarne jedwabiste włosy. - Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić. Będę się tobą opiekował. Obiecuję.

- Dlaczego?

Tom milczał, więc spytała ponownie:

- Dlaczego? Dlaczego po mnie przyszedłeś? Dlaczego biłeś się o mnie?

- Cii... Nie wystarczy, że cię uwolniłem i że ci pomogę?

Wyrwała się gwałtownie z jego objęć i spojrzała mu prosto w oczy.

- Na co liczysz?

- To niczego nie ułatwi.

- Powiedz!

- Często o tobie myślałem przez te wszystkie miesiące - zaczął z westchnieniem. - Wiem, że nie powinienem, że miałaś wyjść za męża... Ale nie potrafiłem o tobie zapomnieć. Kiedy wróciłem, musiałem się upewnić, czy wyjechałaś. Potem chciałem pozwolić ci odejść.

- Ale nie pozwoliłeś! Teraz też nie pozwalasz, mimo że jestem martwa!

- Nie chcę, żebyś odeszła.

Czuła się zawstydzona i niepotrzebna na świecie. Lecz ten przystojny Amerykanin o łagodnych oczach i szlachetnej duszy nie zważał na jej hańbę. Odnalazł ją, ryzykując życie, i niczego nie żądał w zamian.

Nie żądał, lecz przecież jej pragnął. Widziała to w jego pociemniałych namiętnością oczach. To dobrze, pomyślała, jego czyste pragnienie zmyje plugawą chciwość Bobby'ego Chinna i odrażającą nikczemność innych mężczyzn, którzy zdzierali z niej ubranie, by zimnym, łakomym wzrokiem oszacować jej nagie piersi, uda i pośladki, nim zdecydowali się zapłacić za usługę. Umarła dla swoich, lecz przecież wciąż tliło się w niej życie.

- Dam ci to, czego nie chciałam dać Chinnowi i wszystkim

mężczyznom, którzy mieli mu za mnie płacić - odezwała się miękko. - Zrobię to dla ciebie, bo mnie nie opuściłeś, choć powinienes.

- Nie - potrząsnął głową i przytulił ją znowu do siebie. - Nie znasz mnie. Jesteś porządną kobietą, wbrew temu, co o sobie myślisz. Zasługujesz na małżeństwo, a ja nie wiem, czy wolno mi będzie cię tutaj poślubić i jakie życie mógłbym ci zapewnić. Znajdziesz mężczyznę, który ci wszystko wybaczy, który weźmie cię za żonę.

- Nie znajdzie się taki mężczyzna. To, czego nie zrobiłam dla Chinna, zrobię teraz dla ciebie.

Pochyliła się ku niemu i przyłgnęła wargami do jego ust. Ciepły, gładki policzek Toma pachniał mydłem. On sam jęknął głucho, próbując się uwolnić. Lian podniosła oczy i ujrzała w nich to, czemu usilnie zaprzeczał.

- Twierdzisz, że nie umarłam - powiedziała.

- To prawda.

- Jeśli zatem to prawda, musisz jej dowieść. Wyszeptał jej imię i po chwili poczuła silne, ciepłe, spragnione dłonie na karku tuż pod włosami. Przyłgnęła krągłymi piersiami do twardego torsu. Poczuła, jak fala gorącej rozkoszy rozlewa się po całym ciele.

- Dam ci to, czego nikt ode mnie nie dostał - szepnęła i dopiero teraz poczuła, że naprawdę żyje.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Archer przez resztę wieczoru nie spuszczał Violi z oka, ale ciekawość budził w nim przede wszystkim Freddy Colson. Protegowany Somerseta był mężczyzną o wyblakłej cerze i przerzedzonych włosach, które wciąż starannie przyglądał, toteż wyliniałe kosmyki gładko przylegały mu do czaszki niczym oślizgłe pijawki. Miał dziwaczny nawyk powtarzania ostatnich wyrazów zdania, jak gdyby wątpił, czy ktokolwiek go słuca. W swojego patrona wpatrywał się z nabożnym skupieniem, topiąc w nim wzrok pełen czci i psiej wierności. Colson, niczym chodzący rocznik statystyczny, potrafił też żonglować faktami i danymi dotyczącymi perłowego przemysłu. Banalną salonową konwersację prowadził według z góry ustalonego schematu, zgodnie z którym nawet pogoda miała ścisły związek z interesami.

- No i co, dobrze się bawisz? - zagadnął go niefrasobliwie Archer, kiedy kwartet smyczkowy i szczebiotliwy sopran zakończyły swój popis.
- Może znasz jakieś miejsca w Broome, gdzie można się naprawdę zabawić?

Colson zamarł niczym rażony piorunem, jak gdyby święcie wierzył, że uciechy tego świata nieuchronnie prowadzą do moralnej degradacji.

- Praca dla pana Somerseta zajmuje mi wiele godzin i stanowi dla mnie wystarczającą satysfakcję. Absolutnie wystarczającą.

Początkowo Archer zamierzał pokrzyżować Colsonowi szyki z czystego wyrachowania. Nie przewidział, że przy okazji nieźle się ubawi.

- Doprawdy? Żaden tam browarek, panienki, żadne bara-bara? A może czasem drobny pokerek? Facet z pozycją i z takimi perspektywami i nic? Byłem pewien, że jesteś oblatany w takich sprawach.

Policzki Colsona oblały się pąsem.

- Zbyt ciężko pracuję, żeby chodziły mi po głowie podobne głupstwa.
 - A wiesz, co mówi się o takich pracusiach, co to nie potrafią cieszyć się życiem?
 - Nie wiem.
 - I twoje szczęście, Freddy. To co, może jednak razem gdzieś się wypuścimy? Niedawno przyjechałem do Broome i nie mam pojęcia, gdzie dżentelmeni spędzają tu wolny czas. - Archer konfidencjonalnie ściszył głos i dodał: - Zresztą, zdaje się, że w tym mieście nie ma zbyt wielu prawdziwych dżentelmenów, co?
 - Nie ma tu w każdym razie wielu miejsc dla prawdziwych dżentelmenów.
 - Dlatego potrzebuję twojej pomocy.
 - Pomocy?
 - No, powiedz mi tak po przyjacielsku, albo po prostu zaprowadź mnie, gdzie trzeba. Chyba nie ma w tym niczego złego?
 - Chyba nie - skołowany Colson wyraźnie miękł.
 - No to świetnie! - Archer poklepał go po plecach. - Skoro tak, to pożegnajmy się teraz z gospodarzami i w drogę. Oho, właśnie zbliża się panna Somerset...
- Viola sunęła z gracją przez salę, jak gdyby wyczuła, co się święci, i zamierzała przyjść im w sukurs.
- Jak podobała się wam muzyka? - zapytała, krzywiąc się przy tym wymownie.
 - Jestem, panno Violetto, gorącym wielbicielem piosenek w wykonaniu Stephen Foster, zwłaszcza kiedy śpiewane są w tak niezwykłej tonacji - zaszczębiotał Archer, błyskając rzędem białych zębów.
 - Nic nie poradzę. To wybór mojej matki - uśmiechnęła się Viola. - Chyba słoń nadepnął jej na ucho.
 - Nie powinnaś w ten sposób mówić o swojej drogiej matce! - zaprotestował Colson ze szczerym oburzeniem.
 - Moją drogą matkę bardziej interesują rodowody i koligacje artystów niż ich talenty - odparowała Viola, odymając wargi.
 - Zapomnijmy o tym. Pan Colson zgodził się pokazać mi co nieco w

Broome - zmienił temat Archer. - Co pani na to, panno Violetto?

- Niewątpliwie trafiłeś w odpowiednie ręce. Freddy na pewno nie sprowadzi cię na złą drogę, nieprawdaż?

Na twarzy Colsona odmalowało się ponownie święte oburzenie, że Viola mogła w ogóle poddać w wątpliwość tak oczywisty fakt.

- Pana Llewellyna interesuje właściwy obraz naszego małego miasteczka - wyjaśnił.

- No proszę, jestem pod wrażeniem. Nie wiedziałam, że pana Llewellyna może interesować to, co właściwe. - W kącikach ust Violi zaigrał niewinny uśmiezek. - Widocznie jednak nie należy dawać się zwieść pozorom.

Archer i Freddy pożegnali się, podziękowali za miły wieczór i ruszyli poznawać uroki nocnego życia Broome.

- Wiesz co, bracie? Chyba ta panna Somerset czuje do ciebie miętę - zagadnął Archer, kiedy byli już na ulicy.

- Tak sądzisz? - spytał z wahaniem Colson.

- Jako człowiek doświadczony w tych sprawach jestem tego pewien.

- Odniosłem raczej wrażenie, że stara się mnie poniżyć.

- Tak to czasem bywa między kochankami.

- Jej ojciec byłby zadowolony, gdybyśmy się pobrali.

- Więc dlaczego nie chwytasz byka za rogi?

- Zawdzięczam panu Somersetowi bardzo wiele. Oczywiście, ożenię się z Violą, jeśli on będzie sobie tego życzył.

Archer z trudem opanował chęć skręcenia Colsonowi karku. Nie zrobił tego chyba tylko dlatego, że skoro opuścili przyjęcie razem, automatycznie stałby się głównym podejrzanym.

- Coś mi się jednak wydaje, że nie palisz się specjalnie do tego ślubu.

- Czy ja wiem? Właściwie wszystko przemawia na jego korzyść. Dzięki małżeństwu umocniłbym swoją pozycję w firmie Somerset & Company. To rozsądny wybór.

- Człowiek z takimi kwalifikacjami nie miałby chyba kłopotu ze znalezieniem sensownej pracy. Jestem pewien, że każda firma w mieście ubiegałaby się o tak utalentowanego pracownika.

- Rozważałem i taką możliwość - pokiwał głową Freddy Colson.

- Co? Zmianę pracy? Przyjęcie innej propozycji? - indagował Archer.

- Miałem inne propozycje, a i owszem. Ale jestem winny lojalność panu Somersetowi.

- Podziwiam cię, bracie. Jesteś wiernym przyjacielem i przykładnym urzędnikiem. - Archer ponownie klepnął Freddy'ego po łopatkach. - Tak trzymaj, człowiek powinien znać swoją wartość!

- Zapewne masz rację, zapewne...

Słyszając pyszałkowatą nutkę w głosie Colsona, Archer roześmiał się w duchu. Rozgryzł już tego mydłka. Wiedział, jak się do niego dobrać i w jaki ton uderzyć. Okazało się to znacznie łatwiejsze, niż przypuszczał.

- Zaczniemy od klubu Contiego - oznajmił Freddy. - To miejsce w sam raz dla ludzi naszego pokroju.

- W porządku, przyjacielu, prowadź - zgodził się Archer. - W pełni zdaję się na ciebie.

Tom usłyszał zgrzyt klucza w zamku i stukot w sąsiednim pokoju. Willow, śmiertelnie zmęczona, spała kamiennym snem, więc ubrał się po cichutku i delikatnie zastukał do drzwi Archera.

- Dopiero teraz wracasz?

- Mam za sobą ciężką noc - westchnął Archer, zapraszając przyjaciela do środka. - Zrobiliśmy sobie z Freddyem Colsonem rundkę po okolicznych barach.

- Z Colsonem, asystentem Somerseta? Coś chyba kombinujesz...

- Jakbyś zgadł - Archer błysnął szelmowskim uśmiechem. - A tobie jak minął wieczór?

- Posłuchaj - zaczął Tom uroczystym tonem - podczas twojej nieobecności zdarzyło się coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Co znowu, Garth wrócił? - Archer, w samych slipkach, ziewnął i nalał wodę z dzbanka do glinianej miski.

- Nie, nie o to chodzi... - Tom wziął głęboki oddech i opowiedział pokrótce o wydarzeniach minionej nocy.

- Zaraz, zaraz - wtrącił Archer, wycierając twarz ręcznikiem. - Skrzyknąłeś chłopaków, wparowaliście do Chinna i zabrałeś dziewczynę, tak? A co z nimi?

- W porządku, wyszli z tego cało. Zarobili po kilka siniaków, ale to

wszystko. Kiedy skakaliśmy z balkonu, czekali już na zewnątrz.

- I co było dalej?
- Przeprowadziłem Willow tutaj.
- Przeprowadziłeś ją tu i zaciągnąłeś do łóżka?
- Nie planowałem tego. Tak wyszło.
- Rany boskie, przecież ona jest Chinką! Co ty, chłopie, chcesz

złapać jakąś francę?

- Niczego od niej nie złapałem! - Tom poczuł, jak wzbiera w nim fala gniewu. - Była dziewczicą - dodał ciszej.

Archer wpatrywał się w przyjaciela z niedowierzaniem.

- To ci historia...

- No właśnie, to nieco komplikuje sprawy - zafrasował się Tom. - Przykro mi, że tak się stało.

- Nieco? To wszystko komplikuje! Zadałeś się z Azjatką! Nie rozumiem, jak możesz ufać tym wszystkim ludziom? Straszny z ciebie romantyk, każdy wydaje ci się dobry i niewinny. Ale zobaczysz, jeszcze się na tym przejedziesz, ona nie omieszka tego wykorzystać. A pomyślałeś, co na to rodzice, że masz chińską kochankę?

- Mam to gdzieś.

- A jak nie pozwolą ci wrócić do domu?

No tak, to cały Archer, pomyślał Tom. Uratował mi życie i troszczy się o mnie jak prawdziwy przyjaciel. Uważa, że wie lepiej, co jest dla mnie dobre.

- Żonę, nie kochankę - sprostował cicho.

- Tylko mi nie mów, że chcesz się z nią chajtnąć! Chyba upadłeś na głowę! Dokąd pojedziecie? Gdzie będziecie mieszkać?

- Zostaniemy w Broome. Wynajmiemy pokój, przynajmniej na jakiś czas. Znajdziemy przyjaciół. Potem wychowamy dzieci na dobrych ludzi.

- I co, twój syn ożeni się z białą, a twoja córka z żółtkiem? A może odwrotnie? Jak sobie to wyobrażasz? Nie chcesz dla nich lepszego życia?

- Ja chcę ją, chcę Willow. Archer milczał.

- Chcę też, żebyś ją poznał.

- Nie trzeba, wystarczy mi to, co wiem - Archer stanowczo pokręcił

głową. - Spokojnie, chłopie - zmienił nagle ton. - Obywałeś się tyle czasu bez kobiety i jakoś to było, nie? Spotkałeś dziewczycę, która dała się zaciągnąć do łóżka, i od razu myślisz, że jesteś zakochany. Poczekaj chwilkę, daj sobie na wstrzymanie, a szybko ci przejdzie.

- Nie.

- Mówię ci, Tom - w głosie Archera zabrzmiał teraz niemal groźba - ona zniszczy ci życie.

- Jestem z nią szczęśliwy.

- A czy pomyślałeś, do diabła, co to oznacza dla mnie?

- O co ci chodzi? - Tom zmarszczył brwi.

- Wszyscy wiedzą, że jesteś moim współnikiem. Narazisz na szwank moją reputację.

- Przecież nie zamierzasz osiąść tu na stałe. Chcesz kupić ziemię w Victorii.

- To potem, jak zarobię! A przecież nie zarobię ani centa, jeśli ludzie z Broome przestaną mi ufać!

- Chcesz więc rozwiązać naszą spółkę?

- Chcę tylko, żebyś dobrze się nad tym zastanowił. Inni biorą sobie Azjatki za kochanki, pewnie, ale nie afiszują się z nimi publicznie.

Ludzie przymkną oko nawet na jakiś tam nieformalny związek, ale jak już się z nią ożenisz, to po nas. Skoro masz zamiar zrobić takie głupstwo, to przynajmniej poczekaj, aż się dorobimy. Jesteśmy partnerami, no nie? Zawsze byliśmy. Czy to się dla ciebie nie liczy?

- Przecież wiesz, że tak.

- Więc przemyślisz to jeszcze?

Tom westchnął ciężko. Musiał liczyć się z argumentami przyjaciela, te bowiem brzmiały całkiem sensownie. Obaj ponieśliby konsekwencje pochopnej decyzji. Sam zresztą nie był pewien, czy uda mu się ułożyć wspólny los z Willow.

- Przemyślę - obiecał i kiwnął głową.

- Świetnie.

- Chciałem ci tylko powiedzieć...

- Tak?

- Słuchaj, Archer, o takiej żonie jak ona marzy każdy mężczyzna. Nie rozumiesz tego?

- Nie, Tom - Archer z uporem pokręcił głową i uśmiechnął się sceptycznie - zapomniałeś o najważniejszym: ona nie jest biała.

Tom i Willow zamieszkali w dzielnicy, gdzie mieszały się rozmaite narodowości. Wynajęli trzypokojowy bungalow, otoczony ażurową werandą, z której wychodziło się na niewielki ogródek. Zaraz po przeprowadzce Tom poszedł rozmówić się z Chinnem. Na wszelki wypadek wybrał na to spotkanie środek dnia.

- Masz dziewczyna, która jest moja - przywitał go Chińczyk zza kontuaru. - Ja odebrać, co moje.

- Czyżby? Mówiłem ci już, że posiadam kilka interesujących informacji, którymi chętnie podzielę się z policją. Na przykład o szmuglowanym opium albo o przemycanych imigrantach. Doszły mnie też słuchy o kilku facetach wywiezionych na pustynię, którzy już stamtąd nie wrócili.

- Nic na mnie nie ma. A jak ty się stawiać, to też nie wrócisz.

- Nic na ciebie nie ma... - powtórzył Tom, po czym wyjął z kieszeni grubą kopertę i pomachał nią Chińczykowi przed nosem. - Tak sądzisz? Tu są zeznania świadków, którym zleciłeś robotę, a potem ich wykiwałeś. Mogę zachować je dla siebie albo przekazać policji. Nie ukrywam, że zrobię to z przyjemnością.

Chinn zachował kamienną twarz.

- Co za to chcesz? - zapytał krótko.

- Nic.

- To znaczy?

- Po prostu zostaw Lian w spokoju. Ktoś będzie nad nią stale czuwał. Jeżeli ty lub któryś z twoich ludzi choćby zbliżycie się do niej, ta koperta wyląduje na biurku komendanta.

- Znajdę ci lepsza dziewczyna - odparł Chinn po chwili namysłu. - Młodsza, ładniejsza. Podobają ci się chińskie dziewczyny, co? Ładne, gładkie, grzeczne...

- Milcz, łotrze! - krzyknął Tom, chwytając Chińczyka za kołnierz. - Zabiję cię własnymi rękami, jeżeli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę albo spróbujesz dotknąć Lian! Rozumiemy się?

Chinn strząsnął ręce Toma i wygładził kołnierz. Nie zareagował na obelgę ani nie zaprzeczył oskarżeniom. Najwyraźniej wołał zawrzcąć

układ, niż narazić na szwank szemrany interes. Blef udał się i Tom wygrał to starcie, choć w kopercie miał tylko kilka naprędce spisanych, obiegowych plotek. Nie wiedział, czy może przestać się obawiać zemsty Bobby'ego Chinna, dość że Chińczyk nie próbował mu więcej wchodzić w drogę.

Archer także odnosił sukcesy, choć były to sukcesy innego rodzaju. Głośno chwalił się wygranymi zakładami i żywą gotówką, która obfitą strugą płynęła do jego kieszeni. Najbardziej lubił grać w kręgle, a każdą rundę wraz z rywalami suto zakrapiał szampanem. Większość czasu spędzał z Freddym Colsonem lub na obserwowaniu, jak postępuje naprawa „Odysei”. Tom podejrzewał, że przyjaciel unika go z powodu Willow, lecz nie wyrażał wobec niego żadnych pretensji. Sam najszczęśliwszy czuł się w objęciach ukochanej. Choć nie miał zamiaru odcinać się od Archera, rad był, że ten nie chce ich odwiedzać - dzięki temu mógł więcej czasu spędzać tylko z Lian.

Kiedy John Garth powrócił w końcu do Broome, Tom udał się do hotelu Continental, by z Archerem i kapitanem uczcić pomyślny koniec sezonu. Co prawda gwałtowny sztorm zakłócił rejs i zmusił lugier do przeczekania nawałnicy w niewielkiej zatoczce, gdzie naprawiono pozrywane żagle, mimo to „Odyseja” wróciła z bogatym zbiorem muszli, co napawało Gartha niekłamana satysfakcją.

Nim Tom przybył do hotelu, Garth z tej radości zdążył spić się jak bela, snując dalekosiężne, fantastyczne plany na przyszłość.

- W następnym sezonie powiększę flotę o nowy lugier... Nie, o dwa lugry! - bełkotał w upojeniu. Uzupełnił szklankę Toma ginem z opróżnionej do połowy butelki, czknał głośno i dodał: - A może i trzy? W każdym razie na pewno sprzedam „Odyseję”. Ta łajba nadaje się tylko do żeglowania. Dla mnie jest za mała - pokręcił z niesmakiem głową - nie pasuje do mojej floty. Potrzebne mi duże statki. Wielkie...

- A mnie się podoba - wtrącił się Tom. - Jest mała, ale zwrotna i szybka..

- I jest twoja, jeśli cię na nią stać.

Tom zerknął natychmiast na Archera. Twarz kompana zastygła w kamienną maskę. Tom dobrze znał przyjaciela - ten urodzony hazardzista nigdy nie okazywał jawnie swoich uczuć, gdy gra szła o

wysoką stawkę.

- A ile za nią chcesz? - zapytał Tom.

Jego serce zabiło gwałtownie, kiedy usłyszał cenę. Zapłacił za sześć miesięcy z góry za wynajęty bungalow, zatrudnił dziewczynę do pomocy przy sprzątanii i do pracy w ogrodzie, więc niewiele mu zostało ze skromnej sumy zarobionej przez połowę sezonu na perłowych łowiskach. Zażądał wypłaty reszty pieniędzy z kalifornijskiego konta i z niewielkiego funduszu powierniczego, ustanowionego kiedyś przez babcię, ale nawet doliczywszy wygrane, o które wzbogacił się Archer w czasie ostatniej, szczęśliwej passy, i tak nie uzbieraliby nawet połowy potrzebnej kwoty.

- Przypuszczam, że nie zgodziłbyś się na odroczenie spłaty? - zapytał tymczasem Archer

- Nic z tego. Potrzebuję gotówki, żeby powiększyć flotę.

Archer skinął głową ze zrozumieniem.

- O ile wiem - zwężył źrenice i popatrzył chytrze na Gartha - lubisz sobie pograć, kapitanie. Chyba że to tylko fama?

- Kiedyś, dawno temu, byłem zapalonym graczem - zaśmiał się Garth. - Wszyscy poławiacze mają żyłkę do hazardu, nie zauważyłeś?

- Dawno temu? I co, szczęście cię opuściło?

- Powiem wam coś, chłopaki, bo was lubię... - Garth przełknął kolejną porcję ginu i popatrzył na nich nieostrym wzrokiem. - Najlepszym hazardzistą jest taki gość, który nie ma nic do stracenia. Kiedy zdobyłem majątek i poważanie, postanowiłem więcej nie ryzykować. Spasowałem raz na zawsze.

- To brzmi sensownie - przyznał Tom.

- Albo i nie - nie ustępował Archer. - Ja nie mam nic do stracenia prócz zapłaty, z którą zalegasz. Ty nie masz nic do stracenia prócz lugra, którego i tak chcesz się pozbyć.

- Widzę, że bardzo chcesz zagrać?

- Moglibyśmy spróbować. Stawkę już podałem.

- Twoja zapłata przeciwko „Odysei”? Chyba żartujesz!

- Możemy zagrać o moją zapłatę. - Archer wzruszył ramionami. - Jeśli wygram, podwoisz kwotę. Jeśli ty wygrasz, będziemy kwita, nie będziesz mi nic winien. A potem sprzedasz „Odyseję”, komu zechcesz, i

starczy ci forsy na dwa nowe lugry.

- Trzy - Garth uniósł palec, zaraz jednak opuścił dłoń i zaczął skubać z namysłem wypomadowany wąs. Tom spodziewał się natychmiastowej odmowy, lecz Archer wiedział widocznie, z kim ma do czynienia. - A z czego będziesz żył, jeśli przegrasz? - spytał kapitan.

- Nie ma strachu - odparł Archer, lecz ze zrozumiałych powodów nie wspomniał o swoich sukcesach gracza, hazardzisty i oszusta. - Została mi jeszcze połowa zaliczki, którą wypłaciłeś mi przed sezonem. Jakoś przeżyję.

- Jeśli wygram, zostaniesz u mnie na następny sezon i będziesz otwierał muszle.

- Czemu nie? Nie mam nic lepszego do roboty. Garth odwrócił się do Toma.

- A co z tobą? Też zostaniesz? Wolałbym nie tracić żadnego z was. Tom uchwycił porozumiewawczy wzrok przyjaciela. Pewnie odmówiłby propozycji, gdyby miał inne plany. Ale i tak zamierzał znowu pływać w następnym sezonie.

- Zgoda - odparł krótko - zostanę. Tylko uważaj na niego, Garth, nie daj się wykołować. Archer to spryciarz i jest niezły w te klocki.

- Wy, Amerykanie, myślicie, że we wszystkim jesteście najlepsi - parsknął Garth i zamówił karciany stół oraz kolejną butelkę dżinu.

- Bo jesteśmy. A szczególnie kiedy trzeba zagrać va banque. To co, kapitanie, gramy?

- Gramy!

- Cieszę się. Miło wiedzieć, że ten lugier będzie mój przed końcem wieczoru - odparł Archer tonem zwyczajnej konwersacji. - Tylko nie mów, John, żeśmy cię nie ostrzegali.

Willow nie spała, kiedy Tom wrócił tego wieczoru. Zazwyczaj nie kładła się, póki i on się nie położył. Wpojono jej, że kobieta ma dbać o mężczyznę i okazywać mu należny szacunek, czekać, dopóki nie zjawi się w domu, choćby to był środek nocy. Nie nauczono jej korzystania z przyjemności tego świata i musiała zadowolić się tą odrobiną radości, jaką czerpała z wypełniania wyznaczonej w hierarchicznej społeczności roli, z przestrzegania surowych praw i standardów, ustanowionych przez przodków. Jednakże ona sprzeniewierzyła się tradycji - wybrała życie u

boku białego kochanka, który ją uwielbiał.

Ona też go uwielbiała. Tom był przystojnym i miłym mężczyzną, a przy tym okazał dość siły, by przepędzić Bobby'ego Chinna. Zamieszkali razem w domku otoczonym ogrodem pełnym krzewów, z werandą, na której mogła siadywać przez nikogo niewidziana i napawać się czystym, aromatycznym powietrzem. Z każdym dniem blade wspomnienia o hałaśliwych uliczkach chińskiej dzielnicy, o nieznośnym gorącu pralni, o budzącym wstręt pomieszczeniu, gdzie targowano się o jej ciało.

Teraz myśli Willow zaprzętała ustawiczna troska, jak uszczęśliwić Toma. Wracając z miasta, często przynosił jej prezenty. Pewnego razu podarował jej niewielkie, ręczne lustro, kiedy indziej ; pomalowaną cynową szkatułkę, do której włożyła jadeitowy naszyjnik. Starła się odwdziżyć za tę miłość, jak tylko mogła. A to obok talerza z kolacją kładła ukochanemu czerwony kwiat hibiskusa. A to parzyła mu aromatyczną herbatę z rzadkiego gatunku jaśminu, którą nabyła za starannie zaoszczędzone na inne wydatki pieniądze. A to podarowała mu akwafortę przedstawiającą morski pejzaż, umocowaną na cienkim kawałku kory z drzewa indygowca.

Wiedziała jednak, że najcenniejszym darem dla Toma jest jej miłość. Początkowo traktował ją niczym rzadki i drogocenny klejnot. Był czuły i delikatny, otaczał ją bezustannie tkliwą i serdeczną troską. Z czasem odkryła w sobie rozkoszną zmysłowość, stłumioną gdzieś głęboko w sercu. Okazywała mu ową ekscytującą namiętność w chwilach uniesienia, udowadniając, że jest prawdziwą kobietą, a nie jedynie kruchym kwiatkiem, który trzeba podziwiać i o który należy się troszczyć.

W najśmielszych marzeniach nie spodziewała się, że kiedykolwiek spotka mężczyznę, z którym będzie dzieliła radość i szczęście. Tymczasem tak właśnie było. Toma interesowały najdrobniejsze szczegóły z jej życia. Zachęcał ją do opowiadania i starał się dokładnie je zapamiętać. Kiedy wyznała mu, że lubi pałę się świece podczas posiłku, co wieczór, o nic nie pytając, przyozdabiał stół płonącymi latarenkami z wosku. Kiedy przyznała się, że lubi patrzeć na wschodzący księżyc, co wieczór brał ją na spacer i oboje obserwowali urzeczeni, jak na niebo wypływa srebrzysta tarcza i jak roztacza swój blask nad

pograżonym we śnie miastem.

Za nic nie odebrałyby sobie tych bezcennych, wspólnie spędzonych chwil, dlatego zawsze wieczorem czekała, aż Tom wróci.

Tego dnia przyszedł o wiele później, niż się spodziewała. Niepokój wkładał się powoli w jej serce i przyćmiewał beztroską radość, jaka opromieniała każdy wspólnie spędzony dzień. Obawiała się, że Bobby Chinn zemścił się na ukochanym albo że w hotelu wybuchła bójka i Tom został ranny. Kiedy więc zobaczyła, jak wchodzi do domu cały i zdrowy, z wyciągniętymi na powitanie ramionami, wybiegła mu naprzeciw niczym przestraszone dziecko.

- Tak się bałam... - Wtuliła policzek w pierś Toma i zatonęła w jego objęciach.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

- Bałam się, że nie wrócisz.

- Willow, najdroższa, nigdy bym ci tego nie zrobił.

- Ale ktoś inny może nas skrzywdzić.

- Nie pozwolę na to, nie martw się. - Uniósł jej strapioną twarz i pocałował ją w usta. Lian wyczuła smak mocnego alkoholu i zrozumiała, dlaczego się spóźnił.

- Przygotowałam coś do zjedzenia - odezwała się, kiedy w końcu ją uwolnił.

- Nie jestem głodny.

- To może napijesz się herbaty?

Przyciągnął ją do siebie i uściskał żarliwie.

- Nie uwierzysz, co się wydarzyło. Sam nie mogę w to uwierzyć!

- Co? Co takiego?

- Zdobyliśmy z Archerem własny lugier, „Odyseję”, na której pracowaliśmy w tym sezonie. Dziś wieczorem Archer wygrał ją w karty.

Lian uwolniła się z czułych ramion i spojrzała na Toma zdumiona.

- Wygrałeś statek? W karty?

- Nie ja, tylko Archer - roześmiał się w odpowiedzi - ale będziemy współnikami. Jego statek i moje pieniądze zapewnią nam pomyślność w przyszłym sezonie.

- Ktoś przegrał swój statek - westchnęła Lian. - Jak on musi się teraz czuć?

- No cóż, raczej podle. Ale to honorowy facet. Zagrał, no i przegrał. Mógł wycofać się w każdej chwili, ale nie chciał. Pod koniec Archer postawił całą wygraną na lugier, a ten przyjął zakład.

- Hazard nie jest honorową grą - zmarszczyła brwi Willow.

- Ja też nie mam do niego serca, ale chyba przyznasz, że nie mogę potępiać Archera za dzisiejszy sukces. To dla nas wiele znaczy.

- Aż tak wiele?

- Dorobimy się fortuny! Archer ma zamiar osiedlić się w Australii i uzyskać tutejsze obywatelstwo, nie będziemy więc mieć problemów z wyrobieniem licencji. Archer nie ma żylki do poławiania pereł i kiedy zarobi wystarczająco dużo, kupi ziemię. Będzie hodował konie, wychowywał synów, w końcu usatkuje się i znajdzie szczęście. A ja zostanę tutaj, z tobą. Kiedyś będziemy mieli ogromną flotę lugrów, w Broome wychowamy nasze dzieci i będziemy bardzo szczęśliwi.

Porwał ją znowu w ramiona, tulił ją, całował jej włosy, czoło, wargi, ona zaś zastanawiała się usilnie, dlaczego czuje w sercu olbrzymi ciężar. Tom przedstawił jej wizję cudownego życia, o jakim nie ośmieliła się nawet marzyć. Lecz kiedy Lian zamykała oczy, nie widziała złotego blasku świetlanej przyszłości, a jedynie przytłaczającą ciemność.

Archer rozważył rozmaite sposoby utarcia nosa Freddy'emu Colsonowi. Jeszcze tej samej nocy, kiedy to po wspólnej z nim wyprawie wrócił na chwiejnych nogach do swojego pokoju w hotelu Roebuck Bay i zwałił się jak kłoda do łóżka, długo rozmyślał o możliwościach pozbycia się rywala, aż w końcu zasnął z błogim uśmiechem.

Wiedział, jak urządzić tego mydłka na szaro. Od razu wyczuł jego intencje i od tej pory rozkoszował się wymyślaniem perfidnej metody, która skutecznie usunie mu z drogi konkurenta do ręki Violetty Somerset. Miesiące przymusowej przerwy w rejsach dłużyły się w nieskończoność, a obrzydliwa pogoda więziła go w hotelu. Strugi tropikalnego deszczu zalewały ulice, domy pokryły się stęchłym nalotem pleśni, szczury, pająki i węże na wyścigi szukały schronienia, a upał przemieniał ulewę w parujący kocioł. W te koszmarne dni Archer znajdował pociechę i rozrywkę w knuciu wyrafinowanej intrygi.

Pewnej nocy, w przerwie między porywami gwałtownej ulewy, gdy

spiętrzona fala przyływu zalała ulice Chinatown, niosąc ze sobą śliskie cielska drapieżnych ryb i wyrzucając do ogrodów zwłoki nieszczęsnych krokodyli, Archer czekał w barze na posłańca Somersetów. Zaskarbił sobie względy chłopca podczas rzadkich spotkań drobnymi prezentami i okazywaniem przychylności. Dwa dni wcześniej poprosił go, żeby zaniósł Violi liścik. Chłopak wyświadczył mu tę przysługę.

Teraz Archer niecierpliwie wyglądał Ashwara, z nadzieją, że chłopak przyniesie mu wreszcie dobrą nowinę. W liście prosił Violę o spotkanie lub wyznaczenie terminu, kiedy mógłby potajemnie ją odwiedzić. Nie omieszkał nadmienić, że posiada pewne informacje, które bez wątpienia okażą się dla niej interesujące.

Zegar tykał, a nastrój w barze stawał się coraz bardziej melancholijny i ponury. Poza sezonem życie miasteczka toczyło się ospale, wśród intryg, podejrzeń i posępnej nudy. W porze ulewnych deszczy i niemiłosiernych upałów ludzi ogarniał istny amok. Skwar rozpałał umysły i zatruwał dusze, najlepsi przyjaciele obmawiali się nawzajem i przysięgali sobie dożgonną nienawiść. Co chwilę dochodziło do sprzeczek, słownych potyczek i bijatyk. Ledwo udawało się zażegnać jeden konflikt, natychmiast wybuchał następny w innym końcu sali.

Kiedy o jedenastej pojawił się policjant, by sprawdzić, czy drzwi frontowe są zamknięte na noc (po czym zmitrężył godzinkę przy szklaneczce ze stałymi bywalcami baru), kipiąca wrogość sięgała zenitu, Archerowi udzielilo się rosnące napięcie. Przepelniająca go euforia po wygraniu „Odysei” przygasła i ulotniła się niczym mydlana bańka. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach daleko mu jeszcze było do zbitcia majątku. Viola oraz jej wspaniała fortuna wciąż były poza zasięgiem. Zanim on zdobędzie niezbędne środki, by móc zabiegać o jej rękę, ona zapewne zdąży wyjść za kogoś innego.

Byle nie za Freddy'ego Colsona.

- Proszę pana - usłyszał i poczuł, że ktoś szarpie go za połę kurtki.

Odwrócił się i zobaczył wyczekiwanego posłańca, który uśmiechał się nieśmiało. Ashwar nie miał jeszcze piętnastu lat, ale wzrostem przewyższał rówieśników.

- Przyniosłeś jakieś wieści?

- Bardzo mokro na zewnątrz. Zeszło mi trochę czasu.

- Wyglądasz, jakbyś tu przyplłynął.
- Bardziej płynąłem, niż szedłem. - Ashwar poszperał w kieszeni spodni i wyjął zapakowaną w płótno paczkę. - To dla pana.

Archer szybkimi ruchami odpakował przesyłkę. W środku znajdowała się złożona i zapieczetowana pojedyncza kartka papieru.

- Poczekaj chwilę, dobra? - rzucił posłańcowi. Ashwar założył ręce na plecach i z szacunkiem wbił wzrok w podłogę, natomiast Archer złamał pieczęć i odczytał krótkie zdania, nabazgrane pospiesznie na kremowobiałej kartce. Viola pisała, że rodzice wyjechali i żeby stawił się o dziewiątej, ale nie żadnym powozem, na wypadek gdyby wrócili wcześniej. Ashwar miał go zaprowadzić.

- Wygląda na to, że wracamy razem - oznajmił Archer, wsuwając kartkę do kieszeni. - Poczekaj na ganku, wezmę tylko płaszcz.

Skoczył do pokoju po kalosze i płaszcz przeciwdeszczowy. Plik dokumentów owinął tym samym skrawkiem płótna, który chronił list Violi przed zmoknięciem, i gotów do drogi, dołączył do Ashwara.

Wyprawa do domu Somersetów zabrała im dwa razy więcej czasu niż o normalnej porze. Mimo że Ashwar starannie torował drogę, omijając zdradliwe pułapki, mozolnie przedzierali się przez wysokie zwały naniesionych przez fale śmieci i z trudnością brnęli w niepohamowanych strugach deszczu.

Kiedy dotarli wreszcie do celu, Archer był zabłocony i przemoczony do suchej nitki. Nie czuł niemal wcale dreszczyku emocji. Pod osłoną ciemności i kolejnej fali deszczu, która nadciągnęła ze wschodu, podążył za Ashwarem na tył domu i czekał na werandzie, aż chłopak zawoła Violę.

Pojawiła się w końcu w fioletowej spódnicy i haftowanej w kwiaty bluzce związanej w pasie. Długie pasmo włosów spływało kokieteryjnie na ramię. Archer nie mógł oprzeć się wrażeniu, że celowo kazała mu tak długo czekać.

- Dziwna pora na wizyty - bąknęła na powitanie. - Co powiem rodzicom, jeśli Ashwar się rozchoruje?
- Skoro nie jestem mile widziany, pójdę sobie. A prezent, który przyniosłem, zachowam dla siebie.
- Prezent? - uniosła dumnie podbródek. - Zaintrygowałeś mnie. Co

taki mężczyzna jak ty może podarować kobiecie?

- A co chciałabyś dostać najbardziej?

- Bilet na statek - wypaliła bez mrugnięcia okiem. - Wątpię jednak, czy właśnie to przyniosłeś.

- Nie, ale przyniosłem coś równie dobrego. Coś, czego żądałaś.

- Głowę Freddy'ego na srebrnej tacy?

- Ciepło.

Przez chwilę lekkie podniecenie ożywiło wystudiowany wyraz znudzenia na twarzy dziewczyny.

- Co to jest?

- Nie powiem.

- W takim razie po co przyszedłeś?

- Sam się zastanawiam. Przybycie tu sporo mnie kosztowało, a przyjęto mnie jak intruza. Nie takiego powitania oczekuje prawdziwy mężczyzna.

- Czyżby? Przecież prawie się nie znamy, panie Llewellyn.

- Archer.

Uniosła leciutko brew.

- Mam na imię Archer - powtórzył bez uśmiechu.

- Czy to pogoda wprowadziła cię w tak fatalny nastrój, Archer?

- Cały ten interes fatalnie na mnie działa. Ty też na mnie fatalnie działasz. Dobranoc, Viola - obrócił się na pięcie, gotów do odejścia.

- Archer... - zawołała za nim cicho. - Zostań, proszę. Co mi przyniosłeś?

Odwrócił się i zmierzył ją badawczym wzrokiem.

- Cieszysz się, że mnie widzisz?

- Nie wiem, póki nie dowiem się, po co przyszedłeś.

- Nie to chciałem usłyszeć.

Jej twarz przybrała wyraz zadumy. Domyślił się, że rozważa i wartościuje rozmaite opcje, włożył więc kapelusz, udając, że zbiera się do odejścia.

- No dobrze - znów go zatrzymała - cieszę się, że cię widzę. Czuję się podle, ten okropny deszcz wpędza mnie w melancholię. Mam dosyć tego deszczu i tego kraju. Nienawidzę Australii. Nienawidzę tej pogody. I umieram z ciekawości, po co tu przyszedłeś. Dlatego cieszę się, że

jesteś.

- A co ze mną, Viola? Czy mnie też nienawidzisz? A może znasz inne uczucia prócz nienawiści?

- Ty... ty przyprawiasz mnie o dreszcz.

To było więcej, niż mógł sobie wymarzyć. Był jednak hazardzistą, drażył więc dalej.

- A więc po prostu cię podniecam. Jak bardzo?

- Podniecenia nie da się zmierzyć - odparła z lekkim uśmiechem, bynajmniej niezakłopotana dosłownością jego wypowiedzi.

- Tak sądzisz? - Sięgnął po nią zuchwałym gestem, przyciągnął do siebie i przycisnął piękną białą bluzkę do szorstkiego płótna. - Przekonamy się?

Viola próbowała uwolnić się z jego ramion, ale nim zdołała zaprotestować, bezceremonialnie przywarł ustami do jej warg, wykorzystując fizyczną przewagę, by pokazać, kto tu rządzi.

Puścił ją po chwili, wściekłą i zaperzoną.

- Ty sukinsynu!

- Nie obrażaj mojej matki.

- Jak śmiesz!

- A co? Nie podobało ci się? Ani trochę? Zamierzała uderzyć go w twarz, ale chwycił ją za nadgarstek.

- Nie jestem Freddyem Colsonem, panno Violetto. Może ten pętaczyna pozwoliłby ci wymachiwać przed nosem pięściami, ale ja nie. Sam odpowiem na swoje pytanie. Podobało ci się. Nawet bardziej niż trochę. Zobaczysz, jak ci się spodoba to wszystko, co będziemy robić po ślubie.

- Prędzej wyjdę za Freddy'ego!

- A więc to tak? - Odsunął się na krok i wetknął rękę pod połę płaszcza. Zaczął rozpinać guziki, po chwili wyciągnął paczkę owiniętą w płótno. - Wygląda na to, że straciłem niepotrzebnie czas. No to podrę te papiery. Możesz robić to, co każe ci ojciec, a ja znajdę sobie żonę, która pragnie tego, czego chcą wszystkie kobiety.

Rozpakował zawiniątko i wyjął papiery. Wziął je między palce, jak gdyby rzeczywiście miał zamiar porwać je na strzępy.

- Nie! - Powstrzymała go wyciągniętą dłonią. - Co to jest?

- Śmierć Freddy'ego. Zniszczę te dokumenty w prezencie ślubnym dla państwa Colson. Podarowałbym je może waszym dzieciom, ale wątpię, czy doczekacie się potomstwa. Jak się okazało, Freddy gustuje w mężczyznach. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zdołał spełnić swój małżeński obowiązek.

- Czy te papiery właśnie tego dotyczą? To jest ta twoja rewelacja?

- Nie - uśmiechnął się chytrze. - To jest jeszcze lepsze niż widok przytulonych do siebie męskich tyłków. Dowiedziałem się, panno Violetto, że wasz kochany Fredzio rozważa propozycję jednej z londyńskich firm, która chce otworzyć w Broome swoją filię. Wykorzystuje przy tym wszystkie doświadczenia i całą wiedzę, którą posiadał, pracując dla twego ojca. Mam tu jego listy, podanie do banku w Perth oraz inne dokumenty, które wiele wyjaśniają. Fredzio kopie dołki pod twoim tatusiem, stosując triki, których sam się od niego nauczył. W świetle tego wiadomość o perwersyjnej naturze twego narzeczonego jest mało istotna, nie sądzisz?

- Twierdzisz, że Freddy ma zamiar rozkręcić konkurencyjny interes?

- Oczywiście wyznał mi, że serce mu się kraje, bowiem darzy twego ojca najwyższym szacunkiem.

- Więc w jaki sposób ma zamiar go zniszczyć?

- Nie on sam, ale ci, którzy mu zapłacą. Mam dowody, że Freddy nawiązał pewne kontakty.

- Ale Freddy...

- Dajmy już mu spokój. Freddy nie stanowi jakiegokolwiek zagrożenia, ani dla ciebie, ani dla mnie, ani dla twego ojca. Jeśli oczywiście dam ci te papiery.

- Jeśli?

- Powiedz, czy mój pocałunek nic dla ciebie nie znaczył?

Milczała, wpatrując się w napięciu w plik dokumentów.

- Nie proszę cię o rękę ani nie proponuję, żebyś poszła ze mną do hotelu - podjął Archer. - Po prostu powiedz, czy mój pocałunek cokolwiek dla ciebie znaczył. I tak, i tak dam ci te papiery.

Tupnęła nogą, bryzgi brudnej wody ochlapały ich ubrania.

Spiorunowała go hardym, świdrującym spojrzeniem i wycedziła:

- Masz o sobie zbyt wysokie mniemanie!

- Mężczyzna nie może mieć zbyt wysokiego mniemania o sobie.
- Umacnianie takiego przekonania byłoby błędem nie do

wybaczenia.

- Możliwe - odparł Archer. - Pozwolisz jednak, że zaczekam na odpowiedź.

- Tak, ten pocałunek znaczył coś dla mnie - wyznała wreszcie z pełnym irytacji westchnieniem. - Ale nigdy więcej nie próbuj ranie całować bez pozwolenia, rozumiesz?

- Rozumiem, że całe życie będziemy ścierać się w podobny sposób.

Czy warto?

- Stanowczo masz za wysokie mniemanie o sobie!

- Możliwe - powtórzył, a potem spytał, wyciągając ku niej rękę: -

Chcesz w końcu te papiery?

Wyrwała mu dokumenty z dłoni. Archer dalej czekał.

- Dam ci znać, co się stanie, kiedy ojciec się o tym dowie.

- Oczywiście nie powiesz mu, jak je zdobyłaś?

- Musiałoby mi zabraknąć piątej klepki!

- A czy stać cię na to, żeby poczekać na mężczyznę, który dowiódł, że twoje dobro leży mu na sercu?

- Mogę poczekać, skoro Freddy nie wchodzi w rachubę.

- Ale czy poczekaasz?

- Niczego nie obiecuję - obdarzyła go czarującym, lecz zimnym uśmiechem - prócz tego, że wyjdę jedynie za bogatego człowieka.

Zobaczmy, czy ty nim będziesz. - Odwróciła się, ruszyła do drzwi.

Zanim wyszła, obejrzała się z dłonią na klamce. - Mam nadzieję, że nie złamiesz mi serca, kowboju.

Omiotła go taksującym spojrzeniem, odrzuciła włosy z czoła i roześmiała się swobodnie. Archer odprowadził wzrokiem znikającą za drzwiami sylwetkę, a kiedy Viola wyszła, uśmiechnął się nieznacznie kącikiem ust.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Załoga „Odysei” okazała się lojalna wobec Toma. Zmuszona do wyboru między nim a Johnem Garthem, pozostała z nowymi właścicielami. Kiedy wyszorowany i odmalowany lugier rozpoczynał kolejny sezon, ze starego zespołu brakowało jedynie Tosziharu. Stary nurek, kolejna ofiara zdradzieckiej głębin, zmarł we śnie w lutym i spoczywał teraz wraz z innymi towarzyszami w tej niebezpiecznej profesji, na japońskim cmentarzu w Broome.

Nowy sezon zapowiadał się pomyślnie. „Odyseja” wypływała z portu żegnana przez licznie zgromadzonych przyjaciół. Tom niechętnie zgodził się na obecność Willow. Co prawda sąsiadka, żona miejscowego sklepikarza, obiecała odprowadzić ją potem do domu, mimo to z niepokojem w sercu obserwował malejącą sylwetkę ukochanej. Zdawał sobie sprawę, że Lian wolałaby go zatrzymać, choć nigdy głośno nie wyraziła takiego życzenia. Zapewnił jej wygodny dom i troskliwą opiekę życzliwych sąsiadów oraz wynajętej służącej, którzy mieli zadbać o dziewczynę podczas jego nieobecności, lecz Willow i tak była stroskana i zasepiona. Na nic zdały się usilne przekonywania, że czeka ich długa, wspianiała przyszłość - jej oczy pozostały smutne.

Archerowi natomiast udało się zyskać przychylność kogoś, z kim wiązał ogromne nadzieje. Właśnie wsiadał na pokład, kiedy na nabrzeże zajechał zgrabny powóz zaprzężony we wspianiałego araba czystej krwi. Białe delikatne dłonie Violi Somerset mocno trzymały wodze. Jej pojawienie się Archer poczytał za uśmiech losu. Wiedział już, że Freddy Colson stracił łaski perłowego magnata i poszedł w odstawkę, teraz zaś owo nieme pożegnanie bogatej dziedziczki napełniło serce Archera otuchą i nadzieją.

Nadzieja bezustannie towarzyszyła im przez kilka tygodni. Niemal od

razu po wypłynięciu ładownie „Odysei” zaczęły napelniać się drogocennymi małżami. Archer skłonny był wręcz polubić odór gnijących mięczaków, jeśli tylko lądowały na pokładzie jego własnego statku. W drugim tygodniu na morzu znalazł piękną perłę o nieregularnych kształtach i natychmiast uznał, że to kolejny dobry omen. W trzecim tygodniu sztorm zepchnął lugier z kursu. Juan zanurkował, by zlustrować dno, i odkrył najbogatszą kolonię małż, na jaką kiedykolwiek natrafili.

- Życie w Australii wcale nie jest takie podłe, nie uważasz? - zagadnął Archer, kiedy pewnego wieczora obaj z Tomem odpoczywali na pokładzie, rozmyślając o przyszłości.

Tom był w doskonałym nastroju, bowiem tego popołudnia zastąpił pod wodą Juana, którego bolała głowa.

- Tak - westchnął rozmarzony - tutaj przynajmniej nikt do nas nie strzela. Nikt nie wydaje rozkazów, niczego nie narzuca. Sam sobie jesteś sterem, żeglarzem, okrętem. Może nie od razu będziemy bogaci, ale jeśli szczęście nam dopisze, zarobimy tyle, żeby żyć godziwie.

- Żyć godziwie? - zachnął się Archer - I to ci wystarczy?

- Wiem, że tobie nie, ale mnie jak najbardziej. Archer od miesięcy usiłował zrozumieć, co go skłoniło do tak pochopnej decyzji, jak spółka z Tomem. Ten niepoprawny marzyciel stale bujał myślami w obłokach. Przyjaźnił się ze wszystkimi członkami załogi, a Bernard i Juan niemal go czcili. Co gorsza, jego miłość do Chinki niezłomnie trwała, mimo przyjacielskich próśb, gróźb i napomnień. Archer żywił głęboką nadzieję, że Tom opamięta się wreszcie i zrozumie swój błąd, lecz ten, spokojny jak nigdy przedtem, żył z Willow w sielankowym nastroju i wcale nie miał zamiaru porzucać swych małżeńskich pomysłów.

- Kiedyś miałeś wyższe ambicje niż marna chata w obcym kraju i egzotyczna kochanka, która grzeje ci wyrko.

Tom milczał dłuższą chwilę, po czym zwrócił na niego płonące gniewem oczy.

- Postaram się puścić te słowa w niepamięć. Lepiej uważaj, co mówisz, bo a nuż wymknie ci się coś, czego ci nigdy nie wybaczę.

- Nie wściekaj się od razu. Chcę ci tylko powiedzieć, że mógłbyś mieć wszystko, czego dusza zapagnie - ciągnął uparcie Archer, kręcąc z

niesmakiem głową - a ty, ot tak, bez namysłu, ze wszystkiego rezygnujesz. Nie rozumiem tego, bracie.

- Gdybym nie porzucił życia w Kalifornii, nie byłoby mnie tu teraz z tobą.

- Gdybyś nie porzucił życia kalifornijskiego bogacza, nie zaciągnąłbyś się do wojska na apel Roosevelta, a mnie nie groziłby pluton egzekucyjny. Wróciłbym do Teksasu i nie musiałbym uciekać jak spłoszony zając.

- Trzeba było patrzeć w inną stronę, kiedy Linc postanowił mnie zabić.

Archer nie odpowiedział. Nigdy nie żałował, że uratował życie Tomowi, ale nie akceptował nowego wcielenia przyjaciela i zmian, jakie w nim ostatnio zaszły.

- Nie zapominaj, kto jest twoim prawdziwym przyjacielem i kto udowodnił, że nie opuści cię w biedzie.

- Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości, Archer.

Ta sprzeczka sprawiła, że szczęście ich opuściło, a przynajmniej tak mogło się wydawać. Kolonia muszli, którą przypadkowo znaleźli, okazała się niewielka i szybko się wyczerpała. Kilka następnych znalezisk też przyniosło nikłe korzyści. Stracili cały dzień, próbując odstraszyć wieloryba, który nadmiernie interesował się lugrem, innym razem przez wiele godzin zszywali rozdarty żagiel.

Podczas postoju w Broome postanowiono uwolnić „Odyseję” od plagi karaluchów. Tysiące insektów, wykurzonych z dziur i szczelin, w panice oblepiło maszt czarną chmurą. Początkowo po remoncie na statku nie było robactwa, ale po kilku tygodniach na morzu, w zgromadzonych zapasach i w ładowniach wylęgły się istne roje insektów w chitynowych pancerzach. Bezsenne noce upływały na bezustannej szamotaninie, a seria silnych sztormów szła z karaluchami w zawody o panowanie nad statkiem.

Po szczególnie silnym sztormie załoga zebrała się na pokładzie, by przedyskutować plany na następne tygodnie.

- To chyba nie najlepsze miejsce do połowów - Tom głośno wyraził swoje wątpliwości. Przypomniwał, że spotkali ostatnio kilka statków i żadnemu z nich również się nie poszczęściło. Nawet Archer, który stracił

zaufanie do współnika, tym razem skłonny był się z nim zgodzić.

- Rozmawiałem niedawno w Continentalu z pewnym kapitanem.

Twierdził, że najwięcej muszli jest w Zatoce Łabędziej, na King Sound.

- Dużo muszli to dużo pecha - skwitował lapidarnie Juan.

- Dlaczego? - zainteresował się Tom.

- Dno tam najpierw opada tak... - Juan uniósł rękę, po czym opuścił ją raptownie aż do pasa - ... a potem tak. - Tym razem zniżył jednym ruchem dłoni do połowy ud.

- I nie widać, że dno gwałtownie opada?

- Wysokie pasma wodorostów kryją rozpadliny. Nurek wpada, lina się urywa... - Juan zawiesił głos - ...no i już po nim.

- W takim razie nie ma o czym mówić - skwitował Tom.

Archer nie dał jednak za wygraną.

- Zaraz, zaraz - drążył, niecierpliwie kręcąc głową - Ten kapitan twierdził, że warto zaryzykować, trzeba tylko zachować ostrożność.

- Warto dla kogo, Archer? To przecież Juan będzie ryzykował życie.

Kolejny raz w ciągu ostatnich miesięcy Tom przeciwstawił się Archerowi. Ten, rozdrażniony tak jawnym okazywaniem sprzeciwu, gotów był zaciekle bronić sprawy, choćby błahej i niewartej zachodu.

- Naprawdę sądzisz, że chcę narazić Juana na niebezpieczeństwo?

Uważasz mnie może za drania bez serca? Niech ci będzie, może twarde mam serce, ale nie postradałem jeszcze rozumu. Wiem, ile byśmy stracili, gdybyśmy wrócili na ląd szukać nowego nurka w pełni sezonu. Sprawę jednak należy przedyskutować.

Nieoczekiwane wsparcie nadeszło od Juana.

- Czemu nie, możemy podyskutować. Zatokę Łabędzi nazywają Cmentarzyskiem. Jednym nurkom przynosi pecha, innym nie. Jak człowiek jest ostrożny, to ma dobry połów. Dużo złowi, wraca do domu bogaty i żyje jak panisko.

- Wolę wrócić do domu ze zdrowymi nurkami - odparł Tom, marszcząc brwi w zakłopotaniu.

- Tam, na Cmentarzysku, jest dużo pereł - nie przestawał opowiadać Juan. - Byłem tam przed wielu laty, jako młody poławiacz. Zarobiłem wtedy więcej niż kiedykolwiek. Poza tym to piękne miejsce.

- Dlaczego wcześniej nam o tym nie wspomniałeś? - naburmuszył

się Archer.

- Mam złe wspomnienia.

- Co znowu?

- Tam umarł mój przyjaciel. Pochodził z mojej wioski koło Manili.

- Dajcie spokój. Nie wiem, po co ciągniemy ten temat - obruszył się Tom.

- W porządku, zostawmy decyzję Juanowi - zaproponował ugodowo Archer, wierząc, że mimo wszystko uda mu się przekonać współnika.

- W sumie to on najbardziej ryzykuje. Jeżeli się zgodzi, płynmy na Cmentarzysko. Jeśli nie, poszukamy innego łowiska. Rozumiem, że może się bać.

- Pracuję już dziesięć sezonów, dłużej niż inni nurkowie... - myślał głośno Juan, zmagając się z dylematem. - Ech, raz kozie śmierć. Nie mam wyboru. Chcę mieć perły, muszę je znaleźć.

- I jesteś gotów zanurkować na Cmentarzysku? Juan skinął potakująco głową.

Przy sprzyjających wiatrach mogli dotrzeć na niesławne łowisko w trzy dni, postanowiono więc natychmiast rozpocząć przygotowania. Archer unikał kontaktu z Tomem, póki nie zostali sami.

- Są rzeczy ważniejsze niż ostrożność, Tom - odezwał się, patrząc mu w oczy. - Nawet załoga to rozumie.

Tom uśmiechnął się kwaśno.

- Jesteś hazardzistą do szpiku kości.

- Jakoś nie przypominam sobie, żeby ci to przeszkadzało, kiedy wygrałem od Gartha lugier. Gdybym nie miał żyłki do hazardu, nie byłoby nas tutaj, a statek nie należałby do nas.

- Wiem, wiem - westchnął Tom. - I mam nadzieję, że nie będę tego nigdy żałować.

Dwa tygodnie na Cmentarzysku minęły bez jakichkolwiek przykrych niespodzianek i Tom zaczął odzyskiwać spokój ducha. Początkowo przeciwny podejmowaniu tak dużego ryzyka, teraz z dnia na dzień coraz rzadziej miał strapioną minę. Załoga, połączona wspólnym celem, swoje obowiązki wykonywała chętnie i zgodnie, umiejętnie pomijając drażliwe tematy. Pierwszy tydzień okazał się raczej marny, ale już drugi przyniósł obfite żniwo.

W wyłowionych muszlach udało się znaleźć kilka pereł. Tom natrafił na swój pierwszy okaz pewnego ranka, kiedy marynarze szykowali Juana do zejścia pod wodę. Początkowo nie zdawał sobie sprawy, że trzyma w palcach prawdziwy klejnot, który wziął zrazu za niekształtną bryłkę. Szybko jednak zrozumiał pomyłkę i z lubością obracał perłę w palcach, rozkoszując się jej dotykiem.

Wiadomość o cennym znalezisku zatrzymał dla siebie. Na statkach poławiaczy pereł obowiązywała pewna niepisana reguła - ktoś, kto otwierając muszlę, znajdował w niej perłę, chował ją do specjalnej skrzynki w kajucie kapitana. Później, bez obecności świadków, dzielił się nowiną z nurkiem, któremu należał się procent od każdego wyłowionego klejnotu. Nikt prócz nich nie mógł się dowiedzieć, jaki skarb znaleziono. Tak było dla wszystkich bezpieczniej. Na morzu za wszelką cenę unikano powodów do zawiści i chciwości.

Tom odczekał zatem kilka godzin i dopiero po południu nadarzyła się okazja, by bez obaw pokazać klejnot Archerowi, który w każdej wolnej chwili pilnie chłonał nauki doświadczonych poławiaczy.

- I co ty na to? - zagadnął, kiedy Archer z podziwem studiował perłę, patrząc na nią pod światło.

- Najwspanialsza spośród tych, które dotychczas nam się trafiły - odparł z uznaniem i wręczył współnikowi wilgotny kamyk. - Warta ze sto funtów, jak się ją oczyści. Ma niewielką skazę, ale może uda się ją usunąć.

- Chcę ją zachować dla Willow - uśmiechnął się promiennie Tom. - To moja pierwsza sztuka!

- No i po co? - jęknął Archer. - Jak ci dziewczyna wykręci numer i puści cię kantem, stracisz i ją, i perłę.

- Po sezonie odbiorę ją jako moją część zysku - ciągnął Tom chłodnym tonem, ignorując słowa kompana.

- Jasne. Powinienem wiedzieć, że nie słuchasz głosu rozsądku.

Następnego dnia również i Archer wyłuskał niedużą perłę, ale najbardziej cieszył ich fakt, że Juan znajdował coraz to nowe kolonie muszli. Nurek schodził na dno osiem razy dziennie i za każdym razem wynurzał się z siecią bardziej pękata od poprzedniej.

Na początku trzeciego tygodnia, podczas porannych przygotowań do

zanurzenia, Juan nagle dostał torsji.

- Co ci jest? - denerwował się Archer.

- Coś utkwilo mi w srodku, zatyka mnie... - Skrzywiony z bólu Filipińczyk oburącz trzymał się za brzuch. - Dzisiaj nie dam rady.

- Niech to szlag! - Archer grzmotnął pięścią w rumpel. - Zjadłeś coś zepsutego, czy co?

- Może to wczorajsze curry...

- A ty, jadłeś to curry? - rzucił Archer do Toma.

Tom, który zazwyczaj stronił od ostro przyprawianych potraw, pokręcił głową.

- A co z innymi?

Bernard nie przejawiał oznak jakiegokolwiek choroby, lecz zarówno Ahmed, jak i Reece wymiotowali gwałtownie, przewieszeni przez burtę. Wspólnicy wymienili znaczące spojrzenia i po chwili wezwali na pokład kucharza, który stanął przed nimi, blady i roztrzęsiony.

- To na pewno wczorajsze curry - odezwał się Tom. - Juan mówił, że było ostrzejsze niż zazwyczaj. Czy przyprawiłeś nim rybę dlatego, że była nieświeża?

- Ryba śmierdziała jak diabli - pokiwał głową Wong Fai. -

Wszystkie ryby śmierdzą.

- Dobrze, Wong Fai, od dzisiaj wyrzucaj śmierdzące ryby za burtę.

- Kiedy nie ma świeżych ryb! Nie ma mięsa!

Choć sownie zaopatrzyli się w żywność tuż przed wypłynięciem na Cmentarzysko, Tom zdawał sobie sprawę, że zapasy są na wyczerpaniu. Niebawem mieli zawinąć do Broome, by wyładować muszle i uzupełnić prowiant. Musieli jednak wytrzymać jakiś czas, by nie wracać z niepełnymi ładowniami.

- Jakoś damy sobie radę - orzekł w końcu. - Możemy być głodni, ale nie chorzy. Pamiętaj, Wong, nigdy więcej nie podawaj zepsutych ryb.

- Wszystkie ryby zepsute - upierał się kucharz i dla podkreślenia prawdziwości swoich słów dołączył do marynarzy skurczonych przy burcie.

- A niech to - warknął Archer. - Zmarnowany dzień. Tego nam tylko brakowało.

- Juan nie może zejść pod wodę, póki całkowicie nie wyzdrowieje -

zastrzegł Tom.

- Myślisz, że nie wiem? - Archer wściekle przeciągnął palcami po włosach. - Cholera mnie tylko bierze, kiedy pomyślę, że zdarzyło się to akurat teraz, kiedy wszystko tak dobrze szło! No dobra, jak chłopaki dojdą do siebie, będziemy musieli płynąć po rowanie.

Rejs z chorą załogą wzdłuż zdradzieckiej rafy, usianej skalistymi wysepkami i nękaną nieoczekiwanymi pływakami, stwarzał spore niebezpieczeństwo. Dlatego Tom zaczął się zastanawiać nad innym rozwiązaniem.

- Wiesz co, Archer? Skoro już utknęliśmy tu na jakiś czas, to może ja zanurkuję?

Archer zmierzył go zdumionym spojrzeniem, jakby przyjaciel postradał zmysły.

- To nie pora na zabawy, chłopie.

- Mówię poważnie. Juan jest niedysponowany, ale ja nie. Zejdę na dno i zobaczymy. A nuż będę miał szczęście? Co nam szkodzi spróbować?

- A kto się zajmie pompą?

- Ty.

- Do tej roboty trzeba dwóch.

- Inni mogą ci pomagać. Wytrzymają krótkie zmiany.

- Chyba że wcześniej wyrzyczą wszystkie bebechy. Praca przy pompie to nie przelewki, wiesz o tym, Tom.

Tom milczał. Dotarła do niego absurdalność własnej propozycji. Jeszcze niedawno bronił się przed płynięciem na Cementarysko, teraz sam chciał nurkować.

- Na tym bezludziu nikt nam nie pomoże - ostrzegł go Archer.

- Schodziłem na dno wiele razy i zdaję sobie sprawę z ryzyka.

Juanowi poszło całkiem gładko. Wiem, że chcesz wyłowić jak najwięcej muszli, wiem, że ci na tym zależy. Pozwól mi więc spróbować.

- Tylko nie mów, że robisz to dla mnie!

- Czemu nie? Ty zaryzykowałeś dla mnie życie, prawda?

- Pieprzysz, bracie - zachnął się Archer, ale po chwili zaczął się wahać. Wreszcie pokręcił głową, westchnął i mruknął, nie patrząc przyjacielowi w oczy: - No dobra, ale uważaj tam na dole. Jeżeli coś

pójdzie nie tak, natychmiast daj znać, to cię wyciągniemy.

- Będę uważał - obiecał Tom, klepiąc go serdecznie po ramieniu.
- Co w razie czego mam przekazać twojej oblubienicy?

Tom błyskawicznie otrzeźwiał.

- Nic. Wrócę cały i zdrowy. Gdyby jednak... coś mi się stało, obiecaj, że zaopiekujesz się Willow. Proszę.

- Ja mam zaopiekować się Chinką?
- Przekażesz jej moją część zysku i pomożesz zainwestować te pieniądze.

Archer skinął głową z ociąganiem.

Podmorski strój Juana pasował na Toma jak ulał. Choć on sam nie posiadał umiejętności doświadczonego nurka, choć brakowało mu doświadczenia japońskich poławiaczy, którzy praktycznie wyparli z rynku konkurencję, choć był drobnej budowy, a jego uwagę zbyt łatwo przykuwały cuda natury - zdążył nabyć pewną wprawę w wypatrywaniu ukrytych na dnie muszli.

Podkastytowany przygodą, nie mógł doczekać się chwili, kiedy zanurzy się w morskiej głębinie. Choroba marynarzy działała na wszystkich przynębiająco, a zaprawiona goryczą niecierpliwość Archera targała nerwami niczym porywisty wiatr bezbronną łupiną. Gdyby więc Tomowi udało się znaleźć choćby kilka muszli, wszyscy odprężyliby się, a atmosfera na pokładzie uległaby poprawie. On sam natomiast miałby dodatkową frajdę.

Jego myśli bezustannie krążyły wokół Willow. Tęsknił za nią bardziej, niż przypuszczał. W tej chwili pragnął pokazać jej bogactwo bezkresnego oceanu, tętniącą życiem rafę koralową, mieniące się wszystkimi kolorami tęczy dziwaczne ryby, bujną podmorską roślinność.

- Badaj grunt stopami - ostrzegał wyczerpany chorobą Juan. - Stawiaj małe kroki. Nie stąpaj po wodorostach. Ani na chwilę nie zapominaj o niebezpieczeństwie.

- Będę ostrożny. - Tom dał znak Bernardowi, by ten przyśrubował hełm. Potem podszedł do drabinki, poprawił zawór powietrza i powoli zaczął opuszczać się do wody. Towarzyszył mu monotony szum pompy i bulgot wydechanych bąbelków. Słabnące w miarę zanurzania dźwięki dawały kojące poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy znalazł się tuż przy dnie, pociągnął za linę, by dać znak Bernardowi, że wszystko w porządku. Juan udzielił mu wcześniej szczegółowych wskazówek, jak posługiwać się systemem umownych kodów.

Woda była bardziej przejrzysta niż ostatnim razem. Za ławicą zwinnych, połyskujących srebrzyście rybek mknęło stado niezdarnych drapieżników. Tom zamarł bez ruchu, nie chcąc włączać się do tej śmiertelnej gry, i ryby minęły go obojętnie niczym bezużyteczny skalny występ. Odczekał chwilę i upewniwszy się, że nie wróca, rozpoczął żmudną wędrówkę w poszukiwaniu skarbów.

Wciąż powtarzał w pamięci instrukcje Juana.

Każda rozpadlina grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Dla nurka, który w nią wpada, nie ma ratunku.

Raptownemu spadaniu towarzyszy gwałtownie rosnące ciśnienie, które rozsadza czaszkę, miażdży mózg i wnętrzności, a w końcu rozrywa ciało na strzępy.

Poruszaj się ostrożnie, unikaj ciemnych czeluści.

Juan nurkował w tym rejonie poprzedniego dnia i ostrzegał, że skupisko muszli jest na wyczerpaniu. Planowali poszukać nowego łowiska, lecz niefortunne zatrucie pokrzyżowało owe plany. Tom postanowił wykorzystać okazję i zdecydował się na podwodne holowanie. Zasygnalizował Bernardowi, by ten podciągnął go na płytszą wodę i postawił na lgrze żagle.

Nurek holowany przez płynący statek miał za zadanie obserwować dno, prądy morskie i falowania wody, by wyszukać dogodne miejsce na nowe zakotwiczenie. Dotychczas Tom holowany był w ten sposób tylko raz. Pływał wtedy jedynie dla przyjemności, a znalezione muszle traktował jak szczęśliwy traf, a nie jak życiową konieczność. Tym razem stawka była o wiele większa - chodziło o być albo nie być wielu osób tam, na górze.

Juan pouczył go, jak najtrafniej ocenić podwodny krajobraz, jak w gąszczu koralowych narośli i w gęstniejącym mroku mętnej wody wypatrzeć okaz godny zainteresowania. Tom przez jakiś czas bezwładnie pozwalał się ciągnąć, usiłując odróżnić rozmaite fragmenty rafy i ocenić ich potencjalną wartość. Kiedy oswoił się z krajobrazem, dał znak Bernardowi, że gotów jest rozpocząć systematyczne

poszukiwania.

Możliwości było nieskończenie wiele. Żeby zbadać je wszystkie, nie starczyłoby mu życia. Nie wolno mi tracić ducha, napomniał się szybko, po czym opadł na samo dno i rozpoczął uciążliwą, mozolną wędrówkę, raz po raz schylając się nad zwodniczą kępką bulwiastych, śliskich wodorostów. Złociste rybki, mieniające się błyskotliwie w ostatnich smugach światła, balansowały wdzięcznie wokół szklanej szyby hełmu, zaciekawione intruzem, a kilka większych czarno-granatowych potworów o wyłupiastych oczach przepłynęło majestatycznie obok niczym stateczne matrony.

Nie znalazł ani jednej muszli. Coraz bardziej zmęczony i zniechęcony, zrezygnował z dalszych poszukiwań i miał już pociągnąć za linę, by oznajmić towarzyszom gotowość do wynurzenia, gdy jakiś impuls nakazał mu powstrzymać się jeszcze i spróbować szczęścia po raz ostatni.

Zażyczył sobie, by podholować go jeszcze trochę, i z niejakim zdziwieniem przyjął zgodę Bernarda. Usiłował skupić całą uwagę na falującym podłożu i przypomnieć sobie, w jakim otoczeniu znalazł pierwszą muszlę, jak wyglądała i czym była porośnięta.

Niestety, znużenie i rezygnacja zaczęły dawać mu się mocno we znaki. Do tej pory wierzył, że ma swoisty talent do penetrowania morskiej głębin, lecz doznany przed chwilą zawód zasiał w jego sercu ziarno zwątpienia. Cały trud poszedł na marne. Nie sprostał zadaniu. Jak ma przyznać się do porażki? Już słyszał sarkastyczne komentarze Archera. Widział spojrzenia całej załogi, która tak bardzo mu ufała.

Szarpnięciem liny dał Bernardowi znak, że chce się zatrzymać. Zrobił to automatycznie i dopiero później uzmysłowił sobie, że czyn wyprzedził myśl. Rozejrzał się wokół i stwierdził, że niewielki fragment rafy po prawej stronie wyraźnie różni się od otoczenia gęstością glonów, ruchliwością ryb oraz obfitością form życia. Odczekał, aż znajdzie się wystarczająco blisko, i wznowił intensywne poszukiwania.

Przynaglany ciekawością, poruszał się lekko i sprawnie, zachowując należyłą ostrożność, lecz bez przesadnej obawy. Kątem oka dostrzegł kolorowe żaglice, lecz nie zwrócił na nie uwagi. Ciekawskiego rekina spłoszyły natomiast bąbelki powietrza.

Nagle natknął się na pierwszą muszlę, nieopodal miejsca, w którym rozpoczął badanie dna. Może nie był doświadczonym nurkiem, ale wiedział, że ta, którą trzyma w ręku, jest niezwykła. Była bardzo stara, chyba największa ze wszystkich, jakie do tej pory znalazł. Wsunął zdobycz do torby i z szerokim uśmiechem ruszył dalej.

Scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tego wieczora świętowano do późnej nocy. Większość marynarzy była nadal zbyt osłabiona, by cokolwiek włożyć do ust, ale starczyło im siły, by uczcić sukces Toma mocną herbatą. Nieważne, że Juan wypływał zwykle z o wiele obfitszym zbiorem. Tym razem znalezienie tego jednego, pięknego okazu uznano zgodnie za pomyślną wróżbę.

- Dziś ty, Tom, będziesz otwierał muszle - zawyrokował Juan. - Zobaczymy, co takiego znalazłeś. Los ci wyraźnie sprzyja.

Tom spodziewał się, że swoją zdobycz dołoży do wspólnej puli wyłowionych poprzedniego dnia muszli, których nie zdążyli jeszcze otworzyć. Pojął jednak intencje doświadczonego kolegi - zgodnie z obyczajem miał prawo do udziału we wszystkim, co znalazł.

- Pomóc ci? - zaoferował się Archer, kiedy utrudzeni marynarze położyli się spać. Nawet Bernard, który przez cały dzień pracował za trzech, chrapał w jakimś zakamarku na rufie.

- Zgoda, we dwóch szybciej nam pójdzie - odparł Tom i ochoczo zabrał się do roboty. Nabral już wprawy w podważaniu wapiennych szkieletów, ale zazwyczaj to zajęcie nie sprawiało mu przyjemności. Żał mu było wyrywać mięsiste ciała perłopławów z ich opalizujących domków.

- No i jak tam jest? - zagadnął Archer, wydłubując z muszli kolejnego mięczaka.

- Gdzie?

- Na dole, pod wodą.

- Och, to zupełnie inny świat.

- Nie rozumiem, co cię tak ciągnie do tego nurkowania. To nie robota dla białych.

- To jest cudowny, niezwykły świat - powtórzył Tom i przez chwilę

czyścili w milczeniu wapienne skorupki, odrzucając je potem na rosnącą stertę.

- Ja bym się na to nie zdobył.

Tom nigdy dotychczas nie słyszał, by Archer przyznawał się do jakiejś słabości. Jego serce wezbrało nagłą czułością.

- Nieprawda. Po prostu nie chcesz.

- Bałbym się. Kiedy nakładają ci ten hełm... - Archer wzdrygnął się.

- Nie, tam można wyzionąć ducha.

- Wyzionąć ducha można też we śnie albo spadając z konia. Albo po zjedzeniu czegoś, co ugotował Wong Fai.

- Nie twierdzą, że curry przyrządzone przez Wonga wychodzi komukolwiek na zdrowie - roześmiał się Archer. - Ale nurkowanie to nie zabawa dla mnie.

- A mi się podoba. Kiedy byłem mały, często wpatrywałem się w gwiazdy i zastanawiałem, czy w kosmosie istnieje inne życie. Nigdy się tego prawdopodobnie nie dowiem. Dno oceanu przypomina jednak trochę inną planetę.

- Szczęśliwy był z ciebie dzieciak, że mogłeś tak sobie myśleć. Ja tam całe dzieciństwo harowałem jak wół i nie miałem czasu gapić się w gwiazdy. Pływałem za cudzymi sterami, kopałem cudze ogródki. Uważałem, żeby praca nie szła ślamazarnie i żeby znowu nie dostać manta.

Tom był świadom, że trudne dzieciństwo Archera w dużym stopniu zaważyło na jego dorosłym życiu. Poczul się głupio, że czasem o tym zapominał i miał do przyjaciela pretensje, więc powiedział, żeby poprawić mu humor:

- Było, minęło. Teraz jesteś na dobrej drodze, Archer.

- Dobrej drodze do czego?

- Do powodzenia, do szczęścia. Pewnego dnia będziesz miał własny statek. Ciężko na to pracujesz.

- Aha, mój stary też tak harował. Jeszcze gorzej. Wstawał przed świtem i wracał do domu po zmroku. I co mu z tego przyszło?

- To wcale nie oznacza, że twój los potoczy się podobnie. Dlaczego niby tobie ma się nie udać?

- Masz rację - pokiwał głową Archer - on był inny niż ja. Uważał, że

wystarczy być dobrym człowiekiem, a życie samo się jakoś ułoży. To bzdura. Prawdziwy mężczyzna potrafi wykorzystać wszystkie nadarzające się okazje. I te, które same się trafią, i te, o które trzeba zawalczyć.

- Taa... tak właśnie postępował mój ojciec uśmiechnął się Tom. - Chwytał każdą nadarzającą się okazję i stał się dzięki temu bogatym człowiekiem. Tyle że ciągle brakowało mu czegoś do szczęścia.

- A ty sądzisz, że tobie niczego nie zabraknie?

- Ja już jestem szczęśliwy. Archer zastygł w bezruchu.

- Szczęśliwy?

- Żebyś wiedział.

- Gadanie...

- Wcale nie. Mam ciebie. Mam Willow. Mam „Odyseję”. Lubię pływać na statkach. Lubię Australię. Czegóż więcej mi potrzeba?

- Trochę zdrowego rozsądku, bracie.

Tom spodziewał się kolejnego wybuchu niezadowolenia lub szyderczego komentarza na temat jego związku z Willow, lecz Archer powstrzymał się od dalszych uwag. W milczeniu wziął z kupki następną muszlę i z zaciekawieniem obracał ją w palcach.

- O cholera, ale sztuka!

Tom zerknął na przyjaciela i natychmiast poznał ostatnią zdobycz.

- To ta, którą dziś znalazłem. Już traciłem nadzieję, że cokolwiek się trafi, gdy nagle ją zauważyłem.

Archer oczyścił powierzchnię skorupki i bez słowa podał ją Tomowi.

- Jest twoja.

- Aż żal mi otwierać - przyznał się Tom. - Musi być bardzo stara.

- To wrzuc z powrotem do wody. Co za różnica?

Tom ważył przez chwilę muszlę w rękach. Chyba i tak nieszczęsny mięczak nie miał szans na przeżycie po tak wielu godzinach bez wody.

- A niech to - westchnął. - Chyba za bardzo się rozczulam. W ten sposób nigdy nie kupimy ci ani jednej krowy.

Bez przekonania wsunął nóż w spoinę i niechętnie podważył skorupkę. Małże nie mają osobowości, powtarzał sobie w duchu, nie mają duszy ani nie czują bólu. Otworzył już setki podobnych muszli...

Ta była jednak inna. Większa. A poza tym przyniosła mu szczęście.

Powiódł palcem wzdłuż krawędzi i leciutko nacisnął. Raptem znieruchomiał.

Archer podniósł wzrok i przerwał czyszczenie. O nic nie pytał. Załoga spała, tak przynajmniej się zdawało, ale ktoś przecież mógł jeszcze czuć, czekając z nadzieją na odpowiednią sposobność.

Tom wsunął kciuk głębiej do środka i podważył odporne wieczko. Z trudem łapał oddech, a serce głucho waliło mu w piersiach w opętającym rytmie. Zamknął palce wokół perły i ostrożnie wyjął ją z muszli.

- O Chryste Panie... - szepnął Archer tak cicho, że pobrzęk łańcucha kotwicznego i plusk bijących o burtę fal zagłuszył jego słowa.

Natomiast Tom nic nie mówił, tylko wpatrywał się w leżącą na jego dłoni perłę jak urzeczony. Była bardziej okazała i zachwycająca od tych, jakie kiedykolwiek widział. Przypomniał sobie nagle wszystko, co słyszał o perłach - że to jedyny klejnot, który wyłania się z naturalnej powłoki w ostatecznej postaci; że nie wymaga jakichkolwiek jubilerskich zabiegów, jakiegokolwiek szlifu; że opłukana i wysuszona ściereczką lśni i jaśnieje niczym najwspanialszy i najdoskonalszy twór natury. Teraz zrozumiał, że to wszystko prawda.

Archer sięgnął po perłę, lecz Tom zawahał się i obracał przez moment swój skarb w palcach, jakby nie potrafił się z nim rozstać. W końcu jednak pozwolił perle zsunąć się na dłoń przyjaciela.

- Nie do wiary... - słowa uwięzły Archerowi w gardle.
- Czy ona jest tyle warta, ile mi się wydaje? - wymamrotał Tom.
- Dużo więcej. - Archer sycił wzrok pięknym klejnotem, rozkoszował się jej dotykiem. - Nadzwyczajna... Wprost bezcenna.

- Obudzimy Juana i obejrzymy ją w kajucie? Archer skinął głową. Ukrycie skarbu przed nurkiem było niemożliwe, a kajuta, w której spali Juan i Archer, była jedynym miejscem, gdzie można było dokładnie przyjrzeć się perle.

Tom zerknął na wpół wypatroszoną muszlę. Zdawał sobie sprawę, że ograbiony z klejnotu mięczak nie przeżyje tej brutalnej ingerencji, lecz nie potrafił tak po prostu pozbyć się go i pozwolić, by opalizującą skorupkę przerobiono na guziki. Przycisnął do siebie obie krawędzie muszli, podszedł do burty i pozwolił jej opaść do wody. Jeśli musi

umrzeć, niech umiera w morzu.

- Jesteś głupcem, Tom - skomentował jego gest Archer, lecz w tych słowach nie było cienia zajadłości. - Cholernym, sentymentalnym głupcem. Za to nurkujesz jak szatan.

- Jesteśmy bogaci - odpowiedział Tom, bardziej do siebie niż do przyjaciela. Dopiero teraz uświadomił sobie, że choć nigdy nie zaznał biedy, to jednocześnie niczego w życiu nie zdobył własnym sumptem.

- No dobra - roześmiał się Archer - przekonajmy się teraz, jak bardzo.

Obudzili Juana, który drzemał niespokojnie, przewracając się z boku na bok. Poczekali, aż się ocknie, zapalili lampę, a wtedy Archer wyjął z kieszeni białe zawiniątko i rozpostarł brzegi chusteczki na koi.

W jasnym świetle perła rozbłysła błękitnawym blaskiem w całej okazałości. Ten skarb o idealnym kształcie śmiało mógł pretendować do roli królewskiego klejnotu. Z piersi Juana wyrwał się na jej widok krótki, cichy jęk zachwyty.

- Boże, jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Biała, ze srebrnym połyskiem, to niezwykle rzadki odcień. Nie widzę ani jednej skazy - dopowiedział Archer, delikatnie obracając perłę w palcach. - I jaka ogromna, to wprost niewiarygodne.

- Jest warta fortunę - orzekł Juan, wpatrzony w jej blask.

- Tak, dla takiej perły można oddać wszystko.

Archer także nie mógł oderwać od niej oczu.

Możemy za nią kupić, co dusza zapragnie. Zaszczyty, władzę, koronę, a może nawet samo królestwo niebieskie!

Tom również utkwiał wzrok w cudownym klejnocie, lecz nie myślał o zaszczytach, władzy ani o koronie. Marzył jedynie o spokojnej, pogodnej przyszłości u boku Willow, o synach i córkach, których wychowanie wypełni mu kolejne lata. Teraz, dzięki swemu odkryciu, mógł myśleć tylko o tym. I mógł cieszyć się wraz z Archerem, że ten będzie mógł wreszcie zasmakować życia, o jakim zawsze śnił.

- Ta perła jest zbyt piękna - orzekł niespodziewanie Juan

- Co to znaczy zbyt piękna? - roześmiał się Archer.

- Ona sprawi, że tylko jeden człowiek stanie się bogaty - prorokował złowieszczo nurek.

- Chyba na początek wystarczy dla nas obu? - Tom z zadumą zważył perłę w dłoniach.

- Na początek wystarczy, ale królestwa za nią nie kupicie. Uważajcie, ona może przysporzyć zgryzot i nieszczęścia.

Nie słuchali go zbyt uważnie, wciąż zachwyceni niezwykłym znaleziskiem. Woleli myśleć praktycznie, konkretnie. Woleli myśleć o tym, jak sprzedać perłę i za ile. Tom zdawał sobie sprawę, że w Broome otrzymają za nią mocno zaniżoną cenę. Nie mieli jednak ani właściwych kontaktów, ani wystarczającej ilości pieniędzy, by sprzedać ją drożej w Londynie czy w Paryżu.

- Nie damy zarobić pośrednikom - powiedział.

- Popływamy jeszcze jeden lub dwa sezony, aż zdobędziemy odpowiednie środki, by sami ją sprzedać. Najważniejsze, że jesteśmy na dobrej drodze.

- Dobra rada. Jutro będziemy w drodze do portu - przypomniał Archer - ale płyniemy do Broome tylko po prowiant. Masz rację, Tom, sami zajmiemy się tym cackiem. Ukryjemy je dobrze. Nie darowałbym sobie, gdyby coś mu się stało albo gdyby ktoś nas orznął.

Tom zacisnął pięść, aż klejnot wpił mu się w dłoń.

- Nie sądzisz, że warto zostać tu nieco dłużej? Wkrótce Juan dojdzie do siebie, a ja tymczasem mógłbym jeszcze poszperać na dnie.

- Chcesz trzymać skarb na pokładzie?

Tom zawahał się. Ufał swojej załodze, lubił ją i podziwiał. Lecz był świadom faktu, że nawet o wiele mniej cenne kamienie stawały się niekiedy powodem dramatycznych konfliktów.

- Nikt nie może się dowiedzieć o jego istnieniu - zdecydował po chwili. - Juan, przysięgnij, że nikomu nie powiesz.

Juan z powagą skinął głową.

- Sądzę, że możemy podjąć to ryzyko. Jeszcze parę dni na Cmentarzysku i ładownie zapełnią się po brzegi. Wtedy wrócimy do miasta, sprzedamy towar i uzupełnimy zapasy.

- A na razie zamkniesz ją w skrzynce? - spytał Archer, wpatrzony wciąż w dłoń ściskającą klejnot.

Tom rozprostował palce. Zamilkli, pozerając wzrokiem perłę, jak gdyby chcieli na zawsze zapamiętać ten widok. W końcu Tom ujął

kamień drugą ręką i delikatnie wsunął go do skrzynki.

Tej nocy Archer nie mógł zasnąć. Za każdym razem, kiedy zamykał oczy, widział olśniewający klejnot spoczywający w dłoni Toma - Toma, który był stworzony do posiadania wspaniałych pereł, który nie zaznał biedy ani rozpaczliwej samotności, który nigdy niczego nie pragnął dostatecznie silnie, by marzenia spędzały mu sen z powiek! I który tak bardzo upodobał sobie pływanie na „Odysei” oraz nurkowanie.

Archer nienawidził poławiania pereł, zaszczurzonego statku i całej tej pogańskiej załogi. Nie zdziwiłby się wcale, gdyby wszyscy zginęli na tych przeklętych wodach, rozbili się o skały lub zatruli parszywym jedzeniem. Tej nocy jednak najbardziej nie mógł sobie wybaczyć żywiołowej radości, jaka go przepełniła w pierwszym momencie na widok Królowej Pereł.

Cóż za naiwność! Jak mógł uwierzyć, że ten kamień odmieni całe jego życie? Wyobrażał już sobie głupi, jak to wraca do Broome, by pochwalić się Violi swoim skarbem i zaimponować nim jej ojcu. Sebastian Somerset, po okresie jawnego okazywania wdzięczności za uratowanie Nakaniszi, znacznie ostatnio ochłódł i stał się bardziej powściągliwy, jak gdyby wyczuwał, że Archerowi nie chodzi jedynie o wejście do towarzystwa. Perła mogłaby zmienić to nastawienie.

Mogłaby, gdyby była wyłącznie jego własnością.

Na razie leżała schowana w zamkniętej skrzynce i czekała na stosowny moment, by roztoczyć przed nim swoje wdzięki. Choć jej nie widział, czuł niemal fizycznie jej obecność, jakby zapowiedź obietnic, które miała spełnić w przyszłości. Za tak wspaniały klejnot można by nabyć i ziemię, i bydło, zwłaszcza jeśli posiadało się także lugry z ładowniami pełnymi cennych muszli.

Można by też zainwestować pieniądze w rozbudowę floty. Gdyby mieli dwa, trzy lub nawet cztery lugry, mogliby śmiało konkurować z perłowymi magnatami, takimi jak Somerset. Przy odrobinie szczęścia, w dobrym sezonie, pomnożyliby zyski, a w mniej udanym okresie zacisnęliby pasa. Mieliby zapewnione spokojne, dostatnie życie, zgodnie z wolą Toma.

Czy Viola zaakceptowałaby takie rozwiązanie? Czy zgodziłaby się za niego wyjść, gdyby dorównał jej ojcu? Czy przyjęłaby oświadczenia,

gdyby porzucił marzenia o własnej farmie, osiedlił się w Broome i zapowiedział, że dobrze mu tu i nigdzie nie wyjeżdża?

Nie, chyba nie. Po śmierci ojca Viola będzie dysponowała ogromnym majątkiem, będzie mogła go sprzedać i przeprowadzić się, dokąd zechce. Wątpił, czy będzie na niego czekała. Wyjdzie zapewne za innego mężczyznę, który zabierze ją jak najdalej od znienawidzonej Australii, i to niebawem, póki jest jeszcze młoda i ładna.

Tak, gdyby perła należała tylko do niego, nic nie stałoby na przeszkodzie, by zrealizować wszelkie życiowe plany. Jednakże spółka z Tomem wykluczała taką szansę.

A może Tom zgodzi się sprzedać perłę i kupić ziemię na spółkę, dostatecznie obszerne ranczo, by dwie rodziny nie wchodziły sobie w paradę? Ale przecież Tom lubi życie poławiacza i, co gorsza, zamierza poślubić Chinkę. Gdyby nawet udało się mu nakłonić przyjaciela do opuszczenia Broome, ten za nic nie rozstałby się z Willow. Archer był natomiast pewien, że Viola nie zaakceptowałaby takiego układu.

Gdyby perła należała tylko do niego...

Tak, wtedy życie byłoby znacznie prostsze.

Następnego dnia, tuż przed świtem, Bernard przewiesił się przez burtę i gwałtownie opróżnił zawartość żołądka.

- W brzuchu jakieś świństwo - wymamrotał, stękając żałośnie, po czym zwałił się bez sił w swoim zakamarku na rufie. Z przymkniętymi oczami i dłońmi splecionymi na piersiach przypominał nieboszczyka.

Zamieszanie na pokładzie obudziło Toma. Pospiesznie przyniósł koc i starannie okrył chorego.

- A ty, jak się dzisiaj czujesz? - zagadnął go Archer, wychodząc z kajuty w samych spodniach i przeciągając się leniwie jak człowiek, który spędził noc w błogim uśpieniu.

- Ja? Doskonale - rozpromienił się Tom, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że to perła wprowadziła go w tak radosny nastrój.

- Bernard wciąż zdycha?

- Mhm, wzięło go i nie chce puścić.

- To kawał chłopca, pewnie potrzebuje więcej czasu, by dojść do siebie. Cholerna ryba...

- To wcale nie musiała być ryba. Równie dobrze mogło mu

zaszkodzić coś innego.

- Cóż, z chorą załogą nie damy rady popłynąć do Broome. Poczekajmy kilka dni, zobaczymy, co będzie dalej. Jeżeli im się nie polepszy, sami będziemy musieli poprowadzić statek.

W tym momencie na pokład wychynęli Reece i Ahmed. Oznajmili, że czują się nieco lepiej. Była to dobra wiadomość, bowiem dzięki ich pomocy można było ponownie spuścić Toma pod wodę i wznowić polowy. Kłopotem była tylko niedyspozycja Bernarda, no i Juana, ale nikt nie spodziewał się chyba, że nurek mógłby zejść pod wodę osłabiony przebytą chorobą.

- Brakuje nam tylko osoby pilnującej lin - odezwał się Tom. - Gdyby Ahmed i Reece zmieniali cię przy pompie, mógłbym zanurkować.

- Chcesz, to nurkuj - zgodził się Archer. - Wiem, co i jak trzeba robić. Wiele razy pomagałem Bernardowi. W razie kłopotów jest przecież pod ręką, nie ma sprawy.

Praca osoby nadzorującej liny była bodaj najważniejszą czynnością na statku poławiaczy pereł. Co prawda to od nurka zależał sukces w danym sezonie, lecz od nadzorującego akcję marynarza zależało życie nurka.

- Sam nie wiem - zawahał się Tom. - Wczoraj mi się udało, ale może nie ma co kusić losu. Nie mam zbyt dużej wprawy, ty też tego nigdy nie robiłeś. Żaden z nas nie ma doświadczenia.

- Ja cię nie namawiam, Tom. Wiem, że tam, na dole, jesteś skazany tylko na siebie. Jeśli popełnisz błąd, święty Boże nie pomoże. Ale ja, tutaj, mam do dyspozycji całą załogę. Bernard nie jest chyba aż tak chory, żeby nie mógł mi w razie czego doradzić.

Argumenty Archera brzmiały rozsądnie i Tom chętnie ich usłuchał, nie dziwiąc się zbyt, czemu to przyjaciel, jeszcze wczoraj zawzięty przeciwnik spuszczenia pod wodę współnika, teraz zdaje się sprzyjać jego pomysłom. Może Archer stał się bardziej wyrozumiały? Może rozumie mnie lepiej, myślał Tom. Był szczęśliwy, że poprzedniej nocy odnowiła się między nimi dawna zażyłość. Perła przywróciła napiętym stosunkom dawną braterską serdeczność. Archer wydawał się od tego momentu inny, odmieniony, jakby bardziej stanowczy i mniej marudny, zdecydowany obrócić tę wyprawę w prawdziwy sukces. Znowu stali się prawdziwymi przyjaciółmi, połączeni dążeniem do wspólnego celu.

- No to spróbujmy - postanowił w końcu Tom. - Zejdę pod wodę tylko kilka razy, żeby chłopcy przy pompach się nie przeforsowali. A nuż uda się napełnić ładownie przed powrotem do Broome.

- Dobra - przyklasnął tej decyzji Archer. - Zaczynamy po śniadaniu. Wypytam do tego czasu Bernarda, żeby wiedzieć, co i jak. Zachowamy wszelkie środki ostrożności. Nie dam ci zginąć, bracie.

- Jak za dawnych czasów - ucieszył się Tom, klepiąc przyjaciela po ramieniu. - Widzisz, Archer? Znowu moje życie spoczywa w twoich rękach. Widocznie tak jest nam pisane.

- Widocznie.

Kilka minut później na pokładzie pojawił się Juan, blady i osłabiony. Zapewnił, że noc przyniosła mu trochę wytchnienia.

- Ale dzisiaj nie będę nurkował - dodał tonem niepodlegającym dyskusji, czego zresztą wszyscy się spodziewali.

- W porządku. Ja zejść pod wodę - uspokoił go Tom, nalewając mu świeżo zaparzonej herbaty. - Archer będzie pilnował lin.

Twarz Juana zmarkotniała, ale wątpliwości zachował dla siebie.

- Masz dla mnie jakieś dodatkowe wskazówki? - pytał tymczasem Tom. - Mów o wszystkim, co mogłoby nam pomóc. Im prędzej napełnimy ładownie, tym szybciej wrócimy do Broome.

- Wracajmy od razu. - Juan zamknął palce wokół gorącego kubka. - Tak będzie najlepiej.

- Czeka nas długa podróż, a załoga jeszcze nie wyzdrowiała. Chyba wolę poczekać.

- No to czekaj. Ale nie nurkuj.

- Dlaczego?

- Pilnujący lin musi być cierpliwy i uważny. Musi umieć odczytywać sygnały i mieć pewną rękę. Musi wyczuwać wszystko, co się dzieje.

- Wiem, Juan.

- Bernard to potrafi. Wie, co się dzieje pod wodą. On to czuje.

- Tak, wiem - powtórzył cierpliwie Tom - ale Bernard jest chory, a Archer zgodził się spróbować. Nie dopuści, żeby mi się coś stało. Ufam mu.

- Nurek i pilnujący powinni skupić się tylko na tym, co się dzieje

pod wodą. Nie powinni rozmyślać o tym, co ich czeka w przyszłości.

- Jasne. Przykażę Archerowi, żeby niczym nie zaprzętał sobie głowy. Zresztą będziecie go z Bernardem stale mieć na oku.

Juan w milczeniu pokręcił głową, więc Tom, widząc, że go nie przekona, wstał i powiedział krótko, dając tym samym do zrozumienia, że uważa sprawę za przesądzoną:

- Pójdę po kombinezon. Skończ śniadanie i zaczynamy.

Kiedy jednak wkładał później podwodny strój, ogarnął go dziwny niepokój. Nie palił się do zejścia na dno, a przymusowy postój wcale mu był nie w smak. Tęsknił za Willow, chciał jak najszybciej przekazać jej dobre nowiny. Wiedział, że dziewczyna przyjmie go takim, jaki jest, nawet bez sławy i bogactwa, choć zarazem cieszył się, że nareszcie podaruje jej coś cennego. Pożałował nagle swojej decyzji pozostania na Cmentarzysku. Gdyby był bardziej przewidujący, głosowałby za powrotem do portu. Nie chciał jednak sprawić zawodu Archerowi ani zerwać cienkiej nici bliskości, jaka się znów między nimi zawiązała.

Juan z posępną miną obserwował przygotowania.

- Niedługo wyzdrowiejesz - próbował pocieszać go Tom. - Czekają na ciebie tysiące wspaniałych muszli. No, nie bądź taki ponury. Nie zabiorę ci wszystkich.

- Chyba już nigdy nie będę nurkował - mruknął tajemniczo Juan, po czym obrócił się i odszedł.

- Co mu się stało? - zasępił się Tom.

- Kto go tam wie - westchnął Archer. - Wszyscy kolorowi są przesądni jak diabli. Boją się własnego cienia.

Zimny dreszcz przebiegł Tomowi po plecach. Znów miał ochotę się wycofać. Zerknął ukradkiem na Archera i dostrzegł w jego twarzy cień zwątpienia, a nawet pewności, że Tom go zawiedzie. Nie, zbyt wiele zawdzięczał przyjacielowi, by mu nie zaufać. Archer skrupulatnie sprawdzał kombinezon i dokonywał ostatnich poprawek. Poruszał się sprawnie i precyzyjnie, jakby od lat nie zajmował się niczym innym.

- Dobrze ci idzie - uśmiechnął się do niego. - Jeżeli Bernard wkrótce nie wyzdrowieje, przejmiesz jego obowiązki.

- Nie podjąłbym się czegoś, na czym się nie znam.

- No to powodzenia.

- Tobie też.

Archer ujął ciężki hełm obiema rękami i przez chwilę trzymał go niepewnie w powietrzu. Potem nałożył go na głowę Toma i zaczął przykręcać śruby.

- Archer? - zadudnił pod hełmem głos Toma.

- Co takiego?

- Pamiętasz, co mówiłem wczoraj o Willow?

- A co, zmieniłeś co do niej zdanie?

- Nie, ale łatwiej mi będzie nurkować, wiedząc, że się nią zaopiekujesz, gdyby coś mi się stało.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. No, ruszaj, i przynieś nam same skarby.

Ahmed i Reece zaczęli tłoczyć powietrze do hełmu, Tom odepchnął się od burty i zaczął powoli schodzić pod wodę.

Ani na chwilę nie odstępowały go myśli o Willow i o dzieciach, które mu urodzi. A może już jest w ciąży? Ogarnął go naraz nieodparty żal, że tak długo zwlekał ze ślubem. Liczył, że z czasem znajdą sposób, by ich związek został powszechnie zaakceptowany, teraz jednak był przekonany, że czekał niepotrzebnie. Poprzedniego dnia marzył, by pokazać jej niezwykły, podwodny świat. W tej chwili oddałby wszystkie skarby, by znów znaleźć się w małym bungalowie na przedmieściach obok swojej ukochanej. Pragnął tulić Willow w ramionach, czuć bicie jej serca na swojej piersi...

Szkoda, że kiedyś nie potrafił cieszyć się każdą chwilą: zwiewnymi obłokami mgły opadającej nad zatoką San Francisco, intensywnym szkarłatem kwiatów bugenwilli na tle zardzewiałego, żelaznego płotu, aromatycznym zapachem jaśminowej herbaty...

Poczuł nagle ciężar zamykających się powiek i zdał sobie sprawę, że zasypia. Sprawdził zawór powietrza. Słyszał bulgot wydychanych bąbelków, ale dźwięk ten przypominał raczej monotonne nuty kołysanki. Z trudem otworzył oczy. Wziął głęboki oddech. Mimo uspokajającego odgłosu pracującej pompy, mimo szaleńczych prób regulacji zaworu coraz mocniej czuł, że brakuje mu powietrza.

Tylko nie wpadaj w panikę, przywołał się do porządku. Jeszcze raz spróbował podkręcić zawór. Bez skutku. Szumiało mu w głowie, w

palcach odczuwał bolesne mrowienie.

Szarpnął gwałtownie za linę. Coś było nie tak, ale co? Może gdzieś zacisnęła się rurka? A on tu sam, pod wodą, zupełnie bezradny...

Boże jedyny, trzeba jak najszybciej wydostać się na powierzchnię! Póki hełm nie wypełnił się śmiertcionośnym czadem!

Przygotował się do wynurzenia i rozpaczliwie szarpnął za linę.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Coś się zdarzyło na pokładzie, przebiegło mu przez myśl. Archer zapewne gorączkowo usiłuje naprawić uszkodzenie. Za chwilę zasygnalizuje, że wszystko w porządku. Rurką popłynie życiodajny tlen i przywróci mu siły.

Ostatkiem tchu próbował szarpnąć linę raz jeszcze, lecz zdrętwiałe palce odmówiły posłuszeństwa. Ciężka niczym głaz głowa opadła mu na piersi. Powoli tracił przytomność. Osunął się na kolana, zachwiał i upadł na plecy.

Wzywał imię Archera, ale nikt go nie słyszał. Gdzieś ponad nim miarowo pracowała życiodajna pompa, a w kajucie Juana spoczywała w zamknięciu Królowa Pereł, czekając na hojnego kupca.

Zmarł szybko, walcząc rozpaczliwie o odrobinę tlenu, ale nie dość szybko, by w ostatnim przebłysku świadomości nie odkryć prawdy - najlepszy przyjaciel poświęcił go dla perły.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Archer pochował Toma ponad linią przyływu, na plaży, blisko miejsca jego śmierci. Postawił prosty, drewniany krzyż, zmówił pacierz i odszedł. Nikt z załogi nie brał udziału w pochówku. Odmówili pomocy i Archer sam musiał wykopać grób, trzymając cały czas pistolet w pogotowiu. Oni zaś stali na skraju plaży i patrzyli. Dopiero gdy Archer zniknął z pola widzenia, zbliżyli się do mogiły, by w milczeniu złożyć na niej drobne dowody przyjaźni.

Był świadom, że wszyscy na pokładzie podejrzewają go o zamordowanie przyjaciela, że są tego niemal pewni. Jednakże tylko Juan wypowiedział to głośno.

- Tobie się wydaje, że tak będzie dla ciebie lepiej - mruknął, gdy bezkształtne ciało Toma spoczęło na pokładzie, owinięte w koc i płótno.

- Ale my już dopilnujemy, żeby nikt dla ciebie nie pracował. Wszyscy się dowiedzą, co zrobiłeś. Wszyscy!

- Powtarzam ci, Juan, Tom nie sygnalizował, że dzieje się coś złego. Nie miałem pojęcia, że ma kłopoty, póki nie poczułem, jak jego ciało opada na dno!

- Myślisz, że nie wiem, co zrobiłeś z zaworem?

- Był uszkodzony, musisz mi uwierzyć. Jak możesz mnie posądzać, że go zabiłem? Tom był moim najlepszym przyjacielem!

- I ostatnim.

Archer nie spał dwie noce, które dzieliły ich od Broome. Przez cały czas miał się na baczności, by nie odwrócić się plecami do reszty załogi. Wciąż też trzymał broń w zasięgu ręki.

W Broome marynarze opuścili statek bez słowa pożegnania. Na nic zdały się groźby, że nie otrzymają zapłaty, jeśli nie zabiorą się do rozładunku. Archer zrezygnował, gdy zdał sobie sprawę, że się nie ugną.

Zabezpieczył lugier, zamknął ładownie i z drogocenną skrzynką pod pachą udał się do banku.

Jeszcze na morzu, przez większą część drogi do portu, Archer snuł plany na przyszłość. Początkowo postanowił zapomnieć o powziętych jeszcze z Tomem ustaleniach i natychmiast sprzedać perłę. Ale była ona tak olśniewająca, tak wspaniała, że nie potrafił się z nią rozstać. Chciał, by Sebastian Somerset ją zobaczył, żeby wiedział, jaki to człowiek prosi o rękę jego córki. Chciał pokazać ten klejnot Violi i udowodnić, że dotrzymuje obietnic. Miał wrócić bogaty - i oto jest.

Ostatecznie, z kluczykiem od skrzynki w kieszeni, skierował się do hotelu Roebuck Bay. Recepcjonista wskazał mu pokój, ale nie był zbyt rozmowny. Archer opowiedział mu o tragedii na pokładzie „Odysei”, lecz nie znalazł współczucia. Uchwycił za to nieufne spojrzenie sponad druczianych okularów i usłyszał beznamietne słowa:

- Lubilem Toma, był prawdziwym dżentelmenem.
- W takim razie dziwnie spokojnie przyjmujesz wiadomość o jego śmierci.
- Już o niej wiedziałem.

Archer zaklął w duchu. Mimo grózb Juana, nie spodziewał się, że wieść rozniesie się lotem błyskawicy.

- Wiem, że załoga obwinia mnie - powiedział, wpatrzony w przestrzeń. - A ja naprawdę zrobiłem wszystko, co mogłem, by go uratować. Byliśmy przecież przyjaciółmi... Gdybym mógł, oddałbym za niego własne życie.

- Szkoda, że to już niemożliwe - odparł kwaśno recepcjonista i odszedł, zanim Archer zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

W pokoju hotelowym rozpakował swoje rzeczy i otworzył skrzynkę. Na ładzie, w dziennym świetle, perła wyglądała równie okazale, jak wtedy, na morzu, przy chybotliwym płomyku naftowej lampy. Trzymał ją delikatnie na dłoni, zastanawiając się, co ma właściwie z nią począć. Ukryć? Ale gdzie? Żadne miejsce nie wydawało się dość bezpieczne. Zanieść do banku i zamknąć w sejfie? Ale czyż jej widok nie skłoniłby któregoś z pracowników do przestępstwa? Ów klejnot rozpałał najzarliwsze namiętności, najbardziej niepohamowane żądze. Jeszcze się taki nie narodził, co by potrafił nie ukraść jej przy pierwszej

sposobności.

Postanowił nie rozstawać się z perłą. Wolałby umrzeć, niż ją stracić. Zdjął z szyi chustkę, zawinął w nią cenną zdobycz i ponownie zawiązał chustkę tak, by klejnot bezpiecznie spoczął w zagłębieniu między obojczykami.

Odprężony i uspokojony, zabrał się do pisania listów - jednego do Sebastiana Somerseta, drugiego, osobno, do Violi. Zdał relację z dramatycznych okoliczności śmierci Toma, napisał, że coś złego stało się pod wodą i że Tom prawdopodobnie uległ panice, bo nie alarmował. Wspomnił o tym, jak próbował ratować przyjaciela, a na zakończenie nadmienił, że jest coś, co koniecznie musi Sebastianowi pokazać. W drugim liściku, do Violi, pokrótce streścił historię Toma i poprosił o sekretne spotkanie. Potem zszedł poszukać posłańca.

Przed wykreśleniem Toma Robesona raz na zawsze ze swojego życia Archer musiał uporać się z jeszcze jednym problemem - z Willow, którą obiecał się zająć. Spodziewał się, że ludzie w Broome będą podejrzliwi. Brał nawet pod uwagę możliwość przesłuchań przez lokalną policję. Jeżeli nie uczyni nic dla Willow, jego reputacja dodatkowo ucierpi. Jeśli jednak zaopiekuje się nią teraz, przekonanie, że to on jest winny, znacznie osłabnie.

Postanowił nie zwlekać. Przebrał się i wyruszył do domku, w którym mieszkał Tom, chociaż wcale nie miał ochoty stawiać czoła ani Willow, ani temu miejscu. Nie mógł się oprzeć niemiłemu wrażeniu, że jego zmarły przyjaciel wciąż jest tam obecny - w ogrodzie, który urządził dla Willow, w wiklinowym fotelu na werandzie, w muszlach i w wyrzucanych przez morze kawałkach drewna, które oboje z Willow kolekcjonowali i z których układali przedziwne, fantastyczne kompozycje.

Decyzję o zamordowaniu Toma podjął bez dłuższego zastanowienia. Wystarczyła jedna bezsenna noc, spędzona na marzeniach o przyszłości. Skoro na Kubie uratował Toma przed śmiercią, darując mu w ten sposób dwa lata życia, zdecydował, że teraz ma prawo mu je odebrać. Przestali być sobie potrzebni, ich drogi i tak by się rozeszły. Archer szczerze żałował, że był zmuszony zabić przyjaciela, ale już dawno temu nauczył się, że należy dbać przede wszystkim o siebie. Dlatego też i

teraz postanowił jak najszybciej uporządkować sprawy z Willow i rozpocząć nowe życie.

Już z dala usłyszał żalosne zawodzenie i zwolnił kroku. Domyślał się, czyj to głos. Odruchowo poprawił chustkę na szyi i skręcił w stronę bungalowu.

Drzwi zagroziła mu Hinduska, ta sama, która odprowadzała Willow, gdy wypływali na sezon w morze. Miała ciemną skórę i szerokie biodra. Jej oczy potępiły go, nim zdążył się odezwać.

- Przyszedłem zobaczyć się z Willow.
- Po co? - warknęła. - Żeby zabić?
- Wpuść mnie, głupia, nikogo nie zabiłem! Przyszedłem coś jej dać. Kobieta zmarszczyła brwi.
- Juan Fernandez mówi, że ty zabił Toma.
- Juan musi zrzucić na kogoś winę. Wybrał mnie.

Był pewien, że kobieta mu nie wierzy, z łatwością mógł to wyczytać z jej zagniewanej twarzy, która jednak natychmiast złagodniała, kiedy w progu ukazała się drobna dziewczęca postać.

- Mówię mu, żeby stąd szedł - odezwała się Hinduska.
- Zaczekaj.

Sarkając i mrużąc pod nosem, posłusznie odsunęła się, by przepuścić Willow.

- Co cię tu sprowadza? - Dziewczyna spojrzała mu w twarz wzrokiem tak bolesnym, że aż zadrzało mu serce. Miała opuchniętą twarz i zaczerwienione oczy. Włosy opadały jej w nieładzie na ramiona. Mimo to Archer musiał przyznać, że jest piękna. Zrozumiał teraz, dlaczego Tom zachowywał się z jej powodu jak ostatni głupiec, ale wciąż nie potrafił mu tego wybaczyć.

- Obiecałem Tomowi dać ci to, gdyby coś mu się stało. Chcę dotrzymać słowa. - Wyjął z kieszeni chusteczkę i rozłożył ją na dłoni. Leżała na niej maleńka perła, pierwsza, jaką Tom znalazł, i ta sama, którą postanowił podarować ukochanej. - Prosił, żeby ci ją przekazać.

Willow spojrzała na perłę, lecz jej nie ruszyła. Archer nie opuszczał wyciągniętej dłoni, więc po długim namyśle sięgnęła po lśniąca kulkę.

- Juan Fernandez mówi, że jest jeszcze inna. Archer milczał.
- Królowa Pereł. Połowa wartości należy do Toma.

Złożył chustkę i wsunął ją do kieszeni.

- Co z tego, skoro Tom nie żyje? Daję ci tę perłę. Tom chciał, żebyś ją miała. Nie dlatego że jestem ci coś winien, ale dlatego....

- Winien? - przerwała mu ostro. - Mnie nie jesteś nic winien. Ale dziecku Toma winien jesteś to, co do Toma należało.

- Tom nie ma dzieci.

- Mylisz się. - Willow dotknęła brzucha. - Ma. Archer poczuł się tak, jakby grunt usuwał mu się spod nóg. Nie brał pod uwagę takiego obrotu sprawy. Na chwilę stracił pewność siebie. Pozbył się partnera, by mieć pełne prawo do klejnotu, który należał do nich obu. Czyżby to wszystko miało pójść na marne? Oprzytomniał, gdy dotarł do niego absurd sytuacji. Niepokój ustąpił nagle miejsca uczuciu ulgi i gniewowi.

- Ty dziwko - wycedził, patrząc na nią zimnym wzrokiem. - Tom wyciągnął cię z burdelu. Naprawdę sądzisz, że ktokolwiek uwierzy, że to jego dziecko?

- To jest dziecko Toma.

- To ty tak twierdzisz!

Oczywiście nie miał żadnych wątpliwości, że dziewczyna mówi prawdę. Tom opowiedział mu przecież o tym, że uratował Willow, że kochał się z nią i że ta mała Chinka okazała się dziewicą. Nie sądził jednak, że dałoby się to teraz w jakikolwiek sposób udowodnić.

Zaczął schodzić po schodkach werandy.

- Dałem ci perłę Toma. - Odwrócił się, stojąc na ostatnim stopniu. - Sprzedaj ją albo zatrzymaj, nic mi do tego. Jeżeli nie będziesz mnie dalej oczerniać, to może przyślę ci parę groszy, kiedy sprzedam tegoroczny połów. Ale pamiętaj: nie dlatego że jestem ci cokolwiek winien.

Willow wyprostowała się dumnie. Jej rozplómięte oczy zdawały się przebijać Archera na wylot.

- Mówię prawdę - powiedziała cicho, lecz głosem twardym i zdecydowanym, zupełnie niezwykłym jak na osobę tak drobnej postury i tak łagodnej urody. - Prawdy nie można zagłuszyć ani kupić. Nie zdołasz pieniędzmi uspokoić własnego sumienia. Ja mam dziecko Toma, ty nie masz nic. Nie zaznasz spokoju. Nie zaznasz snu. Nie będziesz miał przyjaciół. Masz tylko perłę, która będzie cię prześladowała do końca życia. Ja też nie przestanę cię gnębić.

Zamilkła. Archer poczuł się tak, jak gdyby rzuciła na niego przekleństwo. Opanowało go skrajne znużenie, a w serce wdarł się dziwny niepokój. Chciał coś dodać, wyśmiać ją, ale nie znalazł słów. Odwrócił się więc i odszedł.

Na odpowiedź od Violi i Sebastiana czekał dwa dni. Nie doczekał się, toteż trzeciego dnia napisał liściki identyczne jak poprzednie i wręczył je innemu posłańcowi. Minął kolejny dzień, a Somersetowie nadal nie dawali znaku życia, mimo że wiedział, że są w mieście.

Z hotelowego pokoju wychodził jedynie na posiłki. Spał na siedząco, z pistoletem gotowym do strzału i perłą ukrytą na szyi. Marzył, by zasnąć głębokim, kamiennym snem, gdy perła będzie już sprzedana, a pieniądze bezpiecznie zdeponowane w banku. Marzył o tym, by dzielić bogactwo z Violą i zyskać obietnicę jej przychylności. Oczami wyobraźni widział swoje przyszłe ziemie i bydło, które chciał hodować. Wystarczyło jednak, by na chwilę zmógł go sen, a udręczone sumienie przywoływało trupio bladą twarz Toma.

Toma, który był jego najlepszym przyjacielem...

Następnego dnia, zrezygnowany i wściekły, udał się do Fabiana Wellsa, o którym mówiono, że sprzedał z powodzeniem wszystkie perły wyłowione przez Somerset. Został przyjęty grzecznie, lecz chłodno.

- Przyniósł pan coś, panie Llewellyn? Archer skinął bez słowa głową. Nie jeden raz wyobrażał sobie tę chwilę, ale teraz był zbyt wycieńczony, by wdawać się w konwersacje.

- Przykro mi, mam teraz spotkanie - poinformował go gospodarz. - Wrócę około pierwszej. Będzie mi miło, jeśli zechce pan poczekać lub zajrzeć do mnie po południu.

- Na tym spotkaniu na pewno nie czeka pana nic wspanialszego niż to, co przyniosłem panu pokazać - odezwał się wreszcie Archer.

- Być może, ale ja nie mogę zawieść moich stałych klientów. Mam szczerą nadzieję, że wróci pan później.

Archerowi z trudem udało się zapanować nad sobą.

- Może przyjdę, a może nie!

Resztę przedpołudnia spędził na poszukiwaniu ludzi do pomocy przy rozładowywaniu towaru.

Nie było to łatwe, a gdy się wreszcie udało, najęci pracownicy

zachowywali się nader powściągliwie. Zresztą podobnie było wszędzie, gdzie tylko się pojawił. Nikt się do niego nie odzywał pierwszy. Wystarczyło, że wszedł do pokoju, a rozmowy cichły.

Koło pierwszej wrócił do domu Wellsa. Dość długo kazano mu czekać na werandzie, gdy zaś miał już zrezygnować i poszukać innego kupca, poproszono go wreszcie do gabinetu. Idąc korytarzem, kątem oka zauważył Europejkę i białe dziecko, ubrane w nieskazitelnie białe ubranko, ale ani ono, ani matka nie zaszczycili go nawet jednym spojrzeniem.

Wells nie był sam. Towarzyszyli mu Sebastian Somerset oraz sierżant miejscowej policji. Archerowi serce zamarło na ich widok i zatrzymał się przezornie w progu.

- Zdaje się, że przyszedłem nie w porę. Czyżbym to ja był przedmiotem dyskusji?

- Niech pan wejdzie, panie Llewellyn - zwrócił się do niego Fabian. - I niech zamknie pan drzwi.

Archer walczył ze sobą, by nie dać po sobie poznać zdenerwowania.

- Przyszedłem dobić targu. Do tego nie potrzeba nam świadków.

- Pan Somerset i pan sierżant chcieli się do nas przyłączyć. Podobno ma pan niezwykłą perłę, chcielibyśmy się jednak dowiedzieć skąd.

- Pan Somerset dowiedział się o tej perle bezpośrednio ode mnie. Wie, skąd się wzięła. Nie zamierzam wracać do tej historii.

- Przejdźmy zatem do sedna sprawy - odezwał się policjant. - Załoga „Odysei” twierdzi, że zamordował pan swojego współnika, by nie dzielić się z nim zdobyczą.

- Lubili Toma, jak zresztą wszyscy. Dlatego teraz na gwałt szukają winnego. Może to i moja wina - westchnął Archer. - Tom upierał się, żeby nurkować, a Bernard był chory. Sądziłem, że wiem wszystko, i zgodziłem się go asekurować. Nie dawał żadnych sygnałów. A ja czekałem. Zdawało mi się, że wszystko jest w porządku. Potem poczułem coś jakby szarpnięcie i wtedy... - urwał, przymknął oczy, pokręcił głową gestem

człowieka udręczonego.

- Juan Fernandez twierdzi, że hełm był uszkodzony.

Archer potrząsnął głową.

- Że niby ja uszkodziłem hełm? Jak mógłbym coś takiego zrobić? To bzdura! Owszem, hełm został uszkodzony, ale dopiero wtedy, kiedy wyciągnęliśmy Toma na pokład i chcieliśmy jak najszybciej uwolnić ciało z kombinezonu.

- Juan Fernandez twierdzi co innego.

- Wymyślił sobie własną wersję i ją powtarza. Od początku mnie nie lubił.

- Może więc opowiesz nam swoją wersję wydarzeń? - zaproponował Sebastian Somerset.

- Jasne, proszę bardzo. Kiedy wcześniej sprawdzałem sprzęt, wszystko było w porządku. Tom nie miał doświadczenia, bo nurkował zaledwie kilka razy. Najpierw wszystko szło jak z płatka. Prawdopodobnie pojawiły się jednak jakieś problemy i wpadł w panikę. Chyba nie powinien schodzić na dno na Cmentarzysku. Może trafił w jakąś rozpadlinę i nie zdążył wyregulować dopływu powietrza? Nie dawał żadnych sygnałów, więc byłem spokojny. Pompowaliśmy tlen, ale on pewnie dostawał go za mało. To wszystko, co mogę powiedzieć. Nikt nigdy nie dowie się, jak było naprawdę. Wie to tylko Tom.

- Cóż, w tej sprawie rzeczywiście nic więcej nie da się zrobić - orzekł sierżant, zwracając się z ciężkim westchnieniem do gospodarza. - Mamy słowo Llewellyna przeciwko słowu załogi. Wszystkie dowody zostały zniszczone. Llewellyn z pewnością miał powód, żeby zabić Robesona. Motyw by się znalazł, ale nie mamy dowodów.

- Wypraszam sobie! - warknął Archer. - To pomówienia! Po co było urządzić taką konfrontację, skoro nie macie dowodów? Gdybym miał coś do ukrycia, dałbym nogę z miasta, i tyle.

- Nie wyjechałeś tylko dlatego, że chcesz zabrać ze sobą moją córkę - wtrącił chłodno Somerset. - Wraz ze wszystkim, co odziedziczy.

- Kolejna bzdura - zachnął się Archer. - Kocham Violę, to prawda. Chcę się z nią ożenić, ale nie dla jej pieniędzy.

Sebastian uśmiechnął się kpiąco.

- Wiem, że to ty zebrałeś dowody przeciw Freddy'emu Colsonowi. W głębi serca jestem zaś przekonany, że zabiłeś swojego wspólnika. Taki człowiek miałby się wżenić w rodzinę Somersetów? Prędzej wydziedziczę moją córkę, niż do tego dopuszczę.

- Jeżeli chodzi o Freddy'ego, to chciałem zrobić panu przyjacielską przysługę. Uważałem, że powinien pan znać prawdę o swoim najbliższym współpracowniku. Jeśli zaś chodzi o Toma, to mogę jedynie stwierdzić, że oskarżacie mnie bezpodstawnie.

- A jeśli chodzi o moją córkę?

Archer speszył się przez moment i gorączkowo szukał odpowiedzi. Jakież sens miałoby małżeństwo z Violą bez obietnicy spadku?

- Nie mogę za nią decydować - odparł, wzruszając ramionami. - Viola jest dobrą córką, a szacunek, jakim pana darzy, znaczy dla niej więcej niż...

- Szacunek? - Somerset zaśmiał się gorzko. - Zupełnie nie znasz mojej córki. Ona najchętniej zabiłaby mnie we śnie, gdyby tylko miała pewność, że nikt jej nie przyłapie. Teraz, gdy masz pieniądze, pojedzie za tobą na koniec świata, wystarczy jedno twoje słowo. Musisz jednak wiedzieć, że nie dostanie ode mnie złamanego grosza.

- Zdaje się, że najlepiej będzie, jak sprzeda pan perłę i od razu opuści nasze miasto - niespodziewanie wtrącił się Fabian. - Jestem gotów dać panu za nią najwyższą cenę w całym Broome, by ułatwić panu ten wyjazd. Na „Odyseję” znajdzie pan kupca, ale ostrzegam, że cena nie będzie wygórowana. Przecież żadna załoga nie zechce już na niej pływać.

Odmowa nie miałaby najmniejszego sensu, kalkulował Archer. Potrzebował pieniędzy, a nikt inny nie był gotów dać mu tyle, co Wells. Nie zamierzał również osiedlać się w Zachodniej Australii, skoro Somerset pomieszał mu szyki i plany matrymonialne spaliły na panewce. Odwiązał chustę i jednym ruchem odwinął perłę. Położył ją na stole przed Fabianem i spojrzął w twarze swoich rozmówców.

Wszyscy bez słowa wpatrywali się w klejnot.

- Dla Toma była bezcenna - Archer odezwał się pierwszy.
- Rzeczywiście, zapłacił za nią własnym życiem.
- Nie z mojej winy.

Znów zapadło milczenie. Wreszcie Fabian drżącą dłonią dotknął połyskującego skarbu i szepnął, jednocześnie przejęty, strwożony i zachwycony:

- Tak wygląda perła, dla której warto zabić.

Archer miał nadzieję, że Królowa Pereł przyniesie mu fortunę. Mimo braku doświadczenia próbował w przybliżeniu oszacować wartość klejnotu, ale suma, jaką zaproponował Fabian, przerosła jego najśmielsze oczekiwania. Nawet nie próbował się targować. Wziął, co mu dawano, i był teraz bogatym człowiekiem. Niewyobrażalnie bogatym. A perła, niebezpiecznie piękna, dźwigająca ciężar przykrych wspomnień, usunęła się z jego życia.

Zdeponował pieniądze w banku i wrócił do hotelu. Zamierzał kilka dni odpocząć, a następnie poszukać ziemi, gdzie mógłby się osiedlić i rozpocząć budowę swego królestwa. Skoro nie mógł liczyć na majątek Violi, trzeba było przy wyborze zachować szczególną ostrożność. Dobra, mądrze zarządzana farma zapewniłaby mu wszystko, o czym od tak dawna marzył. Żałował jedynie, że to nie Viola będzie matką jego synów.

Mimo zmęczenia długo nie mógł zasnąć. Leżał, wpatrując się w sufit, gdy wtem usłyszał pukanie. Przeszedł przez pokój z pistoletem gotowym do strzału i ostrożnie uchylił drzwi. W progu stała Viola, jeszcze piękniejsza niż ta, którą pamiętał.

Odłożył broń i pospiesznie wciągnął ją do środka.

- Co tutaj robisz?
- Ojciec zamknął mnie w sypialni, kiedy się dowiedział, że nie wyjechałeś. Przekupił Ashwara, żeby przynosił mu liściki od moich adoratorów. Zamknął mnie, kiedy wpadł mu w ręce twój.
- On sądzi, że zabiłem mojego współnika.
- Wiem, o niczym innym nie mówi.
- Po co więc przyszłaś?
- Obiecałam ci, że wyjdę za ciebie, kiedy będziesz bogaty.
- Ojciec cię wydziedziczy, jeśli się pobierzemy.
- Nie powiedział ci całej prawdy. Zataił, że już mam zapisany spadek. Otrzymam go niezależnie od jego zgody. To dlatego mnie zamknął.

Archer ujął w palce pasmo włosów, które zsunęło się jej na ramię. Viola nie zaprotestowała.

- O jakim spadku mówisz? - zapytał.
- W zeszłym roku zmarł brat mojej matki. Miał mnóstwo ziemi, w

całej Australii.

- I zostawił wszystko tobie?

- Nie. Rozdzielił majątek między siostrzeńców i bratanków. Moja część jest największa, leży na Terytorium Północnym. Nazywa się Jimiramira.

- Co to znaczy?

- Nie wiem. To słowo z języka Aborygenów.

- Dlaczego nie wspomniałaś mi o tym wcześniej?

- Dowiedziałam się już po twoim wypłynięciu. Ojciec chce, żebym trzymała się z dala od tej ziemi. Twierdzi, że jest bezwartościowa. Ale wujek pisał w listach, że położona jest blisko rzeki, a więc to nie pustynia. Jeśli tam pojedziemy, inni pojedą za nami. A my będziemy tam panować, jak król i królowa.

Archer przyciągnął ją do siebie i zajrzał jej w oczy. Zrozumiał, że Viola potrzebuje go nie mniej niż on jej. Że są dla siebie stworzeni, przeznaczeni.

- Będę panią ziemi, którą ty będziesz zarządzał - oznajmiła, jakby czytając w jego myślach. - W zamian dostaniesz tę ziemię. I synów.

Pocałował ją zaborczo. Oddała mu pocałunek. Nie sprzeciwiła się także niczemu, co stało się potem. Archerowi wydawało się, że nawet sprawia jej to przyjemność. Kiedy jednak skończyli się kochać i leżeli bez tchu na łóżku, oboje w milczeniu wpatrywali się w sufit.

I żadne z nich nie mogło zasnąć.

Pobrali się tak szybko, jak tylko zezwalało na to prawo. Violi pozwolono zabrać z domu jedynie ubrania. Matka przeszmuglowała jej trochę rodzinnej biżuterii, ale odmówiła pożegnania z córką.

Po dwóch dniach poszukiwań znaleźli Aborygena, który znał drogę do Jimiramiry. Archer kupił wytrzymałe konie, powóz oraz wszystko, czego potrzebowali. Viola obawiała się nieco dalekiej podróży, ale zgadzała na nią, tłumacząc sobie, że nagroda czekająca na miejscu warta jest pewnych trudów.

Nie zdążyli daleko ujechać, gdy drogę zagroził im Sebastian Somerset.

- Nie mogłem pozwolić, byś wyjechała bez ślubnego prezentu - zwrócił się do córki.

- Co to jest? - zapytała, nie ruszając się z miejsca.
- Otwórz i sama zobacz.

Viola z wahaniem spojrzała na męża. Gdy przyzwalająco skinął głową, wyciągnęła dłoń po małe pudełeczko.

- Dziękuję - szepnęła łamiącym się głosem.
- Chcę, żebyś obejrzała go od razu. To ma dla mnie duże znaczenie.

Przez chwilę Archerowi zdawało się, że Viola odmówi. Otworzyła jednak paczuszkę i jej oczy rozszerzyły się gwałtownie ze zdumienia. Przysunął się bliżej i zerknął na tajemniczy prezent - na dłoni Violi spoczywała Królowa Perła.

- Należy do ciebie, Violu - odezwał się Somerset. - Pamiętaj: do ciebie, a nie do twojego męża. Możesz z nią zrobić, co zechcesz. Możesz ją także oczywiście sprzedać, ale to niezwykley klejnot, a ty będziesz jeszcze bardziej niezwykley kobietą, jeśli go zatrzymasz. - Przeniósł wzrok na Archera i dodał cichszym, stłumionym głosem: - Ty też pamiętaj, że ta perła nie należy do ciebie, Llewellyn. Wiedz jednak, że zawsze ci będzie przypominała o Broome i o tym, co się tu wydarzyło. Czyż nie mam racji, że człowiek nie powinien zapominać o pewnych sprawach?

- Ale... dlaczego? - Viola nie mogła zrozumieć tego, co się stało. - Przecież mnie nienawidzisz. Nie znosiłeś mnie od dzieciństwa. Po co mi ją dajesz?

- Powiedzmy, że na zgodę - uśmiechnął się cierpko. - Niech to zakończy nasz niekończący się spór. Ta perła jest bezcenna, strzeż jej więc dobrze. Ludzie zabijają dla mniej wartych skarbów, czyż nie tak, Llewellyn?

Viola nadal tkwiła w osłupieniu, ale Archer szybko pojął aluzję.

- Viola jest moją żoną - odpowiedział przez zaciśnięte zęby. - Na dobre i na złe. Nie potrafiłbym jej skrzywdzić.

- Och, czuję się tym pocieszony. Niezmiernie. Opiekuj się moją córką, młodzieńcze. Opiekuj się jej perłą. I niech dobry Bóg da wam obojgu takie życie, na jakie zasłużyliście.

Po tych słowach Sebastian Somerset odwrócił się i swobodnym krokiem odszedł w stronę powozu. Wsiadł, ujął w ręce wodze i ruszył przed siebie, zostawiając im drogę wolną.

Archer długo jeszcze słyszał jego szyderczy śmiech.

Błędy, tak jak lekkie słomki, pływają po powierzchni. Kto chce znaleźć perły, musi szukać głębiej.

John Dryden, All for Love

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

San Francisco, czasy współczesne

- Oczywiście, że musiałaś go puścić, Liano. Twój syn jest dziedzicem wielkiej fortuny, ale ma prawo zobaczyć się z ojcem.

Liana zdawała się nie słyszeć przybranego brata. Stała nieruchomo, obrócona twarzą do okna, z wzrokiem zatopionym w spokojnych wodach zatoki. Sto lat temu jej dziadek, Tom Robeson, patrzył na te same wody z jakiegoś niezbyt odległego punktu. Przypomniała sobie, jak to kiedyś jej ojciec, Thomas, zabrał ją na tereny dawnych posiadłości Robesonów na Van Ness Avenue, by udzielić córce krótkiej lekcji historii rodziny. Skrzyżował ramiona, na jego twarzy malowało się wzruszenie. Położył dłoń na główce ośmioletniej wówczas Liany i powiedział:

- Tutaj urodził się mój ojciec. Jego dom już nie istnieje, a był większy i wspanialszy niż wszystkie w okolicy.

Liana źle się czuła w obecności Thomasa. Od wczesnego dzieciństwa wychowywała się z dala od niego i dopiero po śmierci matki musiała przywyknąć do obecności tego postawnego, oschłego mężczyzny, który podawał się za jej ojca.

- Co się stało z tym domem? - zapytała.

- W 1906 roku trzęsienie ziemi zniszczyło miasto. Byłem wtedy małym chłopcem. Właśnie dopływaliśmy do San Francisco, gdzie miałem zamieszkać z dziadkami. Podobno trzeba było wysadzić w powietrze całe ulice, żeby powstrzymać szalejące pożary. Wpływając do portu, usłyszeliśmy potężną eksplozję... Bum!

Podskoczyła ze strachu, a na dodatek wzruszył ją los biednych domów i ich mieszkańców - toteż natychmiast zachciało jej się płakać. Wiedziała jednak, że przy ojcu nie wolno jej uronić ani jednej łzy.

- Czy wtedy zginął twój tata?

- Nie, już nie żył, zamordował go w Australii jego najlepszy

przyjaciel. Tak się właśnie dzieje, kiedy za bardzo ufamy ludziom. Pamiętaj, Liano, nigdy, ale to przenigdy nie ufaj nikomu. Tego nauczyło mnie życie.

Tamtego dnia skinęła głową na znak, że go rozumie. Dzisiaj jednak nie potakiwała. Była dorosła i znacznie mądrzejsza. Jej ojciec natomiast nie żył.

- Cullen nalegał na miesiąc wakacji z Matthew. Z prawnego punktu widzenia nie mogłam mu tego odmówić - wróciła do rozmowy z bratem, wciąż patrząc na pomarszczone wody zatoki. - Mój Boże, kto mógł się tego spodziewać? Nawet w najgorszych snach... - głos uwiązał jej w gardle. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jej syn, jej jedyne dziecko, jej ukochany Matthew zaginął. Dlaczego jej serce wciąż jeszcze bije?

- Nic nie mogłaś poradzić. Przecież o niczym nic wiedziałaś.

- Zawsze miałam złe przeczucia.

- Co dokładnie powiedzieli ci na policji?

- Niewiele. Na razie sprawdzają fakty. Kontaktują się z liniami lotniczymi, z władzami Denver. Obiecali zatelefonować, jak tylko czegoś się dowiedzą. Ich zdaniem on po prostu uciekł.

- Uciekł? Matthew?

- Tak. Tłumaczyłam im, że mój syn nie miał żadnych powodów, żeby uciekać, ale chyba ich nie przekonałam. Szkoda. Zazwyczaj nie zajmują się ucieczkami tak szybko, bo większość nastolatków sama wraca po kilku dniach.

Liana zdecydowała się opowiedzieć bratu o zniknięciu syna, ale nadal nikt nie wiedział, że znikła także perła. Odwróciła się od okna.

- Czuję, że go znajdziemy - powiedziała i spróbowała się uśmiechnąć. - On ma prawie piętnaście lat i jest bardzo dojrzały jak na swój wiek. Widziałam, jak wsiadał do samolotu. Po wylądowaniu nie poszedłby z kimś obcym, tego jestem pewna.

- Powiedziałem Stanfordowi, żeby nie żałował grosza.

Stanford był szefem bezpieczeństwa w PIG. Trafił do firmy bezpośrednio z FBI i wszędzie miał znajomości. Oddelegowano go do poszukiwania Matthew, jak tylko zaginięcie chłopca stało się faktem.

- Och, Boże, gdzie on może być? Czy wiesz, Graham, ile wysiłku matka wkłada w nauczanie dziecka, by nie rozmawiało z nieznajomymi?

Tak się starałam...

Wzięła głęboki oddech i próbowała odzyskać panowanie nad sobą. Musiała się trzymać, póki Matthew się nie znajdzie.

- Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale może on naprawdę się urwał. Może... - Graham zamilkł w pół zdania, wzruszając ramionami.

- Może co?

- Może jesteś odrobinę nadopiekuńcza.

- O czym ty mówisz! Chodzi do prywatnej szkoły, to prawda, ale jeździ tam autobusem, jak każdy śmiertelnik. Wolno mu odwiedzać znajomych w całej okolicy, nawet w takich miejscach, gdzie sama nie czułabym się bezpiecznie. Absolutnie nie trzymam go pod kloszem.

- Fakt.

- Więc o co ci chodzi?

- To chłopak, musi się sprawdzać, wrywa go w świat, do ludzi. Z drugiej strony ma świadomość, że jak spóźni się choć minutę, postawisz na nogi Stanforda i całą miejską policję. Bądź co bądź jest dziedzicem Robesonów. Bez względu na to, gdzie się znajduje i co robi, stale jest pod obserwacją.

- Nigdy nie narzekał. Jest szczęśliwy. Ma tabuny przyjaciół, nie zażywa narkotyków...

- Czy ktoś sprawdza teraz jego kolegów?

- Naturalnie, to pierwsza rzecz, jaką Stanford polecił zrobić.

Sporządziłam mu aktualną listę jego znajomych...

- No i o to właśnie mi chodzi - skrzywił się Graham.

- O co?

- Masz aktualną listę jego znajomych.

- Przesadzasz. - Liana wstała i ruszyła do wyjścia.

- Powiesz jeszcze komuś? - zapytał, gdy była już przy drzwiach.

- Będę musiała, policja zacznie przesłuchania.

- A dokąd idziesz teraz?

- Do domu. Stanford uważa, że powinnam czekać pod telefonem na wiadomość... od Matthew albo od kogoś innego. Może zresztą Matthew sam już wrócił.

- Pójdę z tobą.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Nie oczekiwałem hulanki ani swawoli. Znow spróbowała się uśmiechnąć, lecz tym razem przyszło jej to z trudem.
- Wiem, ale wolę zostać sama.
- W razie czego jestem u siebie. Aha... - zawahał się i popatrzył na nią niepewnie - a co z Cullenem?
- Mianowicie?
- No... czy on może mieć z tym coś wspólnego?
- Wykluczone. Cullen kocha swego syna.
- A jeżeli upozorował zniknięcie, żeby wywieźć chłopca z kraju?
- Bzdura. I tak będzie z Matthew przez cały miesiąc. Jeśli chciał go zabrać do Australii, ma na to mnóstwo czasu, nie musi uciekać się do kłamstw i alarmować władz. Poza tym Matthew obiecał, że nigdy tam z ojcem nie pojedzie.
- Pamiętasz, co powiedział twój ojciec przed śmiercią? Istnieją tylko dwie rzeczy, których Cullen pragnie i których nigdy nie zdobędzie. To jego syn i Królowa Perła.

Na wspomnienie perły serce Liany ścisnął żal. Wiedziała, że nikt inny nie postawiłby wszystkiego na jedną kartę, by ją zdobyć. Tylko Cullen. Mimo to westchnęła i odpowiedziała stanowczo, jakby sama siebie chciała przekonać:

- Jeżeli Matthew jest teraz z Cullenem, to nic mu nie grozi. Może to dziwne, może straszne, ale wołałabym tę ewentualność od innych.

Dom rodziny Robesonów, w którym mieszkał Graham, był prawdziwą rezydencją. Wybudowany tuż po trzęsieniu ziemi z mocnej cegły specjalnie sprowadzonej z Arizony, charakterem przypominał posiadłości w Georgii i znacznie różnił się od innych budynków w okolicy. Masywny, wielokrotnie przerabiany zgodnie z potrzebami właścicieli, był jednak ciemny, chłodny i ponury. Wysoki mur bronił dostępu nieproszonym gościom. Thomas, choć nie kierował się w życiu sentymentami, zdecydował się w nim zostać po śmierci dziadków.

W przeciwieństwie do wyniosłej rezydencji Robesonów, mieszkanie Liany, nieopodal parku Lafayette, było słoneczne i przytulne. Zajmowała poddasze ośmiopiętrowej kamienicy, urządzonej w stylu art deco, z niezliczonymi oknami i okienkami. Przeszklone drzwi prowadziły do

ogrodu na dachu, ze wspaniałym widokiem na Nob Hill i finansowe centrum. Dla niej i dla jej syna to miejsce było prawdziwym azylem.

Tego ranka, gdy wiozła Matthew na lotnisko, zdała sobie sprawę, jak pusty będzie dom bez niego i jak ona będzie w nim samotna. Tym bardziej że na jakiś czas wyprowadzi się także Sue Lo, która normalnie zrobiłaby wszystko, by złagodzić ból tęsknoty. Sue Lo zawsze starała się pomagać swojej pani, była bowiem w ich domu kimś więcej niż zwykłą służącą - była częścią ich życia, mądrą, choć niewykształconą kobietą w średnim wieku, która w każdej sytuacji potrafiła pocieszyć czy udzielić rozsądnej rady. Po wyjeździe Matthew miała jednak zająć się własnymi sprawami, toteż wracając do domu, Liana nie spodziewała się jej zastać.

Tymczasem gdy tylko przekręciła klucz i pchnęła drzwi, ujrzała Sue Lo wychodzącą do holu na jej powitanie.

- Wróciła już pani, to dobrze - orzekła, po czym wzięła od Liany teczkę i pomogła jej zdjąć płaszcz. - Pan Brown czeka w pokoju Matthew.

- Dziękuję. Czy ktoś dzwonił?

- Niestety, nie - odparła Sue z twarzą ściśniętą bólem.

- Czy Stanford pytał cię o coś?

- Tak. Chciał wiedzieć, czy nie przychodzi mi do głowy, dokąd mógł pojechać Matty.

Sue była jedyną osobą, której wolno było nazywać chłopca w ten sposób. Lianie łzy napłynęły do oczu na dźwięk dziecinnego zdrobienia, ale opanowała się siłą woli.

- I co mu powiedziałaś?

- Wymieniłam imiona niektórych kolegów Matty'ego, ale pan Brown znał je już od pani.

- Nie szkodzi. Myśl, Sue, może sobie coś jeszcze przypomnisz.

- O niczym innym nie marzę.

Liana uścisnęła jej dłoń, Sue odpowiedziała tym samym.

- Porozmawiam teraz ze Stanfordem.

- Dobrze, proszę pani.

- Och, Sue - westchnęła - dziękuję ci, że zostałam.

Ruszyła w stronę pokoju Matthew, mijając po drodze ścianę ozdobioną jego zdjęciami - od niemowlęctwa aż do tych najnowszych.

Czy będą jeszcze następne?

Stanforda Browna, rosłego Murzyna, którego prawdziwego imienia nikt nie znał, zastała z plikiem kartek w rękach. Wyjął je zapewne z biurka Matthew i teraz przeglądał z marsową miną.

- Chciałem zacząć jak najszybciej. - Uniósł wzrok, kiedy weszła. - Chyba nie masz nic przeciwko temu.

- Znalazłeś coś?

- Szkolne zeszyty. Jakieś bazgrały. Miałem nadzieję, że wpadnę na trop. Niekiedy dzieci zapisują albo rysują różne dziwne rzeczy, kiedy mają zmartwienia.

- A on?

- Nie - pokręcił głową - jeżeli oczywiście przyjmiemy, że powodem jego zmartwień nie była dziura ozonowa albo trzęsienie ziemi z 1906 roku.

- Też nie sędzę, by coś go dręczyło, i nie wydaje mi się, żeby tak po prostu uciekł z domu. Wiedziałabym, gdyby czuł się nieszczęśliwy. Byliśmy sobie bardzo bliscy.

- To dobrze, że tak uważasz. Pamiętaj jednak, że chłopak ma prawie piętnaście lat. Byłem kiedyś w tym wieku i gwarantuję, że nastoletni chłopcy nie o wszystkim mówią matce.

Liana chciała zaprotestować, ale Stanford nie dopuścił jej do głosu.

- Jutro rano wybieram się do szkoły, może tam się czegoś dowiem. - Podszedł do komputera na biurku chłopca. - Wspaniały sprzęt. - Przesunął palcem po obudowie monitora. - Potrafi chyba wszystko, poza gotowaniem kolacji.

- Komputery to jedna z jego pasji. - Liana również dotknęła monitora, jakby chciała nawiązać kontakt z synem.

- Włączyłem go i sprawdziłem parę rzeczy. Sporo czasu spędza w Internecie, wiedziałaś o tym?

- To chyba nieszkodliwe hobby.

- Sprawdziłem też pocztę, którą ostatnio dostał i wysłał. Nie znalazłem nic szczególnego, ale chciałbym, żebyś wysłała e-maile do wszystkich, z którymi komunikował się przez ostatnie dwa tygodnie. Znasz się na tym?

- Pewnie, używam tego w firmie. Matthew wszystkiego mnie

nauczył, choć prawdę mówiąc, rzadko to robię.

- Wyślij pocztę jeszcze dziś wieczorem. Zanim się położysz, będziesz mogła sprawdzić, czy są jakieś odpowiedzi.

Liana była pewna, że i tak nie zaśnie. Miała więc całą noc na śledzenie elektronicznej poczty.

- W razie czego zatrudnimy eksperta do ściągnięcia dawniejszych listów - mówił dalej Stanford. - Poza tym nie natknąłem się na nic, co pomogłoby nam rozwiązać tę zagadkę. Matthew odwiedzał głównie witryny firm komputerowych. I zalogował się na kilku stronach różnych kempingów.

- Wybierali się z Cullenem do Nowej Anglii.

- Tak, wiem, nie dalej jak wczoraj myślał wyłącznie o biwakowaniu i zastanawiał się, jak najlepiej zapakować plecak. Pisał o tym do przyjaciół.

- Chciał zaimponować Cullenowi.

- No właśnie, a co do twojego byłego męża... - urwał, widząc, że Liana instynktownie skuliła się w sobie.

- W porządku - uspokoiła go szybko. - Możesz pytać o wszystko, Stanford. Chcę, by mój syn wrócił. To jest najważniejsze.

- Czy możesz mi więc powtórzyć, co dokładnie powiedział Cullen Llewellyn, kiedy zadzwonił do ciebie z Nowego Jorku?

- Był wściekły. Myślał, że to ja nie puściłam Matthew.

- A potem, jak się dowiedział, że jednak wsadziłaś chłopca do samolotu?

Liana przymknęła oczy, usiłując sobie przypomnieć tamte chwile. Doznała szoku, kiedy okazało się, że oboje, i Matthew, i perła, zniknęli. To pamiętała najlepiej.

Pamiętała też wystraszony, nierówny oddech Cullena. Swoje własne pytanie „Co teraz będzie?” i jego łagodną, zaskakująco łagodną odpowiedź, która właściwie również była pytaniem. „Naprawdę nic nie wiedziałaś?” - zapytał, a gdy przytaknęła, zapewnił ją gorąco: „Znajdę go. Znajdziemy nasze dziecko, Liano”.

Otworzyła oczy i spojrzała na Stanforda.

- Cullen był załamany. Martwi się nie mniej niż ja.

- Mógł udawać. Ma reputację wytrawnego kłamcy. Przepraszam,

powtarzam tylko to, o czym wszyscy wiedzą...

- Nie przejmuj się. Cullen rzeczywiście jest hazardzistą. W trakcie naszego małżeństwa przegrał krocie i ciągle mnie oszukiwał. To wszystko prawda.

- A czy istnieje możliwość, że przetrzymuje Matthew, żeby wyłudzić od ciebie pieniądze?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Wiem, że to dla ciebie trudne, Liano - nie ustępował Stanford - ale zastanów się dobrze. Może jest zdesperowany? Może stracił kupę forsy i to jego jedyna szansa, żeby spłacić karciane długi?

Liana zapatrzyła się w ciemniejące za oknem niebo. Jej były mąż był właścicielem i zarządcą Southern Cross Pearls w Zachodniej Australii. Nie przestawał jej zdumiewać fakt, że ten perłowy

211 biznes nadal przynosi zyski, mimo skłonności Cullena do hazardu. Ale hazard to jedno, a uprowadzanie syna to zupełnie inna sprawa.

- Cullen kocha swego syna - powtórzyła to samo, co powiedziała Grahamowi.

- I jesteś pewna, że nigdy by go nie wykorzystał, nawet gdyby stracił fortunę, a jego życie byłoby zagrożone?

Milczała, bo nie mogła niczego być pewna. W ostatnim roku ich małżeństwa Cullen rzeczywiście zachowywał się jak desperat.

- No cóż... - Stanford brak odpowiedzi uznał za potwierdzenie podejrzeń. - Będę go miał na oku, bądź spokojna. A na dzisiaj chyba wystarczy. Chcesz, żebym dotrzymał ci towarzystwa?

- Nie, dziękuję, dam sobie radę.

- Tu masz numer mojego pagera - powiedział, wręczając jej wizytówkę. - Gdyby coś się działo, zjawię się w ciągu dziesięciu minut. Postaraj się zdrzemnąć, Liano. Aha, założyłem ci podsłuch na telefon. Jeżeli ktoś będzie chciał się z tobą skontaktować, FBI wkroczy do akcji. Oni są niezawodni.

- Powiedz prawdę. - Zatrzymała go, zanim zdążył nacisnąć klawiskę. - Sądzisz, że Matthew został porwany?

- Prawdę? - Stanford popatrzył na nią z zakłopotaniem. - Myślę, że chłopak sam wróci za parę dni. Musimy jednak brać pod uwagę każdą ewentualność.

Każdą ewentualność, powtórzyła w myślach Liana. Czy także tą, że jednocześnie zniknięcie Matthew i Królowej Pereł nie może być przypadkowe? Jadąc do domu, biła się z myślami, czy powinna mówić o tym Stanfordowi. Odkryła zniknięcie klejnotu mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dowiedziała się o zaginięciu syna. Ale może perła zniknęła już wcześniej? Nie otwierała przecież sejfu od wielu tygodni, może nawet miesięcy.

- Coś jeszcze? - zapytał czujnie Stanford, widząc jej stropioną minę.
- Nie, nic - odparła po chwili wahania.
- W razie czego pamiętaj: możesz dzwonić o każdej porze.
- Dziękuję.

Skinął głową i zniknął. Liana nie mogła oderwać wzroku od drzwi, którymi jej syn wyszedł rano, zaledwie przed kilkoma godzinami. W końcu schowała twarz w dłoniach, nie próbując dłużej powstrzymać łez.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cullen Llewellyn był skrajnie wyczerpany. Przeszukał każdy centymetr lotniska LaGuardia, przyglądał się bezsilnie, jak przedstawiciele wszystkich możliwych władz bezsensownie wypełniają całe strony raportów, jakby starannie zapisany papier mógł im pomóc w odnalezieniu jego syna. Potem poleciał do Denver, żeby zacząć poszukiwania od początku.

Na próżno. Nikt nie pamiętał Matthew Llewellyna. Wszystkim było oczywiście bardzo przykro, ale niewiele mogli zrobić, skoro chłopiec miał czternaście lat i leciał sam. Nikt ich nie poprosił o specjalną opiekę nad nieletnim.

Mimo to Cullen był wściekły. Czuł nieodpartą potrzebę znalezienia winnych. Najchętniej oskarżyłby linie lotnicze i, rzecz jasna, Lianę, która wsadziła chłopca na pokład samolotu i spokojnie wróciła do domu.

Ale co innego miała zrobić? Cullen zwykł krytykować byłą żonę raczej za nadopiekuńczość, za to, że nie pozwalała ich synowi z chłopca przeistoczyć się w mężczyznę. Jeszcze do niedawna wynajmowała dla Matthew kogoś do opieki na czas podróży, przeciwko czemu on, Cullen, protestował. Dopiero poprzedniego lata, gdy odesłał chłopca do domu samego - właśnie po to, by udowodnić, że mały da sobie radę - pozwoliła mu na samotne podróżowanie.

- Jesteśmy na miejscu. - Taksówkarz zwolnił, a następnie zatrzymał się przed okazałym budynkiem mieszkalnym na szczycie wzgórza. Matthew opisywał mu mieszkanie matki, ale Cullen nie przywykł jeszcze do feerii świateł wielkiego miasta. Miejscowość najbliższa jego domu liczyła zaledwie tysiąc mieszkańców. Zresztą, nawet gdyby Broome rozwijało się z zawrotną prędkością, i tak mogłoby rywalizować z San Francisco nie wcześniej niż za tysiąc lat.

- Wygląda trochę jak Sydney - westchnął, sięgając po portfel. - Ale większe.

- Pan tu pierwszy raz?

- Można to tak ująć. - Przez te wszystkie lata rzadko i niechętnie przyjeżdżał do Kalifornii w interesach. Kilkakrotnie spotykał się z Matthew na lotnisku, ale nie chciał zwiedzać miasta, w którym Liana mieszkała z jego synem. Nie chciał oglądać ich razem, bo to byłoby zbyt bolesne.

Zapłacił za kurs, nie zapomniał też o napiwku. Porwał torbę i zatrzasnął drzwiczki. Dopiero gdy taksówka odjechała, uświadomił sobie, że lepiej by zrobił, gdyby kazał kierowcy poczekać. Nie miał przecież gwarancji, że Liana go wpuści, nawet po to, by wezwał inną taksówkę. Przeszedł na drugą stronę ulicy. Nie zastał portiera, zadzwonił więc domofonem. Dość długo czekał, zanim w słuchawce odezwał się głos. Nie był to głos jego byłej żony. Przedstawił się i dodał:

- Muszę pilnie zobaczyć się z Lianą.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. W holu, między dwoma zadbanymi drzewkami w masywnych doniczkach, znalazł windę. Na ostatnim piętrze były tylko jedne drzwi, na progu już stała Liana, blada i milcząca.

Przez minione lata, w najciemniejsze noce, daleko na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego, wiele razy wyobrażał sobie jej twarz. Dodawał jej zmarszczek, skórze odbierał jędrność. Przed oczami stawała mu kobieta, w której oczach przebijały lęk i niepewność. Tymczasem kobieta, którą widział przed sobą w tej chwili, była wprawdzie starsza, lecz równie zachwycająca, jak tego dnia, gdy odchodziła z jego życia na zawsze. Naturalnie ta właśnie chwila ukazała mu, jak względne może być to „na zawsze”.

Nie poruszyła się na jego widok. Miała na sobie biały jedwabny chiński szlafrok, wyszywany w złote i ciemnoczerwone róże. Czarne, starannie wyszczotkowane włosy luźno opadały jej na ramiona. Stalowoszare oczy pociemniały od smutku, nie od snu.

- Co ty tutaj robisz? - odezwała się na powitanie.

- Miałaś jakieś wiadomości? - odpowiedział jej pytaniem, stawiając torbę na podłodze.

- Nie - potrząsnęła bezradnie głową.

Nie spodziewał się innej odpowiedzi, gdy jednak ją usłyszał, aż ugięły się pod nim kolana.

- Leciałem przez Denver - westchnął. - Osobiście rozmawiałem z wszystkimi urzędnikami. Tam też nikt nic nie wie.

- Policja sprawdza wszystkie ślady. Włączyłam w poszukiwania ochronę z firmy.

- I nic?

- Nic. Cały czas czekam na telefon, to chyba jedyny sposób, by go namierzyć. Ale nie dzwoni.

- Miał jakieś problemy? Złe stopnie? Dziewczyna?

- Musiałeś aż tu przyjeżdżać, żeby o tym rozmawiać?

Cullen był zbyt zmęczony, by wdawać się w sprzeczkę. Nie podjął zaczepnego tonu. Podniósł wzrok i powiedział:

- Musiałem spojrzeć ci w oczy, żeby mieć pewność.

- Pewność, że co? Że nie ukryłam go pod kanapą? Że nie odciągam go od ciebie?

- Nie wiem - odparł spokojnie. - Gubię się w domysłach, Lee. Nasz syn zaginął. Tylko raz w roku mam szansę z nim być, i to tylko przez miesiąc. Tymczasem zamiast trzymać go teraz w ramionach, wypełniam policyjne formularze.

- Że też musiał zaginać akurat teraz, prawda? - syknęła złośliwie.

- Daj spokój. Nie wykręcaj kota ogonem. Znów westchnął. Miał ochotę zacząć rozmowę

jeszcze raz, od momentu gdy wyszedł z windy i ujrzał ją w progu. Zdawał sobie jednak sprawę, że nawet najtaktowniej dobrane słowa niczego nie zmienią. Uraza, którą do siebie żywili, zrodziła się wiele lat wcześniej. Można by powiedzieć, że trwała od początku stulecia.

- Daj spokój, Lee - powtórzył - nie chcę z tobą walczyć. Chcę odnaleźć syna. Zbierzmy wszystkie informacje, jakie mamy, a może wspólnie uda się nam rozwiązać tę zagadkę.

- Zagadkę!

- Przestań łapać mnie za słowa! Wolisz siedzieć i czekać? - nie wytrzymał i podniósł głos, ale zamiast kolejnej sarkastycznej odpowiedzi, której się spodziewał, Liana zaprosiła go do środka.

- Dzięki - skrzywił się - miałem właśnie zadzwonić po taksówkę.
- Gdzie się zatrzymałeś?
- Jeszcze nigdzie. Najpierw zadzwonię po taksówkę, potem zapytam, gdzie jest hotel.

- To nie jest dzika Australia, Cullen.
- Rzeczywiście, macie tu znacznie więcej hoteli.

Poprowadziła go przez hol do salonu. Stonowane, eleganckie kanapy kontrastowały tu z krzykliwymi pracami współczesnych malarzy. Jedyny obraz realistyczny przedstawiał ich syna nad wodą. Z płótna spoglądał jedenasto-, może dwunastoletni Matthew Robeson Llewellyn - kasztanowe, rozjaśnione słońcem włosy i niesforny kosmyk nad czołem, zupełnie jak u ojca. I oczy w ciemnej oprawie, jak u matki. Uśmiech Cullena, prosty nos Liany. Jego mocna budowa, jej długie palce. Ich syn.

Cullen odwrócił wzrok z cierpieniem na twarzy. Rzucił torbę na kanapę i zapytał:

- Czy możemy porozmawiać, zanim się wyniosę?
- Jest środek nocy.
- A więc to dlatego jest tak cholernie ciemno?
- Mogłeś mnie obudzić.
- Do cholery, Lee, dobrze wiem, że nie spałaś.
- Skąd to możesz wiedzieć?
- Wiem. Nie zmrużysz oka, dopóki Matthew się nie znajdzie.

Nie zaprzeczyła. Usiadła po przeciwnej stronie pokoju i starannie owinęła się szlafrokiem.

- Czego się dowiedziałeś na lotniskach?

- Właściwie niczego. Głównie tłumaczyli, że za nic nie są odpowiedzialni. Wzięli ode mnie zdjęcie małego, żeby zrobić kopie. Upewniłem się, że będą go szukać, przesłuchają też ludzi, którzy go mogli widzieć. Na przykład załogę samolotu, którym dzisiaj leciał.

- To było wczoraj.

- Tak, wczoraj. - Nie mógł uwierzyć, że już cały dzień minął od chwili zniknięcia syna. Ale Liana miała rację. - A ty co zrobiłaś po moim telefonie?

- Zawiadomiłam policję. Uruchomiłam ochronę... - Zawahała się. - Omówiłam też sytuację z moim przybranym bratem.

- I co?
- Przypuszcza, że to twoja sprawa. Znowu musiałam cię bronić.
- A ty?
- Co ja?
- Co o tym myślisz?
- Chyba nie posunąłbyś się tak daleko.
- Nie ma to jak odrobina zaufania.
- A co zrobiłeś, żeby zyskać moje zaufanie? Nie odpowiedział, ale wciąż nie odrywał od niej wzroku. W końcu ich oczy spotkały się.
- Nie miałeś z tym nic wspólnego, prawda? - zapytała.
- Naprawdę muszę odpowiadać?
- Przydałoby się.
- Dobrze. Nie miałem z tym nic wspólnego.
- Bo chyba sam nie uciekł, jak sądzisz? Cullen westchnął i uśmiechnął się smutno.
- To godzi w moje i twoje ego, w mit o odpowiedzialnych rodzicach, szczęśliwej rodzinie i tak dalej... Ale lepiej by było, gdyby rzeczywiście uciekł. Inne ewentualności rysują się w znacznie czarniejszych barwach.
- Ależ on był szczęśliwy! Spędzam z nim każdą wolną chwilę. Chodzi do wspaniałej szkoły. Ma świetne stopnie. Czego mu brak?
- Może tego, że jego ojciec mieszka na drugim końcu świata, a jemu nie wolno go odwiedzać?
- Masz go przez miesiąc każdego lata, Cullen. Calutki miesiąc.
- Na twoich warunkach. W twoim kraju. I naszemu synowi się to nie podoba, powiedział mi to... - urwał, potem jednak powoli dokończył:
- Mimo to nie sądzę, aby to był powód jego ucieczki. Jeżeli w ogóle uciekł.
- A może uciekł, bo nie chciał spędzać z tobą tego miesiąca. Nie pomyślałeś o tym?
- Jej słowa zabolaly go, ale postanowił rozważyć także i tę możliwość.
- Nie pomyślałem. Czy mówił coś, co by świadczyło, że nie chce ze mną jechać?
- Liana nie odpowiadała. Siedziała skulona, przygarbiona i całkowicie zdruzgotana.
- Nie - pokręciła głową. - Normalnie w ogóle o tobie nie mówi w

moim towarzystwie, ale tym razem nie mógł się powstrzymać. Opowiadał o podróży do Nowej Anglii. Pokazał mi nawet kapelusz, który mu podarowałaś.

- Czy to cię martwi, że nasz syn o mnie myśli?

- Oczywiście, że nie! Wiedz, że nigdy nie krytykuję cię przy nim. I nigdy nie prosiłam go, by o tobie nie wspominał. Ale prawda jest taka, że jesteśmy rozwiedzeni, Cullen. Trudno oczekiwać, że będziemy przyjaciółmi.

Cullen znów się uśmiechnął. Byli namiętnymi kochankami, tak. Szaleli za sobą, obsesyjnie szukając kontaktu, byli głodni siebie, nienasyceni. Lecz niezdolni do wspólnego życia. Pełni ideałów, porywczy - ale nierozsądni. I rzeczywiście nigdy nie stali się przyjaciółmi.

- Do niczego w ten sposób nie dojdziemy, prawda? - Cullen przymknął znużone powieki. - Nie chcę z tobą walczyć, Lee, naprawdę. Chcę tylko odnaleźć Matthew. - Otworzył oczy. - Uznałem, że razem możemy działać więcej niż osobno. Nie mam racji?

Niespodziewanie dla samej siebie przytaknęła.

- Gotowa jestem się poświęcić, żeby tylko mały wrócił.

Poświęcić się... Zabolały go jej słowa, choć zdawało mu się, że Liana nie może już go zranić.

- Zadzwoń po taksówkę. - Podniósł się z kanapy. - Który hotel mi polecasz?

- Możesz się przespać w pokoju gościnnym. Zbiła go z tropu tą propozycją. Zajrzał w jej ciemne, zmęczone oczy, a wtedy dodała, jakby tłumacząc się ze swej decyzji:

- Jeżeli naprawdę mamy razem coś działać, powinieneś tu zostać, na wypadek gdyby zadzwonił Matthew. Albo ktoś inny.

- Dzięki.

- Do jutra powinniśmy coś wiedzieć i wtedy znajdziesz sobie lokum.

- Może nawet nie będzie trzeba. Znajdziemy naszego syna, Lee.

Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. Pamiętasz... - odetchnął ciężko, by ukryć wzruszenie - pamiętasz, jak on się urodził?

Liana odwróciła głowę, bezskutecznie usiłując ukryć łzy. Mimo wszystkiego, co narosło między nimi, zapragnął otulić ją ramionami.

- Ja pamiętam - mówił. - Odwiedziłem cię w szpitalu. Trzymałaś małego w ramionach. Spojrzałaś na mnie i powiedziałaś: „Widzisz, Cullen, nasze rodziny usiłowały się zniszczyć, a zobacz, jakiego cudu razem dokonaliśmy”.

- Po co o tym mówisz? - spytała łamiącym się głosem.

- Bo Matthew naprawdę jest naszym cudem.

Jeżeli razem sprowadzimy go do domu, może inne sprawy też uda się ułożyć.

- Ja też pamiętam tamten poranek - szepnęła. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewasz. Znalazłaś się dopiero wtedy, kiedy cię już nie potrzebowałam. Przegrywałeś w karty pieniądze, które ja zaoszczędziłam na nasz pobyt w mieście.

- Wiem.

- Więc wybacz, ale nie wierzę twoim obietnicom.

Cullen dałby wiele za możliwość wymazania owych stu lat i przeszłości, która ich rozdzieliła. Ale jedyne, co mógł zrobić, to powiedzieć jej prawdę.

- Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz.

Liana nie mogła uwierzyć, że Cullen śpi w pokoju obok. Tak dalece wykreśliła go ze swojego życia, że nawet wspomnienia stały się mniej realne i przez to łatwiejsze do zniesienia. Teraz, gdy jej mąż znów był blisko, owe wspomnienia powróciły z bolesną wyrazistością.

Ich związek był przeklęty od samego początku. Byli zbyt młodzi, kiedy się poznali, zbyt wyizolowani od reszty świata, kiedy się pobierali, a po narodzinach Matthew zbyt zaabsorbowani codziennymi problemami, by przewidzieć te prawdziwe, którym musieli potem stawić czoło. Cullen był prawnikiem Archera Llewellyna, Liana wnuczką Toma Robesona. Od początku wiedzieli, w jak dramatyczny sposób splotły się losy ich rodzin i znali historię Królowej Pereł.

Ale z młodzieńczą, naiwną ufnością wierzyli, że klątwa ich nie dotknie.

Poznała Cullena w Nowym Jorku, pojechała za nim na kraj świata i wyszła za niego, gdy stało się jasne, że poranne mdłości wywołuje nie tylko upalny i wilgotny klimat Zachodniej Australii. Kochała go miłością ślepą i szaloną - niezależna artystka, projektantka biżuterii, zauroczona

przez mężczyznę, który hoduje perły.

A potem, cztery lata później, nie było już czego ratować. Zaufanie prysło, narosła wrogość i podejrzliwość, zrodził się żal. Wszystko się skończyło.

Nie mogła zasnąć. Ilekroć zamykała oczy, widziała twarz Cullena albo, co gorsza, twarz syna. To nie była ta sama twarz, mimo że chłopiec był bardzo podobny do ojca. Rysy Cullena były wyraziste, męskie, podczas gdy Matthew miał oblicze o rysach subtelnym i delikatnym.

Gdzie on teraz jest? Czy porwała go czyjaś bezlitosna ręka, czy też zawładnął nim jakiś wewnętrzny demon, o którym nie potrafił z nią rozmawiać?

Zerwała się przerażona. Dygotała, kręciło jej się w głowie, nie mogła zaczerpnąć powietrza. Nie mogła dłużej beczynie leżeć, zachodząc w głowę, co mogło przydarzyć się jej dziecku. Odetchnęła głęboko, uspokoiła się nieco, a potem założyła szlafrok i bosą poszła do pokoju Matthew.

Komputer był nadal włączony. Przed przybyciem Cullena redagowała listy do osób, których internetowe adresy znalazła w bazie danych syna. Pisała podobnie do wszystkich: „Jestem matką Matthew, chwilowo straciłam z nim kontakt. Może ktoś wie, gdzie on jest i jak można się z nim skontaktować?”.

Miała nadzieję, że jej wiadomość zostanie prawidłowo odczytana. Nie czuła się na siłach napisać prawdy. Przynajmniej na razie.

Kliknęła myszką i sprawdziła skrzynkę pocztową - nadeszło kilka listów od kolegów Matthew ze szkoły. Wynikało z nich, że nikt nie wiedział o wyjeździe chłopca. Po kilku minutach sprawdziła pocztę raz jeszcze - tym razem w skrzynce znalazła trzy nowe wiadomości. Pierwszą zatytułowano „Szatańskie niebezpieczeństwo”. Serce zamarło jej w piersi, lecz po otwarciu okazało się, że to reklama uaktualnionej wersji gry, którą Matthew ściągnął z Internetu na Gwiazdkę.

Druga wiadomość pochodziła od wirtualnego przyjaciela z Massachusetts, który właśnie zdał jakieś egzaminy końcowe i nie omieszkał się tym pochwalić. Treść trzeciej, niepodpisanej, brzmiała: „Problemy z serwerem. Mam nadzieję, że uda ci się to załatwić przed wyjazdem. Powodzenia. Szkoda, że nie mogę jechać z tobą.”

Wpatrywała się w ekran, niezdecydowana, czy ostatnia wiadomość nie zawiera przypadkiem jakiejś wskazówki, gdy za plecami usłyszała szmer. Obróciła się raptownie i zobaczyła, że w drzwiach stoi Cullen.

- Co się dzieje?

Była wciąż roztrzęsiona, a widok Cullena w opuszczonych na biodra dżinsach i rozchełstanej koszuli nie dodał jej otuchy.

- Sprawdzam pocztę. Nic się nie dzieje.

- Nie śpiąc, nikomu nie pomożesz.

- A ty zapewne poradzisz mi, jak zasnąć - odcięła się i wróciła wzrokiem do ekranu.

- Połóż się do łóżka i zamknij oczy. W moim przypadku to pomogło.

- Stał tuż za nią, zerknął w monitor i zapytał: - Czy ktoś przed tobą już to sprawdzał?

- Stanford. Ja też trochę...

- Znalazłaś jakieś moje listy?

- Twoje?

- Tak. Czasami pisywaliśmy z małym do siebie, nawet kilka razy dziennie. Naturalnie nie w ciągu ostatnich kilku tygodni, bo cały czas byłem w trasie.

Liana wiedziała, że Cullen przez kilka ostatnich tygodni załatwiał interesy w Nowym Jorku. Właśnie dlatego miał się spotkać z synem na lotnisku LaGuardia.

- Nie wiedziałam, że korespondowaliście.

- Może Matthew myślał, że lepiej ci nie mówić.

- Powinnam się była domyślić. Ostatnio nie chciał dzwonić do ciebie tak często, jak dawniej.

- E-maile zastąpiły telefony. Taniej, szybciej, można więcej zobaczyć. Przesyłamy sobie zdjęcia. W ten sposób on może poznać moje życie, a ja obserwować, jak mały się zmienia.

Liana poczuła się jak ofiara spisku.

- Czy usiłujesz wywołać u mnie poczucie winy?

- Nie, usiłuję opowiedzieć ci o tym, co robi twój syn. Myślałem, że chcesz wiedzieć.

Masz miesiąc, żeby się nim nacieszyć. To ci nic wystarczy?

A tobie by wystarczyło?

To nie to samo. Ja chciałam być matką. Wszystko, co dotyczy Matthew, jest dla mnie ważne.

- Dla mnie też. Właśnie dlatego wykorzystuję każdą możliwość, żeby okazać mu zainteresowanie.

- Ty go nie chciałeś.

- Nie chciałem zostać ojcem, ale to nie znaczy, że nie chciałem syna.

- Dla mnie to zbyt subtelna różnica.

- Kiedy to proste. Nie chciałem zostać ojcem, bo wiedziałem, że nie jestem gotowy do tej roli. Ale kochałem małego od chwili narodzin.

- Jakoś trudno było na to wpaść. - Cullen nie odpowiedział, więc podjęła po chwili: - Wiem, zachowuję się, jakbym była zgorzkniałą, nieszczęśliwą kobietą. Ale to nieprawda. Zapomniałam o przeszłości. Tylko teraz, kiedy Matthew zaginął...

- A ja się pojawiłem...

- Tak, to też. Po tylu latach. Straciłam panowanie nad sobą.

- Wiem, że sprawiam ci ból. Ale nic nie mogę na to poradzić. Mogę za to pomóc ci znaleźć syna. Odnajdziemy go, zobaczysz.

Stanford zjawił się o świcie. Liana zdążyła wziąć prysznic, odświeżyć się i ubrać, ale wcale nie była wypoczęta.

- Jakież nowiny? - spytała, nim zdążył wejść do środka.

- Niewiele. Mogę wejść?

- Niewiele brzmi lepiej niż nic. Wchodź.

- Dziś rano rozmawiałem z kobietą, która siedziała obok Matthew w samolocie do Denver. Zapamiętała go, bo był niezwykle uprzejmy i zrobił na niej wrażenie dojrzałego nastolatka. Powiedział jej, że ma przesiadkę w Denver, ale niestety nie zapytała, dokąd leci dalej. Ona sama nie cierpi latać, była więc zdenerwowana. Podobno chłopiec wyznał jej, że jego matka też boi się latania. Poza tym nic więcej nie pamięta.

Liana smutno pokiwała głową.

- Kiedyś mi powiedział, że gdybym choć raz zdobyła się na odwagę i wsiadła z nim do samolotu, dopilnowałby, żeby nic mi się nie stało. Nie miał wtedy nawet ośmiu lat. - Westchnęła. Jej lęk przed lataniem narodził się wiele lat wcześniej i skutecznie ograniczał możliwość spędzania wakacji z synem w miejscach odległych od domu. - Masz coś

jeszcze? - zapytała.

- Tak. Tamta kobieta zapamiętała, że Matthew był w dobrym humorze, odprężony i wesoły. Odniosła wrażenie, że chłopak cieszy się na myśl o wakacjach.

- To nam nic nie daje, prawda?

- Niekoniecznie - dobiegł ją głos zza pleców. - Jeśli ktoś ucieka z domu, nie jest z tego powodu odprężony i zadowolony.

Obejrzała się szybko i ujrzała przysłuchującego się rozmowie Cullena. Zdążył już wziąć prysznic, ogolić się i włożyć świeże ubranie. Liana przedstawiła Stanfordowi byłego męża.

Cullen przyjechał wczoraj w nocy.

- Domyśliłem się, kim pan jest, akcent pana zdradził - zwrócił się do niego Stanford. - Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach. Musi pan to wszystko bardzo przeżywać, prawda?

- Prawda - odparł krótko Cullen, a potem od razu zapytał: - O ile dobrze usłyszałem, rozmawiał pan z kimś, kto spotkał mojego syna?

Stanford powtórzył to, co wcześniej opowiedział Lianie.

- Żałuję, ale na razie to wszystko - zakończył.

- Ja rozmawiałem z urzędnikami w Denver. Też nic nie wiedzą.

- Jestem z nimi w kontakcie. Wydawali się bardzo przejęci. Jak się panu udało ich przekonać, by zajęli się tą sprawą? Zazwyczaj lekceważą zaginięcia i reagują opieszale.

- Powiem tylko, że na pewno nie zapomną o moim synu.

Po twarzy Stanforda przemknął znużony uśmiech. Spał zapewne dłużej niż Liana czy Cullen, ale również wyglądał na zmęczonego.

- Znalazłaś coś w poczcie? - zwrócił się do Liany.

- Nic szczególnego. Komputer jest włączony, możesz przeczytać.

- Żadnych telefonów? Pokręciła głową.

- Macie telefon komórkowy? - Gdy przytaknęła, kontynuował: - Zadzwoń więc do biura i powiedz im, by wszystkie połączenia odbywały się przez ten numer. Niech domowa linia zawsze będzie wolna. Co zaplanowałaś na dziś?

Wcześniej się nad tym nie zastanawiała. Teraz bez wahania podjęła decyzję.

- Odwiedzę ciotkę.

- Ciotkę Mei? - zdziwił się Cullen - Ile ona ma teraz lat, z dziewięćdziesiąt?

- Dziewięćdziesiąt siedem. I nic jeszcze nie wie. Wczoraj nie chciałam jej niepokoić.

- A co się od wczoraj zmieniło?

Zerknęła na szkarłatny żakiet z chińskim kołnierzem i pięknymi, stylowymi guzikami - ostami prezent od ciotki Mei, który miał przypominać Lianie o jej pochodzeniu.

- Nic. Mei po prostu nigdy mi nie wybaczy, jeżeli dowie się od kogoś innego. Gdyby coś stało się Matthew... Myślę, że ona żyje tak długo, bo nie chce go zostawić.

- Tak bardzo są związani? - zaciekał się Stanford.

- Tak bardzo, jak tylko staruszka i chłopiec mogą być związani.

Traktuje go jak kogoś wyjątkowego, jak rodzzonego wnuka.

- Czy możliwe, by powierzył jej swoją tajemnicę?

- Nie sądzę. - Cullen potrząsnął głową z powątpiewaniem. - Znam swojego syna. To raczej niemożliwe.

- A co ty na to? - Stanford zwrócił się do Liany.

- Cullen ma rację - zgodziła się po chwili wahania.

Skoro jednak tak dobrze go zna - nie ustępował Stanford - to może jej przyjdzie do głowy jakiś pomysł.

Jeżeli starczy mi odwagi, żeby powiedzieć jej prawdę.

- Pójdę z tobą, Lee - zaofiarował się Cullen. Kiedy byliśmy małżeństwem, pisała do mnie serdeczne listy. Z przyjemnością ją poznam. A gdyby co, pomogę ci wybrnąć z sytuacji.

Liana wiedziała, że propozycja Cullena jest rozsądna, choć ciężko jej było to przyznać. Ciotka nigdy nie poznała jej męża osobiście, bo okres ich krótkiego małżeństwa spędzili w Australii. Kiedy między nimi zaczęło się psuć, Mei nie naciskała na Lianę, by wniosła sprawę o rozwód, ani nie krytykowała Cullena. Po rozwodzie zaś była jedyną osobą, z którą Matthew mógł porozmawiać o ojcu, i za to Liana była jej wdzięczna.

- Dobrze - zgodziła się. - Jeśli się dowie, że jesteś w mieście, będzie jej przykro, że przyszłam sama.

- A więc zrobimy tak - podsumował Stanford. - Ja zostanę tutaj, żeby

odbierać telefony. Wy pojedziecie naszym wozem, a w razie czego do was zadzwonię... - Zerknął na zegarek, potem na Lianę. - Jadłaś śniadanie?

- Nie jadła - wyręczył ją Cullen. - Co chcesz, Lee, gorącą herbatę i grzankę z dżemem? Musisz coś zjeść.

Skinęła głową z rezygnacją. Zaniepokoiło ją, że Cullen decyduje za nią, ale nie miała siły oponować.

- Porozmawiam z Sue - rzucił i znikł za drzwiami. Po chwili Liana usłyszała jego stłumiony głos, miękki, bardzo seksowny, z silnym akcentem, który nieodparcie ją pociągał.

- Wiedziałaś, że przyjeżdża? - zapytał Stanford szeptem.

- Wiedziałam - odparła i zdała sobie sprawę, że to prawda. Instynkt podpowiadał jej, że Cullen stawi się natychmiast, by pomóc w odnalezieniu syna, lecz do tej pory zagłuszała ten płynący z głębi serca głos.

- To dobrze, że przyjechał - orzekł Stanford. - Przynajmniej wiadomo, że nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Matthew.

- Ale gdzie jest nasz syn?

Zdała sobie sprawę ze swoich słów dopiero, kiedy je wymówiła: nie powiedziała „mój”, lecz „nasz”. Nasz syn. Ich syn.

Przymknęła oczy. Cullen Llewellyn zniknął z jej życia na dziesięć lat. Wymazała go z pamięci, z myśli, z serca. Znalazła dla siebie nowe, lepsze miejsce na ziemi. I oto teraz, wbrew wszystkiemu, ona, Matthew i Cullen znowu stali się rodziną.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mei Fong była władczą matroną o jasnym, mocnym spojrzeniu. Mimo swych prawie stu lat pozwalała sobie, na co tylko miała ochotę i przeciwko czemu nie protestowało jej słabowite ciało. Bez uprzedzenia odwiedzała domy i układała życie członkom rodziny, dopasowując potrzeby innych do swoich własnych. Kontrolowała synów i wnuków, doprowadzając do szału ich synowe. Lecz mimo to wszyscy najbliżsi kochali ją za hojność, lojalność i oddanie.

Mei mieszkała na placu Waverly w Chinatown. Przez lata opierała się tym, którzy chcieli przenieść ją w spokojniejsze miejsce, dalej od tłumów turystów i towarzyszącego im rozgardiaszu. Ze stoickim spokojem znosiła zapach smażonych krewetek, dochodzący z restauracji na rogu, tolerowała tłok na pobliskiej Grand Avenue. Kiedyś, jako młoda kobieta, w pobliżu swojego domu obroniła najstarszego syna, Sama, przed bandą chuliganów. W mieszkaniu, w którym nadal mieszkała, przyszły na świat wszystkie jej dzieci.

Dni upływały Mei na grze z sąsiadami w madżonga i składaniu ofiar z pomarańczy i oleju roślinnego bogini Tien Hon, opiekunce żeglarzy, marynarzy i prostytutek. Plac Waverly był jej domem.

Ostatnio, gdy Sam usiłował ją nakłonić do przeprowadzki do domu spokojnej starości, ostrzegła, że jeśli ktoś ją ruszy, zbuntuje się i wyda ostatnie tchnienie. Rodzina, wiedząc, że Mei nie rzuca słów na wiatr, postanowiła zostawić ją w spokoju. Mieszkała więc nadal u siebie, a jedynym ustępstwem, na które przystała, było przyjęcie służącej do pomocy, rok temu bowiem jej wzrok osłabł tak bardzo, że nie mogła już samodzielnie gotować ani sprzątać.

Liana spojrzała na dom ciotki z okna limuzyny i spróbowała wyobrazić sobie początek mającej nastąpić rozmowy.

- To może ją zabić - westchnęła.

- Nie sądzę, Lee. Zanim umrze, będzie raczej chciała się upewnić, że Matthew jest cały i zdrowy.

- Nawet wytrzymałość ciotki Mei ma swoje granice. Proszę tu na nas poczekać - zwróciła się do kierowcy, po czym otworzyła drzwi, nim ktokolwiek zdążył ją ubiec. Była pewna, że przewycięży ogarniającą ją słabość, ale przeliczyła się, kiedy tylko postawiła stopę na chodniku. Znow opadł ją ten sam, tak dobrze znany lęk. Nogi ugięły się pod nią, serce waliło jak oszalałe. Zaczerpnęła tchu i powoli ruszyła w stronę budynku.

Poczuła, że Cullen bierze ją pod ramię. Nic nie mówił, nie pytał, dlaczego jest taka blada. Po prostu podtrzymał ją i dodał otuchy.

A więc tu mieszka słynna Mei - zagadnął lekkim tonem i uśmiechnął się nieznacznie. - Teraz, rozumiem, dlaczego nie chce się stąd ruszyć. Opowiadała mi o tym miejscu w listach. - W nim czuje się najlepiej.

- I dobrze. Cieszę się, że nadal tu mieszka, że nie udało się jej przenieść gdzie indziej. Chodź, jeszcze chwila i wejdziemy do środka.

Spojrzała na niego spłoszona. Do tej pory sądziła, że Cullen próbuje ją uspokoić i przygotować do trudnej rozmowy. Teraz zrozumiała nagle, że wie o jej słabości i stara się ulżyć jej zdjętemu trwogą sercu. Na klatce schodowej zatrzymała się, oparła o ścianę i zamknęła oczy.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała. - Matthew ci powiedział?

- Wspomniał.

Zacisnęła oczy jeszcze mocniej. Nie chciała myśleć o tym, jak jej syn opowiada jej byłemu mężowi o dziwacznych, raptownych napadach lęku, jak tłumaczy, że bywają momenty, kiedy matka nie jest w stanie wyjść z domu, i że z każdym miesiącem ataki paniki stają się coraz gwałtowniejsze. Starła się chronić Matthew przed swoimi problemami, ale najwyraźniej się nie udało.

- Robię wszystko, żeby to nie zakłócało nam życia. Chodzę z nim wszędzie, gdzie on chce, nawet jeśli... - urwała i potrząsnęła bezradnie głową.

- To wykracza poza zakres twoich obowiązków, Lee - odparł spokojnie Cullen. - Chyba nie musisz być omnibusem?

- Właśnie, że muszę. - Otworzyła oczy. - Muszę być dla niego

jednocześnie matką i ojcem, nie rozumiesz tego?

- On ma ojca. Zaciśnięła usta.

- Tylko nie próbuj wykorzystać tego przeciwko mnie, Cullen. Nadal jestem dobrą matką. Walczę z tym i wiem, że mi się uda.

- O twoich atakach wiem nie od dziś. Gdybym miał je wykorzystać przeciw tobie i rozpocząć kolejną bitwę o prawo do opieki nad małym, już dawno bym to zrobił.

- Zrobiłbyś? - zawrzała gniewem. - Och, nie sądzę. Bo wtedy ja pogrzebałabym ciebie! Powiedziałabym mu, do czego jesteś zdolny i dlaczego się z tobą rozwiodłam! Nie pozwolę go sobie odebrać, jasne?

Cullen nawet nie mrugnął, choć od rana nie odezwała się do niego tak ostro.

- Nie mam zamiaru ci go odbierać - zaczął, a gdy energicznym krokiem weszła na stopień, przyparł ją do ściany. - I mam nadzieję, że ty także nie skrzywdzisz naszego syna w ten sposób, więc po co te groźby. Zawarliśmy umowę i zamierzam dotrzymać słowa. - Poluzował uścisk. - A skoro już to sobie wyjaśniliśmy, może odwiedzimy ciotkę?

Liana nie dała się przekonać. Wierzyła, że Cullen jest gotów wykorzystać jej słabość przeciwko niej. Ale miał absolutną rację, podejrzewając, że jako dobra matka nie wyzna chłopcu, dlaczego rozwiodła się z jego ojcem. Zastanowiło ją jedynie, że Cullen, człowiek pozbawiony skrupułów, nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Wyprostowała się i zmierzyła go twardym spojrzeniem.

Możemy działać razem, póki nie znajdziemy Matthew. Ale potem pamiętaj, zrobię wszystko, żeby go zatrzymać.

W mieszkaniu ciotki było gorąco i duszno, jakby od miesięcy nie otwierano tu okien ani nie zakręcano kaloryferów. Pachniało jaśminem i drzewem sandałowym, ściany były świeżo odmalowane, mimo to pokój przypominał zaniedbany lamus. Kurz grubą warstwą osiadał na meblach, framugach i bibelotach.

- A gdzie Mei? - zapytał Cullen, nie dostrzegłszy nigdzie staruszki.

- Pewnie w drugim pokoju. Często drzemie. Potrzebuje potem trochę czasu na rozbudzenie.

Liana wyjrzała przez okno, pokręciła głową. - Wciąż nie wiem, jak mam jej to powiedzieć.

On też nie wiedział. Nie znał przecież Mei Robeson Fong osobiście. Wiedział, że jest bliźniaczą siostrą Thomasa Robesona, że była siłą stabilizującą młodzieńcze lata Liany i że jest wielką miłością Matthew. Znał ją oczywiście z listów, w których zadziwiała go swoim ciepłem i opanowaniem, tolerancją wobec jego samego i Llewellynów w ogóle - mimo tragicznej historii, która niemal zniszczyła ich rody. Pisała mu o szczęśliwej przyszłości, o dzieciach, które on i Liana będą wychowywać, o radości, jaka będzie ich udziałem, nigdy natomiast nie przywoływała przeszłości.

Teraz on przyjechał, by jej powiedzieć, że ich jedyne dziecko, które miało być niejako żywym dowodem, że ta wspólna szczęśliwa przyszłość potomków Robesonów i Llewellynów jest możliwa, zaginęło.

- Chyba lepiej powstrzymać się od szczegółów. Odwróciła się do niego z rękami zaplecionymi na piersiach.

- Tak. Tak zrobię.

Popatrzył na nią i po raz kolejny uświadomił sobie, że była żona budzi w nim opiekuńcze uczucia. I że bardzo mu się podoba. Teraz, w wieku trzydziestu ośmiu lat, olśniewała dojrzałym pięknem, które w niezwykle sposób dopełniało jej delikatną dziewczęcą urodę.

- Posłuchaj, Lee - odszukał jej wzrok - przyszło mi coś do głowy i chciałbym zapytać cię o coś, co może być bardzo ważne. Czy w twoim życiu... - zawahał się - jest jakiś mężczyzna? Ktoś, z kim Matthew jest związany, z kim mały dobrze się dogaduje?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Wolę sprawdzić wszystkie możliwości. Matthew wspominał kogoś o imieniu Jay...

- Za to po ostatnim pobycie z tobą wspominał jakąś Sarah.

- Wątpię, by Sarah zainteresowana była czymkolwiek poza prowadzeniem mi biura. Ta praca całkowicie ją pochłania. Po co miałyby lecieć aż do Kalifornii i kraść naszego syna?

Jay natomiast jakieś pół roku temu wyprowadził się do Honolulu i ożenił z kimś, w kim kochał się od dzieciństwa... - urwała, jej twarz wygładziła się na chwilę. - Konkretnie z Makssem.

Cullen uśmiechnął się bezwiednie.

Musiało cię to niezłe trzepnąć.

- Wiedziałam o Maksie. Jay i ja byliśmy tylko przyjaciółmi. Bardzo mi go brak.

- Przyjaciele to rzadkość, nieprawdaż?

- Co ty możesz o tym wiedzieć? Zawsze masz ich tabuny.

- Racja. Na faceta, który częściej przegrywa, niż wygrywa, zawsze jest popyt.

- Czy jesteś winien komuś pieniądze, Cullen? Komuś, kto mógłby w odwecie albo dla szantażu porwać naszego syna?

- Nie, nie mam żadnych długów.

- Stanford cię sprawdza.

- Dzięki za zaufanie.

- Choć raz zdobądź się na szczerłość. Od tego może zależeć życie naszego syna.

- Nie - westchnął - nie jestem nikomu niczego winien. Dom nie ma obciążonej hipoteki, a raty za samochód już spłaciłem. - Czuł, że Liana waha się, czy mu wierzyć, więc dodał: - Nie mam nawet kart kredytowych, Lee. Co wcale nie oznacza, że jutro nie przegram wszystkiego jednym rzutem monety.

W drzwiach ukazała się Mei, wsparta na młodej opiekunce. Była bardzo stara, pomarszczona i tak krucha, że Cullenowi zdawało się, że za chwilę zniknie.

- Liana? - odezwała się niskim, drżącym głosem - Kogo mi tu przyprowadziłaś?

- Ciociu... - Liana uścisnęła ciotce dłonie i ucałowała ją w policzek. - To jest... Cullen. Cullen Llewellyn, ojciec Matthew. Przyjechał z Australii.

Mei odwróciła się, nie puszczać ręki bratanicy.

- Nie może być!

Zbliżył się niespiesznie, pozwalając staruszce oswoić się z myślą, że oto on i Liana stoją przed nią w parze.

- To jakiś cud - wyszeptała. - Co za szczęście widzieć was razem, ale... co się stało?

- Usiądź, ciociu, proszę.

Gosposia, Amerykanka chińskiego pochodzenia, pomogła usadowić się Mei w fotelu i okryła kocem jej nogi. Kiedy wyszła, przez jakiś czas

ani jeden dźwięk prócz starego zegara nie zakłócał ciszy.

- Ciociu - zaczęła Liana nienaturalnie głośno. - Czy pamiętasz, że Matthew miał w tym tygodniu lecieć do Nowego Jorku i spotkać się z Cullenem?

- Pamiętam - odparła Mei słabym głosem.

- Wsadziłam go do samolotu wczoraj, tak jak planowaliśmy.

Samolot bezpiecznie wylądował w Denver, ale Matthew nie przesiadł się na inny. Nie bardzo wiemy, gdzie teraz jest. Nie wydarzyło się nic, co by kazało nam sądzić, że ma jakieś kłopoty. Po prostu nie wiemy, dokąd mógł się udać.

Mei milczała, ale jej kruche, poskręcane artretyzmem palce zacisnęły się na kocu.

- Mam nadzieję, że Matthew potrafi zatroszczyć się o siebie - włączył się Cullen. - Wierzę, że jest bezpieczny, gdziekolwiek by był. Zrobimy wszystko, żeby go znaleźć. Jest za mały, żeby tak samowolnie sobie zniknąć.

Mei wciąż milczała.

- Ciociu, rozumiesz, o czym mowa? - spytała Liana miękko.

- Matthew to rozsądny i mądry chłopiec. Ma swoje zdanie. I zrobi to, co należy - odezwała się w końcu staruszka.

Cullen czuł się kompletnie zbity z tropu. Równie dobrze ciotka mogła wygłosić swoją kwestię po chińsku.

- Możesz wyrażać się jaśniej? - przysunął się bliżej, bowiem każde słowo Mei zdawało się cichsze od poprzedniego. - Nie bardzo rozumiem, co chcesz przez to...

- Nie rozumiesz, bo nie wiesz wszystkiego. Liana i Cullen wymienili spłoszone spojrzenia.

- Czego Cullen nie wie? Jest coś, co chcesz mu teraz przekazać?

- Ty też nic nie rozumiesz, Liana. Ojciec nigdy nie powiedział ci prawdy. Nigdy nie mówił prawdy.

Cullen spostrzegł, że Liana pod maską zmieszania starannie ukrywa lekkie zniecierpliwienie. Uścisnął uspokajająco jej łokieć i zwrócił się ostrożnie do Mei:

- Czy masz nam coś do powiedzenia? Coś ważnego, o czym powinniśmy wiedzieć?

- Tylko po to żyję tak długo. Myślisz, że boję się śmierci? -
Staruszka wyprostowała się i śmiało spojrzała mu w oczy. - Czy twój ojciec... wyznał ci kiedykolwiek, w jaki sposób Llewellynowie stracili Królową Perłę?

- Proszę, Mei... - skrzywił się, słysząc jej słowa. - Czy w tej chwili ma to jakiegokolwiek znaczenie?

- Nie odnajdziecie syna, dopóki tego nie zrozumiecie.

- No dobrze. Wiem, że mój pradziadek, Archer Llewellyn, zamordował twojego ojca, Toma Robesona, by zagarnąć Królową Perłę.

- To prawda.

Mimo rozlicznych starań Cullenowi nie udało się dowiedzieć, co wydarzyło się później. Zdawało się zresztą, że jego ojciec albo też tego nie wiedział, albo go to nie interesowało.

- Wiem jeszcze, że Robesonowie przesiedlili się do Ameryki - dodał.
- Twój brat bliźniak, Thomas, ojciec Liany, zapłacił komuś, żeby ten wybrał się do Australii i odzyskał perłę. Jakoś mu się to udało i od tamtej pory Królowa Perłę należy do waszej rodziny. Tak było?

- Nie. To nieprawda.

- Ależ ciociu - Liana zmarszczyła brwi - mój ojciec przedstawił mi taką samą wersję. Tylko co, na Boga, ma to wspólnego z Matthew?

- Syn wie więcej niż rodzice. Skoro tak, musi działać.

- Mei, błagam... - Cullen potrząsnął bezradnie głową. - Jeśli coś wiesz, jeśli Matthew zwierzał ci się, że zamierza uciec, powiedz! On jest za mały na samodzielne eskapady!

- Nie. Matthew mi się nie zwierzał.

Cullen opadł na kanapę, czując, jak opuszczają go resztki nadziei.

- Tak czy inaczej, nie martw się, znajdziemy go na pewno.

Uznaliśmy po prostu, że powinnaś wiedzieć...

- To wy powinniście wiedzieć - znów mu przerwała. Zaraz potem skrzywiła się boleśnie, powieki jej opadły, a z piersi wydobyło się słabe westchnienie. Ręka Liany odruchowo poszukała pulsu na nadgarstku staruszki.

- Wystarczy, ciociu. Jest ciocia zmęczona. Pójdziemy, jak tylko wróci Berty. Trzeba odpocząć.

- Idźcie. Ale wróćcie wieczorem. Wtedy wam powiem.

- Ciociu, nie jestem pewna, czy będziemy mogli wrócić...
- Wróćcie. Wtedy się dowiecie... gdzie zacząć poszukiwania.

Drzwi otworzyły się i weszła gosposia. Liana wzięła ją na stronę i zapytała:

- Jak ona się ostatnio czuje? Jest bardzo zagadkowa. To do niej niepodobne.

- Nie zauważyłam żadnych zmian. - Dziewczyna zerknęła na podopieczną. - Dużo śpi, ale poza tym zupełnie trzeźwo myśli. Może powinnam zawiadomić synów albo wezwać lekarza?

- Chce, żebyśmy przyszli jeszcze raz wieczorem. - Liana poszukała wzrokiem Cullena, jakby szukała w nim wsparcia.

- I tak zrobimy - zdecydował bez przekonania. - Chyba że będziemy potrzebni gdzie indziej.

- Uważaj na nią - przykazała Liana gosposi. - I wezwij Sama, jeśli zauważysz coś niepokojącego.

- Gdzie jest perła? - odezwała się nagle Mei, głosem silniejszym niż poprzednio. Uniosła powieki i znów spojrzała na nich świdrującym wzrokiem.

- Spokojnie, ciociu. - Liana usiadła obok niej.

- Gdzie jest Królowa Pereł? - powtórzyła Mei. Liana zawahała się. Wolą nie poruszać tego tematu. Uznała jednak, że nie wolno niepokoić ciotki oględnymi wyjaśnieniami, odparła więc krótko:

- Wiesz, że trzymam ją w sejfie.

- Teraz też tam jest?

- Oczywiście.

- Dlaczego kłamiesz? Bo jestem stara i chcesz oszczędzić mi prawdy? Czy dlatego, że twój mąż słucha?

- Już dobrze, ciociu - ucięła Liana i podniosła się z miejsca. - Jesteś naprawdę bardzo zmęczona. Wrócimy wieczorem, to jeszcze sobie porozmawiamy.

Na schodach Cullen przytrzymał ją za ramię.

- O co jej chodzi? Czy jest coś, o czym nie wiem?

- To stara kobieta, Cullen, zbyt stara, żeby znosić taki stres.

Wymyśla sobie rozmaite historie.

- Nie wciskaj mi kitu, dobrze?

- Nie muszę ci nic wciskać. Przyjechałeś tu z własnej woli i możesz, do diabła, wyjechać, jeśli ci się nie podoba!

- Czy coś się stało z Królową Perłą?

- Nie twój interes. Perła należy do mnie.

- Czy coś się z nią stało? - Cullen zagroził jej drogę.

Liana milczała uparcie, stracił więc nadzieję, że mu odpowie. Kiedy miał ją jednak przepuścić, spuściła głowę i powiedziała:

- Królowa Perła też znikła. Odkryłam to, kiedy zadzwoniłeś z lotniska i powiedziałeś, że Matthew nie dotarł do Nowego Jorku.

- Niech to szlag! I ty to przede mną ukrywasz?!

- Ukryłam to przed wszystkimi, Cullen. Wiemy o tym tylko ty, ja i ten, kto ją ukradł.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- O czym myślisz, Lee? Cholera, jeśli mamy współpracować, rozmawiajmy ze sobą.

Cullen odgarnął włosy z czoła ruchem, który dobrze pamiętała. Zawsze tak robił, gdy był zdenerwowany. Zawsze był impulsywny, lecz teraz nawet Liana, najsurowszy krytyk byłego męża, nie mogła wątpić w szczerłość jego uczuć. Bez wątpienia bardzo kochał syna.

Zasunęła szybę oddzielającą ich od szofera i odparła:

- Nigdy nie byłam w podobnej sytuacji, nie wiem, co robić - ściszyła głos. - Poruszam się po omacku. Zniknęła perła, zniknął Matthew. Ktoś, kto ukradł perłę z sejfu, mógł uprowadzić także jego. Zastanawiam się, komu mam zaufać.

- Mnie. Sądzisz, że nie wiem, co się kłębi w twojej głowie? Ta cholerna perła odbija się między naszymi rodzinami jak piłka tenisowa.

- To nie ona, Cullen, to ludzie odbijają sobie ją nawzajem. Kradną ją, a potem przez nią giną.

- Wolałbym, żeby nasz syn nie podzielił ich losu. - Liana umilkła, lecz Cullen szybko przerwał chwilową ciszę. - Podejrzewasz kogoś? Masz jakiś pomysł, kto mógł otworzyć sejf?

- Nie.

- Czy ktoś oprócz ciebie zna szyfr?

- Nikt.

- Mam nadzieję, że to nie twoja data urodzin.

- Nie. Szyfr ułożył Thomas. To zbiór przypadkowych cyfr.

- Czyli ktoś musiał się włamać, zniszczyć zabezpieczenia.

- Nie wiem, nie jestem detektywem. Wiem tylko, że ten ktoś nie zostawił żadnych śladów włamania.

- Czy w sejfie było coś poza Królową?

- Nie. Biuro należało do ojca. Zainstalował sejf przed ślubem z moją matką. Wbił sobie do głowy, że tylko tam perła będzie bezpieczna.

- Albo chciał, żeby przypominała mu o przeszłości.

- Nie rozumiem tego. To podobno przeklęta perła.

- Trudno winić martwy przedmiot za to, jak ludzie wobec siebie postępują.

- Dlaczego więc zniknęła jednocześnie z naszym synem?

- Skąd wiesz, że jednocześnie?

- Nie jestem pewna - przyznała. - Odkryłam jej zniknięcie po zaginięciu Matthew, ale nie wiem, kiedy to mogło się stać. Nigdy nie wyjmuję jej z sejfu, chyba że z jakichś powodów trzeba ją komuś pokazać. - Przemilczała, że nie znosi jej oglądać ani dotykać, że sama jej obecność napawają niepokojem.

- Kiedy więc widziałas ją po raz ostatni?

- Dwa miesiące temu, o ile się nie mylę.

Kierowca zatrzymał samochód przed jej domem i otworzył drzwiczki. Szybko przeszli do wejścia, a w windzie Liana podjęła przerwany wątek:

- Stanford o niczym nie wie. Nikomu o tym nie powiedziałam, nawet Frankowi Fongowi, kuzynowi, który jest moim najlepszym przyjacielem.

- Mei wie - zauważył Cullen. - Nie wiemy jednak skąd. Powiesz Stanfordowi?

Liana zatrzymała się przed drzwiami apartamentu.

- Nie. Zaalarmowałyby swoich ludzi i wiadomość dotarłaby do Grahama.

- A czy Stanford zdoła pomóc nam w odnalezieniu syna, skoro ukrywasz przed nim tak istotny fakt?

- Tym bardziej zdoła nam pomóc. Obawiam się, że kiedy dowie się o kradzieży Królowej Perł, uzna tę sprawę za priorytetową i zaniecha poszukiwań Matthew. - Cullen zmarszczył ze zdziwieniem brwi, więc wytłumaczyła mu szybko całą zawilóść sytuacji: - W przyszłości perła będzie należeć do mnie, ale jeszcze kilka lat pozostanie własnością firmy. Taka była wola ojca. Wyobrażasz sobie, że Graham zignoruje jej zniknięcie i wstrzyma się od zaalarmowania policji do powrotu Matthew? Czy masz pojęcie, ile ona jest warta? - Milczenie było odpowiedzią, której się spodziewała. - Czyli zgadzasz się, że nie powin-

niśmy nic mówić Stanfordowi? Przynajmniej na razie?

- Chyba że znajdziemy wyraźny związek między obiema sprawami.

Twoja ciotka uważa, że wiele je łączy.

- Moja ciotka jest stara i przeżyła szok.
- Zamierzam jednak odwiedzić ją dziś wieczorem.

Liana ruszyła do kuchni, lecz Cullen przytrzymał jej ramię.

- Poczekaj - spojrzał na nią w skupieniu - czy Matthew miał dostęp do sejfu? Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że to on zabrał perłę i sprzedał, żeby mieć forszę na ucieczkę?

- Wykluczone - odparła bez zastanowienia. Matthew nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego.

Dobrze wie, jak wiele ona znaczy dla naszej rodziny.

- Ale miał do niej dostęp?
- Wie o sejfie, nie zna szyfru.
- Otwierałaś kiedyś sejf w jego obecności?
- Nie pamiętam.
- A zdarza się, że zostaje sam w twoim gabinecie?

- Och, całkiem często. Czeka na mnie i odrabia tam lekcje. Ale na pewno nie zna szyfru... - Zastanowiła się i dodała: - To ciąg sześciu cyfr, Cullen. Trzeba lat, żeby znaleźć właściwą kombinację.

- A czy w gabinecie są kamery?
- Nie, nie życzę sobie, żeby mnie obserwowano.

Natomiast przy wejściu do biura mamy skomplikowany system alarmowy. Nikt nie wejdzie do środka niezauważony. Poza tym Stanford dzień i noc patroluje budynek.

- Może to kolejny powód, by nie mówić mu o perle. Ma doskonałe możliwości omijania wszelkich środków bezpieczeństwa.

Liana lubiła Stanforda, ale trzeba było brać pod uwagę wszelkie ewentualności. Na razie jednak wolała nie podejrzewać go o związek z kradzieżą Królowej Perle i zaginięciem ich syna.

- Mówiliśmy o Matthew - przypomniała. - Nie rozumiem, po co i w jaki sposób miałby wykraść perłę.

Cullen wzruszył ramionami.

- Może jest splukany i potrzebuje pieniędzy. Założyłaś mu konto?
- Tak. Ma kartę kredytową.

- Ktoś sprawdzał już bank?
- Dziś rano podałam Stanfordowi numer jego konta.
- No to przekonajmy się, czego się dowiedział. Kiwnęła głową na znak zgody. Od dawna już nie kochała Cullena. Zaufanie i szacunek wygasły jeszcze szybciej. Jednakże przez ostatnie kilka godzin współpracowali tak zgodnie, że zaczęła patrzeć na niego życzliwiej. Po raz pierwszy od wielu lat komuś zależało na chłopcu równie mocno, jak jej. Po raz pierwszy miała przy sobie kogoś, kto pomagał jej podejmować decyzje. To przerażające, pomyślała. To straszne, że po tym wszystkim, co od niego wycierpiała, Cullen Llewellyn wciąż odgrywa w jej życiu tak ważną rolę.

Cullen miał dobrą intuicję i rzadko mylił się w ocenie ludzi. Wychowany w jednym z najbarwniejszych miejsc Australii, potrzebował zaledwie kilku sekund, by rozpoznać, z kim ma do czynienia. Dla hazardzisty to szczególnie cenna umiejętność, zwłaszcza gdy się chce wygrywać.

Dla Cullena wygrana nie była jednak najważniejsza. Uwielbiał towarzyszący grze dreszczyk emocji, kochał te chwile, które przesądzały o wyniku. Sama wygrana była niczym - gra wszystkim. Ale tym razem wszystko zależało od wygranej.

Cullen bacznie obserwował Stanforda, jego nienaturalną, jak mu się zdawało, ruchliwość i niepokój. W obecności Liany Murzyn starał się panować nad nerwami, lecz wyraźnie jego umysł zaprzętały inne kwestie.

- Nie mamy żadnych wieści - zakomunikował krótko, gdy weszli do pokoju, gdzie siedział ze wzrokiem utkwionym w ekran komputera. - Na obu lotniskach postawiłem ludzi, pokazują zdjęcia Matthew, rozmawiają z obsługą. Jak dotąd bez rezultatu.

- I naprawdę nie masz nam nic do przekazania? - Cullen postanowił włączyć się do rozmowy.

- O co ci chodzi? - Stanford odwrócił się z irytacją, którą stłumił w sobie o ułamek sekundy za późno.

Cullen zerknął ukradkiem na Lianę. Ubrała się na czarno, jak gdyby uznała, że noszenie żałoby po Matthew jest stosownym do sytuacji postanowieniem. Błada i bez makijażu, wyglądała poważniej niż

zazwyczaj. Była przygnębiona i udręczona, potrafiła jednak wychwycić zmianę w zachowaniu Stanforda.

- Stanford, czy coś cię gnębi? - spytała.

- Po prostu nie mam nic konkretnego.

- A co masz?

- No cóż - westchnął - sprawdziliśmy dziś rano stan konta Matthew.

- I co?

- Nic - rozłożył bezradnie ręce - ostatnio tylko raz wypłacał pieniądze. Około pięćdziesięciu dolarów trzy tygodnie temu. Na koncie zostało mu ponad sześćset.

- Kupił dla ciebie prezent - wyjaśniła Liana Cullenowi. - Kompas w skórzanym etui. Myślał, że może przydać się na biwaku.

- Sprawdziałaś, czy zabrał go ze sobą?

- Rzeczywiście, powinnam to sprawdzić. Jeśli go zostawił...

- To znaczy, że wcale nie wybierał się na biwak - dokończył Cullen.

- Przeszukałem pokój bardzo starannie, ale kompasu nie znalazłem - włączył się Stanford. - Być może uznał, że przyda mu się w ucieczce. Dziwi mnie jednak, że przed wyjazdem nie korzystał z konta. Może zostawił to sobie na później. Dzwoniłem już do banku. Zobowiązali się zawiadomić nas, gdyby ktokolwiek próbował pobrać pieniądze. Na razie jednak nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

- A może mały miał dostęp do innych kont?

- Nie - wyjaśniła Liana - ale dostawał kieszonkowe. Chciałam, żeby nauczył się gospodarować pieniędzmi.

- Teraz rozumiem, dlaczego zawsze umiał rozporządzać gotówką - uśmiechnął się Cullen, a Liana odruchowo posłała mu spojrzenie pełne wdzięczności.

- Parę razy dawałam mu swoje karty kredytowe, tak na wszelki wypadek - dodała po chwili namysłu. - Ale to było kilka miesięcy temu. Nie chciałam, żeby nabrał złych nawyków korzystania nagminnie z kart.

- Lepiej upewnij się, czy żadnej nie brakuje. I sprawdź wyciągi.

- Sprawdzę od razu - zgodziła się potulnie, choć trudno jej było uwierzyć, że Matthew mógł cokolwiek ukraść.

- To silna kobieta - odezwał się Stanford, gdy Liana zniknęła za drzwiami. - I mocno się trzyma jak na taki stres. Wiem, jakie to musi być

dla niej trudne.

- Czego jeszcze się dowiedziałeś? - Cullen wolał nie wdawać się w rozmowę na temat przymiotów swojej byłej żony. Nie ze Stanfordem

- Sprawdzamy ciebie - odparł Murzyn, patrząc mu w oczy. - Myślę, że nie jest to dla ciebie zaskoczeniem.

- Sprawdzajcie. Moje życie jest otwartą księgą.

- Miałeś poważne problemy z hazardem.

- Nadal mam.

- Naprawdę? - Stanford przekrzywił głowę. - W raportach nie ma o tym żadnej wzmianki.

- Nie wiecie, że przegrałem fundusz powierniczy syna?

- Nic o tym nie wiedziałem. Liana nigdy nie pisnęła o tym słówkiem.

- Wiem, zrobiła wszystko, żeby zachować ten fakt w tajemnicy. -

Cullen uśmiechnął się smutno.

- Krycie mnie stało się jej nawykiem. - Teraz on spojrzał

Stanfordowi prosto w oczy i powiedział:

- Wiesz co, przyjacielu, mam wrażenie, że nie mówisz nam wszystkiego. Co jest grane? Co trzymasz w zanadrzu?

Stanford zawahał się, pokręcił głową.

- Jak wspomniałem, sprawdziliśmy bank. Ale nie byliśmy pierwsi.

- Co to znaczy?

- Wygląda na to, że ktoś oprócz nas szuka chłopaka. I chyba nie ma ochoty się ujawnić.

Po południu Liana zdrzemnęła się godzinę. Choć męczyły ją koszarne sny, zdołała jednak odrobinę odpocząć. Gdy się obudziła, Stanforda już nie było, za to Cullen wciąż siedział w salonie i nie odrywał wzroku od portretu syna. Był tak zamyślony, że nie zauważył nawet, kiedy weszła.

Dłuższą chwilę stała w drzwiach, przyglądając się mu w zadumie. Cullen Llewellyn zauroczył ją przede wszystkim swoim głosem, a także naturalnością, bezpośredniością i brakiem pozerstwa. Nie był szczególnie przystojny, lecz bardzo pociągający. Gdy się uśmiechał, jego twarz łagodniała, a wokół oczu tworzyły się drobniutkie zmarszczki. Uśmiech, ciepłe niebieskie oczy, sposób, w jaki się poruszał - to wszystko nieodparcie ją kusilo. Zachowywał się swobodnie i sprawiał

wrażenie człowieka, który czuje się bezpiecznie. A Liana miała dużą potrzebę bezpieczeństwa.

Odwrócił głowę, wyczuwając jej obecność.

- Nie znam się na dzieciach - odezwał się cicho. - Ale zawsze mi się wydawało, że Matthew jest zwyczajnym dzieckiem, ani mniej, ani bardziej skomplikowanym niż przeciętny chłopak w jego wieku. Ma żywy umysł, interesuje się tym, co się wokół niego dzieje, i wcale się z tym nie kryje. Nigdy też nie próbował ukrywać swoich uczuć. Nie wiem, czy rzeczywiście uciekł, ale jeśli tak, to powiedz, Lee, co mu nagle odbiło?

- Nie wiem. Czasami się martwię, czy on nie dorasta zbyt szybko, czy za nim nadążam. Ale jeśli spojrzeć na jego kolegów z klasy... - uśmiechnęła się i dodała: - Jeśli się czasem spieramy, to o długość włosów albo o brudne dżinsy. Tymczasem jego najlepszy przyjaciel w zeszłym roku wylądował na detoksie.

- Nie sądzę, żeby teraz zniknął z powodu prochów. To mądry i rozważny dzieciak. Ma sporo zdrowego rozsądku. Potrafi zatroszczyć się o siebie. - Odetchnął głęboko, oderwał wzrok od portretu syna i popatrzył na Lianę. - Zarezerwowałam dla siebie hotel niedaleko mieszkania ciotki Mei. Wprowadzę się, jak tylko od niej wyjdziemy.

Liana poczuła w sercu ukłucie żalu. Pomyślała, że gdyby ich syn zaginął w Australii, Cullen zrobiłby wszystko, by włączyć ją do śledztwa. Nie skazałby jej na samotne trwanie w hotelu, nie odsuwał od dyskusji o losie dziecka. Nigdy nie był złośliwy. Miał wiele wad, ale nigdy świadomie nie chciał jej skrzywdzić.

- Wolałabym, żebyś tu został - wyznała, zdziwiona, że te słowa przyszły jej tak łatwo i zabrzmiały tak zwyczajnie. - Nie chcę czekać na ciebie, kiedy zadzwoni telefon i przyjdzie do podejmowania decyzji. Mam wrażenie, że wszystko rozegra się tutaj, a ty... ty zasługujesz na to, żeby w tym uczestniczyć.

Cullen odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

- Na pewno nie będę ci przeszkadzał?
- Nie - odparła. - Na razie współpracujemy tak zgodnie... Kto by pomyślał, że po tych wszystkich latach znów w czymś będziemy zgodni.
- Nigdy nie byłem najlepszy w pracy zespołowej.

- To fakt.

Nie próbował zapewniać, że się zmienił. Nie przeproszał ani niczego nie obiecywał. Powiedział tylko:

- Zgoda, zostanę - a potem zapytał: - Kiedy ruszamy?
- Jak tylko dotrze tu człowiek Stanforda. Ma warować przy telefonie.

Jadłeś coś?

- Sue zrobiła mi kanapkę. Ty też postaraj się coś przełknąć.

Zadzwoń do hotelu. Muszę odwołać rezerwację.

W samochodzie wymienili tylko kilka zdawkowych uwag. W przeszłości nieraz siedzieli tak obok siebie, ufni w przyszłość i pełni wiary we własne możliwości, gotowi razem zdziałać cuda. Hyl głęboko przekonani, że grzechy przodków ich nie dosięgną.

- Królowa Perła przynosiła same nieszczęścia westchnęła Liana, przerywając milczenie. - Jeśli Matthew ją ma...

- Jeśli uważasz, że przynosi nieszczęście, to po co trzymasz ją w biurze? - Cullen nie pozwolił jej dokończyć.

- Mój dziadek przez nią zginął. Trzymam ją z szacunku dla niego.

- Nie bardzo chwytam, Lee.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. To, co mówiła, i to, co czuła, było równie wieloznaczne i skomplikowane, jak jej osobowość. Duszę Liany Robeson wypełniało w równej mierze poczucie obowiązku i szacunek dla tradycji, co intuicja i emocje, które często brały górę.

- Sama nie wiem, co o tym myśleć.

- Matthew nie ma tej perły, Lee. - Cullen wziął ją za rękę. - Przecież sama mnie o tym przekonywałaś. - Zatrzymali się właśnie przed domem ciotki Mei, ścisnął więc mocniej dłoń Liany i zapytał: - Pomóc ci?

Przez chwilę rzeczywiście miała ochotę wesprzeć się na jego ramieniu. Ale natychmiast odzyskała panowanie nad sobą. Wyrwała rękę.

- Jesteś tu po to, żeby szukać Matthew, a nie po to, żeby wtrącać się w moje życie.

Kiedyś podobna uwaga natychmiast wywołałaby awanturę. Napięcie rozładowaliby pójściem do łóżka, niczego w istocie w ten sposób nie rozwiązując. Teraz jednak Cullen zachował spokój.

- Nie ma sprawy. Będę się wtrącał tylko wtedy, kiedy mi na to

pozwolesz.

Kierowca otworzył przed nimi drzwi i Liana musiała samodzielnie pokonać kilka metrów nierównego asfaltu, które dzieliło ją od wejścia. Szła drobnymi kroczkami, zaciskając pięści, starając się nie wdychać trującego powietrza. Cullen dołączył do niej dopiero na schodach.

Zapukali do drzwi, które otworzyła im Mei.

- Nie mamy dużo czasu, ciociu - powitała ją Liana - czekamy na telefon.

- Zostaniecie tak długo, jak będzie trzeba. - Mei władczym gestem ujęła bratanicę pod ramię. Wprowadziła ich do saloniku, gdzie usiadła w zapadniętym fotelu i otuliła się kocem.

Na stole leżały rozsypane zdjęcia. W dzieciństwie Liana nieraz oglądała rodzinne fotografie: portrety męża Mei, Wo Fonga, jej synów i wnuków, wśród których był także Frank, rówieśnik Liany i jej sprzymierzeniec w Pacific International.

Ale tych zdjęć nie widziała nigdy.

- Usiądź obok mnie, Cullen. - Mei wskazała sofę po swojej prawej stronie. - A ty, Liana, usiądź tutaj. - Pokazała jej krzesło. - To długa opowieść, lecz wy się spieszcycie, toteż będę się streszczać - zaczęła. Zamknęła oczy, przez chwilę trwała w milczeniu, wreszcie odezwała się znowu:

- Znam Jimiramirę, Cullen. Znam miejsce, w którym się urodziłeś. Dawno temu, kiedy byłam młoda, znałam też twojego dziadka, Bryce'a...

Wzięła do ręki jedno ze zdjęć i wręczyła je Cullenowi.

- Widzisz? Nazywano mnie wtedy moim pełnym imieniem, Mei-Zen, Piękna Perła. Matka nadała mi je po to, żebym nigdy nie zapomniała, w jakich okolicznościach zmarł mój ojciec. Ale Bryce nazywał mnie inaczej, May...

Liana poczuła na sobie pytające spojrzenie byłego męża. Zacisnęła dłonie, usiłując zachować pozory spokoju. Słowa ciotki przywoływały pamięć o ludziach, których nie znała, ale jej myśli nieuchronnie poszybowały ku Matthew. Przymknęła oczy i ujrzała twarz chłopca, wizerunek, który służył jej za talizman.

Nad wodami Pacyfiku, na pokładzie Boeinga 747, Matthew Llewellyn nieśmiało przyglądał się jasnowłosej stewardesie, której profesjonalny

uśmiech podkreślała dyskretnie nałożona warstwa szminki. Zauważył ją tuż po wejściu na pokład samolotu. Nie wyróżniała się szczególną urodą, ale wyglądała jak ktoś, kto umie sobie poradzić w każdej sytuacji, a w tym momencie ta cecha wyjątkowo mu imponowała. Wyobrażał ją sobie, jak z tym samym spokojnym uśmiechem podaje kolorowe czasopisma prezydentom i terrorystom.

Zastanawiał się, czy jej skóra pod mundurkiem w kolorze khaki ma ten sam złotawy odcień, co opalenizna na twarzy. Gdy się zbliżyła, uciekł od niej wzrokiem, spłoszony.

- Czego się napijesz?
- Coli - jego głos zabrzmiał pewnie i dojrzałe. - Dziękuję.
- Lecisz sam?

Zebrał się na odwagę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Mama siedzi z tyłu - skłamał po mistrzowsku. - Chciała się chwilę zdrzemnąć.

Stewardesa łatwo dała się przekonać. Samolot nie miał kompletu pasażerów, więc ci nawykli do częstszego latania usadowili się, gdzie popadło.

- Ty też powinieneś się przespać. Są wolne fotele. To długi lot, potem będziesz zmęczony.

- Dobrze, prześpię się, jak skończy się film. Zadowolona się tą obietnicą i odeszła. Matthew odetchnął z ulgą. Postanowił upozorować ożywione rozmowy z sąsiadami, by stewardesy, gdyby coś wydało im się podejrzane, nie domyśliły się, że podróżuje bez opieki. Liczył na to, że historyjka o drzemającej mamie zadziała.

Zadziałać też miała nowa fryzura, kowbojska koszula i buty, które kupił na lotnisku w Dallas, a także paszport i prawo jazdy, które pożyczył od Simona Van Valkenburga, jedyne go znajomego, na którego trop matka nie mogła wpaść. Kontrolę na lotnisku przeszedł bez problemów, teraz musiał pilnować się, by reagować na imię Simon.

Stewardessa wróciła z colą i prażonymi migdałami.

- Chcesz może coś do czytania?
- Nie, dzięki. W bagażu podręcznym mam książkę.
- Byłeś już kiedyś w Australii?
- Dwa razy - odparł bez mrugnięcia okiem. Urodził się co prawda w

Australii, ale wracał do niej jedynie w fantazjach.

- Naprawdę? Gdzie byłeś?

Był przygotowany na takie pytanie. Teraz, gdy padło, miał okazję wypróbować swoje zdolności aktorskie.

- W Australii Południowej. Miałem wtedy pięć lat, niewiele pamiętam.

- Tę podróż na pewno dobrze zapamiętasz, prawda? - rzuciła, zanim odeszła.

- Na pewno - odparł, choć nie mogła już go słyszeć.

Jak mógłby o tym wszystkim zapomnieć? Starania o wizę pod fałszywym nazwiskiem. Knowania i oszustwa. Kłamstwa i kradzieże. Ucieczka z lotniska w Denver, jazda taksówką na dworzec autobusowy, potem autobusem na lotnisko w Dallas. Podróż samolotem do Chicago. Obcięcie włosów, zmiana ubrania, ukrycie walizki w lotniskowym schowku. Unikanie policji i czarowanie kasjerek. Pocenie się ze strachu za każdym razem, kiedy porównywano go z Simonem na zdjęciu w paszporcie i dziwiono, jak bardzo się zmienił w ciągu pięciu lat.

Nie, nigdy nie zapomni tej podróży.

Tego się nie da zapomnieć.

Dokończył colę, oparł się wygodnie w fotelu i przymknął oczy. Stewardesa miała rację. Lot do Sydney był długi. A Sydney było jedynie kolejnym etapem w drodze do Jimiramiry.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Australia, Terytorium Północne, 1921

Podróż do Jimiramiry była długa i męcząca. Do Darwin Mei dotarła statkiem Johna Gartha. Po śmierci Toma John próbował wspierać Willow. Nie przychodził do ich domu tak, jak inni mężczyźni - po zmroku, by dzieląc łóżko z wdową i samotną matką, dać jej zarobić na chleb dla bliźniąt. Zjawiał się za dnia z praktycznymi prezentami lub drobnymi perłami o nieokreślonych kształtach, które Willow chowała i trzymała na czarnej godzinie. Czasami przynosił też coś do wyprania, by nie odbierała owych darów jak hańbiącej jałmużny.

To właśnie John zajął się poszukiwaniem rodziny Toma. Zakładał, że Robesonowie zechcą pomóc dzieciom, o których myślał ich ojciec, gdy umierał na podwodnym Cementarzystku, lecz których nigdy nie dane było mu poznać. Po wielu miesiącach Garth wysłał do krewnych Toma w San Francisco list ze zdjęciami Mei i jej brata Thomasil, nazwanego tak ku czci ojca. Kilka tygodni później otrzymał list zwrotny i przyszedł do Willow, by odczytać jej nadesłaną z Kalifornii odpowiedź.

- Musisz myśleć o dzieciach, Willow. Tutaj nie mają szansy na normalne życie. Rodzina Toma chce podarować kamienicę małemu Thomasowi...

John wziął na kolana dokazującego szkraba, który baraszkował u jego stóp, ale nie uśmiechnął się jak zazwyczaj, kiedy dziecko w poszukiwaniu cukierków włożyło mu rączkę do kieszeni.

- Thomas jest moim synem. Nie mogę go wysłać samego na drugi koniec świata - zaprotestowała Willow. - Mei jest mu potrzebna jak powietrze, są ze sobą bardzo związani.

- Ale list mówi wyraźnie, że wezmą tylko Thomasa.

- Bo on nie wygląda jak Chińczyk! - Willow przytuliła córeczkę, której udzielił się wyraźnie matczynej smutek.

- To nieco okrutne, masz rację. Ale pamiętaj, że oni obiecują nie tylko ofiarować mu wszystko, co mają, ale także wspierać finansowo ciebie i małą. Pod warunkiem jednak, że pošlesz im chłopca. Ty i Mei będziecie mogły nadal tu mieszkać, a gdy Mei dorośnie, to kto wie, czy nie zechce pojechać do Kalifornii i odszukać brata.

- Oni są moimi dwiema połowami, moimi dziećmi. Jak może bić pół serca?

- Nie masz innego wyjścia... - zawahał się chwilę. - Wolisz może sprzedawać swoje ciało tym grubiańskim nikkzemnikom, tym ordynusom bez żadnych zahamowań i bez krztyny taktu?

Willow wstrzymała oddech, przybita i nieszczęśliwa.

- Przykro mi, ale wiem, do czego życie cię zmusiło - mówił tymczasem John. - Niedługo inni też się dowiedzą, jeśli nie zaprzestasz tego procederu. Czy o takim losie marzysz dla swoich dzieci?

- Nie mogę oddać mojego syna!

Ale oddała, bo rzeczywiście nie miała wyjścia. Czteroletni Thomas w towarzystwie wynajętej kobiety wyruszył w podróż z domu, w którym od miesiący nie było co jeść, do San Francisco, gdzie czekało go życie w dostatku.

Teraz, po szesnastu latach rozstania, po długiej chorobie i po śmierci matki, Mei także wyruszyła w podróż. Nie tak daleką jak brat, ale do miejsca znacznie bardziej niebezpiecznego - jechała do Jimiramiry, by odzyskać perłę, której zawdzięczała swoje imię.

Podjęcie decyzji o wyjeździe nie było proste. Historię o wspaniałej perle, którą ojciec wyłowił z dna oceanu, oraz o jego śmierci z rąk wiarołomnego przyjaciela, Mei słyszała wiele razy. Zapamiętała ją szczególnie, podobnie jak baśniowe opowieści o chińskich przodkach i o rolniczym regionie Kwangtung, gdzie Lian urodziła się w drewnianej chatce z klepiskiem zamiast podłogi. Mei wyobrażała sobie często ojca, uprzejmego mężczyznę o ciepłym uśmiechu, który pragnął poślubić jej matkę.

Opowieść o perle była jednak ważniejsza od wszystkich pozostałych. Ta legenda posiadała magiczną moc. Opowiadała o niesprawiedliwości wołającej o pomstę do nieba. Matka opowiadała jej często o swoich

snach, w których widziała siebie z Królową Pereł na rozpostartej dłoni. Podobno nie mogła oderwać od niej wzroku, a im usilniej się w nią wpatrywała, tym wyraźniej widziała w niej postać ukochanego. Tom Robeson uśmiechał się do Lian i patrzył na nią tym samym, pełnym ciepła spojrzeniem, którym ją obdarowywał za życia.

Mei nie umiała powiedzieć, kiedy w jej głowie zrodził się pomysł odszukania Archera Llewellyna w Jimiramirze i odzyskania perły. Gdyby jej brat pozostał w Australii, to zadanie spoczywałoby na jego barkach. Ale Thomas zamieszkał w Kalifornii z dziadkami, którzy raz na pół roku przysyłali parę groszy na wykształcenie Mei, dlatego też ona musiała spłacić rodzinne długi.

Niewiele wiedziała o życiu Thomasa. Raz opiekun chłopca do koperty zawierającej banknot dla Willow włożył potajemnie fotografię dziecka. Dziesięcioletek nie był podobny do siostry. Miał ciemne włosy, okrągłe oczy i wąskie, surowe usta, podczas gdy Mei miała oczy w kształcie migdałków, a kąciki jej ust zakrzywiały się leciutko ku górze, nawet gdy się nie uśmiechała. Spędziła tyle godzin na wpatrywaniu się w owo zdjęcie, że ostatecznie obraz brata wrył się w jej serce i pamięć.

Odnalezienie perły stało się jej przeznaczeniem. Chciała odzyskać klejnot i wyruszyć do dalekiej Ameryki, by razem z bratem rozpocząć nowe życie. Po śmierci Willow sprzedała meble, a ubrania rozdała kobietom, które opiekowały się dziewczynką przez długie miesiące ciężkiej choroby matki. Sobie zostawiła jedynie starą bransoletkę, którą Tom podarował ukochanej, i resztkę oszczędności. Potem wyruszyła do Darwin w towarzystwie żony Johna, która wraz z mężem zawsze robiła dla Mei wszystko, co mogła.

Darwin, podobnie jak Broome, w znacznej części zamieszkane było przez Chińczyków. Co więcej, było ostatnim miastem przed Terytorium Północnym. Jimiramira leżała daleko za bezkresnymi pustyniami. Hodowcy bydła przyjeżdżali czasem do Darwin w poszukiwaniu pracowników, których nie mogli nająć spośród okolicznej ludności aborygeńskiej. Mei miała nadzieję, że uda jej się znaleźć pracę gdzieś bliżej Jimiramiry, a po jakimś czasie wyruszyć w dalszą drogę wszelkimi dostępnymi środkami transportu.

W najśmielszych marzeniach nie spodziewała się, że dane jej będzie

od razu dotrzeć do Jimiramiry. Już w dzieciństwie nauczyła się cierpliwości. Nie narzekała, gdy brakowało pieniędzy na rybę do ryżu ani gdy z odrabianiem lekcji musiała czekać godzinami na zajętą praniem matkę. W starszym wieku cierpliwie szukała książek, dzięki którym mogłaby pogłębić wiedzę wyniesioną ze szkoły. Podczas wojny, kiedy przemysł perłowy niemal upadł, nie ustawała w staraniach podjęcia jakiegokolwiek pracy. Czekala latami na sposobność, by móc przedsięwziąć podróż do Jimiramiry, tymczasem okazja dotarcia do celu trafiła się niemal z dnia na dzień. Po znalezieniu się w Darwin podjęła pracę w sklepiku w chińskiej dzielnicy, tydzień później poznała pewną młodą kobietę z okolic Katherine. To właśnie nowa znajoma umówiła Mei na spotkanie w sprawie pracy z pewnym bankierem o nazwisku Stuart Sayers.

Podczas rozmowy Sayers mierzył Mei badawczym wzrokiem. Przedstawiła mu się jako May Chun, zangielszczając wymowę i pisownię nazwiska. Oficjalnie nosiła nazwisko Robeson, lecz postanowiła go nie ujawniać. Sayers pochwalił jej znajomość angielskiego i w milczeniu wysłuchał zmyślonej opowieści o dzieciństwie spędzonym w Darwin. W końcu obiecał pamiętać o niej, gdy dowie się o jakiejś pracy.

- Ostatnio mieliśmy tylko jedno zgłoszenie oznajmił, wstając z miejsca na znak, że rozmowa zakończona. - Ale nie posyłałbym tam kogoś tak młodego, jak ty. Nawet Chinki.

- Bardzo pan uprzejmy, ale ja jestem silna i inteligentna. Dam sobie radę.

Sayers ściszył głos do konfidencjonalnego szeptu:

- Naprawdę odradzam. Jimiramira leży na drugim końcu świata. No i jest pewien problem z panią domu: każdy, kto tam się wybrał, po krótkim czasie łapał naprędce najbliższą okazję do powrotu. Zbliża się pora deszczowa, nie będziesz mogła wrócić przez ładnych kilka miesięcy. Nie chcę potem wysłuchiwać babskiego jęczenia, kiedy się okaże, że nie możesz dłużej wytrzymać.

Na wzmiankę o Jimiramirze serce Mei zaczęło bić mocniej. Czuła, że to miejsce jest jej przeznaczeniem, ale nie przypuszczała, że przeznaczenie będzie jej tak sprzyjać.

- Nie mam w Darwin rodziny, która będzie pana nachodzić. Może dałabym sobie radę...

- Chcesz się męczyć? - Stuart spojrział na nią zdziwiony. - Mógłbym ci znaleźć lepszą pracę, bliżej miasta. Trzeba tylko trochę poczekać.

- Przykro mi, ale mam wrażenie, że właśnie tam powinnam spróbować szczęścia. Nie chcę czekać. Może sama napiszę do właścicieli Jimiramiry?

- O nie, w żadnym wypadku.

- Umiem pisać. Mam panu pokazać? Oczy Sayersa zwięziły się do szparek.

- To ja powiedziałem ci o tej pracy, panienko, i to ja cię tam wyślę. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Dwa tygodnie później Mei wsiadła do pociągu jadącego na północny brzeg rzeki Katherine. Dalej nie było już torów. Stamtąd wozem zaprzężonym w muły wyruszyła na południowy zachód, w kierunku Jimiramiry. Żaden z samochodów, które widziała w Darwin, nie pokonałby bezdroży Australii.

Podróż z Broome była ciężka, ale teraz, gdy z wyschniętej ziemi podnosiły się tumany pyłu, a wozy z trudem pokonywały wyboistą przestrzeń, niemal zatęskniła za nieustającym kołysaniem fal i zapachem zdechłych ryb. W kierunku Jimiramiry zmierzały dwa wozy, oba wypełnione zapasami żywności dla hodowców bydła. Oprócz Blueya, woźnicy, który cuchnął gorzej niż cała ładownia perłopławów, i Rexa, aborygeńskiego chłopaka, odpowiedzialnego za drugi wóz, Mei towarzyszyło jedynie starsze małżeństwo Anglików.

Przez pustkowia nie prowadziło nic, co można by od biedy nazwać drogą. Szlak wyznaczały jedynie koleiny wyżłobione gdzieś kołami wozów i ślady końskich kopyt. Niektóre koleiny prowadziły wokół bagien, przez wydmy i wyschłe koryta rzek. Mijali wspaniałe białe zamki, wznoszone cierpliwie przez pracowite mrówki, nie mniej przemyślane i wyrafinowane niż najokazalsze budowle Europy. Wieczorami towarzyszyło im ujadanie psów dingo, a o świcie mogli obserwować przemykające na horyzoncie kangury. Na noc rozbijali obóz i rozpalali ognisko, na którym parzyli aromatyczną herbatę. Jedzenie było skromne, jedynym urozmaiceniem dla słonej wołowiny i warzyw z

puszki były powidła śliwkowe lub suszone owoce.

Bluey, choć miał silną awersję do mydła, starał się być uprzejmy. Za dnia nie dawał się nakłonić do rozmowy, za to wieczorami, przy ognisku, lubił snuć opowieści o podróżach przez bezdroża Queenslandu.

- Kiedy byłem młody, zabierałem zawsze ze sobą trzy rzeczy - opisywał z tęskną nutą dawne dzieje. - Fotografię mojej matki, tomik wierszy Roberta Burnsa i małego psa pasterskiego. Pies zdechł, ja nauczyłem się wszystkich wierszy na pamięć, a zdjęcie tak wyblakło, że nic nie było na nim widać. Do tej pory umiem zagwizdać melodię, którą pies lubił najbardziej, i pamiętam wszystkie wiersze. Pewnego dnia zobaczę też twarz mojej matki, kiedy przyjdzie zabrać mnie do siebie. Czy potrzebuję czegoś więcej? Niczego, oprócz tego wozu. A jeśli i on się rozleci, to zostaną mi jeszcze własne nogi, co nie?

Kiedy strudzony drogą i opowieścią, chrapał później głośno nieopodal jej legowiska, Mei marzyła, by jej życie było równie proste i beztrudne jak jego. By Królowa Perła spoczywała nadal na dnie oceanu. By jej ojcu dane było wrócić do domu, ożenić się z jej matką i powitać na świecie bliźnięta. Mei nie oczekiwała od życia niczego więcej. Żyłaby w zgodzie z bratem, wyszłaby za mąż i miała dzieci, które także cieszyłyby się z życia.

Ale los postanowił inaczej.

Dni mijały, coraz gorzej znosiła piekielny skwar. Dwie ulewy skończyły się równie niespodziewanie, jak pojawiły. Jasna skóra Angielki pod wpływem bezlitosnego słońca nabrała ciemnobrązowego odcienia, a rozmowny początkowo małżonek odzywał się jedynie po to, by coś skrytykować.

Po drodze Mei spotkała tylko dwóch białych mężczyzn, odzianych w skóry i przedwcześnie postarzałych. Spragnieni wieści z Darwin, chętnie nawiązali z nią rozmowę.

- Trafiałaś do Darwin z Broome? - dopytywali z niedowierzaniem. - Jesteś pewna? Może pomyliłaś nazwy? To bardzo daleko...

Także i Mei w pewnym momencie zaczęło ogarniać zwątpienie. Na szczęście Bluey przyspieszył tempo, obawiając się nadchodzącej pory deszczowej. Kiedy zaś któregoś dnia oznajmił, że dotarli do Jimiramiry, Mei była zbyt zmęczona, by się cieszyć.

Minęły następne cztery dni, nim po raz pierwszy ujrzeli w oddali dym z komina.

To dobrze - zatarł ręce Bluey - znaczy się, że gospodarz jest w domu.

- Skąd wiesz? - Mei przysunęła się bliżej na koźle.

- Żona podpaliła mu kiedyś dom. Teraz gospodarz nie pozwala palić ognia, gdy nie ma z nią jego albo syna. Do pomocy nie mają ani jednego białego, a czarni to zaraz by puścili z dymem całe ranczo.

- Mają syna? - zapytała Mei, choć już dawno się dowiedziała, że Archer i Viola Llewellynowie mają chłopca mniej więcej w jej wieku. Wiedziała nawet, jak chłopiec się nazywa - Bryce.

- Aha, mają - odpowiedział Bluey - to jedyna radość gospodarza, bo tak to same tu zgrzyoty. Naprawdę nie wiem, dlaczego Sayers wysłał cię aż tutaj. - Popatrzył na nią, kręcąc głową. - Ale jedno ci powiem: jak skończą się deszcze, będę wracał do Darwin i wpadnę tu po ciebie.

- Zgoda - odparła Mei, miała bowiem nadzieję, że kilka miesięcy wystarczy jej na zrealizowanie powziętych planów.

Tej nocy nie udało im się dotrzeć do domostwa. Jedno z kół obłuzowało się i musieli stanąć na przymusowy popas. Mei i Bluey byli zajęci naprawą osi, gdy zza drzew wyłonił się nieznajomy jeździec. Serce Mei zaczęło bić szybciej. Uświadomiła sobie, że za chwilę stanie twarzą w twarz z zabójcą ojca.

Zbliżywszy się do obozu, jeździec zatrzymał się i zsiadł z konia.

- Jestem Bryce Llewellyn - skinął uprzejmie głową, zwracając się najpierw do Mei. Jego twarz rozpromieniła się jednak, dopiero gdy zobaczył schowanego za wozem Blueya. - Kopę lat, chłopie! Zdążyłeś w samą porę.

- Racja. Mogło być lepiej, gdyby nie ta cholerna droga.

- Co u ciebie, stary?

Mężczyźni zaczęli gawędzić, a ona przyglądała się ukradkiem młodzieńcowi. Dotychczas myślała o nim jedynie jako o kolejnej przeszkodzie na drodze do zdobycia perły. Teraz miała możliwość ocenić wroga. Był wysoki i smukły, krzepki i ogorzały od słońca. Spod kapelusza wystawały ciemnoblonde włosy, a rysy twarzy zaczynały nabierać męskich cech.

- Do Shadyside ciągle mamy jakieś sześć, siedem dni - narzekał

tymczasem Bluey.

- Możecie nie zdążyć. Podobno pora deszczowa w tym roku zacznie się wcześniej.

- Co poradzić? - Wskazał na Mei. - Muszę odstawić wam tę pannę.

- Może ja ją zabiorę? Nie będziesz musiał nadkładać drogi na nasze ranczo.

- Mam też skrzynie - odparł Bluey, ale widać było, że podoba mu się propozycja Bryce'a.

- Zostaw je tu. Rano chłopcy po nie przyjadą.

- No to załatwione - ucieszył się Bluey. - Dzięki, Bryce.

- Czy ona mówi po angielsku?

- Nie gorzej niż ty, chłopie. I znacznie lepiej niż ja.

Bryce podszedł do Mei i zapytał z miłym uśmiechem:

- Masz jakieś imię?

- May - odparła grzecznie. Żałowała, że Bluey wygadał się i wyjawiał jej znajomość języka. Liczyła, że przez pierwsze kilka dni będzie traktowana jak użyteczny, lecz bezmyślny mebel, dzięki czemu będzie miała okazję bezpiecznie przysłuchiwać się rozmowom.

- Weź swoje rzeczy, May - powiedział Bryce i ruszył do konia. - Umiesz gotować? - zapytał, poprawiając siodło.

- Umiem - podążyła za nim.

- A jeździć konno?

- Nauczę się.

- Im szybciej, tym lepiej - zaśmiał się beztrąsko. - No, gotowe, możemy jechać.

Mei nie czuła się speszona faktem, że musi usiąść w siodle za obcym mężczyzną, trzymać go oburącz w pasie i przycisnąć swoje ciało do jego pleców. Gotowa była na znacznie większe poświęcenia, by dopiąć celu i połączyć się z Thomasem. Będzie tym ludziom gotowała i umiała im życie. Będzie udawała miłą, grzeczną i potulną Chinkę. A potem niepostrzeżenie wykradnie perłę, która dla Archera Llewellyna okazała się cenniejsza niż życie przyjaciela, i zostawi Llewellynów, by sami się zagryźli.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Pierwszy dzień w Jimiramirze wywarł na Mei niezatarte wrażenie. Bryce Llewellyn, w przeciwieństwie do rodziców, okazał się człowiekiem uprzejmym i szlachetnym. Viola wydawała się osobą opętaną szaleństwem, Archer natomiast budził grozę - bez skrupułów sięgał po wszystko, czego pożałowało jego serce, jakby chciał zaprzedać duszę diabłu.

Jimiramira odzwierciedlała emocjonalny niepokój jej mieszkańców. Dom był ogromny, zaprojektowany w sposób absolutnie nie pasujący do dzikiego krajobrazu. Pierwszego dnia Mei, spacerując po pokojach, natknęła się na zupełnie puste albo umeblowane pojedynczymi sprzętami pomieszczenia, nieotynkowane ściany, okna niedbale zasłonięte arkuszami blachy, podłogę przypominającą klepisko.

Zamieszkałe pokoje nie wyglądały wiele lepiej. Pokrywała je gruba warstwa kurzu, z którym nie sposób było walczyć w tym klimacie. Kiedy Mei przesunęła palcem po chropawym blacie stołu, rdzawy pył zasnuł w mgnieniu oka oczyszczony fragment. W kącie salonu stało rozklekotane pianino bez kilku klawiszy, którego od lat nikt nie stroił. Na jednej z półek, niczym na ołtarzyku, niszczały stare fotografie w ramkach z potłuczonymi szybami. Okopcone ściany i osmalony kominek przypominały o pożarze, o którym wspominał poprzedniego wieczora Bluey. Mei zachodziła w głowę, czy Viola Llewellyn spowodowała go przypadkiem, czy też może zamierzała żywcem pogrzebać siebie i rodzinę.

Kuchnia znajdowała się pomiędzy domem a jadalnią dla mężczyzn. Roilo się w niej od tłustych much, które obrzydliwym rojem obsiadały na wpół zgniłe warzywa, a okno, pracowicie obetkane gazą dla ochrony przed owadami, spełniało rolę pułapki, w której kłębiła się bzycząca

chmara.

Mei od początku zabrała się do pracy. Do czasu, gdy nadszedł Bryce, zdążyła wyczyścić blat tak, by móc przygotować śniadanie. Przywitał ją krótkim „dzień dobry”, niemalże bez słowa zjadł to, co naprędce przygotowała, a potem wstał, posprzątał okruchy ze stołu i zaniósł naczynia do zlewu.

- Powinienem ci wyjaśnić parę rzeczy, zanim mama się obudzi - powiedział. - Moja matka nie czuje się najlepiej. Czasami jest spokojna, prawie się nie odzywa i nie reaguje na pytania. - Podeszedł do wiadra z odpadkami i wyrzucił resztki śniadania. -Niestety, właśnie przeżywa kolejny kryzys... - urwał nagle, popatrzył na Mei i pokręcił ze zdziwieniem głową. -Naprawdę nie rozumiem, po co cię tu przysłali.

- Twoja mama źle się czuje? - podchwyciła Mei.

- Tak - westchnął - a teraz właśnie ma zły okres. Krzyczy, płacze, nie kojarzy osób. Trzeba jej stale pilnować. Pamiętaj, niezależnie od tego, jak by się zachowywała, nie wolno jej zostawiać samej w pomieszczeniu, gdzie pali się ogień. Żadnych lamp, żadnych kominków. Już raz omal nas nie spaliła.

- Czy wtedy, kiedy gorzej się czuje, powinnam raczej zajmować się nią czy domem? - zapytała Mei.

- Dobre pytanie - uśmiechnął się Bryce. - Nie da rady ogarnąć wszystkiego. Ale nie martw się. Mam nadzieję, że jutro uda nam się nająć nowego kucharza. Aborygeni mają nieopodal obóz. Pojadę do nich po południu i zobaczę, co się da załatwić. Może uda mi się znaleźć też kogoś do pomocy w domu. Tak czy owak będziesz miała mnóstwo roboty.

- Jeśli nie dam sobie rady, pomożesz mi?

- Nie zawsze będę mógł pomóc. Ojciec też mnie potrzebuje.

- Gdzie on jest? - zapytała, uświadomiwszy sobie nagle, że od poprzedniego dnia nie widziała nigdzie Archera Llewellyna. - Czy też jest chory?

Bryce zaśmiał się, ale szybko spoważniał.

- Rzeczywiście, chwilami zachowuje się dość dziwnie. To w ogóle jest dość osobliwe miejsce, May. Chciałbym móc powiedzieć coś innego, ale naprawdę nie mogę. Nie mówili ci o tym, nie uprzedzali, że

to podłe ranczo?

- Pan Stuart Sayers mówił, że trudno jest mu znaleźć chętnych do pracy w tym miejscu.

- Dlaczego więc ty tutaj przyjechałaś? Jesteś młoda, silna, bez trudu znalazłabyś inne zajęcie.

- Jestem Chinką. Wielu ludziom w Darwin się to nie podoba.

- Głupcy.

Zdziwiło ją, że tak zareagował, ale postanowiła zachować ostrożność. Nie powinna czuć do niego ani wdzięczności, ani sympatii.

- Być może głupcy, ale tak już jest - odparła. - Wyjechałam z Darwin, trafiłam tutaj i zamierzam zapracować na swoje utrzymanie.

- W porządku, byłem tylko ciekaw - odpowiedział Bryce. - Mogłabyś przygotować coś do przekąszenia? Większość ludzi wróci dopiero po zmroku, mój ojciec też. Kilku, pewnie z pięciu, będzie jednak wcześniej.

Z niechęcią pomyślała o gotowaniu posiłku przed wysprzątaniem kuchni.

- A co z twoją matką? - spytała.

- Przy odrobinie szczęścia sama się sobą zajmie, jak się obudzi.

- Dasz mi kogoś do pomocy przy sprzątaniu?

- Rozejrzę się. Nie lubisz tracić czasu, co? Przed przyjazdem do Jimiramiry nastawiła się na nienawiść do wszystkiego, co tutaj zastanie. Wcześniej nie poświęciła Bryce'owi cienia uwagi, ale teraz nie mogła pohamować zdumienia, że tak łatwo stopił jej serce jedną pochwałą.

- Przyślę ci Henry'ego - postanowił. - Tylko pamiętaj, że jest przygłuchy, więc będziesz musiała do niego krzyczeć. I nie przejmuj się śniadaniem mamy. Przed południem zwykle niczego nie jada.

Ostrożnie otworzył drzwi i starannie je za sobą zamknął, ale mimo to skłębiony tabun much wdarł się bezczelnie do środka. Mei została sama i natychmiast zabrała się do roboty, zapominając o głodzie.

Henry pojawił się po kwadransie. Nosił gęstą brodę, która zasłaniała bezzębne usta, i miał zwyczaj spluwać od czasu do czasu po kątach. Choć nieustannie narzekał i utyskiwał, szybko i sprawnie uprzątnął kuchnię, naniósł wody i oczyścił gazę w oknach. Kiedy skończył, pomieszczenie zaczęło jako tako przypominać kuchnię.

Poprzedniego dnia nie zdążono przywieźć skrzyń z zapasami, toteż Mei musiała zadowolić się tym, co znalazła w spiżarni pod gankiem. Pokroiła w plastry soloną wołowinę, natarła ją czosnkiem i sypnęła do wody kilka garści ryżu. Podczas gdy potrawa dusiła się na ogniu, ona wróciła do sprzątanania.

Kiedy Bryce po trzech godzinach zjawił się w kuchni, posiłek był gotowy.

- Zaniosę ludziom jedzenie i zjem razem z nimi - zaproponował. - A ty zajmij się teraz mamą.

Do tej pory Mei nie miała okazji poznać Violi Llewellyn. Nie miała nawet czasu zastanawiać się, po co naprawdę tu przyjechała i co znaczy dobrze wykonana praca. Dopiero teraz przypomniała sobie o celu swojej wyprawy.

- Jak ona się dzisiaj czuje? - zagadnęła, nakładając mięso na talerz.

- Jest spokojna - ton jego głosu nie zmienił się, ale twarz przybrała smutny wyraz. - Sama się zresztą przekonasz. Czasami jest przytomna i rozumie, co się do niej mówi. Ale potem przychodzą dni, kiedy nic do niej nie dociera. Zamyka się wtedy w swoim świecie, często na wiele dni. Wydaje jej się, że jest z powrotem w Broome.

- W Broome? - spytała ciekawie, jak gdyby nigdy wcześniej nie słyszała tej nazwy.

- To miasteczko portowe na zachodzie kraju. Ludzie utrzymują się tam z połowu pereł, trochę tak jak w Darwin, tyle że, jak twierdzi ojciec, w Broome tylko tym się zajmują.

- To strasznie daleko.

- Tak, ale kobietom żyje się tam. o wiele łatwiej.

Mei pomyślała o życiu własnej matki, lecz powstrzymała się od komentarza. Jeszcze nie mogła sobie na taki pozwolić. Gdy jednak miała stanąć oko w oko z żoną Archera Llewellyna, zaczęła się zastanawiać, co i dlaczego zostawiła ona w rodzinnym Broome. Rose Garth opowiedziała jej kiedyś, że Viola wyjechała z Archerem, nie bacząc na ostrzeżenia ojca. Upór i brak szacunku krnąbrnej córki były zresztą źródłem nieustannych plotek, które Mei zapamiętała jeszcze z dzieciństwa. Przez lata wyobrażała sobie, że Viola i Archer świetnie się dopasowali, bo przecież oboje byli równie nieustępliwi, bezwzględni i

egoistyczni. Spodziewała się, że z czasem zaczną się wzajemnie niszczyć, a po tym, co usłyszała od Bryce'a, wiedziała już, że tak właśnie się stało. Przynajmniej w przypadku Violi.

Weszła do domu, nakryła do stołu w jadalni i poszła na poszukiwanie gospodyni. Znalazła ją w sypialni na końcu najdłuższego z korytarzy. Pani Llewellyn siedziała na taborecie, wpatrzona nieprzytomnym wzrokiem w podręczne lustro.

Mei wykorzystała sposobność, by przyjrzeć się kobiecie, do której należało - przynajmniej w części - to, co powinno należeć do Willow. Viola Llewellyn miała jasne włosy jak jej syn, ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo między nimi. Bryce był postawny, wysoki, miał jasne spojrzenie i delikatną cerę. Jego matkę szpeciły zgarbione plecy i zniszczona twarz starej kobiety. Wpatrywała się w swoje odbicie bezbarwnymi, napuchniętymi oczami i poruszała ustami, szepcząc do siebie coś bezgłośnie.

Pod ścianą stało żelazne łóżko, półki na ubrania, a pod oknem niewielki stół. Wnętrze ozdabiała jedynie kilka kryształowych flakonów. Mei pomyślała, że w rezydencji Somersetów w Broome nawet służba miała zapewne wygodniejsze pokoje, i niespodziewanie ogarnął ją smutek.

Szybko go w sobie stłumiła i odezwała się konkretnym, praktycznym tonem:

- Proszę pani, obiad gotowy.

Na dźwięk nieznanego głosu Viola ocknęła się i oderwała wzrok od swojego odbicia.

- Czy pomóc pani się ubrać? - spytała Mei.

- Przeszkadzasz mi. Powiem ci, kiedy masz się odezwać.

Mei zignorowała opryskliwy ton.

- Proszę mi pozwolić wyszczotkować sobie włosy.

- Dobrze - przystała Viola, a wtedy Mei wzięła ze stołu szczotkę i wyjęła spinki z jej rozwichrzonych włosów. Rozpuszczone, opadły bezwładnie na ramiona, cienkie, łamiące się, pozbawione blasku. Mei przypomniała sobie włosy matki - jedwabiste, mocne i lśniące nawet wówczas, gdy choroba osłabiła jej ciało. Zaczęła czesać Violę, ta zaś przymknęła oczy, jak gdyby sprawiało jej to rozkosz. - W co mam się

ubrać, Susan? - zapytała.

- Już jest pani ubrana. Viola zdawała się nie słyszeć.

- Ale którą suknię mam włożyć, tę niebieską czy tę złotą? Ojciec nie lubi mnie w złotej. Może włożę tę...

- Ma ją pani na sobie. - Mei szybko pojęła, jak sprawić przyjemność chorej kobiecie, i podjęła grę. - Ładnie w niej pani.

Viola spojrzała na bezkształtny brązowy łachman, brudny i dziurawy.

- A rzeczywiście. Dobrze czesziesz, nawet jeżeli nic innego nie potrafisz - pochwaliła dziewczynę, gdy ta upięła jej włosy na czubku głowy.

- Dziękuję. Poszukamy teraz butów, dobrze?

- Tylko niech to nie trwa godzinami.

Mei znalazła za łóżkiem skórzane, zapinane na guzik i bardzo zniszczone pantofle. Pomogła Violi je włożyć, a potem, podtrzymując chorą pod ramię, sprowadziła ją do jadalni. Gdy spojrzała na stół, który z taką pieczołowitością uprzątnęła, ze zgrozą zamknęła oczy. Chmara ruchliwych odwłoków obsiadła tacę rojącym się mrowiem.

Jednak Viola patrzyła na to z nieukrywanym zaciekawieniem.

- Ach, pieczone jagnię, moja ulubiona potrawa!

Po chwili zajęła miejsce za stołem, omiatając otoczenie wzrokiem damy zasiadającej do eleganckiej kolacji. Rój much poderwał się i oblepił sufit. Viola Llewellyn wzięła do ręki widelec i zaczęła jeść.

Po południu zdrzemnęła się, a Mei zabrała się do sprzątania. Godzinę później Bryce przyprowadził dwie młode Aborygenki, które przedstawił jako Emmę i Sally, choć prawdziwe imiona dziewcząt brzmiały znacznie bardziej melodyjnie i lepiej do nich pasowały.

- Emma zajmie się praniem - oświadczył Bryce - a Sally podobno wspaniale gotuje. Już kiedyś nam pomagała, myślę, że się nada, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zdziwiło ją to „jeśli nie masz nic przeciwko temu”. Mei zdała sobie sprawę, że Bryce niejako przekazał jej już odpowiedzialność za dom. Nie zastanawiała się jednak nad tym zbyt długo, bo roboty wciąż było mnóstwo. Wraz z Emmą i Sally zabrały się do zmieniania pościeli. Zniszczone poszwy i powłoczki zwinęły w tobołek i wrzuciły do billabongu tuż za domem, który pełnił funkcję pralni. Potem za pomocą

gestów i kilku słów Mei ustaliła, co Sally ma przyrzadzić na kolację. Kiedy znów wyszła na dwór, natknęła się na Bryce'a. Oparty w niedbalej pozie o rozłożyste drzewo, bawił się bezwiednie oddzieraniem z kory pasemek łyka i owijaniem ich wokół palca.

- Ojciec ma przywieźć dziś Larry'ego, kucharza. Jeżeli Sally dobrze się sprawi, będą mogli razem pracować.

Mei kiwnęła głową. Bryce całkowicie skupił się na zabawie kawałkiem kory, mogła mu się zatem uważniej przyjrzeć. Patrzyła - i była coraz bardziej zauroczona. Bryce Llewellyn był niezwykle męski, a jednocześnie delikatny, emanował magnetycznym, młodzieńczym wdziękiem. Nie obnosił się jednak ze swoimi przymiotami, nie robił nic, by zwrócić na siebie uwagę. Sprawiał wrażenie osoby zupełnie nieświadomej swoich walorów.

- Sally bardzo się stara - zaczęła Mei, by przestawić myśli na bardziej praktyczny temat.

- Emma zresztą też.

- To dobrze - odparł, nie podnosząc wzroku.

- Dopilnuj jednak, żeby nie spędzały w domu więcej czasu, niż to konieczne. Mama nie przepada za Aborygenami. Kiedyś goniła jednego z pasterzy z nożem w rękę... - Przerwał raptem, jak gdyby dotarło do niego, jak przerażająco musiały zabrzmieć jego słowa. - Zwykle pilnujemy, żeby noże nie leżały w zasięgu jej ręki - dodał, wzruszając ramionami - ale wtedy pokpiiliśmy sprawę. Prawdopodobnie znalazła nóż na podwórzu. Czasami wymyka się w nocy z domu, nie wiedzieć dokąd. Staram się mieć ją stale na oku, ale mam tyle innych spraw, których muszę dopilnować... - znów urwał i pogrążył się w zadumie.

- Czy twoja mama zawsze taka była? - spytała ostrożnie Mei.

- Czy zawsze? - Jego twarz spochmurniała.

- Tego nie wiem.

Zganiła się, że zadaje zbyt wiele pytań, lecz przecież zrozumienie Llewellynów miało niebagatelne znaczenie, skoro miała odzyskać perłę. Postanowiła posłużyć się zmyśloną opowieścią, by sprowokować chłopaka do dalszej rozmowy.

- W Darwin mieszkał pewien Chińczyk - zaczęła. - Wszyscy przychodzili do niego ze swoimi problemami. Pewnego dnia jego żona

wyszła na ulicę i na jego oczach zginęła pod końskimi kopytami. Od tamtej pory biedak zachowuje się podobnie jak twoja matka. Rozmawia z żoną, zupełnie jakby ta wciąż żyła. Nie jest sobą. Żyje w świecie omamów i własnych wyobrażeń...

- Dlaczego mi to mówisz? - przerwał jej Bryce.

- Ten Chińczyk zmienił się, bo był świadkiem przerażającej sceny. Zastanawiałam się, czy z twoją matką nie stało się tak samo.

Przez chwilę milczał, pogrążony we własnych myślach.

- W Broome prowadziła zupełnie inny tryb życia - odezwał się w końcu pośpnie.

- Byłeś kiedyś w Broome?

- Nie. Nigdy nie wyjeżdżałem z rancza.

Mei zrobiło się go żal. Żyjąc w tak ograniczonym świecie, skąd miałby wiedzieć, dlaczego matka dostała obłądu? Z kim miałby ją porównać? Może nawet nie był w pełni świadom, jak dziwaczne jest jej zachowanie.

- Kobiecie ciężko tu żyć - westchnął.

- Domyślam się. Może ma jednak coś, czym mogłaby się cieszyć?

- W jednym roku mamy suszę, w następnym powódź. Nie jesteśmy w stanie ogarnąć tak olbrzymiego terenu i nad wszystkim zapanować. Aborygeni podbierają nam krowy, które zapuściły się za daleko. Ludzi nęka malaria... - wykrzywił usta w gorzkim grymasie. - Nie wiem dlaczego, ale jakoś nie cieszy to mojej matki.

Mei uśmiechnęła się w duchu i polubiła Bryce'a jeszcze bardziej. Stać go było na dystans w takiej sytuacji, miał poczucie humoru. Był to czarny humor, ale Mei taki właśnie odpowiadał.

- Chciałam tylko powiedzieć, że może jest tu jednak coś, co ona kocha, coś, na co lubi patrzeć albo czego chętnie słucha, smakuje, wącha. Nie wiem, może jakiś drobiazg, dzięki któremu mogłaby powiedzieć: „Życie nie jest wcale takie straszne?”

- To miło, że się o nią troszczysz. - Bryce obdarzył Mei serdecznym uśmiechem. - Od dawna wyłącznie ja o niej myślę. Od bardzo, bardzo dawna...

Oczywiście po takim stwierdzeniu Mei natychmiast chciała zapytać o jego ojca, Archera Llewellyna, ale powstrzymała się w porę. Lepiej nie

wzbudzać podejrzeń zbytnią natarczywością.

- Muszę wracać - rzekła - sprawdzę, czy się nie obudziła.
- Wieczorem, gdy się ochłodzi, zabiorę cię na spacer i pokażę

okolicę.

- Zgoda - odparła, a myśl o wieczornym spacerze nie odstępowała jej potem przez całe popołudnie, kiedy mokrą ścierką mozolnie walczyła z pokładami lepkiego brudu.

Gdy jako tako oporządziła salon i pokój gościnny, pot lał się z niej strumieniami. Gdy zabierała się do reszty domu, czuła się zupełnie wykończona. Pokoik, który jej przydzielono, był maleńki, duszny i prawdopodobnie służył niegdyś jako pomieszczenie gospodarcze. Sprzątanie go odłożyła na później, a zajęła się sypialniami mieszkańców rancza. Odważyła się zakraść do pokoju Bryce'a i z zadowoleniem stwierdziła, że w przeciwieństwie do innych domowych pomieszczeń, pokój młodego Llewellyna utrzymany jest w idealnym porządku. Nie miała tam praktycznie nic do roboty, postanowiła więc chwilę odpocząć w tej oazie czystości.

Odetchnęła pełną piersią. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach mężczyzny: znoszonych skór, potu, tytoniu. Na Mei podziałał on jednak jak balsam. Wyszła po chwili, a kiedy delikatnie zamykała za sobą drzwi, zderzyła się w progu z mężczyzną w średnim wieku o ciemnoniebieskich stalowych oczach.

- A, to ty pewnie jesteś tą kuchcią, którą wynalazł dla mnie Sayers. Pieprzony idiota! Miał przysłać białą, a nie żółtą!

Nie potrzebował się przedstawiać. Mei wiedziała, że stoi przednią Archer Llewellyn, morderca jej ojca. Przemknęła jej przez głowę szalona myśl, by wyznać mu swoją tożsamość i zobaczyć, jak zareaguje.

- Przykro mi, nikt oprócz mnie nie zgodził się przyjechać - wyjaśniła, siląc się na uprzejmość. - Postaram się jednak, żeby był pan ze mnie zadowolony - dodała, po czym spuściła skromnie oczy z udawanym szacunkiem.

- Pieprzona Chinka, tylko tego nam brakowało! Jakby za mało tu było tych cholernych czarnuchów!

Nie podnosząc wzroku, zastanawiała się, jak to możliwe, że jej ojciec, ponoć łagodny, mądry, niemal święty, mógł kiedykolwiek przyjaźnić się

z tym okropnym człowiekiem.

- May zdążyła już zdziałać cuda, tato - usłyszała i obejrzała się szybko. Korytarzem nadchodził Bryce. Szedł sztywno, bez uśmiechu, niczym kowboj ostrożnie podchodzący do wierzgającego, dzikiego rumaka. - W jeden dzień zrobiła więcej niż wszyscy razem więci przez ostatnie tygodnie.

Archer z wyniosłą miną zignorował jego słowa.

- Co takiego niby zdążyłaś zrobić? - zwrócił się do Mei. - Gadaj! Wyliczyła posłusznie wszystkie czynności, które wykonała tego dnia.

- A gdzie twoja matka? - warknął do syna, nie odwracając głowy.

- Pani Llewellyn teraz śpi - zamiast Bryce'a odpowiedziała Mei.

Archer milczał. Patrzyła na niego, stała tuż obok, lecz nie czuła strachu przed mordercą. Nic jej nie robi. Nie pokrzyżuje jej planów. Nawet gdyby postanowił ją odesłać do Darwin, zorganizowanie podróży zajęłoby sporo czasu.

- Trzymaj się od tej dziewczuchy z daleka, rozumiano? - odezwał się znowu. - Znałem kiedyś zdziwę, całkiem podobną do tej, która wykończyła pewnego faceta. Równy był z niego gość, aż żal było patrzeć. Nie mam więc zamiaru cackać się z następną wywłoką! - wycedził i odszedł ciężkim krokiem, wystukując obcasami rytm na podłodze.

Bryce poczerwieniał z zakłopotania. Jego oczy zdawały się błagać Mei o wybaczenie. Nie wymówił jednak jakiegokolwiek prośby, nie chcąc jeszcze bardziej jej upokarzać. I siebie też.

Odwróciła się do niego, lecz w jej oczach nie było smutku ni gniewu. Przeciwnie, serce Mei wypełniała przedziwna radość. Doskonale wiedziała, o kim wspomniał Archer. Choć nie była podobna do swojej matki, kobiety niezwyklej wprost urody, to jednak jej widok przywołał Archerowi na pamięć postać Lian. Być może obraz znienawidzonej Chinki zasiał w jego duszy ziarno niepokoju. Być może podświadomie przeczuwał, że kolejna Chinka zmieni jego życie na ranczu w koszmar.

Niech zgrzyta zębami. Niech się boi. Nigdy dotychczas Mei nie była tak pewna, że przyjazd do Jimiramiry był jej przeznaczony.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przechadzka po okolicy nie doszła do skutku ani tego wieczora, ani przez cały następny tydzień. Bryce'a wysłano z pocztą i zaopatrzeniem do jednego ze zbiorczych obozów daleko na krańcach rancza, Archer zaś został, by mieć na oku Mei i Violę. Mei miała nadzieję poobserwować z bliska mordercę swego ojca, ale prawie go nie widywała, bowiem, jak się zdawało, nie znosił towarzystwa żony. Powoli przywracała więc dom do ładu oraz nadzorowała Emmę i jej siostrę Millie, które pod jej kierunkiem czyściły, sprzątały i porządkowały obejście.

Któregoś dnia Mei z Millie odkryły zaniedbany kurnik, w którym wiodły prym koguty. Szybko i sprawnie przywróciły na grzędach równowagę płciową, nie oszczędzając rozpanoszonych w nadmiarze samców. Ku zaskoczeniu nowej gospodyni, Henry stawiał się co rano do pracy, gotów wykonać przydzieloną mu część obowiązków. Z jego pomocą udało się wyszorować do czysta wędzarnię. Larry, który pojawił się na ranczu zgodnie z zapowiedzią Bryce'a, okazał się znakomitym kucharzem. Ponadto bez szemrania tolerował asystę Sally, co wcale nie musiało być oczywiste. Dzięki temu, jak również dzięki niespodziewanej obfitości drobiowego mięsa oraz świeżym dostawom z Darwin, po tygodniu posiłki w Jimiramirze stały się całkiem zjadliwe.

Większość czasu Mei spędzała z Violą. Zdołały uporać się z początkowymi trudnościami i niebawem doszły do pewnej codziennej rutyny - rano kąpiel i świeże ubranie, potem spacer, który wyraźnie poprawiał chorej nastrój. Obiad, sjesta, rozmowa albo po prostu czesanie. Wreszcie kolacja i sen.

Pierwszą gwałtowną burzę, która zapowiadała nadejście pory deszczowej, Viola i Mei oglądały z werandy. Siekące niebo błyskawice migały w oczach, od piorunów trzęsły się szyby w oknach. Gdy

zagrzmiało po raz kolejny, Viola drgnęła, jakby grom przebił się do zamkniętego świata jej wyobraźni i obudził ją na moment z uśpienia.

- Nienawidzę pory deszczowej - powiedziała. Mei przeraził jadowity ton jej głosu.

- Boi się pani burzy?

- Piorun to głos Boga.

Położyła dłoń na ramieniu chorej. Nie przypuszczała, że w świecie Llewellynów jest miejsce na Boga.

- Jest na mnie wściekły - ciągnęła tymczasem Viola. - Jakbym nie dość zapłaciła za swoje grzechy.

- Dlaczego jest wściekły?

- Bo miałam poślubić tego biedaka, Freddy'ego Colsona, dlatego na mnie krzyczy.

- Bóg na panią krzyczy?

- Nie, głupia. Mój ojciec.

Mei próbowała poskładać tę tajemniczą łamigłówkę w jakąś sensowną całość. Piorun, Bóg, ojciec? Co to wszystko znaczy?

- Piorun to tylko głos natury, nie ma z panią nic wspólnego.

Viola zmierzyła ją wzgardliwym spojrzeniem.

- Wszystko co złe ma coś wspólnego ze mną. Deszcz padał przez całą noc.

Mei modliła się, by Bryce wrócił jak najszybciej. Wiedziała, że spieczona upałem ziemia nie wchłania deszczu, i bała się powodzi. Zagłębienia i wyschnięte koryta rzeczne wypełniały się mętną kipiela, która złościła w ziemi nowe kanały. Zaś rzeka Wiktoria, choć odległa o wiele mil od rancza, wiele razy w przeszłości przybierała w ciągu kilku zaledwie godzin i zalewała pastwiska.

Następnego ranka Archer pojawił się niespodziewanie w kuchni, gdzie Mei, Larry i Sally spożywali śniadanie.

- Ty, żółta, chodź no tu - rzucił opryskliwie i zaraz wycofał się na werandę.

Mei strzepnęła okruchy z ciemnej spódnicy i pospiesznie podążyła za nim. Czekał pochmurny, ze zmarszczonymi brwiami, ubrany w sztormiak, niebieski podkoszulek i wystrzępione spodnie. Zmrużył oczy do bezlitosnych szparek, a usta wykrzywił mu cyniczny grymas.

- Umiesz dopilnować mojej żony? - spytał bez ogródek.

Powstrzymała się od uwagi, że robi to codziennie. Wiedziała, że Archer nie sypiał w domu. Nocował w zabudowaniach gospodarczych, a posiłki jadał razem z pracownikami.

- Tak.

- Ma nie po kolei w głowie - stwierdził obcesowo i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Nie podoba mi się, że tu zostajesz, ale nie mam wyboru. Mam kupę spraw do załatwienia. Jutro rano wyjeżdżam.

- Wszystkiego dopilnuję.

- A myślisz, że za co ci płacę? Nieźle znasz angielski. Gdzie się go uczyłaś?

- Urodziłam się w Darwin, znam angielski od dziecka.

- Twoi rodzice to Chińczycy?

- Tak.

- Oboje?

- Jedna z moich babek była angielską misjonarką - Mei zmyślała jak z nut. - Wyszła za dziadka, który był Chińczykiem i...

- Tutaj nie ma mowy o takich sprawach, jasne?

- przerwał jej i popatrzył na nią ostrzegawczo.

- Chcesz mieć męża, to znajdź sobie Chińczyka w Darwin.

Próbowała doszukać się w nim choćby jednej pozytywnej cechy, czegoś, co tłumaczyłoby przyjaźń Archera Llewellyna z jej ojcem. Prawdę mówiąc, poczułaby się lepiej, gdyby taką cechę znalazła.

Wiem, że martwi się pan o żonę i dlatego traktuje mnie tak nieuprzejmie - odezwała się życzliwie, jednak on obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem i odparł:

- Jeśli chcesz znać prawdę, to martwię się tylko o to, żeby nie spaliła mi domu. A przy okazji całego buszu. Nie obchodzi mnie, co się z nią stanie. I nie rękę za siebie, jeżeli będziesz robić słodkie oczy do mojego syna albo do któregoś z moich ludzi. A jeżeli ukradniesz coś, co należy do mnie...

Wytrzymała jego jadowity wzrok.

- Nie ukradnę. Ma pan dla mnie jakieś polecenia?

- Właśnie je dostałaś.

Określił się szczerzej sztormiakiem, nasunął na czoło skórzany

kapelusz i znikł w strugach deszczu.

Tego ranka Mei rozpoczęła poszukiwania. Sprawdziła wszystkie szuflady i dostępne zakamarki. Nikt z domowników słowem nie wspomniał o perle, nawet Viola, która w trakcie rozmów wyrzucała z siebie przedziwne, nieposkładane strzępki wspomnień, toteż Mei nie miała pewności, czy Królowa Perła wciąż jeszcze istnieje. Trudno też było dociec, czy Archer z jej powodu utrzymuje żonę przy życiu albo czy jego obawa przed pożarem nie jest przynajmniej częściowo związana z cennym klejnotem, schowanym sprytnie w którymś z pokoi.

Poszukiwania łatwiej by poszły, gdyby dom nie uległ dewastacji. W takim stanie zawierał setki potencjalnych schowków - między plecami szaf a pogiętymi arkuszami blachy, w szparach w odrapanym tynku, w belkach wyżartych przez mrówki. Zajrzeć należało właściwie wszędzie, a dom był przecież taki rozległy. Jeśli w ogóle perła ukryta była w domu...

Mei zaczęła od sypialni Violi, kiedy ta spożywała w jadalni samotny posiłek. Starannie spenetrowała każdą najmniejszą szczelinę, każdą dziurę i każdy podejrzany występ. Po południu, kiedy Viola obserwowała z werandy nadejście kolejnej burzy, zmieniła pościel, przy okazji sprawdzając materac i wystające sprężyny.

Do wieczora obszukała wszystkie kąty - bez rezultatu. Zastanawiała się, jak ma podejść Violę, by cokolwiek od niej wyciągnąć. Umysł chorej przypominał powoli rozwijający się kłębek wełny - jeden nieopatrzny ruch czy szarpnięcie, a motek splątałby się jeszcze bardziej.

- Wtedy też padało - nieoczekiwanie odezwała się Viola, gdy ucichła kolejna burza.

- Kiedy? - zapytała natychmiast Mei.

- Kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy to miejsce. Padało strumieniami. Rzeka wystąpiła z brzegów i podeszła pod dom. Gdybyśmy przyjechali tydzień później, pewnie utonęlibyśmy. Może tak byłoby lepiej.

Mei sądziła, że Viola jak zwykle poprzestanie na strzępie wspomnień i nie powie nic więcej. Już się zastanawiała, jak skłonić podopieczną do kolejnych zwierzeń, kiedy ta podjęła swoją opowieść:

- Nie było wtedy domu, tylko szopa i blaszany barak na zapasy. Miałam nadzieję, że na tym odludziu stanie kiedyś prawdziwy dom,

wspaniała rezydencja. Nie myślałam o przebrzydłych robakach ani o wstrętnych czarnuchach. Ani o tym, że tak tu prymitywnie. Zresztą i tak nie miałam dokąd wracać...

- Jak to?

- Ziemia była wszystkim, co posiadałam. Sprzedałam nawet biżuterię, żeby kupić zapasy.

Mei wstrzymała oddech. Viola sprzedała perłę, żeby kupić prześcieradła, konserwy i amunicję! Królowa Pereł trafiła w czyjeś ręce i nie ma jej tutaj! Chciała ją odzyskać, a tymczasem taki szmat drogi przebyła na próżno!

- I... nie zostało pani nic? - zapytała przez ściśnięte gardło.

- Cóż, zostawiłam sobie jedną cenną rzecz

- westchnęła pani Llewellyn - bo przecież nie wszystko można sprzedać.

Mei zaczerpnęła tchu.

- Niektóre rzeczy są tak cenne, że trzymamy je blisko serca, prawda?

- Co ty możesz o tym wiedzieć! - obruszyła się Viola. - Nigdy nie miałaś niczego tak cennego, jak moja perła!

Mei milczała.

- Blisko serca, mówisz? - Viola odezwała się znowu i po chwili zakołysała się w przerażającym rechocie. - To pewnie byłoby pierwsze miejsce, gdzie on by jej szukał! Blisko serca... - Złowieszczy śmiech narastał, wpadał w wysokie tony, dyszkantem rozbrzmiewał gdzieś ponad deszczem. Mei przestraszyła się, że chora za chwilę znów pograży się w swoim świecie i nie będzie z nią kontaktu, więc podjęła kolejną próbę skłonienia jej do zwierzeń.

- Na pewno wybrała pani lepsze miejsce...

- A, tak! Wybrałam! - Viola kołysała się w przód i w tył - Wybrałam wiele, bardzo wiele miejsc!

- I potrafi je pani zapamiętać?

Viola nie odpowiedziała. Kołysała się tylko bezwolnie, przyduszona własnym śmiechem i bezładną czkawką. Mei natomiast zmagala się z dylematem, czy ma ją uspokajać, czy próbować dążyć dalej. W końcu wzięła chorą za rękę i zaprowadziła do sypialni, gdzie Viola upadła na łóżko, przestała się śmiać i zasnęła, płacząc.

Po dwóch dniach niespodziewanie wrócili Bryce i Archer wraz z garstką niemiłosiernie ubłoconych mężczyzn. Z pomocą sfory pasterskich psów zapędzili spłoszone burzą bydło na podwórze. Mei zostawiła śpiącą w salonie Violę i pobiegła do kuchni, gdzie Larry i Sally usiłowali powtórzyć biblijny cud rozmnożenia chleba i ryb.

Kroiła właśnie chleb na cienkie kromki, kiedy do kuchni wszedł Bryce. Dzwoniąc ostrogami, zdjął kapelusz wzruszająco szarmanckim gestem i zapytał:

- Jak się masz, May?

Zapatrzyła się na niego, serce zadrżało jej w piersi. Miał mokre włosy i świeżo ogolone, gładkie policzki. Tryskał zdrowiem, emanował radością i promieniał ciepłym uśmiechem. Mei spostrzegła ze zdziwieniem, że odwzajemnia ten uśmiech. Kiedy to ostatni raz uśmiechała się tak spontanicznie i szczerze?

- Dobrze - odparła - a ty?

- Nie narzekam, chociaż trudno nie psioczyć na tę paskudną pogodę.

Odwrócił się, zaczerpnął kawy i zaczął pić prosto z łyżki. Mei chciwie wchłaniała każdy szczegół jego postaci - pociemniałe od wilgoci włosy, migotliwe krople na rzęsach, gładką, opiętą koszulę z luźnym kołnierzem i mankietami. Podobał jej się sposób, w jaki postrzępione, farmerskie spodnie oblepiały mu uda i łydki i zwężyły się wokół kostek. Lubiała patrzeć, jak pije, jak odkłada łyżkę, jak siada na krześle, by odpocząć. Lubiała wszystko w tym młodzieńcu, który był synem mordercy jej ojca.

Spłoszona odwróciła wzrok.

- Nie oczekiwaliśmy was tak prędko. Nie starczy jedzenia.

- Niestety, May, nie mogliśmy wysłać nikogo przodem. Jak sprawowała się matka?

- Codziennie wyprowadzałam ją na spacer, nabrała trochę apetytu.

Wróciła do krojenia chleba, czując na plecach wzrok Bryce'a.

Chciałaby mieć dla niego więcej dobrych wieści. Viola była nieznośną, przygnębiającą osobą, ale syn ją kochał.

- Teraz śpi - dodała.

- Tak, wiem. Zajrzałem do niej, zanim zszedłem na dół.

- Emma prasuje na górze, obiecała zawiadomić mnie, kiedy się

obudzi.

- Stanowczo za dużo masz na głowie. Uśmiechnęła się mimo woli. Bryce pośrednio krytykował w ten sposób Archera. Zastanawiała się, co naprawdę syn myśli o ojcu.

- Jakoś sobie radziłyśmy, chociaż deszcz napawał twoją matkę smutkiem.

- Wolę jej smutek niż jej rozpacz. Dziękuję ci, May, za twoją troskę. Jesteś darem niebios, nie wiem, jak mogliśmy żyć tu bez ciebie.

Wyszedł, a Mei zrobiło się nagle żal. Jak zareagowałby Bryce, gdyby znał prawdziwą przyczynę jej obecności w Jimiramirze?

Z pomocą Larry'ego i Sally skończyła przygotowywać posiłek i zaniósła tacę do jadalni. Bryce obudził matkę i nawet Archer tym razem czekał na obiad przy stole.

Obsługiwała ich sprawnie, w milczeniu, uważając, by nie napotkać wzroku Bryce'a w obecności ojca. Po obiedzie Viola z synem przenieśli się na werandę, a Archer gdzieś zniknął.

- Mogę z nią zostać - zaproponowała, zaglądając na werandę, gdzie Viola wpatrywała się pustym wzrokiem w napęczniałe deszczem chmury, a Bryce stał obok niej i opowiadał jej wydarzenia poprzednich dni, choć żaden znak na twarzy matki nie potwierdzał, że go słucha.

- Nie trzeba. Może raczej wybierzmy się na ten obiecany spacer - odpowiedział Bryce.

Zaskoczyła ją ta propozycja. Mei była pewna, że Archer przeprowadził nie tylko z nią niemiłą rozmowę na temat ewentualnych kontaktów syna z Chinką.

- Znam już wszystkie kąty - odparła, próbując się wymówić.

- Założę się, że są miejsca, których nie znasz.

- Chyba jednak nie powinnam...

- Chodź - nie pozwolił jej dokończyć - opowiesz mi o Darwin. Jak tam jest?

Z jego głosu przebijało pragnienie poznania nowych miejsc i przeżyć. Opowiedziała więc szybko to, co zapamiętała, a ponieważ widziała miasto oczami przybysza, w jej pamięci utrwaliły się najbarwniejsze obrazy.

- A co z twoją rodziną, Mei?

Już dawno miała przygotowaną odpowiedź.

- Ojciec zmarł w czasie wojny, a matka kiedy byłam mała.

Dziadkowie wrócili do Chin, ja zostałam.

- Jesteśmy do siebie podobni, prawda? - westchnął - Próbujemy trzymać się czegoś, chociaż łatwiej byłoby wsiąść na konia i odjechać.

Uśmiechnęła się na te słowa. Bryce sądził, że próbowała trzymać się Australii, swojej ojczyzny, że dlatego nie wróciła do Chin jak jej wymyśleni dziadkowie. A czego on się trzymał? Jimiramiry, rodziny?

- To co, przejdziemy się kawalek? - ponowił propozycję. - Ojciec pewnie by się wściekł, gdyby się dowiedział...

- No właśnie.

- ...ale nie martw się. Dam ci znać w odpowiednim momencie. Może rzeczywiście nie teraz, ale nastaw się na wieczór.

Odszedł w kierunku wyschniętego kanału za domem, a kiedy Mei została tylko z Violą i na werandzie zapadła cisza, chora przemówiła nagle przyciszonym głosem, jakim zazwyczaj zdradza się sekrety:

- Już poszedł? Mogę mówić? Raz schowałam perłę w pokoju Bryce'a, w puszcze z kolorowymi kamykami, które zbierał w rzece. Jeździliśmy tam konno, kiedy był mały... Teraz czekają na brzegu, żeby mnie utopić. Ale ja spłonę i zostanie tylko popiół.

Mei zadrżała.

- A czy... czy Bryce znalazł perłę?

- O nie, leżała tam długo, długo, długo...

- Pani mąż ją znalazł?

- Perła należy do mnie! - fuknęła, obrzucając Mei nieufnym wzrokiem.

Dziewczyna przytaknęła i trwała w milczeniu. Czekwała.

- Kiedy ja spłonę, ona spłonie ze mną - syknęła znowu Viola i zajrzała szalonym wzrokiem w oczy Mei. Wreszcie, usatysfakcjonowana, zapadła ponownie w swoje fantazje.

Po kolacji niebo przejaśniało i zrobiło się pogodniej, za to w parnym powietrzu unosiło się tysiące owadów, które mnożyły się w wilgoci w zastraszającym tempie. Napięta atmosfera w domu jeszcze bardziej stężała. Archer samotnie pił w salonie, gapiąc się tępym wzrokiem w rozklekotany fortepian i zniszczone fotografie w ramkach. W którymś

momencie przywołał Mei nonszalanckim gestem i zapytał:

- Widzisz ten fortepian?
- Tak, proszę pana.
- Kazałem go sprowadzić, żeby sprawić przyjemność mojej żonie.

Jak myślisz, ucieszyła się?

- Nie wiem, proszę pana.
- A widziałaś, żeby z czegoś się cieszyła?
- Nie potrafię powiedzieć, proszę pana.
- Wiesz, co znaczy targać fortepian przez busz? A ona wypięła się,

powiedziała, że nie chce. Rozumiesz?

Mei milczała. Widziała opróżnioną do połowy butelkę rumu, widziała gniewnie zaciśnięte na szyjce, silne palce i skryte w wąskich szparkach, gniewne, nienawistne oczy. Zastanawiała się, jak szybko można umrzeć od picia zbyt dużych ilości alkoholu. Miała nadzieję, że w przypadku Archera Llewellyna nastąpi to bardzo szybko.

- Grasz na fortepianie? - zapytał znowu, pociągając z butelki kolejny łyk.

- Nie, proszę pana.

Może grałabym, gdybyś nie zabił mi ojca, dodała w duchu.

- Śpiewasz? A może tańczysz?
- Nie, proszę pana. Czy mogę odejść?

Jego oczy zwęziły się jeszcze bardziej, jakby rozważał, co ma z nią począć. Mei nie bała się go. Gdyby rzucił się na nią po pijanemu, może zdołałaby wyrwać mu butelkę i użyć jej jako broni.

- Dobra, wynoś się, won - warknął, po czym odchylił się na krześle i zamknął oczy. Nie minęło pół minuty, a usnął, chrapiąc i wzdrygając się niespokojnie co kilka chwil.

Mei patrzyła na niego przez moment, walcząc z szaloną myślą, by zabić go i już teraz wyrównać porachunki. Powściągnęła jednak emocje i odwróciła się, by odejść. Kiedy jednak usłyszała, jak Archer mówi przez sen, zamarała z trwogi.

- Pieprzysz... - zaklął i wstrząsnął nim dreszcz. - To nie ja wziąłem sobie Chinę do łóżka... tylko ty, Tom... mówiłem ci, żebyś tego nie robił... nie chciałeś słuchać... gdybyś posłuchał, byłoby inaczej... wszystko inaczej...

Mei poczuła się tak, jakby odsłonięto przed nią nagle sekretny korytarz, tajemne przejście w czasie, prowadzące do przeszłości i pozwalające odkryć wszelkie jej sekrety. Archer rozmawiał przez sen z Tomem, z jej ojcem!

Rozejrzała się po pokoju w dziwacznej nadziei, że może gdzieś go dojrzy. Lecz wnet odzyskała zdrowy rozsądek, a wraz z nim napłynęła fala bezsilnego gniewu. Ten potwór spał kiedyś w jednym pokoju z człowiekiem, który dał jej życie, który kochał jej matkę! Ten nieczuły cham i arogant słuchał jego zwierzeń! A ona oddałaby wszystko za jedną chwilę spędzoną na kolanach ojca. Naprawdę wszystko...

Poczuła delikatny dotyk na ramieniu i aż podskoczyła ze strachu. Odwróciła się i ujrzała przed sobą Bryce'a. Odetchnęła i zasłoniła dłonią oczy, on zaś wziął ją za rękę i wyprowadził szybko z salonu.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoił się, kiedy znaleźli się na korytarzu.

Twój ojciec chyba za dużo wypił. Zadawał takie dziwne pytania...

- Nie przejmuj się - pocieszył ją z zatroskaną miną. - Powinienem cię uprzedzić. Zawsze upija się, kiedy przysyłają zapasy. Na szczęście alkoholu nigdy nie ma zbyt dużo, bo kiedy staruszek się zaleje, cierpi męki, jakby wisiała nad nim klątwa.

- Mówił o jakimś Tomie...

- Nie przejmuj się. Nie warto się nad tym zastanawiać. Plecie, co mu ślina na język przyniesie.

- Mówił, że wszystko byłoby inaczej, gdyby ten Tom go posłuchał.

- Nie wiem, nie znam żadnego Toma. Ale rzeczywiście w złych chwilach ojciec zawsze z nim rozmawia. Chyba byli przyjaciółmi.

Tamten zginął, a ojciec nie może sobie darować, że do tego dopuścił.

Nie tylko dopuścił, ale sam tę śmierć spowodował, chciała dodać Mei, ale przecież tą uwagą nie mogła podzielić się z Bryce'em.

- Pewnie szybko mu mija?

- A skąd. Potem jest jeszcze gorzej. Bredzi coś o przebaczeniu.

Mei miały sprzeczne uczucia. Cieszyła się, że Archera dręczą wyrzuty sumienia - w ten sposób morderca płaci za swoją zbrodnię. Z drugiej jednak strony wiedziała, że tych dwoje samolubnych, bezwartościowych ludzi - Archer i Viola - jest wszystkim, co Bryce ma na Bożym świecie. Jak to w ogóle możliwe, że w tej pozbawionej

miłości atmosferze wyrósł na przyzwoitego i prawego człowieka?

- Chodźmy na ten spacer - zaproponowała. - Chyba że będzie cię potrzebował...

- Nie, powędrował już w swój świat. W tym świecie nie ma ani mnie, ani ciebie.

- Czy twoja matka może zostać z nim sama?

- Mama też śpi. Zaglądałem do niej niedawno. Nic jej nie będzie. Chodź, chciałem ci coś pokazać, może znajdziemy drogę mimo ciemności.

Opuścili zamiecione podwórze i zapuścili się między okalające dom drzewa i krzewy. Musieli uważać, bo w gęstwinie czaiły się węże, jadowici nocni łowcy. Zarośla przerzedzały się i znowu gęstniały. Mei potknęła się o wystającą gałąź, a wtedy Bryce zwyczajnym, naturalnym gestem ujął ją pod ramię.

- Tak będzie bezpieczniej - powiedział.

- Dokąd właściwie idziemy?

- Jeszcze tylko kawałek, słowo daję.

- Twój ojciec nie byłby zadowolony.

- Mój ojciec jest kiepskim sędzią w rozstrzyganiu sporów, co jest właściwe, a co nie. To biedny człowiek. Chyba już nigdy nie będzie szczęśliwy.

- A jego syn?

- Niczego mi tu nie brakuje - zerknął na nią i uśmiechnął się nieśmiało - prócz kobiety, z którą mógłbym założyć rodzinę. Byłbym dobrym ojcem. Wiem, czego dzieci potrzebują do szczęścia.

Mei nie wiedziała, co odpowiedzieć. Mimo żywych uczuć, jakie ogarniały ją, gdy Bryce był blisko, nigdy nie odważyła się myśleć o nim jak o mężu i ojcu. Teraz jednak wyobraziła sobie, że jest jego żoną i panią tego ogromnego domu i wcale nie przejęła jej groza. Czy naprawdę mogłaby wychowywać dzieci pochodzące z krwi Llewellynów? Czy nie popełniłaby zdrady wobec swoich rodziców?

W ten sposób Królowa Pereł należałaby do obydwu rodzin.

Stanął jej nagle przed oczami obraz małego chłopca - Thomas, brat bliźniak, wyrwany z jej dziecięcych ramion i wysłany daleko za morze.

Tęskniła za nim. Czowała, że on też za nią tęskni.

- Zatrzymaj się i powiedz, co widzisz. Pograżona w myślach, nie zauważyła nawet, kiedy dotarli na skraj gęstej kępy. Teraz Bryce wskazywał przed siebie, wyraźnie zadowolony i przejęty, a ona próbowała odczytać coś ze zlewających się w czarną masę kształtów. Zobaczyła konwulsyjnie wyciągnięte ku niebu gałęzie, między którymi przeświecał widoczny na niebie drobny punkcik - Krzyż Południa. Zadrżała.

- Co miałam zobaczyć? - spytała słabym głosem, przełamując strach, który nagle ją ogarnął.

- Nie widzisz? - Poprowadził ją bardziej w prawo. - A teraz?

Znów wyteżyła wzrok. Dostrzegła obszerną, strojną konstrukcję, rozpiętą między konarami, misternie zbudowaną z patyków i kawałków gałęzi.

- Co to jest?

- Widziałas kiedyś altanniki, spokrewnione z rajskimi ptakami?

Pokręciła głową.

- Jeden mieszka koło naszego domu. Umie naśladować dźwięki, gwizdże albo szczeka jak pies. Pewnie mógłbym nauczyć go mówić.

- To jego gniazdo?

- Tak, jego altana, miejsce tańców godowych. Tu zabawia się z samiczkami.

Zerknęła na niego ukradkiem, czy Bryce aby z niej nie kpi.

- Przysięgam - zapewnił ją z tłumionym śmiechem. - Buduje sypialnię i ozdabia ją piórami, patykami, muszelkami, co mu tylko wpadnie w dziób. Widziałem nawet guziki i kawałki wstążek. Zbiera wszystko, co może zwabić samiczkę.

- Wabi samicę i pokazuje jej sypialnię?

- Cóż, to tylko ptak. Nie potrafi wyznać jej miłości do grobowej deski. Przyznasz jednak, że jak na fruwać kłębek piór całkiem nieźle sobie radzi.

- I potem mieszkają tu razem i wychowują pisklęta? - zachichotała rozbawiona.

- Zdaje się, że samiczka buduje drugie gniazdo i sama zajmuje się rodziną.

- No tak, on jest zbyt zajęty poszukiwaniem ozdóbek.

- W końcu to jego praca.
- Tak jest z większością rodzin, prawda? - Wsunęła dłoń z jego dłoni. Spojrzała, że w świetle księżyca twarz Bryce'a jest niespodziewanie delikatna i blada.
- Co masz na myśli? - zapytał.
- Mężczyzna buduje coś, żeby udowodnić kobiecie, że jest silny i wspaniały. Ona wychodzi za niego i w rezultacie zostaje sama z dziećmi. Mówiąc to, myślała o małym domku, który jej ojciec wynajął i umeblował dla matki. Potem zaś Willow, jak ptasia samiczka, została z dziećmi sama.
- W tych stronach jest inaczej - zaprotestował Bryce. - Kobieta i mężczyzna pracują razem. Razem idą przez życie, razem zdobywają świat.
- A twoi rodzice?
- Oni są wyjątkiem. Nie umieli stworzyć rodziny. Matka ugięła się pod ciężarem życia, a ojciec przemienił się w zgorzkniałego upiora. Ale mogło być inaczej, gdyby trzymali się razem.
- Zamilkł, choć wydawało się jej, że chciał jeszcze coś dodać. Czekwała nachylona ku niemu, jakby pragnęła mu to ułatwić, wreszcie pragnienie podzielenia się uczuciami zwyciężyło w nim ostrożność i przekonanie o potrzebie zachowania dyskrecji.
- Coś stanęło między nimi już na samym początku - zaczął. - Mam dziadka w Broome. Dał mamie prezent, kiedy wychodziła za ojca. Coś bardzo cennego. Ojciec chciał to sprzedać, żeby kupić więcej krów i zatrudnić więcej ludzi. Matka nie zgodziła się. To było podobno jedyne zabezpieczenie, gdyby się jej nie powiodło. Schowała tę rzecz i nie rozstała się z nią nigdy.
- Twój ojciec nie mógłby sprzedać tego bez jej zgody?
- Może i mógłby, ale ukryła to przed nim. Kiedy raz, jako dzieciak, przypadkiem to znalazłem, omal nie skrzyła mi karku. Współczucie dla Violi prysło w sercu Mei jak mydlana bańka.
- Wciąż ma tę rzecz? - zapytała.
- Nie wiem - wzruszył ramionami - ale gdyby ojciec to dostał, już dawno odesłałby mamę do domu wariatów. Trzyma ją tu tylko z uwagi na ten skarb.

Mówił cierpkim tonem, w jego głosie pobrzmiwała rozpacz. Gdyby Mei chodziło wyłącznie o zemstę, byłaby usatysfakcjonowana - perła nie przyniosła szczęścia, zniszczyła Archera i jego rodzinę. Ale jej nie zależało tylko na zemście, chodziło też o perłę. I - niespodziewanie - o Bryce'a.

- Musi być ci ciężko. Co się stanie, kiedy ojciec znajdzie ten skarb?

- Ciągłe go szuka. Ale matka była sprytniejsza. Chociaż teraz... - westchnął. - Odkąd zachorowała, nie jestem pewien, czy sama nie zapomniała, gdzie go ukryła.

- To smutne.

- No właśnie, nie zanudziłem cię zbyt? - spytał miękko, delikatnie ujmując jej dłoń w swoje mocne i silne dłonie. - Chciałem pokazać ci tę altanę, pośmiać się trochę. Jak chcesz, to przyprowadzę cię tu kiedyś w dzień, w pełnym słońcu.

- Twój ojciec nie lubi widzieć nas razem.

- Mój ojciec niczego nie lubi, Mei.

- Ale to twój ojciec, musisz go słuchać.

- Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

- W Chinach dzieci są zawsze posłuszne rodzicom.

- Byłaś w Chinach? Pokręciła głową.

- Jesteś więc Australijką, tak jak ja.

- Niezupełnie.

- Chodzi ci o twoje pochodzenie, o azjatycką krew? Dla mnie ci, którym to przeszkadza, to głupcy. Przecież właśnie różnice są tym, co w nas najpiękniejsze. Ty... też jesteś piękna.

Mei poczuła gwałtowne ciepło na policzkach. Wiedziała, że mu się podoba, zdradził to jego wzrok. Nie tylko zresztą mu się podobała - Bryce patrzył na nią jak na kogoś bliskiego, ważnego. Patrzył i nie wiedział, że Chinka, której zwierza się /, tylu spraw, przybyła okraść jego rodzinę.

- Czy jakiś mężczyzna czeka na ciebie w Darwin? - Ścisnął jej dłoń nieco mocniej.

Niezliczone kłamstwa cisnęły się jej na usta, ale zabrakło jej sił, by się nimi posłużyć.

- Nie powinienes interesować się Chinką - powiedziała tylko.

- Interesuję się Australijką.
- Inni będą ci mieli to za złe.
- Jacy inni? Ile kobiet chce żyć na takim odludziu? Jesteś jedną na milion, May. Nie ma znaczenia, kto skąd pochodzi. Tutaj biali żenią się z Aborygenkami i biorą ślub w katolickim obrzędzie. Kto nas powstrzyma, jeśli zapagniemy być razem?

- Twój ojciec.
- Niech idzie do diabła!
- Może cię wydziedziczyć, wygonić.
- Nie, jestem jego jedynym synem.
- Zrobi wszystko, żeby przeprowadzić swoją wolę.
- Tak dobrze go znasz? - uśmiechnął się. - Ja znam lepiej. I wiem, że może się wściekać, ale nas nie skrzywdzi.

Mei miała inne zdanie. Była pewna, że Archer Llewellyn zabiłby ją bez wahania, gdyby przeczuwał, co się święci.

- Musisz przyrzec, że nie zdradzisz ojcu, o czym rozmawialiśmy.
- Boisz się go? Przyrzekam, że w razie czego cię ochronię.
- Wracajmy do domu.
- Musimy?

Czuła, że dla własnego bezpieczeństwa powinna natychmiast wrócić. Okazywane jej względy prędzej czy później wyjdą na jaw, a to może mieć dla niej tragiczne skutki. Nie potrafiła jednak zmusić własnych dłoni, by rozstały się z jego dłońmi. Nie zdołała zmusić ust, by przerwały czarowny nastrój jednym lekkim, beztruskim żarciem. Bo choć Bryce był synem Archera Llewellyna, to jego smutne, samotne serce biło tym samym rytmem, co serce córki Toma Robesona.

Zatonęła w jego silnych ramionach, poczuła obezwładniającą słodycz jego pocałunku. Spleceni ramionami, poszybowali poza granice czasu i przestrzeni. W tej chwili uniesienia nie było na świecie nikogo oprócz nich.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Następnego ranka Archer, przeczuwając, że Mei i Bryce mają się ku sobie, wysłał syna na objazd posiadłości. Nie ujawnił jednak swoich podejrzeń, toteż Mei uznała, że mimo wszelkich do niej zastrzeżeń docenia jej pomoc w Jimiramirze i w najbliższym czasie nie wymówi jej pracy.

Po kilku dniach Archer również wyjechał, pozostawiając ją w towarzystwie Violi i szalejących w rozgrzanym powietrzu owadów. Mei natychmiast przystąpiła do poszukiwań perły, jednak już trzeciej nocy po wyjeździe swego pracodawcy do reszty straciła wiarę w powodzenie podjętej misji. Tego wieczoru przeniosły spanie na werandę, pod moskitiery. Było chłodniej, ale lęk przed ciemnością nie pozwalał Violi zasnąć.

- Diabeł mnie wzywa! - Usiadła gwałtownie na łóżku, z oczami rozszerzonymi strachem.

Diabełem jednak okazał się puchacz pohukujący ponuro w ciemności.

- Cii... - uspokajała ją Mei - Proszę starać się zasnąć.

- Krzyczy! Wyje!

Ujadanie psów rzeczywiście brzmiało jak zew z piekła. A wielkie ćmy, siadające na siatce, zamieniały się zapewne w wyobraźni Violi w strzygi.

- Jestem przy pani - szeptała Mei łagodnie, jakby nuciła kołysankę. - Jestem, proszę się nie bać. Wszystko będzie dobrze.

Kiedy w końcu chora zapadła w nerwowy sen, Mei zapatrzyła się w Krzyż Południa. Bryce mówił jej, że nocą pasterze mierzą czas, obserwując, jak zmienia się położenie gwiazd. Ona straciła już mnóstwo czasu. Oto strawiła kolejny dzień na poszukiwania perły i zadanie wydawało się coraz bardziej beznadziejne. Wystarczyło, aby Viola

przeniosła perłę w inne miejsce, a całą zabawę można było zaczynać od nowa.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest w chłodnym San Francisco z Thomasem i zaczynają razem nowe życie. Marzenia, które zwykle potrafiły ją ukoić, dziś nie przynosiły jednak ulgi.. Przypomniał jej się Bryce na chwilę przed tym, jak ją pocałował - i dopiero teraz się uśmiechnęła. Kiedy wziął ją w ramiona, miała ochotę na zawsze pozostać w jego objęciach. Wyrzucała sobie, że chętniej myśli o synu mordercy niż o własnym bracie - ale Bryce był tu, na wyciągnięcie ręki, zaś Thomasa dzieliło od niej pół świata.

Otworzyła oczy, pragnąc przerwać te wizje. Zobaczyła, jak Viola bezszelestnie podnosi się z łóżka, nie odezwała się jednak ani nie poruszyła, licząc na to, że kobieta położy się sama i znowu zaśnie. Tymczasem chora rozejrzała się czujnie i wstała z materaca, jak gdyby nocne mary przestały ją nagle obchodzić.

Mei obserwowała spod przymkniętych powiek, jak idzie do rogu moskitiery i z niespodziewaną zwinnością prześlizguje się pod nią. Odczekała, aż Viola zniknie w głębi domu, i po cichutku wykradła się za nią. Przez chwilę nasłuchiwała w napięciu, aż doszedł ją szmer w końcu korytarza. Ruszyła do przodu i zdążyła zobaczyć, jak Viola wślizguje się do sypialni Bryce'a. Przyczaiła się za niedomkniętymi drzwiami i patrzyła - oto Viola unosi mały stolik i obmacuje jedną z jego nóg. Znajduje coś, przyciska do piersi, a potem ustawia stolik w poprzednim położeniu.

Serce Mei zabiło szybciej. Przedmiot, który trzymała w dłoni Viola, odpowiadał rozmiarem perle. Niewykluczone jednak, że w swoim szaleństwie chora mogła uważać za skarb gwóźdź albo kamyk. To wystarczyło jednak, by przywrócić Mei wiarę w sens podróży do Jimiramiry.

Tymczasem Viola zawróciła do drzwi. Mei czmychnęła w bok, ukryła się w pokoju naprzeciwko. Patrzyła, jak kobieta idzie korytarzem do wyjścia, jak opuszcza dom i schodzi po schodach na podwórze. Jak oddala się i ginie w ciemnościach.

Nie mogła pozwolić jej zniknąć!

Nie teraz, kiedy sukces był tak blisko!

Wyszła za nią i wyszła wzrokiem w ciemnościach chudą, bladą postać w długiej białej koszuli. W oddali zabrzmiał grzmot zwiastujący burzę, ale Viola zignorowała go i wciąż podążała wytrwale w nieznanym kierunku. W końcu się zatrzymała. Nuciała coś półgłosem. Mei przyspieszyła kroku, licząc, że śpiew zagłuszy szelest liści pod jej stopami. Rozpoznała miejsce, w którym się znalazły, i postanowiła dobrze je zapamiętać.

Viola wydawała się odprężona i szczęśliwa. Kołysała przez chwilę zaciśniętą dłońią, po czym wcisnęła swój skarb pod korzeń eukaliptusa. Szybkim ruchem zrzuciła nocny strój i stanęła naga, z uniesioną głową, jakby wypatrywała czegoś w koronie drzewa. Jej ciało było blade, choć w srebrnej poświacie wydawało się młodsze i nie tak zniszczone. Viola Llewellyn przypominała leśną nimfę rozbawioną poszeptywaniem gałęzi, która zaraz zatańczy w blasku księżyca.

Nie była jednak młoda. Nie była nimfą. Była smutną, przedwcześnie postarzałą i zgorzkniałą kobietą, odgradzoną od świata swoim szaleństwem.

Nagle zaczęła działać szybko i w skupieniu. Wyjęła spod korzenia to, co wcześniej tam schowała, włożyła to sobie do ust i zaczęła wspinać się na drzewo. Mei wstrzymała oddech, bo oto miała przed sobą najdziwniejszy w swoim życiu widok - oto Viola okazała się zdumiewająco sprawna i silna. Bez przeszkód wspięła się na wysokość czterech metrów, a potem zaczęła się posuwać wzdłuż grubego konara. Dotarła na sam jego koniec i gdy wydawało się, że gałąź nie wytrzyma ciężaru, Mei pojęła zamiary obłąkanej.

Pomiędzy drobniejszymi gałązkami wisiało gniazdko wielkości talerzyka. Viola wyjęła przedmiot z ust i umieściła go tam, po czym zadowolona zaczęła schodzić. Mei odczekała, aż bezpiecznie zejdzie z drzewa, i pobięła, żeby pierwsza zdążyć do domu.

Nie mogła powrócić od razu do gniazda. Viola przez resztę nocy spała płytko i niespokojnie, a rankiem obudziła się z gorączką i trzeba było chłodzić jej kark i czoło zimnymi okładami. Na domiar złego nad ranem rozpętała się burza i strugi wody zaczęły lać się z nieba, tworząc rwące strumienie. Mei widziała już oczami wyobraźni, jak deszcz wymywa perłę z wątego gniazda, niesie ją z błotem do rzeki, a potem - kto wie?

- może do oceanu, gdzie się narodziła.

Viola zdawała się nie wyczuwać tego niebezpieczeństwa, co nie znaczy, że była w dobrej formie. Jej stan pogorszył się po południu. Nie zjadła obiadu i napojona kilkoma łykami przegotowanej wody, zapadła w niespokojny sen. Kiedy Mei chorowała w dzieciństwie, matka zabierała ją do zielarza, który zawsze wiedział, co robić. Teraz była bezradna. Larry doradzał miksturę z siarki i melasy na wymioty, ale nie ufała temu sposobowi. Wiedziała, że w barakach mężczyźni mają bezcenne tabletki na gorączkę, nie można ich było jednak używać bez wyraźnej konieczności i przyzwolenia pana.

- Poczekajmy do jutra - poradził jej Larry.
- Wtedy przekonamy się, czy naprawdę ich potrzebuje.

Po kilku godzinach Viola się przebudziła, ale była zbyt chora, żeby jeść. Mei z trudem udawało się utrzymać ją w łóżku, gdyż miotła się w gorączce i coraz mniej panowała nad sobą. Dopiero około północy gorączka nagle spadła. Mei przebrała wtedy chorą w czyste ubranie i obie zapadły w głęboki sen.

Następnego ranka wrócił Archer z częścią swoich ludzi. Mei powitała go w progu wiadomością o chorobie żony.

- Bardzo cierpiała, proszę pana. Bałam się, że umrze.
- Ale nie umarła? - zapytał niecierpliwie, a ona po raz kolejny zadała sobie pytanie, jak to możliwe, że jej ojciec mógł się przyjaźnić z takim człowiekiem.
- Nie bardzo wiem, jak radzić sobie z tak poważną chorobą.
- To się naucz. - Odsunął ją jak natręta i wszedł do domu. Do żony nawet nie zajrzał. Rozkazał zmienić konie, zjadł coś w pośpiechu i wyruszył znów, uprzedzając, że wróci wieczorem.

Szanse na wyprawę po perłę malały. Mei nie mogła ryzykować, że Viola zobaczy z werandy, jak służąca wspina się na drzewo, by wykraść jej skarb. Wieczorem z kolei miał wrócić Archer.

Przez następne dwa dni wypatrywała okazji wyrwania się po perłę i czekała powrotu Bryce'a. Nie myślała o wizji przyszłości, którą przed nią roztoczył, bo nie było w niej miejsca dla Thomasa. Tęskniła jednak do jego widoku.

Trzeciego dnia, przed kolacją, Bryce wrócił. Archer natomiast

wyjechał jeszcze przed obiadem i Mei, w nadziei, że nie pojawi się do rana, planowała wybrać się po perłę. Podniecenie narastało w niej od kilku godzin, toteż gniewnie zacisnęła pięści, słysząc nagły stukot końskich kopyt. Nie ucieszyła się z przyjazdu Bryce'a, bowiem jego przybycie stanowiło poważną przeszkodę w realizacji jej planu.

Odnalazł ją w salonie. Położył dłonie na jej ramionach i zajrzał z uśmiechem w jej oczy.

- Masz piękną fryzurę.

Zarumieniała się. Wcześniej, spodziewając się jego powrotu, umyła włosy i spięła je starannie na czubku głowy.

- Twoja matka była chora. Powinieneś się z nią zobaczyć.

- Już jej lepiej?

- Tak, o wiele lepiej.

- I ty wyciągnęłaś ją z tego, prawda? - uśmiechnął się wzruszony. - Zawsze umiesz znaleźć się tam, gdzie cię potrzebują.

- Może mógłbyś jej pomóc przy jedzeniu? Nie wychodzi jeszcze z łóżka.

Wciąż się uśmiechał, ale opuścił ręce.

- Ojciec wraca dzisiaj?

- Nie znam jego planów.

- Zajął się mamą?

- Nie, w ogóle do niej nie zajrzał.

- Przejdziemy się później?

Mei myślała tylko o perle ukrytej w gnieździe. Gdyby Bryce, zmęczony po podróży, zasnął dzisiaj wcześniej, gdyby zasnęła Viola, gdyby Archer nie wrócił, gdyby...

- Dobrze, ale tylko na krótki spacer - powiedziała. - Potem musisz odpocząć. Twoja matka już zdrowieje, ale nie wiadomo, kto będzie następny. Może to było jakieś zatrucie.

- Nie martw się. Nic nie wpędzi mnie w gorączkę. - Musnął pukiel włosów na jej ramieniu - Nic prócz twojej bliskości, May.

Archer wrócił godzinę później. Wyglądał niezdrowo, jakby to, co dręczyło jego żonę, dobierało się i do niego. Nie tykając kolacji, zniknął w pokoju sąsiadującym z sypialnią Bryce'a. Ojciec jest chory, myślała Mei, więc syn będzie musiał go doglądać. Nie ma przecież innej służby,

a Archer z pewnością nie pozwoli zbliżyć się do siebie Chince. Znała go już i wiedziała, że brzydzi się i gardzi wszystkimi ludźmi o innym kolorze skóry.

Nie wierzyła własnemu szczęściu. Około północy wyslizgnie się z domu, wdrapie na drzewo i zdobędzie perłę. A za kilka miesięcy wyjedzie, zabierając ją ze sobą. W Darwin na pewno znajdzie pracę i zarobi na bilet do Kalifornii. Wkrótce ona i Thomas znowu będą razem!

Zaś Bryce pozostanie tu, w Jimiramirze, z szalonymi rodzicami i niespełnionymi marzeniami o lepszej przyszłości.

Coś zakłuło ją w sercu na tę myśl. Mogła sobie mówić, że Bryce pokochał ją dlatego, że była tu jedyną kobietą poza jego matką oraz Aborygenkami - ale jak miała wytłumaczyć sobie własną tęsknotę za nim? Od pierwszego spotkania czuła, że serce Bryce'a otwiera się dla niej. Nie był dla niej synem wroga, tylko mężczyzną, który zasługiwał na miłość.

- May?

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Bryce stoi przed nią jakby przywołany jej rozmyślaniami.

- Twój ojciec wrócił - powiedziała miękko. Nie pójdziemy na spacer.

- Przyjdę po ciebie, kiedy oboje zasną. Przez chwilę walczyła z pokusą. W obecności Bryce'a bladły wszelkie jej postanowienia. Ale perła miała być ratunkiem dla całej rodziny.

- Nie. - Cofnęła się. - Twoi rodzice są temu przeciwni. Musisz być posłuszny.

- Przecież powiedziałem ci, że cię ochronię. Nie musisz się o nich martwić.

- Nie zawsze jesteś w domu. Nie mogę ryzykować.

- Nie musisz. Mój ojciec to twardy człowiek, ale nie skrzywdzi cię, May. Nie byłby do tego zdolny.

Och, gdybyś tylko wiedział, do czego jest zdolny, pomyślała gorzko.

- Proszę cię, nie rozmawiajmy dziś o tym - poprosiła z naciskiem.

Bryce westchnął ciężko.

- W takim razie do zobaczenia jutro. Poczekała, aż odejdzie, i poszła przygotować

Violę do snu. Później czekała w swoim pokoju na nadejście nocy.

Było duszno i bała się, że zaśnie. Przebrała się w ciemny strój i uważnie schowała pod spód biały kołnierzyk bluzki. Spięła włosy i zdjęła buty, pomimo lęku przed węzami i kolcami jeżyn. Kiedy zaś była gotowa, wyszła cicho na korytarz.

W domu panowała cisza. Przystając co chwila i nasłuchując czujnie, wydostała się na zewnątrz. Tu wiał lekki wiatr, zanosilo się na burzę. Wybierając zacienione miejsca, dotarła do drzew, przystanęła i obejrzała się za siebie. Nikt jej nie śledził, więc ruszyła dalej. Od czasu pamiętnej nocy nie była w tym miejscu, lecz bez problemu znalazła właściwe drzewo. Nie zdjęła ubrania jak Viola, ale przezornie podwinęła spódnicę i rękawy. Stojąc na wystającym korzeniu, sięgnęła do najniższej gałęzi i zaczęła się wspinać.

Minęło sporo czasu, zanim dotarła na właściwą wysokość. Kręciło się jej w głowie i co jakiś czas przymykała oczy, żeby uspokoić nerwy. Ubranie podarło się w kilku miejscach. Viola była stanowczo lepszym wspinaczem.

Wreszcie dotarła do konaru, na którym, jak pamiętała, powinno być gniazdo. Pełzła mozolnie, starając się nie patrzeć w dół. Kiedy jednak dostrzegła gniazdo, okazało się, że musi odczołgać się bliżej niż wyższa od niej Viola.

Coraz cieńsza gałąź zakołysała się niebezpiecznie. Mei przytrzymała się jej kurczowo, czekając, aż ruch ustanie. Potem ostrożnie wyciągnęła rękę i końcami palców niepewnie chwyciła gniazdo. Delikatnie pociągnęła je ku sobie, a kiedy uchwyt stał się pewniejszy, zaczęła cofać się wzdłuż gałęzi.

Wreszcie stanęła pod drzewem, uspokajając wzburzony oddech. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że oto dobiega kresu jej długa i niebezpieczna wyprawa. Jeśli Królowa Pereł spoczywa na dnie gniazda, to od tej chwili należy ona do niej. Jeśli nie ma jej tam - nie ma też żadnych szans, by kiedykolwiek ją znalazła. Będzie musiała wrócić, skąd przybyła, i żyć dalej bez wymarzonego skarbu, ze wspomnieniami o przeżytych przygodach.

Nie była pewna, które rozwiązanie bardziej jej odpowiada.

Wytarła spocone dłonie o bluzkę i rozpoczęła oględziny. Gniazdo było chropowate na zewnątrz, a w środku wyścielone mchem. Grzebała

palcami pomiędzy giętkimi gałązkami i miękkim mchem i czuła, jak robi jej się coraz bardziej gorąco.

W środku nic nie było!

Ale przecież widziała, jak Viola wkłada do gniazda swój skarb!

Przymknęła oczy, próbując przywołać wspomnienie tamtej nocy. Czyżby poniosła ją wyobraźnia? Stała zbyt daleko, żeby widzieć wyraźnie, co się dzieje, ale czy mogła się aż tak pomylić?

Jeszcze raz przeszukała gniazdo, sprawdziła, czy nie jest dziurawe. Niestety, było rozpaczliwie puste. A może perła wypadła na ziemię? Nie, szczelność i solidna budowa gniazda wykluczała taką możliwość. Burza nie uszkodziła go w żaden sposób.

Ze złością łamała gałązki i darła mech, aż z gniazda zostały tylko strzępki. Zrezygnowana, oparła się o pień drzewa i przymknęła oczy. Nie znalazła perły. Nigdy nie było jej w gnieździe, a ona była tak samo szalona, jak Viola Llewellyn.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- To ty! Ty ją ukradłeś!

Minęło kilka sekund, zanim Mei przypomniała sobie, gdzie jest i co zdarzyło się tej nocy. Wściekłe krzyki rozdzierały poranną ciszę, a Viola - bo to ona krzyczała - powtarzała rozpaczliwie i żałośnie:

- Ty! Ty to zrobiłeś! Ty!

Mei skrzyżowała ramiona na piersiach i wsunęła się głębiej pod koc. Zaczęła się trząść ze strachu. Czy Viola widziała ją, kiedy szukała gniazda?

- Zamknij się, suko! - odpowiedział znużony głos. - Nic nie ukradłem!

- Tato, daj spokój... - teraz Mei rozpoznała głos Bryce'a. - Ona jest chora. Przecież wiesz. Zostaw mamę, proszę.

- Nie ma jej! Ty ją zabrałeś! Ty!

Mei włożyła szlafrok i poszła do salonu, gdzie przez okno mogła obserwować scenę na podwórzu. Llewellynowie stali wśród drzew, kilkanaście metrów od domu. Bryce trzymał rękę na ramieniu ojca, Viola kołysała się w pewnym oddaleniu, potrząsając raz po raz bezsilnie uniesionymi pięściami.

- Chcę, żebyś mi ją oddał!

- Zupełnie zwariowała. Wracam do domu. Archer odwrócił się tyłem do żony i zaczął iść w kierunku werandy, ale Viola rzuciła się na niego. Zanim Bryce'owi udało się ją powstrzymać, pchnęła męża, który osunął się na kolano.

Podniósł się powoli, jakby panował nad sobą, zaraz jednak odwrócił się gwałtownie, chwycił Violę za ramię i wymierzył jej policzek. Potem zaś cisnął nią o ziemię.

- Spróbuj jeszcze raz!

- Tato! - Bryce złapał ojca, gdy znów zamierzał się na matkę. Mężczyźni zwarli się, ale wściekłość Archera wyraźnie osłabła. Puścił syna i szybko się odsunął.

- Włożyłam ją do ptasiego gniazda! - lamentowała tymczasem Viola.
- Gniazdo zniknęło! Ty to zrobiłeś! Ty!

- Nawet nie wiesz, gdzie wepchnęłaś tę pieprzoną perłę! - wykrzyknął Archer. - Zaprzepaściłaś naszą przyszłość, ty kretynko! Nigdy już jej nie znajdziesz!

Viola zakryła twarz, powtarzając uparcie:

- Gniazdo zniknęło, zniknęło, zniknęło... Archer popatrzył na syna.
- Kiedy minie pora deszczów, odeślę ją. Nie powstrzymasz mnie tym razem.

- Jeśli ją odeślesz, ja również odejdę.
- Ty zostaniesz tutaj. Nijak nie możesz jej pomóc. Do diabła z tym, Bryce. Przecież ona nawet nie wie, kim jesteś!

- Wystarczy, że ja wiem, kim ona jest. Moją matką.
- Jak Boga kocham, wolałbym, żeby to nie była prawda - odparł Archer i ruszył wolno w kierunku domu.

Mei natychmiast wycofała się do swojego pokoju i cicho zamknęła drzwi. W chwilę potem usłyszała, jak Bryce pomaga szlochającej Violi wrócić do łóżka. Zapaliła lampę i wyszła na zewnątrz, udając, że dopiero się przebudziła.

- Czy pani jest chora? - zapytała.
- Tak, i to bardzo. - Bryce wprowadził matkę do sypialni. - Znów miała atak.

- Zabrał ją! Włazł na drzewo i ukradł! - Viola kręciła bezradnie spuszczoną głową. - Zabrał ją, a teraz chce mnie odesłać! Włożyłam ją do gniazda! Zabrał, zabrał, zabrał...

Mei spojrzała na Bryce'a, marszcząc czoło, jakby nic z tego nie rozumiała. Machnął lekceważąco ręką na znak, że to nic ważnego.

- To moja perła - powtarzała tymczasem Viola. - Dostałam ją od ojca!

Mei nabrała wody do kubka i przytknęła go do ust chorej.

- Rano ją pani znajdzie - zapewniła uspokajającym tonem. - Pomożemy pani szukać.

- Zaczynajcie od jego kieszeni! Tam ją znajdziecie! To on!
- A może to się pani przyśniło? - Ułożyła ją na poduszkach. - Jutro wszystko sobie pani przypomni.

Viola zwinęła się w kłębek i zakryła twarz ramieniem, jakby dotarło do niej wreszcie, że nie znajdzie zrozumienia wśród opiekunów.

- Może powinniśmy zostawić jej lampę? - zapytała Mei Bryce'a.
- Nie, nie trzeba. Ona już śpi.

Wyszli na korytarz i skręcili do salonu. Gdyby Mei znalazła tej nocy perłę, zabrałaby ją bez wahania. Mimo to żal jej było teraz Violi, rozżalanej, nieszczęśliwej, skulonej jak dziecko w matczynym łonie.

Dokądkolwiek Archer wyśle swoją żonę, będzie tam miała lepiej niż w Jimiramirze, pomyślała. Zwłaszcza teraz, kiedy straciła jedyną rzecz, która dawała jej złudzenie panowania nad rzeczywistością.

O ile naprawdę ją straciła.

- Opuścisz Jimiramirę, tak jak powiedziałeś ojcu? - spytała, nie próbując udawać, że nie słyszała porannej kłótni.

- Oczywiście. Powinienem to uczynić już dawno temu.

- Przecież tu jest twój dom.

- Dom? - skrzywił się. - Myślę, że dom to coś więcej niż kolek, na którym możesz powiesić swoje spodnie. Ludzie, którzy mieszkają razem, powinni się kochać, czyż nie?

Mei pomyślała o Willow. I o ojcu.

- Czasem nie można mieć wszystkiego. - Dotknęła jego ramienia.

- Wiem. I dlatego wyjadę, kiedy matka odejdzie. Mogę stracić tę farmę. Mogę stracić wszystko. - Zaciśnął zęby i popatrzył twardo przed siebie. Zaraz jednak złagodniał, zniżył głos i popatrzył na Mei. - Gdybyś jednak zgodziła się zostać ze mną...

- Nie będę mogła zostać, kiedy twoja matka zostanie odesłana i kiedy ty...

- Chcę, żebyś została ze mną na zawsze - przerwał jej w pół zdania. - Zostań ze mną i bądź przy mnie. Gdziekolwiek, niekoniecznie tu. Na początku będzie trudno, ale przecież poradzimy sobie. Znam się na robocie. - Jego głos był wciąż łagodny, ale widać było, że Bryce zapala się do tej wizji. - Ktoś mnie najmie, a ty będziesz pracować przy domu. Może kiedyś znajdziemy jakiś kąt dla siebie. Spodoba ci się, zobaczysz.

Będę się o ciebie troszczył, May. Będę cię kochał i nie pozwolę cię skrzywdzić.

Mei poczuła, jak wzruszenie ściska ją w gardle. Bryce cierpiał, gdyż nikt nigdy go nie kochał. Nikt go nie kochał, a on nie miał komu dać swojej miłości. Teraz błagał ją, by przyjęła ten dar.

Ze strachem pomyślała o Archerze, który leżąc za ścianą, mógł ich doskonale słyszeć.

- Idź już spać, Bryce, proszę - powiedziała, uciekając wzrokiem. - To nie czas, żeby myśleć o przyszłości. Potrzebujesz snu.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Jeśli ich pierwszy pocałunek był słodkim poszukiwaniem, odkrywaniem czegoś nowego, ten stał się czystym pierwotnym pożądaniem. Mei nie miała czasu, by się przed nim uchronić, przypomnieć sobie, po co przybyła do tego domu. Ogarnęło ją błogie uczucie oddania, przyzwolenia na budzącą się w niej rozkosz, na miłość.

Nie opierała się zatem i nie broniła. Pozwoliła mu przyłgnąć do siebie tak blisko, że mogła poczuć dotyk jego ciała, prężącego się pod cienkim, bawełnianym szlafrokiem. Bryce był umięśniony i silny, wargi miał gorące i pożądliwe. Mei zapomniała o perle i swoich planach. Nie pamiętała i nie chciała pamiętać o niczym, poza tym że jest kobietą. Kobietażą pożądaną i kobietą, która pożąda.

Nagle Bryce upadł na podłogę, a Archer zacisnął ręce na jej szyi.

- Ty skośnooka suko! Mówiłem ci, abyś zostawiła mego syna w spokoju!

Mei nie była w stanie krzyzczeć. Wiła się i szarpała, ale uścisk Archera był coraz mocniejszy. Pociemniało jej w oczach. Bryce zerwał się z ziemi i szarpnął ojca za ramiona. Po kilku sekundach oderwał kościste dłonie Archera od jej szyi, a wtedy Mei łapczywie zaczerpnęła haust powietrza. Oparła się o ścianę, przyłożyła palce do gardła i krztusząc się i kaszląc, patrzyła, jak dwóch mężczyzn przetacza się po podłodze w zajadłej walce, młóćąc się pięściami.

- Dostyc! Przestańcie!

Przez okno wpadł podmuch zimnego wiatru i zgasił stojącą na stole naftową lampę. Zapadła ciemność i przez chwilę Mei nie widziała nic, kiedy zaś oczy przyzwyczyły się do mroku, ujrzała, że Bryce jest na

wierzchu i silnym chwytem miażdży barki ojca. Raz i drugi uderzył nim o podłogę. Po chwili Archer nadludzkim wysiłkiem zrzucił go z siebie. Wymienili ciosy. Bryce trafiał celniej.

- Dosyć! - Mei krążyła wokół nich, a kiedy nadarzyła się okazja, szarpnęła Bryce'a za ramię. - Bryce, błagam cię, przestań!

Wydawało się, że słyszy ją po raz pierwszy. Wstał, potrząsając głową jak człowiek, który budzi się ze snu. Odruchowo zrobił unik przed ciosem ojca, a potem wycofał się na bezpieczną odległość.

Archer wstał również, ciężko dysząc.

- Ty skurwielu. Nie jesteś moim synem - wycedził.

- Bardzo żałuję, ale niestety jestem.

Bryce dotykał spuchniętej twarzy opuszkami palców. Archer pluł krwią na posadzkę. Mei czuła, jak po policzkach spływają jej łzy, choć nie słysząc było, że płacze.

- Najpierw twoja matka, teraz ty - syczał nienawistnie Archer. - Sami kretyni! Mówiłem ci, żebyś trzymał się z dala od tej dziewczuchy.

- A dlaczego niby miałbym cię słuchać? - Bryce stanął przy Mei. - Mam zamiar pobrać się z May i nie powstrzymasz mnie przed tym! Nie potrzebuję ani ciebie, ani tej cholernej farmy! Niczego!

Archer popatrzył na niego, jakby poraził go grom.

- Zbudowałem to wszystko... robiłem to wszystko... dla ciebie.

- Wszystko? - Bryce zaśmiał się gorzko. - To znaczy co, tato? Zbudowałeś ten ohydny dom? Zgromadziłeś bydło? Czy to masz na myśli?

Mei wystąpiła naprzód, wrywając się Bryce'owi. Przybyła do Jimiramiry po perłę, po zemstę na Llewellynach. Teraz zrozumiała, jak niewiele mogła uczynić. Nie było nic, co mogłaby zabrać Archerowi i Violi, ponieważ ci nieszczęśnicy niczego nie posiadali. Ani miłości, ani charakteru, ani honoru, ani serca. Nie mogła nawet zabrać perły, gdyż i ta zniknęła. Mogła zabrać im syna, ale przecież nie po to, by się zemścić. Bryce był dla niej czymś więcej niż środkiem prowadzącym do celu, instrumentem zemsty.

Bryce był jej miłością. Kochała go.

Wstrząsnęło nią to odkrycie.

- Musicie przestać - powiedziała. - Proszę, idźcie do łóżek. Obydwoj.

To, co mówicie, uwłacza waszej godności.

- To mój dom. - Archer zgromił ją wzrokiem. Nie będziesz mi mówiła, co mam robić, dziwko.

Odwróciła się. Bryce chwycił ją za rękę. Wyrwała mu się gwałtownie, odeszła szybko, zamknęła drzwi swojej sypialni i zastawiła je skrzynią, żeby nikt nie mógł wejść do środka. A potem rozplakała się na dobre.

W kilka minut później, jeszcze płacząc, usłyszała ciche pukanie do drzwi.

- May? Proszę, otwórz...

Pokręciła głową, jakby Bryce mógł ją zobaczyć.

- May, proszę...

- Zostaw mnie.

- Chcę, żebyś wiedziała, że nic nie zmieni mojego stosunku do ciebie. Nic ani nikt. Powiedz, że wyjedziesz ze mną, May. Kocham cię.

Milczała, zaciskając pięści przy ustach, aby powstrzymać rwące się na usta słowa. Wreszcie, po nieskończonej długiej chwili, Bryce Llewellyn odszedł.

Mei nie mogła znieść atmosfery tego pokoju, ale zmusiła się, by leżeć bez ruchu. Czowała się odpowiedzialna za część wydarzeń tej nocy. Nie zabrała wprawdzie perły, ale wykradła jedyny prawdziwy skarb Jimiramiry - zrabowała Archerowi i Violi syna.

Bryce kochał ją. I podczas gdy jedna połowa jej duszy drżała z tego powodu z zachwyty, druga połowa doskonale wiedziała, jak nieszczęśliwa będzie to miłość. Terytorium Północne to prowincja ogromna i słabo zaludniona. Mimo to plotki rozchodzą się tu z taką samą szybkością, jak wszędzie. Ile czasu potrzeba, aby ktoś odkrył, że Mei-Zen Robeson wyjechała na Terytorium? Jak szybko historia o mordercy Toma Robesona dotrze do uszu Bryce'a? Ile dni dzieli go od chwili, w której dzięki usłużnym językom zorientuje się, że Mei nie przez przypadek znalazła się w Jimiramirze?

Ile wreszcie uderzeń serca wystarczy, by Bryce zrozumiał, że przybyła tu, by ukraść perłę? Czy wtedy uwierzy jej, że tego nie zrobiła?

Wyobraziła sobie, jak bardzo poczuje się zdradzony, i wreszcie, ze łzami na policzkach, zapadła w ciężki, męczący sen. Śniło się jej, że stoi o świecie nad kanałem i patrzy na kłęby dymu. Niebo smagały ogniste

bicze. Budynek płonął, grzebiąc pod swoimi zgliszczami straszliwe wspomnienia pewnej nocy. Nie żałowała go. Ten dom nigdy nie był prawdziwym domem. Patrząc na piekło płomieni, myślała o widzianych po drodze do Jimiramiry olbrzymich przestrzeniach podpalanych przez Aborygenów. Ten starożytny lud wypalał trawy od początku Epoki Snu, po to by młode pędy wyrosły ze spopielonej ziemi. Iły życie powstało ze śmierci.

Im wyżej unosił się dym, tym większy odczuwała spokój. Westchnęła, a wtedy jej płuca wypełniły się dusznym czadem... May!

Zaczęła tracić przytomność. Płomienie jęły przygasać. Poranek zmienił się w najczarniejszą noc. Próbowwała się obudzić.

- May!

Zmusiła się, by otworzyć oczy, i zorientowała się, że wciąż jest w swoim malutkim pokoiku w Jimiramirze. Wypełniały go kłęby dymu. Za chwilę z przerażeniem zobaczyła, że ktoś wyważa drzwi. To Bryce! Dopadł do niej, chwycił ją za ramiona i krzyknął, dławiąc się kaszlem:

- May, wstawaj! Dom...! Pali się!

Zmroził ją strach. Zerwała się z łóżka. Bryce już wypychał ją z pokoju.

- Uciekaj - wyszeptał chrapliwie. - Mama... Nie mogę znaleźć mamy.

Teraz zrozumiała. Kazał jej uciekać z płonącego domu, ale sam wracał, by ratować matkę.

- Nie, Bryce, zaczekaj!

Włókł ją przez cały korytarz. Dym był tak gęsty, że bez jego pomocy nie odnalazłaby właściwej drogi. Potem wyważył drzwi i wypchnął Mei na zewnątrz.

Kurczowo uwiesiła się jego ręki.

- Nie rób tego! - zaszlochała. - Nie wracaj!

Wyszarpnęła się.

- Uciekaj stąd. Natychmiast!

Chciała biec za nim, ale zniknął tak szybko, że szukając go, ryzykowałyby życie obojga. Krzyczała, by wrócił, ale odpowiadał jej tylko trzask płomieni. Wreszcie zaczęła iść w przeciwną stronę, byle dalej od pożaru.

Po kilkunastu metrach natknęła się na Larry'ego.

- Kto jeszcze został? - zapytał. - Gdzie szef, gdzie pani?

Mei potrząsnęła głową, wciąż kaszłąc i płacząc.

- Bryce...

- Biegnij nad kanał. Weźmiemy wiadra. Utworzymy łańcuch... - rzucił Larry, oddalając się w pośpiechu.

Pomysł był dobry, ale przyszedł za późno. Dom musiał spłonąć razem z każdym, kto pozostał w środku.

Mei upadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Przypomniała sobie bójkę i nagły podmuch wiatru, który zgasił lampę. Nagle zrozumiała, że to Viola, korzystając z zamieszania, musiała ją zabrać.

Słyszała krzyki i odgłos biegnących stóp. Gdzieś dalej dziko rżały konie, a psy zanosiły się przeraźliwym skowytom. Zatrzymała pierwszego mężczyznę, który przebiegał obok niej.

- Bryce! Został w środku!

- Nikt już tam nie wejdzie, panienko.

Przy strumieniu zatrzymała następnego mężczyznę, starego Henry'ego.

- Tam jest Bryce... błagam!

- Możemy tylko ugasić ogień. - Objął ją ramieniem i szedł z nią przez moment. - Uspokój się, May. Czarni przyjdą na pomoc, jak tylko dostrzegą płomień. Może się uda...

Henry oddalił się, a ona odwróciła się i spojrzała z oddali na rezydencję. Było dokładnie tak, jak w jej śnie. Zaczynało świtać. Dym strzelał w górę i dusił w gardle przy każdym oddechu...

Ale tym razem nie czuła mściwej satysfakcji, a jedynie niepohamowany lęk.

Niebo już niemal całkiem pojaśniało, gdy usłyszała głos Henry'ego.

- May, jesteś tu?

Próbowała coś powiedzieć, lecz stać ją było tylko na niezrozumiałe charkot.

- May? - Henry zbliżył się do niej. - Wiem, nie możesz mówić. Za dużo dymu. Nie przejmuj się. Za kilka godzin to minie.

Objął ją i dopiero wtedy się odważyła spojrzeć ponownie na dom. Zgliszcząca tliły się już tylko i ludzki łańcuch powoli się rozluźniał. Henry

oznajmił spokojnie, jakby rozmawiał o handlu bydłem:

- SzeF i pani nie żyją. Spalili się na popiół. Pożar zaczął się w jednym z tylnych pokoi. Byli tam razem. Pewnie wepchnęła drania do ognia.

- A Bryce? - Mei z trudem zadała to pytanie.

- Nie wiesz jeszcze? - Popatrzył na nią zdumiony. - Wysłałem Sally, żeby cię znalazła i powiedziała wszystko.

- Co z nim? - wycharczała, czując, jak przeszywa ją dreszcz przerażenia.

- Larry natknął się na niego, gdy wychodził przez frontowe drzwi. Złapał go w porę i odciągnął. Emma jest przy nim. Przy kuchni.

Omijając zgliszcza, nie zważając na tłące się belki, pobiegła natychmiast w kierunku kuchni. Budynek znajdował się w pewnej odległości od rezydencji i dzięki temu pozostał nietknięty.

Słońce właśnie pojawiło się na horyzoncie. Wśród ruin kręcili się jacyś ludzie. Przed tym, co kiedyś było werandą, leżały dwa spalone ciała, przykryte końskimi derkami. Mei odwróciła od nich wzrok, zobaczyła zwęglony szkielet pianina. Przypomniała sobie noc, kiedy Archer wypił za dużo i zdawało mu się, że widzi jej ojca.

Zastanawiała się, czy gdzieś, na tamym świecie, Archer wciąż będzie skarżył się, że nic mu w życiu nie wyszło. Czy ojciec i matka Mei spotkali go tam w chwili śmierci? Czy Viola, piękna jak kiedyś i tryskająca zdrowiem, odnajdzie w zaświatach swoje miejsce przy mężu?

Jej wyobrażenia nieśmiertelności były mgliste, oparte na obrazkach z ilustrowanej Biblii i chińskich legendach, które opowiadała jej matka. Willow modliła się do Kuan Yin, bogini miłosierdzia, czasami zaś do Najświętszej Pani. Mei aż do tej pory nie wierzyła w nic, a zwłaszcza w cuda. Lecz teraz nadzieja wypełniała całą jej duszę. Oto Archer i Viola nie żyją, jej ojciec został pomszczony. Perła zniknęła, ale nie zniknął Bryce! Czy to nie cud?

Może więc będą mogli rozpocząć nowe życie? Jeśli tylko uda jej się wyjaśnić mu wszystko, od samego początku, jeśli zdoła powiedzieć o tym, jak zrodziła się w niej miłość i jak uczucie stawało się coraz silniejsze, jeśli wyzna, że zamiary, w jakich przybyła do Jimiramiry, stały się nagle mniej ważne wobec tej miłości...

Ma więc mu zdradzić swoje zamiary?

Tak. Mógł ją za to zniechęcić, ale musiała mu wyznać prawdę. Thomas mieszkał po drugiej stronie świata. Nie znalazła perły, więc nie miała nic, z pomocą czego mogłaby rozpocząć z bratem wspólne życie. Bryce natomiast był tuż obok. Dla niego miała wszystko.

W kuchni natknęła się na Emmę. Kazała jej się oddalić i powoli podeszła do ukochanego, który leżał na plecach, patrząc w sufit. Miał zabandażowane ramię i łydkę.

- Bryce?

Przeniósł na nią swoje spojrzenie. Usiadł.

- Wszystko w porządku? - spytał. Skinęła głową.

- Sally powiedziała, że zniknęłaś. Nikt nie wiedział, gdzie cię szukać. Balem się...

Podeszła bliżej. Próbował się uśmiechnąć, lecz na jego twarzy malowało się bezgraniczne cierpienie. Dotknęła jego ust, dając mu znak, żeby nic już nie mówił, ale widocznie musiał to powiedzieć:

- Oni... nie żyją - szepnął, po czym boleśnie zacisnął powieki.

Milczała. Nie było jej przykro. Viola była teraz na pewno szczęśliwsza, a Archer zasługiwał na śmierć. Jej ojciec zginął w wodzie, jego ojciec w ogniu- dwa śmiertelne żywioły. Bardzo jednak chciała zrobić coś dla Bryce'a, toteż usiadła obok i objęła go troskliwie. Drgnął, ale kiedy cofnęła rękę, przyciągnął ją bliżej.

- Może teraz jest im już dobrze? - Wtuliła głowę w jego silne ramiona.

- Tak, może... Zaczną wszystko od nowa, prawda? - powiedział łamiącym się głosem.

Spojrzała na niego i pocałowała go. Jedynie tak mogła mu pomóc. Odpowiedział pocałunkiem na pocałunek, jak gdyby mając nadzieję, że ta odrobina intymności ukoji ból cierpiącego serca.

Kolejne pocałunki były coraz głębsze. Mei myślała tylko o tym, co powinna wyznać Bryce'owi. Chciała powiedzieć, że go kocha. I powiedziała mu to, aby wiedział, że teraz całuje go nie dla perły, nie dla zemsty, ale tylko i wyłącznie z miłości.

- Och, May... - zasypywał pocałunkami jej policzki, podbródek, czoło. Rozpuścił jej włosy i poprosił: - Obiecuj mi, że nigdy mnie nie

opuścisz!

Nie chciała od niego odchodzić. Jeśli jej przebaczy, zostanie przy nim i pomoże mu stworzyć nowy dom na popiołach starego. Wymruczała jakąś obietnicę i położyła się, aby mógł lepiej ją całować. Jego ramiona drżały, były chłopięco niezdarne. Położył dłoń na jej policzku i zanurzył palce we włosach.

- Zostań ze mną...

Dotykała jego piersi, ramion, smukłych bioder. Nie wiedziała, czym skończy się ta miłość, ale uskrzydlała ją wizja życia z tym wspaniałym młodym mężczyzną. Skoro ona mogła mu wybaczyć, że był synem Archera i Violi, on także powinien wybaczyć jej. Zaczną wszystko od początku. Razem.

Pomogła mu się rozebrać. Jęknęła z rozkoszy, gdy dotknął jej nagich piersi. Błyskawicznie zapomniała o przeszłości, o krzywdzie i zemście. Zapomniała także o przyszłości i o przeszkodach, które wciąż się przed nimi piętrzyły. Oddała mu się cała, bez reszty.

Bryce spał, oddychając głęboko. Mei podejrzewała, że będzie spał jeszcze długo, uznała więc, że powinna wstać i odszukać Lany'ego, by wraz z nim przygotować śniadanie. Nie ruszała się jednak, wyczerpana i szczęśliwa, że leży obok mężczyzny, którego kocha.

Z dała dobiegł śpiew jakiegoś ptaka. Przez moment dziwiła się, że ów śpiew tak jest podobny do zawodzenia psa. I nagle przypomniała sobie spacer, na który wziął ją kiedyś Bryce. Opowiadał jej o altannikach, które słyną nie tylko z tego, że potrafią świetnie naśladować różne głosy, ale też z tego, że ich samce kuszą samiczki, budując niezwykle altany. Pokazał jej taką budowlę. Zdobily ją muszle, kolorowe piórka, kawałki kości, kamyki, a nawet kapsle od butelek i różne błyskotki.

Natychmiast pomyślała o perle. I zaraz potem przestraszyła się, że oszalała jak Viola Llewellyn. Czy jeśli zostanie w Jimiramirze, będzie stale, obsesyjnie myślała, że kiedyś uda jej się odnaleźć Królową Perłę? A co robi, jeśli rzeczywiście ją odnajdzie?

Przekonywała się w duchu, że idzie przygotować śniadanie, ale kiedy wstała i ubrała się, wiedziała, że najpierw sprawdzi altanę.

Na dworze spotkała Larry'ego.

- Henry wyjeżdża, by zatelegrafować o tym, co się stało -

powiedział. - Jeśli chcesz wyjechać, zawiezie cię tak daleko, jak tylko będzie mógł. Później musisz znaleźć kogoś, kto podrzuci cię do Darwin. Nie masz już tutaj żadnych obowiązków, więc jak chcesz, to idź i powiedz mu, że z nim jedziesz.

Oddalił się, nie czekając na odpowiedź, a ona ruszyła czym prędzej w kierunku strumienia, tą samą drogą, którą kiedyś prowadził ją Bryce. Miała do siebie pretensję, czuła się winna. Przecież tam nie ma żadnej perły, powtarzała sobie w duchu. Królowa Perła zniknęła na zawsze, a może w ogóle nigdy nie istniała. Jeśli tego nie zrozumie, oszaleje tak jak Viola.

Nie, nie oszaleje. Jest w jej życiu coś ważniejszego. Jest Bryce.

Dotarła do zagajnika i odnalazła ptasią altanę. Zdawało jej się, że jest bardziej rozbudowana i wspanialsza niż poprzednio. Nie była jednak w stanie zachwycać się pomysłowością i talentem ptaka. Przez chwilę pomyślała, że powinna odwrócić się i uciec. Jakiś głos w głębi serca podpowiadał jej, że jeśli nie ucieknie teraz, będzie tego żałować.

Nie uciekła. Wzięła głęboki oddech i zajrzała do środka altany. Perła, przez którą zginął jej ojciec, błyszczała tuż przy wejściu.

- Oczywiście, że zabrałam perłę - powiedziała Mei, która teraz, po kilkudziesięciu latach, siedziała wraz z Lianą i Cullenem w salonie swojego niewielkiego mieszkania w San Francisco.

Wzięłam ją do ręki i zobaczyłam, jak na jej powierzchni odbija się twarz Thomasa. Wiedziałam, że nie mogę zatrzymać jej dla siebie, że muszę zabrać ją do Kalifornii. Tego oczekiwała ode mnie moja matka. Twój dziadek wciąż spał, Cullen, a ja wyjechałam z Henrym. Już nigdy potem go nie zobaczyłam.

Liana otarła łzę. Za to Cullen, który wydawał się nieco mniej przejęty opowieścią ciotki Mei, zapytał wprost:

- Wolałaś swojego brata od mojego dziadka?

- Przybyłam do Ameryki trzy miesiące później. Bryce nie mógł mnie szukać, gdyż obszar Terytorium nawiedziła olbrzymia powódź. W Darwin spotkałam ludzi, którzy płynęli do Stanów, zaopiekowałam się ich dzieckiem, a oni w zamian zabrali mnie ze sobą. Byłam obywatelką australijską i dzięki temu mogłam bez problemów zamieszkać w Kalifornii.

- Czy było warto, Mei?

Liana popatrzyła na ciotkę. Ta uśmiechnęła się smutno.

- Odnalazłam twojego ojca, Liano. Thomas był wysoki i silny, podobał mi się. Ale nie był do mnie podobny, nie miał azjatyckich rysów. Spotkaliśmy się w tajemnicy. Powiedział, że nie chce, aby nasi dziadkowie dowiedzieli się o wszystkim, gdyż mogliby odesłać mnie z powrotem. - Smutny uśmiech zniknął z jej twarzy. - Ale i tak byłam szczęśliwa z tego spotkania. Był przecież moim bliźniakiem, drugą połową mojej duszy. Pokazałam Thomasowi perłę, opowiedziałam mu wszystko o ojcu, o Archerze i o tym, jak zdobyłam klejnot. Wziął ode mnie Królową Perłę, a potem kazał mi wracać do pensjonatu, w którym mieszkałam. Obiecał przyjść następnego dnia. Mieliśmy rozpocząć wspólne życie.

- Nie przyszedł, prawda? - szepnęła Liana.

- On nie. Nazajutrz przyszli policjanci. Powiedzieli, że Thomas Robeson oskarża mnie o kradzież zegarka, i wsadzili do aresztu. Po dwóch dniach powiedziano mi, że pan Robeson nie podtrzymuje oskarżenia, ale jeśli będę mu się naprzykrzać, każe odesłać mnie do Australii. Naprawdę mógł to zrobić. Nasz dziadek miał szerokie wpływy. A Thomas wszystko po nim przejął.

Liana z Cullenem popatrzyli na siebie z zakłopotaniem i wtedy Mei zakończyła swoją smutną opowieść:

- Kiedy wróciłam do pensjonatu, czekał na mnie list. Thomas pisał, że nie wolno mi nikomu powiedzieć ani o swoim pochodzeniu, ani o perle. Tylko pod takim warunkiem mogłam zostać w Kalifornii. Widzicie, jak mnie potraktował? A przecież zawiniłam mu tylko tym, że byłam jego bliźniaczką.

Z miłością mojego życia Żadna nie pójdzie w zawody; Bo jej ją trząca się rana Wyda perłę wielkiej urody.

Edith Matilda Thomas, Perła z dna mórz

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sydney, Australia, czasy współczesne

Matthew nie bardzo wiedział, kiedy stracił portfel. Zapłacił taksjarszowi, potem w recepcji hotelu w King's Cross uiścił opłatę za jedną noc, a na końcu wykosztował się na najbardziej niejadalne spaghetti, jakiego próbował w życiu. Na koniec pokuśtykał do swojego pokoju i spał przez całe dziewiętnaście godzin.

Kiedy wreszcie otworzył oczy, spostrzegł, że nie ma portfela.

Słabnący blask słońca przesączał się przez zakurzoną żaluzję, zasłaniającą jedyne okno pokoju. Matthew szarpnął za sznurek i okno odsłoniło się z głośnym trzaskiem. Trzy piętra niżej zobaczył dwóch mężczyzn, którzy zamiast rozstawiać na stojakach skrzynki przed warzywnikiem, klócili się ze sobą. Nie słyhać było słów, ale zajadle gesty były aż nadto wyraziste.

- Cholera! - Gniewnie zacisnął powieki. - Gdzie ten pieprzony portfel?

Simon wybrał ten hotel specjalnie dla niego. Długo szperali w Internecie, aż wreszcie Simon namierzył tanie lokum dla studentów, łatwo dostępne, a jednocześnie gwarantujące, że nikt nie będzie specjalnie interesował się gośćmi. Matthew miał zamiar zatrzymać się w Sydney tylko na tak długo, by zarezerwować lot do Jimiramiry. Pierwszą noc, by zregenerować siły po szybkiej zmianie stref czasowych, a drugą

- by odpocząć po całodziennej bieganiu i załatwianiu różnych spraw. Druga doba właśnie się zaczynała. Problem w tym, że nie miał czym za nią zapłacić.

- Cholera! - zaklął znowu, ale nie poczuł się ani odrobinę lepiej. Znajdował się na południowej półkuli, najdalej jak można od San Francisco. Z cudzym paszportem, z burczącym z głodu brzuchem, w hotelu, na który zabrakło mu forsy, i bez najmniejszego pojęcia, gdzie może być jego portfel.

Opadł bezsilnie na jedyny fotel, jaki stał w pokoju, i przymknąwszy oczy, usiłował zrekonstruować, co się zdarzyło od czasu, gdy wciągnął do ust ostatnią nitkę spaghetti, padł na łóżko w ubraniu i zasnął.

Za jedzenie zapłacił gotówką, australijską. Wymienił pieniądze na lotnisku, choć wiedział, że kurs będzie niekorzystny. Ale przewalały się tam tłumy i kasjer nie miał czasu na zapamiętanie jakiegokolwiek twarzy. Było to ważniejsze niż strata kilku centów na dolarze.

Z początku dziwnie się czuł, mając w ręku brzęczące monety, ale szybko się przyzwyczyił.

Sprawnie zapłacił za taksówkę, potem uiścił opłatę w recepcji, a na koniec dał nawet napiwek kelnerowi w kafejce. Resztę z ośmiuset dolarów schował do portfela. Zapamiętał ten fakt, gdyż zastanawiał się, gdzie ma upchnąć kupę drobniaków. Wreszcie wsunął portfel do tylnej kieszeni dżinsów, a resztę schował do przedniej.

I teraz nie miał już portfela.

Narastające zdenerwowanie ścisnęło mu gardło.

Spokojnie, powoli, próbował się uspokoić. Jak to dokładnie było - włożyłem portfel do kieszeni, powiedziałem dobranoc facetowi w recepcji, facet pytał, czy jestem Amerykaninem...

Zapamiętał swoje rozczarowanie. Przez całe lata ćwiczył akcent ojca, po australijsku przeciągając samogłoski. Będąc synem Cullena Llewellyna, chciał mieć pewność, że uznają go za Australijczyka - ale widocznie nie był tak zdolnym naśladowcą, za jakiego się uważał.

No dobrze, zapytał mnie, a ja mu powiedziałem, że całe lata siedziałem w Stanach. Potem wyszedłem...

Matthew przywołał w pamięci obraz wejścia do restauracji. Choć znajdowała się niedaleko hotelu, miała specyficzną atmosferę, która

przypominała mu gorsze dzielnice San Francisco. Gdy wyszedł z lokalu, na zewnątrz panowały już ciemności. Ulicą płynął spacerowy tłum. Powietrze przesyciły pulsujące rytmy muzyki, sączącej się z głośników. Przystanął na chwilę przy wystawie drogerii, a wtedy zaczęła go ta dziewczyna.

- Masz dymka?

Odwrócił się do niej szybko, wbijając ręce w kieszenie. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Niższa od niego o głowę, o ciemnych włosach i ciemnych oczach. Zrazu myślał, że są ciemne, ale po chwili zorientował się, że spogląda w źrenice rozszerzone tak, że ledwie odsłaniają skrawek zielonej tęczówki.

- Nie palę - burknął.

- Nie? To źle, bo muszę się sztachnąć.

- Nic tu nie sprzedają? - Skinął głową w kierunku sklepu.

- Zwykłych szlucgów nie kupuję. Faceci mnie częstują. - Przysunęła się tak blisko, że niemal czuł dotyk jej ud, widocznych spod krótkiej spódniczki. Bluzkę miała głęboko rozpiętą. - Ale tym razem chyba źle trafiłam.

Matthew nie wiedział, jak zareagować. Doszedł go jej egzotyczny zapach. Za mocno się malowała; gruba obwódka wokół oczu skojarzyła mu się z pyszczkiem szopa.

- A może i dobrze - uśmiechnęła się, a wtedy z przyjemnością zauważył, że ma nieco krzywe zęby z przodu. To już wystarczyło, by się nią zainteresował. Dziewczyny z jego szkoły miały nienaganne, olśniewające uśmiechy, świadczące o rachunkach, jakie płacili ortodontom ich tatusiowie.

Zaczął odczuwać zmęczenie, ale nie zamierzał kończyć rozmowy. To była jak na razie najprzyjemniejsza rzecz, jaka mu się zdarzyła od czasu, gdy wysiadł z samolotu.

- Mieszkasz tu? - zagadnął.

- Raz tu, raz tam, kręcę się trochę. - Sięgnęła, by poprawić mu kołnierzyk. Tak po prostu, jakby dotknięcie dopiero co poznanego chłopaka było najnormalniejszą rzeczą w świecie. Nigdy nie słyszał, żeby australijskie dziewczyny były śmielsze od amerykańskich. Bo jeśli tak, trzeba by tę rewelację natychmiast puścić w obieg na internetowych

stronach podróźniczych. Dziewczyna niespiesznie cofnęła rękę i zapytała: - Gdzie mieszkasz w Stanach?

- Skąd wiesz, że jestem ze Stanów?

- Nie wiem, może akcent, może twoja koszula. - Jej wzrok powędrował w dół. - I te buty. Jesteś z Teksasu?

- Jestem stąd. Tylko że długo siedziałem w Stanach - wyjaśnił.

- Wszystko jedno - wzruszyła ramionami. - Podoba mi się ta koszula. Odwróć się, zobaczę, jak się prezentujesz z tyłu.

Zrobił dokładnie to, co mu kazała.

No tak, i właśnie wtedy skubnęła mu portfel.

Matthew z rozpaczą wtulił głowę w ramiona. Był już wtedy tak wykończony, że nawet nie przeszło mu przez myśl, że dziewczyna mogłaby go okraść. Stał odwrócony, a ona na moment przyłgnęła do niego od tyłu. Jego zdradliwe ciało zareagowało natychmiast - widać zmęczenie nie było aż tak wielkie. Kiedy zaś znów się ku niej odwrócił, wyglądała absolutnie niewinnie. Wymienili jeszcze kilka zdań, ale szybko się rozstali, bo Matthew marzył tylko o tym, by móc wreszcie poprawić rozporek. Potem ona odeszła swoją drogą, a on ruszył do hotelu.

Cholera, gdyby podwędziła mu również klucz, szybko zauważyłby, że zniknął i portfel. Ale klucz wsunął do przedniej kieszeni, razem z paszportem, bilonem i biletem powrotnym.

Ale z niego dupa. Pierwsza lepsza ćpunka ukradła mu portfel. A przecież wychował się w San Francisco i słyszał o takich numerach. Wprawdzie dom i szkołę miał w dobrej dzielnicy, ale nie był frajerem, znał uliczne zwyczaje. Żaden czujny facet nie dałby się tak podejść. Wiadomo, że nie należy trzymać portfela z tyłu, a po zmroku włóczyć się po podejrzanych miejscach. Poza tym żaden rozsądny facet nie będzie leciał przez pół świata po to, żeby dać się obrobić pierwszej lepszej lali, jaką spotka!

Musi odzyskać swoje.

Przez chwilę zawahał się, sądząc, że to niemożliwe. Dziewczyny dawno już pewnie tam nie było. Z jakiej racji miałyby wciąż tam sterczeć? Żeby dać się złapać? Mogła w końcu przewidzieć, że będzie jej szukał. Nie mogła wiedzieć, że zawiadomienie policji jest w jego

przypadku wykluczone.

A jeśli jednak była nieostrożna? Jeśli kręci się tam i nie wydała jeszcze tych pieniędzy? Albo kupiła sobie jakieś prochy, przyćpała i nie ma siły odejść? Co szkodzi spróbować, i tak nie ma innego wyjścia. Został mu jeszcze kawał drogi, a bez forsy nie ruszy się nigdzie. Dobrze, że została mu w plecaku paczka chipsów, jeszcze ze Stanów.

Oczywiście może w ostateczności zadzwonić do mamusi...

Skrzywił się na tę myśl, wstał i zdecydowanym ruchem sięgnął po plecak. Jeśli odzyska portfel, wróci tu, ureguluje rachunek i dokończy pobyt. Chyłkiem przemknął przez hol. Na szczęście za ladą nikogo nie było. Wyszedł na zewnątrz i szybkim krokiem ruszył ulicą.

O północy zaprzestał poszukiwań i zaczął rozglądać się za miejscem do spania. Zmęczyło go wędrowanie wzdłuż ulicy i zagłądanie do niezliczonych sklepików, barów, zakamarków i sieni. Około dziesiątej zaczął rozpytywać ludzi o dziewczynę, dokładnie ją opisując. Reagowali ze zdumiewającą życzliwością, ale nie potrafili mu pomóc. Pierwszym wyjątkiem była starsza kobieta, prowadząca nędzny kramik z książkami i gazetami niedaleko miejsca, gdzie zdarzył się cały incydent.

- Po co ganasz za taką dziewczyną? - W głosie kobiety zabrzmiało szczerze zatroskanie i od razu skojarzyła mu się z ukochaną ciocią Mei. Nie miała australijskiego akcentu i pomyślał, że tak jak on czuje się tu zapewne obco. Może dlatego chciała mu pomóc.

- Ona ma coś mojego - powiedział, sięgając po tanią powieść z kolorową, szmirowatą okładką. - Muszę ją znaleźć i jej to odebrać.

- Lepiej trzymaj się od takich z daleka. Mama nie uczyła cię, z kim się nie należy zadawać?

Matthew popatrzył na nią z nadzieją.

- Pani zna tę dziewczynę?

- Znam, jeszcze jak. Próbowałam jej pomóc, ale nie chciała żadnej pomocy.

- Pomóc?

Starsza kobieta uważniej zmierzyła go wzrokiem.

- Ile tym masz lat, dzieciaku?

- Osiemnaście.

Nawet jeśli podejrzewała, że skłamał, nie dała mu tego poznać.

- Skoro tak, to powinieneś widzieć, o co chodzi.
- Jak pani chciała jej pomóc?
- Próbowałam ją odciągnąć od ulicy, ale się nie dała. Nie chciała układać książek na półkach ani stać za ladą. Wołała stać na rogu i polować na facetów.

Teraz już rozumiał. Nie musiał mieć osiemnastu lat, by to pojąć. I po raz kolejny uznał, że jest głupim, naiwnym dzieciakiem. Dziewczyna była prostytutką, a on tego nie zauważył!

- Czy wie pani, gdzie ona może teraz być?
- Pewnie ma tu gdzieś pokój. Ale ostatnio dawno jej nie widziałam. Włóczy się, jak zwykle. Życzyłabym jej, żeby się stąd wyrwała i wróciła do normalnego życia, ale to mało prawdopodobne.

Matthew już o nic nie pytał. Wyszedł bez słowa. Starsza kobieta zamknęła drzwi, odwróciła tabliczkę z napisem „Otwarte” na drugą stronę i zaciągnęła rolety.

Jeszcze trochę rozpytywał o dziewczynę w najbliższej okolicy sklepu, szybko się jednak zniechęcił. Skoro cwaniara jest prostytutką, nikt się nie przyzna, że ją zna. Usiłował sobie wyobrazić, co prostytutki mogą robić o tej porze, ale szybko przestał, bo same myśli wprawiły go w drżenie.

Zbliżała się północ. Matthew marzył już tylko o tym, by się położyć. Głodowe ssanie w żołądku dręczyło go nieznośnie. Zaczął się intensywnie rozglądać za miejscem, gdzie mógłby się zadekować i zjeść wyciągnięte z plecaka chipsy, i dość szybko je znalazł. O kilkaset metrów od sklepiku z książkami, w głębi ulicy, stał kamienny kościół. Od gwaru ruchliwej mimo późnej pory King's Street oddzielały go parkingi należące do sąsiednich apartamentów i gęsty zielony żywopłot, rosnący przy murach. Kościelny teren otaczało niewysokie, kute ogrodzenie z ozdobnych krat, łatwe do sforsowania, na wypadek gdyby brama była zamknięta.

Matthew rozejrzał się bystro i ruszył wzdłuż ogrodzenia. Na bramie wisiała kłódka. Przerzucił plecak na drugą stronę, potem zgrabnym rzutem ciała sam znalazł się za kratą. Za chwilę przemknął się na tyły budynku, w upragniony cień zielonej gęstwiny. Nie mógł znaleźć lepszego miejsca do spania. Siadł, otworzył plecak i w pośpiechu wy-

ciągnął chipsy. Smakowały mu jak nigdy w życiu.

Kiedy się obudził, z początku nie wiedział, gdzie jest. Drżał z zimna, a poduszka kłuła mu policzek. Głos, który słyszał, nie należał ani do jego matki, ani do gosposi, Sue Lo. One miały głosy łagodne, a ten, który go budził, był młodszy i bardziej ostry. Poza tym dziewczyna nie mówiła do niego, lecz do jakiegoś mężczyzny.

- Co mi będziesz pieprzył, Charlie, że mam się nie martwić! Muszę mieć trochę szmalu, żeby zapłacić za pokój. Ta stara kutwa zagroziła, że wymieni zamki i wystawi moje rzeczy na ulicę, jak dziś nie dam jej forsy.

Mężczyzna odburknął coś niewyraźnie i dziewczyna podniosła głos.

- To moje pieniądze! Zarobiłam je! Zresztą nie chcę wszystkiego, tylko...

Resztę zdania przerwało raptowne klaśnięcie i okrzyk bólu. Matthew usiadł wyprostowany i wyjrzał spomiędzy gałęzi żywopłotu. W mętym blasku dalekiej latarni zobaczył, że mężczyzna gwałtownie potrząsa szczupłą dziewczynę za ramiona. Tym razem usłyszał wyraźnie jego słowa.

- Nie podskakuj mi tu, gówniaro, dobra? Mam dziesięć takich jak ty, ale żadna tyle nie pyszczy. Powiedz starej, że jutro jej zapłacę i niech lepiej zamknie gębę, bo mnie wkurza!

Odepchnął dziewczynę, ale ta rzuciła się na niego z pięściami.

- To moje pieniądze! A ty, skoro je wzięłeś, masz o mnie dbać!

Mężczyzna przestał nad sobą panować. Chwycił ją za rękę i wykręcił je nad głową, a potem błyskawicznym ruchem grzmotnął dziewczynę w brzuch kolanem. Zgięła się wpół, jęcząc i charcząc, ale wyprostował ją na siłę i powtórzył cios.

Matthew nie wahał się ani chwili. Wyskoczył z krzaków i przypadł do ogrodzenia.

- Ej, ty, zostaw ją w spokoju!

Napastnik puścił rękę dziewczyny. Osunęła się na chodnik jak szmaciana lalka.

- A coś ty za jeden? - Alfons chwycił żelazne pręty przed twarzą chłopaka i potrząsnął nimi gwałtownie, a potem zaśmiał się szyderczo.

Matthew przestał myśleć. Pierwszy raz w swoim życiu zobaczył na

własne oczy tak brutalną przemoc. Chwycił przeciwnika za przegub i gwałtownie szarpnął ku sobie jego rękę, przeciągając ją przez ogrodzenie. Zacisnął chwyt i półobrotem naciągnął sobie ramię przeciwnika na plecy, szarpiąc je z całej siły w obie strony.

Mężczyzna już się nie śmiał. Wolną dłonią usiłował pochwycić chłopaka za czuprynę, ale Matthew uchylił się zręcznie i szarpnął jeszcze mocniej. Chciał tylko dać dziewczynie czas do ucieczki, lecz nagle usłyszał stłumiony trzask. Puścił chwyt, przerażony, że złamał człowiekowi rękę. Mężczyzna z krzykiem upadł na ziemię.

Matthew nie wiedział, co robić. Zaszokowała go siła własnej wściekłości. Jeszcze bardziej zaszokowany zobaczył, że dziewczyna chwiejnie dźwiga się na klęczki, wrywa kamień z obramowania trawnika i wali nim leżącego w głowę. Po kilku ciosach mężczyzna przestał jęczeć i znieruchomiał.

Dziewczyna uniosła wzrok i spojrzała na Matthew. W jej zielonych oczach nie było triumfu.

- Musimy stąd wiać - orzekła. - Zaraz ktoś wezwie gliny.
- Zabiłaś go - powiedział oskarżycielsko Matthew.
- Coś ty, tak dobrze to nie ma. - Pochyliła się nad leżącym. -

Widzisz? Oddycha, pierś mu się porusza. No, idziesz?

Matthew usiłował zebrać myśli. Powinien się zająć rannym. Pewnie złamał mu rękę. Ale jak wytłumaczy policji, kim jest, dlaczego znalazł się w Australii i nocował w krzakach? I co im powie, gdy zapytają, skąd zna tę dziewczynę? Pewnie zapuszkowaliby go od razu do aresztu, a potem zawiadomili matkę. Nie, w ten sposób nigdy nie zrealizuje swoich zamiarów.

Zmierzył surowym spojrzeniem towarzyszkę niedoli. Od razu ją rozpoznał.

- To ty buchnęłaś mi portfel.
- Fakt. Jak chcesz mieć z powrotem swój szmal, chodź ze mną. Z oddali dobiegło wycie policyjnych syren.
- Czekaaj, w krzakach mam plecak.
- Nie ma czasu!

Miała rację. Wycie narastało, a w sąsiednich budynkach zapaliły się światła i dały się słyszeć podniecone głosy. Kiedy przeskakiwał przez

ogrodzenie, dziewczyna wyciągała leżącemu portfel z za pazuchy. Matthew chwycił go i schował - tym razem w przedniej kieszeni dżinsów.

- W porządku? Możesz biec? - zapytał.
- Spoko. Ja nic nie robię, tylko uciekam.
- Mam na imię Tricia. - Dziewczyna podsunęła mu ostatni kęs ryby, którą kupił dla niej w smażalni na nabrzeżu Sydney. Pochłonął go błyskawicznie, jak wcześniej własną porcję.
- Matthew - wymamrotał.
- Na portfelu są inne inicjały. Szybko wymyślił wytłumaczenie.
- Dokładnie Simon Matthew Van Valkenburg. Dla przyjaciół Matt.
- Hm, długie nazwisko... - Odchyliła się na oparcie ławki i

przymknęła oczy.

- Jesteś pewna, że nas tu nie znajdą?
- Przecież nawet nie wiedzą, kogo szukają. Kiedy Charlie się ocknie, nic im nie powie. A nawet gdyby coś sypnął, i tak go znajdą. Wiedzą, że nie można mu wierzyć.

Matthew wreszcie poczuł się lepiej. Miał przy sobie swój portfel, choć mocno ubyło w nim pieniędzy. Nadal jednak pozostało prawie siedemdziesiąt dolarów, minus to, co wydali na jedzenie. W każdym razie było to lepsze niż nic.

- Dlaczego mnie okradłaś? - zapytał.
- Bo sam się o to prosiłeś - zachichotała.
- Miałem tę prośbę wypisaną na czole, czy co? - zachnął się.
- Dokładnie tak. Wyglądałeś, jak ktoś, kto nie bardzo wie, kim jest i co tu robi.

Niestety, miała rację. Po raz kolejny obiecał sobie, że musi być bardziej czujny.

- Poza tym pomyślałam, że pewnie wrócisz szybko do tatusia i mamusi i wszystko będzie cacy. Nie miałam pojęcia, że wylądujesz na ulicy.
- A ja nie miałem pojęcia, że jesteś dziwką - odparował. Zachichotała naprawdę niewinnie, jak mała dziewczynka.
- Cieszę się, że potrafię się tak maskować.
- Ale dlaczego to robisz? Pani z kiosku z książkami mówiła, że

proponowała ci pracę.

- Stara Duffowa?
- Pytałem o ciebie kogo popadnie, bo chciałem odzyskać portfel.
- Zgoda, dawała mi robotę. Tylko że gdybym marzyła o czymś

takim, nie musiałabym się ruszać z Humpty Doo.

- Znalazłaś wreszcie wymarzone zajęcie?
- Facetom podoba się to, co robię.
- Jesteś za młoda, żeby się tak szmacić. Zdumiały go własne słowa i ton, którym do niej przemawiał. Brzmiało to całkiem podobnie do matczynych kazań na temat jego brudnych skarpetek. Jednak Tricia nie obraziła się. Przeciwnie, słuchała z zainteresowaniem.

- Za młoda? A ile według ciebie mam lat? - zapytała.
- Bo ja wiem? Dwadzieścia? Znów zachichotała.
- Coś ty!
- Dobra, nawet jeśli jesteś starsza, i tak nie masz więcej niż...
- Mam szesnaście.

Zamilkł na chwilę, potem zapytał:

- I jak długo...?

- Od zeszłego roku. Miałam już dosyć Terytorium. Nic tam nie ma, tylko muchy, krowy i krzaki. Byłeś tam kiedyś?

- Nie, ale właśnie się wybieram.
- Na to zadupie? - zrobiła zdumioną minę.
- Czego tam szukasz?
- Chcę zobaczyć się z moim dziadkiem, Romanem Llewellynem. Ma tam farmę. Nazywa się Jimiramira.
- Aha, znam Jimiramirę.
- Serio? - umysł Matthew ożywił się gwałtownie. - A skąd znasz?

Mieszkałaś w sąsiedztwie?

- Na Terytorium nie ma czegoś takiego jak mieszkanie w sąsiedztwie. Nie wiedziałeś o tym?

- Gdzie w takim razie mieszkałaś?

- Już mówiłam, w Humpty Doo. Tak, nie śmieć się, nazwa prawie jak z Alicji w Krainie Czarów. Ale to normalne miejsce. Moi starzy mają tam ziemię. Uprawiają drzewa mangowe. Kiedy byłam młodsza, mieszkaliśmy na farmie. Oszczędzali na wszystkim, byle dokupić więcej

tych pieprzonych drzewek. I stale powtarzali, że robią to dla mnie.

Matthew pomyślał o swojej matce, która też mówiła, że wszystko robi dla jego dobra. Widać na całym świecie te sprawy wyglądają podobnie.

- Nie tęsknisz za starymi? - spytał. Milczała, więc ponowił pytanie: - No, powiedz, chyba martwią się o ciebie? Nie rusza cię to?

- Teraz już za późno, żeby o tym myśleć. Zresztą, gdyby dowiedzieli się, co robię, pewnie nie przyjęliby mnie z powrotem - westchnęła.

Znów pomyślał o Lianie. Wolał sobie nie wyobrażać, jakie piekło miałby w domu, gdyby teraz wrócił. Co nie znaczyło, że mama za nim nie tęskni. I że nie płacze teraz z jego powodu.

Tricia zacisnęła ramiona na piersi, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

- Zresztą nieważne, i tak tam nie wrócę. Nie chcę już nigdy widzieć Terytorium.

- Lepiej być tu, z takim facetem jak Charlie?

- Nie muszę z nim być.

- Bez niego nie dasz rady. Przecież nie możesz tak po prostu zacząć robić to gdzie indziej. A następnym razem wreszcie zatłucze cię na śmierć. Swoją drogą musiałaś się zadać akurat z nim?

- Ta świnka obiecała mi, że będzie się mną opiekować. I że zarobię dużo kasy. Zamarzyło mi się fajne życie, wiesz, jak to jest.

Matthew usiłował wczuć się w jej położenie.

- Gdybyś naprawdę odłożyła trochę forsy, mogłabyś się stąd wyrwać.

- Pewnie, ale znów byłabym sama.

Czuł ciepło uda Tricii przy swoim, z podniecenia serce podchodziło mu do gardła. Najdziwniejsze zaś było to, że zapragnął się o nią troszczyć, pomóc jej, wyciągnąć ją z tego. Gdyby nie trafił na scenę z Charliem, sam miałby ochotę nałomotać tę bezczelną dziewczynę. Tymczasem łagodnie usiłuje ją przekonać, by zerwała z ulicą i zarabianiem na alfonsa!

- A co jest grane z tobą? - zapytała. - Tylko nie ściemniaj i nie mów, że nie jesteś Jankesem. Widziałam w portfelu twoje prawo jazdy, wystawione w San Francisco.

Matthew zastanawiał się, co ma jej powiedzieć.

- Rzeczywiście tam mieszkam - przyznał. - Ale mój ojciec mieszka

w Australii, więc jestem pół-Australijczykiem.

- Którą połowę? Górną czy dolną? - uśmiechnęła się tym samym uśmiechem, który zapamiętał z pierwszego spotkania.

- Nieważne. A tak w ogóle to mówiłem ci już, że przyjechałem odwiedzić dziadka - odparł, czując, że płoną mu policzki. - Nigdy dotąd go nie widziałem, chciałem wreszcie poznać. To wszystko.

- Dlaczego w takim razie nie zadzwoniłeś do niego i nie poprosiłeś o forszę, żebyś nie musiał spać w krzakach?

- On nie wie, że jestem tutaj. To niespodzianka.

- To może zadzwoń do ojca?

- Nic z tego. Akurat jest w Stanach. - Matthew wolał sobie nie wyobrażać, co musiał czuć Cullen, kiedy nie znalazł go na lotnisku w Nowym Jorku. Miał tylko nadzieję, że matka znalazła wiadomość, którą jej zostawił. Poczul na sobie uważne spojrzenie Tricii i zapytał z krzywym uśmiechem: - Co jest? Myślisz pewnie, że coś kręcę?

- Dokładnie.

- A nawet jakby, to co?

- Czy ktokolwiek z rodziny wie, gdzie jesteś?

- Jasne - skłamał szybko. - Jak inaczej bym się tutaj znalazł?

Kiwnęła głową, choć wiedział, że mu nie uwierzyła.

- No dobra, co robimy dalej? Nie możesz wybrać się na Terytorium bez pieniędzy.

- Spoko. Dojadę pociągiem albo autobusem, a potem będę szedł wzdłuż szosy i łapał stopa.

- Oświrowałeś? Tam nie ma nic, tylko upał, kangury, psy dingo i muchy. Prędzej zmienilibyś się w szkielet przy skraju drogi, nim doczekałbyś się kogoś, kto by cię podwiózł.

- Jakoś przeżyję. Muszę dojechać do dziadka.

- Nie masz zielonego pojęcia, jak przeżyć w tym kraju!

Matthew wzruszył tylko ramionami. Tricia również zamilkła i intensywnie o czymś myślała.

- Nie ma mowy, nie wrócę na Terytorium - odezwała się wreszcie.

- Głupio robisz - odparł, czując, jak znów płoną mu policzki.

Zorientował się, że dziewczyna myślała o tym, żeby mu pomóc, i nagle zrozumiał, że zupełnie nie wiadomo dlaczego, zależy mu na tym, by

zostać z nią na dłużej.

- Dlaczego głupio? - spytała.

- Musisz się gdzieś zaszyć, żeby Charlie cię nie znalazł. A mnie mogłabyś niejednego nauczyć - dodał i zdziwił się, że stać go było na tak śmiałą sugestię.

Tym razem Tricia nie zachichotała.

- Okay - kiwnęła głową z poważną miną - powiedzmy, że bym pojechała. I co bym robiła? Nie mogę tam zostać, zrozum, Matt. Tym razem starzy mogliby mnie już nie wypuścić.

- Pojechałabyś ze mną. Poprosiłbym dziadka, żeby kupił ci bilet. Na pewno się zgodzi. Bilet do miejsca, gdzie Charlie cię nie dopadnie.

- Przecież nie znasz swojego dziadka.

- Nie znam, ale wiem, że mi pomoże. Mój ojciec twierdzi, że to człowiek z zasadami.

- Z zasadami? Hm, może i warto pojechać do kogoś, kto ma zasady.

Matthew nie miał pojęcia, czemu zależy mu aż tak bardzo na towarzystwie Tricii. Pragnienie mieszało się w nim ze strachem, że Charlie odnajdzie ją i ciężko pobije, albo nawet zabije. Ale było też coś jeszcze. Czuł się osamotniony i niepewny siebie. I tak naprawdę nie wiedział, co dalej robić.

- Faktycznie nie mam czego szukać w Sydney, dopóki Charlie ma tu swój rewir - powiedziała, strzepując okruchy ze spódniczki. - Masz rację, Matt, powinnam stąd wiać. Ale pojedę tylko do Jimiramiry. I ani kilometra w stronę Humpty Doo!

Matthew potrafił odgadywać prawdziwe intencje. Wprawił się na ojcu i matce. Usiłowali być z nim szczerzy, ale nazbyt często wyczuwał kryjące się za słowami emocje. Teraz też czuł, że Tricia nie powiedziała mu wszystkiego.

- Ani kilometra bliżej - powtórzył. - I ręce z dala od mojego portfela.

- Nie ma sprawy - zachichotała. - Teraz jesteśmy kumplami.

Serce Matthew ruszyło nagle galopem. Przedziwnie działał na niego widok tych pełnych warg, odsłaniających nieco krzywe zęby.

- Skoro tak, to naucz mnie, jak przeżyć w Australii.

Wstała i wyciągnęła do niego rękę.

- Chodź. Znam kąt, gdzie będziemy mogli się przespać. Potem

zastanowimy się, co dalej. Mam parę pomysłów.

- Ale nie idziemy do ciebie?
- Nie. To miejsce jest spalone. Charlie zaraz tam będzie i położy łapę na moich rzeczach.
- Dużo ich miałaś?
- Daj spokój - machnęła lekceważąco ręką. Matthew westchnął, przyjął wyciągniętą dłoń.
- Zdaje się, że oboje zaczynamy od zera.
- Bywa - odparła Tricia, przeczesła włosy palcami i obciągnęła spódniczkę. - Podzielimy się tym zerem po połowie, będzie nam lżej.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Nie wiedziałaś tego? - Cullen przeczesał czuprynę palcami. Milczał przez całą drogę od mieszkania Liany, ale zaczął ją wypytywać już od progu.

- Wiem, że ciotka Mei i mój ojciec byli skłócen. Pierwszy raz usłyszałam o jej istnieniu, kiedy miałam trzynaście lat. - Poprowadziła go do barku pomiędzy salonem a bawialnią. Zwykle na cały dzień wystarczył jej kieliszek czy dwa wina po obiedzie, jednak dziś nerwy potrzebowały specjalnego wzmocnienia. Otworzyła drzwi barku, wyciągnęła pierwszą z brzegu butelkę i nalała sobie szczerze dobrej whisky. Bez słowa wręczyła flaszkę Cullenowi, lecz on odmownie potrząsnął głową. - Od kiedy to odmawiasz drinka? - Jednym łykiem opróżniła połowę szklanki i z ulgą poczuła, jak alkohol odblokowuje ściśnięte gardło.

- Więc nie wiedziałaś, że to Mei ukradła perłę mojej rodzinie? - zignorował jej złośliwość.

- O ile wiem, perła nie była własnością twojej rodziny. Z formalnego punktu widzenia...

- Przestań. - Cullen oparł się łokciem o bar. - To mnie najmniej obchodzi. Mów, co wiesz jeszcze.

Liana wychyliła do dna swoją whisky i nalała sobie kolejną porcję. Ze szklaneczką w ręku przeszła do salonu i usadowiła się w załomie kanapy. Cullen usiadł obok. Stąd mieli najlepszy widok na portret syna.

- Kiedy miałam trzynaście lat, pojechaliśmy z klasą na wycieczkę do chińskiej dzielnicy - zaczęła mówić Liana. - Pewnie w ramach tych obowiązkowych, natchnionych programów pod hasłem „Wszyscy ludzie są braćmi”. W każdym razie jakaś stara kobieta intensywnie mi się przyglądała. Staliśmy na chodniku Grant Avenue, a nauczyciel coś nam

objaśniał. Kiedy odchodziliśmy, kobieta podeszła do mnie, wręczyła mi skrawek papieru i powiedziała: „Zadzwoń!”

- To była Mei?

Liana potwierdziła skinieniem głowy.

- Oczywiście nie było to przypadkowe spotkanie. Wiedziała o mnie od czasu, kiedy zamieszkałam z ojcem. Myślę, że mnie obserwowała, albo wynajęła kogoś, żeby mnie śledził. Może dowiedziała się, że jestem zbuntowaną nastolatką, mam dosyć życia pod jednym dachem z ojcem oraz macochą i bardzo pragnę czyjejs akceptacji? Nie wiem. W każdym razie dopóki jej nie poznałam, nie wiedziałam, że mój pradziadek urodził się w Chinach i że nie odziedziczyłam ciemnych włosów po jakimś Irlandczyku z linii Robesona. Pamiętam, że kiedyś szłam z ojcem ulicą, a jakiś stary Chińczyk zagadał do nas po swojemu, jak gdyby oczekiwał, że odpowiemy. Ojciec był wściekły. Tylko że on ciągle się na coś wściekał, więc specjalnie mnie to nie zdziwiło.

Cullen milczał. Liana zerknęła na portret syna, odetchnęła i mówiła dalej:

- Kiedy zadzwoniłam do ciotki Mei, umówiła się ze mną w restauracji w chińskiej dzielnicy. Nie wiedziałam, dlaczego chce się ze mną zobaczyć, ale czułam, że ojcu by się to nie podobało, więc tym bardziej poszłam. Pamiętam, że ona jadła widelcem, a ja pałeczkami.

- Co ci powiedziała?

Liana zerknęła na Cullena. Już zdążyła zapomnieć, jak jej były mąż precyzyjnie potrafi skupić się na czymś, co go interesuje. Niespodziewanie poczuła ukłucie żalu. Kiedyś ona sama zainteresowała go tak, jak dziś jej historia. Kiedyś ona była ogniskiem, w którym skupiały się wszystkie jego myśli i uczucia. Dziś wolałaby nie pamiętać, co wtedy czuła.

- Właściwie nie dowiedziałam się, dlaczego chciała się ze mną zobaczyć. W każdym razie nie powiedziała mi tego wprost. Kiedy kelner podszedł, żeby przyjąć zamówienie, pogawędzili przez chwilę ze śmiechem. Byłam niemal pewna, że mówią o mnie. Kiedy się oddalił, zapytałam ją o to. Ciocia odpowiedziała: „Chciał wiedzieć, czy jesteś moją wnuczką”. I dodała: „Oczywiście powiedziałam mu, że nie, że jesteś tylko moją bratanicą”.

- Zaskoczyła cię, co?

- Pomyślałam, że starsza pani ma coś nie tak z głową. A Mei zaczęła opowiadać, że ona i mój ojciec są bliźniakami, że wychowywali się osobno i że kiedy się wreszcie odnaleźli, straszliwie się pokłócili. Od tego czasu nigdy się do siebie nie odzywali. Nie wyjaśniła, o co się tak poróżnili. Aż do dzisiaj. Powiedziała tylko, że jeśli spytam ojca o tę historię, z pewnością wszystkiemu zaprzeczy, ponieważ za nic nie chce się przyznać do chińskiego pochodzenia.

- Może chciała się na nim odegrać, zdradzając jego sekret?

- Możliwe. Ale już wtedy sądziłam raczej, że pragnie się przekonać, czy jestem taka jak ojciec.

I że na swój dziwny sposób chce mi pomóc, jakby tego oczekiwała od niej jej własna matka. Pomimo tego wszystkiego, co zrobił jej Thomas.

- I nigdy, w jakikolwiek sposób nie ujawniła negatywnych odczuć w stosunku do ciebie? Nie była wobec ciebie krytyczna? Nie brała małego w obronę, kiedy się na niego gniewałaś?

Liana dopiero po chwili domyśliła się sensu tych pytań

- Czy podejrzewasz, że ona może być w to zamieszana? - zapytała.

- A czy potrafisz wyjaśnić, dlaczego właśnie dzisiaj opowiedziała nam tę historię?

- Nie. A ty? Pokręcił głową.

- Wówczas szybko zrozumiałam, że nie ma sensu rozmawiać z ojcem o tym spotkaniu. Ciotka Mei zasugerowała, żebym przeprowadziła śledztwo na własną rękę, jeśli chcę dowiedzieć się prawdy, i tak też zrobiłam. Powiedziałam jednej z nauczycielek, że chcę napisać pracę o korzeniach mojego rodu i poprosiłam, żeby pomogła mi załatwić kopię australijskiego świadectwa urodzenia. W dwa miesiące później zyskałam pewność, że kobieta o nazwisku Lian Sing była moją babką.

- Lian?

- Tak. Po angielsku Willow, po chińsku Lian. Oczywiście od razu uświadomiłam sobie, że moja matka dała mi imię Liana właśnie po babce. Musiała w jakiś sposób odkryć sekret ojca i pewnie nazwała mnie Lianą, aby mu dopiec, bądź wyrazić przez to hołd dla innej kobiety. Kolejnej kobiety, którą Thomas usiłował zepchnąć w niebyt.

- Matka nigdy nie wspominała ci, że masz chińskie pochodzenie?
- Pamiętaj, że mama rzuciła mojego ojca jeszcze przed moim urodzeniem. Nawet nie wiedział, że ona jest w ciąży. Bardzo się postarała, by wszystko przed nim ukryć. Miałam zaledwie osiem lat, kiedy umarła. Nie wiedziałam nic o ojcu, dopóki nie odnalazła go opieka społeczna.

- I w związku z tym wszystkim uważasz, że Mei mówiła prawdę i że naprawdę jest twoją ciotką?

- Pokazywała mi własne świadectwo urodzenia. Wszystko pasowało.

- Od tamtej pory przyjęła cię do swojej rodziny?

- Od tamtej pory wzięła mnie pod swoje opiekuńcze skrzydła. I jeśli nawet jej synowie i ich rodziny wiedziały coś o perle, wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Frank, wnuk Mei z najmłodszego syna, Johna, zaczął nawet pracować dla mnie po śmierci Thomasa. Zatrudniając go, mogłam się jej odwdziżyć.

- A ojciec? Nie podejrzewał niczego? Nie wiedział, że się z nią spotykasz?

- Przez całe lata nie. A kiedy zaczął się czegoś domyślać, było już za późno na wyparcie się pokrewieństwa z Mei. Jednak postawił mi ultimatum. Bardzo proste. Fongowie albo on. Thomas Robeson i wszystko, co łączy się z nim, jak Pacific International, zgromadzona od pokoleń fortuna oraz cały łańcuch powiązań, dający mi nazwisko i status białego anglosaskiego protestanta - albo rodzina Mei, egzotyczna, życzliwa, całkiem inna. Byłam wtedy młodą idealistką, zbuntowaną przeciwko staremu łaadowi, który uosabiał Thomas. Dzięki pieniądзом po matce mogłam sobie pozwolić na rezygnację z tych wszystkich przywilejów. Poza tym właśnie wtedy poznałam ciebie - dodała.

Wzrok Cullena złagodniał na moment.

- Tak, pamiętam ten etap.

Liana poczuła, jak czerwienieją jej policzki. Uciekła w bok spojrzeniem, usiłując skupić się na ocenie tego, co może być najważniejsze w tej dziwnej opowieści. Czy mogli wierzyć wynurzeniom starej kobiety? Czy to możliwe, że Mei uznała okazję opowiedzenia Cullenowi prawdy o swoich stosunkach z Bryce'em Llewellynem za rodzaj przedśmiertnej spowiedzi? Czy jej opowieść

naprawdę ma związek ze zniknięciem Matthew? Czy ciotka wie jeszcze coś, czego im nie powiedziała?

- O czym myślisz? - zapytał Cullen.

- Sama nie wiem.

- To dokończ tę historię. Może to nam coś da.

- Dobrze - zgodziła się i podjęła przerwana relację. - Mei wyszła za niejakiego Wo Fonga. Pomyśl tylko, miała zaledwie dwadzieścia lat, kiedy przejechała pół świata, aby dać mojemu ojcu perłę. Dla brata-bliźniaka porzuciła człowieka, którego kochała, a ten brat zostawił ją z pustymi rękami. Była w Ameryce sama, bez rodziny, bez przyjaciół, bez pracy. Tylko jedno jej sprzyjało: większość chińskich mężczyzn musiała z powodu przepisów emigracyjnych pozostawić swoje rodziny w Chinach. Dlatego Chinka wolnego stanu była tu wielką rzadkością. Mei mogła przebierać w kandydatach do jej ręki.

- Więc poślubiła obcego i założyła rodzinę. A mój nieszczęsny dziadek przez resztę życia zastanawiał się, czemu go rzuciła.

- Powiedz, jaki on był?

- Kto?

- Twój dziadek, ten Bryce. Co o nim wiesz?

- Do czego ci to teraz potrzebne?

- Nie wiem, powiedz. - Ujęła go za rękę.

- Bardzo słabo go kojarzę - westchnął Cullen, ale nie cofnął dłoni. - Miałem zaledwie cztery lata, gdy umarł. W każdym razie nie pamiętam, żeby zbytnio zwracał na mnie uwagę. Był spokojny, surowy, wyniosły. Poślubił moją babcię, gdyż ich ziemie sąsiadowały ze sobą. Ona miała wielkie ambicje, była jedną z australijskich pionierek, które zdobywały ten kontynent. Silna jak chłop i robotna jak koń. Mój ojciec był jej jedynym dzieckiem, gdyż potrzebowała tylko syna jako dziedzica i nie miała zamiaru obciążać się gromadą bachorów.

- Widzisz? Żadne z nich nie zawarło małżeństwa z miłości - uśmiechnęła się smutno Liana. - Ani Mei, ani Bryce.

- Nie słyszałem, aby dziadek był nieszczęśliwy. Nie sądzę jednak, by mój ojciec miał szczęśliwe dzieciństwo. Jego rodzice stale objeżdżali swoje włości, wiecznie się rozmijając. Wychowywały go po kolei różne pary rezydentów, których najmowano do opieki nad gospodarstwem.

Jedni byli lepsi, drudzy gorsi, jak w życiu.

Gdy byli małżeństwem, Cullen bardzo niechętnie wspominał o swoim ojcu, Romanie. Wiadomo było tylko, że od wielu lat nie utrzymywali ze sobą kontaktów. O ile wiedziała, po ich rozwodzie Cullen nadal go ignorował.

- Z tego, co mówiła ciotka Mei, domyślam się, że Bryce nie miał od kogo się nauczyć, jak być dobrym ojcem - rzuciła.

- Owszem, a mój tatko chyba to po nim odziedziczył. Choć muszę powiedzieć, że przynajmniej się starał. Chciał być dla mnie dobry, ale nie bardzo wiedział jak. Miałem zaledwie dziesięć lat, kiedy umarła matka i od tego czasu było coraz gorzej.

- Cullen głęboko wciągnął powietrze. - Zastanawiałem się często, czy przez te wszystkie lata sam nie zawałem sprawy ojcostwa w stosunku do Matthew.

Liana, pogrążona we własnym nieszczęściu, nie była w stanie współczuć Cullenowi. W głębi duszy czuła nawet satysfakcję na myśl, że były mąż zrozumiał wreszcie, że bycie rodzicem nie polega tylko na okazjonalnym graniu z synem w baseball, bądź pojechaniu z nim na miesiąc pod namiot. Co jednak uzyska, pogłębiając teraz jego frustrację?

- Matthew cię kocha - powiedziała miękko. Czasami jestem o to zazdrosna. Ponieważ to ja siedzę przy jego łóżku, kiedy jest chory, a tobie zostają najprzyjemniejsze momenty. - Urwała na chwilę. - Ale teraz dałabym wszystko, żeby tu był, i żebyś zabrał go jak zwykle na baseball i na lody.

- A ja oddałbym wszystkie miesiące spędzane z nim co roku, byle był tu z nami, w tej chwili - powiedział z powagą Cullen, wyciągając rękę i gładząc Lianę po włosach gestem, który tak dobrze znała. - Ja też byłem zazdrosny - dodał.

Ponieważ to ja chciałem siedzieć przy jego łóżku, kiedy jest chory. Bo jeśli coś się dzieje, może liczyć na ciebie, podczas gdy ja jestem daleko.

Wierzyła mu. Po raz pierwszy od chwili kiedy się tu zjawiał, wierzyła bez zastrzeżeń. W ciągu lat, jakie upłynęły od rozwodu, Cullen stał się takim ojcem, jakiego kiedyś pragnęła dla swojego syna. Szkoda, że tak późno.

- Cullen, dlaczego tak się stało? Gdzie jest mały, gdzie nasz syn?

- Nie wiem - pokręcił bezradnie głową. - Chyba za to wiem, co Mei chciała nam przekazać. Nie słuchaliśmy Matthew. A przynajmniej nie tak, jak powinniśmy. To trochę tak jak z Bryce'em, nie sądzisz? Nikt nie wgłębiał się w jego uczucia. On sam usiłował chronić jednego z rodziców przed drugim, kochał ich, zależało mu na nich, tak bardzo się starał.. - Cullen urwał, bowiem głos nagle mu się załamał. - Dokładnie tak samo Matthew usiłował chronić każdego z nas.

- I myślisz, że dlatego uciekł?

Cullen przytulił policzek do jej policzka.

- Nie wiem. Chyba nie chciał nas przestraszyć, to niepodobne do niego. Nawet jeśli uciekł, z pewnością nie chce, żebyśmy się o niego bali.

- Może po prostu boi się zadzwonić? Z obawy, że go namierzemy?

- Listu też nie napisał.

- Mógł się bać, że zdradzi go stempel pocztowy. Albo list nie doszedł.

- Poczekaj! - Cullen wyprostował się nagle. - Czy możemy raz jeszcze spojrzeć w jego komputer?

- Pewnie.

- To chodź.

Wstał i wyciągnął rękę, by jej pomóc. Posłusznie ruszyła za nim do pokoju syna i włączyła komputer. Ekran monitora rozbłysnął, wyświetliła się prośba o podanie hasła, jednak po chwili, zamiast zalogować się w sieci, komputer wyświetlił kolejny komunikat i odmówił współpracy.

- Dziwne - powiedział Cullen, pochylając się nad ekranem.

- Co takiego?

- Ktoś teraz używa konta Matthew. Wiesz, na kogo jest ono zarejestrowane?

- Na mnie, opłaty idą na moją kartę kredytową.

- Ale chyba nie wchodzisz do sieci z innego komputera? - Znów uruchomił program i znów stało się to samo. Cullen w desperacji walnął pięścią w biurko. - Czy udostępniłaś hasło Stanfordowi?

- Nie, sama sprawdzałam pocztę.

- Jeśli więc Matthew nie udostępnił nikomu hasła, tylko on może

mieć dostęp do swojego konta w sieci. A tymczasem przed chwilą jego konta używał ktoś z zewnątrz.

- Czyżby sam Matthew?
- Możliwe.

Spodziewała się wybuchu radości, tymczasem głos Cullena stał się jeszcze bardziej napięty.

- Jest jakaś inna możliwość? - domyśliła się od razu.
- Tak, że to ktoś obcy.
- Ale kto, po co? I w jaki sposób się tu dostał?

- Jeszcze nie wiem. Mógł się włamać, albo wypróbować parę haseł i trafić na właściwe. W końcu wiadomo, co dzieciaki lubią wybierać na hasło. Data urodzenia, własna ksywka, znana większości kolegów. Może jakiś marny kumpel postanowił poszaleć sobie w sieci na jego rachunek, wiedząc, że Matthew jest nieobecny?

- Albo? - zapytała, bo domyśliła się, że to nie koniec możliwości.
- Albo ktoś go poszukuje, Lee, sprawdzając wiadomości w jego

poczcie komputerowej. Dokładnie tak jak my.

- Tylko kto miałby to robić? Powiedz, proszę, o co tu chodzi?

Cullen zmarszczył w zamyśleniu brwi.

- Czy wiesz, że kiedy Stanford kontaktował się z bankiem Matthew, żeby sprawdzili jego konto, okazało się, że nie był pierwszy?

- Nie powiedział mi o tym.
- Może nie chciał cię niepotrzebnie martwić.
- Czyżby to była policja?

- Jest taka możliwość, ale raczej sędzę, że ktoś jeszcze próbuje odnaleźć naszego syna na własną rękę.

- Kto? Z jakiego powodu? - Zbladła i zadała kolejne pytanie, od którego zrobiło jej się zimno ze strachu: - Czy ten ktoś może zagrażać małemu?

- Nie wiem - Cullen wzruszył ramionami. - Ale pomyśl, Lee. Jeśli Matthew ma perlę...

- Nie ma! Przecież nie ukradłby mi jej!
- Komu w takim razie zależałoby na tym, by chłopak już nigdy nie wrócił do domu?

- Nie rozumiem, Cullen...

- Twój ojciec zapisał małemu prawie wszystko, co posiadał, tak?
Zastanawiała się przez moment, jak najlepiej mu to wyjaśnić.
- Testament jest bardzo chytrze skonstruowany - zaczęła tłumaczyć.
- Grahamowi i mnie przypada całkiem spory udział, jeśli tylko będziemy pracowali dla Pacific International. Ale w sumie tak, Matthew odziedziczy praktycznie wszystko.

- A jeśli nie pożyje długo? Kto jest po nim?

- Graham... - wypłuła z siebie te słowa, jakby były nasączone trucizną. Cullen milczał, więc z wysiłkiem potrząsnęła głową. - Nie, Cullen, nie mogę w to uwierzyć. Zgoda, nie kochamy się z moim przybranym bratem, ale on nie skrzywdziłby Matthew. Tak długo, jak długo jest w Pacific International, pozostanie bogatym człowiekiem. Czego mógłby jeszcze chcieć?

- Wolności decydowania o swoim życiu. Popatrzyła na byłego męża i przygryzła wargę.

Thomas poprzez swój testament na zawsze związał ich z Pacific International. Nawet Matthew miał żyć pod dyktando zmarłego dziadka, jeśli chciał odziedziczyć po nim fortunę, która mu się należała. Thomas Robeson rządził wszystkim za życia i po śmierci. Jednak w razie śmierci Matthew władza Grahama rzeczywiście wzrosłaby niepomiaralnie.

- Nie twierdzę, że Graham porwał naszego syna - powiedział Cullen.
- Ale wygląda na to, że ktoś poszukuje go równie usilnie, jak my. Może Graham próbował tylko wykorzystać szansę, jaką podsuwa mu los.

Znów zastukał w klawiaturę, usiłując jeszcze raz wejść na konto. Tym razem udało się bez trudności. Ktokolwiek używał go przed chwilą, już się wyłączył.

- Sprawdź pocztę - powiedziała Liana.

- Jeśli ten ktoś ją właśnie czytał, pewnie wszystko skasował.

- Musimy powiedzieć o tym Stanfordowi.

- Jak ściśle Stanford współpracuje z Grahamem?

Liana zrozumiała, że jego zdaniem Stanfordowi także nie można ufać.

- Przestań - zaprotestowała. - Nie mogę już tego słuchać.

- Zobacz... - Cullen wskazał na okienko, które właśnie wyświetlił na ekranie komputera. - To osoby, które mają dostęp do konta. Tylko ty i Matthew.

- Mówiłam ci, że tak jest. Nikogo więcej nie upoważnialiśmy...
- A co z twoim domowym kontem? Sprawdziałaś swoje e-maile?
- Po co? W ogóle nie posługuję się tym kontem. Mam swoje w firmie i z tamtego korzystam, natomiast to...
- Kto w takim razie ci je założył? - przerwał. - I po co?
- Matthew, a ktoś by inny? Chciał, żebym... - urwała, zrozumiałwszy dopiero teraz, do czego zmierza Cullen. - Sądziś, że mógł zostawić tam jakąś wiadomość? Boże, nikomu nie przyszło to do głowy.

Cullen z nową energią wpatrzył się w ekran. Szybko wypisał komendy, wywołując konto Liany.

- Musiał wymyślić ci hasło - stwierdził. - Pamiętasz je? Usiłowała się skupić.
- Chyba „Okrutnica”. Tamtego dnia, kiedy zakładał mi konto, był o coś na mnie zły. Potem się z tego śmialiśmy.
- Dobra, to działa!
- Nie rozumiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam. - Pochyliła się nad ekranem, modląc się, by wyświetlił się na nim list od syna. Cullen kliknął myszą ikonkę z napisem „Nowa poczta” i po chwili na ekranie ukazała się informacja o liście.

- SEZ? To nie jest pseudonim Matthew - zdziwił się Cullen.
- Matthew dostawał listy od jakiegoś SEZ-a. Znalazłam ten pseudonim, kiedy sprawdzałam pocztę. - Patrzyła z napięciem, jak Cullen otwiera plik i jak treść listu wyświetla się na ekranie. Po chwili zaczęła czytać łamiącym się głosem: - „Mamo, wszystko ze mną w porządku. Przysięgam, że nie musisz się martwić. Dam sobie radę i niedługo wrócę. Obiecuję ci, że kiedy wrócę, już nigdy nie ruszę się z mojego pokoju. Proszę, powiedz tacie, że bardzo go przepraszam. Naprawdę strasznie chciałem pojechać z nim na tę wyprawę. Kocham Cię - Matthew.”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Lee, uspokój się, wszystko będzie dobrze. Cullen przytulał ją i pocieszał, ale Liana długo nie mogła dojść do siebie. Płakała, wtulona w jego ramię, a kiedy się odezwała, głos miała słaby i drżący:

- A jeśli to nie on napisał? Jeśli ktoś zmusił go do tego listu? Albo wszystko było dobrze, kiedy wysyłał list, a potem coś mu się stało?

Gładził ją po włosach i zastanawiał się, co powiedzieć. Wszystkie jej obawy były słuszne, Liana mogła mieć rację.

- Posłuchaj, Lee - uniósł palcami jej podbródek, by spojrzeć mu w twarz. Jej oczy miały czerwone obwódki, czaił się w nich lęk, lecz mimo to były piękne jak nigdy dotąd. Zawsze fascynowały go jej oczy. - Posłuchaj - powtórzył - musimy uwierzyć, że wszystko jest w porządku. Dlaczego miałoby być inaczej?

- On ma zaledwie czternaście lat!

- Będziemy go szukać. Ale to pierwsza dobra wiadomość od czasu jego zniknięcia. Mamy pierwszy ślad, teraz musimy poszukać nadziei - w nim samym, w nas, w naszych możliwościach odnalezienia Matthew. Wiem, że to dla ciebie ogromny wstrząs, ale musisz walczyć. Musisz uwierzyć, że sprowadzimy go z powrotem do domu. Musisz znaleźć w sobie siłę.

- Skąd ty ją bierzesz? Uśmiechnął się smutno.

- Nie jestem wcale tak silny, jak myślisz. Powiedz, że wierzysz, że go znajdziemy. Wtedy będę silniejszy.

- Nie pamiętam, aby kiedykolwiek coś, co powiedziałam albo zrobiłam, wpłynęło na ciebie pozytywnie.

- Nieprawda, Lee. Nie mów w ten sposób. Przytulił ją jeszcze mocniej. Mimo cierpkich słów, które przed chwilą usłyszał, zdawało mu się, że nie wyczuwa już w niej wrogości, niechęci i dystansu. A w

każdym razie wyczuwa jej mniej. Było to jak iskierka nadziei rozświetlająca mrok samotności i zwątpienia.

- Ty go kochasz tak samo mocno jak ja - westchnęła Liana i było to bardziej stwierdzenie faktu niż pytanie czy wyrażenie zdziwienia.

- Tak, bardzo mocno. Wystarczająco mocno, by go odnaleźć i sprowadzić do domu. Ale musisz być przy mnie. Cały czas.

- Dobrze, będę.

- Lee? - Znów zająrzył w jej oczy. Udało mu się zdobyć na uśmiech, ale spoważniał, kiedy dostrzegł ich wyraz. Liana była przerażona, jakby bała się śmiertelnie, że zaufanie okazane byłemu mężowi spowoduje kolejną katastrofę w jej życiu. - Nie chcę cię zranić, Lee, wierz mi - powiedział i nagle, bez zastanowienia, delikatnie musnął wargami jej wargi. Zaledwie poczuł ich słodkie ciepło, już wiedział, że popełnił błąd.

W oczach Liany zobaczył uczucia, których sam doznawał - szok, zdumienie, nawrót dawno zapomnianych emocji. Czuł, że wszystko, co teraz powie, jeszcze pogorszy sytuację. Odsunął się więc w milczeniu, jak gdyby nic absolutnie się nie stało i skupił na jedynej sprawie, która mogła odwrócić jej uwagę.

- Proponuję, żebyśmy zawarli układ. Nie walczymy ze sobą, nie podgryzamy się, lecz wszelkimi sposobami staramy się odnaleźć Matthew. Ufamy sobie i mówimy o wszystkim. Pierwszym krokiem będzie dowiedzenie się, kim jest SEZ. Ten ktoś gra w całej sprawie ważną rolę. W końcu przysłał wiadomość od naszego syna.

- Wysłałam e-mail do SEZ-a po tym, jak przysłał list na adres małego. Nie otrzymałam odpowiedzi.

- Sprawdziałaś listę nadawców?

- Stanford sprawdzał wszystkich piszących, ale powiedział, że rejestracja jest dobrowolna. Jestem pewna, że nic o SEZ-ie tam nie ma.

Cullen znów usiadł przy komputerze. Po chwili już wiedział, że Liana miała rację.

- Może udałoby się doszukać nazwiska i adresu - wyjaśnił - ale trwałoby to wieki, a my nie mamy czasu.

- Stanford mógłby nam pomóc.

- Na razie wolę nie dopuszczać go do sprawy. Moim zdaniem należy mu nawet powiedzieć, że na razie będziemy działać na własną rękę.

- Tak, tylko że on także coś podejrzewa. Nie da się tak łatwo zbyć.
- Zasugeruj mu, że jesteś pewna, że Matthew uciekł z domu.

Powiedz, że chcemy odszukać go sami, bez policji, żeby się nie spłoszył. Powiedz też, że Sue będzie telefonicznym punktem kontaktowym, a ty zawsze będziesz miała ze sobą komórkę. Na początek sprawdzimy wszystkich przyjaciół małego. Ktoś z nich musi wiedzieć, kim jest SEZ. Może zaczniemy od szkoły? Na razie jeszcze raz wyślemy wiadomości na wszystkie adresy, jakie są w jego komputerze. A ty, kiedy już porozmawiasz ze Stanfordem, zacznij obdzwaniać jego przyjaciół. Coś się musi wreszcie wyjaśnić.

Kiwnęła głową i przeszła do salonu. Odchodząc, musnęła palcami jego ramię w niespodziewanym geście smutnego porozumienia.

Cullen przymknął oczy. Jaka szkoda, że nie można zacząć życia od nowa, pomyślał i znów pochylił się nad klawiaturą.

Alicia Riviera miała krótką, chłopięcą fryzurę, rysy, które zapowiadały się na wyraziste, i złoty kolczyk w nosie, którego często dotykała, jakby był talizmanem, mającym dodać jej odwagi.

- Alicio, powiedz państwu wszystko, co chcieliby wiedzieć. - Pani Riviera, starsza i podniszczona wersja córki, siedziała na krawędzi kanapy w swoim mieszkaniu w Daly City i piorunowała latorośl surowym wzrokiem. - Tylko szybko, dziecko, bo zaraz muszę wyjść!

Liana zerknęła na Cullena. Widać było po nim, że nie przespał ostatniej nocy, co nie przeszkadzało mu czujnie przyglądać się dziewczynie.

Ona patrzyła na kurz, który tańczył w smugach słońca, i myślała o synu. Nie słyszała dochodzących z ruchliwej ulicy za oknem ryków klaksonów, pokrzykiwań, warkotu silników i pisku hamulców.

- Alicio, czekamy - powiedziała z naciskiem pani Rudera.
- Nie znam żadnego SEZ-a! - Kolczyk w nosie Alicii podskoczył rozpaczliwie. - Już mówiłam.

Cullen przysunął się bliżej.

- Wczoraj wieczorem mówiłaś mamie Matthew, że nie sypiesz przyjaciół. Słusznie, ale to jest inna sytuacja, nie uważasz?

Na twarzy Alicii lęk mieszał się z buntowniczym uporem. Liana przestraszyła się, że jeśli dziewczyna się zatnie, nic już nie zmusi jej do

mówienia.

- Alicio - odezwała się łagodnie - wiem, że Matthew nie miał być jakich przyjaciół. Tylko fajnych ludzi, którzy skoczyliby za nim w ogień. Ale bywa i tak, że czasami możesz skrzywdzić kogoś, robiąc to, o co cię prosi. Czy nie powstrzymałabyś przyjaciela, gdyby się upił i chciał sięść za kierownicą? Na pewno tak. Rozumiesz? Matthew nagle zniknął. Podejrzewamy, że jest w poważnym niebezpieczeństwie.

- Có-recz-ko... - pani Rudera znacząco popukała w tarczę zegarka.

Liana skrzywiła się ze zniecierpliwieniem i powiedziała, zmuszając się do spokojnego tonu:

- Pani Riviera, może porozmawiamy sami z pani córką, skoro pani ma tak pilne sprawy? Myślę, że nie zajmie nam to wiele czasu. Alicia jest bardzo miła i wszystko nam powie.

Matka Alicii wstała i pogroziła córce palcem.

- Słyszysz? Masz powiedzieć wszystko, co wiesz. Wrócę za dwie godziny - dodała i za moment już jej nie było.

Dziewczyna wyraźnie odetchnęła.

- Pomożesz nam teraz, Alicio? - zapytała Liana.

- Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Co zrobicie Matthew, kiedy go znajdziecie? - Alicia odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Zacałujemy go na śmierć. Uśmiechnęła się, lecz tylko na chwilę.

- Nie mam pojęcia, dlaczego zniknął - westchnęła - i naprawdę nie wiem, dlaczego to zrobił. Mnie nic nie mówił, ale może Simon będzie wiedział.

- Simon?

- Simon Van Valkenburg.

- Czy Simon chodzi z Matthew do szkoły?

- Nie, w ogóle nie chodzi do szkoły. To geniusz. On bardzo się z Matthew przyjaźni. To ja ich sobie przedstawiłam.

- Czy Simon jest SEZ-em? - Liana była tego dziwnie pewna już w chwili pytania. Przeczucie? Wolą nie dociekać. - Zresztą, nieważne, sami go o to zapytamy. Jeżeli oczywiście dasz nam adres tego Simona

- Nie wiem, czy mogę...

- Obiecuję, że nie powiem mu, skąd go mam.
- Czy gliny też będą z nim gadać?
- Nie. Tylko my. Nie zawiadomiliśmy policji. Złoty kolczyk znów podskoczył, gdy Alicia wzruszyła ramionami.
- Dobra, dam pani ten adres. Ale nie mówcie Matthew, że to zrobiłam, okay? Naprawdę go lubię i nie chcę, żeby się na mnie wściekał.
- Czyżby przyszła synowa? - uśmiechnął się Cullen, otwierając przed Lianą drzwi samochodu.
- Nawet ładna dziewczyna. Tylko powinna wyjąć sobie ten kolczyk z nosa.
- Mnie się podoba. Podobne noszą Aborygeni.
- No właśnie - odparła Liana i z ulgą opadła na fotel obok kierowcy. Jej lęk przed otwartą przestrzenią nasilił się ostatnio tak bardzo, że nawet w samochodzie czuła się niepewnie i jeździła tylko dobrze znanymi trasami. Dlatego dzisiaj poprosiła Cullena, by prowadził.
- Jak się czujesz? - zatroszczył się, widząc jej pobladłą twarz.
- Może być. Nie martw się o mnie.
- Nie umiem się nie martwić - odparł i znów obdarzył ją uśmiechem, który całkowicie ją rozbrajał. Przez lata uśmiechy Cullena wybijały ją z rytmu, burzyły jej spokój, rządziły jej życiem. Później starała się o nich zapomnieć, a wczoraj wieczorem, kiedy ją pocałował, zrozumiała, że wszystkie te starania były próżne.
- Dokąd mam jechać, Lee? - Cullen włożył kluczyk do stacyjki. Podążyła mu drogę do osiedla apartamentowców w Russian Hill, o którym mówiła Alicia. Liana знаła ten ciąg budynków z wykuszowymi oknami. Wskazywała kolejne zakręty, a Cullen przepychał się w ulicznym korku, kierując się jej wskazówkami.
- Szkoda, że nie możemy porozmawiać z Mei odezwała się, kiedy stanęli po drodze na czerwonym świetle. Od rana dzwoniła do ciotki już dwa razy, ale za każdym razem służąca mówiła, że Mei słabo się czuje i że właśnie się położyła, by zdrzemnąć się trochę.
- To do niej podobne, nie uważasz? - Cullen wrzucił bieg i wjechał na skrzyżowanie. - Poznaliśmy jej opowieść, a teraz chce, żebyśmy

działali dalej sami.

- Chyba tak, bo wyraźnie unika spotkania.
- Czy Matthew nigdy nie wspominał ci o tym Simonie?
- O Alicii tak, ale o nim nigdy.
- Ciekawe dlaczego?
- Ciekawe - przyznała. - Graham twierdzi, że za bardzo mu matkuje.

Może mały rekompensował to sobie, zostawiając sobie swoje tajemnice i nie dzieląc się ze mną wszystkim.

- A może obawiał się, że nie zaaprobujesz takiego kolegi jak Simon.
- Nie mam zwyczaju tępić jego kolegów.
- Wierzę ci. Ale może ten kolega był wyjątkowy.
- Niczym by mnie nie zbulwersował — uśmiechnęła się słabo. - On kolekcjonuje samych dziwaków. Ma to chyba po tobie.
- Co? - Spojrzał na nią przelotnie.
- Dla niego każdy jest kumplem.
- Czy właśnie tak mnie widziałaś?
- Zazdrościłam ci tego - znów się uśmiechnęła. - Sama chciałam być taka, bezpośrednia, śmiała, serdeczna. Ale zawsze się obawiałam, że zaufam niewłaściwej osobie i zostanę oszukana.

- I stało się. Zaufałaś mnie.
 - Tak, w tamtym momencie nie należało zapewne posunąć się dalej.
- Cullen odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Wiele myślałem o naszym małżeństwie od czasu, kiedy się skończyło. Sądzę, że kiedy się poznaliśmy, pasowaliśmy jednak do siebie. Ale każdy człowiek ma swoje tajemnice, swoje maski, pod którymi się kryje. Zabiera je ze sobą, w małżeństwo. A potem rodzą się nieszczęścia...

Za oknem migał w pędzie podmiejski krajobraz. Dziwnie rzeźbione wzgórza, dachówki błyszczące w słońcu, szare pasma bocznych dróg. Cullen chciał chyba powiedzieć coś jeszcze, lecz stracił na to ochotę albo zabrakło mu odwagi. Liana jednak postanowiła dokończyć tę rozmowę.

- Zgoda, uwiodłeś mnie - przyznała, patrząc na jego czujny, skupiony profil. - I zgadzam się, że do siebie jakoś tam pasowaliśmy. Powiedz mi jednak, jakie to były maski i co miały zasłaniać w naszym przypadku?
- Najpierw ty mi powiedz, czego pragnęłaś, gdy postanowiłaś za

mnie wyjść.

- Czego pragnęłam? - Musiała się chwilę zastanowić. - Silnego mężczyzny. Kogoś, na kogo będę mogła liczyć. Kogoś na całe życie.

- I ten mężczyzna był we mnie, tylko schowałem go w sobie tak głęboko, że trzeba było wielu lat, by go wydobyć.

- A czego ty pragnęłaś, wychodząc za mnie?

- Wolnego ducha. Kogoś, kto nie będzie wyłącznie żądał. Kobiety bezinteresownej i samodzielnej, której nie będę musiał dawać niczego, czego dawać bym nie chciał.

Liana poczuła ucisk w piersi.

- Mało jest takich kobiet.

- Ty taka byłaś. Podążyłaś za mną w australijską dzicz. Potrafiłaś sobie dać radę z każdym łajdusem, który nieopatrznie wszedł ci w drogę. I nigdy nawet się nie poskarżyłaś.

- Bo byłam śmiertelnie przerażona.

- Jakoś nie było tego po tobie widać.

- Kryłam swój strach. Myślałam, że tworzymy coś razem.

- I właśnie to mnie śmiertelnie przeraziło.

- To, że byłam dzielna?

- To, że byłaś taka twarda i nieustraszona, taka konsekwentna.

- Od początku wszystko poszło nie tak, co?

- Możliwe. Chociaż gdybyśmy zajrzeli pod te maski i mieli odwagę stać się sobą, pewnie by nam się udało.

- Sądzisz, że zabrakło nam odwagi? Moim zdaniem byliśmy szaleńczo, niepoprawnie odważni. Odważni na wyrost, niestety. A teraz jestem tchórzem - dodała smutno. - Mam napady lęków i nie mogę nawet przejść przez ulicę, żeby nie myśleć, że świat za chwilę zwali mi się na głowę.

- Ale jednak chodzisz po tej ulicy, nie? Wczoraj, dzisiaj... Nie poddajesz się i nie załamujesz. To jest właśnie odwaga, Lee.

Czuła się dziwnie. Nie przywykła do pochwał ze strony byłego męża.

Cullen, nie odrywając oczu od drogi, odnalazł dłoń Liany i nakrył ją swoją.

- Jesteś odważna, Lee - powiedział cicho. - Wcale, tak bardzo się nie zmieniłaś. Ja chyba też nie - dodał i zacisnął mocniej palce na jej

palcach.

Młody człowiek, który powitał ich w drzwiach mieszkania na parterze, miał włosy długie do ramion, ciemne brązowe oczy i rzadką bródkę, która ledwo pokrywała podbródek. Trudno było domyślić się w nim geniusza.

Cullen przedstawił się i stanął blisko drzwi, gotów wsadzić nogę w szparę, gdyby Simon miał ochotę zatrzaskać je przed gośćmi.

- Chcieliśmy porozmawiać o Matthew Llewellynie - oznajmił.
- Nie wrócił jeszcze z wakacji?
- Właśnie o to chcieliśmy zapytać.

Liana postąpiła krok naprzód, żeby odebrać inicjatywę Cullenowi i nie spłoszyć chłopaka, zanim zdążą o cokolwiek go zapytać.

- Jestem matką Matthew - przedstawiła się. Czy mogę wejść?

Simon zawahał się, a wtedy Cullen po prostu go minął, wchodząc do mieszkania bez zaproszenia. Liana podziękowała chłopcu z uśmiechem, jakby pozwolenie wyszło od niego.

- Może przejdziemy do salonu - bąknął, zamykając za nimi drzwi.
- Mieszkasz z rodzicami? - spytała od razu.
- Z tatą. Jeśli jest w domu.

Salon był skąpo umeblowany. Na podłodze fruwały kłębki sierści. Za ledwie Liana pomyślała o psie, zobaczyła chrapiącego kudłatego owczarka, wyciągniętego na kanapie, na której właśnie miała usiąść. Zrezygnowała i wzięła sobie krzesło z rogu, z którego zdjęła stosik książek. Głośno odczytała tytuł leżącej na wierzchu:

- „Rewolucja komputerowa czyli Jak rzucić świat na kolana w przerwie śniadaniowej”. Groźnie brzmi - uśmiechnęła się, patrząc na chłopca.

- Głupia książka - skrzywił się Simon. - Każdy chwytliwy tytuł się sprzeda.

- Interesujesz się komputerami?
- Trochę, a co?

- Podobno korespondowaliście z Matthew przez Internet - włączył się Cullen, siadając obok Simona na wytartej sofce. Przerzucił ramię przez oparcie, poza plecami swego rozmówcy. - To prawda?

- Tak, coś tam sobie pisaliśmy.

- Znaliście się na tyle blisko, żeby podać sobie swoje hasła?
- Z zasady nie podaję nikomu swojego hasła.
- A on dał ci swoje?
- Po co miałyby to robić? Nie jest mi potrzebne.
- Widzisz, Simon, Matthew zaginął, a my znaleźliśmy w jego komputerze kilka wiadomości z twoim pseudo. Jedna była adresowana do mnie. - Liana pochyliła się do przodu. - Simon, musimy go odnaleźć. A ty chyba coś wiesz. Chcemy, żebyś nam pomógł.
- W jaki sposób?
- Powiedz nam, gdzie on jest.
- Gdyby Matthew chciał, żebyście wiedzieli, sam by wam powiedział.
- Czternastoletni chłopcy nie zawsze podejmują słuszne decyzje. Ile jesteś od niego starszy?
- Trochę.
- Powiedz, chłopie, ile masz lat - Cullen popatrzył na niego ostrym wzrokiem - dobrze ci radzę.
- Simon zerknął na niego i gwałtownie odsunął się w przeciwny kąt kanapy.
- Osiemnaście.
- W takim razie możesz mieć problem. - Liana z troską pokiwała głową. - Matthew jest niepełnoletni. W świetle prawa namawianie nieletniego do przestępstwa jest karalne.
- Przystępstwo? On nie jest przestępcą! - Simon zaśmiał się nerwowo. - I na pewno zaraz wróci, a wtedy sam wam powie, gdzie się podziewał.
- Chcemy to wiedzieć już teraz - powiedział Cullen tym samym przeraźliwie spokojnym głosem.
- Okay, pozwoliłem mu skorzystać z mojego komputera i napisać list. A potem wysłałem go za niego. To wszystko.
- Gdzie jest Matthew? - napierał Cullen, lecz Simon postanowił nie powiedzieć nic więcej. Odwrócił głowę i wbił wzrok w przeciwległą ścianę.
- Jak chcecie, możecie iść na policję. Ja nic nie wiem.
- Posłuchaj Simon - znów włączyła się Liana. Zastanów się, czy

warto ryzykować więzienie dla takiego drobiazgu. Matthew popełnił błąd, wciągając cię do tej sprawy. Nic nie jesteś mu winien, to nie jest kwestia honoru. A poza tym obawiamy się, że grozi mu niebezpieczeństwo. Nie chcesz mieć chyba nieczystego sumienia, prawda?

- Matthew da sobie radę. Ma czternaście lat, ale za to dorosłą duszę.

- Proszę - Liana dotknęła ramienia chłopca i spojrzała na niego błagalnie, co stanowiło zupełne przeciwieństwo policyjnych metod Cullena.

Mamy go tylko jednego.

- Skoro tak się o niego martwicie, to dlaczego nie pozwoliliście mu kochać was obojga? Dzieliliście go między siebie jak świętecznego indyka. - Simon odwrócił twarz i oskarżycielsko popatrzył na Lianę. - To pani trzymała wszystko w garści. A on - skinął w stronę Cullena - grał tatusia od święta. Może Matthew miał dosyć tej sytuacji, nie uważacie?

Liana zmarszczyła brwi. Czy naprawdę rozwód i wszystko, co działo się potem, było tak nieznośne, że Matthew musiał uciekać?

Cullen z irytacją pokręcił głową.

- W porządku, kolego, wygadany jesteś, przyznaję, choć daleko ci jeszcze do geniusza. Na wszelki wypadek, gdybyś sobie za dużo wyobrażał, zafunduję ci krótki kurs krojenia indyka, tak jak to się robi w moich rodzinnych stronach.

- Nie może mi pan grozić w moim własnym domu! To napad! Zaraz ja wezwę policję...

Liana wstała i przysunęła się bliżej.

- Błagam, tylko nie zaczynajmy w ten sposób. Przykro mi, że spotkaliśmy się w tak niemiłym momencie. Kiedy wszystko już będzie dobrze, zaproszę cię do nas i na pewno będzie miło. Ale na razie powiedz nam tylko jedno: gdzie jest nasz syn? Umieramy ze strachu, chcielibyśmy mu pomóc. Może rzeczywiście popełniliśmy błąd, ale teraz chcemy go naprawić.

Tego typu perswazja okazała się chyba bardziej skuteczna, bowiem Simon wyraźnie złagodniał, a jego wrogość do nieproszonych gości nieco zelżała. Popatrzył na matkę przyjaciela i powiedział:

- Naprawdę nie mogę, proszę pani. Matthew będzie na mnie

wściekły.

- Na pewno nie. Westchnął ciężko.

- Będzie. Ale dobrze... - odwrócił wzrok - Matthew poznał przez Internet pewną dziewczynę. Ciągle do siebie pisali. Miała jakieś kłopoty, a on próbował jej pomóc. Martwił się jednak, bo musiał wyjechać na miesiąc. Wiedział, że nie puścilibyście go do niej w odwiedziny, a bał się, że jeśli się z nią nie zobaczy, dziewczyna zrobi sobie krzywdę.

- I co? Pojechał do niej? - zapytała Liana, choć historia Simona wydała jej się od razu mocno podejrzana.

- Pojechał.

Pokiwała w milczeniu głową. Zdaje się, że Simon należał do młodych ludzi, którzy uwielbiają robić dorosłych w konia. Poszczególne fakty niby do siebie pasowały - ich syn, jeśli uważał, że ktoś go potrzebuje, gotów był zrobić dla niego wszystko; uczestniczył w wielu internetowych listach dyskusyjnych, a na dodatek był w wieku, kiedy zakochać się bardzo łatwo. Wszystko to było prawdą, tyle że matczyna intuicja jakoś nie widziała Matthew jako bohatera przedstawionego jej scenariusza.

- Matthew uważał, że ma obowiązek jej pomóc, bo inaczej... - Simon zawiesił głos. - Sami rozumiecie.

- Gdzie mieszka ta dziewczyna? - warknął Cullen.

- Nieważne, on naprawdę da sobie radę. Nie możecie go zostawić w spokoju? Niedługo wróci.

- Nie możemy - odpowiedziała Liana z powagą. Simon westchnął z rezygnacją.

- Okay, nazywa się Brittany Saunders i mieszka w Tillman, w Arizonie. Matthew chciał złapać samolot do Denver, a potem lecieć następnym, albo pojechać autokarem.

- Mógłbyś wysłać maila do Brittany i zapytać, czy Matthew jest u niej?

- Ciężka sprawa. Ona nie ma komputera. Chodzi do kumpla, który ma, i łączy się od niego.

- To wyślij list do kumpla.

- Gdybym znał jego adres... ale nie znam. - Chłopak wzruszył ramionami.

- Matthew musiał mieć domowy adres tej dziewczyny.
- Owszem, ale nigdy mi go nie podał. To miasteczko to podobno dziura, nie większa od stacji benzynowej. Niełatwo będzie znaleźć Brittany.

Cullen i Liana wymienili spojrzenia, jak w czasach, kiedy rozumieli się bez słów. Żadne z nich nie ufało Simonowi, choć jego historia była spójna i brzmiała sensownie. Zbyt sensownie, żeby ją lekceważyć.

- Nigdy nie słyszałem o Tillman. Będziemy musieli poszukać na mapie - odezwał się Cullen.

- Mam tylko nadzieję, że nie robisz nas w konia, Simon. Już cię namierzyliśmy, więc jeśli coś nie będzie się zgadzać, wrócimy tu i pogadamy inaczej. Rozumiesz?

- Co mam nie rozumieć?

- To może chciałbyś jeszcze zmienić wersję? Simon odwrócił wzrok.

- Nie, ale jak już znajdziecie Matthew, przeproście go ode mnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Nie musisz ze mną lecieć, Lee. Sam sprowadzę go do San Francisco - powiedział Cullen, patrząc z z troskaniem na blade policzki Liany. Wiedział, że zawsze bała się samolotów, i chciał jej oszczędzić stresów, bo i tak miała ich niemało.

- Mówisz tak, jakby Matthew na pewno tam był.

- Wiem, wersja Simona jest podejrzana i niepewna, ale musimy sprawdzić każdy trop. Jeśli małego nie ma w Tillman, to od razu wrócę i postanowimy, co robić dalej.

- Nie, muszę lecieć z tobą.

Cullen pokręcił głową. Wiedział już, że Tillman jest niewielką osadą na pustyni, na samej granicy Arizony. Zamierzał dotrzeć samolotem do najbliższego lotniska, a potem wynająć samochód. Zapowiadała się trudna podróż, ale najtrudniejszy dla Liany mógł się okazać sam lot.

- Dasz radę? - zapytał, nie patrząc w jej twarz. Lęk w oczach Liany przerażał jego samego. Kiedyś, kiedy zamawiali lot do Yumy, wyglądała jak sarna, osaczona w kręgu nagonki.

- Muszę.

- Będę przy tobie - westchnął, pełen podziwu dla tej dzielnej kobiety, z którą kiedyś miał szczęście przeżyć kawałek życia.

Jednak nawet on nie wiedział, ile kosztuje Lianę długa podróż samolotem - starty, lądowania, monotony, przyprawiający o histerię szum silników, pozorny bezruch, który zdaje się osaczać i potęgować bezradność i poczucie uwięzienia. Liana leciała z zamkniętymi oczami i modliła się, by wytrwać do końca lotu. Czuła u swego boku troskliwą obecność Cullena i była mu wdzięczna za wsparcie. Bez niego chyba nie odważyłaby się na taką próbę.

Dobrze wiedziała, skąd się wziął jej strach przed lataniem. Po

pierwszym ataku paniki posłano ją do specjalistów. Zaliczyła chyba wszystkie możliwe psychoterapie, tak bardzo modne w San Francisco, włącznie z wizytami u hipnoterapeuty, który proponował jej cofnięcie się do chwili, kiedy wyłoniła się z łona matki. Inny chciał nawet dotrzeć do jej wcześniejszych wcieleń, kiedy była jeszcze księżniczką na Atlantydzie.

Pierwszą realną pomoc otrzymała dopiero od miłego starszego pana, który przyjmował niewielu pacjentów i nie obiecywał nic, poza tym że uważnie wysłucha każdego. Oczywiście zrobił dla niej coś więcej. Z subtelnością i wprawą powiódł ją aż do źródła lęku, do wspomnień, które były trudne do zniesienia.

Jedno z nich towarzyszyło Lianie w tej chwili...

Thomas Robeson ożenił się dopiero w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Liana rozumiała dlaczego. Całe jego życie było jednym wielkim kłamstwem. Odkąd tylko pamiętał, ukrywał swoje chińskie pochodzenie, aż świadomość tego faktu zapętlila się w nim w bolesny węzeł, zmuszając go do życia w stanie kawalerskim. Obawiał się bowiem, że jego potomek, wnuk Lian zwanej Willow, będzie miał przekłete skośne oczy.

Jednak starzejący się kawalerowie podlegają ostremu osądowi otoczenia. Pojawiły się pogłoski, że Robeson woli w swojej sypialni mężczyzn, toteż podjął on odpowiednie kroki, by ukrócić te pomówienia. Metodycznie, bez większych emocji dokonał przeglądu młodych kobiet ze swojego środowiska, aż wybrał Hope Lynch, córkę współwłaściciela jednej z najstarszych kancelarii prawniczych w mieście.

Hope miała dziewiętnaście lat i była blond pięknością o jasnej cerze, przypominającą glinę, która czeka, by rzeźbiarz nadał jej właściwy kształt. Nie miała żadnych planów ani oczekiwań w stosunku do życia, nie marzyła o karierze i nie miała własnego zdania na żaden temat. Stanowiła prawdziwą niespodziankę dla swoich starzejących się rodziców, którzy zrezygnowali już z myśli o dziecku, a kiedy wreszcie się pojawiło, byli zbyt zajęci swoim życiem i swoimi sprawami. Była spokojną, wiecznie rozmarzoną dziewczynką, która potrafiła godzinami wysiadywać w oknie. Najbardziej szczęśliwa czuła się w cieniu i na uboczu, co czyniło ją idealną partią dla Thomasa Robesona.

Skryta, cicha dziewczyna nie przyciągała adoratorów, toteż nagle względy zamożnego kawalera bardzo podniosły ją w oczach rodziców. Choć kandydat był z pewnością zbyt stary, Lynchowie zobaczyli w nim szansę dla swojej latorośli. Starszy mężczyzna mógł pokierować ich córką o wiele lepiej niż młodszy. A przynajmniej zadbać o nią jak należy.

W dniu ślubu Thomas podarował Hope Królową Perłę. Nie było fotografa, który nie uwieczniłby wspaniałego klejnotu, zdobiącego pannę młodą. Kiedy po przyjęciu w hotelu przebrała się w różowy kostium, świeżo upieczony małżonek zabrał perłę i osobiście odwiózł do biura, gdzie zamknął ją w swoim sejfie.

W rok po wystawnym ślubie i w trzy miesiące po śmierci rodziców w wypadku samochodowym Hope targnęła się na swoje życie. Próba samobójstwa nie powiodła się jednak i po czterech tygodniach spędzonych w ekskluzywnej klinice psychiatrycznej, młoda pani Robeson wróciła do posiadłości Pacific Height, aby dalej trwać u boku męża, którego zaczęła lękać się i nienawidzić.

Miesiąc oderwania się od wymagań Thomasa dał jej nowe siły. Przez cały następny rok Hope pielęgnowała w sobie wątły płomynek nadziei i czekała na moment, w którym będzie mogła zostawić męża. Wiedziała, że nie jest na tyle przebojowa, aby utrzymać się sama, ale w wieku dwudziestu jeden lat miała odziedziczyć dom rodziców, który na razie znajdował się pod zarządem powierniczym, i to była jej nadzieja na lepszą przyszłość.

W tym samym dniu, w którym podpisała papiery i przejęła zarząd nad majątkiem, Hope zniknęła. Młoda kobieta, o której nikt wcześniej nie potrafił powiedzieć, czy jest inteligentna, czy nie, wymyśliła sprytny, skomplikowany plan ucieczki. Z domu wyszła z pustymi rękami. Zmieniła wygląd, obcinając włosy krótko, farbując je na atrakcyjny, złotorudy kolor i przebierając się w wyzywający strój. Zamieniła część swoich akcji na gotówkę, kupiła używany wóz oraz podrobione prawo jazdy, a potem zaszyła się w artystowskim, kontrkulturowym, ciągle jeszcze idealistycznym świecie małych kafejek i folkowej muzyki.

W dwa miesiące później, w gabinecie lekarskim na drugim końcu kraju, usłyszała potwierdzenie tego, co od jakiegoś czasu podejrzewała.

Odeszła od Thomasa Robesona, ale Thomas nie pozwolił jej o sobie zapomnieć.

Miała urodzić jego dziecko.

Thomas nie chciał mieć dzieci i unikał wszelkiego ryzyka. Ta ciąża była czystym przypadkiem. Pierwsze rozczarowanie spotkało Hope już w czasie nocy poślubnej, kiedy starannie zabezpieczał się, zanim zaczęli się kochać. Ona zawsze lubiła dzieci i myślała, że Thomas też je lubi. Wiele jeszcze razy miała się mylić co do niego.

Tymczasem znów musiała podjąć życiowe decyzje. Nie było mowy o powrocie do San Francisco ani o żądaniu rozwodu. Hope знаła go zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że jej mąż może się zemścić albo odebrać jej dziecko w obawie o to, że syn lub córka zdemaskują jego skrzętnie skrywane tajemnice. Na szczęście miała asa w rękawie. Nie chciała bać się do końca życia, że Thomas odnajdzie ją i skrzywdzi, toteż wysłała do niego list, krótki, ale istotny.

„Drogi Thomasie - pisała - kiedy szykowałam się, by od ciebie odejść, przeszukałam twoje papiery, aby znaleźć na ciebie haka. Twoje świadectwo urodzenia mi wystarczyło. Proszę, racz wykreślić mnie ze swojego życia, tak jak wykreśliłeś swoją chińską matkę. Podobnie jak w jej przypadku, jedyną moją winą było to, że cię kochałam. Nie zdradzę twojej tajemnicy, jeśli przestaniesz mnie poszukiwać i dasz mi rozwód -już nie twoja Hope.”

Zamieszkała w Ann Arbor, w studenckiej dzielnicy, i czekała na poród. Choć nie potrzebowała pieniędzy, wzięła pracę w księgarni, żeby zabić czas. Dziecko w jej brzuchu rosło, podobnie jak powiększało się grono przyjaciół, którzy od rana do wieczora krążyli wśród półek z książkami. Lubili Nancy Starke, tę cichą młodą dziewczynę, która umiała słuchać, a jeśli trzeba, chętnie wsparła pożyczką. Hope czuła się przez nich akceptowana i to dawało jej szczęście.

Narodziny córki stały się okazją do radosnej imprezy. Gdyby to był chłopiec, Hope z pewnością doszukiwałaby się w nim podobieństwa do ojca. Ale dziewczynka z bujną czarną czupryną nie była podobna do żadnego z rodziców. Ujawniło się w niej za to orientalne dziedzictwo, więc Hope nadała jej imię Liana, po matce Thomasa, której istnieniu zawdzięczała gwarancję bezpieczeństwa dla siebie i córki.

Liana dorastała w otoczeniu przyjaciół matki, którzy bawili się z nią, a potem zostawiali samą, gdy się znudzili. Coraz bardziej znudzona była też Hope, której nie wabił już urok nowego życia. Znajomi studenci skończyli uczelnię albo zostali z niej wylani, pojawili się inni, lecz te wciąż nowe znajomości spowszedniały jej i obrzydły. Młodszy mieli już inne wartości, w których ona, coraz starsza, nie umiała się odnaleźć. Czasy stały się ciężkie również i dla jej dawnych przyjaciół. Ktoś podsunął im narkotyki i te zagościły na stałe w ich życiu, a stopniowo i w życiu Hope.

Liana zachowała w pamięci obraz odurzonej matki, ale chyba bardziej się bała, gdy Hope była na głodzie. Snuła się wtedy po domu, rozdrażniona i cierpiąca, i nie myślała o niczym innym, jak tylko o nowej dawce. Stopniowo zatracala poczucie sensu, którego i tak brakowało w jej życiu. Próbowala go odzyskać, kiedy któregoś dnia rzuciła pracę i ruszyła z przyjaciółmi przez Nową Anglię, aby znaleźć miejsce na założenie samowystarczalnej komuny, której mieszkańcy mieli żyć w zgodzie z naturą i własnymi ideałami. Obiecała płacić rachunki, jeśli tylko ktoś zajmie się uprawą roli, ale miejska młodzież, uzbrojona jedynie w dobre chęci i wzniosłe frazesy, szybko miała dosyć ciężkiej, codziennej harówki na kamienistej ziemi Vermontu. Wykruszali się jeden po drugim, na ich miejsce napływali kolejni nieżywcowi zapaleńcy i tylko Hope, związana umową dzierżawy i pogłębiającym się narkotykowym uzależnieniem, tkwiła uparcie na miejscu.

W wieku trzech lat Liana musiała się nauczyć, jak dawać sobie radę sama. Kiedy miała cztery lata, zaczęła zajmować się matką. Kiedy miała pięć, znów ruszyła z matką w drogę. Stało się to po tym, jak Hope, ocknąwszy się pewnego ranka z odrętwienia, zobaczyła, że lodówka jest pusta, w domu nie ma nikogo z dorosłych, kto zrobiłby zakupy, a jej dziecko jest wychudzone i trzęsie się z zimna. Zrozumiała, że jeśli ktoś doniesie o tym do władz, może stracić córkę.

W ciągu następnych lat Hope robiła wszystko, by polepszyć los Liany. Mała dziewczynka wiedziała, że matka ją kocha, ale nie dawało jej to poczucia bezpieczeństwa, skoro naprawdę rzadko się zdarzało, by przez dwa kolejne ranki w łóżku matki leżał ten sam mężczyzna. Mieszkały w motelach lub u przypadkowych, poznanych po drodze

ludzi. Hope obiecywała, że wreszcie osiadą gdzieś na stałe, lecz poszukiwania właściwego miejsca zdawały się nie mieć końca. Kiedy Liana miała siedem lat, Hope znów odpłynęła. Właśnie wynajęły umeblowany pokój w małym miasteczku w stanie Nowy Jork, położonym wśród malowniczych zielonych łąk i jezior. Dzieci jeździły tu na rowerkach po drogach wijących się pośród małych, białych domków. Starsza pani, do której należał stary dom w wiktoriańskim stylu, była ciepła i przyjazna jak babcia. Piekła ciasteczka dla Liany i pomagała jej przy lekcjach. Hope natomiast przesypiała całe dnie i noce.

Pewnego dnia nie obudziła się.

Po latach Liana dowiedziała się, że matka wzięła zbyt wiele środków nasennych. Brała je w dużych ilościach od dawna, w ten sposób powoli odgradzając się od świata. Wątpliwe, by świadomie chciała skończyć ze sobą, ale rezultat był taki sam.

Dobra gospodyni pomogła Lianie załatwić pogrzeb, a potem zajmowała się nią do czasu, kiedy opieka społeczna odnalazła jej najbliższą rodzinę. Po miesiącu od śmierci Hope w miasteczku zjawił się Thomas Robeson. Miał sześćdziesiąt jeden lat, a Liana osiem. Podczas gdy inni mężczyźni z jego pokolenia byli już dziadkami, majsterkowali w domowych garażach lub grali w golfa, on zajmował się zarabianiem kolejnego miliona dolarów. W dwa lata po rozwodzie z Hope poślubił Sammy Wesley, kobietę równie twardą i żądną pieniędzy, jak on. Od tego czasu jego pozycja i majątek jeszcze wzrosły. Thomas nie potrzebował potomka, a zwłaszcza potomka ze związku z Hope, który mógłby zdradzić starannie ukrywaną tajemnicę jego życia. Wiedział jednak, że jeśli wyprze się Liany, cała historia może wyjść na jaw. Dlatego po pierwszym telefonie poleciał do Buffalo i ani przez moment nie narzekał, że musi zobaczyć swoją córkę.

Kiedy wszedł do salonu, Liana rysowała coś, siedząc przy wielkim mahoniowym stole. Uniosła głowę i napotkała wzrok obcego mężczyzny. Wydał się jej bardzo wysoki i bardzo stary.

- Wstań - nakazał. - Niech ci się przyjrzę. Nie rozumiała, dlaczego miałyby go słuchać.

Rzadko kiedy ktoś mówił jej, co ma robić, i z reguły to ignorowała. A mama, póki żyła, pozwalała jej na wszystko.

Po chwili wahania uznała, że jednak wypada wstać, chociażby po to, żeby mieć lepszą pozycję do rozmowy z tym dziwnym facetem. Miał gęste siwe włosy, okrągłe ciemne oczy, policzki poorane głębokimi bruzdami.

- Kim jesteś? - zapytała, gdyż milczał ponuro.
- Ja tu zadaję pytania.
- To nie fair.

Thomas przysunął się bliżej.

- Milcz, dziecko, dobrze ci radzę.

Liana zamilkła, ale wyłącznie dlatego, że znudziła ją ta rozmowa. Nic właściwie nie interesowało jej, odkąd umarła matka. Ani szkoła, w której dzieci bezustannie o niej plotkowały, ani gospodyni, która usiłowała za wszelką cenę jej matkować. Dlaczego miałby ją interesować ten starzec?

Thomas stanął przed dziewczynką i palcami uniósł jej podbródek, zmuszając, by spojrzała mu w twarz.

- Jak się nazywasz?
- Przecież nie mogę odpowiedzieć, bo mam milczeć.

Syknęła z bólu, tak mocno ścisnął jej brodę.

- Pytam, jak się nazywasz?
- Liana.
- Nazwisko!
- Starke.
- Nie, odtąd będziesz nosić nasze rodowe nazwisko.
- Czyli jakie?
- Robeson.
- Pan nazywa się Robeson?
- Tak. I jestem twoim ojcem.

Liana oczywiście zastanawiała się wcześniej, kto jest jej ojcem. Jednak w życiu jej matki przewijało się tak wielu mężczyzn, że nauczyła się myśleć, że jest dzieckiem ich wszystkich. Hope, zapytywana o to, zawsze wykręcała się od odpowiedzi, a potem długo popłakiwała. Teraz córka zrozumiała dziwne reakcje matki. Jeśli ten facet ma być jej ojcem, będzie tak samo nieszczęśliwa, jak ta, która była jego żoną.

Popatrzyła na mężczyznę spod wrogo przymrużonych powiek.

- I co z tego, że jest pan moim ojcem?

- Mogłem się spodziewać, że Hope wychowała zepsutego bachora.
- Moja mama miała na imię Nancy.
- Kiedy wychodziła za mnie, nazywała się Hope Lynch. Nancy Starke to jej wymysł - wyjaśnił sucho Thomas i zacisnął na moment usta.

- No dobrze - odezwał się po chwili - pakuj się. Pojedziesz ze mną do Kalifornii. I lepiej naucz się dobrych manier, panienko, bo pożałujesz.

- Nigdzie nie jadę - odpowiedziała gładko.
- Nie masz tu nic do powiedzenia. Tak zresztą będzie przez najbliższe kilkanaście lat. Będziesz ze mną i nauczysz się zachowywać przyzwoicie.

A jeśli nie będziesz mnie słuchać, zostaniesz ukarana. No, chodź już.

- Jeśli mnie dotkniesz, pożałujesz!
- Coś ty powiedziała? - W oczach mężczyzny pojawił się niebezpieczny błysk. Usiłował zacisnąć dłoń na jej ramieniu, lecz wtedy wbiła zęby w jego nadgarstek i zacisnęła z całej siły. Krzyknął z bólu i chciał wymierzyć jej drugą ręką policzek, ale go kopnęła.

Nigdy przedtem nie posmakowała krwi i nie wiedziała, że zwycięstwo ma mdły, słony smak. Jeszcze raz kopnęła swego prześladowcę, a wtedy cofnął się, ssąc zranioną dłoń. Usłyszała, jak przeklina. Tak samo przeklinali mężczyźni, którzy przychodzili do jej matki.

- Skarcę cię za to, zmijo - powiedział.
- Pieprz się - odparła. - Mówiłam, żebyś mnie nie dotykał.
- Chcesz walczyć?
- Niczego od ciebie nie chcę. I nigdzie z tobą nie pójde.

A jednak poszła, a właściwie została zaciągnięta siłą do samochodu przez dwóch osiłków, którzy towarzyszyli Thomasowi Robesonowi. Wierzgającą i wrzeszczącą związano, a potem wprowadzono do samolotu. Swój pierwszy lot odbyła, leżąc na podłodze w ciasnej kuchence, zakneblowana i skrępowana jak więzień.

Cullen wiedział, że jego była żona nie śpi. Jej pierś unosił spazmatyczny oddech, a powieki Liany drgały, jakby na siłę chciała utrzymać je zamknięte.

Już niedługo, Lee - pocieszył ją, kładąc dłoń na jej zaciśniętych na podłokietniku palcach. Rozprostował je delikatnie, uniósł do ust i ucałował.

- Co robisz? - Wyszarpnęła się odruchowo.
- Próbuję ci pomóc.
- W ten sposób? Tylko mnie denerwujesz.
- Jeśli będziesz wściekła, może przestaniesz się bać.

Uśmiechnęła się smutno.

- W moim przypadku to nie działa. W każdym razie wtedy, pierwszy raz, nie zadziało.

- Pierwszy raz? - Cullen zmarszczył brwi.
- W czasie pierwszego w moim życiu lotu samolotem. Też byłam wściekła. I bałam się tak, że zsikałam się w majtki.

- Chyba nie zrobisz powtórki, co? Roześmiała się i otworzyła oczy, a on znów ucałował jej dłoń.

- Dlaczego byłaś wściekła?
- Bo przegrałam.

Cullen wysłuchał krótkiej, dramatycznej opowieści Liany, a kiedy skończyła, zaczął żałować, że Thomasa Robesona nie ma już wśród żywych. Z przyjemnością udusiłby go gołymi rękami.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś - odezwał się po chwili milczenia.
- Nie chciałam pamiętać.

Wierzył jej. On też przez całe lata usiłował spychać w niepamięć wspomnienia swojego ponurego dzieciństwa. Przez następne lata próbował zapomnieć o tym, co nastąpiło później. Wspólnie uczyli się, jak żyć i nie pamiętać. I teraz wspólnie odkrywali smutną prawdę, że żyć i nie pamiętać po prostu nie sposób.

- Jednego nie rozumiem - pokręcił głową - dlaczego twój ojciec był takim bezdusznym draniem? Jak myślisz?

- Wiele razy próbowałam to sobie wytłumaczyć.
- I co?

- Kiedy miał cztery lata, został oderwany od domu i wysłany przez matkę w długą podróż. Statek, którym płynął, zawinął do portu w San Francisco rankiem, tuż po trzęsieniu ziemi. Nikt nie wyszedł na brzeg, żeby odebrać dziecko, bo miasto akurat płonęło. Kobieta, która opiekowała się nim w czasie rejsu, porzuciła go. Po kilku dniach jakiś strażak znalazł brudnego dzieciaka w ruinach spalonego domu. Nikt nie wiedział, co się z nim działo przez te dni, i wątpię, żeby mały chłopiec

sam to pamiętał.

- Nawet tak straszne przeżycia nie mogą usprawiedliwiać jego późniejszego postępowania.

- Przez całe lata przekonywałam siebie, że mogą. Thomas przeżył całe tygodnie poniewierki, zanim dziadkowie zdołali go odnaleźć. I pewnie lepiej, żeby do nich nie trafił, gdyż byli zimnymi, surowymi ludźmi, którzy prawdopodobnie na każdym kroku dawali mu do zrozumienia, że przynosi im wstyd. Dziecko okrutnych opiekunów wyrosło na okrutnego człowieka. Boże - westchnęła - jak mało zależy od nas samych. Podobno ludzie decydują o swoim losie, ale zobacz, co by było, ile nieszczęść by nas ominęło, gdyby Archer nie zabił Toma, ciotka Mei została z Bryce'em, a Thomas kochał choć trochę swoją jedyną córkę.

- A nie kochał? Nic a nic?

- Przez cały czas myślałam, żeby od niego uciec. Liczyłam dni do daty, kiedy będę dorosła i nie będzie mógł mnie zatrzymać. Szybko się nauczyłam sztuki przetrwania. Ulegałam Thomasowi tylko tyle, ile musiałam, nie pozwalając, by zdobył nade mną przewagę. - Pokręciła z westchnieniem głową.

Ale i tak przyszła chwila, kiedy zatriumfował. Pewnego dnia obudziłam się rozdygotana. Wszystko, dosłownie wszystko wprawiało mnie w śmiertelne przerażenie. Stało się jeszcze gorzej, gdy odeszłam od ciebie, bo wtedy musiałam przepelznąć do niego w pokorze i przez pewien czas widywać go codziennie. Kiedy umarł, zostawił mi perłę, masę lęków i bardzo interesujący zapis w testamencie.

Rozległ się sygnał i nad ich głowami rozbłysnął napis, nakazujący zapięcie pasów. Zniżali się do lądowania.

- Zaraz będzie po wszystkim - powiedział Cullen. - Jeśli znajdziemy Matthew, wrócimy samochodem. Nie będziesz musiała przeżywać tego jeszcze raz.

- A jeśli go nie znajdziemy, wrócę na pokład tego samolotu, albo każdego innego, jakim trzeba będzie lecieć, żeby go znaleźć - dodała, patrząc na niego z determinacją. - Nie dam się temu pokonać, Cullen.

- Wiesz co, Lee? - uśmiechnął się w odpowiedzi. - Taką cię zawsze kochałem.

Kiedy wyjechali wynajętym samochodem na autostradę, słońce już zachodziło. Liana czuła się tak, jak gdyby odsłonięto każdy nerw w jej ciele, było to jednak poczucie uzdrawiające. Następnym razem na pewno mniej się będzie bała. Może z czasem całkiem zapanuje nad strachem. Była w tym niewątpliwa zasługa Cullena i choć niechętnie, musiała mu to przyznać. Pomógł jej. Z radością wyczuwała w nim...

Co właściwie? Współczucie? Zrozumienie?

Nie, coś znacznie głębszego. Wrażliwość człowieka, który sam cierpiał podobnie. I może coś jeszcze, o czym bała się pomyśleć.

- Kiedy będzie już po wszystkim, porozmawiamy o nowych zasadach twoich widzeń z synem - odezwała się praktycznym tonem. - Chłopak w jego wieku potrzebuje spędzać z ojcem więcej czasu niż tylko jeden miesiąc na rok.

Palce Cullena zacisnęły się mocniej na kierownicy.

- Mówisz tak, bo pomogłem ci przeżyć lot?
- Nie, bo kiedyś to musiało zostać powiedziane.
- Nie będzie ci go brakować?
- A tobie go nie brakuje?
- Jasne, że tak. W ogóle powinniśmy mieć całą gromadę bachorów, Lee.

- Nie chciałeś nawet tego jednego!
- Teraz chcę.
- Szczęśliwa kobieta z tej twojej Sarah. - Rzucił jej krótkie spojrzenie spod ściągniętych brwi, ale nie skomentował tej uwagi. - Dziękuję - powiedział tylko - będę szczęśliwy, jeśli pozwolisz mi widywać małego częściej.

Za oknem przewijały się kolejne mile jednostajnego krajobrazu - suchej równiny, porośniętej kolczastymi krzewami. Monotonie przełamywał widok zbiorników nawadniających, okolonych karłowatymi drzewami i kaktusami, czy małych skupisk betonowych domów. Kiedy słońce dotknęło horyzontu, niebo zapłonęło zapierającymi dech kolorami.

Przed wieczorem zatrzymali się na stacji benzynowej przed Tillman, by dokupić paliwa i zorientować się w możliwościach noclegu.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytała Liana, gdy Cullen zapłacił za

benzynę i zatrzaskała drzwi wozu.

- Sprzedawca nie potrafi nic doradzić. Nie zna Brittany i nie wie, gdzie można przenocować.

- Bystry chłopak - zadrwiła Liana.

- Mówi, że Tillman jest tak mały, że na pewno znajdzie się ktoś, kto ją zna. Ostrzegł też, żeby nie wchodzić do pubu, który minimy po drodze, bo tamtejsi menele na pewno nam nie pomogą.

- Ale ty oczywiście tam zajrzysz?

- No jasne.

Ogarnęło ją dawno znane, gorzkie poczucie niepewności i zagrożenia.

- A może przy okazji zagrasz też sobie w po-kerka?

- Może? - odparł cicho, przekręcając kluczyk w stacyjce.

- Zdaje się, że poker to nie była twoja ulubiona gra? - zapytała, choć sama nie wiedziała, dlaczego dręczy jego i siebie.

- Nie. Wybierałem inne, jeśli mogłem.

- A teraz?

Cullen zamknął oczy.

- Już z tym skończyłem, Lee.

- Na zawsze?

- Nie lubię tych słów: „nigdy, na zawsze...” Na razie nie gram.

- Od kiedy?

Otworzył oczy i ruszył wolno w stronę wyjazdu.

- Od bardzo dawna. I całkiem od niedawna. Zależy, jak na to spojrzeć.

- Od paru miesięcy czy od paru lat? - nie ustępowała.

- Nieważne - odparł, włączając się do ruchu. - Ważne, że nie robię tego dziś. Liczy się tylko to, co robię tu i teraz, rozumiesz? To jest prawdziwe życie.

- A co z resztą? Z piciem? Z kobietami?

- Ani razu cię nie zdradziłem, Lee - odparł, nie odrywając wzroku od drogi. - Nie chciałem innej kobiety.

Liana milczała. Wiedziała, że i tak zadała już za dużo pytań. Aż dziw, że Cullen odpowiadał na wszystkie tak cierpliwie. Zaskoczył ją jeszcze bardziej, kiedy po chwili milczenia sam wrócił do podjętego tematu:

- Podobno takie starcia oczyszczają atmosferę, więc zdradzę ci

więcej szczegółów. Nie mam problemów z piciem. O wiele trudniej przychodzi mi powstrzymanie się od gry. Dlatego na wszelki wypadek nie piję, żeby nie dawać sobie luzu. Na przyjęciach jestem okropnie cnotliwy, ale przyjaciele jakoś mi to wybaczą.

Miała ochotę położyć dłoń na jego udzie albo jakimś innym gestem podziękować mu za szczerłość i pokazać, że docenia jego osiągnięcia. Powinna właściwie podziękować i za to, że odkąd przyjechał do Kalifornii, jest zadziwiająco cierpliwy i troskliwy i że na każdym kroku udziela jej wsparcia. Bała się jednak, że Cullen może doszukać się w tym geście czegoś więcej, więc przestała na słowach:

- Wiem, że to nie jest najlepsza chwila, ale muszę ci powiedzieć, że jestem z ciebie dumna, Cullen. Dobrze wiem, że nie było to dla ciebie łatwe.

Nie odpowiedział.

- I wiem - dodała Liana - że po tylu latach nie powinno mnie to obchodzić, ale... ale cieszę się, że nie było innej kobiety. Wierzę ci i przepraszam za podejrzenia. Po prostu wychodziłeś tak często, a ja się czułam taka samotna...

Przerwał jej, robiąc to, do czego Lianie zabrakło odwagi. Położył dłoń na jej udzie i powiedział:

- Zawsze cię kochałem, Lee. Byłem pieprzonym draniem, ale nigdy nie pragnąłem innej. I zawsze chciałem być mężczyzną, na którego zasługiwałaś.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Tillman, Arizona

Bywalcom z Shady Lady Bar obce były lokalne uprzedzenia, o czym świadczyły rejestracje wozów na parkingu, pochodzących w połowie z Kalifornii, a w połowie z Arizony. Nic dziwnego, skoro - jak powiedział Lianie i Cullenowi rozmowny właściciel furgonetki - bar był jedynym miejscem w promieniu trzydziestu mil, gdzie człowiek mógł się napić. O Brittany nie powiedział im nic i nadal pozostawała ona postacią mityczną. Nie pomogli im również inni goście lokalu, którzy albo nic nie wiedzieli, bo byli tu przejazdem, albo nie ufali obcym, którzy zadawali zbyt dużo pytań.

Kiedy wrócili do wozu, Cullen przeciągnął się na siedzeniu, przysmykając ze zmęczenia oczy.

- Podobno niedaleko stąd jest kemping. Facet w barze mówił, że wszystko wygląda tam tak samo, jak za czasów Steinbecka. Jedziemy?

- A mamy inne wyjście? Nic nie może być gorsze niż twój australijski dom w Pikuwa Creek mruknęła Liana.

- Zdziwiłabyś się, gdybyś zobaczyła go teraz. Trochę nad nim popracowałem.

- Mam nadzieję, że nie popsujesz widoku.

- Lubiałś go, prawda? - zapytał poważnie.

- Owszem. I ten dom, i moskity, i upał... Wkrótce skręcili z autostrady na lokalną szosę z niewielkim drewnianym drogowskazem. Po pół mili Cullen zwolnił, widząc z dala zbudowania. Z bliska kemping okazał się chaotycznym zbiorowiskiem odrapanych przyczep mieszkalnych i domków. Wjechali na żwirową alejkę, zatrzymali pontiaca pod barakiem z dumnym szyldem „Biuro” i weszli do środka.

Otyła kobieta w obcisłej sukience ze sztucznego materiału i piankowych klapkach powitała ich uprzejmie, choć nie entuzjastycznie. Poprosili o domek, a wtedy wstała i brzęcząc kluczami, zaczęła

sprawdzać, który numer jest wolny.

- Możecie zanocować w szóstce - odezwała się wreszcie. - Domek nie jest najlepszy, więc dam wam zniżkę - dodała i położyła klucz na laminowanym blacie.

- Nie mamy wyboru - powiedział Cullen.

- Jesteśmy w trakcie przebudowy. Mogę tylko zapewnić, że jest czysto.

- To nam wystarczy - stwierdziła Liana. - A przy okazji chcieliśmy panią spytać, czy nie zna pani Brittany Saunders. To przyjaciółka naszego syna. Obiecaliśmy mu, że odwiedzimy ją, jadąc do Tillman, ale nie mamy adresu.

- Owszem, kojarzę to nazwisko. Byli jacyś w Yumie... nie, ale oni nie nazywali się Saunders.

Cullen zaserwował jej swój firmowy uśmiech.

- Pewnie zna pani wszystkich w Tillman?

- Kiedyś się znało, ale teraz już tam tak często nie bywam, bo siedzę tutaj. Spytajcie rano na poczcie, koło sklepu, za stacją. Tam będą wiedzieli.

Cullen podziękował jej, wziął klucze i wysłuchał wskazówek na temat położenia domku. Po chwili wsiedli do samochodu i ruszyli wąską alejką, uważając na gromady bawiących się dzieci.

- Ile łóżek jest w takim domku? - zapytała Liana lekkim tonem.

- Nasza lady nie poinformowała nas o tym.

- Czy w razie czego mógłbyś przespać się w samochodzie?

- A to dlaczego? Przed rozwodem świetnie opanowaliśmy sztukę spania w jednym łóżku bez dotykania się nawzajem.

- Owszem, ale później przyzwyczaiałam się spać sama.

- A ja nie.

- Dobrze, zobaczymy, jak to wygląda, i wtedy porozmawiamy - powiedział pojednawczo.

Wypatrzył wyblakłą tabliczkę z numerem domku i zaparkował pod werandą. Kiedy weszli do środka, okazało się, że kobieta z recepcji była wyjątkowo prawdomówna.

- Rzeczywiście, przydałoby się tu trochę zainwestować - powiedziała Liana, patrząc na odrapane ściany, krzywą podłogę i stojące

pod ścianą łóżko. Całą resztę mebli wyniesiono, nie było nawet krzeseł.

Nie narzekaj, masz przynajmniej dach nad głową - pocieszał ją Cullen. Podeszedł do okna, ledwo trzymającego się na zawiasach. Drewno rudy tak przegniło, że palec wychodził przez szpary na zewnątrz. Część wytłuczonej szyby zasłonięto dyktą. - Jeśli lubisz świeże powietrze, to miejsce jest idealne dla ciebie. Tyle powietrza nie miałabyś, nawet śpiąc pod gwiazdami!

- Tak, tak, a razem ze świeżym powietrzem wejdą do środka stonogi, pająki i myszy!

- Może w takim razie ty śpij w samochodzie.

- Niezły pomysł. Przynajmniej będę mogła zamknąć szczelnie okna.

- I się udusić. Posłuchaj Lee, przestańmy cudować. Położę się na samym skraju łóżka i nie będę ci przeszkadzał. Ale nie zostawię cię w nocy samej.

To prawda, nie chciała, żeby zostawił ją samą. Milczała, czując narastające emocje. Cullen wziął widocznie jej milczenie za zgodę, bowiem wyraźnie zadowolony otworzył szeroko okno, by wygonić z wnętrza zaskakującą wilgoć.

- Pozwolisz, że pierwszy pójdę się ochlapać? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, zniknął w łazience. - No, no, tu jest jeszcze bardziej wytwornie! - dobiegł ją po chwili jego głos.

Liana pochyliła się nad tapczanem. Odrzuciwszy nakrycie, zbadła materac. Okazał się nadspodziewanie wygodny. Nie zauważyła też żadnych pełzających ohydztw, gotowych ją pokąsać. Tylko czy posłanie będzie wystarczająco szerokie?

I czy Cullen nie będzie swoim zwyczajem zagarniał kołdry i przewracał się co pół godziny z boku na boku? Może nie, może się zmienił, pomyślała i uśmiechnęła się mimo woli.

- Skończyła się ciepła woda! - oznajmił radośnie z łazienki, a wtedy roześmiała się cicho.

Po kilku minutach Cullen wszedł do pokoju w samych dżinsach i zaczął szukać w torbie świeżej koszulki.

- Teraz twoja kolej - oznajmił rzeško.

- Nie chce mi się czekać na ciepłą wodę. Chyba wezmę prysznic rano - odparła, po czym umyła szybko w łazience zęby i ochlapawszy

twarz zimną wodą, uczesała włosy.

Nie mogła się powstrzymać, by nie przyjrzeć się obliczu odbitemu w lustrze. Zobaczyła ciemne kręgi pod oczami i szczególnie widoczne dziś srebrne pasmo w ciemnej czuprynie. W świetle słabej żarówki cera sprawiała wrażenie bladej i niezdrowej, w oczach było zmieszanie, nadzieja i lęk.

- I tak nie będzie cię chciał - szepnęła do siebie bezgłośnie.

Szybko zdjęła wymięte ubranie i przebrała się w długą, luźną koszulkę, którą kupiła od Indian podczas jednego z postojów. Gdy wyszła z łazienki, Cullen leżał zwinięty pod kołdrą, grzecznie odwrócony do ściany. Nie łudziła się, że już zasnął. Cicho wsunęła się na swoje miejsce i spytała:

- Śpisz?

- Od razu ustalmy reguły - odezwał się, nie odwracając głowy. - Nie będziesz zabierać mi kołdry ani chrapać. I lepiej na mnie nie włącz, nawet gdyby cię przyparło.

- Zawsze taki sam! - parsknęła, ściskając w objęciach poduszkę, jakby chciała się od niego odgradzić. - Żartowniś i czaruję, który zawsze wierzy w potęgę swojego uroku.

- Przez grzeczność nie zaprzeczam. Zresztą sama widzisz, jak daleko mnie ten urok zaprowadził.

Nie odezwała się więcej, ale była w zaskakująco dobrym nastroju. Musiała przyznać, że leżąc obok Cullena i usiłując zasnąć, czuła się wyjątkowo spokojnie i bezpiecznie. Zupełnie jak wtedy, gdy oboje mieli niewiele ponad dwadzieścia lat i wydawało im się, że zawsze będą się kochali. Zamknęła oczy, a wówczas napłynęły wspomnienia. Ciekawe, czy Cullen też myśli o dawnych czasach...

Liana wychowała się w całkowitej akceptacji i całkowitym braku poczucia bezpieczeństwa. Życie z ojcem było tego dokładną odwrotnością. Była jednak inteligentnym dzieckiem, które po kosztownym doświadczeniu lotu do Kalifornii zrozumiało, że cichy upór to jedyny sposób, żeby przetrwać. Dlatego grzecznie pełniła rolę posłusznej córki, skrycie planując bunt.

Szybko zrozumiała, że jej macocha Sammy oraz brat przybrany Graham, pucołowaty młodzieniec z nerwicową astmą, nigdy nie będą po

jej stronie. Dopóki w jej życiu nie pojawiła się Mei, Liana ze spokojną rezygnacją poddawała się ich woli, bo też sama nie była w stanie z nimi walczyć.

Ale później, mając wsparcie z jej strony, znów zaczęła myśleć o buncie. Mei była pierwszą osobą, która poznała się na jej artystycznych zdolnościach. To dzięki niej pasją Liany stało się projektowanie biżuterii; dzięki niej zaczęła też uczęszczać na kursy.

Ruch hippisowskiej kontrkultury, w którym wyrastała jako dziecko, szybko wypalił się nad Zatoką San Francisco. Kiedy Liana miała szesnaście lat, pozostała z niego głównie dobrze sprzedająca się ideologia Ery Wodnika. Bawełniane koszulki w stylu sznurkowych farbowanek ciągle jeszcze sprzedawano turystom ze zdezelowanych, malowanych w psychodeliczne wzory volkswagenów, a w parku Golden Gate woń marihuany mieszała się z wonią cyprysów i eukaliptusów. Ale specjały kalifornijskiej kuchni szybko zastąpiły mdłe mak-robotyczne dania, zaś rock zagłuszyło disco.

Jedno się tylko nie zmieniło - wiara, że trzeba słuchać głosu serca. Liana znosiła wszystkie szykany Thomasa, żyjąc nadzieją, że wreszcie zyska wolność i zacznie żyć własnym życiem.

Tymczasem Thomas życzył sobie, by skończyła studia menedżerskie i pewnego dnia zajęła jego fotel w Pacific International. Liana momentalnie postanowiła, że tego nie zrobi nigdy. Zniechęcona przykładem matki, nie miała jeszcze ochoty podejmować decyzji o kształcie własnego życia. I programowo odrzucała wszystko, co planował dla niej Thomas.

Namawiana przez Mei, zapisała się na dalsze etapy kursu projektowania biżuterii, a z kieszonkowego kupowała materiały. Na pewnej wystawie poznała projektanta, który zgodził się udzielać jej lekcji i w zamian za opiekę nad dzieckiem i sprzątanie. Nauczyła się wyrobu etnicznych ozdób i chińskiej sztuki przędzenia jedwabiu.

W dniu jej siedemnastych urodzin Thomas wszedł do pokoju Liany w chwili, gdy z zapalem eksperymentowała z kolorowymi paciorkami, które odpruła z ciuchów, kupionych w sklepie ze starzyzna. Często opracowywała proste projekty w domu, konstruując kunsztowne bransolety z drutu i paciorków, albo tworząc artystyczne kolaże. Jak

zwykle nie kryła się ze swoimi pasjami, gdy ojciec stanął w drzwiach i przyglądał się chłodnym wzrokiem jej pracy. Był już w podeszłym wieku, skurczył się i osłabi. Nie był jeszcze trzęsącym się starcem, ale leż nie śmiałyby podnieść na nią ręki, toteż Liana wiedziała, że Thomas nie zdecyduje się na konfrontację, w której z pewnością ona byłaby górą.

- Przyszedłem, żeby pokazać ci twój urodzinowy prezent - oznajmił.

Zadziwił ją tymi słowami. W rodzinie Robesonów urodziny były obchodzone tylko formalnie. Nigdy nie dawano sobie prezentów.

- Koniecznie teraz? - burknęła niechętnie. Nim odpowiedział, badawczo zlustrował jej

biurko.

- Nie widzę, żebyś robiła coś ważnego - stwierdził sucho.

- Oczywiście, że nie - uśmiechnęła się słodko.

- Potrzebne ci te fatalaszki? Nie lepiej, żebyś szlifowała języki?

Kiedy poszła do szkoły, Thomas wyraził życzenie, aby opanowała płynnie niemiecki i francuski. Języki miały się jej przydać do prowadzenia przyszłych negocjacji za granicą, oczywiście w imieniu jego firmy.

- Ćwiczę języki - popatrzyła mu śmiało w oczy - mój kantoński jest coraz lepszy.

- Kantoński? - Rzucił jej ostre spojrzenie spod zmrużonych powiek.

- Tak, kantoński, język, którym mówi się w Chinach - wyjaśniła ze zjadliwą uprzejmością.

- Poznałam kobietę, która zgodziła się udzielać mi prywatnie lekcji. Nie uważasz, że to dobry pomysł, jeśli weźmie się pod uwagę choćby tylko rozmiar chińskiej populacji w naszym stanie, nie mówiąc już o rosnącym potencjale Chin? Ktoś w Pacific powinien dobrze znać ten język. Chciałam ci zrobić niespodziankę, Thomas.

- Kim jest ta kobieta? Gdzie ją spotkałaś?

Gra, którą podjęła, stawała się ryzykowna i Liana zaczęła żałować, że nieopatrznie, dla złośliwości, poruszyła ten temat. Miała nie mówić Thomasowi o Mei, dopóki nie wyrwie się spod jego władzy. Coś ją jednak podkusiło i niczym gracz, który gra va banque, postanowiła wyłożyć wszystkie karty.

- Ta kobieta nazywa się Mei Fong i jest naprawdę cudowna. Mądra i

ciepła. Wiele się od niej nauczyłam.

Thomas nie zapytał córki, czego się nauczyła. Wszedł za próg jej pokoju, zmuszając, by wstała zza biurka i cofnęła się przed nim.

- Jak ją poznałaś? - drążył niczym sędzia śledczy.

- Przez jednego z naszych nauczycieli. Mieliśmy pokazową lekcję chińskiego, która bardzo mi się spodobała. Wtedy właśnie pomyślałam, że nauczę się jeszcze jednego języka, a ty na pewno będziesz z tego zadowolony. - Znów obdarzyła go anielskim uśmiechem, jednak odpowiedzią była jeszcze bardziej lodowata mina.

- Mów, co o niej wiesz!

- No... że jest wdową. Jej mąż miał jakąś firmę importową, a teraz interes prowadzą synowie. Myślę, że jest zamożna. Nie uczy mnie dla zarobku, tylko dlatego że to lubi.

- Co jeszcze? Udawała, że się namyśla.

- Ma dużo wnuków i prawnuków, w większości chłopców. Jeden z nich, Frank, jest prawie w moim wieku. Na jesieni wybiera się na Harvard.

Thomas miał wielką ochotę pytać dalej, widziała to w jego oczach. Jednak najważniejsze pytanie nie mogło paść. Gdyby bowiem Liana nie wiedziała wszystkiego o Mei, zdradziłby się, zadając je.

- Nie będziesz się z nią widywać - powiedział krótko.

- Dlaczego?

- Znam tę kobietę. Jej rodzina ma złą opinię.

- Chyba pomyliłeś ją z kimś innym. Rodzina Mei jest bardzo szanowana.

- Nie zobaczysz się już z nią.

Teraz chciała powiedzieć mu wszystko. Nic nie ucieszyłoby jej bardziej niż burza emocji na twarzy znienawidzonego ojca. Ale jeszcze nie była na to gotowa. Jeszcze nie nadszedł czas na konfrontację. Wzruszyła więc ramionami, jakby cała sprawa przestała ją interesować.

- Dobrze, jeśli tak uważasz... Ale szkoda. Naprawdę myślałam, że się ucieszysz.

Naparł na nią jeszcze groźniej, lecz tym razem się nie cofnęła.

- Nie udawaj. Wiedziałaś, że się wścieknę - warknął. - Ofiarowałem ci cały świat, a ty cisnęłaś mi go prosto w twarz! - Niedbałym gestem

pokazał ozdóbki na biurku. - Myślałaś, że nie wiedziałem o tych twoich „hobby”? I o kursach, na które chodziłaś za moimi plecami? Ani o tym, że zadajesz się z jakimś bęcwałem, który wart jest niewiele więcej niż jego mamusia? Obserwowałem cię i dalej będę obserwował każdy twój krok, więc uważaj.

Liana wytrzymała jego spojrzenie.

- Skoro tak, to dziwię się, że nie wiedziałeś o Mei.

Thomas uniósł rękę, Liana uniosła brwi.

- Jesteś... okropna - sapnął.

- Jeśli tak, jest to wyłącznie twoją zasługą. Opuścił rękę. Nawet w gniewie rozważał opłacalność każdego gestu.

- Skończysz również z tym idiotycznym hobby - nakazał.

- Nie widzę powodu. Co innego, gdyby przeszkadzało mi to w nauce. Ale przecież nie przeszkadza, mam dobre stopnie. Większość dziewczyn w moim wieku ma jakieś zainteresowania.

Wolałbyś, żebym wybrała coś innego? Co? Prawo podatkowe?

- Nie wyobrażaj sobie, że masz zapewnioną przyszłość. Mogę wykluczyć cię z dziedziczenia. Nie czuję się zobowiązany do niczego. Nawet do zatrudnienia cię jako stenotypistki w moim biurze.

Tyle było rzeczy, których nie mogła mu powiedzieć! To, że nie ma nawet zamiaru w przyszłości przekroczyć progów Pacific International, bez względu na to, co by jej obiecywał. I to, że na próżno jej grozi, gdyż w wieku osiemnastu lat odziedziczy znaczną sumę po matce. Przed wszystkim zaś, że to ona trzyma go w szachu, gdyż zna jego starannie skrywaną tajemnicę.

Na razie uśmiechnęła się tylko.

- Cieszę się, Thomas. Po cichu liczyłam, że nie zaproponujesz mi żadnego stanowiska. Moja wiedza o biznesie jest po prostu tragiczna.

Tylko ciężki oddech Thomasa świadczył o tym, jak celnie go ugodziła. Nie odpowiedział, nie poruszył się nawet. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, dochodząc do siebie. Wreszcie potrząsnął głową.

- Przebierz się. Pójdziesz ze mną. Pokażę ci prezent.

To było tak niespodziewane, że Liana nie była zdolna odmówić.

- Okay, idę. Kochający tatuś z córeczką - cóż za piękna scena!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Liana zamknęła za ojcem

drzwi i oparła się o nie

425zmęczonym gestem. Zastanawiała się, jak zdoła wytrzymać z Thomasem Robesonem jeszcze jeden, długi rok. I jak zdoła znieść samotność, która stała się jej nieodłączną towarzyszką.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Urodzinowym darem Thomasa dla córki była Królowa Pereł. Nie oznaczało to jednak, że Thomas dał jej ów klejnot. Poprowadził ją tylko do swego biurowca, wzdłuż szpaleru strażników i urzędników, kłaniającym im się w pas, jak gdyby byli królewską parą, a kiedy weszli do jego gabinetu, otworzył sejf i wyjął perłę, podsuwając ją Lianie na dłoni.

Liana, patrząc na wspaniałą perłę, poczuła ucisk w piersi. Wiedziała o jej istnieniu, gdyż Mei opowiedziała jej kiedyś o Tomie Robesonie i Archerze Llewellynie, o Willow i swoim własnym dzieciństwie w Broome. Poza tym Liana widziała zdjęcia perły w artykułach poświęconych Pacific International Growth. Przez całe lata PIG do znużenia wykorzystywała perłę jako symbol czystości i perfekcji - Pacific International, Perła Pacyfiku.

- Chcesz ją potrzymać? - zapytał.

Bała się, że jeśli odpowie tak, Thomas złośliwie jej odmówi. Z drugiej strony, gdyby powiedziała, że nie chce, znów zrugalby ją za brak wdzięczności.

- Wygląda pięknie tam, gdzie jest - wybrała wyjście kompromisowe.

- Nic z tego, co tworzysz, nie będzie nawet w połowie tak piękne. W ogóle nie wiem, po co dłubiesz w tych świecidełkach.

- Ostryga poświęca swoje życie, by wydać perłę. Ja nie zamierzam się aż tak poświęcać.

- Mój ojciec oddał za nią życie.

Udawała zaskoczenie, jak gdyby Mei nie opowiedziała jej całej historii.

- Jak to? - zapytała.

Thomas badawczo popatrzył Lianie w twarz, badając, czy mówi

szczerze. A potem opowiedział jej historię Toma i Archera. Słuchała uważnie, zdumiona, że jego opowiadanie prawie nie różni się od opowiadania ciotki.

- Ale jak ty ją zdobyłeś? - zadała kolejne pytanie. W tej jednej sprawie Mei wyrażała się niejasno, stwierdzając tylko, że ktoś przejął perłę od Llewellynów i wywiózł ją do Ameryki.

- Po prostu my, Robesonowie, odebraliśmy co nasze - odparł i wzruszył ramionami. - Kiedy tylko dowiedziałem się o perle, postarałem się, by znów wróciła do rodziny.

- A Llewellynowie?

- To naiwni głupcy. Dali się podejść.

- I nie chcieli jej z powrotem?

- Wątpię, czy ich potomkowie w ogóle wiedzą, że ona jest tutaj. Mieszkają w Australii na jakiejś nędznej farmie, zagubionej w buszu. Ale miej się na baczności przed obcymi, którzy wypytywaliby o Królową Perłę, Liano. Llewellynowie kiedyś wreszcie wpadną na jej trop. Od kiedy perła będzie należeć do ciebie, będziesz musiała jej strzec.

- Ona będzie należeć do mnie? - Znów korciło ją, by wziąć perłę i zacisnąć w dłoni. - Kiedy?

- Kiedyś - roześmiał się krótko. - Naprawdę myślałaś, że dam ci ją teraz?

- Wybacz, Thomas, ale za tobą nie nadążam. Od początku nalegał, by nazywała go ojcem, a ona od początku odmawiała. Pokręcił zagniewany głową, jego usta zacisnęły się w gorzkim grymasie, nie podniósł jednak głosu, tylko odrzekł spokojnie:

- Nie dam ci jej, jeśli nadal będziesz mnie prowokować.

Liana poczuła, jak gniew wypełnia jej serce.

- Nie wystarczy ci moje posłuszeństwo? Chcesz nade mną całkowitej kontroli?

- Jestem już za stary, by mieć jeszcze jedno dziecko. Zresztą w ogóle nie chciałem ich mieć, twoja matka mnie sprowokowała. Tak czy inaczej, ty jesteś jedynym potomkiem, który ma w sobie krew Robesonów. Graham jej nie ma, więc nie wchodzi w grę.

Przez moment Liana pomyślała cieplej o przybranym bracie, synu

macochy z pierwszego małżeństwa. To, co powiedział Thomas, było jednak tak frapujące, że natychmiast zapytała:

- A zatem wyznaczyłeś mnie strażniczką perły?

- Tak, Królowa Pereł powinna pozostać w rodzinie - dokończył z powagą Thomas. - Oczywiście, mógłbym ją sprzedać albo zamknąć w skarbcu dla przyszłych pokoleń. Nie chcę tego zrobić. Nikt jej nie dotknie, bo należy tylko do Robesonów.

- Skąd nagle takie przywiązanie do rodziny? - zadrwiła.

Thomas nie odpowiedział. Milczał, zacisnąwszy perłę w garści.

Lianę zdziwiła jego postawa. Zastanawiała się, czy ten okrutny człowiek, który nigdy nie okazał wobec niej czułości, jest jednak zdolny do wyższych uczuć. Czy naprawdę czuje jakiś związek z ojcem, którego nie znał? Czy obchodzi go dobro przyszłych pokoleń? Tym razem reagował dziwnie po ludzku!

- Naprawdę nie miałam zamiaru cię prowokować - powiedziała, czując się nieswojo wobec jego milczenia. - Nie mamy sobie oboje nic do zaoferowania, może jednak zdołamy się porozumieć.

- Kiedy byłem małym chłopcem, nie zastanawiałem się, co mogą dać mi dziadkowie - odparł, patrząc w zamyśleniu przez okno. - Byli dla mnie surowi, ale dziękowałem im codziennie w duchu za to, że w ogóle przyjęli mnie do siebie. Byłem wdzięczny za każdy gest z ich strony.

Zrozumiała ukryte w tych słowach przesłanie i usiłowała wyobrazić sobie, za co konkretnie mogłaby być mu wdzięczna.

- I nie miałeś do nich żalu? - zapytała. - Nie tęskniłeś za kimś, kto by tak po prostu cię kochał, tylko za to, że się urodziłeś? Nie brak ci było czułości?

Przez jedną ulotną chwilę w jego oczach mignął daleki, dziecięcy błysk, który zgasł, zanim Liana zdołała nabrać pewności, że się pojawił.

- Ta perła będzie kiedyś twoja, Liano - spojrzał na nią zimnym wzrokiem - ale tylko wtedy, gdy będziesz żyła tak, jak sobie tego życzę. Ucz się więc, pracuj nad sobą i panuj nad sobą. Pokaż mi, że jesteś warta tego spadku.

Jeśli nawet przed chwilą pojawiła się możliwość porozumienia między ojcem a córką, teraz właśnie przepadła. Liana poczuła, jak jej żołądek ścisną się w bolesny węzeł. Nie ma nic gorszego niż uwierzyć w

szczęście, choćby na moment.

- Przykro mi - odparła sucho. - Nie będę mogła spełnić twoich nadziei.

Po tych słowach Thomas odwrócił się i wyszedł. A ona nawet nie dotknęła perły, która była jej urodzinowym prezentem.

W rok później, mając w ręce świadectwo maturalne oraz przepisany na siebie spadek po matce, spakowała się i w środku nocy wymknęła z rezydencji przy Pacific Heights. Nigdy nie czuła tak bliskiej więzi z Hope, jak w tej chwili. Podejrzewała, że ojciec, dowiedziawszy się o ucieczce, skwituje wyczyn córki swoim sakramentalnym „jaka matka, taka córka”, po czym spokojnie zajmie się dalszym pomnażaniem swojej fortuny.

Liana przygotowywała swoją ucieczkę od roku, choć przez cały czas miała nadzieję, że nie będzie musiała jej przeprowadzać. Niestety, w dniu ukończenia szkoły i tak nie najlepsze stosunki z ojcem pogorszyły się gwałtownie. Rano w dniu rozdania świadectw Thomas oznajmił, że nie przyjdzie na uroczystość, podobnie jak Sammy, która musi iść z nim na ważny obiad służbowy. Oznaczało to, że nikt z najbliższej rodziny nie będzie obecny, gdyż Graham był w jeszcze Princeton i zdawał końcowe egzaminy na drugim roku. Liana nie mogła uwierzyć, że Thomas mógłby być aż tak nieczuły. Miała szansę być jedyną absolwentką, której nikt nie złoży gratulacji. Właśnie wtedy pomyślała o Mei. Mei długo upewniała się, czy Liana uważa jej obecność na ceremonii za rozsądne posunięcie. Liana zapewniała ją, że nie ma szansy, by Thomas się pojawił.

- Zresztą mam już osiemnaście lat i teraz będę sama decydować o swoim życiu, nie oglądając się na Thomasa - powiedziała buntowniczo. - Ale jeśli boisz się, że dowie się, że tam byłaś, i będzie cię prześladował...

- Mam synów, którzy mnie obronią - przerwała jej Mei.

I tak Liana uroczystie odebrała dyplom, wiedząc, że jedyna osoba na świecie, która ją kocha, siedzi wśród widzów, promieniejąc z dumy. Kiedy zaś po ceremonii padły sobie radośnie w objęcia, kątem oka dostrzegła stojących z boku Thomasa i Sammy.

- Ciociu Mei, mój ojciec jest tutaj - szepnęła ukochanej ciotce do ucha.

- Naprawdę? - ton Mei zdawał się obojętny.

- Nie bój się, nie pozwolę cię skrzywdzić. Starsza kobieta uspokajająco pogłaskała ją po policzku.

On nie może mnie skrzywdzić. Ale pozwól, że już się pożegnam.

- Zaczekaj. Powiem mu, że wiem, kim jesteś.

- On już od dawna się domyśla, że wiesz odparła ciotka, po czym pocałowała ją i znikła w tłumie, który tworzyli członkowie najznamienitszych rodzin z San Francisco. Jak na ironię, widziało się tam przeróżne rysy i odcienie skóry. W gwałtownie zmieniającym się, wielokulturowym świecie, gdzie bardziej niż pochodzenie zaczęły się liczyć sukcesy materialne lub naukowe, chińska krew Thomasa nie powinna być żadną skazą. A jednak, dla niego, była.

- Wysłałem Sammy po taksówkę - oznajmił, podchodząc do Liany i bezceremonialnie chwytając ją za łokieć. - Zaraz pojedzie, chodźmy - dodał i pociągnął ją do wyjścia.

Liana z irytacją wyzwoliła się z jego uścisku.

- Przepraszam, ale jestem już zaproszona na popołudnie i wieczór. Po co w ogóle tu przyszedłeś? Miało cię nie być.

Mięsień na jego policzku zadrgał nerwowo. Thomas sapnął ze zniecierpliwieniem i wycedził:

- Nie ma mowy o żadnych zabawach, jasne?

- Tylko spróbuj mnie zatrzymać, a wskoczę na mównicę i powiem wszystkim, kim jest Mei - odparła ze słodkim uśmiechem. - A propos, tatusiu, jestem bardzo dumna ze swojego chińskiego pochodzenia. Jeśli już mam się czegoś wstydzić, to twojej podłości. Na szczęście masz cudowną siostrę.

- Zerwij z nią wszelkie kontakty. Zapomnij o niej raz na zawsze. Jeśli tego nie uczynisz, stracisz wszystko. Wybieraj - albo jej rodzina, albo moja. Tylko nie łudź się, że możesz należeć do obydwu, Liano. - Powiedziawszy to, puścił ją i odwrócił się gwałtownie, a potem wyszedł, przepychając się gorączkowo przez tłum.

Nazajutrz Liana podpisała papiery u adwokata, przejmując majątek po matce. Potem kupiła używanego golfa, załadowała do niego bagaże i uciekła w środku nocy. Po wyjeździe z miasta zatrzymała się tylko raz - przed domem na placu Waverley, który odwiedzała tak wiele razy. Jak zwykle wbiegła pędem po schodkach, lecz nie oglądała się już lekliwie

przez ramię. Była wolna. Niemal namacalnie czuła, jak opadają z niej kajdany.

Zapukała do drzwi ciotki i w rzadkim u siebie, spontanicznym odruchu rzuciła się na szyję zaspanej kobiecie.

- Wyjeżdżam, ciociu Mei! Nareszcie! Życz mi szczęścia!

Mei nie zapytała, dokąd się udaje.

- Zadzwonisz do mnie? - upewniła się tylko. - Nie zapomnisz o listach?

- No pewnie! Będzie mi cię bardzo brakowało. Ciotka przytuliła ją ciałniej, a potem odsunęła od siebie na długość ramion.

- Tylko dwóch rzeczy w życiu żałuję - powiedziała. - Drugą jest to, że nie miałam córki. Na szczęście odnalazłam ciebie.

Liana miała policzki mokre od łez.

- Nie wiem, co by ze mną było, gdyby nie ty, ciociu. Tylko ciebie kocham na tym świecie.

- Mam nadzieję, że to się szybko zmieni. - Mei uścisnęła ją z uśmiechem, a potem lekko popchnęła ku schodom. - No, idź już, kochana. I uważaj na siebie - dodała po kantońsku. - Tak mówiła do mnie twoja babcia - wyjaśniła, widząc zdziwioną minę Liany. - Bardzo mi ją przypominasz. Jest takie chińskie powiedzenie: „Kiedy dosiędziesz tygrysa, nie możesz z niego zejść”. Pamiętaj o tym.

- Co to ma oznaczać?

- Wybrałaś nową, ryzykowną drogę. Kiedy już na nią wkroczysz, nie możesz się wycofać, Liano. No dobrze, idź. - Starsza kobieta cofnęła się do drzwi. - Będę czekać na wiadomość.

Przez lato Liana terminowała u pewnej artystki w Newadzie, która uczyła jej *mokume gane*, japońskiej metaloplastyki. Jesienią ruszyła w drogę, by zacząć studia w Pratt Institute w Brooklynie. Często dzwoniła do Mei i pisywała do niej. Informowała również Thomasa o swoich postępach, choć wiedziała, że pewnie wykluczył pamięć o niej ze swojego życia.

Od pierwszego dnia pobytu na uniwersyteckim kampusie Liana była otwarta na wszelkie możliwości, jakie niesie życie. Uwielbiała biżuterię. Kochała chłodne dotknięcie szlachetnych metali, niepowtarzalny blask klejnotów. Jej pasją stało się nadawanie kształtów różnym materiałom,

zarówno cennym, jak i tym zupełnie zwykłym. Pod koniec studiów zdobywała nagrody za projekty i zainteresowały się nią wielkie firmy z nowojorskiej Piątej Alei, nie mówiąc już o mniejszych, lecz równie znaczących w tej branży.

Po studiach zjawiała się na Manhattanie, na rozmowie z jednym z dyrektorów od Tiffany'ego. Ów przedstawiciel najsłynniejszej firmy jubilerskiej świata oglądał wcześniej jej dyplomową wystawę. Tam poznała też Cullena.

Rozpocząwszy samodzielne życie, zaczęła wypracowywać sobie swoją życiową filozofię, będącą wypadkową wykluczających się postaw rodziców, z dodatkiem własnego stylu i opinii. Znajomości dobierała starannie, pamiętając o tłumie nic nieznaczących mężczyzn, którzy wypełniali życie Hope. Bała się, że tak jak jej matka nie będzie zdolna poznać się na mężczyznach, toteż trzymała ich na dystans, tracąc wprawdzie dość szybko dziewictwo, ale nie głowę, ani tym bardziej serce.

Zyskała swój własny - egzotyczny, choć wytworny - styl. Nigdy nie zaniebdywała okazji, by zaprezentować swoją najnowszą biżuterię. Surowy owal twarzy łagodziła, upinając czarne włosy ozdobnymi kościanymi grzebieniami i spinkami albo przeplatając je jedwabnymi sznurami i paciorkami. Tamtego dnia, na Manhattanie, miała na sobie suknię ulubionego śliwkowego koloru, ozdobioną złotą broszą, wysadzaną ametystami i perłami. Włosy zwinęła w prosty kok, opleciony sznurem perełek. Zrezygnowała z kolczyków i bransolet, zostawiając nagie ramiona i szyję.

Wcale nie była przejęta, choć znajdowała się w prawdziwej świątyni jubilerskiej sztuki, gdzie królowały nazwiska wielkich projektantów. Nie była nawet zdecydowana, czy chce pracować u Tiffany'ego, gdzie przez lata przekładałaby zapewne cudze projekty na konkretne kształty. Wiedziała jednak, jak ryzykowna jest kariera na własny rachunek, zwłaszcza w świecie zalanym masową produkcją i wierzącym ślepo jedynie w wielkie nazwiska wielkich projektantów.

Ostatecznie uznała, że gdyby uzyskała odpowiednio wysokie przychody, pracując dla Tiffany'ego, mogłaby w przyszłości pomyśleć o otwarciu własnego sklepu w jednym z odwiedzanych przez turystów

miast Nowej Anglii. Aby to zrobić, była gotowa na wiele poświęceń, nawet na to, by zaliczyć kiedyś niezbędne kursy biznesu. W końcu teraz robiłaby to dla siebie, a nie dla ojca.

Hol, w którym czekała na rozmowę kwalifikacyjną, był równie wytworny, jak biżuteria firmy. Recepcjonistka wyglądała jak modelka. Meble pokryte szarą skórą były dość wygodne, by czuć się w nich swobodnie, a jednak nie zachęcały do zupełnego relaksu.

Dokładnie w chwili, kiedy Liana pomyślała, że przydałby się jakiś magazyn do poczytania, dostrzegła młodego mężczyznę, podającego swoje nazwisko recepcjonistce. Natychmiast dostrzegła błysk w oczach tamtej i uśmiech na starannie wymalowanych wargach. Gest wypielęgowanej dłoni wskazał mu miejsce obok Liany.

Obserwowała spod oka, jak się zbliża. Był wysoki, o wąskich biodrach i szerokich ramionach. Popielata klubowa marynarka i ciemne spodnie były zwyczajne, ale nosił je z wdziękiem modela.

Już samo to korzystnie odróżniało go od tego wnętrza.

- Mogę usiąść obok pani?

Posunęła się, robiąc mu miejsce na kanapie.

- Australijczyk?

- Aha - uśmiechnął się. - I Amerykanka?

- Mniej więcej.

- Też przyszedłeś za wcześnie?

- Ale tylko dziesięć minut.

- A ja całą godzinę. Zdaje się, że trochę sobie poczekam. Mój wewnętrzny zegar całkiem się rozregulował. Ciągłe wydaje mi się, że jest północ. Właściwie powinienem iść na spacer, ale boję się, że nie trafię z powrotem.

- Aż tak bardzo oszołomił cię Nowy Jork?

- Przesada, tylko zafascynował. Jestem tu dopiero od dwóch dni. -

Wyciągnął ku niej dłoń, uścisnęła ją krótko. - Cullen - przedstawił się.

- Liana.

- Mieszkasz tu?

- Nie, w Brooklynie.

Spojrzenie mężczyzny powędrowało ku portfolio, leżącym przed nią na stole.

- Chyba nie wyprzedajesz klejnotów rodzinnych, co?
- Projektuję biżuterię - odparła ze śmiechem. - Przyjechałam na rozmowę o pracy.
- Wysoko mierzysz, choć wyglądasz na bardzo młodą - zauważył bez kpiny. Jego niebieskie oczy skrzyły się humorem. Ich spojrzenie wzbudzało w niej dziwne, wewnętrzne ciepło. Cullen nie był przystojniakiem, zwłaszcza w tutejszym, nowojorskim sensie, ale jego męskie rysy, w połączeniu z olśniewającym uśmiechem robiły mocne wrażenie.

A co ty tu robisz? - zagadnęła nieco obcesowo.

- Czekaj, najpierw powiedz mi coś o perłach w twojej broszy. Albo nie, ja ci powiem. Środkowa jest świetnym okazem, ale nie pochodzi od nas. To pewnie hodowla Akoya, z Japonii. Warstwa macicy na naszych perłach jest sześćdziesiąt, może nawet sto razy grubsza niż u nich. Nasze perły rosną dwa razy szybciej - w dwa lata, a nie w cztery. Trzeba jednak powiedzieć sprawiedliwie, że wiele się od nich nauczyliśmy.

- Założę się, że perły to nie tylko twoje hobby. Cullen sięgnął do kieszeni i podał jej swoją wizytówkę.

- Mam hodowlę pereł w Zachodniej Australii, nazywa się South Cross Pearls. Nie hoduję tandety, tylko okazy najwyższej jakości. Dlatego postanowiłem promować się tutaj, w jubilerskim pępku świata. Jeśli mi się nie uda, oddam moje perło-pławy na żer krokodyłom.

Liana zacisnęła wizytówkę w dłoni, nawet na nią nie patrząc.

- Uprawiasz perły na farmie? Jak fasolę? Usiadł wygodniej, beztrudnie wyciągając przed siebie długie nogi. Czuł się swobodnie, jakby był w środku australijskiego buszu. I wcale nie spieszyła go jej lekko kpiąca uwaga.

- Wciągnęło mnie to. Pradziadek był poławiaczem pereł. Potem stary wypiął się na naszą gałąź rodziny i przekazał interes swojemu synowi z drugiego małżeństwa. Nikt z naszych nie wiedział, co dalej działo się z firmą. Potem czasy się zmieniły, perły zaczęto hodować, a nie poławiać, a majątek roztrwonili spadkobiercy. W końcu został tylko kawałek ziemi w Pikuwa Creek w Zachodniej Australii i parę gnijących lugrów, z których kiedyś dokonywano połowów.

Gdyby ktokolwiek inny natychmiast po poznaniu opowiedział jej

rodzinną historię, Liana uznałaby, że przesadził. Jednak śmiały urok Cullena usprawiedliwiał wszystko.

- Nadal tam mieszkasz? - zapytała, ciekawa dalszego ciągu historii.

- Tak. Ostatni ze spadkobierców pradziadka zdołał odnaleźć przed śmiercią moją linię rodziny. W ten sposób całość przeszła na mojego ojca. Tatuś nie chciał mieć z tym nic wspólnego - podobnie jak i ze mną - więc wcisnął mi to i powiedział, żebym sobie radził. Zmieniłem więc nazwę na South Cross i zacząłem hodować perły. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Zainteresował ją ten mężczyzna i jego życie, więc poczuła nagłą potrzebę, by podzielić się z nim swoją historią.

- Mój ojciec też urodził się w Australii - powiedziała. - W Broome. Znasz takie miejsce? To podobno takie miasteczko...

Cullen gwizdnął cicho.

- Broome to duże miasto jak na moją część świata. Pikuwa Creek leży o trzydzieści mil dalej na północ. Mniej więcej godzina jazdy, jeśli oczywiście drogi nie zmyła ulewa.

Mój dziadek również poławiał perły, tyle że krótko. Zamordował go najlepszy przyjaciel. Pokłócili się właśnie o perlę, wyobrażasz sobie?

Och, to się zdarza częściej, niż myślisz. Liana uśmiechnęła się do nowego znajomego. Niemal już zapomniała, że czeka na rozmowę, która ma zdecydować o jej życiowych planach. Teraz interesował ją głównie ten mężczyzna i jego świat. Zamilkli na chwilę, ale ciągle przyglądali się sobie spod oka. Liana usiłowała nie zauważać dziwnego napięcia, jakie narastało między nimi, tłumacząc sobie, że ów miły Australijczyk ma jej tylko umilić czekanie. Ale emocje przeczyły racjonalizacji, zaś puls zdradziecko przyspieszał. Olśniewający uśmiech na opalonej twarzy Cullena nabrał niebezpiecznie seksualnego podtekstu.

- Pani Robeson?

Drgnęła, słysząc głos recepcjonistki. Zobaczyła, że kobieta wstała zza lady.

- Liana Robeson - powtórzył cicho Cullen, jakby smakował jej nazwisko. - Mam dziś wolny wieczór, bo odlatuję dopiero jutro. Będziesz jeszcze w mieście?

Odpowiedziała, zanim zdążyła pomyśleć:

- Poczekam na ciebie po rozmowie. Nagrodził ją za to kolejnym, iście łożkowym uśmiechem.

- No to do zobaczenia, Liano Robeson.

- Do zobaczenia, Cullenie... - zajrzała w wizytówkę, którą wciąż ściskała w dłoni - ...Cullenie Llewellyn. Czy znasz przypadkiem Archera Llewellyna? - zapytała niespodziewanie. Uniósł w zdumieniu brwi i powiedział:

- Mój pradiadek miał na imię Archer. Skąd to wiesz?

- Jestem dobra w zgadywankach.

- Czy to coś ważnego?

Liana wsunęła wizytówkę do torebki, a potem popatrzyła Cullenowi prosto w oczy.

- W sumie nie tak bardzo. Po prostu Archer Llewellyn zamordował kiedyś mojego dziadka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W krzewach za domkiem zaskrzeczał ostro jakiś ptak, oznajmiając nadejście świtu. Cullen poruszył się, czując na grzbiecie gorący dotyk ciała Liany. Usiłował nie zasnąć głęboko, by wytrwać na krawędzi łóżka, i przez większą część nocy jakoś mu się to udawało. Ale Liana podsuwała się nieuchronnie coraz bliżej, a on bał się odwrócić i objąć ją lub odsunąć. Mogłaby się obudzić. Albo obrazić.

Uśmiechnął się mimowolnie, myśląc o pierwszych dniach ich małżeństwa. Wszelkie spory były wtedy tylko pretekstem do wspaniałych pojednań. Uśmiech zniknął, kiedy Cullen pomyślał o wszystkim, co wynikło potem między nimi, a co dziś nie mogło zostać uleczone nawet najbardziej namiętnym miłosnym aktem.

Nigdy nie zdołał zapomnieć subtelnej woni skóry Liany, jej zapachu, kiedy budziła się rozgrzana snem, kwiatowego aromatu jej włosów. Jeszcze długo po rozwodzie, gdy budził się, mając inne kobiety u boku, przeżywał nieuchronną chwilę rozczarowania, kiedy sięgał po nie sennie. Teraz jego ciało domagało się tego, czego potrzebowało od dawna.

- Nie śpisz? - odezwała się nagle.
- Zanim zaczniesz mnie rugać, przypomnij sobie, jak uczyli cię w szkole.
- O co ci chodzi?
- Że połowy muszą być równe.

Odsunęła się od niego, ale tylko trochę. Na wszelki wypadek odwrócił się na wznak, podkładając ręce pod głowę, by utrudnić jej ruchy.

- Czy myślałeś, że jeszcze kiedyś znajdziemy się w jednym łóżku? Bo ja nie - stwierdziła z westchnieniem, siadając i odgarniając włosy z twarzy. - Chyba pójde pod prysznic.

Wyszła spod kołdry i zniknęła za drzwiami łazienki. Gdy odchodziła,

Cullen patrzył na jej nogi - zawsze miała je piękne.

Po chwili zaszumiała woda, a on przypomniał sobie ich pierwszą noc w Nowym Jorku. Po rozmowie u Tiffany'ego myślał, że dziewczyna zmieniła zdanie i nie będzie na niego czekać. A jednak czekała. Przegadali prawie całą noc w jego pokoju hotelowym, odtwarzając historię Archera i Toma i zachłannie poznając koleje własnego życia.

Potem pamiętał już tylko uwodzicielskie spojrzenie ciemnych oczu i gest, jakim rozpuściła włosy, przesiewając przez palce czarną, połyskliwą kaskadę, spływającą na ramiona i plecy. Wyciągnął ku niej rękę, lękając się, że jeśli sięgnie dalej, zostanie odrzucony. Ale Liana przyłgnęła do niego chętnie. Jej ciało natychmiast dopasowało się do jego ciała, a piersi podniecająco naparły na jego pierś.

Rozpad ich małżeństwa absolutnie nie miał nic wspólnego z brakiem miłości. Kochali się na początku i kochali zawsze. Zadurzyli się w sobie tak szybko, że nie mieli nawet czasu pomyśleć o sobie, pomarzyć, nauczyć się siebie. Następnego ranka, kiedy tylko słońce wzeszło, a Manhattan zaczął rozbrzmiewać kakofonią klaksonów, syren i łomotu, Cullen poprosił Lianę, żeby pojechała z nim do Australii i tworzyła z jego pereł dzieła jubilerskiej sztuki. Miał szaloną koncepcję, że ich cudowne spotkanie jest przewyciężeniem złowrogiego fatum, jakie zapoczątkowała tragedia ich przodków.

I Liana zgodziła się.

Aż nazbyt wyraźnie pamiętał szczegóły ich pierwszego wspólnego poranka, szum strumieni wody, bijących o szklaną ścianę kabiny, i własne myśli, gdy rozciągnięty na łóżku, zastanawiał się nad tym, co zrobił. Zaprosił tylko Lianę do Australii, lecz nie mówił o małżeństwie. Chciał, by zobaczyła, jak żyje; chciał przekonać się, czy mogą być razem. Zaledwie promienie słońca załśniły na hotelowym dywanie, już poczuł rozdarcie pomiędzy potrzebą kochania i chronienia tej kobiety a własną potrzebą niezależności. Był młody. Tak młody, że nie rozumiał, że samotność i żal są najcięższymi okowami, w jakich może znaleźć się człowiek.

Tak naprawdę zrozumiał to dopiero teraz.

- Co zrobimy, kiedy go znajdziemy?
- Nie mam pojęcia. - Cullen wjechał na autostradę i przejechał na

najszybszy pas, choć ruch był minimalny. - Może najpierw poprosimy go, żeby wyjaśnił nam, dlaczego to zrobił.

- Tak, to dobry pomysł na początek - przytaknęła Lina. - A potem chyba urwiemy mu głowę.

- Wspólnie, co? Zauważ, że dotąd nie wychowywaliśmy go razem. Nie wiadomo, jak Matthew zareaguje na sam fakt, że poszukiwaliśmy go we dwoje. A co dopiero, kiedy zaczniemy prowadzić rodzicielską rozmowę, ty i ja. To będzie numer!

- Rzeczywiście - uśmiechnęła się do niego. - Wiesz co, Cullen?

- Tak?

- Może tak miało być? Może trzeba było tego wszystkiego? Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że odtąd nic już nie będzie tak, jak było? Łącznie z tym, że nie będziemy już potrafili ufać naszemu synowi jak dawniej. Za to sobie ufamy bardziej. Świat stanął na głowie, no nie?

W kabinie pędzącego samochodu na moment zapadło milczenie. Cullen nie odpowiadał, więc znów odezwała się Liana.

- To smutne, że trzeba było dopiero zniknięcia naszego dziecka, żebyśmy zaczęli ze sobą rozmawiać. Wiesz - uśmiechnęła się blado - kiedy przyjechałeś pierwszy raz do Matthew, już po rozwodzie, powiedziałam ci coś, czego bardzo potem żałowałam. Zagroziłam, że powiem mu, co robił kiedyś jego ojciec i dlaczego musiałam się z nim rozstać. Odpowiedziałeś wtedy, że nie wierzysz, bym mogła tak skrzywdzić własne dziecko. Miałeś rację. Nigdy mu o tym nie powiedziałam.

- Niepotrzebnie się przejmujesz, Lee. On wie. Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Jak mam to rozumieć?

Cullen zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, że aż pobiełały mu palce.

- Zwyczajnie. Powiedziałem Matthew, że kiedy miał cztery lata, zabrałem podstępem wszystkie pieniądze z konta, które dla niego założyłaś. Wie, że założyłaś je po to, bym nie przepuścił pieniędzy, jakie odziedziczyłaś po matce. Przyznałem się, że postąpiłem nieuczciwie, i powiedziałem, że był to jedyny sposób zdobycia środków dla uratowania upadającego South Cross. Udało mi się to i potem zwróciłem wszystko

co do grosza.

Zjechał na stację benzynową. Tu powinni już zacząć rozpytywać o Brittany. Stał z boku, zgasił silnik i odwrócił się do Liany.

- Powiedziałem, że moje interesy były zagrożone ruiną, gdyż przegrałem prawie wszystko, co miałem. Byłem przyparty do ściany, ale nie wyobrażałem sobie innego sposobu ratunku, jak tylko odegranie się. Dlatego ukradłem pieniądze mojego syna.

Liana zamrugła powiekami, by powstrzymać Izy.

Po co mu o tym powiedziałaś?

Nie mogłem dłużej kłamać. Miałem wyrzuty sumienia. A jak mogłem się kajać za postępek, o którym nie wiedział?

- Kiedy to było, Cullen?

- Dwa lata temu. Prosiłem, żeby ci o niczym nie mówił, gdyż spodziewałem się, jak zareagujesz. Byłaś przekonana, że jedynym powodem, dla którego zgodziłem się na oddanie ci całej opieki nad Matthew, była twoja obietnica, że nie opowiesz mu o moich wyczynach. Kiedy zobaczyłaś, że wyleczyłem się z hazardu i stałem się innym człowiekiem, zaczęłaś się obawiać, że będę chciał ci go zabrać. Rozumiem cię i nie mam do ciebie żalu.

Pokręciła głową, jakby nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie łudziłem się, że uwierzysz, kiedy będę zapewniał, że nie chcę ciągnięcia ciebie ani dziecka po sądach. I jeszcze coś, skoro rozmawiamy już tak szczerze... - Pochylił się ku niej i położył dłoń na jej ramieniu. - Od tego czasu nie tylko odzyskałem to, co straciłem, lecz jeszcze pomnożyłem swój kapitał. Matthew ma zapewniony byt. Bardzo chciałem dać mu to, co usiłowałaś dać mu ty. Może to głupie, ale traktowałem to jako rodzaj rywalizacji.

- Ale w jaki sposób? Kiedy odeszłam, South Cross był o krok od upadku. Nie mogłam zrozumieć, jakim cudem jeszcze funkcjonuje. Po-szczęściło ci się? A może trafiłeś wreszcie życiową wygraną?

- Nie grałem od czasu powrotu do Australii. Po prostu bank znalazł inwestora, który zgodził się mi pomóc. Jakiś anonimowy zapaleniec uwierzył w szanse australijskich pereł i postanowił wyciągnąć mnie z zapaści. Na szczęście go nie zuwiodłem.

Liana nie była w stanie dłużej powstrzymać się od płaczu.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? - spytała, łykając słone łzy.
- Nie robiłem tego, by poprawić swój wizerunek w twoich oczach.

Ich spojrzenia spotkały się i już nie rozeszły. Jeszcze przed chwilą Cullen nie wyobrażał sobie, że mógłby opowiedzieć jej o wszystkim. Nie był przygotowany na wzruszenie i płacz, ani tym bardziej na podziw i szacunek - bo i to dostrzegł w jej oczach. Żadne ze zwycięstw odniesionych nad sobą nie było dedykowane Lianie i nie miało służyć odzyskaniu byłej żony. Nie znaczy to, że o niej zapomniał i przestało mu na niej zależeć. Nie, po prostu wiedział, że nie zdoła jej nigdy odzyskać.

A jednak teraz, po raz pierwszy od lat, pozwolił sobie na śmielsze marzenia. Wyobraził sobie Lianę i Matthew czekających wieczorem na jego powrót do domu, który nie jest już pusty. Widział

Lianę, która wraca do swoich pasji, do twórczej pracy, bez której nie potrafi być w pełni sobą. Widział South Cross jako rodzinne przedsiębiorstwo, które mogliby razem udoskonalać, a potem przekazać dzieciom...

Odwrócił wzrok, by nie zobaczyła w jego oczach bólu.

- Jesteśmy tu i teraz, Lee - westchnął. - Dajmy spokój przeszłości.
- Przeszedłeś długą drogę. Jak ci się to udało? Na razie udało mu się zdobyć na słaby uśmiech.
- Metodą drobnych, katorżniczych kroków. Tak samo jak tobie udało się wczoraj odbyć ten lot.
- Ale wczoraj ty byłeś przy mnie.
- A wtedy straciłem ciebie. Na szczęście sama rzeczywistość dała mi odpowiednią motywację.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Teraz poszukajmy naszego syna - powiedziała, sięgając do klamki.

Brittany Saunders nie mieszkała w Tillman, tylko „w okolicy”, jak określiła to panienka ze stacji.

- Nie wiedziałam, że Brittany ma przyjaciół - stwierdziła z przekąsem, kiedy opowiedzieli jej swoją historjkę.

- Ojej, może my czegoś nie wiemy? - Liana udała przestraszoną.

Chude dziewczę o kasztanowych włosach lekceważąco wyduło wargi.

- Nie, nie ma żadnej tajemnicy. Brittany jest ponad wszystko i wszystkich. Uważa, że Tillman to dziura, a ona potrafi lepiej się

urządzić.

- Ty też się urządziłaś - uśmiechnął się przymilnie Cullen.
- Ja?
- A nie? Masz dobrą robotę, ładna jesteś, pewnie nie skończysz na tym.

Dziewczyna rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie.

- Raczej nie. Długo tu nie posiedzę, to pewne.
- I słusznie. A my chyba pojedziemy do Brittanny, bo nasz synek zmyje nam głowy, jeśli jej nie znajdziemy. Wytłumaczysz nam, gdzie mieszka?

Po dwudziestu minutach jazdy, w czasie której niewiele odzywali się do siebie, Liana pierwsza dostrzegła formację skalną o niezwykłych kolorach, mającą stanowić znak orientacyjny. Agat, jaspis, kocie oko - oceniła szybko, odwołując się do swoich dawnych doświadczeń.

Domem Brittany była duża mieszkalna przyczepa, zaparkowana w cieniu niewielkiego wzgórza. Na jego zboczu rosły drzewa o srebrnej korze, których gałęzie odcinały się wyraziście na tle błękitu. Otoczenie było zadbane, trawnik zdobił kaktusowy ogródek w oponie od traktora.

Kiedy wysiedli z klimatyzowanego wozu, gorące powietrze zalało ich piekącą falą. Liana poczuła się niepewnie, lecz nie miało to związku z jej lękiem przestrzeni. Na wszelki wypadek puściła Cullena przodem, pozwalając mu przejąć inicjatywę. Zastukał do drzwi, rozległo się zajadłe szczekanie, a potem ostra komenda, po której szczekanie zamilkło. Drzwi otworzyły się po chwili wahania i wtedy zobaczyli jasnowłosą, szczupłą dziewczynę o cienkich, długich do ramion włosach i niebieskich oczach, tak wielkich, że zdawały się wychodzić z drobnej buzi. Na tym rozpalonym słońcem pustkowiu eteryczna blondynka wyglądała jak blady angielski kwiatek.

- Czy nazywasz się Brittany Saunders? - upewnił się Cullen.

Dziewczyna nadał patrzyła podejrzliwie, ale przytaknęła.

- Jestem Cullen Llewellyn, a to Liana Robeson. Szukamy naszego syna, Matthew. Simon Van Valkenburg powiedział nam, że Matthew wybierał się do ciebie.

Słowa Cullena wywołały w Brittany szczere zmieszanie.

- Co takiego? Nie rozumiem, o czym mówicie.

- Znasz naszego syna? Matthew Llewellyna? - spytał. - Simon powiedział nam, że często pisaliście do siebie przez Internet.

- A jaki miał pseudonim?

- Podwójne L - odezwała się po raz pierwszy Liana.

- LL? Hm... - Brittany pokręciła głową. - Wiecie, jak to jest na liście dyskusyjnej...

- Nie.

- Ludzie łączą się z tobą, potem łączą się dalej... Sama nieczęsto jestem na linii. Nie mam komputera, chodzę do kolegi. - Wzruszyła ramionami. - Pamiętam tylko kilka osób, ale tego kogoś akurat nie.

- A SEZ - spróbował Cullen - mówi ci to coś?

- SEZ? Jasne! Wielki gaduła. Smarkacz. Choć czasami zabawny. Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku.

- Z nim? Słyszeliśmy, że ty masz kłopoty? Dziewczyna znów się zachnęła.

- Ja? Niby dlaczego?

- Simon powiedział nam, że Matthew pojechał do ciebie, bo masz kłopoty i potrzebujesz wsparcia.

- Właśnie zdałam maturę i dostałam stypendium do Prescott College. Nigdy nie wiodło mi się lepiej. Za tydzień zaczynam wakacyjną pracę, II potem wyjeżdżam z tej dziury na studia.

- Podawałaś Simonowi swój adres?

- Nie pamiętam, może podawałam. Wiecie, jak to jest. Człowiek coś chlupnie, zanim pomyśli. Chyba jakiś czas temu gadaliśmy o naszych stronach rodzinnych i jakoś tak się splotło. Opisywałam swoją okolicę.

- Cholerny krętacz - zaklął pod nosem Cullen. Założę się, że wie, gdzie jest Matthew.

- Chodzi o Simona - wyjaśniła Liana na użytek dziewczyny.

- Simon posłał was tu dla zmyłki? - uśmiechnęła się nieznacznie.

- Na pewno nie znasz LL?

- Słowo honoru. - Brittany popatrzyła na nich z troską, jakby szczerze chciała im pomóc. - Czy ten wasz Matthew zrobił coś złego?

- Nie, nic. Poza tym, że uciekł i teraz już naprawdę nie wiemy, gdzie się podziewa - wyjaśniła Liana ze ściśniętym gardłem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Terytorium Północne, Australia

Matthew zastanawiał się, która godzina jest teraz w Ameryce i co porabiają jego rodzice. Ale nie miał siły długo myśleć, gdyż ta czynność wymagała koncentracji. On zaś był tak zmęczony, że z trudnością unosił powieki. Niestety, nie miał nawet gdzie przyłożyć głowy do spania.

- Moim zdaniem był całkiem miły - powiedziała Tricia, podając mu kawałek twardego cukierka, który sprawiedliwie podzieliła na pół i który miał im zastąpić kolację.

Matthew zmusił się, by otworzyć oczy.

- Oceniasz ludzi tak samo błędnie jak odległości. Kierowca tego pociągu drogowego był namolnym chamem, a Jimiramira wcale nie leży za najbliższym zakrętem.

Znajdowali się w samym sercu Terytorium Północnego, z dala od wszelkich ośrodków cywilizacji. Tu trzeba było przebyć setki mil, by trafić na jakąś zagubioną w buszu placówkę, len budynek nie różnił się od innych - byłby szary, gdyby nie wszechogarniający, pokrywający wszystko czerwony pył, który nadawał całości widok iście piekielny. Jedną salę przeznaczono na posiłki dla grup turystycznych, z barem i czymś w rodzaju kiosku, gdzie sprzedawano lanie powieści kieszonkowe i najpotrzebniejsze środki toaletowe kompletnie nieznanym Mat-thew marek.

Wyczuwał, że podstarzała kobieta za ladą jest w stosunku do nich nieufna i podejrzliwa, ale nie miał pojęcia, jak mógłby wzbudzić w niej zaufanie. Pół godziny temu wysadził ich tu kierowca krótkiego jak na australijskie warunki „pociągu”. Poszli do toalety, a kiedy wyszli, już go nie było.

- Byłby miłszy, gdybym dała mu, co chciał powiedziała Tricia.
- Poważnie?
- Jasne. A jak myślisz, dlaczego nas tu zostawił?

- Skąd wiesz, że mu o to chodziło?
- Kiedy zasnąłeś na siedzeniu, zaczął gadkę. Stary perwers, ale powiedziałam mu, że mam miesięczkę. Pewnie uznał, że nie warto się z nami dalej tłuc.
- Trzeba było mnie obudzić - mruknął z pretensją Matthew.
- Po co? Żebyś walnął go w szczękę? Nie bądź śmieszny! Gość miał prawie dwa metry i łapy jak łopaty.
- Ale... skąd on... no wiesz, takie propozycje?
- Czy dziewczyny w Ameryce normalnie się tak ubierają? - Ujęła w palce krawędź króciutkiej spódniczki, udając, że chce dygnąć.
- Nie, tylko niektóre.
- No widzisz, w Australii też tylko niektóre.
- I faceci tak od razu wiedzą?
- Dokładnie, staruszku.

Matthew był tak wykończony, że kręciło mu się w głowie. Z ostatnich kilku dni pamiętał tylko nieprzerwaną, męczącą jazdę przeróżnymi pojazdami. Nigdy nie czekali na stopie. Kierowcy byli przeważnie życzliwi, zwłaszcza kiedy orientowali się, że wiozą cudzoziemca. Teraz zaczął się zastanawiać, ilu z tych mężczyzn marzyło, by znaleźć się sam na sam z Tricią.

- Ta kobieta w barze coś krzywo patrzy - mruknął. - Pewnie jej się nie podobasz. Wiesz dlaczego.
- Nie przypominam jej wnuczki w ubranku do kościółka.
- Chyba nie. Trzeba by stąd spadać.
- Nie wiem, czy dziś coś złapiemy. Im głębiej jedziesz w Terytorium, tym trudniej złapać okazję.
- To co, zostajemy? Myślisz, że mają tu jakiś wolny pokój?
- I tak nas nie stać. Musimy sprawdzić, jak daleko jesteśmy od Jimiramiry i czy zdołamy jakoś przeżyć.

Matthew odruchowo obrócił językiem w ustach, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadł.

Kierowca, który wziął ich w Broken Hill, dał im starą kanapkę, ale to było dawno.

- Czekaj, pogadam z nią - powiedział, wstając ciężko. Sięgnął po portfel i policzył, ile im jeszcze zostało. - Wystarczy na jakieś żarcie -

ocenił.

Frytki i kurczak na spółę.

Podszedł do lady i odczekał cierpliwie, aż kobieta obsłuży brodatego faceta, który wyglądał jak statysta w kowbojskim filmie. Kiedy wreszcie spojrzała na Matthew, zmarszczyła brwi i skrzyżowała ręce na piersi. Nie wróżyło to nic dobrego.

- Bardzo tu ładnie u pani - wyjąkał w końcu. - Przejechaliśmy kawał drogi. Strasznie się ucieszyliśmy, kiedy zobaczyliśmy ten sztyd.

- Skąd jesteście? - To nie było pytanie, tylko rozkaz, by natychmiast odpowiadać. Kobieta była wysoka, ciemnowłosa i wyglądała na twardą babę, która mogłaby go z powodzeniem wziąć za kark i wyrzucić na drogę.

- Ze Stanów. Z Kalifornii - dodał, widząc, że nie umie kłamać.

- Czy w tej Kalifornii nie ma lepszych dziewczyn do towarzystwa?

- Chodzi pani o Tricię? - Matthew uśmiechnął się naiwnie. - To dobra dziewczyna, tylko ktoś jej powinien wytłumaczyć, żeby lepiej się ubierała. Ale niech pani spojrzy w telewizję. Na wszystkich teledyskach ma pani to samo. Właściwie to chciałem poprosić panią o przysługę. Jedziemy do miejsca, które nazywa się Jimiramira. Słyszała pani o nim?

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy kobiety.

- Mieszka tam mój dziadek - dodał Matthew. - Czy to jeszcze daleko?

- A co, zgubiliście mapę?

Matthew zastanawiał się, czy powiedzieć prawdę. Co będzie, jeśli powie i policja zgarnie ich tuż przed dotarciem do celu?

- No dobra, nie będę pani zawracał głowy. Poproszę o frytki i kurczaka. I jakąś wodę mineralną do popicia.

Odwróciła się i kołysząc szerokimi biodrami, podeszła do lodówki, a potem do kuchenki mikrofalowej. Po minucie oczekiwania położyła przed nim na ladzie dwie duże porcje frytek, dwie porcje kurczaka i dwie puszki coli.

- Ile płacę?

- A masz pieniądze?

- Wystarczy, żeby pani zapłacić. Odsunęła monety, które jej podał.

- Po co jedziecie do Jimiramiry? - zapytała. - Tylko mi nie łgaj!

Matthew wątpił, czy ktokolwiek śmiałyby jej skłamać. Zresztą było jasne, że kobieta się czegoś domyśla.

- Nazywam się Matthew Llewellyn. Roman Llewellyn jest moim dziadkiem. Jadę do niego.

- Coś takiego - zdziwiła się - nie wiedziałam, że Roman ma wnuka!

- Bo on nie bardzo lubi się z moim tatą. - Matthew odetchnął głęboko i podniósł wzrok na kobietę. - Zna go pani?

- Twojego dziadka? Może...

- Nie wie, że się do niego wybieram. I ja nie wiem, czy będzie zadowolony. - Matthew sam się dziwił swojej szczerości, ale był zbyt zmęczony, by zważać na konsekwencje.

- Może się zdziwić, skoro wcześniej cię nie znał. Trzeba było powiadomić go, że przyjeżdżasz.

- Wie pani, jestem jeszcze dzieckiem, choć może nie wyglądam - odparł i nareszcie coś w rodzaju uśmiechu złagodziło surowe linie poornej twarzy. - Nie mogę sam decydować, kogo mam znać i dokąd jechać.

Pokiwała głową.

- Wygląda na to, że dziadek i ojciec się nie lubią, a ty postanowiłeś wziąć sprawy w swoje ręce?

Już wiedział, że powiedział za dużo. Niechętnym gestem odsunął od siebie jedzenie.

- Muszę jechać. Przepraszam, ale nie mogę tego wziąć za darmo.

- Nie wygłupiaj się, bierz, siadaj i jedz. Razem z tą twoją Tricią. Jak będziecie głodni, dołożę wam jeszcze.

Nie ruszył się. Nie wiedział, co dalej robić. Ta rozmowa go wykończyła. Nagle pożałował, że podjął się tej wyprawy. Nerwowo obejrzał się w stronę Tricii, która, jak się zdaje, wysłuchiwała właśnie nieprzystojnej propozycji od siwiejącego bywalca w zakurzonych ochraniaczach, który stał przy stojaku z tanimi powieściami.

- Znajdziemy panience jakieś bardziej odpowiednie ciuchy - dodała kobieta. - Albo znajdziemy tobie lepsze towarzystwo.

Po raz pierwszy od czasu spaghetti w Sydney Matthew poczuł się naprawdę najedzony. A także senny, zmęczony i niezdolny do jakiegokolwiek aktywności. Teraz dopiero poczuł każdy siniak na swoim ciele. Zbierali je z Tricią od paru dni, objając się w skrzyniach i

kabinach pędzących przez pustkowia ciężarówek.

- Nawet Charlie mnie nigdy tak nie wygrzmocił - stwierdziła filozoficznie Tricia.

Matthew uśmiechnął się pod nosem. Taka właśnie była Tricia - nawet kiedy los bezlitośnie ją doświadczał, przyjmowała jego wyroki ze spokojem. Niewiele oczekiwała od życia i nawet jeśli nie dostała minimum tego, na co liczyła, nie narzekała.

- Wszystko przez te fatalne drogi - stwierdził.

- Jankes - prychnęła - wychowany na równiutkich autostradach.

Ciesz się, że w ogóle jest tu jakaś droga.

- Wiem, wiem - pokiwał głową. - I cieszę się, że ktoś zechciał nas podwieźć.

Pani Myrtle, bo tak przedstawiła im się kobieta z za lady, okazała się troskliwa jak matka. Kiedy już zostali nakarmieni, przyniosła džinsy, tenisówki i luźną bluzkę dla Tricii, a dla Matthew czystą bawełnianą koszulkę. Potem pozwoliła im wykąpać się pod prysznicem, a kiedy się umyli i przebrali, przedstawiła ich Noelowi, starszemu mężczyźnie, który był jej pomocnikiem.

- Nie mam czasu nadkładać drogi do Jimiramiry - powiedział im - ale mogę trochę was podwieźć. Rozłóżycie graty i prześpicie się przy krzyżówce, a potem pójdziecie pieszo. Nie zajmie wam to więcej niż pół dnia.

Matthew już miał napomknąć, że nie mają żadnych gratów, kiedy wtrąciła się pani Myrtle.

Spakowałam wam parę rzeczy. Niech Roman podrzuci mi je przy okazji.

Wdrapali się na pudło steranej furgonetki, a zanim odjechali, gospodyni podała im jeszcze zwinięte śpiwory, latarkę oraz picie i kanapki na drogę.

- Tylko dobrze im pokaż kierunek, Noel. I niech nie zbaczają z drogi i nie chodzą na skróty ostrzegła. - Zresztą zadzwonię do Romana i powiem, żeby na was czekał. A ty - na koniec zwróciła się do Tricii - wracaj jak najszybciej do domu. Na pewno na ciebie czekają.

Tricia wzruszyła ramionami, a kiedy wóz ruszył i znów zaczęli objąć się na wybojach, Matthew zaczął się zastanawiać, jaki los czeka jego

towarzyszkę. Sam nie wiedział, jak przyjmie go dziadek, a cóż dopiero mówić o niej. Tymczasem prawie że jej obiecał, że Roman kupi jej bilet, dokąd tylko zapragnie. Teraz zaczął podejrzewać, że dziadek odprawi ją do rodziców. Musi ją znać. Zdaje się, że tutaj wszyscy się znają.

- Wiesz, dlaczego wywiałam z Terytorium przy pierwszej okazji? - zagadnęła sennie Tricia, jakby odgadując jego rozterki.

- Pewnie nie zgadzałaś się ze starymi?

- Nie. Ojciec zawsze się mną przejmował. Na swój sposób. Wiesz, „musisz się więcej uczyć, tyle dla ciebie robimy, chcemy, żebyś wyrosła na ludzi...” Rzygałam już tym.

- Wszyscy starzy tak gadają.

- Wiem, ale...

- Ale co? Może stary cię bił, albo coś w tym stylu?

Tricia stanowczo potrząsnęła głową.

- Nie, absolutnie. Nikt mnie nigdy nie uderzył, dopiero Charlie.

- To może darł się na ciebie?

- Nie, w ogóle nie podnosi głosu.

- W takim razie o co ci chodzi?

- O to, że musiałam uciec od starych, bo wiadomo było, że nigdy nie stanę się kimś, tylko oni jeszcze tego nie wiedzieli. Jestem takie nic, niepotrzebne jak popielniczka na motocyklu. Mogłabym tyrać przez całe życie, a i tak nie osiągnę tego, co dla mnie wymarzyli. Niezbyt dobrze szło mi w szkole, nie chciałam pomagać przy tych ich cholernych drzewkach. Tak ich wkurzałam, że mi się to znudziło. I uciekłam. Teraz sobie wyobraź, co by powiedzieli, gdyby wiedzieli, co robię!

Matthew nie wiedział, jak ma jej pomóc. Życiowe problemy Tricii przerastały go. Nawet nie wiedział, co jej poradzić. Ale jedno wiedział na pewno.

- Jeśli chodzi o moich starych, to obojętnie co bym zrobił, i tak mógłbym do nich wrócić - powiedział. - Może i twoi są tacy?

- Mówisz? Cholera ich wie, może i by mnie przyjęli. Nawet bym chciała wrócić. Tylko że jak ja im spojrzę w oczy, co ja umiem? Dawać dupy, tylko to.

Nieprawda! Jesteś inteligentna, zaradna. No i masz dobre serce, poważnie, Tricia. Nie marudzisz, nie narzekasz, niewielu tak potrafi.

Tricia chyba nigdy nie słyszała tylu komplementów, bo była autentycznie zdziwiona i poruszona.

- Tak myślisz?

- Jasne. Moim zdaniem swobodnie dałabyś sobie radę w szkole, gdybyś tylko uznała, że jest sens się uczyć.

- Tata i mama zawsze uważali, że mogę się uczyć jeszcze lepiej.

- Skąd wiesz, może zaczęli myśleć inaczej od czasu, kiedy zniknęłaś.

Może i oni co nieco zrozumieli, nie tylko ty?

Nie przytaknęła. Jej twarz w ciemnym wnętrzu miała zamyślony wyraz. Tymczasem wóz zwolnił, a potem stanął. Noel uchylił klapę.

- Jimiramira - oznajmił lakonicznie, wskazując na zapyłony szlak, wiodący w bok.

Matthew zeskoczył na ziemię, wziął od Tricii bagaże, a potem podał jej rękę.

- Jak daleko? - zapytał. Noel poskrobał się w głowę.

- Sześć godzin piechotą? - podsunęła Tricia.

- Coś koło tego.

- Dzięki, Noel - powiedział Matthew, wręczając jej bagaż. - Fajnie się z tobą jechało.

Mężczyzna krótko uścisnął mu dłoń.

- Tylko się nie włóczcie - ostrzegł burkliwie, po czym wskoczył za kierownicę i odjechał, nie oglądając się za siebie. Chmura kurzu momentalnie zakryła drogę, a kiedy opadła, zostali sami. Wokół panowała cisza i narastał zmrok.

Zaczęli iść drogą, ostrożnie stąpając w zapadającej szybko ciemności. Pomimo wyczerpania Matthew czuł dreszcz podniecenia i coraz wyraźniejszą obawę. Aby jakoś oswoić swój lęk, powtarzał sobie w myśli, że oto znalazł się u swoich korzeni, na ziemi ojca i dziadka. Był Llewellynem, a to była ziemia Llewellynów.

- Koniec, dalej nie idę - jęknęła Tricia, ciskając tobolek na środek drogi. - Tu jest w sam raz.

- W porządku, możemy się tu przespać. Nie raz obozowałem pod gołym niebem - pochwalił się. - A ty?

- Więcej razy niżbym chciała.

Świecąc latarką, wybrali miejsce na nocleg. Tricia rozłożyła plandekę,

a na niej śpiwory, Matthew zebrał suche badyłe na ognisko. Pamiętając o skautowskich zasadach, ułożył najpierw ochronny krąg z kamieni, a w nim stosik drewna.

- Pani Myrtle dała nam zapalki, ale przydałby się jeszcze papier na rozpałkę.

- Żaden problem - uśmiechnęła się Tricia. - Mamy tu coś lepszego. - Wybrała parę gałązek spośród tych, które przyniósł, i zebrała z nich liście. - To liście gumowca - wyjaśniła - mają w sobie tyle olejku, że w czasie pożaru buszu ich drzewa wybuchają jak fajerwerki.

Rzeczywiście, rozpałka była idealna. Załedwie dotknął liści płomieniem zapalki, ogień rozgorzał jak podlany benzyną. Matthew dozbierał jeszcze gałęzi na zapas, aż wreszcie z ulgą wpełzł do śpiwora. Temperatura spadła gwałtownie, a ciemność zgęstniała. Dziękował Bogu za ciepłe okrycia i ogień. Był całkowicie wyczerpany i marzył już tylko o tym, żeby zasnąć i obudzić się następnego dnia rano.

A jednak nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok, był dziwnie pobudzony. Tricia również wierciła się i wzdychała, jakby nie mogła znaleźć sobie wygodnej pozycji do spania.

- Coś nie tak? - zagadnął.

- Nie umiem spać w nocy.

Zastanawiał się przez chwilę nad tą odpowiedzią.

- Takie masz przyzwyczajenie?

- Nie wiem.

- A może... no wiesz... tak to lubisz, że nie możesz bez tego zasnąć?

- Mówisz o seksie?

- No.

- Nigdy nie robiłam tego dla przyjemności. I nie myślałam o takim zarabianiu, kiedy uciekałam z domu. Chciałam pracować w banku. Wiesz, jestem dobra w rachunkach, matematyka to jedyny przedmiot, który naprawdę lubię. Ale oczywiście w banku nie było roboty, nigdzie indziej też nie i wreszcie spotkałam Charliego. Zwrócił na mnie uwagę, a ja przy nim poczułam się ważna. Wiesz, gość z miasta bierze cię na kawę, na kolację, bajeruje... Byłam wtedy głupią małolatą, nie domyślałam się, o co mu chodzi. No a potem nie miałam już wyjścia. Mówiłam sobie: spoko, to stan przejściowy, zarobię trochę kasy i

skończę z tym gównem...

- Dlaczego w takim razie nie chciałaś pracować u tej kobiety, przy książkach?

- Stara Duffowa wiedziała, co robię. Czułam, że ciągle mnie obserwuje, czy zesłam już całkiem na złą drogę, czy jeszcze coś ze mnie będzie. Chciała mnie uratować. A ja uważałam, że niepotrzebnie wpięprza mi się w życie. E, sama je sobie spieprzyłam. Ale nie jestem zła i zepsuta, naprawdę.

- Ukradłaś mi portfel.

- O rany, byłam pewna, że nic ci nie będzie. Zawsze skubałam tylko nadzianych gości... - Urwała na moment. - Wiem, kradzież to grzech, ale chyba rozumiesz, że Charlie musiał dostać codziennie swoją dole, obojętnie, czy miałam facetów, czy nie. Czasami wołałam zarobić w ten sposób.

Matthew zacisnął powieki. Blask gwiazd wydał mu się nagle zbyt jaskrawy.

- Przepraszam za tamto - mówiła tymczasem Tricia. - Gdyby nie ja, dawno byłbyś już u dziadka...

- A ty siedziałabyś w Sydney, skubałabyś innych frajerów albo całowała się z facetami.

- Nie o całowanie się im chodzi. Znow zapłonęły mu policzki.

- Wiem. Nie chciałem mówić wprost.

- Naprawdę wiesz, o co chodzi? Matthew nie odpowiadał.

- Robiłeś to kiedyś?

Wciąż milczał, więc roześmiała się cicho.

- Coś mi się zdaje, że nie.

- Nie twoja sprawa.

- A może chcesz spróbować?

Matthew zeszywniał. Mówiła miękko i czule, przysunęła się i dotknęła jego ramienia. Czy chciał spróbować? Pewnie że chciał! Czyż nie był zdrowym, nad wiek rozwiniętym chłopakiem, snującym wieczorami erotyczne fantazje? Teraz miał szansę przeżyć je naprawdę!

- Mogłabym ci pokazać, jak to się robi - zaproponowała Tricia, lecz w jej głosie nie było już kpiny.

- Obejdzie się - wykrztusił z trudem.

- Nie rzucaj się tak. - Zacisnęła palce na jego ramieniu. - Strasznie skromny z ciebie chłopak jak na Amerykanina.

- Nie, tylko nie uważam, żeby to było w porządku.

- Chcesz mnie nawracać, czy co?

- Nie podoba mi się, że tak łatwo przychodzą ci takie propozycje.

- Jest źle, kiedy się sprzedaję, i tak samo źle, kiedy chcę to zrobić za darmo, z własnej woli? O co ci chodzi?

- Chcesz to zrobić, bo byłem dla ciebie miły. A według mnie... - zawahał się, lecz po chwili dokończył pewnym głosem: - ...według mnie jak już się to robi, to z miłości. Ci, co uważają inaczej, to frajerzy.

Tricia zachichotała.

- Nie musisz kogoś kochać, żeby było przyjemnie.

- Może i nie. Ale lepiej, żeby tak było. Byłaś kiedyś z kimś, na kim ci zależało? Nie czułaś się fajniej?

Nagle cofnęła dłoń z jego ramienia. Matthew przez moment pomyślał, że ją uraził.

- Nigdy z kimś takim nie byłam - przyznała po długiej chwili milczenia. - Ale myślę, że właśnie dziś mam szansę.

Odwrócił się ku niej. W złotym, pełgającym blasku ognia buzia Tricii miała niewinny, wrażliwy wyraz. W czułym odruchu dotknął policzka dziewczyny i wyznał, czując, jak serce wali mu jak oszałałe:

- Ja też cię lubię, wiesz?

- I uważasz, że jestem ładna?

- Ładnissima! - posłużył się ulubionym powiedzonkiem ojca. Bardzo przypadło jej do gustu i znów zaczęła chichotać.

- Może odwiedzisz jeszcze Australię, kiedy będziesz starszy. A ja będę już inna, lepsza, kto wie?

- Lubię cię taką, jaka jesteś.

- Fajnie, ale kiedy znów tu przyjedziesz, nie będziesz wiedział, gdzie mnie szukać. Bo nie wrócę do Humpty Doo.

- Może i dobrze.

- Do Sydney też nie.

- Jeszcze lepiej.

- To co? Jesteś pewien, że nie chcesz? - Znów go dotknęła. - Na sto procent?

Wcale nie był pewien. Jego ciało z trudem godziło się na wyrzeczenie. Mimo to Matthew pokręcił głową, a potem wyciągnął rękę i splótł palce z palcami Tricii. Tak zasnęli pod roziskrzonym sklepieniem nieba.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Roman Llewellyn był samotnikiem. Jego pracownicy oraz sąsiedzi rozumieli to i szanowali. Od dawna nikt go nigdzie nie zapraszał, a on sam raz w roku pojawiał się na tradycyjnych miejscowych wyścigach, od czasu do czasu brał udział w fecie dobroczynnej i tradycyjnie pod koniec roku urządzał wielki piknik w buszu dla swoich pracowników i wszystkich, którzy mieli ochotę przyjść. Przez resztę czasu Roman cieszył się swoją samotnością, ponad towarzystwo ludzi przedkładając swojego jedynego przyjaciela - konia.

Sprawiał wrażenie człowieka twardego, konsekwentnie osiągającego swoje cele. W wieku lat sześćdziesięciu trzech miał silną, wysportowaną sylwetkę i żelazne zdrowie. Pił, ile chciał i kiedy chciał, żywił się wołowiną ze swojej farmy i dopiero przed rokiem zarzucił zwyczaj palenia własnoręcznie skręcanych papierosów. Nigdy nie był na siłowni, za to codziennie spędzał całe godziny na końskim grzbiecie i potrafił wykonać wszystkie zajęcia, jakie zlecał swoim pracownikom. Dla nich był „szefem”, a dla swojej gospodyni i kucharki „panem Llewellynem”. Już prawie nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś zwracał się do niego po imieniu.

Albo nazywał go tatą.

- Szefie, w domu jest telefon do pana!

Roman uniósł głowę i popatrzył na Luke'a, aborygeńskiego pomocnika, który stał podekscytowany w drzwiach stajni. Nie domyślał się, kto mógłby chcieć rozmawiać z nim osobiście, skoro do załatwiania swoich spraw zatrudniał nadzorcę, księgowego, menedżera i gospodynię, prowadzącą dom. Sam podejmował decyzje tylko w najważniejszych sprawach. Szkoda mu było czasu na drobiazgi.

Dlatego wrócił spokojnie do przerwanej czynności spłowywania

podkowy u rasowego wałacha i mruknął pod nosem:

- Cholerne żelastwo, znowu nie pasuje. Jak już tu jesteś, Luke, to leć i powiedz Sandy'emu, żeby to przy okazji poprawił.

- W porządku, szefie. A czy mam powiedzieć pani Myrtle, żeby zadzwoniła później?

- Helen Myrtle? - Roman zmarszczył brwi. To ona dzwoni?

- Tak, szefie.

Tym razem szef oderwał się od roboty, wytarł ręce w spodnie i ruszył do domu, gdzie znajdował się radiotelefon. Nie przepadał za nowoczesną techniką, ale wprowadzał ją, gdy okazywała się niezbędna. Podniósł słuchawkę i wcisnął guzik.

- Helen? Co się stało? - Słuchał przez chwilę, potem znów zapytał: - Jesteś pewna? - Kiedy powtórzyła pokrótce to, co już usłyszał, podziękował jej krótko i odłożył słuchawkę. - Niech to szlag trafi! - zaklął, wychodząc z pokoju.

Matthew szedł drogą obok Tricii, trzymając pod pachą zwinięty śpiwór. Bateria w zegarku wysiadła mu złośliwie właśnie teraz i nie wiedzieli nawet, która jest godzina. Rano zjedli kanapki, a na następnym postoju mieli wypić resztę wody.

Monotonia tej okolicy była nużąca. Matthew wyobrażał sobie wcześniej stada wspaniałych tor-baczy, przebiegające mu drogę, lecz zamiast tego tylko raz zobaczyli na horyzoncie kilka krów. Nie były to z pewnością niezliczone stada, które znał z opowieści ojca.

- Myślałem, że ujrzę tu kowbojów na koniach, albo coś w tym stylu - westchnął.

- Raczej facetów w helikopterach. Czasem używa się jeszcze koni, ale tylko koło domu. Te fermy są ogromne, objazd musiałby trwać całe tygodnie.

- Mój tata opowiadał, że kiedyś wyjeżdżało się konno na całe tygodnie i obozowało po drodze.

- Teraz ludzie na koniach pilnują krów tylko wtedy, gdy są spędzone na jednym pastwisku. Albo objeżdżają ogrodzenia, żeby sprawdzić, czy nie ma w nich dziur. Może twój dziadek zatrudni cię jako pastucha, to się przekonasz.

Matthew wiedział, że Tricia żartuje, ale przez chwilę zastanawiał się,

co powiedziałby dziadek Roman, gdyby naprawdę poprosił go o pracę. Liana nie była tu nigdy, a Cullen nie odwiedzał tego miejsca od lat. On sam był coraz bardziej ciekaw tej mitycznej Jimiramiry.

- Nie zdziwię się - odparł po chwili milczenia - jeśli w ogóle nie pozwoli nam zostać. On i mój ojciec od dawna nie chcą się znać. Może nawet dziadek nie wie, że ja istnieję.

- Co wtedy zrobisz?

Matthew nawet nie miał ochoty o tym myśleć.

- Nic - wzruszył ramionami - będę musiał się wynieść gdzie indziej.

- Niby dokąd?

- Do Zachodniej Australii.

- Piechotą? - Tricia pokiwała z politowaniem głową.

- Nie wiem. Moja wyobraźnia nie sięga tak daleko. Na razie muszę zobaczyć dziadka. Potem pomyślę.

- W każdym razie dalej z tobą nie pójdę, od razu ci to mówię.

- To nie. Ja przynajmniej wiem, że chcę iść dalej na zachód, a ty?

- A ja wiem coś, czego ty nie wiesz!

- Co?

- Ktoś jedzie!

Matthew wpatrzył się w drogę ze szczytu wzgórza. Po chwili dostrzegł w oddali szybko sunący ku nim obłok pyłu.

- Zaraz tu będzie - powiedziała Tricia. - Może nas podwiezie. A może to twój dziadek? - Upiła głęboki łyk z butelki i podsunęła mu ją pod nos. - Masz, napij się, musisz nabrać sił, Matthew.

- Szef czeka w domu. - Ciemnoskóry człowiek z płaskim nosem, który przedstawił im się na drodze jako Luke, wyszedł z furgonetki i z trzaskiem zamknął drzwi. Matthew z Tricią zsunęli się z platformy na ziemię.

- Ładne miejsce, nie? - powiedziała, rozglądając się ciekawie.

Matthew skinął głową. Główny budynek, gdzie ponoć oczekiwał ich gospodarz, miał białe ściany, na które rzucał cień potężny stary gumowiec, rosnący na podjeździe. Obszerna weranda z pięknym miedzianym dachem i podłogą z czerwonego drewna otaczała domostwo z trzech stron. Wokół rosły krzewy i wypielęgnowane kwietniki, a równy trawnik zamykało zielone, metalowe ogrodzenie z fantazyjnie zdobioną

furtką.

- Zdaje się, że kiedy dom się spalił, skorzystano z okazji i zbudowano ładniejszy... - Matthew przemówił do swoich własnych myśli.

- A kiedy się spalił?

- Nie wiem - powiedział, myśląc o Mei, której wieku nigdy nie potrafił odgadnąć. - Dawno temu.

- Twój ojciec się tu wychował?

- Tak, ale niewiele o tym opowiada.

Luke zniknął, lecz w oddali pojawili się inni. Dom był tylko jednym z wielu niskich, białych budynków, tworzących obejście. Za nimi było widać obszerne stajnie z ogrodzonymi wybiegami, ludzi na koniach, a także cały parking różnych pojazdów. Z drugiej strony znajdował się pas startowy, na którym stała awionetka oraz nieduży helikopter.

- Pewnie farma dziadka wydaje ci się duża, ale znam większe - powiedziała Tricia. - Coolibah Downs, to jest dopiero moloch! Mój tata pracował tam kiedyś przy bydle.

- Dla mnie wystarczy - uśmiechnął się melancholijnie, po czym wygładził pomietą koszulkę i przeczesał włosy grzebieniem, który domyślnie podrzuciła im pani Myrtle. - To jak, wchodzimy?

Otworzył furtkę, puszczając przed sobą Tricię. Po chodniku, ułożonym z kamieni, doszli do werandy. Tam dziewczyna usiadła na ławeczce pod oknem i oparła się o okiennicę, błogo przymykając oczy. Matthew natomiast zapukał do drzwi i czekał z drżącym sercem, kto mu otworzy.

Otworzyła mu siwiejąca kobieta w kraciastej sukience, ze szczotką do kurzu w grubej dłoni. Wpatrzyła się w niego zdumiona, bo zapewne nikt nie powiadomił jej o wizycie.

- Nazywam się Matthew Llewellyn - przedstawił się z niepewnym uśmiechem. - Przyjechałem, żeby zobaczyć się z dziadkiem.

Patrzyła na niego tak, jakby właśnie oznajmił, że zamierza podpalić dom.

- Matthew?

- Tak - powtórzył niepewny uśmiech. - Syn Cullena, Cullena Llewellyna.

Kobieta wymamrotała coś pod nosem, a potem otworzyła drzwi i wyjrzała na werandę.

- Jesteś z kimś?
- Tak. Ale Tricia może poczekać na zewnątrz.
- A czy twój dziadek...
- Sam z nim porozmawiam, Winnie - rozległ się z tyłu męski głos.

Kobieta natychmiast usunęła się w cień, a przed Matthew pojawił się starszy mężczyzna, obserwujący go uważnie spod zmrużonych powiek. Chłopak miał wrażenie, że za chwilę serce wyskoczy mu z piersi. Tymczasem mężczyzna milczał. Czekał.

- Dzień dobry panu, nazywam się Matthew Llewellyn i jestem synem Cullena. Czy pan jest może...? - Słowo, które miał wymówić, nagle uwięzło mu w gardle. Przez całe lata wyobrażał sobie, jak przyjeżdża właśnie tu, do tego człowieka, do dziadka. Tyle że w swoich wyobrażeniach był witany serdecznym uśmiechem.

- Tak, Roman Llewellyn to ja. Matthew wyprostował się mimowolnie.

- W takim razie jest pan moim dziadkiem.
- Na to wygląda.
- Nie zapowiedziałem swojej wizyty.
- Właśnie.

Przez chwilę stali w milczeniu, mierząc się wzrokiem. Roman wyglądał starzej i zarazem młodziej, niż Matthew go sobie wyobrażał. W pobrużdżonej twarzy dziadka mógł się dopatrzeć rysów ojca, ale gorzki grymas, który musiał gościć na niej stale, był zupełnie nie w stylu Cullena.

Matthew nie odwrócił wzroku pod badawczym spojrzeniem Romana, choć policzki mu płonęły.

- Gdzie są twoi rodzice? - usłyszał.
- Nie wiem. Nie rozmawiałem z nimi od czasu, kiedy uciekłem.
- Uciekłeś?

Matthew zastanawiał się, jak ująć całą historię w kilku słowach.

- Mama wysłała mnie samolotem do Nowego Jorku, na spotkanie z tatą. Wsiadłem w Denver i poleciałem do Australii, dokładnie tak, jak sobie wcześniej zaplanowałem.

Roman skinął głową, przyjmując fakty do wiadomości. Milczał, więc Matthew uznał, że dziadek czeka na dalszy ciąg.

- Wiedziałem, że w żaden inny sposób nie wyjadę do Australii - odezwał się znowu. - Żadne z nich by mnie tu nie zabrało. Oczywiście zostawiłem im wiadomość, żeby się o mnie nie martwili. Wiedzą, że nic mi nie jest, choć nie wiedzą dokładnie, gdzie jestem.

- Dokładnie?

- No... w ogóle nie wiedzą.

- Ukryłeś to i owo.

- Zgadza się - Matthew uśmiechnął się nieśmiało.

- A dlaczego przyjechałeś do Jimiramiry?

- Bo pan jest moim dziadkiem.

- Tylko dlatego?

- Pomyślałem, że muszę sam wziąć byka za rogi. Bo inaczej nigdy nie poznam Romana Llewellyna.

Bruzdy na twarzy Romana pogłębiły się.

- Czy wziąłeś pod uwagę możliwość, że nie będę chciał z tobą rozmawiać?

- Pewnie. Wydawało mi się to całkiem prawdopodobne.

- A jednak ruszyłeś w podróż? Skłamałeś i uciekłeś?

- Pierwszy raz w życiu. Nie jestem żadnym leserem, może pan to sprawdzić. Czasami nie ma innych sposobów na załatwienie ważnej sprawy.

- Jak się tu dostałeś?

- Właściwie to nie ma się czym chwalić... - Matthew po raz pierwszy uciekł spojrzeniem w bok.

- Powiedz.

- Więc wziąłem kartę kredytową mamy, żeby kupić bilet. Ale zwrócę jej wszystko, co do centa, z odsetkami, obiecuję. Miała zamiar ją zablokować, ale znalazłem w komputerze jeszcze nie wysłany list do banku i skasowałem go. Bilet kupiłem przez Internet. Miałem trochę czasu, zanim...

- Wiem, o co chodzi.

- Pożyczyłem paszport kolegi i dostałem wizę na jego nazwisko.

- Łgałeś, kombinowałeś, okradłeś własną matkę. Zachowałeś się

podle - stwierdził sucho Roman Llewellyn.

- Być może. Ale miałem do tego prawo.

- Z jakiej racji? Jako kto?

- Jako dziecko, które miało już dosyć dorosłych, niezważających na jego potrzeby i decydujących, co jest dla niego dobre bez pytania go o zdanie - stwierdził buntowniczo Matthew. - Co z tego, że teoretycznie mam rodzinę, kiedy ojca widuję przez miesiąc raz do roku, a własnego dziadka nie znałem w ogóle! Urodziłem się w Australii. Chcę wiedzieć, gdzie są moje korzenie. Poza tym... - w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie wszystko mogło być powiedziane od razu.

- Zaraz zadzwonisz do mamy, a potem odeślę cię do domu. Jeśli będzie trzeba, pod eskortą.

- Zgoda, ma pan prawo to zrobić. - Matthew popatrzył dziadkowi prosto w oczy. - Ale może też pan pozwolić mi spędzić u siebie choć jeden dzień, skoro już tu przyjechałem. Co to znaczy jeden dzień? Całe życie czekałem na niego! Jak pan chce, zadzwonię do mamy i powiem jej, że wszystko w porządku. Nie ma sprawy, nie boję się, że mnie opie... skrzyczy. Naprawdę nie chcę, żeby się zamartwiała. Poza tym przyjechałem tu z jeszcze innego powodu i kiedy teraz mnie pan odeśle, nie zdążę wyjaśnić, o co chodzi.

- Widzę, że wrodziłeś się w swojego tatusia. Myślisz, że wszystko da się załatwić gadaniem.

Matthew niełatwo dawał się wyprowadzić z równowagi, ale teraz czuł, jak narasta w nim gniew.

- Mam nadzieję, że się w niego wrodziłem, bo to najlepszy ojciec na świecie! Ale co pan może wiedzieć o swoim synu, jeśli od lat zachowuje się pan tak, jakby go nie znał, prawda?

Roman zaśmiał się ponuro.

- Daj spokój, mały, co ty wiesz?

Matthew postąpił krok naprzód. Było mu już wszystko jedno.

- Wszystko wiem. Zapewne więcej niż pan. Wiem, że mój tata wpadł w nałóg hazardu i że popełnił wiele błędów. Sam pewnie też popełnię w życiu wiele błędów, ale tak jak on będę ich żałował i naprawię je, choćbym miał ciężko harować. Tak jak on!

- Największy błąd popełniłeś, przyjeżdżając tutaj.

- Nie, proszę pana - Matthew popatrzył na niego zimnym wzrokiem - musiałem się dowiedzieć, skąd i od kogo pochodzę. I dowiedziałem się, choć trochę inaczej wyobrażałem sobie to spotkanie. Ale to nic. Zniosę i to.

Roman przysunął się do niego, aż stanęli twarzą w twarz, jak przeciwnicy na ringu. Wreszcie, po chwili napięcia, starszy człowiek pokręcił głową, odwrócił się i odszedł. Przy końcu korytarza przystanął i powiedział, nie zwracając ku niemu głowy:

- Wejdź do domu. I zawołaj dziewczynę. Win-nie da wam jeść, a potem zaprowadzi was do łazienki. Kiedy będziecie gotowi, przyjdźcie do mojego gabinetu.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Roman miał w swoim gabinecie lustro w ozdobnej ramie. Przeglądał się w nim tylko przy rzadkich okazjach, kiedy musiał przyczesać włosy przed przybyciem gości. W Jimiramirze gościli urzędnicy rządowi, politycy, ludzie z policji i z wojska. Dla celów praktycznych Llewellyn pozwolił się wybrać burmistrzem, lecz jak zwykle zrzucił większość zadań na swoich wybranych ludzi. Były jednak sprawy, w których nikt nie mógł go zastąpić.

Takie jak bycie dziadkiem Matthew Llewellyna.

Popatrzył na swoje odbicie i zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał - zgorzknienie, cynizm, zobojętnienie.

Lustro w mosiężnej oprawie należało do jego żony i wisiało w tym miejscu od trzydziestu lat, czyli od chwili jej śmierci. Joan była dziewczyną z Darwin i kochała swoje miasto tak bardzo, że nadała ich jednemu synowi imię Cullen Bay - od zatoki, nad którą jeździła na pikniki jako młoda dziewczyna. I choć nigdy nie skarżyła się na twarde życie na farmie, z upodobaniem kolekcjonowała piękne przedmioty i kultywowała miejskie zwyczaje. Roman zachował po niej jeszcze inne pamiątki - oprawne w srebro grzebień i szczotkę, dziwnego kształtu precjoza, a nawet jej ukochane suszone bukiety.

Ale, Bóg mu świadkiem, nie zdołał zachować ich syna, czyli tego, co Joan kochała najbardziej. Kiedy umarła na raka, Roman odprowadził dziecko do sierocińca. Chciał umrzeć. Pił. Zagłębiony we własnym, bezbrzeżnym bólu, zapadał się w siebie, odcinając sobie drogę powrotu do zwykłego życia.

Dziś było już za późno, by cokolwiek zmieniać. Prawie dwadzieścia lat minęło od czasu, kiedy ostatni raz widział syna. Nie było dnia, aby nie myślał o Cullenie, czy o bagnie, w jakie ten chłopak, nie mający

obok siebie ojca, zamienił swoje życie. Nie było dnia, żeby nie dręczyły go żal i wyrzuty sumienia. Ale nie wiedział, jak może naprawić swoje winy. Był jak ziemia, którą uprawiał - niewzruszona i wypalona. Podobnie jak Jimiramira, nie potrafił szybko leczyć się z ran.

Gdzie był teraz Cullen? Czy szalał z rozpaczy, bo zaginął mu syn? Roman uśmiechnął się kwaśno na myśl o Matthew. Naiwny chłopak wyobrażał sobie, że uspokoi rodziców krótkim zdaniem, że wszystko z nim porządku. Roman wiedział lepiej - sam w końcu był ojcem -jak to jest, kiedy traci się dziecko.

Rozległo się pukanie do drzwi. Oceniał, że jeszcze za wcześnie na spotkanie z wnukiem. Odetchnął głęboko, odszedł od lustra i dopiero wtedy powiedział, żeby wejść. Na jego zaproszenie drzwi otworzyły się gwałtownie, ukazując Winnie w bojowej postawie, z rękami wspartymi na biodrach. Jej wzrok kłuł jak sztylet.

- Jeżeli odeślesz tego chłopaka, odchodzę - zapowiedziała, celując w niego oskarżycielsko palcem. - Odejdę i zabiorę ze sobą Harolda. Co wtedy zrobisz, Roman? Kto z tobą wytrzyma, pytam cię?

- Nie wtrącaj się, kobieto, to nie twoja sprawa!

- Zarządzam tym domem i wszystkimi jego mieszkańcami. A mój Harold zarządza twoim majątkiem. Nikt chyba nie zna ciebie tak dobrze jak my. Los dał ci wreszcie szansę uporządkowania wszystkiego, co napłatało się przez lata. Biada ci, gdybyś jej nie wykorzystał!

Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie śmiałby tak przemawiać do Romana Llewellyna, ale Winnie знаła go od tylu lat, że czuła się bezkarna. Nerwowym ruchem pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu pudełka z tytoniem, zapominając, że już nie pali.

- Co chłopak teraz robi? - zapytał.

- Wspólnie z tą dziewczyną pochłonęli miskę parówek, jakby głodowali od tygodnia. Pytałeś, jak tu dotarł?

- Nie.

- A pytałeś o nią?

- Nie pytałem.

- Chyba wiem, kim ona jest.

Roman nie był ciekaw. Miał wystarczająco dużo kłopotów ze swoim wnukiem.

- Co to ma za znaczenie? - burknął.
- Znasz Robby'ego Simmonsa, prawda?
- Simmons z Coolibah Downs? Świetny fachowiec.
- No właśnie. Teraz prowadzi ze swoją żoną małe gospodarstwo koło Humpty Doo. Chyba mają sady.
- Czy Robby ma coś wspólnego z tą dziewczyną?
- Jego córka zaginęła rok temu przed świętami - odparła Winnie. -

Kiedy byłam w Darwin, w odwiedzinach u rodziny, widziałam list gończy i fotografię. Podobieństwo jest wyraźne. Poza tym Simmonsówna miała na imię Patricia, a ta mała przedstawia się jako Tricia. Jestem prawie pewna, że to ona.

- I co masz zamiar zrobić z tym faktem?
- A co powinnam?

Roman wolałby, żeby nic nie robiła. Znał się na koniach, bydle czy psach, potrafił wywiercić studnię czy zbudować ogrodzenie. Znał się na weterynarii i orientował się w międzynarodowych finansach. Ale w ogóle nie znał się na dzieciach i ich problemach.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli zadzwonisz do Robby'ego - powiedział, wzruszając ramionami.

- Dobrze, a co z chłopcem? Roman milczał.
- Przecież podjął taką daleką wyprawę, żeby cię zobaczyć.
- To nie twoja sprawa, Winnie.
- Nieprawda, Roman.

Spiorunował ją spojrzeniem. Dotąd był dla niej panem Llewellynem, a teraz zwracała się do niego po imieniu, oskarżycielsko grożąc palcem. Do czego to podobne?

- Wymagam dla siebie szacunku...
 - Zachowuj się jak mężczyzna, to będę cię traktowała z szacunkiem - rzuciła, odwracając się na pięcie i demonstracyjnie wychodząc z gabinetu.

Roman nie miał pojęcia, co się stało jego cichej, łagodnej Winnie. Jednak zmiana, jaka zaszła w nim samym, była równie dramatyczna. Przez lata nauczył się żyć ze świadomością braku Joan i utraty Cullena. Stłumił rozpacz, wtłaczając swoje życie w sztywne schematy, których rygorystycznie przestrzegał. Pilnie wystrzegał się nowości i wkraczania

na zakazane obszary. A teraz zdarzyło się to, czego obawiał się najbardziej przeszłość wdarła się gwałtowną falą do jego twierdzy, burząc wszelkie zabezpieczenia.

Kiedy w pół godziny później rozległo się pukanie do drzwi, pilnie wczytywał się w papiery, leżące przed nim na biurku. Powiedział cicho „proszę” i na progu ukazał się Matthew, z włosami jeszcze wilgotnymi po myciu. Wszedł do jego gabinetu z tą cholerną kalifornijską swobodą i odetchnął z wyraźnym zadowoleniem.

- No, teraz czuję się bosko. A ty, dziadku? Roman znów zagłębił nos w papierach, udając, że wnuk przerwał mu ważną robotę. Fakt, że został nazwany dziadkiem, dosłownie nim wstrząsnął.

- Ja nie pożarłem miski parówek.

- Macie tu trochę inne niż te w Stanach, ale całkiem niezłe. Smakowały mi. Musiałem chyba jeść podobne w dzieciństwie.

- Nadal jesteś dzieckiem.

- Wtedy byłem bardzo małym dzieckiem i mieszkałem w Australii. Zdaje się, że ani razu mnie nie odwiedziłeś. A może czegoś nie pamiętam?

- Nie, nie odwiedziłem - odparł Roman, spodziewając się, że za chwilę padnie pytanie „dlaczego”. Chłopak był obcesowy i brakowało mu taktu. Pewnie odziedziczył to po Cullenie.

- Bardzo nieładnie z twojej strony, dziadku - skomentował. - A podobno byłem miłym dzieckiem. No, ale wiem, nie każdy lubi dzieci. Niektórzy przekonują się do nich, dopiero kiedy podrosną.

Roman nie był w stanie dłużej milczeć ani udawać, że nic go nie rusza. Każde słowo Matthew raniło go jak strzał w serce.

- Nie odwiedzałem cię, bo tak poróżniliśmy się z twoim tatą, że nie było możliwości pogodzenia się - odpowiedział. - Nie pozwoliliby mi przyjechać.

- Skąd wiesz? Pytałeś go?

- Nie musiałem. Jestem jego ojcem, znam go.

- Bardzo mu ciebie brakuje, wiesz?

- Nietrudno do mnie trafić.

- Tak, ale on nie wie, że chciałbyś go zobaczyć.

- Nie chcę go widzieć.

Chłopiec podszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec.

- Wiem o Jimiramirze, znam historię Archera i Bryce'a. Więcej wiem o tym niż o tobie.

Roman był zaskoczony

- Skąd wiesz? Ojciec ci opowiedział?

- Nie.

- Matka?

- Nie, ona nie wie nawet połowy tego, co ja, a ojciec też niewiele więcej. To zasługa mojej ciotki, Mei Fong. Kiedyś tu mieszkała, kiedy twój ojciec nie był jeszcze taki stary i żyli jeszcze Archer i Viola. Była tutaj, kiedy Jimiramira się spaliła.

Roman był kompletnie zbity z tropu. Spodziewał się żalu, pretensji, że nie był dobrym dziadkiem, wszystkiego, tylko nie tak dorosłej rozmowy o historii rodziny.

- Całkowicie mnie zaskoczyłeś - przyznał. Z jakiej racji twoja ciotka miałaby tu mieszkać?

- Właściwie to cioteczna babka. Siostra mojego dziadka. Oczywiście dziadka Robesona. Nie bardzo go pamiętam. Też nie lubił dzieci. I dlatego między innymi tu przyjechałem, bo jesteś jedynym dziadkiem, jaki mi został.

- Między innymi?

- Tak, jest jeszcze inny powód.

Roman coraz wyraźniej czuł, jak jego starannie poukładane życie rozpada się za sprawą tego dziwnie dorosłego dziecka. Miał przerażające wrażenie, że pod nogami otwiera mu się przepaść, i jeśli powie coś, albo Matthew zada jeszcze jedno pytanie, runie na samo dno.

- Najwyższy czas, żebyś zadzwonił do mamy i zawiadomił, że wracasz do domu. Jeśli będziesz usiłował przedłużyć...

- Zadzwonię, oczywiście - przerwał mu Matthew. - Ale nie powiem, że wracam do domu. Jeszcze nie teraz. Mam tu coś ważnego do załatwienia. Wiem aż za dobrze, że jeśli bym teraz wrócił, już by mnie stamtąd nie wypuścili. Przykuliby mnie łańcuchem do łóżka i musiałbym czekać do pełnoletności, a ja mam mało czasu. - Odwrócił się od okna i obdarzył Romana rozbijającym uśmiechem, który boleśnie przypominał mu Cullena. - Mój ojciec pewnie już przyjechał do Kalifornii, bo miał

mnie wziąć na wakacje. Niedobrze... - posmutniał nagle.

- Dlaczego? - pytanie wymknęło się Romanowi, zanim zdążył pomyśleć.

- On i mama mało rozmawiają ze sobą. Wielu moich przyjaciół ma rozwiedzionych rodziców. Niektórzy strasznie się żrą, więc i tak sędzę, że moi są lepsi. Ale nie wiem, co będzie, jeśli się spotkają i okaże się, że właśnie uciekłem.

Roman zdążył ukuć na ten temat swoją teorię i natychmiast zapragnął ją zweryfikować.

- A może uciekłeś, bo miałeś nadzieję, że zejdą się z powrotem?

Tym razem Matthew wyglądał na całkowicie zbitego z tropu.

- Poważnie tak myślisz?

- Usiłuję tylko zrozumieć, dlaczego zobaczyłem cię w moich progach.

- Och, dziadku, przecież to proste. Dlatego że ja nie zobaczyłem cię w swoich.

Matthew był zaskoczony, że dziadek zostawił go w biurze samego. Wybrał tylko numer przez radiotelefon, wręczył mu słuchawkę i wyszedł, zostawiając półotwarte drzwi.

Wysłuchał znajomy przekaz telefonicznej sekretarki, a potem wyrecytował:

- Hej, mamó, to ja, wszystko u mnie w porządku, więc proszę, nie martw się o mnie. - Kątem oka dostrzegł cię, przesuwający się za drzwiami i zrozumiał, że musi się bardziej postarać, jeśli nie chce, by dziadek wszedł i przejął od niego słuchawkę. - Okay, powiem ci, gdzie jestem. W Australii. Nie powinno mnie tu być, ale bałem się, że jeśli wyjadę w czasie, kiedy jest tu tata, będziesz myślała, że to jego sprawa. Dlatego poczekałem, aż przyjedzie do Stanów, i dopiero zniknąłem. Musiałem tak zrobić. Chciałem zobaczyć, skąd pochodzę. Niedługo wracam do domu, więc naprawdę się nie martw. I obiecuję, że zwrócę wszystko, co pożyczyłem na bilet, z odsetkami. Wiem, na pewno trochę się na mnie wkurzacie. Są jednak ważne sprawy, których nikt nie rozumie. Potem ci to wytłumaczę. - Wyobraził sobie Lianę, jak pochyla się nad telefonem i słucha jego głosu ze łzami w oczach, i dodał: - Kocham cię, mamó. A gdybyś rozmawiała z tatą, to powiedz mu, że też

go kocham.

Dziwił się, czemu nagle stał się tak rzewny, skoro przekaz miała najpierw odebrać inna osoba - zapewne sekretarka, a dopiero potem Liana. Podał bowiem dziadkowi numer Pacific International, gdyż nie chciał, aby wiadomość o jego telefonie dotarła do rodziców zbyt szybko i aby nie zdążono namierzyć, skąd dzwonił. Jutro rano, kiedy jest najwięcej spraw, ktoś z sekretariatu odsłucha taśmę i najprawdopodobniej uzna jego nagranie za głupi żart. A jeśli nawet zawiadomi o nim szefową, cała sprawa się trochę odwlecze.

Kiedy odkładał słuchawkę, dziadek wszedł do pokoju.

- Nie było mamy, ale zostawiłem jej wiadomość.

- Powiedziałeś, gdzie jesteś?

- Powiedziałem tylko, że w Australii. - Oczekiwał na następne pytanie dziadka, ale nie padło. - Rozmawiałeś z Tricią? - zagadnął, usiłując zmienić temat.

- Sam zadzwonię później do twojej matki. A jeśli chodzi o dziewczynę, to wolałbym, żebyś ty mi o niej opowiedział. Tylko mów prawdę!

- Niewiele o niej wiem - rozłożył ręce Mat-thew. - Spotkałem ją w Sydney, gdzie... gdzie straciłem wszystkie pieniądze, a ona... pracę i mieszkanie. Postanowiliśmy podróżować razem. Tricią dobrze zna Terytorium, więc liczyłem, że mi pomoże.

- Straciłeś pieniądze?

Matthew przygryzł wargi. Nie chciał wydać przyjaciółki. Nie chciał też kłamać.

- Ktoś ukradł mi portfel. Potem go odzyskałem, ale prawie cała forsa zniknęła.

- Czy ona nie miała czasem coś z tym wspólnego?

- Tricia jest w porządku, nie musisz się o nią martwić.

- Czy ona ma jakieś nazwisko? Czy jest z Humpty Doo?

- Trzeba by ją zapytać.

- Nieźle się dobraliście - sarknął Roman, siadając za biurkiem. -

Dobrze, zostaw mnie teraz. Muszę trochę popracować.

- Dziadku?

- Co takiego?

- Chciałbym zobaczyć Jimiramirę. Czy ktoś mógłby mi ją pokazać? Może... może nie będę już mógł tu wrócić, a przynajmniej nieprędko.

Stary Llewellyn westchnął głęboko, jakby z samej głębi obolałej duszy.

- Dobrze, skoro już tu jesteś, mogę ci poświęcić chwilę czasu.

- Naprawdę sam byś mi wszystko pokazał? To cudownie!

- Kiedy się tak cieszysz, wyglądasz zupełnie jak swój ojciec. A nawet jak mój ojciec. Mam trochę zdjęć. Jak wrócimy, możemy je potem pooglądać. Masz ochotę?

Jimiramira przerosła oczekiwania Matthew, choć zdołał zobaczyć zaledwie małą jej część. Zwiedzanie zaczęli od wybiegów dla koni.

- Umiesz jeździć? - pytanie było właściwie stwierdzeniem. Roman najwyraźniej nie wyobrażał sobie, że jego wnuk nie umiałby się utrzymać w siodle.

- Pewnie. Tata zawsze zabiera mnie latem na konie. Miałem lekcje jazdy od małego.

- A ty? - Llewellyn zwrócił się do Tricii, która towarzyszyła im w tej wyprawie.

- Spoko, dajcie mi konia, a zobaczycie.

- No to chodźcie, przejedziemy się trochę.

Przeszli do stajni, gdzie Matthew od razu wybrał sobie kasztana z białą strzałką na łbie. Roman pokiwał głową z aprobatą, za to siwa klacz Tricii wzbudziła w nim mniejszy zachwyt.

- Jesteś pewna, że dasz sobie z nią radę? Nie była ujeżdżana, potrzebuje tresury.

- Spoko, będzie dobrze.

Wskoczyli na siodła. Wierzchowiec Matthew szedł spokojnie, lecz klacz Tricii od razu pokazała, co potrafi. Zaczęła wierzgać, ledwie poczuła pod sobą jeźdźca, i Matthew wystraszył się, że dziewczyna za moment spadnie. Tricia szybko ją jednak okiełznała.

- Zuch dziewczyna, widać, że z Terytorium - mruknął z aprobatą Roman. - Słyszałeś o wielkim pożarze? - zapytał wnuka, kiedy odjechali z terenu stajni, kierując się w stronę domu. - Mój ojciec był wtedy bardzo młody, ale sprowadził ludzi i odbudował dom. Obiecał matce, że jeszcze go rozbuduje i unowocześni. Obietnicy raczej nie dotrzymał, ale

i tak cieszyła się, że ma ściany i dach nad głową. W tym domu się wychowałem. Kiedy sprowadziłem tu twoją babcię, zbudowałem dla niej coś, z czego mogła być dumna.

- I była? - zapytał Matthew. Dziadek dziwnie odchrząknął.

- Tak, bardzo kochała ten dom.

- Czy jest tu pochowana? - Matthew wskazał na mały cmentarzyk na zboczu wzgórza, niedaleko od drogi, ogrodzony ozdobną kratą, podobnie jak dom.

- Tak.

- Chcę później iść na jej grób.

W odpowiedzi Roman skierował konia w drugą stronę.

Matthew zapamiętał każdy szczegół tego popołudnia. Przejeżdżali wzdłuż całego kompleksu gospodarskich zabudowań, a dziadek objaśniał przeznaczenie każdego z nich.

- To jest magazyn - mówił, wskazując na kamienny budynek wielkości supermarketu w małym miasteczku. - Staramy się mieć wszystko na miejscu, a jeśli czegoś zabraknie, sprowadzamy. Bywa też, że jakiś czas staramy się bez tego obywać.

Później obejrżeli chłodnię, pomieszczenia dla pracowników i budynek biurowy z małą werandą i niewielkimi oknami. Był nawet basen, chwilowo nienapełniony. Gdy przyszła pora na obory, musieli wysłuchać krótkiego wykładu o rasowym bydle. Potem zaś kichali w kłębach kurzu, przejeżdżając obok pastwisk, gdzie konni pasterze z psami przeganiali stada.

- Na terenie posiadłości są jeszcze dwa obozy pasterskie - opowiadał Roman. - I kilka szałasów przy granicy, dla jeźdźców, którzy objeżdżają ogrodzenie i naprawiają je, gdy trzeba. Każdy z nich ma prawie osiemset kilometrów płotów na swoim odcinku. Po każdej porze deszczowej naprawiamy też drogi, ale i tak ciężko nimi przejechać. Sam widzisz, że to robota dla samotników i twardzieli. Nie każdy się na nią decyduje.

Matthew z radością obserwował, jak ochronny mur, jaki jego dziadek wznosił wokół siebie, kruszy się z każdą godziną. Roman wyraźnie lubił opowiadać o swojej ziemi i pracy. Może pierwszy raz znalazł życzliwego słuchacza?

Na koniec, zupełnie niespodziewanie, znaleźli się nad malowniczym

stawem, zasilanym przez ciemne wody strumienia i ocienionym gęstwiną drzew. Spod końskich kopyt podrywały się tu kolorowe ptaki, wzlatując w jaskrawe przedwieczne niebo. Matthew pomyślał, że nigdy w życiu nie widział czegoś tak pięknego, jak owa oaza barw i zieleni w surowym, szarym krajobrazie.

Roman Llewellyn zsiadł konia, a potem przytrzymał wodze klaczy, by mogła zejść Tricia.

- Nie przypomina ci to bagien w Coolibah Downs? - zagadnął dziewczynę. - Oczywiście tamte stawy są większe, ale podobieństwo jest uderzające, prawda?

- Fakt, ten jest mniejszy - odparła Tricia i dopiero po chwili jej ciało zeszywniało, a wzrok stał się czujny. - Skąd... skąd pan wie? - zapytała.

- Wiem, wiem - odparł. - Winnie cię rozpoznała. Widziała twoją fotografię w prasie, w Darwin. Dobrze pamiętają tam twojego ojca.

Matthew przypomniał sobie, jak Tricia opowiadała mu w drodze o Coolibah Downs.

- Nie wracam do Humpty Doo - oświadczyła hardo. - I nie potrzebuję niańki. Mam robotę w Sydney i wyrwałam się tylko na parę dni, żeby odpocząć.

- Jaką robotę?

- Jakbym ci powiedziała, dziadku, toby ci się siwy włos na głowie zjeżył!

Matthew zamarł. Tricia mogła pożałować swej śmiałości. Jednak ku jego zaskoczeniu, Roman pokiwał tylko głową i zapytał, nie zmieniając tonu:

- Nie myślałaś o lepszym zajęciu?

- Niby jakim? Mam wrócić na to zadupie?

- Mów do mnie tak, jak cię ojciec z matką nauczyli, mała! - zniecierpliwiał się wreszcie Roman. - Znam ich oboje, to porządni ludzie. Spaliliby się ze wstydu, gdyby wiedzieli, co robisz.

- Myślisz, że nie wiem? - Wzruszyła ramionami.

- I pewnie dlatego nie chcesz wracać? Tricia dumnie uniosła podbródek, ale Matthew dostrzegł, że oczy dziwnie jej błyszczą.

- Przydasz mi się tutaj. - Roman puścił wodze i zszedł na brzeg stawu, jak gdyby nie interesowała go odpowiedź Tricii. - W tej chwili

magazynem zajmują się na zmianę Winnie i żona mojego księgowego, ale obie mają mnóstwo innych zajęć. Chętnie bym ci go powierzył. Jesteś dobra w rachunkach?

- Niezła.

- Płacę dobrze, ale i wymagam. Żadnego obijania się ani przekrętów. Jeśli tylko zamarzą ci się dawne nawyczki, z miejsca dostajesz wymówienie, rozumiesz?

- Będzie mnie pan pilnował na każdym kroku i czekał, aż wpadnę?

- Nie więcej, niż pilnuję innych. I nikt tutaj nie musi wiedzieć, skąd jesteś i co robiłaś.

- Dlaczego chce mi pan pomóc?

- Bo wiem z praktyki, że kiedy skojarzę cennego byka z rasową krową, cielę musi być warte chowania, nawet jeśli parę razy wejdzie mi w szkodę. W końcu kiedyś wyrośnie na porządną sztukę. Przemyśl sobie to, mała - zakończył, po czym przykucnął nad stawem i obmył twarz czystą wodą.

Matthew patrzył na Tricię, która spoglądała w przestrzeń z zamyśloną miną, i dziwił się, jak bardzo jej zazdrości.

- No i co myślisz o tym miejscu? Podobają ci się te twoje korzenie? - Tricia gestem zachęciła Matthew, by usiadł z nią na ławce w cienistej altance za domem. Wkrótce Winnie miała zawołać ich na kolację, ale kolacja nie była jeszcze gotowa, więc postanowili wyjść na dwór i popatrzeć na późnopołudniowe słońce. - Twój dziadźka to całkiem fajny gość - ciągnęła, nie czekając na odpowiedź. - Co myślisz o jego propozycji? Uważasz, że powinnam tu zostać?

Matthew usiadł przy niej, czując obok siebie ciepło jej uda.

- Jasne, że tak. To dobra robota na początek.

- Obejrzałam sobie ten magazyn. Trzeba tam zrobić trochę porządku, ale widziałam gorsze rzeczy.

- Będziesz się tu dobrze czuła? Mówiłaś, że masz dosyć swoich stron.

- Chyba nie wiedziałam, że są tu inne, lepsze miejsca, w których można coś robić.

- Lepsze niż Sydney?

- Jasne. Bardziej bezpieczne. W mieście napatrzyłam się na rzeczy, o

których nie chciałabym pamiętać. Gdybym kiedykolwiek chciała tam wrócić, to dopiero wtedy, gdy będę miała dobry zawód i własną kasę. Może powinnam pomyśleć o studiach?

- Kiedy jechaliśmy do Jimiramiry, nie myślałem, że tu zostaniesz.
- A ty nie zostaniesz?
- Nie, muszę wracać. Dziadek powiedział, że zadzwoni do mojej matki. Może nawet robi to teraz. Muszę ruszyć, zanim mama przyśle tu kogoś po mnie.

Tricia jak zwykle nie zapytała go o szczegóły, jakby wyczuwała, że i tak jej nie powie. Nigdy nie narzekała, nie pouczała, nie kłóciła się. Odważna, lojalna, bezpośrednia, była najlepszym kumplem, jakiego spotkał.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedział szczerze.
- Ja też będę za tobą tęsknić, Jankesiku. Ale myślę, że jeszcze się kiedyś spotkamy. - Popatrzyli na siebie uważnie. Tricia przysunęła się bliżej. - Pocałujesz mnie na pożegnanie?

Matthew całował się już z dziewczynami, ale nigdy żadnej nie pożądał tak, jak teraz Tricii. Zastanawiał się, jak mężczyzna może trzymać fason, kiedy nad pewnymi częściami ciała w ogóle nie ma kontroli.

Nie wykonała żadnego gestu, więc zrozumiał, że następny ruch należy do niego. Wsunął dłoń we włosy z tyłu jej głowy i przyciągnął Tricię do siebie, tak jak widział to na filmach. Włosy miała gładkie, jedwabiste, poddające się jego palcom. Nie przymknął oczu, bo chciał widzieć wszystko. Musnął wargi dziewczyny swoimi, a potem przycisnął się do nich mocniej, aż zaczęła oddawać pocałunek. Zarzuciła mu ręce na szyję i przylgnęła do niego całym ciałem. Na intensywnym, przedwieczornym niebie Jimiramiry Matthew zobaczył pierwsze, blade gwiazdy.

Rodzice Tricii przylecieli tuż przed zachodem słońca. Pilot jednosilnikowego samolotu, który zgrabnie wylądował na jedynym pasie z tyłu zabudowań, był przyjacielem Robby'ego z Coolibah Downs. Bez problemu dał się namówić, by zabrać Simmonsów z Darwin i podrzucić ich tutaj. Ojciec Tricii okazał się wysokim, żyłastym mężczyzną. Matka miała miłą twarz, zielonkawe oczy, tak jak jej córka, i spracowane, silne ręce, nerwowo skręcające się, jak gdyby nie potrafiły istnieć bez pracy.

Tricia, choć nie wiedziała, kiedy dokładnie przyjadą rodzice, musiała się ich spodziewać. Mimo to zawahała się, kiedy matka pojawiła się w drzwiach salonu Llewellyna. Ruszyła się dopiero, kiedy pani Simmons rozłożyła ramiona, by pochwycić córkę w objęcia. W tym momencie Matthew dyskretnie się wycofał.

Na werandzie natknął się na dziadka, rozmawiającego z pilotem.

- Jim mówi, że może nas trochę przewieźć - zagadnął, widząc wnuka. - Miałbyś coś przeciwko temu, żeby popatrzeć na Jimiramirę z góry, Matthew?

Był tak zachwycony, że zdołał tylko niemo przytaknąć.

Po kilkunastu minutach wzlecieli nad Jimiramirę. Widok zapierał dech w piersiach.

- To jeden z obozów, o jakich ci opowiadałem! - Roman, przekrzykując warkot silnika, pokazał w dół na coś, co wyglądało jak miniaturowe miasteczko z dziecięcej kolejki. - Mirror Hill. Tylko dom, spichrze i parę szop. Droga jest niezła. Tu podjeżdżają pociągi drogowe i zabierają nasze produkty na rynek...

Północne obrzeża Jimiramiry zamykało pasmo wzgórz. Gdzieś tam ziemię żłobiły koryta wyschniętych rzek. Dolecieli nad drugi obóz, który był jeszcze bardziej prymitywny niż pierwszy, potem zatoczyli wielki łuk nad Terytorium, a kiedy wylądowali, niebo miało już różowawy odcień zachodu i oszałamiającą głębię, która zdawała się oddzielać tę ziemię od reszty świata. Podziękowali Jimowi i ruszyli w stronę domu. Po drodze Matthew postanowił jeszcze raz poruszyć temat Tricii.

- Myślisz, że Tricia wyjedzie z rodzicami, czy zostanie u ciebie?

- Myślę, że pojedzie do domu na weekend, ale szybko tu wróci.

Przecież będą mogli ją odwiedzać. Da Bóg, a ta rodzina się jakoś skleci. Przynajmniej ta...

Ostatnie słowa poruszyły sercem Matthew i popatrzył z troską na dziadka, który przez tyle lat żył samotnie, pogrążony we własnej goryczy. Dziwne, myślał, jeszcze wczoraj nie znałem tego człowieka, a teraz jest mi tak bliski.

- Możemy zobaczyć cmentarz? - zapytał nieoczekiwanie, kiedy zbliżali się do domu.

- Po co?

- Przecież to moja rodzina. Też chciałbym ją posklejać.
- Jeśli chcesz, idź sam.
- Wolę z tobą. Tylko ty możesz mi opowiedzieć, kto jest tam

pochowany.

- Strasznie dużo żadasz, chłopcze. Tak jak twój ojciec. Ciągłe był nienasycony, nigdy mu nie było dosyć - powiedział burkliwie Roman, ale skręcił na ścieżkę, wiodącą w stronę cmentarza. Kiedy Matthew zrównał się z nim, znów przemówił: - Kiedy Cullen był mały, zabierałem go tu czasami. Siadywaliśmy na grobie jego matki, a on rozmawiał z nią, jakby mogła go słyszeć. Opowiadał jej, co robił ostatnio, na jakim koniu jeździł, czy o tym, jak złapał rybę w stawie. Między nimi była bardzo głęboka więź. Kiedy Joan jeszcze żyła, nasza trójka trzymała się mocno...

Nie dokończył, wzruszenie odebrało mu głos. Matthew również poczuł ten sam zdradliwy uścisk w gardle. Nigdy dotąd nie myślał o swoim ojcu jako o samotnym chłopczyku, niemającym z kim porozmawiać poza matką, która odeszła.

- Od tego czasu przestałem tu przychodzić. - Roman zatrzymał się u cmentarnej bramy. - Bo kiedy staję nad grobem, widzę ich oboje.

Matthew czuł, jak napływają mu do oczu niechciane, niemęskie łzy. Łzy, którymi tak gardził jego dziadek. Zamrugał powiekami i odwrócił głowę, zaciskając palce na ogrodzeniu. Zrozumiał, że właśnie teraz musi powiedzieć Romanowi Llewellynowi, po co do niego przyjechał.

- Pamiętasz, dziadku - odezwał się niepewnie - powiedziałem ci, że powodem mojego przyjazdu była nie tylko chęć zobaczenia Jimiramiry...

Roman przytaknął w milczeniu, Matthew spojrział w wieczorne niebo. Z moczarów wzbijała się para ptaków, wzlatując w fioletowosiny bezkres nad horyzontem.

- Mów, chłopcze - zachęcił wnuka dziadek.

- W sumie to prosta sprawa - powiedział Matthew, obracając się do niego. - Dawno temu dwóch moich przodków znalazło perłę. Ta perła była tak cenna, tak doskonała i niezwykła, że każdy, kto tylko ją zobaczył, każdy, kto ją posiadał, tracił dla niej rozum. Tak sądzę, bo inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego przyniosła tyle nieszczęść ludziom, którzy ją mieli czy jej pożądali.

- O czym ty mówisz, dzieciaku?

- O Królowej Pereł - wyrzucił z siebie Matthew. Mówił teraz szybciej, z coraz większym przejęciem. - Mój pradziadek, Tom Robeson, wyłowił ją z Oceanu Indyjskiego. Twój dziadek, Archer Llewellyn, zabił go, aby nie dzielić się skarbem. Moja cioteczna babka Mei przyjechała do Jimiramiry i wykradła ją Archerowi i twojemu ojcu, Bryce'owi. Zabrała perłę do San Francisco, lecz ukradł ją jej brat, mój dziadek. Teraz perłę ma moja matka. I ona też jest nieszczęśliwa. Ta perła jest bez skazy, ale każdy kto się z nią zetknie, ma skazę, która go unieszczęśliwia, rozumiesz? Ta perła jest przeklęta!

Roman patrzył na niego wzrokiem, który świadczył o tym, że niewiele rozumie z tej pospiesznej relacji. Ale Matthew tłumaczył dalej:

- Archer był chciwym egoistą, zabił Toma dla perły. Tom ślepo ufał ludziom, których kochał, choćby nawet mu szkodzili. Dlatego pozwolił, by Archer go zabił. Twój ojciec i ciotka Mei zakochali się w sobie. Ale perła zniszczyła tę miłość. Moi rodzice byli szczęśliwi, ale później się rozwiedli. A teraz doszło do tego, że moja mama nie może nawet iść ulicą, bo ma jakieś lęki. To jest właśnie jej skaza, gdyż chce być wolna, ale nie może, bo nie ma poczucia bezpieczeństwa. Dlatego musi walczyć ze sobą, żeby mogła normalnie żyć. Skazą mojego ojca także jest lęk. Lęk, by nikt nie zabrał mu wolności...

Urwał na moment, by ochłonać. Oddychał ciężko jak po biegu.

- Były jeszcze Viola i Willow - podjął na nowo - a także moja babcia, Hope, która miała perłę w dniu swojego ślubu. Zapomniałem o nich, a przecież ich życie także zniszczyła Królowa Pereł. A Thomas, mój dziadek, wstydził się swojego pochodzenia i usiłował pokazać wszystkim, łącznie z własnymi dziadkami, na co go stać, mimo że jest Chińczykiem. Umarł, nie rozumiejąc, że powinien być dumny z chińskich przodków. Wykradł perłę siostrze, która poświęcała się dla niego. Też był nieszczęśliwy, przez całe życie. Wszyscy stracili szczęście, kiedy się z nią zetknęli. Dużo o tym wszystkim myślałem i wydaje mi się, że tak właśnie jest. Cięży nad nami klątwa Królowej Pereł.

Roman oparł się o ogrodzenie i popatrzył uważnie na wnuka.

- Po co tu przyjechałeś? Co te opowieści mają wspólnego ze mną?

Nigdy nie widziałem tej perły, choć wiele o niej słyszałem.

- Nie widziałeś perły, ale ona skrzywdziła i ciebie, nie dostrzegasz tego? Twój ojciec kochał ciotkę Mei, ale kiedy odeszła, zabierając perłę, zapewne bał się już pokochać kogokolwiek. Nawet ciebie. I czy nie z tego samego powodu nie umiałeś kochać mojego ojca, czy nie dlatego odsunął się od niego?

- To nonsens!

Matthew wiedział, że nadszedł moment krytyczny. Albo zaraz wyjedzie z Jimiramiry, zanim Roman domyśli się, w jakim celu opowiedział mu historię o perle, albo zaryzykuje i zaufa dziadkowi, licząc na jego pomoc.

Ptaki nadleciały z powrotem, zapewne ciągnąc na noc do swoich gniazd ukrytych w drzewach nad stawem. Z daleka niosło się ich posępne krakanie, wreszcie umilkły i nad rozgrzaną po całym dniu ziemią zapadła nocna cisza. Taki sam spokój zapanował nagle w umyśle Matthew, jakby jego życie i ta decyzja stały się w jednej chwili równie proste, zwyczajne i naturalne jak uderzenie skrzydeł, unoszące ptaki w przestworza.

Podciągnął koszulkę i rozpiął dzinsy, odsłaniając duży okrągły plaster, przyklejony poniżej pępka. Roman patrzył osłupiały, jak chłopak odlepia plaster, wyłuskuje spod niego Królową Pereł i podaje mu ją na dłoni.

- Z tego właśnie powodu odnalazłem ciebie, dziadku - powiedział. - Chcę, żebyś pojechał ze mną do Broome. Jestem za młody, żeby wynająć jacht, a poza tym nie umiałbym go obsługiwać. Urodziłem się po to, by wypełnić misję.

- Jaką misję, na miły Bóg?

- Muszę oddać tę perłę oceanowi, zostawić ją tam, skąd wyłowił ją mój pradziadek. Jestem jedynym człowiekiem, który może to zrobić, gdyż należę zarówno do rodu Robesonów, jak i Llewellynów.

- Oszalałeś!

- Nie, dziadku. - Matthew smutno pokręcił głową. - Zrozumiałem tylko, że wrzucenie tej perły do oceanu będzie jedynym sposobem, abyśmy na zawsze uwolnili się od jej klątwy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

San Francisco

Simon Van Valkenburg, widząc zaciśnięte pięści Cullena, powiedział im wszystko.

- Tak, Matthew poleciał do Australii. Powiedział, że musi spotkać się z dziadkiem. Dałem mu swój paszport...

- Do Australii? - Liana nie od razu pojęła, o co chodzi.

- Tak. Matthew wiedział, że byście go nie puścili, więc sam zorganizował sobie wyjazd.

- Odważył się zerknąć na Cullena. - Chciał to zrobić w czasie, kiedy pan tu będzie, żeby... - skinął głową w stronę Liany - ...żeby pani nie podejrzewała go o porwanie.

- Czy mój ojciec wie o jego przyjeździe? - Cullen przysunął się bliżej, a Simon cofnął lękliwie.

- Nikt nie wie. Tylko ja.

- Jak się tam dostał? Mów dokładnie!

- Najpierw poleciał do Sydney, tam się miał dowiedzieć, czy załapie się na lot do Jimiramiry. Więcej nic nie wiem.

- Więc dlaczego posiałeś nas do Arizony?

- spytała Liana, tym razem tracąc swoją zwykłą łagodność.

- Wiadomo, żeby opóźnić pościg - burknął Cullen. - Pewnie wcześniej sobie wymyślił całą tę historię. Albo zrobili to razem.

Chciałbym tylko wiedzieć, jak Matthew załatwił wszystkie formalności.

- Przez mój komputer. Miał mój paszport, wziął pani starą kartę kredytową, tę, którą pani miała unieważnić. Pomagałem mu, bo twierdził, że ma naprawdę ważną sprawę do załatwienia. A ja nie miałem powodu, by mu nie wierzyć.

- To moja wina - westchnęła Liana.

- To wina Matthew - stwierdził Cullen. - I powiem mu to, kiedy go znajdę.

- Nie możecie go zostawić w spokoju? - zapytał Simon w zdumiewającym porywie odwagi.

- On odważył się na wielkie ryzyko, a wy chcecie spuścić mu lanie jak bachorowi, który nabroił? Niech zrobi, co zaplanował, a potem z nim spokojnie pogadacie. Nie ufacie mu? Nie wierzycie, że naprawdę chodzi mu o coś ważnego?

Cullen i Liana popatrzyli na siebie w milczeniu.

- Posłuchaj, Simon - odezwał się wreszcie Cullen - to nie jest takie proste, jak myślisz. Może się zdarzyć, że Matthew nie zdoła sam wrócić. Zdaje się, że ktoś oprócz nas bardzo chce go znaleźć, a jeśli zrobi to pierwszy, twój przyjaciel znajdzie się w niebezpieczeństwie. Więc pomożesz nam czy nie?

Simon chciał im pomóc, ale niewiele miał już do powiedzenia. Zdobył się tylko na przeprosiny.

Kiedy wsiedli do wozu, Liana ciężko opadła na siedzenie i znieruchomiała z głową odrzuconą do tyłu. Była wściekła, przerażona i bliska wyczerpania.

- Boże, byłam pewna, że unieważniłam tę kartę kredytową!

- Daj spokój, ja też dałbym się nabrać.

- Co takiego naopowiadałeś małemu o dziadku, że był gotów kłamać i kraść, byle do niego pojechać?

- Sporo mu opowiadałem, ale przecież wiedział, że od lat nie byłem w Jimiramirze. - Cullen uderzył pięścią w kierownicę. - Sam nie wiem, co tego chłopaka opętało! W żaden sposób nie mogłem mu zasugerować, że dziadek za nim tęskni. Ostatnio gadaliśmy tylko o tym, co będzie robił u mnie, w Australii, kiedy wreszcie go tam zabiorę. Tymczasem on znika, kiedy ja zjawiam się tu po niego, a na dodatek...

- Uspokój się, Cullen - położyła dłoń na jego dłoni - bez względu na to, jakie miał powody, musimy natychmiast tam jechać. Nie można liczyć, że twój ojciec zadba, aby go bezpiecznie odesłać do Stanów.

- To piętnaście godzin lotu, nie licząc podróży do Jimiramiry. Do tego paszporty, wizy...

- Mam ważny paszport, a wizę dostaje się od ręki.

- A nie wolałabyś, żebym zrobił to sam? Chyba po tym, cośmy przeżyli, nie obawiasz się już, że coś knuję?

Liana popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie, Cullen. Absolutnie nie. Nie popełnij drugi raz tego błędu i uwierz, że naprawdę ci ufam.

- Boże, w każdej innej chwili cieszyłbym się jak wariat.

- Jak tylko dojedziemy do domu, zacznę załatwiać wyjazd.

- A co ze Stanfordem i z twoim bratem? Liana zmarszczyła brwi.

Kiedy z Arizony

dzwoniła do domu, gospodyni meldowała jej za każdym razem, że co chwila dzwoni Graham albo szef ochrony. Obaj niepokoili się, że Liana wyjechała, nie informując ich o niczym. Podobno bardzo ich to zirytowało.

- Nie możemy powiedzieć im prawdy. - Pokręciła stanowczo głową.

- Nie możemy ufać zwłaszcza Grahamowi. Nie wiem dlaczego, ale mam podejrzenia...

- ...że Graham ma własne powody, by znaleźć małego, a Stanford mu w tym pomaga?

- Tak - westchnęła. - Jeśli zaś moje przeczucia są słuszne, to nikt nie może się dowiedzieć, że wyruszyliśmy do Australii.

- Wobec tego musimy ich zwieść. - Cullen wjechał na parking pod domem Liany. - Ale zanim coś wymyślimy, musisz potwierdzić historię Simona z kartą kredytową. A ja muszę zadzwonić do ojca.

Skinęła głową, zadowolona, że przynajmniej jedno z nich myśli jasno. Weszli do windy garażowej i wjechali na górę. Pod drzwiami zaczęła szukać klucza, nerwowo grzebiąc w torbie. W końcu, nie mogąc znaleźć, nacisnęła dzwonek. Jednak Sue nie otwierała.

- Może wyszła? - zastanawiał się Cullen.

- Nie ma mowy. Obiecała, że będzie trzymać straż przy telefonie. -

Liana znalazła wreszcie klucz, otworzyła drzwi i weszła do ciemnego przedpokoju. Światło nie zapaliło się, kiedy nacisnęła wyłącznik. - Sue? - zawołała, coraz bardziej zaniepokojona, lecz odpowiedziała jej głucha cisza.

Chciała ruszyć naprzód, jednak Cullen ją powstrzymał.

- Zaczekaj, pójde pierwszy - powiedział miękko.

- Ale dlaczego... - chciała zapytać, ale zamknął jej usta palcem, a potem pchnął lekko ku wejściu, by tam poczekała.

Nie posłuchała, poszła za nim. To było jej mieszkanie, jej azyl. Sama myślała, że ktoś obcy mógłby się tu wdrzeć i zrobić krzywdę Sue, powodowała, że Liana kipiała wściekłością.

Salon był ciemny i pusty. Natomiast w kuchni...

- Sue! - Liana wyskoczyła do przodu i padła na kolana obok postaci leżącej nieruchomo twarzą w dół na terakotowej podłodze.

Cullen przykląkł i ujął Sue za przegub.

- Tętno równe i całkiem mocne - orzekł. - Ale lepiej nie ruszajmy jej i wezwijmy pogotowie.

Sue jęknęła, potem uniosła się na łokciu. Jęknęła jeszcze raz i usiadła, opierając się o ścianę.

- Cullen, wezwij pogotowie - poleciła szybko Liana.

- Nie... nie trzeba - szepnęła Sue.

- Trzeba, nie wiadomo, co ci zrobili!

- Usłyszałam jakiś dźwięk. Odwróciłam się, żeby zobaczyć. I nagle wszystko... - Chciała pokręcić głową, ale tylko jęknęła boleśnie. Liana delikatnie odgarnęła jej włosy z tyłu głowy, nie zważając na protesty.

- Ma guza większego niż Królowa Pereł. Ktoś musiał porządnie ją walnąć!

- Masz, ty zadzwoń po karetkę. - Cullen podsunął jej telefon i zniknął w głębi mieszkania. Liana wiedziała, że poszedł sprawdzić, czy w którymś z pomieszczeń nie czai się intruz, i serce zabiło jej gwałtownie na myśl o tym, że Cullen mógłby zostać zraniony lub zabity.

Szybko wystukała numer, wezwała ambulans i poprosiła:

- Zostaniesz chwilę sama, Sue?

- Tak.

- Zaraz wrócę - dodała, po czym podążyła w ślad za Cullenem. Nie znalazła go w holu, w salonie ani w łazience na dole. Weszła na górę, do pokoju Matthew. - Rany boskie!

Pokój wyglądał tak, jakby przeszedł przez niego huragan. Materac zwisał z łóżka, podłoga była usiana papierami i przeróżnymi przedmiotami, wywleczonymi z szuflad i półek. Jedno spojrzenie upewniło ją, że zniknął komputer i większość sprzętu stereo.

Cullen przytrzymał ją, by nie wchodziła dalej.

- Niczego nie ruszaj do przybycia policji.

- Co z resztą mieszkania?

- Nie martw się, ten kto to zrobił, dawno stąd zniknął. Poza pokojem małego nie narobił szkód. Na wszelki wypadek sprawdź biżuterię i inne kosztowności, ale zdaje się, że chodziło głównie o komputer.

W tej samej chwili na ulicy zawyły policyjne syreny. No tak, pod dobry adres w dobrej dzielnicy przyjeżdżają szybko, pomyślała cierpko Liana.

- Chodziło o pocztę, prawda? O adresy?

- Niekoniecznie. - Cullen miał zatroskaną minę. - To można zgrać na dyskietkę. Ktoś raczej chciał przejrzeć całą zawartość dysku.

- Zginęła też wieża.

- Dla zatarcia śladów.

- Ten ktoś chce dopaść Matthew?

- Tak, szuka naszego syna, Lee. Dlatego my musimy odnaleźć go pierwsi. I rzeczywiście nikt nie może wiedzieć, dokąd jedziemy.

Policja była uprzejma, choć mało pomocna. Zbadano ślady, spisano protokół, po czym funkcjonariusze odjechali razem z sanitariuszami, gdyż Sue poczuła się lepiej i powiedziała, że koleżanka zawiezie ją do jej własnego lekarza.

- Susan miała szczęście, że nie oberwała mocniej. I że nie zraniła się, kiedy upadała - stwierdził Cullen. - Ale jedna rzecz jest dziwna. Policja stwierdziła, że nie było włamania do drzwi. Kto poza tobą miał klucz do apartamentu?

- Oczywiście tylko Sue i Matthew. Ale pracowała tu niedawno ekipa remontowa, a mniej więcej miesiąc temu Matthew zgubił swój klucz.

- Więc pewnie nie zgubił, tylko ktoś mu go ukradł.

- Właśnie, zaraz sprawdzę, co z moją kartą kredytową.

Poszła przejrzeć dokumenty w swoim gabinecie, a Cullen zadzwonił do ojca. W chwilę potem znów zeszli się w salonie.

- Zarządca mówi, że ojciec wyjechał na kilka dni na drugi koniec Jimiramiry. Nie zostawiłem wiadomości, bo myślę, że lepiej działać z zaskoczenia. Jeśli tata dowiedziałby się, kto dzwoni, mógłby robić trudności.

- Nadal ma ci za złe? Po tylu latach?

- Wolałbym nie sprawdzać, jak bardzo. Liana potwierdziła wersję

Simona co do karty

kredytowej. Kiedyś posiadała konto w banku Neva-da i wydaną tamże kartę, jednak kilka miesięcy temu, kiedy nastąpił wzrost oprocentowania kredytu, wydała dyspozycję rezygnacji z karty - tak się jej przynajmniej wydawało. W poczcie, która nadeszła w czasie jej nieobecności, znalazła bowiem nowy wyciąg, wskazujący, że z konta pobrano ponad dwa tysiące dolarów. Najwyraźniej Matthew zdołał przechwycić dyspozycję i kartę, zanim ją wysłała. Bank potwierdzał, że suma na rachunku posłużyła do zapłacenia za bilet lotniczy linii Quantas.

- Teraz wiem, że Simon nie kłamał - westchnęła. Na myśl o niewyobrażalnie długim locie do Australii poczuła suchość w ustach.

- Jesteś pewna, że chcesz lecieć? - Cullen trafnie odgadł przyczynę nagłej bladości, która wystąpiła na jej twarzy.

- Jestem pewna - przytaknęła. - Lecimy razem, Cullen. Nawet nie próbuj mnie od tego odwozić.

O świcie Cullen zaparkował wóz pod domem Grahama, a Laura wysiadła, by złożyć wizytę przybranemu bratu. Graham lubił wstawać razem z ptakami. Swoje obszerne apartamenty zaopatrzył w prywatną siłownię i każdego ranka najpierw wyciskał z siebie siódme poty, a potem jadł pożywne śniadanie. Skłonność do tycia zawsze była jego słabą stroną, co niegdyś bezlitośnie wyszydzał Thomas, jego ojczym.

- Liana? - Graham wyszedł do niej w krótkich spodenkach, ocierając rękami pot z okrągłej twarzy. - Co ty tu robisz o takiej porze? Masz jakieś wieści?

- Znaleźliśmy Matthew - oznajmiła, modląc się, by jej zdolności aktorskie okazały się przekonujące. - Jest w Arizonie.

- W Arizonie? A co on, u licha, tam robi?

- Zagubił się, Graham. I zbuntował. - Bezradnie rozłożyła ręce. - Poznał przez Internet pewną dziewczynę i pojechał do niej. Chciał się oderwać od Cullena, ode mnie, od naszych problemów. Nie wiem, co się stało. Nigdy wcześniej się nie buntował, ale niestety wkracza w niebezpieczny wiek.

- Więc wrócił już do domu?

- Nie, ale pojechaliśmy tam i widzieliśmy się z nim.

Spędzili z Cullenem długą godzinę, ustalając tę wersję. Osnową

kłamstwa stała się opowieść Simona. Gdyby Graham i Stanford postanowili przeprowadzić śledztwo, potwierdziliby bez trudu, że Cullen i Liana rzeczywiście byli w Arizonie.

Graham wytarł rękawem spocony kark.

- Nie rozumiem... zostawiłaś go tam?

Tego momentu Liana najbardziej się obawiała.

- Tak, baliśmy się, że jeśli utracimy jego zaufanie, buntownicze nawyki wejdą mu w krew. Wiesz, że ten chłopak ma twardego charakter.

- A nie baliście się ryzyka zostawienia go samopas?

- Sprawdziliśmy tych ludzi. Rodzice dziewczyny mają rancho.

Matthew dzielnie tam haruje, żeby odrobić koszty pobytu. Na razie bardzo mu się takie wiejskie życie podoba. Cullen ma go niedługo zabrać i pojechać z nim dalej, na wschód, na resztę wakacji. Kiedy wrócą, mamy spotkać się razem i porozmawiać o tym wszystkim.

- Dziwnie to wygląda, Lee. - Graham pokręcił z niedowierzaniem głową. - Reagujecie tak, jak gdyby chłopak wybrał się na zwykłe wakacje.

Rozumował prawidłowo, ale nie mogła mu tego przyznać.

- Masz dzieci? - zapytała napastliwie.

- Przecież wiesz, że nie.

- Dlaczego więc chcesz mnie pouczać?

- To jest po prostu niepodobne do ciebie. Dzieciak chodził u ciebie jak z zegarku.

- Tylko zauważ, że już prawie nie jest dzieckiem. Poza tym przypomnij sobie, jak tydzień temu delikatnie zwracałeś mi uwagę, że jestem zbyt apodyktyczną matką. Wzięłam sobie tę uwagę do serca. I choć niezupełnie spodobało mi się to, co zrobił, tym razem postanowiłam mu odpuścić.

- No to pięknie! - Graham parsknął, nie kryjąc irytacji. - Wydaliśmy majątek na jego poszukiwania, a on sobie macha widłami i jeździ na koniach!

- Tak to bywa, mój kochany. Młody wiek ma swoje dziwne prawa i zwyczaje.

Graham wpatrywał się w nią, mrużąc oczy z niemiłą dociekliwością.

- Naprawdę nie podoba mi się cała ta sprawa, chociaż pamiętam, co

ci radziłem. Pacific wykosz-tował się na poszukiwania, Stanford musiał odłożyć inne sprawy, a ty mi mówisz beztróska, że to młodzieńcze figle? A poza tym jesteś pewna, co to za ludzie? Daj mi do nich telefon, sprawdzę ich na wszelki wypadek. Albo Stanford sprawdzi. Wiesz, jakie rzeczy się teraz zdarzają...

Oczekiwała takiej reakcji, ale ciarki przeszły jej po plecach, kiedy pomyślała, z jakich powodów los jej syna może aż tak interesować Grahama. Przybrany brat nie miał powodów, by troszczyć się o chłopaka, który był pierwszym spadkobiercą Thomasa Robesona. Ta uśmiechnięta, pucłowata twarz kryła twardego człowieka, który nie miał żadnych skrupułów. A gdyby Matthew nigdy już nie wrócił, Graham skorzystałby na tym najbardziej.

- Proszę, żebyś nie wtrącał się w wychowanie mojego dziecka - powiedziała oschle.

- Nie denerwuj się, chciałem tylko zadzwonić i zapytać, czy wszystko tam w porządku. Jeśli dziecku brakuje ojca, musi zastąpić go wuj. Pamiętaj, że to chłopak i potrzebuje męskiej ręki.

- Dobrze, ale teraz nie ma takiej potrzeby, daję ci słowo.

- Nie zapominaj, że jest dziedzicem Pacific International.

Liana wyprostowała się i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Przede wszystkim jest moim synem! Potem pożegnała się z Grahamem i Cullen zawiózł ją do Stanforda. Ten nie dopytywał się zbyt ani nie naciskał. Nie była jednak pewna, czy po jej wyjściu nie sięgnie po słuchawkę. Ani tego, czy obaj nie zaczną sprawdzać jej wersji. W każdym razie gdyby dotarli do mieszkalnej przyczepy w prowincjonalnej Arizonie, nie mieliby okazji porozmawiać z Brittany Saunders. Zdążyła wyprowadzić się w nieznanym kierunku. Jesienią na zdolną dziewczynę, pragnącą podjąć studia w Prescott College, miała czekać na koncie spora sumka, którą zarobiła, znikając na całe lato tak, żeby nikt nie mógł jej odnaleźć i przepytac. Ostatnim miejscem, jakie mieli odwiedzić przed podróżą do Australii, był apartament Franka. Ponieważ w weekend Frank miał jechać na konferencję do Seattle, wyjątkowo był rano w domu. Chwilowo zamieszkiwał samotnie, ale zwykle towarzyszyła mu któraś z licznych kobiet, jakie ciągle przewijały się przez jego życie. Prawie żadna nie odeszła od niego na własne

życzenie. Zwykle nudziły mu się po krótkim czasie, a wtedy się z nimi rozstawał.

- Ładny ma widok z okien - powiedział Cullen, patrząc na ustawiony nad oceanem luksusowy budynek. - Ale mój jest lepszy.

- No wiesz, w San Francisco za taki widok płaci się co najmniej pół miliona - uśmiechnęła się Liana, wysiadając z samochodu.

- Może więc zajmę się budową takich apartamentów w Pikuwa Creek i przestanę zwracać sobie głowę perłami - westchnął, oszołomiony cenami mieszkań w Kalifornii.

- Pomyśl o tym - rzuciła, a potem ruszyła, by spotkać się z Frankiem.

Frank ćwiczył uderzenia golfowe na tarasie ozdobionym iglakami w błyszczących mosiężnych donicach. Kamienny Budda uśmiechał się filozoficznie w rogu, w zagłębieniu jego granitowego ramienia spoczywała wesoła, pomarańczowa piłeczka z gąbki.

- Przeszkadzasz mi w medytacji - powiedziała Liana, wchodząc na taras, bowiem drzwi wejściowe nie były zamknięte.

- O, hej, co tu robisz? - powitał ją z uśmiechem, zaraz jednak spoważniał. - Wiesz coś nowego?

Po raz drugi zaczęła opowiadać historyjkę, którą wymyślili z Cullenem. Frank wysłuchał jej uważnie, a gdy skończyła, odstawił kij i wytarł spocone ręce w spodenki.

- A to podstępny smarkacz!

- Sama mam go dosyć, ale przynajmniej wiem teraz, że żyje i jest bezpieczny.

- A ty jak się czujesz?

Żałowała, że nie może powiedzieć Frankowi prawdy. On i jego babcia byli dla niej jedynymi bliskimi osobami w tym mieście. Ze wszystkich wnuków to właśnie Frank najbardziej przypominał Mei i to zapewne sprawiło, że tak go polubiła. Poza tym miał poczucie humoru, które pozwalało jej przeżyć trudne godziny w International Pacific.

- Jakoś się trzymam - odparła - choć nie powiem, żeby było mi lekko. Muszę wyjechać, żeby trochę się od tego wszystkiego zdystansować.

- Czy twój były ma coś wspólnego z tą sprawą? Ostrożnie zabrała się do pokonywania kolejnej przeszkody.

- Dopiero teraz widzę, jak bardzo Matthew potrzebuje męskiej ręki - odparła wymijająco.

- Żałuję, że nie mogę ci pomóc.

Frank nie pojawiał się zbyt często w życiu Matthew, niemniej jednak pełnił rolę kogoś w rodzaju zastępczego ojca w czasie różnych skautowych imprez. Mei, która szczególnie wyróżniała Franka spośród swoich wnuków, prosiła go o to, więc starał się jak najlepiej wypełnić jej prośbę.

- Więc teraz zabrał go ojciec, tak?

Liana wzięła oddech i dopowiedziała resztę kłamstwa:

- Nie, Matthew prosił, żebyśmy pozwolili mu zostać trochę w Arizonie. Zgodziłam się. Pomyślałam, że powinien odpocząć od świata dorosłych i ich problemów. Dopiero potem ma go zabrać Cullen.

- A ty dokąd się wybierasz?

- Do kurortu w Monterey. Zafunduję sobie tydzień odnowy biologicznej.

- Dasz radę? - zapytał z troską. Frank był jedyną osobą w Pacific International, która wiedziała, jak silny jest u niej lęk przestrzeni.

- Dzięki, że się o mnie martwisz, ale dam sobie radę - uśmiechnęła się do niego. - Znam to miejsce, jest miłe i kameralne.

- Rozmawiałaś z babcią?

- Nie udało mi się. Za każdym razem, kiedy dzwonię, trafiam na moment, kiedy właśnie ma uciąć sobie drzemkę. Bardzo się ostatnio zestarzała. Dlatego mam prośbę: kiedy się z nią spotkasz, przekaż od mnie, że wkrótce wpadnę do niej z Matthew.

- Dobrze, przekażę - odparł i uścisnęli się serdecznie na pożegnanie.

Liana streściła rozmowę Cullenowi w drodze na lotnisko. Kiwnął głową i poinformował ją, że z San Francisco polecą najpierw do Cairns z międzylądowaniem w Los Angeles. Z Cairns było bliżej do Jimiramiry niż z Sydney, więc cierpienia Liany miały być z tego powodu trochę krótsze. I tak jednak czekała ją ciężka próba.

- Jeśli przeżyjesz ten lot, już nigdy nie będziesz się bała latania - zapewnił Cullen, kiedy weszli na pokład i zajęli miejsca.

- Leciałam z Australii do Stanów, kiedy odeszłam od ciebie. Wtedy się to wszystko zaczęło.

Mocno ścisnął jej dłoń.

- Ale tym razem będziesz miała mnie u boku - Pochylił się ku niej i pocałował ją krótko, mocno, z zaskoczenia. A potem opadł na siedzenie i polecił, nie puszczać jej dłoni: - Zamknij oczy i śpij. Obudzę cię w Los Angeles.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Queensland, Australia

W Cairns wylądowali wieczorem. Praktycznie cały niekończący się lot Liana przespała. Oddech miała równy i powolny, często opierała się o Cullena, wtulając mu głowę w ramię. Na miejscu zarezerwowali hotel, aby odpocząć przed kolejnym etapem podróży. Cullen zadzwonił na farmę ojca, ale nikt nie podnosił słuchawki.

- Trudno, zadzwonimy jutro rano - stwierdził, tłumiąc niepokój.

Liana popatrzyła na niego zmęczonym wzrokiem. Było jej wszystko jedno - lot wyszał z niej resztki sił. Cullen domyślił się, w jakim stanie jest jego była żona, i zmienił temat, by pozwolić jej odpocząć od nieustannego myślenia o Matthew.

- Wiesz, że chciałem przywieźć cię tutaj po ślubie? - zapytał. - Ale mieliśmy tak mało wolnych dni. Chciałem też zabrać cię na Rafę albo pojechać z tobą na jakąś romantyczną wysepkę.

- Jakbyś nie miał dosyć wody.

- Nie ma drugiego takiego miejsca na ziemi, jak Wielka Rafa Koralowa - powiedział z dumą prawdziwego Australijczyka.

Hotel był mały, ale miły i przytulny. Plecione meble, tapety w egzotyczne wzory i akwaria z bajecznymi rybami zapowiadały gościom miejscowe atrakcje. Dostali oddzielne pokoje połączone drzwiami. Liana otworzyła swój, Cullen wszedł za nią, wnosząc bagaże. Z otwartego balkonu widać było taras z basenem zbudowanym na kształt leśnej groty. Dyskretne kolorowe światła nieco kiczowato, choć romantycznie podświetlały wodę od dna.

Liana wyszła na balkon, chłonąc piękny widok.

- Podziwiam cię, że możesz latać do Stanów i z powrotem rok po roku - powiedziała. - Nawet dla kogoś, kto nie boi się latać, musi to być straszne.

- Tylko w ten sposób mogę zobaczyć syna.

- Przykro mi, że dopiero teraz zrozumiałam, ile wysiłku z twojej strony to wymaga. I jak musi kolidować z twoją pracą. Wybacz mi, nie wierzyłam, że możesz być dobrym ojcem.

- Proszę, Lee, nie mówmy teraz o tym.

- Dlaczego? Dla mnie to właśnie jest ważne. Odwróciła się ku niemu i zobaczył, że ma oczy błyszczące od łez.

- Spokojnie, kochanie. Byłaś bardzo dzielna, ale ten lot cię wykończył - powiedział miękko. - Chodź, odpocznij.

Wyciągnął dłoń, a kiedy ją przyjęła, nagle, nie myśląc co robi, przygarnął ją do siebie. Liana wtuliła się w niego nadspodziewanie chętnie.

- To ja powinienem prosić o wybaczenie - wyszeptał jej do ucha. - Miałaś powody, żeby mnie nienawidzić. To wszystko moja wina.

- Nieprawda, porwały cię siły, na które nie miałeś wpływu. A ja musiałam hodować w sobie nienawiść, bo inaczej nie zniosłabym rozstania. Za bardzo cię kochałam, Cullen.

Gładził ją po włosach, aż zaczęła się uspokajać. Była kompletnie wyczerpana i roztrzęsiona.

- Weź prysznic i idź do łóżka. Albo zamów coś do jedzenia - doradził. - Odpocznij, odpręż się, pozbieraj myśli, a wtedy porozmawiamy, dobrze?

Po tych słowach wyszedł szybko do swojego pokoju, zaciągnął zasłony, zapalił światła i wszedł pod prysznic, by przez kilkanaście minut rozkoszować się strumieniem gorącej wody. Ogolił się, wyczyścił zęby, ale gdy skończył, wcale nie poczuł się lepiej.

Usłyszał pukanie do drzwi, więc owinął biodra ręcznikiem i poszedł otworzyć. Spodziewał się kelnera z zamówioną kolacją, tymczasem w progu stała Liana, bosa, drobna, w samej tylko lawendowej koszuli na ramiączkach. Jej twarz, pozbawiona makijażu i okolona wilgotnymi włosami, wyglądała tak samo młodo, jak przed laty, kiedy Matthew był jeszcze malutki, a oni cieszyli się wspólnie rodzicielstwem.

- Zamówiłam kolację - powiedziała. - Ale nie chcę jeść sama. Nie pogniewasz się, jeśli cię zaproszę?

Miałby się na nią gniewać? Wyglądała tak kobieco, tak ponętnie i miała taki niepokojący wyraz oczu, że byłby głupcem, gdyby ją od-

prawił.

- Nie mam żadnych zamiarów, ani dobrych, ani złych - dodała, jakby chciała ułatwić mu decyzję. - Chodź, zjedz coś. Na pewno jesteś głodny. I bądź ze mną, tak po prostu.

- Dobrze - skinął głową. - Tylko włożę coś na siebie.

Kiedy zamknęła drzwi, stał jeszcze chwilę, niezdolny do ruchu. Miał wrażenie, że to cudowny sen, jeden z wielu snów z Lianą, jakie śnił w ciągu ostatnich lat. Aż strach było się poruszyć -jeszcze mógłby się zbudzić.

Ubrał się szybko i wszedł do jej pokoju. Liana ucieszyła się, że wreszcie są razem. W ciągu ostatniej minuty dwa razy była bliska zapukania i odwołania zaproszenia albo wsunięcia mu talerza z kolacją przez drzwi z wytłumaczeniem, że uległa chwilowej słabości, ale teraz zmieniała zdanie.

Nie zrobiła tego. Na szczęście. Za bardzo chciała czuć Cullena obok siebie. Miała wrażenie, że opętały ją demony - jej własne, Mei, Toma Robesona, Willow... Ale najgorsze były te, które prześladowały jej syna. Przez lata małżeństwa nie mogła oprzeć się na mężu. Potem musiała radzić sobie sama. Teraz jednak Cullen był tak inny, tak czuły, że mogła czerpać z niego siłę, by zwalczyć dręczące ją koszmary.

- Nie wiedziałam, czego chcesz, więc zamówiłam szwedzki stół. Choć może wolałbyś jajka na boczku? Gdybym mogła, ugotowałabym ci coś specjalnego. Byłeś świetnym klientem, smakowało ci wszystko.

- Zawsze będę pamiętał twoje kwiatki z buraków i z pomidorów, Lee. Ale dziś zadowolę się tym, co zamówiłaś.

- A co będziesz pił? Herbatę, kawę, sok?

- Coś ty, taki kangur jak ja pije tylko herbatę! Napięte rysy Liany na moment złagodził uśmiech. Zastanawiała się, czy Cullen pomyślał o tym samym, o czym ona myślała w tej chwili - o gorących nocach upalnego lata w Zachodniej Australii, o groźnych krokodylach ze słonych wód, które wygrzewały się w słońcu niepokojąco blisko domu. O ławeczce na tarasie, gdzie siadywali, by popatrzeć na bajeczny zachód słońca. Cullen przyciągał ją wtedy do siebie, jego dłoń szukała jej piersi. Liana wichrzyła mu włosy, a potem odgarniała je z czoła, by ucałować miejsce między brwiami. Powoli odpinał jej bluzkę albo niecierpliwie

zadzierał ją do góry. Jedno z nich zawsze starało się być czujne, na wypadek gdyby któryś z pracowników South Cross szukał szefa.

- Myślałam kiedyś, co by było, gdybyśmy nie musieli wtedy wziąć ślubu - odezwała się, z trudem odrywając się od wspomnień. - Może gdybym nie zaszła w ciążę, gdybyśmy byli nadal kochankami i nasz związek miał szansę się rozwinąć...

- Nie myśl tak, Lee - przerwał jej szybko. - To nie ciąża, nie Matthew nas rozdzielił, to my sami. Kochałem cię i to mnie przerażało. Ale nie bałem się małżeństwa, tylko miłości.

- W takim razie to nie przeze mnie... - westchnęła z ulgą.

- Co nie przez ciebie?

- To nie przez moją nieuwagę wpadłeś w szpony hazardu.

- Poczekaj, nie rozumiem, o czym mówisz. Spojrzała mu prosto w oczy i wyznała:

- Nie zaszłam w ciążę celowo, żeby przywiązać cię do siebie.

- Nigdy cię o to nie podejrzewałem.

- To był przypadek. Kiedy począł się Matthew, byłam...

- Nieważne - znów jej przerwał. - Nieważne, czy to był przypadek, czy nie. Najważniejsze, że z tej miłości zrodził się Matthew. Nie wyobrażam sobie teraz, co by było, gdybym nie miał syna.

Ułga, jaką odczuła Liana, graniczyła z błogością.

- I naprawdę nie uważałeś, że złapałam cię na dziecko?

Cullen pochylił się ku niej przez stół i powtórzył po raz trzeci:

- Nieważne. To było kiedyś, Lee. Napsułem ci krwi, miałaś prawo mieć do mnie pretensje. Jeśli można, nie wracajmy do tego, nawet we wspomnieniach.

- Sama byłam daleka od doskonałości. Ciągle histeryzowałam.

- Fakt - uśmiechnął się - i to z powodu drobiazgów. A to krokodyle podchodzą pod dom, a to stary dach wali się na głowę, a to na werandzie leży wąż, który podobno jest jadowity...

- A nie był?

- Był, i to bardzo! Liana roześmiała się.

- Pokochałam Pikuwa Creek - westchnęła, dziwiąc się swemu wyznaniu. - Tak, Cullen - dodała, widząc jego zdziwioną minę - tęskniłam potem do tych kolorowych ptaków, zachodów słońca. A

najbardziej brak mi było morza. I pływania z tobą. Do dziś śni mi się twój stary lugier...

- Śniesz o mnie? - ucieszył się wyraźnie.

- O twoim statku!

- Ale ja nim steruję, prawda?

- Możliwe.

- I nie wieszasz mnie na maszcie?

- Masz wybujałą fantazję. Uśmiechnął się do niej ciepło, czule.

- No właśnie - westchnął. - Kochaliśmy się tak bardzo, a nie daliśmy sobie szansy. Za mało w nas było odwagi, szaleństwa...

- Raczej za dużo. Oboje powinniśmy najpierw dorosnąć.

- Gdybym starał się zwalczyć swój nałóg...

- I gdybym ja starała się zwalczyć swoje lęki.

- Powinniśmy się poznać teraz, bez całego tego bagażu przeszłości, nie sądzisz?

- Tak. Bez Archera, Mei, Bryce'a...

- A nawet bez Liany i Cullena.

- Tacy właśnie byliśmy na początku. Otwarci, ufni, nieobciążeni przeszłością.

- I jej grzechami.

Zamilkli. Nie chcieli już rozmawiać o przeszłości. Oboje czuli, że teraz znacznie ważniejsza jest przyszłość. Ich przyszłość. Cullen sięgnął przez stół i ujął dłoń Liany w swoją. Potem podniósł ją do ust i ucałował. Pocałunek rozszedł się ciepłym dreszczem w ciele Liany i zrozumiała, że nadal pragnie tego mężczyzny, który siedzi naprzeciw niej. Och, mogłaby to rzecz jasna wytłumaczyć, powiedzieć, że Cullen jest jedyną osobą, z którą łączy ją troska o syna; mogła udawać przed sobą, że chodzi tylko o pocieszenie i zapomnienie, jakie daje seks. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że pragnęła tylko jego i gdyby w tej chwili na miejscu Cullena był inny mężczyzna, odrzuciłaby go bez wahania.

Jego niebieskie oczy uwodziły ją i czarowały. Przeciągnął jej dłonią po swym świeżo ogolonym policzku, a potem delikatnie wtulił usta w ciepłe wnętrze. Opuściła wzrok, kiedy splótł jej palce ze swoimi. Tak kiedyś splatały się ich ciała. Wspomnienie było porywające, gwałtowne, budzące niepovstrzymane pragnienie...

Nagle zeszywniała. Poczwała, jak szybko, podstępnie narasta w niej tak dobrze znana fala paniki.

- To nie jest dobry pomysł - wykrztusiła, po czym wstała i wysunęła rękę z jego uścisku.

Cullen nie poruszył się. Nadal siedział przy stole.

- Tak uważasz? - zapytał.

- Tak. Jesteśmy zmęczeni. Sama już nie wiem, co robię.

- A ja myślę, że wiesz bardzo dobrze.

- Zgoda, wiem. Albo raczej wiedziałam, bo teraz nie chcę nawet o tym myśleć.

- Dlaczego?

- Bo mieć cię, a pragnąć, to zupełnie dwie różne rzeczy. Dla swojego dobra muszę o tym pamiętać. Przecież nie chciałbyś znowu przechodzić przez to wszystko, zaczynać od nowa, prawda?

- Co zaczynać?

- Wszystko, nas. - Pokręciła głową i dodała żałośnie: - Zobacz, prawie już sobie wybaczyliśmy. Czy będziemy potrafili zrobić to jeszcze raz, kiedy sytuacja znów nas przzerośnie? Nawet sobie nie wyobrażam, że mogliśmy dojść aż tak daleko. Nie chcę tego zniszczyć.

- Czym jest życie bez ryzyka, Lee? Czy przez te wszystkie lata, kiedy starałaś się zbudować sobie poczucie bezpieczeństwa, w ogóle czułaś, że żyjesz?

- Dobrze, jeśli nawet nie czułam, że biorę życie garściami, to nie miałam wrażenia, że wiszę nad przepaścią, tak jak teraz!

- Tak właśnie czułaś się przy mnie?

- Tak. A ty miałeś wrażenie, że skuto cię kajdanami. Nie nadajemy się dla siebie. Jezu, czy niczego się nie nauczyliśmy?

Cullen wstał.

- Ja się nauczyłem. Kochanie kogoś to cholerne ryzyko, jak wspinanie się bez asekuracji. To rezygnowanie z wielu rzeczy i dawanie wielu w zamian. To często i ból, ale gra jest warta stawki.

- Nie dla mnie.

Skinął głową, a jego spojrzenie stało się nagle chłodne.

- Skoro tak uważasz.

- Przykro mi.

- Wiem. - Ominął ją łukiem.
- Mimo to starajmy się współpracować, dla dobra Matthew - powiedziała, nie odwracając się, żeby choć na chwilę go zatrzymać.
- Oczywiście. Zrobimy wszystko, żeby odnaleźć naszego syna - odparł Cullen, a potem cicho zamknął drzwi.

Z Cairns wylecieli o dziesiątej rano. W Darwin miał na nich czekać przyjaciel Cullena, który obiecał zawieźć ich swoim prywatnym samolotem do Jimiramiry. Śniadanie zjedli osobno, każde w swoim pokoju. Do chwili kiedy wsiedli do autobusu, wiozącego ich na lotnisko, zamienili zaledwie kilka słów. Jeśli Cullen miał do niej żal za wczorajszą rozmowę, nie pokazywał tego po sobie.

- Cieszę się, że niedługo zobaczymy małego - Liana uśmiechnęła się, aby złagodzić wyraźnie wyczuwalne napięcie. - Co mu powiesz na powitanie?

- Z początku zabraknie mi słów, więc tylko go wyciąuję. A potem wezmę go za nogi i wytrząsnę z niego duszę.

- Jeszcze nie widziałam, żeby zabrakło ci słów.

- Zabrakło mi, nie dalej jak wczoraj.

Liana poczuła, że się rumieni. Odpowiedź była jak zwykle celna.

Lot do Darwin na szczęście okazał się krótki. Liana szybko zeszła z trapu i pewnym krokiem przemierzała asfalt lotniska.

- John pewnie już czeka - powiedział Cullen, zerkając na zegarek. - Zaraz wsiadamy i lecimy znowu.

- Nie zadzwonisz do ojca, żeby uprzedzić go o naszym przyjeździe? - zapytała.

- Nie ma sensu. Wolę porozmawiać z nim bezpośrednio. Poza tym obawiam się, że Matthew mógłby wpaść na kolejny głupi pomysł, gdyby dowiedział się, że jesteśmy w drodze.

- Naprawdę tak myślisz? Dlaczego miałyby to robić? Przecież ma, co chciał: podróż do Australii, spotkanie z dziadkiem...

- Skąd wiesz, o co tak naprawdę mu chodziło? Zapomniałaś o perle?

- Skądże, jestem genetycznie zaprogramowana, aby nigdy o niej nie zapomnieć.

- Cholera, ja chyba też mam to w genach.

- W takim razie i Matthew musi mieć wrodzoną skłonność,

podwójną.

- Co oznacza, że musi mieć perłę przy sobie.

Liana długo nie chciała dopuścić tej możliwości. Wolała wierzyć w niewinność syna. Ale przecież jej syn, aby tu dotrzeć, potrafił oszukać, okłamać i ukraść.

- Zgoda, może ją mieć - przyznała. - Tylko po co? Nie przychodzi mi do głowy żadne sensowne wyjaśnienie.

- Zapomnij o słowie „sensowny”. Jeśli zabrał perłę, uczynił to wyłącznie w porywie emocji. Zdaje się, że stał się kolejną ofiarą przesądu.

- To znaczy?

- Może przywiózł tu perłę, bo wierzy, że ona należy do Jimiramiry? To właśnie usiłowała nam przekazać Mei, nie sądzisz? Może wbiła chłopakowi do głowy te bzdury?

Zostawił ją w poczekalni i poszedł szukać pilota. W Cairns, które przypominało inne tropikalne kurorty, Liana nie czuła atmosfery, która mogła wyzwolić wspomnienia. Ale w miejscu, gdzie słyszało się już prawie tylko australijski akcent, nie umiała dłużej oszukiwać pamięci. Oto przeleciała właśnie przez pół świata, tak jak wtedy. I tak jak wtedy, gnana miłością...

- Gotowa? - Drgnęła, słysząc głos Cullena. - John czeka na nas w samolocie.

Popatrzyła na swojego byłego męża - na mężczyznę, z którym wczoraj nie poszła do łóżka; na tego, który ciągle na nią czekał, nie zważając na przeszłość.

- Gotowa, Cullen - odparła. - Jedźmy po nasze dziecko.

Kolejny lot nie wykończył jej, ale też nie wyleczył z lęków. Niewielka cessa jak orzeł wznosiła się i opadała w powietrznych prądach. Liana ze zdumieniem stwierdziła, że ciekawi ją widok z góry i może bez problemów go podziwiać. Kiedy Cullen zobaczył, że ma otwarte oczy, zaczął objaśniać jej szczegóły krajobrazu.

- Widzisz? Tu przegrałem swój pierwszy zakład na wyścigach konnych.

- Ale jakieś wygrywałeś, nie?

- Niewiele.

Nie mówił prawdy. Wiele było wygranych, lecz świadomie starał się zepchnąć w niepamięć wspomnienia o tych szczęśliwych chwilach.

- Twój ojciec też lubi hazard?
- Stary obstawia konie, ale wie, kiedy przestać. Jego jedynym nałogiem jest Jimiramira.
- Co właściwie znaczy to słowo?
- Pochodzi z języka Aborygenów, oznacza coś dużego. Choć bywają tu posiadłości większe od tej.
- Denerwujesz się przed spotkaniem z ojcem?
- Powinienem je odbyć już dawno temu. Roman nie jest już młody, a są rzeczy, o których należałoby porozmawiać.
- Dlaczego w takim razie nie przyjechałeś tu wcześniej?
- Postanowiłem najpierw postawić na nogi South Cross. Nie chciałem, żeby ojciec myślał, że przychodzę prosić o wsparcie.
- Chciałeś mu coś udowodnić?
- Tak. Chciałem pokazać, że stoję na własnych nogach. Kiedy jeszcze z nim mieszkalem, spłacał większość moich długów.
- Skoro spłacał twoje długi, musiał cię jednak kochać, Cullen.
- Możliwe. Choć zawsze myślałem, że robi to z obawy, by nie stracić reputacji. Znał ludzi, którym byłem winien forszę.

Nie pytała dalej, gdyż zbyt mało znała Romana Llewellyna. Jedno wydawało się pewne - oboje, i ona, i Cullen, mieli nieszczęście mieć surowych, nieczułych ojców, którzy jeśli nawet żywili jakieś uczucia wobec swoich dzieci, nie ujawniali ich prawie nigdy. Miała nadzieję, że Roman okaże się przynajmniej lepszym dziadkiem niż ojcem i zają się o wnuka.

Jimiramira nie do końca odpowiadała jej wyobrażeniom. Przelatywali nad zbiorowiskiem różnych budynków, które z lotu ptaka wyglądały na zadbane - co innego zapamiętała z opowieści ciotki Mei. Główną siedzibę sygnalizował wielki, zadbany trawnik. Blaszany dach błyszczał w słońcu niczym lśniącą moneta wśród szmaragdów.

Kiedy wylądowali, spodziewała się zobaczyć bydło i konie, a może nawet tutejszych kowbojów, choć wiedziała, że w Australii nie ujrzy zielonych, trawiastych pastwisk. Ziemia była tu bardziej jałowa, spalona słońcem. Ta Australia w niczym nie przypominała zielonych tropików,

jakie poznała w czasie jej pierwszego pobytu na tym niezwykłym kontynencie.

- O czym myślisz? - zapytał Cullen.

- Że ta ziemia ma swoje piękno - powiedziała, odganiając muchy, które pojawiły się natychmiast po wyjściu z samolotu.

- Swoiste piękno, chciałaś powiedzieć.

- Ale jednak piękno. A ty, jak się czujesz w domu?

- Moim domem był dom, który dzieliłem z tobą.

Serce po młodzieńczemu zabiło jej w piersi.

- No dobrze, a jak tu się czujesz?

- Dziwnie.

Znów zamilkła. Na horyzoncie pojawił się pędzący tuman kurzu.

Cullen wyostrzył wzrok i powiedział:

- Wysłali po nas kogoś. - Potem odwrócił się i podszedł do pilota, uważnie oglądającego śmigło.

- John na razie tu zostanie, musi coś naprawić

- poinformował, wracając na spotkanie wozu.

- Przyjadę po niego później i ustalimy dalsze plany.

W tej samej chwili z furgonetki wysiadł starszy Aborygen z posiwiałymi, wełnistymi włosami. Cullen z uśmiechem uściskał mu dłoń.

- Cześć, Luke, kopę lat! Tata jest w domu? Luke uciekł spojrzeniem w bok, jakby pytanie go przerastało.

- Winnie kazała po was przyjechać, to przyjechałem. Po ciebie też - obdarzył Lianę nieśmiałym uśmiechem.

Cullen skinął w milczeniu głową i ruszył za Lukiem do wozu.

- Kto to jest Winnie? - spytała po drodze Liana.

- Pewnie gospodyni.

- Nie znasz jej?

- Kiedy byłem mały, ojciec nie miał gospodyni.

- Winnie jest u szefa od dawna - odezwał się niespodziewanie Luke.

- Tak jak Harry, jej mąż. On jest zarządcą.

Cullen aż gwizdnął ze zdumienia.

- Ojciec pozwolił rządzić farmą komuś innemu?

- I dobrze zrobił. Szef się starzeje. Ja też. Zajechali przed dom. Liana

zaczęła się rozglądać, szukając wzrokiem syna. Łudziła się, że będzie wypatrywał ich z werandy, ale nie powitał ich nikt, a wszystko wokół zdawało się trwać nieruchomo w ciszy południowego upału.

- Piękny dom - powiedziała Cullenowi, nie chcąc zarażać go swoim rozczarowaniem. - Prawdziwa oaza zieleni i spokoju.

- Tata zbudował go dla mamy.

- Czy była tu szczęśliwa?

- Tak, bardzo. Dopóki żyła, byliśmy wszyscy bardzo szczęśliwi.

Winnie otworzyła drzwi i wyszła powitać ich na werandę. Liana ujrzała kwiecistą sukienkę ze sztucznego materiału, włosy skręcone trwałą i pobrużdżone policzki. Ale najwięcej powiedziało jej spojrzenie starszej kobiety. Kiedy Luke przedstawiał je sobie, Liana boleśnie przymknęła oczy - we wzroku Winnie było tyle współczucia, że wiedziała już, że nie znajdzie syna w Jimiramirze.

- Rozminął się pan z ojcem - gospodyni zwróciła się do Cullena.

- Czy także rozminąłem się z synem? Winnie nie udawała, że nie rozumie.

- Tak, niestety.

Liana zachwiała się, Cullen otoczył ją opiekuńczo ramieniem.

- Spokojnie, Lee...

- Tak, proszę pani, spokojnie - powtórzyła Winnie. - Wejdźcie, napijcie się herbaty, a ja zaraz wszystko opowiem.

Kuchnia była duża, przestronna i sterylna jak sala operacyjna w miejskim szpitalu. Usiedli przy stole, Winnie zaczęła krzątać się przy kredensie.

- Słyszałam, że był z pana słodki chłopak - zwróciła się do Cullena, podając im kubki i rozkładając talerze. - Podobno stale przychodził pan tu lasować...

- Przepraszam cię, Winnie, powiedz nam najpierw, co się dzieje z Matthew - przerwała jej Liana. - Umieramy ze strachu.

Winnie naląła parującego płynu do filiżanek, podała cukier i ciasteczka i dopiero wtedy usiadła.

- Dobrze rozumiem, jak to jest, kiedy ginie dzieciak - westchnęła. - Wasz syn zjawił się tutaj we wtorek. Pana ojciec nie miał pojęcia, że wnuk postanowił go odwiedzić. Zadzwoiła do niego jedna kobieta z

Caldwale Gap, Helen Myrtle. Prowadzi tu w okolicy mały interes - zajazd przy drodze i sklepik. Czasem zatrzymują się u niej autobusy wycieczkowe, albo kierowcy ciężarówek staną, żeby coś przekąsić. No i Helen zadzwoniła do Romana, że jedzie do niego wnuk z dziewczyną. Pytali ją o drogę, więc od razu...

- Z dziewczyną? - zdziwiła się Liana.

- Tak, kochana, zaraz ci wytłumaczę - pokiwała głową Winnie i po chwili wiedzieli już wszystko o Tricii i jej rodzicach. - A swoją drogą podziwiam, że tak szybko tu za nim dotarliście - dodała.

- Posłuchaj, Winnie - Cullen popatrzył na nią badawczo. - Dzwoniłem tutaj niedługo po przybyciu mego syna i chciałem rozmawiać z ojcem. Ktoś mi powiedział, że wyjechał na drugi koniec Jimiramiry i nie będzie go przez parę dni.

- Wiem, to byłem ja. Ciężko mi było nie mówić panu prawdy. Ale od razu odgadłam, kto dzwoni, bo ma pan głos jak ojciec, i chciałam...

- No? - warknął Cullen.

- Chciałam, żeby dziadek z wnukiem pobyli jeszcze trochę razem. Bałam się, że każe pan Romanowi odesłać chłopaka natychmiast do domu. Dzięki mnie zyskali chwilę czasu.

- Ciągle nie wiemy, gdzie jest Matthew - podsumował Cullen. - I gdzie jest mój ojciec. Czy wiesz coś, Winnie?

Szybko dopiła resztę herbaty.

- Ano właśnie, rzecz w tym, że nie wiem. Naprawdę, niech się państwo nie gniewają. Wczoraj wstałam wcześnie, jak zwykle, żeby zrobić śniadanie. Dla chłopaka przygotowałam podwójną porcję, bo on naprawdę potrafi zjeść! A jak uwielbia parówki! Kiedy jednak zobaczyłam, że pan nie zszedł do kuchni, zadzwoniłam do niego. Według Romana Llewellyna można regulować zegarek. Wstaje punkt piąta i ani sekundy później. Kiedy nie podnosił słuchawki, poszłam najpierw do pokoju chłopaka. Widać było, że spał tam w nocy, ale go nie znalazłam. Pobiełam do pana, zapukałam do drzwi, ale nie odpowiadał. Weszłam i...

- I co? - Liana poderwała się z miejsca.

- On też zniknął, tak jak Matthew. Nie zostawił żadnej wiadomości i do tej pory się nie odezwał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Liana nerwowo wierciła się na ławce przed domem, czekając na Cullena, który poszedł popytać ludzi na farmie. Wreszcie zjawił się i od razu zaczął meldować:

- Urwali się stąd w tajemnicy i odjechali w niewiadomym kierunku. Nie ma jednego samochodu terenowego, a Harold, mąż Winnie, twierdzi, że ojciec zabrał zapasy jak na wyprawę w teren, łącznie z zapasowym akumulatorem, częściami do wozu i kanistrami, bez których nikt tu nie podróżuje.

- I nie mówił nikomu, dokąd jedzie?

- On jest tu szefem, a szef nie musi się nikomu spowiadać.

- A jeśli ktoś śledził Matthew tu, w Jimiramirze? - zaniepokoiła się Liana. - Jeśli ten ktoś odkrył, że mały dogadał się z twoim ojcem, i postanowił...

- Nie panikuj, to mało prawdopodobne. Nikt nie zauważył, żeby ktoś obcy kręcił się przy farmie. I nie sądzę - dodał z krzywym uśmiechem - żeby ktoś mógł porwać mojego ojca, nie stawiając na nogi całej okolicy.

- Ale nikt nie słyszał, kiedy odjechali.

- Bo zrobili to po cichu.

- A dlaczego nie zostawili żadnej wiadomości?

- Roman wiedział, że prędzej czy później zjawię się tutaj. Z jakichś powodów nie chciał, abym zrobił to za wcześnie.

- Może chciał trochę pobyc z wnukiem? Cullen pokręcił z powątpiewaniem głową.

- To niepodobne do ojca, żeby nagle, bez słowa, zostawić farmę i wszystkie sprawy, znikając bez wiadomości.

- Jesteś pewien? Może jednak coś zostawił?

- Hm, wątpię, nigdy nie lubił trzymać pióra w ręku. Tym bardziej

zależało mu, żebym skończył studia. Ale masz rację, wypadaloby sprawdzić, a nuż trafi się jakiś ślad.

- Gdzie będziemy szukać?

- Najpierw podjadę do Johna i zapytam, czy będzie mógł jeszcze poczekać, dopóki nie zadecydujemy, co robić. Ty idź do pokoju Matthew, a potem przeszukamy razem gabinet taty.

Po tych słowach Cullen wskoczył do dżipa i odjechał w tumanie pyłu, a Liana wstała z ławki i poszła szukać Winnie. Pokój, do którego zaprowadziła ją gospodyni, był zdumiewająco obszerny. Za oknem pyszniło się rozłożyste drzewo. Liana zastanawiała się, czy tu mieszkał Cullen jako chłopak.

- Wątpię, żeby pani coś znalazła - odezwała się Winnie i po chwili zostawiła ją samą.

Liana przysiadła na krawędzi podwójnego łóża i pogładziła miejsce, gdzie spał jej syn. Nie wierzyła w telepatyczne przesyłanie myśli bliskiej osobie, ale przez moment usiłowała się skupić, wyobrażając sobie swoje dziecko. Niestety, nie usłyszała nawet własnych myśli. Zagłuszył je lęk.

Wstała i zaczęła starannie przeszukiwać pokój. Nic nie znalazła. Kiedy Cullen wrócił, zastał ją siedzącą w fotelu, pod którego pokrowiec także zdążyła zajrzeć.

- Nic?

- Nic. Poza tym że mały bardzo podciągnął się, jeśli chodzi o porządek w swoim pokoju.

- John jeszcze coś naprawia. Twierdzi, że będzie gotów do lotu dopiero jutro rano. Osobiście uważam, że trochę przesadza i że spokojnie mógłby polecieć już zaraz, ale to nam w sumie pasuje, więc go nie namawiałem.

- W takim razie musimy spędzić tu noc?

- Jeśli nic nowego się nie zdarzy, tak.

- Czy to był twój pokój, Cullen? - zapytała ostrożnie.

- Tak - uśmiechnął się przelotnie - dawno, dawno temu. - Podeszedł do okna i odsunął zasłonę. - Widzisz ten gumowiec? Kiedyś miał długi konar, który prawie sięgał do okna. W nocy, kiedy wszyscy myśleli, że śpię, wchodziłem na niego, a potem wspinałem się wyżej po pniu i przeskakiwałem na dach. Stamtąd docierałem nad kuchnię i spuszczałem

się w dół po ślepej ścianie kuchennego ganku.

- Co się stało z tym konarem?

- Cóż - uśmiechnął się ponownie - rosnę i robiłem się coraz cięższy. Kiedy miałem dziesięć lat, złamał się pode mną pewnej nocy. Spadłem i złamałem rękę. Ojciec nawet na mnie nie krzyczał, widać uznał, że zostałem dostatecznie ukarany. Ale uciął resztkę konaru, żeby mnie już nigdy nie kusił. Dobrze, że nie zrobił tego z moją ręką.

Liana uśmiechnęła się blado. Nawet teraz Cullena nie opuszczało jego specyficzne poczucie humoru.

- Myślałem jeszcze o tym, co mi powiedziałaś - odezwał się znowu.

- Być może miałaś rację.

- W czym? - zapytała, patrząc na niego w skupieniu.

- Mówiłaś, że dziadek chciał tylko pobyc z wnukiem i pokazać mu Jimiramirę. I że na pewno troszczy się o małego. To prawda.

- Uważasz, że uda nam się namierzyć ich z powietrza?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Rano wsiądziemy w samolot i spróbujemy odbyć lot zwiadowczy.

- A jeśli John go nie naprawi? Czy to jedyny samolot?

- Niestety, jedyny sprawny. Harry mówił, że jest drugi, ale stoi bezużytecznie od miesiąca, bo jakaś część jeszcze nie dotarła.

Helikoptera też nie ma, poleciał daleko, do innego obozu.

- W takim razie chodźmy do pokoju twojego ojca. Może tam znajdziemy jakiś trop.

Drzwi gabinetu Romana Llewellyna nie były zamknięte. Na szczęście, bo Winnie mogłaby zabronić im wstępu pod nieobecność pana. Pokój był duży, zastawiony regałami i kartotekami. Pośrodku stało biurko, pokryte pospinanymi i poukładanymi w staranne stosy papierami. Puste ściany zdobiło jedynie lustro w mosiężnej ramie.

Cullen zebrał dokumenty z biurka, usiadł w obrotowym fotelu i zaczął je przeglądać.

- Masz coś? - zapytała po chwili Liana. - Wiesz w ogóle, co chcesz znaleźć?

- Nie mam pojęcia - pokręcił głową i szukał dalej.

Potem zajrzał do szuflad, sprawdził segregatory, zbadał zawartość kartoteki i książki telefonicznej. Gdy zaczął sprawdzać wstecz wszystkie

rachunki, sądził, że robi to tylko dla zasady i że nie znajdzie nic ciekawego.

A jednak znalazł.

- Jezu... - zmarszczył nagle brwi i wczytał się w komputerowy wydruk.

Liana natychmiast znalazła się przy nim.

- Znalazłeś?

- To nie dotyczy Matthew - odpowiedział szybko, odwracając kolejną stronę.

- Ale dotyczy ciebie, dobrze się domyślam? Podeszła do niego od tyłu i położyła mu dłonie na barkach, gestem czulej żony, masującej napięte mięśnie zmęczonego męża. Cullen westchnął z lubością.

- Uwielbiałem, kiedy tak robiłaś.

- Zrobię jeszcze, jeśli powiesz mi, co znalazłeś.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że znalazł się kiedyś anonimowy inwestor z dużymi pieniędzmi, który spłacił długi South Cross i pomógł mi postawić firmę na nogi?

Liana uśmiechnęła się domyślnie. Wiedziała, co za chwilę powie jej Cullen.

- Pamiętam - odparła. - Czyżbyś zdemaskował inwestora?

- Tak. Znalazłem list od banku, który pośredniczył w udzieleniu mi pożyczki. To ojciec wyłożył kasę.

- Nigdy nie miałeś podejrzeń, że ten milczący partner w interesach to właśnie on?

- Skąd! - Odwrócił się ku niej. - Ojciec był dla mnie ostatnią osobą, która chciałaby mi pomóc! Kiedy przepisywał na mnie South Cross, powiedział mi wręcz, że pewnie doprowadzę firmę do upadłości.

- Ludzie w gniewie mówią różne rzeczy, Cullen. Często ich potem żałują. Sami wiemy o tym najlepiej.

- Jak myślisz, dlaczego on tak postąpił, Lee? - Opadł znowu na fotel, a ona ponownie zaczęła masować mu kark. - Przecież mówił, że oddaje mi South Cross i jest to ostatnie zobowiązanie, jakie miał wobec mojej osoby.

- Wiedział, co to znaczy, kiedy się traci wszystko. Może chciał ci oszczędzić tego uczucia.

- Nie znasz go, Lee.
- Jak się okazuje, ty też go nie znasz.

Cullen wzruszył ramionami.

- Dlaczego w takim razie robił z tego tajemnicę?
- Może nie chciał, żeby wytykano mu niekonsekwencję. Powiedział ci przecież, że South Cross jest ostatnią rzeczą, jaką od niego dostajesz.
- Możliwe.
- Poza tym mógł uważać, że twoja duma ucierpi, jeśli dowiesz się, kto cię wsparł finansowo. Powiedz sam, przyjąłbyś od niego pieniądze?
- Oczywiście, że nie.

Poczuła, jak zeszywniał, i uspokajającym gestem przeczesła mu włosy.

- Wydaje mi się, Cullen, że twój ojciec jest o wiele lepszym człowiekiem, niż myślisz. I kocha ciebie.
- Kocha! - parsknął z goryczą.

Liana nie próbowała go przekonywać. Wiedziała, że Cullenowi nie będzie łatwo oswoić się z tą myślą i że dopiero z czasem będzie w stanie dokonać życzliwej, uczciwej oceny własnego ojca. Może przyjdzie mu to łatwiej, skoro sam uzmysłowił sobie swoje błędy.

Tak, wszyscy popełnili jakieś błędy - ona, Cullen, jego ojciec, Archer i ciotka Mei, Thomas i jej matka. Tyle łez zostało już wylanych, tyle tragedii spotkało Robesonów i Llewellynów. Pomyślała o Matthew, którego dziedzictwem nie była ani Jimiramira, ani Pacific International, ani South Cross, ani nawet Królowa Pereł - lecz tylko i wyłącznie ciężar błędów, które obie rodziny popełniały od wieków.

- Musimy znaleźć naszego syna - powiedziała, opuszczając ręce. - I musimy znaleźć Romana, zanim coś im się stanie.
- Chyba wiem, gdzie ich szukać, Lee. Czekala. Bała się pytać.
- Pojechali do Pikuwa Creek. Tam urodził się Matthew. Myślę, że postanowili cofnąć się w czasie. Oboje.

Matthew miał dosyć ciągłego objawiania się na siedzeniu. Wczoraj jechali cały dzień drogą, która wiodła przez samo serce Jimiramiry, a potem przez inne farmy, gdzie więcej widziało się dziwacznych formacji skalnych i wyschniętych koryt rzek niż bydła. Dziś, po nocy spędzonej pod gołym niebem i śniadaniu złożonym z herbaty i podpłomyków,

wyruszyli o świcie, by przejechać jak najwięcej, zanim zacznie się morderczy, południowy upał. W południe zatankowali paliwo w przydrożnym zajęździe. Stek, który im tam podano, był chyba najlepszy, jaki Matthew jadł w życiu.

- Dziadku, dlaczego ty i mój ojciec nie rozmawialiście ze sobą? - zagadnął teraz, gapiąc się w bezkres surowego krajobrazu za szybą samochodu.

Roman gwałtownie skręcił kierownicę, by ominąć kałużę, która w każdym innym kraju mogłaby uchodzić za staw.

- Dopiero teraz o to pytasz? - odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Bo dopiero teraz zaczynasz mi ufać.
- Skąd wiesz?
- Nie odesłałeś mnie do domu, kiedy pokazałem ci perłę.
- Stary dureń ze mnie.
- Widać to dziedziczne - zaśmiał się Matthew. - Powiedz mi więc, dlaczego nie rozmawialiście?

Musiał poczekać na odpowiedź. Najbliższy odcinek drogi był w tak fatalnym stanie, że dziadek skupił się wyłącznie na prowadzeniu.

- Jakoś tak wyszło, że nigdy za dużo ze sobą nie rozmawialiśmy - powiedział wreszcie Roman, gdy nawierzchnia trochę się wyrównała. - Może po prostu nie nadążałem za nim? Ten chłopak potrafiłby chyba zagadać słońce, żeby zeszło z nieba. A ja nie umiałem mu trafnie odpowiadać ani dawać rad takich jak trzeba. Później zaczął gadać z innymi ludźmi z farmy, z włóczęgami, którzy wędrowali w poszukiwaniu roboty, czy innymi typami, których pełno w takich okolicach, gdzie łatwo się schronić przed prawem. Powinienem być lepiej go pilnować, ale nigdy nie miałem czasu albo całymi tygodniami nie było mnie w domu. To te lumpy nauczyły go hazardu.

- Tata już nie gra - wyjaśnił Matthew. - Wyleczył się z tego dawno temu.

- Tak, słyszałem.
- Wiedziałaś o tym?
- To i owo obje się człowiekowi o uszy, nawet jeśli nie chce.
- Ale ty chciałaś wiedzieć, co się dzieje z moim ojcem, prawda?
- Nie wiem, czy chciałem - skrzywił się dziadek. - Pewnego dnia

pokłóciliśmy się. Wysłałem go na zachód, do Pikuwa Creek.

Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli Cullen pójdzie na swoje, a ja nie będę się musiał o niego martwić.

- Ale martwiłeś się? Roman nie odpowiedział.

- Tata nigdy nie mówił o tobie źle - powiedział z naciskiem Matthew. - Zwierzył mi się, że pewnego dnia wróci do domu, żeby wreszcie wszystko między wami wyjaśnić, obojętnie, czy ci się to spodoba, czy nie.

- Jakie to podobne do mojego syna! - sarknął Roman.

- Twój syn jest najlepszym ojcem na świecie, naprawdę.

- Jeśli tak, mogę być z niego dumny. Ale nie nauczył się tego ode mnie.

- On ze mnie nie będzie dumny. - Matthew nagle posmutniał. - Pewnie nie doceni tego, co zrobiłem.

- A twoja matka?

- Matka prędzej. Perła zniszczyła jej życie. Do tego stopnia, że pewnego dnia nie była nawet w stanie wyjść z domu. Kiedy ta przeklęta perła wreszcie zniknie, może mama zrozumie, że miałem rację.

- Niekoniecznie. Ludzie przywiązują się do rzeczy.

- Zrozumie - powtórzył z przekonaniem Matthew. - Ona nie jest taka. Był tylko ten twój kumpel pożyczył nam łódkę i udało się nam wypłynąć na ocean.

- Oczywiście, że pożyczy. Pete już dawno mi proponował, żebym wziął ją sobie i popływał. Kiedyś opowiadałem mu, że lubiłem żeglować jako chłopak, a on powiedział, żebym zrobił sobie wycieczkę w przeszłość. Na jego łódce.

- I nigdy na niej nie pływałeś?

- Nie, bo nigdy nie miałem czasu. Ostatni raz wyjechałem na urlop, kiedy twoja babcia jeszcze żyła.

Roman już wcześniej opowiadał Matthew o Petcie Carpenterze, który pomagał mu kiedyś przewozić drogą morską bydło z Jimiramiry do Azji. Teraz Pete był na emeryturze i mieszkał na wybrzeżu w pobliżu Derby, na północ od Pikuwa Creek. Dorabiał sobie remontami łodzi.

- Czy na pewno damy sobie radę? - zmartwił się Matthew. - Łódka pewnie będzie miała dużo żagli.

- Najpierw zobaczymy, co Pete ma na składzie, a potem będziemy się martwić. - Roman zwolnił, redukując biegi. - Uff, jestem wykończony - sapnął. - Dalej chyba nie dam rady. Poprowadzisz kawałek?

Matthew był pewien, że się przesłyszał.

- Ja?

- Przez kilkadziesiąt kilometrów będzie lepsza droga. Nie widzę przeszkód, żebyś pojechał za mnie.

- Nie mam jeszcze szesnastu lat.

- Wiem, co to szkodzi? Jedziesz na moją odpowiedzialność, więc niczym się nie martw.

Matthew od razu zapomniał o obawach i wrzasnął radośnie. Roman zatrzymał wóz, uśmiechnął się, ustępując przejętemu wnukowi miejsca za kierownicą i wygłosił krótki wykład na temat bezpiecznej jazdy, połączony z demonstracją zmiany biegów w terenowym wozie z napędem na cztery koła.

- Na razie jedź wolno, żeby się przyzwyczaić - poradził. - A potem będziesz tylko naciskać gaz i zmieniać biegi.

Matthew, nadrabiając miną, zacisnął ręce na kierownicy. Wysłuchał jeszcze przypomnienia o sprzęgle, po czym wrzucił bieg i ruszył.

- Ju-huuu!

Dziadek roześmiał się, a jego wnuk uzmysłowił sobie, że po raz pierwszy słyszy śmiech Romana Llewellyna.

- Twój ojciec też wydał taki indiański okrzyk, kiedy pierwszy raz posadziłem go za kierownicą. Dobra, teraz wrzuc dwójkę.

Biegi zazgrzytały, ale Matthew mocniej wcisnął sprzęgło i wszystko poszło gładko. Przy następnym nie było już kłopotu. Przyspieszyli.

- Nieźle ci idzie - pochwalił go Roman. Jeszcze nigdy żadna pochwała nie uskrzydliła tak Matthew. Poczul się wielki i ważny za kierownicą potężnego wozu. Dodał gazu i pomknęli jeszcze szybciej.

- Musisz mieć ucho na silnik, chłopcze. Kiedy obroty będą rosły, poznasz, że trzeba wrzucić kolejny bieg.

Matthew spocił się z wrażenia. Oprócz wielu rzeczy musiał jeszcze pamiętać, gdzie jest hamulec, na wypadek, gdyby wyskoczył mu przed maskę kangur albo inne zwierzę, i starać się trzymać środka drogi, gdzie

czuł się najbezpieczniej. Do tego co chwila pojawiały się wyrwy, które trzeba było omijać.

Po raz ostatni dodał gazu i dał z siebie wszystko, by gładko wrzucić najwyższy bieg. Skrzynia biegów jęknęła w przeraźliwym proteście, a wtedy Roman uspokajającym gestem przykrył dłonią dłoń wnuka, zaciśniętą nerwowo na lewarku, po czym pomógł mu znaleźć właściwe położenie. Wóz skoczył do przodu i teraz zdawał się płynąć, choć szybkość była i tak o wiele mniejsza niż ta, z którą prowadził dziadek.

- Dlaczego zgodziłeś się ze mną pojechać? - zapytał Matthew.
- Skup się na prowadzeniu. Pogadamy później.
- Proszę, odpowiedz mi.

Dziadek milczał tak długo, że Matthew stracił nadzieję, że coś od niego wyciągnie. Nagle jednak przemówił.

- Im dłużej żyję, tym bardziej wydaje mi się, że znam naturę czasu. Tobie wydaje się, że masz go bardzo dużo, ale nadejdzie kiedyś moment, gdy zobaczysz, jak bardzo się mylisz. Nikt nie ma za dużo czasu, Matthew. I są rzeczy, które muszą być załatwione od razu.

- Na przykład? - zapytał Matthew, starając się nie zboczyć z drogi.
- Na przykład zdobycie pewności, że Królowa Pereł już nigdy nie sprowadzi nieszczęścia na nikogo z naszej rodziny.
- A nie chodziło ci też o to, żeby poznać wreszcie własnego wnuka?
- Cholera, skup się na prowadzeniu, bo połamiemy resory!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Pikuwa Creek znajdował się pomiędzy Derby i Broome, u wejścia do pięknej zatoki o poszarpanych brzegach. Sto lat temu był to jedynie punkt wypadowy dla połowców, używany przez firmę Somerset i Spółka. Dziś Pikuwa Creek stanowił siedzibę firmy South Cross i był całym światem prawnuka Sebastiana Somerset.

Cullen zerknął na Lianę, gdy John kołował nad lądowiskiem należącym do South Cross. Widać było, że jego była żona na zawsze pozostanie nerwowym pasażerem, przeżywającym każdy manewr, ale było też jasne, że zwalczyła już dręczące ją demony. Tego ranka, kiedy wystartowali z Jimiramiry, przez dłuższy czas krążyli nad posiadłością, wypatrując z góry samochodu lub obozowiska, które mogłyby świadczyć o wspólnej wyprawie Matthew i Romana. Niestety, nie znaleźli żadnego śladu, więc o dziesiątej wrócili, aby zatankować paliwo, i zaraz potem odlecieli do Pikuwa Creek.

- Winnie obiecała, że skontaktuje się z nami, kiedy tylko będzie coś wiedziała – powiedział Cullen, wyglądając przez okno. - W każdym razie jeszcze nie dotarli do celu. Sarah nie miała żadnych wiadomości na ten temat, kiedy rozmawiałem z nią przed naszym odlotem. Zobacz - wskazał w dół, pragnąc choć na chwilę odwrócić myśli Liany od bolesnego tematu. - Widzisz, jak błyszczą woda? W tym miejscu znajdują się zatopione pod powierzchnią aluminiowe platformy, unoszące kolonię małży. Wszystkie perłopławy zostały wcześniej prześwietlone, więc mamy pewność, że zaczęły już produkować perły. Druga farma ma jeszcze więcej małży w tym stadium. Perły wybiera się w lutym - ciągnął, coraz bardziej przejęty ukochanym tematem. - Małże muszą potem regenerować się przez cztery do sześciu miesięcy. Nurkowie odholowują platformy daleko w ocean, tak by nikt ich nie

odkrył. Tam odpoczywają, lecz dwa razy w miesiącu musimy je czyścić z glonów. Po wyznaczonym czasie perlółpawy znów wracają do hodowli i zabierają się do roboty.

- Małemu będzie się to podobało - uśmiechnęła się Liana. - Zobaczyc Pikuwa Creek to nie to samo, co o nim słyszeć. Jeśli tu dotrze...

- Dotrze na pewno.

- Ciągle sobie wmawiam, że tak będzie. W końcu jest pod opieką dziadka. A jednak mam niedobre przeczucia... - Odwróciła się i popatrzyła na niego wielkimi oczami, jeszcze bardziej wyrazistymi na tle bladej, szczupłej twarzy. - A ty, Cullen? Jesteś jego ojcem, czujesz więz z synem. Co myślisz? Wierzysz, że jest bezpieczny?

- Myślę, że najważniejsze są fakty, a nie przypuszczenia. Nie mamy dowodu, że ktoś poza nami depcze mu po piętach w Australii.

Gdy tylko wylądowali i wysiedli z samolotu, Liana zeszła z pasa i szybkim krokiem ruszyła przez wysuszoną łąkę w poszukiwaniu cienia. Przystanęła pod kępą kwitnących drzew i rozejrzała się dokoła. Cullen czujnie śledził jej reakcję, patrzył, jak Liana reaguje na powrót do Pikuwa Creek, sprawdzał, czy widzi, jak bardzo się tu zmieniło. Usiłował zobaczyć ten krajobraz jej oczami, lecz nie starczyło mu wyobraźni. Już nie pamiętał, jak wyglądało to wszystko dziesięć lat temu, kiedy się rozstawali.

- Jak ci się podoba mój dom i moja firma? - zapytał, podchodząc i stając obok niej.

- Cullen, to jest... - Odwróciła się i popatrzyła na niego z podziwem. - Wszystko zmieniło się nie do poznania. To jest jak cud! Jak tego dokonałeś? Gratuluję!

Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakuje mu takiej pochwały.

- Dziękuję - powiedział. - Twoje słowa są największą nagrodą.

- Nasz dawny dom jest całkiem inny, bardziej okazały. I ten czerwony dach... Uwielbiam czerwone dachy. Taki sam jest w Jimiramirze, prawda?

- I w całej Australii.

- Wygląda jak chińska świątynia.

- To styl typowy dla Broome. Ułatwia spływanie i parowanie wody w porze deszczowej. Może rzeczywiście w Broome pierwsi zaczęli tak budować Chińczycy.

- Powiększyłeś też werandę, prawda? I posadziłeś mnóstwo nowych roślin. Te bugenwille są przepiękne.

Liana nie była kobietą, która lubi chwalić. Cullen nie był mężczyzną, który oczekuje na komplementy. Został zaskoczony do tego stopnia, że - co rzadko się zdarzało - zabrakło mu słów. Chciał przytulić Lianę i ucałować, chciał powiedzieć, że dom byłby jeszcze piękniejszy, gdyby mogli zamieszkać w nim całą rodziną. W tej samej jednak chwili, kiedy ujął jej dłoń, na werandę wyszła wysoka, młoda kobieta o ostrzyżonych krótko blond włosach - i nastrój prysnął.

- Chodź, zaraz poznasz Sarah. - Cullen puścił jej dłoń i popchnął ją lekko do przodu. - Może będzie miała dla nas jakieś wieści.

Sarah czekała na nich w cieniu werandy. Przedstawiła się uprzejmie, po czym od razu wyjaśniła, że nie udało jej się zdobyć żadnej wiadomości o Matthew Llewellynie i jego dziadku. Pochwaliła się, że udało jej się zmobilizować wszystkich pracowników South Cross, którzy dostali polecenie zawiadomienia jej o każdym, najdrobniejszym nawet śladzie czy sygnale, i zaproponowała powiadomienie policji w Broome oraz w Derby.

- Z policją na razie poczekajmy. - Cullen po raz kolejny docenił profesjonalną sprawność tej kobiety. - Sprawdziłaś mój e-mail?

- Nic tam nie było.

- Może rzeczywiście dobrze byłoby zawiadomić policję - odezwała się Liana.

- Zgoda, zajmę się tym - mruknął Cullen, godząc się niespodziewanie łatwo na jej sugestię.

- Zdaje się, że Stanford nie może tu użyć swoich wpływów. Wy, jak chcecie, przejdźcie się po farmie. Sarah, pokażesz Lianie nasze gospodarstwo?

- Bardzo ci współczuję z powodu Matthew - powiedziała Sarah.

Liana zdążyła już ją po babsku ocenić i nie umiała zaprzestać porównywania siebie z tą bez wątpienia przystojną kobietą. Porównanie wypadalo, niestety, na jej niekorzyść. Sarah była wysoka i

wysportowana, mogłaby wystąpić w reklamówce aerobiku. Do tego miała złociste włosy, niebieskie oczy i nogi do samego nieba. Wyraźnie preferowała sportowy styl, słusznie zresztą, bo biała bawełniana koszulka i szorty znakomicie podkreślały jej kobiece atuty. W wieku dwudziestu sześciu lat łatwo jest tak wyglądać, westchnęła w duchu Liana.

- Nie ma co współczuć - odpowiedziała - każdy nastolatek prędzej czy później będzie próbował wyrwać się spod rodzicielskiej kurateli.

- Nie mam dzieci, ale jednak wyobrażam sobie, co musisz czuć. I wiem, jak Cullen kocha swojego syna.

- Jak długo tu pracujesz? - zapytała Liana.

- Pięć lat. Studiowałam biologię w Sydney, ale tęskniłam za Broome, gdzie się wychowałam. Strasznie chciałam tu wrócić. Sama powiedz, czy gdzieś może być piękniej?

- Nie wiem, nie widziałam Broome od wielu lat.

- Broome również się zmieniło, tak samo jak Pikuwa. Dawniej to była zapadła dziura, a teraz jest tam prawdziwie kosmopolityczna atmosfera. Co miesiąc jakiś festiwal, koncerty, regaty...

Zatrzymały się. Stały na skraju białej piaszczystej plaży, otaczającej zatokę. Liana dobrze pamiętała tę plażę.

- Pamiętam, jak przychodziłam tu z moim synem - uśmiechnęła się z nostalgią do swoich wspomnień. - Żałowałam, że nie mogę z nim popływać, ale tutejsze odpływy mogłyby nas porwać i wynieść za daleko.

- Właśnie dzięki tym gwałtownym przypląwowom i odpływom nasze perły są tak piękne i dorodne - pochwaliła się Sarah. - Przez muszlę przepływa strumień wody, niosący życiodajne składniki. To jest idealne środowisko. Gdyby Cullen ogłosił, że chce sprzedać ten interes, natychmiast ustawiłaby się kolejka chętnych.

Liana widziała dumę w oczach tej młodej kobiety. Sarah była z pewnością lokalną patriotką i zdaje się, że podziwiała zdolności i rozmach swojego szefa. Czy prócz podziwu żywiła do niego i inne uczucia? W końcu mieszkała na tej farmie od pięciu lat, cały czas będąc blisko Cullena...

- Wiesz, że Cullen jako jeden z pierwszych odkrył zalety hodowli

perł w naturalnym środowisku? Dlatego nasza firma rozkwitła. Muszle wylawia się, zaszczepia, a potem znów wrzuca do oceanu. Potem przez czterdzieści dni trzeba je regularnie czyścić i przewracać, żeby perła mogła zacząć się formować.

Liana wiedziała, na czym polega ten niezwykły proces. Muszlę rozchyła się, a specjalnie wyszkolony technik rozcina gruczoł i wsuwa do niego tak zwany ośrodek, który stanie się zalążkiem przyszłego klejnotu. Ośrodek wykonuje się z macicy innego, słodkowodnego małża. W ciągu miesiący perłopław będzie otaczał ziarno, drażniące jego czułe ciało. Wreszcie w jego wnętrzu powstanie perła. Zaszczepienie małży jest najbardziej kosztowną częścią hodowli. Na japońskich farmach specjaliści od takich operacji zarabiają fortunę.

- Macie tu własnego specjalistę od szczepienia czy musicie sprowadzać go z Japonii?

Sarah popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Jak to, przecież Cullen robi to sam.

- Cullen?

- Nauczył się, zanim jeszcze się tu zjawiłam. I szybko stał się najlepszym specjalistą w okolicy. Wszystkie perłopławy zaszczepia na pokładzie „Crossa”, bardzo starannie, niemal w laboratoryjnych warunkach. To także dzięki temu wyprzedziliśmy konkurencję.

- Miło to słyszeć.

Sarah rzuciła jej zaciekawione spojrzenie.

- Przepraszam, nie pomyśl, że się wtrącam, ale widzę, że cieszysz się z sukcesów byłego męża.

- Jasne, że tak.

- I wiem, że potrafisz je docenić. Wiesz, widziałam biżuterię, którą tu tworzyłaś, kiedy jeszcze byliście razem. Cullen do dziś przechowuje kilka twoich klejnotów. Masz ogromny talent.

- Dziękuję za komplement.

- To nie jest tylko komplement. - Sarah popatrzyła na nią tajemniczo. - Widzisz, nie mamy tu pracującego na miejscu jubilera, to jest w tej chwili nasz największy problem. Cullen sprzedaje nie-obrobiony produkt i choć dobrze na tym zarabia, to zawsze szkoda, że nie zarobił więcej. Dziwne, że jeszcze nikogo nie zatrudnił, ale myślę, że

ty...

- Ja?

- Nie chciałabyś znów zacząć projektować? Liana wolała o tym nie myśleć. Nie pamiętać,

jak fantastycznym przeżyciem jest łączenie pereł ze szlachetnymi metalami w piękne, niepowtarzalne formy. Zapomnieć, jak bardzo okaleczyła siebie, pozbawiając się możliwości tworzenia. Nagle powietrze wokół niej stało się ciężkie i gęste, a jej ciało pokryło się lepkiem potem. Potrząsnęła głową, bo krajobraz zaczął się jej rozmazywać w oczach.

- Już nie projektuję biżuterii - powiedziała cicho. - Pewnie już bym nie umiała.

- Wielka szkoda. Ale zastanów się nad tym. Cullen nie miałby odwagi cię o to poprosić, więc proszę ja.

- Przykro mi. - Liana poczuła, jak jej serce zaciska się boleśnie. - Zajmuję się teraz czym innym. Ludzie się zmieniają, tak samo jak ich zainteresowania.

- Mam nadzieję, że moje zainteresowania się nie zmienią. Kocham to miejsce, kocham perły i wszystko, co tutaj robimy.

Liana uśmiechnęła się smutno. Uzmysłowała sobie nagle, że gdyby ona miała tak powiedzieć o swoim życiu, zdanie zabrzmiałoby dokładnie odwrotnie: nienawidziła San Francisco, nienawidziła Pacific International i pracy, jaką tam wykonywała. Nienawidziła kobiety biznesu, jaką się stała, zaprzędając swoje serce i artystyczną duszę. Zrobiła to wszystko, bo postanowiła odejść od mężczyzny, którego kochała. Popęłił błąd, a ona nie była w stanie mu wybaczyć. Wybrała zemstę, samotność, własną niezależność - i drogo za ten wybór zapłaciła.

- Coś się stało? Dlaczego tak zbladłaś? - zapytała Sarah, zaniepokojona wyrazem jej twarzy. - Och, to pewnie ten upał i stres. Moja wina, szłam pewnie za szybko. Chodź, usiądziemy w cieniu.

Podążyła jej pomocne ramię, ale Liana odtrąciła je zirytowana.

- Nie zemdleję... - wzięła głęboki oddech, walcząc z falami lęku. - To nie ma nic wspólnego z upałem - szepnęła, zaciskając powieki.

Nagle, jakby pchnięta jednym, gwałtownym uderzeniem serca, przeniosła się w czasie do miejsca, którego Sarah nie mogła znać - do

małej farmy pereł, zbiorowiska odrapanych budynków, poobijanych statków i zmęczonych robotników, którzy ciężkim krokiem wędrowali do kantyny, żeby przepić wypłatę.

A jednak została tam wtedy, a nawet pokochała to miejsce, jego prostotę i szorstkie piękno. Nie odstraszyły jej muchy, jadowite węże ani krokodyle. I nawet, jak tłumaczyła to sobie po latach, nie wypędziły jej stamtąd szaleństwa Cullena. Wygnało ją co innego - zmory dzieciństwa. W jedynym miejscu, które mogło jej dać spokój i bezpieczeństwo, nie znalazła swojej przystani - bo nie chciała jej znaleźć. W sobie samej.

- Lee?

Otworzyła oczy i zobaczyła Cullena. Sarah zniknęła, nie wiadomo gdzie i kiedy. Liana nie miała pojęcia, w jaki sposób wyczuł, że coś się z nią dzieje, ale była mu wdzięczna, że ją odnalazł.

Czule ujął jej twarz w dłonie.

- Masz taką zimną skórę - powiedział.

- Przepraszam cię, Cullen - odparła.

- Za co?

- Za to, że przez minione lata żyłam w przekonaniu, że wszystko jest twoją winą. Za obawę, że Matthew pokocha bardziej ciebie niż mnie. Za to, że zostawiłam cię, kiedy najbardziej mnie potrzebowałeś.

Pokręcił głową.

- Musiałaś odejść, miałaś do tego pełne prawo.

- Były inne sposoby. Mogłam zamieszkać gdzieś w okolicy. Mogłam namawiać cię na terapię. A ja uciekłam daleko, narażając dziecko na rozłąkę z ojcem. Odcięłam się od ciebie, bo cię kochałam. Rozumiesz?

- Już wtedy rozumiałem, Lee.

- A jednak podniosłeś się z upadku, sam, mimo mojego odejścia, bez niczyjej pomocy.

- Niepotrzebnie się obwiniasz. Nie miałaś obowiązku męczyć się tu ze mną. Zrobiłaś to, co każda inna zrobiłaby na twoim miejscu.

- To jest właśnie najgorsze, Cullen. Rzuciłam cię dla łatwego życia. Zaprzedałam duszę Pacific International. I zostałam ukarana.

Milczał. O tym akurat wiedział zbyt mało.

Liana odwróciła się od niego i popatrzyła na zatokę, gdzie z wolna, w cichym trudzie, żywe stworzenia starały się uzdrowić własne, jątrzące

się rany, nie wiedząc, że rodzą przy okazji klejnoty.

- Nienawidzę Pacific International - powiedziała. - Nienawidzę swojej pracy w tej firmie, jej metod i zamierzeń. Nie cierpię San Francisco. Mam ważną funkcję, lecz prawie żadnej władzy, bo tak ustawił to niegdyś mój ojciec. Zależało mu tylko na Matthew. Jedyłą moją zasługą w oczach Thomasa było urodzenie męskiego potomka. Powiedział mi to, kiedy ukorzyłam się przed nim, prosząc o pomoc, bo nie mogłam sobie dać rady po rozstaniu z tobą. Wtedy zaproponował mi układ. Upokarzający układ, Cullen. Miałam utrzymać syna przy sobie, dopóki nie dorośnie do przejęcia Pacific. W nagrodę dostałam posadę w firmie oraz...

- Co?

- Perłę. Pod warunkiem, że zapiszę ją synowi. Dlaczego się zgodziłam? Powiedz, dlaczego?!

- Uspokój się. Thomas już nie żyje, a Matthew jest naszym dzieckiem. Tylko my możemy decydować o jego przyszłości.

- A czy nie widzisz, jak mój ojciec sprytnie manipuluje nami nawet teraz, zza grobu? Wiedział, że dziecko uczy się, obserwując rodziców, a nie słuchając, co mu mają do powiedzenia. A jaki przykład ja mogę dać mojemu synowi? Kupuję i sprzedaję kawałki tego świata, tak jak jego dziadek. Nie ma dla mnie życia poza pracą. Choć cały świat stoi przede mną otworem, mój prywatny świat zawęża się do czterech ścian w moim biurze. Jestem taka sama jak mój ojciec. Jestem Thomasem Robesonem, kolejnym jego wcieleniem. 1 dzień w dzień uczę syna, że ma być taki jak ja.

- Zapominasz o pewnych różnicach. Jesteś dobrą, serdeczną i ciepłą matką. Uwielbiasz Matthew, i on o tym wie. Dajesz mu wszystko.

- On zaginął, Cullen! - Odwróciła się ku niemu i bezsilnie wparła pięścią w jego pierś. - Uciekł, rozumiesz? Uciekł przeze mnie! Bo nie pozwalałam mu pojechać z tobą tam, gdzie był jego dom. Usiłowałam kontrolować jego życie, tak jak ojciec kontrolował moje. Thomas przewidział, że tak będzie. Mógł umrzeć spokojnie, bo był tego pewien.

Cullen przygarnął do siebie jej wstrząsane spazmami płaczu ciało. Łzy niepowstrzymaną strugą polały się po policzkach Liany. Nie otarł ich.

- Uspokój się i posłuchaj - powiedział niemal szorstko. - Znajdziemy naszego syna, a potem zapytamy go, dlaczego uciekł. Dopóki nie poznamy jego wersji, nie będziemy się zadręczać wyrzutami sumienia, zgoda?

- My? Ty nie masz sobie nic do zarzucenia!

- Tak, my. Ty i ja. Zarządzam, że od tej chwili zapominamy o przeszłości, jasne? Koniec, kropka. Było, minęło. Popełniłaś błędy, ja również, więc dajmy sobie z tym spokój. Pieprzyć to wszystko! Zaczynamy od nowa! Nie widzę powodu, żeby bez końca kajać się za grzechy młodości! Nie mam zamiaru zatruwać sobie życia!

- Brzmi to pięknie, tylko nasz syn zniknął...

- Już niedługo, Lee. Wierzę, że teraz nam się uda. Uporaliśmy się z własną przeszłością i działamy razem. Robimy, co możemy, a obchodzi nas tylko przyszłość i los tego dziecka. Znajdziemy małego. A jak już go znajdziemy, to znów sięgniemy po szczęście.

Liana chciała mu wierzyć. Chciała wziąć od niego część jego wiary, jego siły. Gdy to mówił, wszystko zdawało się takie proste...

A może było proste? Może tylko przeszłość była skomplikowana? Tylko czy naprawdę można odrzucić przeszłość?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Ich dawny dom oczarował ją na nowo. Tam, gdzie kiedyś były małe, prymitywnie wyposażone pokoje, zburzono większość ścian i urządzono przestronne, ładne wnętrza. Miłe, osobiste akcenty nadawały pomieszczeniu indywidualny rys - posążek wieloryba na stoliku do kawy, oprawiona w ramki fotografia Matthew na ścianie nad kanapą, model statku. Salon wyposażono w niezbędne tylko meble, lecz półki z książkami i sprzęt grający świadczyły, że Cullen spędza tu nierzadko wolne chwile.

- Zmieniłem co nieco, odkąd wyjechałaś, ale nie miałem czasu, żeby urządzić ten dom naprawdę tak, jak bym chciał - wyjaśnił, gestem zapraszając Lianę na kanapę. - Poczekaj, zaraz przyniosę coś do picia.

Była wykończona, więc z ulgą opadła na siedzenie i przymknęła oczy. Stopniowo odprężała się, słuchając fal bijących o niedaleki brzeg i pokrzykiwań ludzi na łodziach.

- Dobrze, że Sarah zaopatrzyła lodówkę - zawołał z kuchni Cullen. - Znalazłem nawet jakiś sok.

Patrzyła, jak podchodzi do niej ze szklanką. Wzięła napój, ciesząc się, że nie drży jej ręka.

- Położyłem twoje rzeczy w pokoju Matthew. Może być?

Przypomniała sobie malutką klitkę ze starym fotelem i dzieciennym łóżeczkiem. Musiała zrobić niewyraźną minę, bowiem Cullen roześmiał się i szybko wyjaśnił:

- Po przebudowie nie jest to już ten sam pokój. Choć dawny był prawie w tym samym miejscu. Pamiętasz - zniżył głos - jak mały zaczął wychodzić z łóżeczka i przychodził do nas w środku nocy?

- Owszem - uśmiechnęła się - i pamiętam, że zawsze wybierał niewłaściwy moment. A pamiętasz jego pierwszą Gwiazdkę? - zapytała.

- Aż za dobrze - Cullen nagle sposepniał. - Przepuściłem całą forszę odłożoną na prezenty.

- Nie o to mi chodzi - potrząsnęła głową. - Pamiętasz ozdoby na choinkę z macicy perłowej, które wtedy zrobiłam?

- Tak, dzwoneczki, aniołki... Mam je do dziś.

- Mieliśmy piękne święta.

- Wszystko było wtedy piękne.

Zamilkli na moment, pogrążając się w rozpamiętywaniu minionego szczęścia. Wreszcie, gdy milczenie stało się nieznośne, a wzruszenie zbyt niebezpieczne, Cullen odstawił szklankę na stół i powiedział trzeźwym, praktycznym tonem:

- Policja już szuka małego. Znają mnie i postarają się zrobić wszystko, co w ich mocy, żeby go znaleźć. Whitney Pendergast w Derby obiecał, że zadzwoni do pewnego faceta w Hall's Creek, który podobno wie wszystko, co dzieje się w okolicy.

- Jeśli Roman i Matthew wyjechali z Jimiramiry parę dni temu, już powinni tu być - Liana chętnie włączyła się do tej konkretnej rozmowy.

- Pewnie dziadek pokazuje wnuczkowi po drodze widoki. Poza tym to nie Kalifornia. Możliwe, że tkwią gdzieś na poboczu, naprawiając chłodnicę albo zawieszenie.

- Mam nadzieję, że nie - odparła, choć chyba wołałaby, żeby powód nieobecności jej syna w Pikuwa Creek był tak zwyczajny. - Dobrze, Cullen. Po powrocie masz na pewno dużo spraw do załatwienia, a ja dosłownie padam z nóg. Nie musisz się mną zajmować. Położę się na trochę, a potem przygotuję kolację i będę na ciebie czekać, zgoda?

Zerknął na zegarek.

- Zgoda. Wrócę o szóstej. Nie musisz odbierać telefonów. Sarah przyjmie je w biurze.

- Właśnie, a propos Sarah...

Po jego spojrzeniu domyśliła się, że spodziewał się tego pytania.

- Tylko raz w życiu próbowałem połączyć pracę z przyjemnością - wyjaśnił szybko. - Z tobą. Przyznaję, Sarah miałaby ochotę na bliższy związek. Ale ja jestem wyjątkowo uodporniony na wdzięki innych kobiet. Kręci mnie tylko pewna czarnulka o chińskim pochodzeniu.

Liana kpiąco uniosła brwi.

- Chciałam tylko zapytać, czy powinnam zaprosić Sarah na wspólną kolację.

- Nie wierzę. Ale dobrze - machnął ręką - zostawmy to na razie. Nie wiem, co znajdziesz w kuchni, ale kiedy tu mieszkałaś, potrafiłaś wy-
czarować cuda z niczego, więc...

- Nie ma cudów z niczego - przerwała mu ze smutnym westchnieniem. - W ogóle nie ma cudów, Cullen.

Chciał odpowiedzieć, lecz znów machnął tylko ręką i wyszedł.

Liana zdrzemnęła się godzinę na kanapie, a potem ruszyła na zwiedzanie domu, ciekawa, ile zdoła odszukać w nim wspomnień. Zauważyła już wcześniej, że zburzono wiele ścian. Dobudowano też nowe skrzydło z romantycznym tarasem, otoczonym białą kratką obrośniętą pnącymi bugen-willami. Zastanawiała się, kogo przyjmował tu Cullen. Co prawda zaprzeczył, jakoby byli z Sarah kochankami, ale nie należał też do mężczyzn, którzy potrafią żyć w celibacie. Przez wszystkie te lata musiały być w jego życiu jakieś kobiety.

Dom, choć tak inny, nie wydał się jej obcy. Pachniał morzem i aromatem tropikalnych kwiatów. Bujne i wilgotne powietrze pieściło jej skórę, budząc dawno porzucone wspomnienia. Rozkład pomieszczeń był inny, lecz widok z okien pozostał ten sam. Z jednej strony bagna rojące się od ptaków i owadów, potem potok Pikuwa, ciurkający cienką strużką do zatoki, a w porze monsunów zmieniający się w błotnistą, rwącą rzekę. I najdalej, na wprost - wodna linia horyzontu, fale, żagle, piasek plaży.

Sypialnia Cullena miała okna na trzech ścianach, jak gdyby nie znosił zamkniętej przestrzeni nawet we śnie. Bambusowe żaluzje i królewskich rozmiarów łoże utwierdziły ją w przypuszczeniu, że raczej nie sypiał sam. Poza tym jednak w pokoju nie było prawie żadnych sprzętów. Jediną ozdobę stanowił drewniany marynarski kufer, który Cullen zabrał ze starego statku poławiaczy pereł jeszcze w czasach, kiedy byli małżeństwem.

Liana podeszła do kufra i sięgnęła po stojącą na nim fotografię w ramce. Przedstawiała mężczyznę, chłopca i smukłą, wpatrzoną w ich obu kobietę, stojącą z boku jak duch.

To była ona. Pamiętała, co Cullen mówił, patrząc kiedyś na to zdjęcie - o pozostawaniu w cieniu innych, o życiu w tle.

O dziwo, była zdolna chodzić po tym domu i skutecznie stawiać czoło wspomnieniom. Poza jednym wyjątkiem - swojej dawnej pracowni. Unikała tego pomieszczenia, jak gdyby popełniono tam niegdyś mord; jak gdyby widać było jeszcze obwiedzione kredą zarysy ciała na podłodze. Cullen urządził dla niej to miejsce wkrótce po jej przybyciu do Pikuwa Creek, jeszcze przed ślubem. Jeszcze zanim wszystko zaczęło się psuć...

Nigdy w życiu nie była tak twórcza i nie pracowała z taką pasją, jak wtedy. Odniosła sukces, o jakim nawet nie marzyła. Jej prace sprzedawano w Sydney, w Paryżu i w Tokio za ceny, które oszalały ją samą. Zaczęła myśleć o zatrudnieniu ludzi, o rejestracji znaku firmowego z własnym nazwiskiem, o otwarciu salonu w Broome czy w Darwin. Tak było, dopóki hazardowy nałóg Cullena nie podciął korzeni South Cross. Musiała wtedy zabrać dziecko i zostawić młodego męża. Wróciła do San Francisco pod władzę ojca-tyrana.

Przez te wszystkie lata nie raz zastanawiała się, co Cullen zrobił z jej ukochaną pracownią, z jej sanktuarium z widokiem na morze, które wtedy tak pięknie wyposażył i urządził. Teraz wszakże, kiedy mogła się wreszcie o tym przekonać, bała się zrobić choćby krok w tę stronę.

I nie zrobiła. Zakończyła swoją podróż sentymentalną na kuchni. Tam wspomnienia wróciły z nową siłą, gdyż Cullen nie zmienił prawie nic z dawnego wystroju - pewnie w ogóle mało tu bywał. Ten sam zniszczony, czarny laminat pokrywał wąskie blaty. Ta sama podłoga z czarno-białych kafli przyjemnie chłodziła bose stopy. Pojawiła się za to nowa lodówka, mniejsza od starej, lecz wystarczająca, żeby pomieścić parę najpotrzebniejszych produktów. Piekarnik był jeszcze bardziej wypalony. Tylko wesola czerwona cerata na stole świadczyła, że ktoś chciał trochę ożywić to smętne miejsce.

Liana znalazła ryż w szafce (gdzie zawsze go trzymała) i wstawiła na gaz. Noże znalazły się na swoim miejscu, więc pokroiła warzywa, które musiała wcześniej kupić Sarah. Była jeszcze puszka z kurczakiem, którego zaprawiła sosem sojowym, mielonym imbirem i posiekanym czosnkiem. Teraz wystarczyło już tylko przesmażyć wszystko razem na wolnym ogniu w chwili przyjścia Cullena.

Cullen zjawił się dopiero po szóstej.

- Mam nowe wieści - oznajmił od progu, widząc jej wyczekującą minę.

- Policja dzwoniła?

- Nie. - Wprawnym ruchem cisnął kapelusz na kołek za lodówką. - Widocznie jeszcze nic nie wiedzą, bo na pewno by zadzwonili. Za to ja skontaktowałem się ze wszystkimi zarządcami placówek, obok których mógł przejeżdżać ojciec. Niestety, nikt go nie widział. Natomiast więcej szczęścia miałem z Winnie...

- Winnie? Co mówiła?

- Dzwoniła, że nie mieli żadnej wiadomości od szefa. Wypytała wszystkich pracowników i pasterzy w terenie. I zrobiła coś jeszcze: połączyła się z ojcem dziewczyny, z którą Matthew przyjechał do Jimiramiry.

Liana przypomniała sobie opowieść gospodyni.

- Chodzi o tę Tricię?

- Tak. Poprosiła, żeby zapytał córkę, czy Matthew mówił coś o innych miejscach, w które miałby się wybrać po zobaczeniu się z dziadkiem.

- I?

- Okazało się, że mały wspominał Tricii o podróży na wybrzeże.

- Tylko tyle? Nie wiadomo po co i dlaczego?

- Pewnie byłoby wiadomo więcej, gdybyśmy sami ją przepytali.

- Pewnie tak. W każdym razie coraz bardziej staje się prawdopodobne, że wyruszył do Pikuwa Creek.

Liana wstawiła patelnię na ogień. Serce waliło jej jak młotem, nie tylko z powodu usłyszanych wieści. Ile razy powtarzał się ten wieczorny rytuał z kapeluszem, wieszanym na kołku, i Cullenem, który stojąc oparty o framugę, patrzył, jak żona krząta się przy kuchni? Przeszłość i teraźniejszość zlały się nagle w jedno.

- Co myślisz o domu? - zagadnął.

- Podoba mi się. Bardzo się nad nim napracowałeś.

- Widziałaś cały?

Pochyliła się nad garnkami, bez słowa kręcąc głową. Ciekawa była, czy domyślił się, które wnętrza opuściła.

- Podobał mi się taras - powiedziała. - Możemy tam zjeść?

- Jasne, tylko przetrę stół.
- Już to zrobiłam. Zanieś nakrycia.
- Cudownie pachnie! Widzę, że nie zapomniałaś, jak się gotuje.
- Takie to dziwne?
- Żyjesz teraz całkiem inaczej - wzruszył ramionami. - Luksusowy apartament, pomoc domowa, służbowa limuzyna, markowe ciuchy, służbowe lunche i kolacje...

- Sądziysz, że to takie fajne?
- Są ludzie, którzy zgadzają się harować na to bez wytchnienia całe życie.

- Tak - odwróciła głowę - są tacy ludzie. Na przykład ja. Przepraszam - zreflektowałam się - nie chciałam cię urazić.

Powiedziałeś prawdę. Oddałam życie dla Pacific International. Świadomie na to poszłam. Potrzebowałam poczucia bezpieczeństwa i materialnej stabilizacji. Od kiedy wyjechałam z Australii, przestałam wierzyć w siebie i w swój talent. Miałam syna do wychowania i chciałam być pewna, że nigdy niczego mu nie zabraknie. Ale wierz mi - spojrzała znów na niego - że nie wróciłam do San Francisco dla drogich ciuchów i limuzyny z szoferem. To się nigdy dla mnie nie liczyło.

- Wiem, Lee, przecież cię znałam. Bałaś się o małego, rozumiem. A Thomas skusił cię złotym jabłkiem jak wąż w raju.

- Tylko że mój raj był tutaj, Cullen, w Pikuwa Creek. I tylko ty jeden dawałeś mi wszystko, czego naprawdę pragnęłam.

- A czego naprawdę pragnęłaś?

- Miłości. Tylko miłości.

- Miałaś ją.

- Tylko z początku.

- Miałaś ją - powtórzył stanowczo. - I nadal masz.

Liana odniosła wrażenie, że się przesłyszała, tak cicho i miękko wypowiedział ostatnie słowa.

- Nie wierzę - szepnęła.

- Naprawdę, Liano.

- Nie widzieliśmy się dziesięć lat...

- Nie zmarnowałam ich. Ciężko pracowałam, także nad sobą. A kiedy dotarłam tam, gdzie chciałam, uświadomiłam sobie, że brakuje mi

jednego - ciebie.

Była tak oszołomiona, że nie potrafiła wymówić słowa. Cullen podszedł bliżej i stanął tuż przed nią. Dotknął jej policzka, uśmiechając się smutno.

- Nie proszę o jeszcze jedną szansę. Nie oczekuję niczego w zamian. Po prostu chciałem ci powiedzieć, że cię kocham.

Przymknęła oczy, nie mogąc znieść jego spojrzenia. Poczowała opuszki palców, czule gładzące jej policzek. Wiedziała, że musi natychmiast uciec, bo za chwilę będzie za późno.

- Otwórz oczy, Lee.

Zrobiła to. Patrzył na nią smutno, jak człowiek, który przegrał. Osiągnął tyle sukcesów, wydobył się z dna - a jednak przegrał.

- Możemy zamknąć ten rozdział i uznać, że nic się nie zdarzyło - powiedział spokojnie. - Bo tak naprawdę nic się przecież nie zdarzyło, poza tym że wiemy o sobie trochę więcej. - Cofnął rękę. - Wyjdę na chwilę, pozapalam lampy w ogrodzie.

Liana szybko chwyciła jego dłoń i położyła ją sobie na sercu.

- Czujesz? - wyszeptała. - Tak jak dawniej potrafisz mnie uwieść zręcznie dobranymi słówkami, sprawić, że serce wyskakuje mi z piersi, kiedy tylko mnie dotkniesz. Czujesz? Dlaczego znowu to robisz?

- To nie są zręcznie dobrane słówka. To prawda, Lee - odparł. - Nie wiesz, że cię kocham? Że tysiące razy cierpiałem, pragnąc ciebie na próżno?

Że nie myślę o żadnej innej kobiecie, z którą mógłbym dzielić życie?

Jeszcze chwilę patrzyli sobie w oczy w ogromnym napięciu, lecz zaraz potem Liana znalazła się w jego opiekuńczych ramionach. Cullen tulił ją do siebie mocno, a ona lgnęła do niego całym ciałem. Biodra i piersi napierały na siebie, a głodne dłonie wdzierały się pod tkaninę ubrań. Usta wymieniały coraz bardziej namiętne pocałunki, wargi przygryzały wargi, splatały się języki...

Jęknęła cicho, czując, jak budzi się w niej pożądanie. Chciała znów się z nim kochać, spontanicznie, żarliwie, z pasją, tak jak przy pierwszym spotkaniu na Manhattanie. Nie potrzebowała zapewnień ani zobowiązań. Nie potrzebowała niczego poza nim samym - Cullenem Llewellynem, jej mężem, ojcem jej dziecka.

- Powiedz „nie”, i to szybko - wydyszał z wargami na jej wargach. - Powiedz, bo za chwilę będzie za późno!

- Tak!

Uniósł ją lekko i zaniósł do sypialni. Rozebrali się błyskawicznie, nawet nie wiedząc kiedy. Nie ściągnęli kapy łóżka, nie rozmawiali i nie zwodzili się wzajemnie. Nie mieli czasu. Ich serca były szalonym rytmem, a ciała odnajdywały się po tylu latach rozłąki. Kiedy zjednoczyli się ze sobą, wszystko się dopełniło. Znowu byli razem, znowu byli jedną duszą i jednym ciałem, połączeni pragnieniem zbyt wielkim, by można było przed nim się bronić.

Kolację zjedli w łóżku. Wciąż nie rozmawiali, za to dotykali się ciągle, lekko, ostrożnie i czule, jakby nie mogli się nadziwić, że znowu są sobie tak bliscy. Potem wsunęli się pod prześcieradło i patrzyli w zapadającą za oknem noc.

- Matthew może mieć rodzeństwo - odezwała się Liana, kiedy Cullen myślał już, że usnęła.

- Nie byłaś... przygotowana? Uśmiechnęła się w ciemnościach.

- A jak myślisz? W moim wieku nie oczekuje się przygód na każdym kroku.

- Matthew też począł się przypadkiem.

- Myślałam, że uważałeś inaczej.

- Wiem, ale to już sobie wyjaśniliśmy. - Uścisnął jej rękę. - Nie martw się niczym, Lee. Najważniejsze, że jesteśmy razem.

- Razem w łóżku.

- Na razie w łóżku. Ale przecież tylko od nas zależy, czy będzie inaczej. Przed chwilą kochaliśmy się tak, jakbyśmy rozstali się tylko na chwilę. - Uniósł się na łokciu i popatrzył lśnącymi oczami w jej ukrytą w mroku twarz. - Na dodatek możemy mieć jeszcze jedno dziecko. Daj, Boże, żebyśmy mieli! Ufamy sobie. Czy to nie wystarczy?

- Nie wiem - szepnęła, a wtedy powiew bryzy wpadł do sypialni i owiał ją chłodem. Liana nakryła się szczelniej i mocniej wtuliła się w Cullena, który wciąż nie przestawał przekonywać.

- Jeśli tak dobrze jest nam ze sobą w łóżku, czemu nie mielibyśmy popracować nad tym, aby we wszystkim układało się wspaniale?

Uważam, że uczyniliśmy bardzo ważny krok. Chcę iść dalej. Ale nie

zrobię nic, jeśli nie zechcesz iść ze mną.

- To była tylko chwila, Cullen.

- Wiem, dlatego chcę więcej. Chcę, żebyś wróciła, na dowolnych warunkach. Mogę czekać całe miesiące, mogę i lata. Możemy spać ze sobą albo nie spać - jak będziesz wolała. Zrobię cię swoją współniczką w South Cross albo kupię coś w Broome i tam zamieszkamy, jeśli tu ci się nie podoba. Jeżeli zaś uznasz, że wolisz spędzać część roku w Kalifornii, też nie widzę przeszkód. Musisz tylko wiedzieć jedno - dodał poważnym tonem - będę walczył o twój powrót, ale nie zrobię niczego wbrew tobie. Nie tylko ty wolałabyś, żeby wymazać z pamięci te dziesięć koszmarnych lat. Jeśli nalegam tak mocno, to tylko dlatego że nie chcę przeżyć kolejnych dziesięciu lat bez ciebie.

Liana długo milczała. Z początku z radością przyjęła jego słowa, ale zaraz zaczęła narastać w niej wątpliwość.

- Namawiasz mnie, bym zburzyła całe swoje życie.

Zmieszał się.

- Tak, wiem, ale niedawno mówiłaś, że go nienawidzisz.

- Co nie znaczy, że mam z niego rezygnować. Może dziesięć lat temu byłabym skłonna zostać, spróbować jeszcze raz. Ale nie dziś. Zresztą kto wie, czy gdybym została, nie byłoby jeszcze gorzej.

W nagłym odruchu odsunęła się od niego, więc westchnął ciężko i zaklął w duchu.

- Wiem, to nie jest dobry moment do takich rozmów - odezwał się pojednawczo. - Najpierw musimy odnaleźć Matthew. Wtedy wszystko może się zmienić. Na razie cieszymy się, że odnaleźliśmy się po latach i że było nam cudownie.

Wysunęła dłoń z jego palców, jakby nie słyszała tych słów.

- Gdybym wyjechała z Kalifornii, straciłabym wszystko, dom, pracę...

- Miałabyś pracę tutaj, i to taką, jaką najbardziej kochasz. Jak dawniej mogłabyś projektować biżuterię! - Cullen znów się zapalił do swojej wizji. - Jeśli nie dla mnie, to dla Paspaley czy Broome Pearls. Każdy przyjąłby cię z otwartymi ramionami.

- Nie zaprojektowałam niczego od chwili, kiedy się rozstaliśmy.

- Nie? - zapytał, choć nie zdziwiła go ta nowina. - Dlaczego?

- Zaczęłam inne życie, nie miałam czasu na hobby.
- Hobby? Przecież ty jesteś artystką!
- Już nie.
- Dobrze, nie martw się. Jestem w stanie zapewnić byt tobie i małemu. Nie musisz mieć pracy, ale będziesz miała dom. Tu, gdzie jest twoje prawdziwe miejsce.

- Chyba rozumiesz, że to nie wszystko. Miała rację. Coś zostało jeszcze niedopowiedziane, ale Cullen wiedział, że musi być cierpliwy.

- Proszę cię, tylko nie zaczniemy się kłócić. Lepiej zostawmy ten temat, bo możemy powiedzieć o parę rzeczy za dużo - zaproponował pojednawczo.

Skinęła głową, a on zmusił się do uśmiechu.

- Prześpimy się razem? - zapytał. - Tak zwyczajnie, bez zobowiązań? Poleżymy po prostu obok siebie?

Myślał, że odmówi, ale znów skinęła głową. A potem odwróciła się do niego plecami.

Liana spała lekko, więc zbudziła się, gdy Cullen objął dłonią jej pierś. Znów podstępnie obudziło się w niej pragnienie i zanim zdążyła pomyśleć, co czyni, zaczęli się kochać, leniwie, wprawnie, jak para wypróbowanych kochanków. W czasie małżeństwa często robili to właśnie tak, na granicy snu i jawy, jak gdyby chcieli zapomnieć o problemach dnia.

- Kocham cię - wyszeptał Cullen, zasypiając później z ustami przy jej uchu. Ciało miała leniwe i nasycone, ale niespokojny umysł żądał innego zaspokojenia i sen nie przychodził. Leżała więc z otwartymi oczami, przyglądając się dawnemu mężowi w budzącym się blasku świtu. Ciemne włosy opadły mu na czoło, a twarz wygładził spokój. Był już starszy, ale dojrzały, a przez to jeszcze bardziej atrakcyjny. Człowiek, który się odbił od dna, któremu przeżycia dały nową siłę i wiarę w siebie.

A ona? Ją wciąż trawił ten sam płomień. Płomień miłości do Cullena. Wiedziała dobrze, czego chce, lecz bała się po to sięgnąć. Znalazła sobie niszę w Pacific International, kryjówkę, lecz nie azyl. Zapewniła sobie i synowi wygodną stabilizację. Tylko tyle i aż tyle.

Co straciła? Co jeszcze straci, jeśli po raz kolejny nie posłucha serca?

Kiedy kolejny promień słońca wślizgnął się przez żaluzje, cicho wstała i poszła do swojej dawnej pracowni. Nie liczyła na wiele, szykowała się, że spotka ją rozczarowanie. Absurdem byłoby myśleć, że Cullen nie zmienił funkcji tego pomieszczenia. A jednak, kiedy dotarła do końca bocznego korytarza i położyła dłoń na klamce, głupia nadzieja od razu wypełniła jej serce.

- Wejdz - usłyszała i obejrzała się wystraszona. Zobaczyła Cullena. Stał za nią, ubrany tylko w szorty. - Wejdz, proszę - powtórzył.

Powoli nacisnęła klamkę. Drzwi zaskrzypiały, jakby dawno nie były używane.

- Wyłącznik jest z boku, z prawej - powiedział, stając za jej plecami.
- Nigdy nie mogłem się zdobyć, żeby cokolwiek zmienić. Kiedyś postanowiłem urządzić tu biuro, ale w ostatniej chwili coś mnie powstrzymało.

Pracownia wyglądała dokładnie tak, jak ją zostawiła. Narzędzia tkwiły na stojakach, na roboczym stole stały zakurzone szlifierki i imadła. Liana miała ochotę włączyć jak gdyby nigdy nic wyciąg nad warsztatem polerskim, posłuchać tak dobrze znanego, jednostajnego szumu, a potem pochylić głowę nad muszlami. Albo uruchomić palnik, by w ogniu subtelnie zmieniać ich odcienie. Szła powoli od stanowiska do stanowiska, obchodzące swoje dawne królestwo. Przeciągnęła dłonią po blacie. Wcale nie był tak bardzo zakurzony.

Odwróciła się do Cullena.

- Nie znalazłeś nikogo, kto by tu pracował po moim odejściu?
- Na pewno ktoś by się znalazł, gdybym poszukał.
- Chyba nie liczyłeś, że wrócę?
- Z początku tak. Dzięki temu przetrwałem najgorsze chwile.
- A potem?
- Potem odkładałem tę decyzję z dnia na dzień.
- Sarah mówiła mi, że sprzedajesz perły jak leci, po cenie hurtowej, choć opłaciłoby ci się selekcionować te lepsze i sprzedawać dopiero po obróbce.

- Taka jest jej opinia.
- Twoja jest inna?
- Rozejrzyj się jeszcze raz, Lee. Chyba w to nie wątpisz.

Spuściła głowę.

- Już nie jestem artystką. Nie licz na mnie. I powiem ci szczerze: nie wiem, czy chcę, żeby wróciła moja twórcza wena.

- Dlaczego? - zapytał miękko.

- Nie chcę być znów tamtą Lianą. Jestem za stara, zbyt wiele we mnie lęku.

- To zabrzmiało jak nieodwołalna decyzja. Nie uważasz, że za wcześnie na takie decyzje? Czy nie możemy...

- Nie, Cullen - ucięła - nie możemy. Powiedziałeś mi prawdę i rewanżuję się tym samym. Muszę utrzymać swoją pozycję w Pacific International. Zbyt wiele stracę, odchodząc.

- Co stracisz?

- Testament mojego ojca jest bardzo skomplikowany, ale jeśli zostanę w Pacific, będę zabezpieczona na resztę życia, zaś po mojej śmierci Matthew odziedziczy wszystko. Jeśli zaś odejdę, zostanę całkowicie wykluczona z dziedziczenia, a Matthew będzie musiał dzielić zarządzanie kompanią z Grahamem i dziećmi Grahama, jeśli ten oczywiście będzie je miał.

- To czysty szantaż!

- Zgadza się.

- I dałaś się tak zaszantażować? Pacific International znaczy dla ciebie więcej niż szczęście, które chcę ci tu stworzyć?

- Dla mnie nie, ale dla twojego syna tak. Pacific jest jego przyszłością.

- Na razie wygląda na to, że Matthew woli Pikuwa Creek niż San Francisco. Pasjonuje go to, co robi South Cross, pisał mi o tym.

- O czym może decydować czternastolatek?

- Ten czternastolatek zaplanował, że ucieknie i pojedzie do Australii. I wykonał swój plan perfekcyjnie. - Przysunął się do niej bliżej. - Co ty mi właściwie chcesz powiedzieć? Że tak cudownie ci płacą? Przez dziesięć lat, wykorzystując swój talent, mogłabyś odłożyć olbrzymią sumę, nawet gdyby rozpadł się nasz związek. Twój ojciec musiał zaszachować cię czymś jeszcze.

Liana milczała.

- Chodzi o Królową Pereł, tak?

Natychmiast zobaczyła w myślach jej niezwykle, mleczny blask, który zdawał się nasycać ciepłem opływające ją powietrze.

- Tak - westchnęła.

- A więc i w to cię wciągnął! W jaki sposób? Co powiedziano w testamencie o perle? A może tylko dlatego szukasz Matthew, żeby ją odzyskać?

Ostatniego pytania nie powinien był zadać, lecz Liana nie oburzyła się, jak się spodziewał. Nie zgromiła go wzrokiem, nie zaprotestowała, a tylko wydusiła bezradnie przez ściśnięte wzruszeniem gardło:

- Nie rozumiem, dlaczego muszę ci się tłumaczyć. Nie jesteśmy już małżeństwem.

- Powiedz o testamencie - nalegał Cullen. Ten zapis ma coś wspólnego ze mną, tak? A więc ma! - orzekł, nie doczekawszy się zaprzeczenia. Dobrze, jeśli nie chcesz mi powiedzieć, sam spróbuję wczuć się w rolę twojego tatusia. Uciekłaś z domu i wyszłaś za potomka rodziny, która rości sobie prawa do jego największego skarbu. To był twój grzech. Dobrze mówię, Lee?

- Cullen, przestań, to do niczego nie prowadzi.

- A jednak spróbuję pójść dalej. Kiedy po pewnym czasie wróciłaś jak niepyszna do Kalifornii, tatuś zrozumiał, że ma niepowtarzalną szansę uzyskania ponownie kontroli nad twoim życiem. Ucieszył się nawet, że przywiozłaś mu wnuka, jego naturalnego dziedzica. To dziecko stanowiło zarazem gwarancję, że podporządkujesz mu się całkowicie...

- Cullen!

- Choć byłaś przegrana, choć błagałaś o pomoc, wiedział, że kiedy się otrząsniesz, nie pozwolisz sobą manipulować. Dlatego posłużył się naszym synem. Czy nie tak?

Liana boleśnie przymknęła oczy.

- Tak.

- W jaki sposób? - zapytał, znów łagodniejąc.

- Kiedy przyleciałam do San Francisco, Thomas był chory - odparła obcym, drewnianym głosem. - W kilka miesięcy później zmarł. Wcześniej mówił mi, że obawia się o los Matthew. Sugerował, że kiedy chłopak pojedzie cię odwiedzić, ty będziesz chciał go zatrzymać. Jego

prawnicy obawiali się podobno, że gdyby tak się stało, mogłabym nie odzyskać dziecka. Tłumaczyłam mu, że się myli, ale on oczywiście miał swoje zdanie. Powiedział, że przepisał w testamencie Królową Perłę na mnie - ale tylko pod warunkiem, że nie pozwolę Matthew wyjechać do Australii przed uzyskaniem pełnoletności. Powtarzał, że jeśli mały tam pojedzie, zatrzymasz go jako zakładnika, żądając w zamian perły.

Cullen słuchał w milczeniu.

- Testament nadal obowiązuje - odezwał się wreszcie.

- Tak, jest nie do podważenia. Jeśli wrócę do ciebie, zanim Matthew skończy osiemnaście lat, Królowa Perłę zostanie sprzedana. Mnie jest to obojętne, wierz mi, ale taki zapis oznacza, że klejnot, przez który zginął mój dziadek, jeden z najcenniejszych klejnotów świata, nie przypadnie jego wnukowi.

- Cholerna perła! - zaklął Cullen, waląc pięścią w blat, aż zadzwoniły tygły i narzędzia. - A więc trzymałaś małego z daleka od Pikuwa Creek ze względu na nią?

- Wymogłam, abyś miał dziecko przez miesiąc w roku, choć Thomas chciał ci w ogóle zabronić widzeń. Poza tym...

- Czy Matthew o tym wie? - przerwał jej porywczo.

- Nie wiem - powiedziała cicho, uciekając spojrzeniem w bok. -
Możliwe, że tak.

- Dobra, ale mimo to dzieciak znalazł się w Australii, co znaczy, że straciłaś już tę swoją perłę. Nie? No jasne, przecież nikt z Pacific International nie wie, że Matthew tu jest! Myślą, że włóczy się po Arizonie. Teraz rozumiem, dlaczego tak łatwo zgodziłaś się, żeby utrzymać naszą podróż w tajemnicy! Nie martwiłaś się o jego bezpieczeństwo, tylko o swoje pieprzone dziedzictwo!

- Nie moje! Jego! - odpowiedziała krzykiem na krzyk. - Matthew wart jest Królowej Perle!

- I pewnie liczyłaś, że kiedy już go odnajdziesz z moją pomocą, to po cichu wrócicie do Stanów, włożycie perłę do sejfu i będziecie sobie żyć przez kolejne dziesięć lat tak jak dotąd!

- Jestem jego matką i muszę zapewnić mu przyszłość.

- Musisz zapewnić mu miłość! I dobry start w życiu, kiedy będzie chciał rozwinąć skrzydła. Musisz zadbać, żeby miał ojca i matkę, którzy

potrafią mu wpoić życiowe zasady i wspierać, kiedy będzie tego potrzebował. To wszystko. Resztę musi sobie wypracować sam. Bez prezentów w postaci perły i firmy!

- Co ty możesz o tym wiedzieć! Perła da mu wsparcie, którego będzie potrzebował. Da mu wolność. Dzięki niej będzie mógł zostać tym, kim chce, robić to, co chce, i...

- Przepraszam, Lee, ale nie mówisz w tej chwili o naszym synu. Mówisz o sobie. On jest inny. Czy nie widzisz - zapytał, znów przyjmując perswazyjny ton - że ta cholerna błyskotka stała się twoim bożkiem? Jesteś jej niewolnicą, a mówisz tyle o wolności. Przykro mi, mylisz wolność ze złudnym poczuciem bezpieczeństwa. I powiem ci coś jeszcze: ta wspaniała perła to w gruncie rzeczy wydzielina małża, który broni się przed obcym ciałem. Na dłuższą metę perły uśmiercają swoje małże, są jak rak dla ludzkiego organizmu. Ta perła cię zabije, Lee. Zabije w tobie to, co najlepsze, jeśli nie przestaniesz układać dla niej swego życia. Zresztą, może już zabiła - dodał po chwili i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Liana chciała go zawołać, pobiec za nim, wytłumaczyć się. Ale nie była w stanie się poruszyć. Gdzieś w głębi domu odezwał się natarczywy dzwonek telefonu. Zaczynał się kolejny pracowity dzień w firmie South Cross Pearls. Czy Cullen wróci, myślała, czy zechce jeszcze ze mną rozmawiać?

Wtuliła twarz w dłonie, zaczęła płakać.

- Lee?

Uniosła głowę. Znów stał w drzwiach.

- Dzwoniła policja z Derby. Natychmiast wyprostowała się czujnie.

- Wiedzą już coś?

- Zamordowano człowieka. Nazywał się Pete Carpenter, stary marynarz na emeryturze. Ktoś w miasteczku podobno widział, jak starszy mężczyzna z chłopcem rozpytywali o jego dom. Opis chłopca pasuje do Matthew. Ubieraj się. Jedziemy do Derby.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Na pogorzeliśku pozostałym z przystani starego Pete'a natknęli się na oficera policji, z którym wcześniej rozmawiał Cullen.

- Przystań należała jeszcze do jego ojca - wyjaśnił - Kirby'ego Carpentera, cenionego skutnika, spod którego ręki wyszło wiele świetnych jednostek. Potem pojawiła się konkurencja wielkich firm i interes podupadł. Pete przejął go, gdy przeszedł na emeryturę. - Klucząc pomiędzy stertami dymiących szczątków, poprowadził ich ku wodzie. - Zobaczcie państwo, Pete uporządkował przystań, a potem sprowadził tu całą flotę różnych starych wraków, które doprowadzał do stanu używalności. Sami widzicie, co z tego zostało.

Widok był rzeczywiście przygnębiający. Ogień, który strawił przybudówkę mieszkalną i hangary, przeniósł się na keję i zakotwiczone przy niej łodzie. Zaczął się odpływ. Opadająca woda odsłoniła wypaloną konstrukcję żaglowego jachtu, który utkwiał w mule jak szkielet wieloryba. Cullen doliczył się resztek pięciu innych jednostek.

Zdaniem policjanta podpalacz i morderca jednocześnie najpierw musiał odcumować łódki, a potem oblał je benzyną i podpalił. Ciało Pete'a znaleziono w ładowni kutra, który ostatnio remontował. Sprawca najwyraźniej nie orientował się, że przyplływ nastąpi tak szybko, że woda zaleje płonącą w mule łódź, zanim ta zdąży doszczętnie zgorzeć. Dlatego Pete nie spłonął na swoim pływającym stosie. Ludzie, którzy przybyli na ratunek, zdążyli wyciągnąć ciało. Wtedy okazało się, że w skroni ma dziurę od kuli.

W powietrzu snuł się dym i swąd spalenizny. Liana odkaslnęła i zapytała:

- Czy znaleziono jeszcze jakieś ciała?
- Raczej wykluczam tę możliwość, choć do końca nie mamy

pewności - wyjaśnił policjant. - Przeszukaliśmy wszystko, co się dało.

- Dwie łodzie są jeszcze pod wodą - zauważył Cullen.

- Znaleźli się ochotnicy, którzy je spenetrowali.

- Dla pewności przyślę tu jeszcze moich nurków - oświadczył Cullen, zerkając niespokojnie na Lianę. - A co wam wiadomo o moim ojcu i synu?

- Nie wiedzieliśmy, że to twój syn. - Policjant zdjął kapelusz i otarł spocone czoło. - Starszy mężczyzna z chłopakiem weszli wczoraj po południu do knajpy „Pod nurkiem” na skraju miasta i rozpytywali o starego Pete'a. Właścicielem knajpy jest Dick Jones. Znasz go chyba?

- Znam - przytaknął Cullen.

- Więc Dick pokazał im drogę. Kiedy usłyszał o pożarze, przyjechał tutaj, żeby mi to powiedzieć. Powiedział też, że chłopak był wysoki, mógł mieć jakieś osiemnaście lat, opalony, kasztanowe włosy. Mężczyzna miał z sześćdziesiątkę, twardy, żylasty typ. Dick zapamiętał, że przedstawiał się jako Roman.

- Matthew wygląda na starszego, niż jest - potwierdziła Liana.

- Muszę jej wierzyć na słowo, bo nie widziałem syna od roku - stwierdził Cullen z niespodziewaną goryczą.

- Czy twój ojciec znał Pete'a? - zapytał policjant.

- Tata mieszka w Terytorium, między Darwin a Alice Springs. To kawałek drogi. Wątpię, żeby się kiedyś spotkali.

- Ma farmę bydła?

- Tak, w Jimiramirze.

- Pete przez całe lata pracował w kompanii, która woziła bydło z Wyndham. Przy tej okazji mogli się poznać. A wracając do twojego syna, to powiedziałeś, zdaje się, że zaginął?

- Zgadza się. Potajemnie poleciał ze Stanów do Australii, żeby odwiedzić dziadka w Jimiramirze. Potem odjechali gdzieś razem. Podejrzewamy, że kierują się do Pikuwa Creek. Może Matthew chce odwiedzić dom swego dzieciństwa?

- Będziemy ich szukać. Wygląda na to, że są ostatnimi ludźmi, którzy widzieli Pete'a żywego... oczywiście poza tym draniem, który go zamordował.

- Chyba nie myślisz, że Roman i Matthew mieli coś wspólnego z tą

zbrodnią?

- Tego nie powiedziałem. Jednak wydaje się dziwne, że zaraz po tym, jak go odwiedzili, został zabity.

Liana podeszła bliżej.

- Podejrzewamy, że ktoś ściga naszego syna - wyznała.

Cullen wolał na razie o tym nie wspominać, ale w następnej chwili uznał, że Liana postąpiła słusznie. Sytuacja była zbyt poważna, by prowadzić prywatne śledztwo.

- Opowiedz mu wszystko - powiedział, a wtedy skinęła głową.

- Słyszał pan kiedyś o Królowej Perle? - zaczęła.

W drodze do Derby Cullen wypowiedział najwyżej kilka słów. Jechali do właściciela gospody, aby pokazać mu zdjęcie Matthew. Dick Jones przyznał, że to może być chłopak, którego widział w swojej knajpie. Przepytali jeszcze innych ludzi z okolicy, ale nikt nie widział ani mężczyzny, ani chłopca, ani wozu. Nic nie wskórawszy, wrócili na pogorzelsko.

- Możecie zrobić jeszcze jedną rzecz - powiedział zmęczonym tonem policjant.

- Co takiego?

- Zadzwoń na stację benzynową w Broome. Jeszcze nie miałem czasu tego sprawdzić. Pracownik zawiadomił nas, że Pete przyprowdził wczoraj za kogoś wóz do reperacji. Powiedział mechanikowi, że miał naprawić go sam, ale zabrakło mu części.

- Jaki to samochód? - nie wytrzymała Liana.

- Nie wiem, nie rozmawiałem z nim. - Policjant wyciągnął notes, napisał parę słów na kartce i podał ją Cullenowi. - Masz, daj mu to. Niech powie wam wszystko, co mogłoby was interesować.

- Dobra. - Cullen wziął kartkę i skinął na Lianę. Znow ruszyli w milczeniu. Dopiero po kilkunastu kilometrach ośmieliła się odezwać.

- Cullen?

- Tak?

- Czy nie jesteś w stanie mi wybaczyć? Dlatego milczysz?

- Mam teraz ważniejsze rzeczy na głowie.

- Przez całe lata nie mogłam zrozumieć, że naprawdę go kochasz. W końcu przegrałeś jego pieniądze, więc...

- Wiem, że przegrałem! I co z tego?
- A ja nie wiedziałam wtedy, że się zmienisz, że staniesz się...
- No, kim?
- Mężczyzną, o jakim marzyłam.
- Gadanie. Nie dałaś mi szansy, żebym się sprawdził. Najważniejsza była dla ciebie perła, a nie ja czy Matthew.

- Za niecałe trzy lata twój syn osiągnie pełnoletność i wszystko będzie należało do niego.

- Chcesz mi powiedzieć, że za trzy lata łaskawie zwrócisz mi syna? - zachnął się, coraz bardziej zagniewany. - Że jeśli odczekam grzecznie te trzy latka, będę mógł mieć go u siebie, w Australii? A może nawet dostanę ciebie? Liana milczała.

- Sprzedałaś nas za mętny kawałek wydzieliny jakiegoś mięczaka - wycedził i znowu zamilkł.

Co miała mu odpowiedzieć? Od chwili zniknięcia Matthew jej życie zmieniło się tak gwałtownie, że do reszty straciła poczucie pewności siebie. Przez dziesięć lat mozolnie starała się stworzyć sobie swój świat, a teraz chwiały się jego podstawy.

Do Broome zajechali w rekordowym czasie. Senna, prowincjonalna miejscina, którą Liana pamiętała sprzed dziesięciu lat, zmieniła się nie do poznania, stając się tętniącym życiem, gwarnym miastem, przesyconym słodką wonią kwiatów. Architektura nie kryła azjatyckich wpływów, z dumą prezentując historyczne dziedzictwo regionu. Kolorowa mozaika ludzka na ulicach również świadczyła o różnorodności tego barwnego świata.

- Zostań w wozie, ja pójdę pogadać - mruknął Cullen, parkując w cieniu pod palmą.

- Idę z tobą - oświadczyła, lecz on wzruszył tylko ramionami i poszedł ku stacji, nie oglądając się na nią.

Po chwili przywitał się z właścicielem, ciemnoskórą mężczyzną o malajskich rysach i japońskim nazwisku. Krótko wyjaśnił, czego szukają, na co mężczyzna wyłowił z kieszeni kombinezonu kluczyki, podał je Cullenowi i gestem wskazał na parking za budynkiem.

- Tam stoi.

Liana niecierpliwie wpatrzyła się w zaparkowane samochody. W

trzecim rzędzie stał poobijany terenowy wóz z napędem na cztery koła. Cullen podszedł do niego, otworzył drzwi, pogrzebał w schowku i wyciągnął papiery.

- Własność Jimiramiry - potwierdził.

Liana miała wrażenie, że nagle owionął ją duszący obłok czarnego dymu. Przed oczami stanęły jej zgliszcza przystani.

- Więc to oni byli u starego Pete'a - wyszeptała.

Cullen odwrócił się ku niej. Przez moment jakby się wahał, ale już w następnej chwili współczująco objął ją ramieniem.

- Nie bój się, Lee - westchnął - wszystko będzie dobrze. Owszem, zjawili się u Pete'a, to wiemy na pewno. Ale pamiętaj, że właśnie Pete przyprowadził tu ich wóz. Gdyby tata i Matthew nadal byli u niego, nie musieliby go prosić o tę przysługę.

- Dobrze, ale gdzie w takim razie są? Gdyby pożyczili drugi wóz od Pete'a, już dawno byłiby w Pikuwa Creek.

- Jeśli tam zmierzali.

- A dokąd mieliby jeszcze pojechać?

- Niekoniecznie pojechać. I niekoniecznie musieli pożyczać samochód.

Liana znieruchomiała.

- Co takiego?

- Nie wiadomo, ile łodzi miał na przystani Pete, prawda? Na pewno dużo. I wiele z nich wyremontował, aby mogły pływać.

- Chcesz powiedzieć, że Matthew i twój ojciec wypłynęli w morze na jakiejś starej łajbie?

- Możliwe. Może Matthew wcale nie planował sentymentalnej podróży do Pikuwa Creek?

Więc po co tu przyjechał? Po co to wszystko? Cullen pokiwał głową i uśmiechnął się smutno, jakby wszystko nagle stało się dla niego jasne.

Może przyjechał, żeby zwrócić perłę miejscu, z którego została wyłowiona? - powiedział. Może właśnie do tego potrzebował pomocy dziadka? To pomysł w jego stylu.

Ale... dlaczego? - Liana nie mogła wyjść ze zdumienia. - Przecież to jego dziedzictwo! Jego przodkowie ginęli dla Królowej Pereł!

Spojrzenie Cullena posmutniało jeszcze bardziej.

- Mały zrozumiał to, czego ty ciągle nie możesz zrozumieć. Perła od początku swego istnienia niszczyła wszystkich, którzy ją posiadali. Dziś niszczy tego, kogo Matthew kocha. Ciebie, Lee. Twój syn chce cisnąć do morza Królową Pereł, żeby zdjąć z ciebie klątwę.

- Myślałem, że będzie bardziej wiało.

Matthew stał na pokładzie „Argonauty”, żaglowego kutra z motorem, który jego dziadek wypożyczył od Pete'a. Z przejęciem trzymał koło sterowe, patrząc, jak Roman stawia żagiel.

- Czemu ci się tak spieszy, synku? - zapytał dziadek.

Zdaje się, że zaczynam mieć chorobę morską.

- Och, nie pieść się ze sobą. Wywieś się za burtę, oddaj ofiarę morzu, jak to mówią, i po krzyku.

Matthew nie czuł się jednak źle, raczej dziwnie, jak gdyby każdy z członków jego ciała był nie na swoim miejscu. Zwłaszcza żołądek wyczyniał dziwne harce.

- To miło ze strony Pete'a, że pożyczył nam ten kuter - powiedział, siląc się na swobodny ton. - Szkoda tylko, że to nie lugier poławiaczy pereł, co?

Roman pokiwał głową, nic nie mówiąc. Kuter nabierał szybkości. Jednak cel mieli osiągnąć dopiero nazajutrz.

- Marzy ci się dowództwo nad całą załogą? No tak, mój wnuk zawsze mierzy wysoko.

Matthew uśmiechnął się niedostrzegalnie. Wcale nie marzył o piratach ani o żaglowcach. Myślał tylko o Cmentarzysku i chciał jak najszybciej tam dotrzeć. I tak powinien dziękować losowi, że dzięki dziadkowi dotarł aż tu. I dzięki Pete'owi, który dokładnie wyjaśnił im, jak mają płynąć.

- Nie moglibyśmy włączyć silnika, przynajmniej dopóki wiatr nie będzie mocniejszy? - zagadnął.

- Nie, bo ten grat dużo pali. Może nam nie starczyć paliwa na powrót.

Na szczęście żagle wyduły się i złapały wiatr. Pod dziobem zbulgotała woda. Roman, choć jak mówił, nie żeglował przez całe lata, nie zapomniał raz nabytych umiejętności.

- Czy nie wydaje ci się dziwne, dziadku, że płyniemy do miejsca, w

którym Archer zamordował Toma?

Roman przejął ster i popatrzył z powagą na wnuka.

- Ty jeden masz w sobie krew i Llewellynów, i Robesonów. Ty wiesz najlepiej.

- Myślę, że Tom by mnie zrozumiał. Ale Archer popukałby się pewnie w czoło i nazwał mnie idiotą.

- Nie znałem swojego dziadka, więc nie mogę ci powiedzieć. Zmarł na długo przed moim urodzeniem. Dopiero ojciec przed samą śmiercią opowiedział mi jego historię.

- A powiedział ci, że Archer zamordował Toma?

- Tak. Wiele lat po śmierci Archera jakiś włóczęga z Broome przywędrował do Jimiramiry i opowiedział mojemu ojcu wszystko, co wiedział. Ojciec twierdził, że cała historia wcale go nie zaskoczyła, bo zawsze przypuszczał, że coś ponurego wydarzyło się w Broome, co przez lata gryzło sumienie jego ojca. Kiedy Archer wypił za dużo, widywał podobno duchy...

Matthew wzdrygnął się mimo woli, a Roman kontynuował opowieść.

- Opowiadał mi też, że po tym jak pożar strawił jego domostwo, a moi dziadkowie, Archer i Viola, zginęli w ogniu, robotnicy z farmy nie chcieli budować nowego domu w tym samym miejscu. Wierzyli bowiem, że perła nadal jest w Jimiramirze i znajdą ją w popiołach. Dlatego wzniesli nowy budynek trochę dalej, na wzgórzu. A potem przez całe lata różni ludzie przekopywali pogorzelnisko w daremnej nadziei znalezienia skarbu. Zawsze, kiedy to robili, mojemu ojcu się śniło, że jego matka płacze.

Matthew miał wrażenie, jakby żołądek wywracał mu się na drugą stronę, ale dzielnie nadrabiał miną.

- Co teraz jest w tym miejscu?

- Kiedy postanowiłem wybudować nowy dom dla mojej Joan, kazałem go wznieść na dawnym miejscu. Sprawdziłem przedtem każdy cal ziemi, ale nie znalazłem nic. Czego nie rozgrzebali ludzie, zniszczyły białe mrówki i deszcze. Stałem tam i zmówiłem modlitwę. Luke, mój Aborygen, który jest też wodzem plemienia, przyszedł w nocy razem ze swoimi ludźmi i odprawili tam ceremonię. Nie wiem jaką, ale stary, dobry Luke pomyślał pewnie, że trochę magii nie zawadzi. I rzeczywi-

cie, dom przetrwał całe lata w spokoju. Długo żyliśmy w nim szczęśliwie.

- I znowu zapanuje w nim szczęście, dziadku. Roman uśmiechnął się niespodziewanie.

- Nie potrzeba mi domu, żeby być szczęśliwym, Matthew. Mam wnuka i to mnie cieszy najbardziej. Nawet nie przypuszczałem, że aż tak.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Gdy stanęli przed domem w Pikuwa Creek, Cullen wyłączył silnik, lecz nie zrobił ruchu, by wysiąść.

- Myślisz, że Mei już śpi? - zapytał. - W San Francisco jest dziewiąta wieczór.

- Jeśli nawet śpi, poproszę Berty, żeby ją obudziła. Masz rację, musimy z nią porozmawiać. Ona może wiedzieć, dokąd pojechali.

- Muzeum powinno niedługo mi odpowiedzieć, ale nie umiem czekać beczynn timer.

Kustosz Muzeum Historycznego w Broome podjął się w wolnej chwili przejrzeć dokumenty, by znaleźć w nich informację, gdzie została wydobyta Królowa Pereł. Na razie nie znalazł niczego, choć zarzekał się, że widział gdzieś wzmiankę na ten temat.

Liana wyciągnęła dłoń do klamki.

- Zadzwoń do ciotki.

- Dobrze, a ja poproszę kapitana, żeby zawiadomił wszystkie nasze jednostki, które są w tej chwili na morzu. Niech obserwują wodę. Musimy ich znaleźć.

Tak, musimy, dodała w duchu Liana. Zanim ten, kto zamordował Pete'a Carpentera, znajdzie ich pierwszy.

Naprawdę chodziło jej przede wszystkim o dobro syna. Gdyby miała wybierać między Matthew a perłą, oczywiście wybrałaby dziecko. Cullen krzywdził ją podejrzeniami, że jest inaczej. Ale może wcale nie trzeba wybierać? Może jest szansa, by zachować i dziecko, i klejnot?

Bo na pewno nie ma już szansy na ułożenie sobie życia z Cullenem. Może zresztą nigdy jej nie było.

Sygnal w słuchawce powtarzał się z dręczącą jednostajnością. Kiedy już prawie straciła nadzieję, Betty podniosła słuchawkę i Liana szybko

wyjaśniła, że dzwoni z Australii w bardzo pilnej sprawie.

- Muszę koniecznie porozmawiać z Mei o Matthew. Obudź ją, jeśli śpi.

- Nie śpi - odpowiedziała służąca - choć już dawno się położyła.

Przed chwilą słyszałam, jak kaszle.

- To poproś ją do aparatu, Betty. Muszę z nią mówić natychmiast.

Liana ścisnęła słuchawkę w oczekiwaniu na głos ciotki. Mimo że dzieliło je pół świata, słyszała wyraźnie oddalające się kroki Betty, a potem szuranie kapci staruszki.

- Liana? - drżący, starchy głos sprawił, że drgnęła gwałtownie. - To ty, dziecko?

- Tak, ciociu Mei... - wzięła głęboki oddech. Jestem w Australii, z Cullenem. Podejrzewamy, że Matthew też tu jest. Wydaje nam się, że wypłynął w rejs ze swoim dziadkiem.

- Z dziadkiem? - spytała ciotka. - Synem Bryce'a?

- Tak, z Romanem Llewellynem. Wiemy na pewno, że go odwiedził i odjechali obaj w nieznanym kierunku. Podejrzewamy, że mogli udać się w miejsce, gdzie została wyłowiona Królowa Perła. Musimy ich znaleźć, ciociu, to bardzo ważne. Ale nie wiemy, gdzie jest to miejsce. Czy matka mówiła ci kiedyś, gdzie wyłowiono perłę?

Po drugiej stronie słuchawki słychać było tylko równy, płytki oddech.

- Ciociu Mei, czy przypominasz sobie?

- To on zabrał perłę - powiedziała wreszcie Mei.

- Tak - westchnęła Liana - na to wygląda. Cullen twierdzi, że chce ją wrzucić z powrotem do oceanu. - Nagle serce zabiło jej szybciej. - A skąd ty o tym wiesz?

- Znam przecież twojego syna.

- Czy mówił ci, że zamierza to zrobić? - Ton Liany stał się ostrzejszy. - Wiedziałaś od początku?

- Tylko tyle, ile ci powiedziałam.

- Powiedziałaś nam o Jimiramirze i o Brysie. Nic więcej! Ciociu, gdzie jest Matthew? Muszę wiedzieć!

- Czy on ma kłopoty? - w głosie starej kobiety zabrzmiała nagle troska.

Liana zawahała się.

- Nie, nie martw się, ciociu - odparła łagodniejszym tonem. - Po prostu chodzi o to, żeby zakończyć wreszcie tę sprawę, żebyśmy nie musieli się o niego denerwować.

- Ty... chcesz perły.

- Nie! - wykrzyknęła gwałtownie. - Nie - powtórzyła - chcę tylko odzyskać syna, niczego więcej. Błagam, ciociu Mei, powiedz mi, gdzie wyłowiono Królową Pereł. Przecież tylko ty mogłaś mu o tym powiedzieć.

- Dobrze.

- Powiesz?

- W miejscu zwanym Cmentarzyskiem. Jak stara kobieta, stojąca nad grobem, mogłaby nie zapamiętać takiej nazwy?

Liana wzdrygnęła się mimo woli.

- Dzięki ci! Teraz na pewno go znajdziemy!

- Ten chłopak jest największym skarbem dwóch rodów - dodała jeszcze Mei. - Takie jest jego przeznaczenie. I nic mu się nie stanie.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - westchnęła Liana. - Zadzwoń do ciebie, jak tylko go odnajdziemy. - Zanim odłożyła słuchawkę, dodała jeszcze: - Tylko nie mów nikomu o moim telefonie ani o tym, gdzie jestem, dobrze? I nie informuj nikogo, że Matthew jest w Australii.

Rozłączyła się i poszła poszukać Cullena. Jego biuro znajdowało się w osobnym budyneczku obok kantyny. Z tyłu, na wodzie, uwijała się flotylla małych łodzi, z kantyny dobiegał gwar głosów i muzyka.

W biurze zastała Sarah, która na jej widok od razu wskazała zamknięte drzwi.

- Szef rozmawia z Nigelem Finchem, kapitanem „Crossa”. Wcześniej był u niego Whitney Pendergast.

- Whitney?

- Ten policjant, który miał z wami kontakt. Nasi nurkowie przyjechali na przystań Carpentera i właśnie schodzą pod wodę. Na razie niczego nie wykryli. A pani ma jakieś wieści?

Liana nie odpowiedziała od razu.

- Powiedz mi, Sarah - popatrzyła na nią niewidzącym wzrokiem - czy słyszałaś kiedyś o łowisku perłowym zwanym Cmentarzyskiem?

- Dziwna nazwa.

- Tak mówiono na to miejsce sto lat temu. Sarah podeszła do mapy, wiszącej na ścianie.

- Nie mam pojęcia. Czy tam popłynął Matthew?

- Bardzo możliwe.

- Nie ma takiej nazwy na mapie. Może później ją zmieniono. Ale czekaj... mój ojciec powinien wiedzieć. Zaraz do niego zadzwonię.

- Twój ojciec?

- Tak, poławiacz perł z dziada pradziada. Zna każdy kawałek wybrzeża, każdą wysepkę i każdą rafę.

Wybrała szybko numer i rozpoczęła rozmowę. Cullen zjawił się w chwili, kiedy odkładała słuchawkę.

- Cmentarzysko - powiedziała Liana. - Mei przypomniała sobie.

- To jedna z zatoczek w rejonie King Sound - wyjaśniła Sarah. - Tata powiedział, że zginęło tam wielu nurków i stąd się wzięła ponura nazwa. Potem ją zmieniono.

- Wiem, na Zatokę Łabędzi. - Cullen zrobił niecierpliwy gest ręką.

- Znasz to miejsce? - zdziwiła się Liana.

- Aż za dobrze. W zeszłym roku omal nie straciłem tam nurka.

- W jaki sposób?

- Napadł go rekin.

Cullen usiłował namówić Lianę, aby została w Pikuwa Creek i czekała na niego w domu, ale ona nie chciała słuchać.

- Zaraz spakuję rzeczy - powiedziała, zerkając na rozłożoną mapę, na której wytyczał trasę do Cmentarzyska. - Twoje też mam spakować?

Nie musiała tego robić. Zawsze trzymał w biurze torbę z rzeczami na wypadek takich nagłych wyjazdów. Zaledwie wyszła Liana, odezwała się Sarah:

- Mam płynąć z wami? Może będę potrzebna?

- Nie, bardziej przydasz się tutaj. Polecimy do Yampi Sound i zaokrętujemy się na „Robinette”. Jest lekka, dopłyniemy nią do celu szybciej niż czymkolwiek innym. Zadzwon do Kena i powiedz, żeby przygotował ją do rejsu. Potem zawiadom Whitneya i powiedz mu, dokąd płyniemy i dlaczego. Może pomóc nam w poszukiwaniach, jak tylko zbierze się załoga na „Windrun”.

„Windrun” był jednym z lugrów, należących do South Cross. Gdyby

wyruszył w miarę szybko, miał szansę dotrzeć do King Sound nazajutrz rano.

- Jeśli śmierć Pete'a Carpentera ma coś wspólnego z twoim synem...
- zaczęła zatroskana Sarah, lecz szef nie pozwolił jej dokończyć.

- Przecież wiesz, że ma.
- Tym bardziej nie powinieneś być sam.
- Będę uzbrojony.
- A co z „Crossem”? Poprosisz Nigela, żeby do ciebie dopłynął?
- Jest za daleko.
- Żałuję, że nie mogę ci pomóc.

Cullen dobrze wiedział, czego Sarah żałuje. Chciała mu dać wsparcie, nawet miłość. On tymczasem wzdychał do kobiety, której nigdy nie będzie mógł mieć.

- Najlepiej mi pomożesz, jeśli po prostu zostaniesz tutaj i będziesz wszystkiego pilnować. Muszę wiedzieć, czy dzwonił Nigel albo ktoś inny.

- Nie ma sprawy. Już nie raz tu nocowałam.

- Po tym wszystkim należy ci się urlop, Sarah. Odpowiedziała uśmiechem. Cóż mogła powiedzieć?

Do Yampi Sound Cullen i Liana dolecieli hydroplanem. „Robinette” już czekała, gotowa, by podnieść kotwicę.

- Wrzuć graty pod pokład - poleciał, dając jej torby. Sam poszedł zamienić ostatnie parę słów z Ellisem, pilotem hydroplanu, oraz Kenem, zarządcą Yampi. Potem zaczął odcumowywać łódź.

Liana wynurzyła się z luku, gdy już odbili od brzegu.

- Masz broń, prawda? - zagadnęła, widząc, że sprawdza sprzęt.

- Jak mógłbym nie mieć? Jeśli boisz się wystrzałów, jeszcze możemy wrócić. Wysadzę cię na brzegu i popłynę sam.

- Przestań. Znajdzie się coś dla mnie?

- Od kiedy to umiesz strzelać?

- Poszłam na kurs, jak tylko przyjechałam do San Francisco. Ale nie kupiłam broni. Uznałam, że będziemy z Matthew bezpieczniejsi bez niej.

- Mam półautomatyczną trzydziestkę ósemkę. I jeszcze strzelbę w kajucie. Kiedy wypłyniemy na szerokie wody, będziesz mogła sobie poćwiczyć, na wypadek gdybyś wyszła z wprawy.

- Nie wyszłam - popatrzyła na niego uspokajająco.
- To nie jest zabawa, Lee. Ellis może jeszcze zabrać cię z powrotem.
- Przecież wiesz, co odpowiem, to po co pytasz? Płyniemy.

W dawnych czasach powiedziałałabyś „moja dzielna dziewczynka”, pomyślała gorzko, gdy Cullen kiwnął głową i pochylił się bez słowa nad sterem.

Na obiad zjedli owocową sałatkę z puszki, fasolkę i krakersy. Na kolację - kanapki z serem i jabłka. Kiedy zaczęło zmierzchać, Liana zrobiła herbatę na malutkiej kuchence i przyniosła parujący kubek Cullenowi. Wyłączył motor i dryfowali powoli, popijając w milczeniu.

Później mijali niezliczone wyspy, mieniające się kalejdoskopową różnorodnością. Niektóre zamieszkałe były przez chmury ptactwa, inne, skaliste i jałowe, z uczepionymi ich, kurczowo powykręcanymi krzewami, w ogóle zdawały się nie mieć mieszkańców. Fale z hukiem rozbijały się o wielkie czerwone głazy, brzegi były groźne i niedostępne. Manewrując w cieśninach pomiędzy wyspami, starali się unikać ssących wirów, które wciągnęły już niejednego ługier poławiaczy perel i rzuciły go o skały.

Posuwali się wolniej, niż przewidywali. Do Cmentarzyska brakowało jeszcze paru godzin żeglugi.

- Szkoda, że nie ma dziś pełni - narzekał Cullen. - Nie wyrobimy się przed północą. Nie ma mowy, w tej ciemności nic nie będzie widać.

Liana podeszła do niego i popatrzyła w ciemną wodę, przesuając się za burtą. Na niebie gromadziły się gęste chmury, zerwał się wiatr.

- Czy nadchodzi sztorm? - spytała zadziwiająco spokojnie.
 - Nie wiem. Zwykle wypływa się tu po perły poza sezonem cyklonów - Cullen nie odpowiedział jej wprost. - Możemy mieć trochę kłopotów - dodał.

Liana nie zareagowała. Kłopoty stały się ostatnio jej specjalnością.

- Ta łupina nie jest chyba dobra do sztormowej żeglugi?
 - Na pewno lepsza niż ta, na której płyną Matthew i Roman.
 - Mamy szansę dotrzeć do nich przed świtem?
 - Nie wiem, może tak, może nie. Ojciec nie ma wprawy w żeglowaniu, a tutejsze wody są zdradliwe. Mogą zablądzić i nie trafić na Cmentarzysko. Nie wiemy nawet, kiedy wypłynęli.

- I czy nie płynie za nimi ktoś jeszcze.
- Nie myśl o tym, Lee. Lepiej idź spać. Robi się ciemno, a do rana i tak nie dopłyniemy.

- Która godzina jest teraz w San Francisco? Zerknął na zegarek.
- Czwarta rano.
- W takim razie nie zasnę. O tej porze zwykle się budzę.
- Tak wcześnie? Kiedy byliśmy małżeństwem, spałaś jak zabita.

Rano musiałem wnosić cię pod prysznic.

Pokręciła głową. Nie mogła sobie pozwolić na wspomnienia. Nie teraz.

- Zejdiesz do kajuty? - spytała.
- Nie, rozłożę sobie śpiwór na pokładzie.
- W takim razie będę czuwać z tobą.
- Idź, idź. Nie ma sensu, żebyśmy oboje byli niewyspani.

Liana pomyślała z niechęcią o ciasnych, śmierdzących wilgocią kojach i niechętnie ruszyła ku drabinie, prowadzącej w dół.

- To może chociaż wynieść ci śpiwór na pokład?
- Nie, kładź się, niedługo zejdem na dół. Myślę jednak, że czuwanie nie ma sensu. Oni są jeszcze zbyt daleko.

Niedługo potem oboje, zaszyci w śpiwory, leżeli na wąskich kojach. Fale rosły i „Robinette” kołysała się coraz mocniej. Liana myślała o wszystkich dziwnych miejscach, w których spała od czasu zniknięcia syna. Tak obcych, że powinny budzić w niej panikę - a tymczasem za każdym razem spokojnie zasypiała. Jej życie waliło się w gruzy, lecz była spokojna. Dziwnie spokojna.

- Oko cyklonu.
- Co?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że powiedziała to głośno.

- Oko cyklonu, strefa dziwnej ciszy w samym środku burzy - wyjaśniła. - Wszystko jest nieruchome i pozostaje tylko czekać, kiedy nadejdzie najgorsze. Powinieneś to wiedzieć, Cullen, jeśli jesteś żeglarzem. Wczoraj przeszliśmy przez piekło, a jutro czeka nas następne. Tak czuję. A jednak, choć boję się o Matthew, jestem teraz spokojna, tak jak nie byłam od niepamiętnych czasów. Sama nie rozumiem dlaczego.

- Nie rozumiesz?

- Nie - odparła, nie otwierając oczu.
- Przecież chodzi o perłę, Lee. - Uniósł się na łokciu i popatrzył na nią z napięciem. - Chodzi o perłę, która wymknęła ci się z rąk.
- I dlatego niby mam być spokojna?
- Tak. Po raz pierwszy od czasu, kiedy wyjechałaś z Australii, znalazłaś się z dala od Królowej Pereł i przestałaś mieć na nią wpływ. Podobnie jak ona na ciebie.

Matthew dokładnie wyskrobał nożem resztki gulaszu z puszki. W domu nigdy tak nie jadł i uznał to za miłą odmianę. Podobało mu się zwłaszcza, że może jeść, kiedy tylko poczuje głód. Zaniósł drugą porcję na górę Romanowi, który właśnie skończył kotwiczyć łódź na noc.

Na widok zgarbionej postaci, siedzącej z przymkniętymi oczami na pokładowym krzeselku, Matthew poczuł wyrzuty sumienia. Dziadek nie był już młody, a podróż wyraźnie go wyczerpała.

- Dziadku?

Roman otworzył oczy.

- O, kolacja - ucieszył się. - Już myślałem, że umrę z głodu.

Matthew uśmiechnął się od ucha do ucha. Ten dzień był najfajniejszym dniem w jego życiu. Najpierw dostał ataku choroby morskiej, a potem dziadek uczył go żeglować. Z zapalem chłonał nową wiedzę i nowe wrażenia - radość łapania wiatru w żagle, prześlizgiwanie się pomiędzy zębatymi skałami, obserwowanie delfinów, baraszkujących za rufą jak sfora wiernych psów.

Teraz patrzył na dziadka z miłością i wdzięcznością. A kiedy Roman uporał się ze swoją porcją, Matthew usiadł obok niego.

- Co będzie, dziadku, jeśli zapłynęliśmy za daleko? - zapytał. - Co będzie, jeśli nie zdołamy znaleźć miejsca, skąd wyłowiono perłę? Może wrzucić ją już tutaj? Przecież jesteśmy w tej samej okolicy. Wrzućmy ją teraz, zaraz, żeby mieć to z głowy. A potem spokojnie pójdziemy spać.

- Również o tym myślałem - westchnął Roman. - W końcu perła jest tylko perłą i żadna różnica, czy wrzucisz ją tu, czy gdzie indziej. Nie ma w niej nic niezwykłego, poza tym że jest wyjątkowo piękna.

- Jest przeklęta.

- E, tam. Chodzi raczej o sposób, w jaki traktują ją ludzie, o emocje, jakie w nich wzbudza. Miałeś ją przez długi czas, zanim przyjechałeś do

Jimiramiry, tak? I co, czułeś jakąś różnicę? Odmieniła cię? Jesteś przeklęty? Bo mi się zdaje, że nic takiego się nie dzieje.

- Może na mnie ona nie działa?

- Naprawdę? A pomyśl, czy nie zacząłeś robić rzeczy, których wcześniej byś nie zrobił?

- Racja, przecież włamałem się do sejfu mamy, a potem kupiłem bilet lotniczy jej kartą. Poza tym okłamałem wszystkich... - W ostatniej chwili pominął bójkę z Charliem. - Uciekłem, wiedząc, że tata czeka na mnie na lotnisku i...

- Rany boskie, wystarczy! Teraz widzisz, że jest różnica? Że na ciebie działa? Ale nie w taki sposób, jak myślisz. Ona działa na ludzkie uczucia, na wyobraźnię, na pragnienia i namiętności...

- Chodzi o to, że jest warta majątek?

- Na przykład.

- W takim razie, jeśli ją wyrzucę, to ograbię moje dzieci. Ale też z drugiej strony uchronię je przed złem.

- Tego nie możesz wiedzieć, synku. Nie ma gwarancji, że twoje dzieci, których jeszcze nie masz, będą lepsze tylko dlatego, że wrzucisz jakąś perłę do morza.

- Ale moja mama zmieniła się przez perłę! I ja też! Nie chcę, żeby Królowa Perła znowu kogoś unieszczęśliwiła. Chcę sam zdecydować o sobie i o tym, co chcę robić, bez myślenia o jakiejś tam perle. Ona musi zniknąć!

- Mógłbyś oddać ją do muzeum.

- Boję się, że jeśli jeszcze przez parę dni potrzymam ją przy sobie, nie będę mógł się z nią rozstać. I zacznę popełniać takie same okropne czyny, jak inni. Mówię ci, dziadku, że to klątwa.

Roman milczał przez chwilę.

- W takim razie zrób to teraz. Znajdźmy odpowiednio malownicze miejsce i odprawmy ceremonię wrzucenia Królowej Perły w fale. Albo poczekajmy do jutra, do rana...

Matthew miał niemiłe poczucie, że dziadek usiłuje opóźnić nieuniknione. Może myśli, że jego wnuk zmieni zdanie, jeśli pożeglują jeszcze jeden dzień? Może wcale nie chce mu pomóc? Na razie Matthew nie mógł na to nic poradzić, gdyż perła spoczywała w kieszeni Romana.

Bowiem w chwili kiedy dowiedział się on, że Matthew ją ukradł, kategorycznie postawił warunek, że pomoże mu, jeśli wnuk odda perłę na przechowanie.

- Czy na pewno pozwolisz mi to zrobić, kiedy nadejdzie czas? - zapytał chłopak ze skrywanym niepokojem. - Bo ja nie zmienię swojej decyzji.

- Kiedy nadejdzie czas, decyzja będzie należała do ciebie - odparł poważnie Roman. - Masz moje słowo.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Nad ranem Cullen ustalił na mapie ich pozycję i stwierdził z zadowoleniem, że znajdują się niedaleko od Cmentarzyska. Liana od świtu wypatrywała na horyzoncie kształtu łodzi, ale niespokojne wody King Sound były puste. Choć czerwiec nie był typową porą sztormów, wyglądało jednak na to, że w ciągu kilku, może kilkunastu godzin rozpęta się burza. Szare, ołowiane niebo, przy którym rozmywała się linia widnokręgu, nie ułatwiało obserwacji. Fale powoli, lecz bezustannie rosły.

Liana ocieniła oczy daszkiem z dłoni i wyostrzyła wzrok.

- Co zrobimy, jeśli ich tu nie będzie? - zapytała. - Zawróćmy?
- Będziemy się kręcić cały dzień po okolicy i zaglądać w zatoczki, a potem zadecydujemy.

Pół godziny później „Robinette” wpłynęła na wody Cmentarzyska. W głębi zatoki widać było posępne wyspy. W oddali pasmo wzgórz wznosiło się jak mury starej fortecy, broniącej dostępu do brzegu.

- Co tam jest? - zapytał nagle Cullen, wskazując punkt na wschodniej stronie horyzontu. Liana sięgnęła po lornetkę i próbowała odszukać na tle dalekiej wyspy niewyraźny cień.

- Nie widać dokładnie - pokręciła głową - ale to mogą być oni. Płyniemy?

Cullen zakręcił bez słowa kołem sterowym.

Liana dawno nie była na wodzie i zdążyła zapomnieć, jak zwodnicza staje się tu ocena odległości. Dziób łodzi zdawał się bez końca zapadać w szare fale, nie posuwając się naprzód. A jednak odległy cień rósł z wolna i nabierał kształtów.

- To kuter - powiedział wreszcie Cullen. - Niewielki, z pojedynczym żaglem.

- Taki na dwie osoby?

- Na to wygląda.

Resztę drogi przeplłynęli w ciszy. Jednak do końca nie byli pewni, czy są u celu, gdyż nie wiedzieli, jaką jednostkę Roman wypożyczył od Pete'a. Wreszcie w polu widzenia lornetki pojawiła się smukła postać, stojąca na pokładzie.

- Cullen! To Matthew! Patrz, tam!

- Spokojnie, Lee. Nie krzycz.

Odwróciła się i zobaczyła, jak wkłada rewolwer za pasek.

- Po co to robisz?

- Ktoś może być z nimi na pokładzie. Znow przyłożyła lornetkę do oczu.

- Widzę starszego człowieka. To chyba twój ojciec.

- Weź na chwilę ster. - Przejął lornetkę i wpatrzył się uważnie przed siebie. - Tak, to on.

- Nikogo poza nimi nie widzę, chyba że zszedł pod pokład.

- Sprawdzimy.

Liana kurczowo uchwyciła się relingu. Usłyszała daleki grzmot i wzdrygnęła się odruchowo. Mijały minuty, postać Matthew rosła w oczach, podpływali do niego coraz bliżej. Widziała, jak wpatruje się w nich, osłaniając oczy dłonią. Wreszcie odrzuciła lornetkę, gdyż widziała go już gołym okiem.

Cullen wyłączył silnik. „Robinette” płynęła z rozpędu, zbliżając się do burty kutra. Chwilę później Cullen skoczył na dziób, chwycił zwój liny i cisnął ją zaskoczonemu synowi.

- Łap, Matt! Przywiąż nas!

Matthew sprawnie spełnił polecenie. Roman pomógł mu zawiązać węzeł i wyrzucić obijacze na burtę. Kiedy obie łódki zakołysały się, szczipione, Cullen odezwał się do ojca:

- Idziecie do nas czy my do was?

- To nie my was szukaliśmy - odparł sucho Roman.

Cullen podał Lianie rękę, pomagając jej przejść na sąsiedni pokład. Momentalnie rzuciła się do syna i przylgnęła do niego w kurczowym uścisku. Dopiero po dłuższej chwili odsunęła go od siebie na odległość ramion.

- Matthew, jak mogłeś nam to zrobić?! Nadal był oszołomiony, jakby nie docierało do niego, że widzi rodziców.

- Co wy tu robicie?

- Jeszcze się pytasz? - wybuchnęła, potrząsając nim gwałtownie, aż się zachwiał, by w następnej sekundzie przygarnąć go z powrotem. - Okłamałeś nas! Uciekłeś! Włamałeś się do mojego sejfu, wykradłeś perłę, a potem dziwisz się, co ja tu robię?

Poczuła uspokajające dotknięcie dłoni Cullena na ramieniu.

- Lee, pozwól mu dojść do głosu.

Jednak Liana nie była w stanie opanować emocji.

- Myśleliśmy, że już nie żyjesz!

- Mamo, przecież wszystko w porządku - odezwał się wreszcie chłopiec. - Naprawdę potrafię sobie radzić. Miałem do załatwienia coś bardzo ważnego.

Urósł. Przysięgłaby, że jest dużo wyższy. Włosy miał teraz krótko ostrzyżone, wypłowiałe od słońca, a skórę ogorzałą niczym pirat. Wyglądał jak okaz zdrowia.

Cullen odwrócił się do ojca.

- Matthew ma czternaście lat. Czternastoletni chłopak nie może podejmować dorosłych decyzji. Dlaczego mu na to pozwoliłeś? Nigdy nie martwiłeś się o dziecko, więc nie wiesz, jak to jest.

- Zawsze się martwiłem. Stale dostarczałeś mi zmartwień.

- Nie miałeś prawa ukrywać przed nami obecności naszego dziecka w Jimiramirze.

- Zrobiłem to, co musiałem zrobić.

Po raz pierwszy Liana miała okazję przyjrzeć się Romanowi Llewellynowi. Uderzyło ją podobieństwo ojca i syna. A także dziadka i wnuka.

- A ja, matka, nie liczę się według ciebie? - zapytała podniesionym tonem.

- Przestańcie! - wykrzyknął Matthew. - Ja wplątałem w to dziadka. Wszystko, co robił, zrobił dla mnie. Jeśli musicie się na kims wyładować, to najlepiej na mnie, okay?

Liana popatrzyła na niego surowym wzrokiem.

- Jak mogłeś nam to zrobić? - powtórzyła.

- Ukradłeś perłę i wywiozłeś ją tutaj. Ubrdałeś sobie, że topiąc ją, pomożesz nam wszystkim? Boże, pewnie już jej nie ma.

Matthew wymienił nerwowe spojrzenie z dziadkiem.

- Nie ma - powiedział. - Wrzuciliśmy ją...

- Nieprawda - przerwał mu Roman i po chwili rozległ się huk grzmotu. - Ja ją mam - zwrócił się do Cullena, a potem do Matthew. - Czas, żeby przestać kłamać, synku.

Matthew zbladł pod opalenizną.

- Dziadku, przecież powiedziałeś, że ja dokonam wyboru. Dałeś mi słowo!

Roman wsunął palce w kieszonkę wytartej kamizelki i ostrożnie wyciągnął malutkie jubilerskie pudełko.

- Twoja matka odkładała do niego pierścionki, kiedy sprzątała dom - powiedział do Cullena. Otworzył wieczko, a wówczas ukazała się Królowa Pereł, leżąca na płóciennej podściółce. Zalśniła pod ciemnym niebem opalizującym blaskiem, jakby znalazła się w pełnym słońcu. Jednak Roman patrzył na klejnot bez uśmiechu i bez zachwyty. Obracał go chwilę między palcami, potem odezwał się do wnuka: - Daj rękę, Matthew.

Matthew stał nieruchomo, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Nie rób tego, tato - ostrzegł Cullen. - Czternastolatek nie może podjąć tak poważnej decyzji.

- Wyciągnij rękę - powtórzył Roman. Chłopak popatrzył na dziadka, potem na ojca, wreszcie wyciągnął płasko dłoń. Na ciemnym horyzoncie rozbłysły dalekie błyskawice, fale coraz mocniej kołysały łodziami. Dłoń Matthew również zdawała się chwiać.

- Perła jest twoja, chłopcze. W końcu trafiła do ciebie, więc decyzja również będzie należała do ciebie. Czy po raz drugi ukradniesz ją matce? Czy okażesz się na tyle mądry i dojrzały, by zadecydować za innych i dla ich dobra? Wszystko zależy teraz od ciebie. - Położył klejnot na dłoni chłopca i zacisnął wokół niego jego palce. - Niech ci Bóg dopomoże, jeśli zadecydujesz niewłaściwie.

Liana trwała w nieznośnym napięciu. Bała się, że jeśli teraz zbliży się do syna albo choćby zdradzi ten zamiar, Matthew ciśnie perłę między

fale.

- Ta perła przynosi nieszczęście wszystkim, którzy mają ją na własność - powiedział. - Z tobą też, mamó, jest coraz gorzej. Ostatnio w ogóle nie mogłaś wyjść z domu, taka byłaś nieszczęśliwa...

Poczuła, jak łzy płyną jej po policzkach.

- To nie z powodu perły, Matty.

- Nieprawda. Wiele rzeczy zrobiłaś z powodu perły, mamó. Przez nią zostałaś w Pacific International, choć nienawidzisz tej pracy. - Pierwsze krople deszczu zabębniły o pokład i Matthew zacisnął klejnot w pięści. - Widziałem twoją biżuterię - mówił dalej. - Tata mi powiedział, że kiedyś kochałaś projektowanie. A teraz, co teraz...?

- Rzucając perłę do wody, udowodnisz jedynie, że nie ufasz własnej matce - przerwał mu Cullen. - Wmawiasz jej, że nie ma w sobie dość siły, by dać sobie radę sama. Ale bardzo się mylisz. Twoja matka zrobiła wszystko, co powinna zrobić, nie zważając na konsekwencje.

- Wiem. I bardzo ją podziwiam - odparł Matthew. - Ale ona nie potrafi się bronić przed Królową Perłą. A Królowa Perła jest złem.

- Skąd wiesz, co jest dla kogo złe, a co dobre, synu? - Cullen popatrzył na niego w skupieniu.

- Czy nie uważasz, że to błąd? Może kradzież perły tak na ciebie wpłynęła?

Tym razem trafił celnie. Matthew stracił na moment pewność siebie. Liana chwyciła się jedną ręką relingu, a drugą powoli wyciągnęła do syna.

- To nie jest twoja decyzja, Matthew - powiedziała łagodnym tonem, jakim uspokajała go, gdy był mały. - Kocham cię za to, że chcesz osłaniać mnie przed złym losem, ale naprawdę nie musisz, synku.

- Nienawidzę tej perły! - Głos chłopca zdusiły łzy. - Nie chcę jej!

- Spokojnie, to tylko perła. Ani dobra, ani zła - wtrącił się Roman. - Ludzie skaczą sobie do oczu i zachowują się jak szaleńcy, ale to tylko przedmiot. Martwy przedmiot. Możesz przerwać błędne koło zła, chłopcze, ale wcale nie musisz rzucać tego kamyka do zatoki.

Matthew był oszołomiony i zdruzgotany. Liana chciała otoczyć go ramieniem i utulić jak małego chłopczyka, ale wiedziała, że musi się powstrzymać.

W końcu postąpił krok naprzód i wysunął rękę ku matce. Liana wyczekująco nadstawiła dłoń. Czuła się dziwnie, jakby w jej ciele zamieszkały nagle całe pokolenia innych osób, tak samo jak ona niecierpliwie wyciągających niewidzialne ręce po upragniony skarb - Archer, który chciał kupić za niego ziemię i bydło; Tom, który cenił lojalność i przyjaźń bardziej niż życie; Viola i Willow; Bryce i Mei; i nawet Thomas, łudzący się, że jedna perła doskonałej piękności uwolni go na zawsze od skazy pochodzenia i bolesnych wspomnień walącego się w gruzy miasta. Perła obiecywała wszystkim wszystko, nie dając nic nikomu.

Matthew upuścił klejnot na rękę matki. Nie zacisnęła palców. Królowa Pereł leżała na jej otwartej dłoni, lśniąc od deszczu i błyskawic.

- Gdy będzie należała do mnie - wycedził chłopiec - i tak ją wyrzucę. Cisnę ją w największą głębię!

- Wtedy sam ci pomogę, synu - powiedział Cullen.

Palce Liany kurczowo zacisnęły się na perle. Dla niej zginął jej dziadek, dla niej pradziadek Cullena zabił przyjaciela. A ona sama zaprzedała duszę, by ją zatrzymać. I oto znów trzymała ją w dłoni, jednak nie czuła ani radości, ani ulgi. Chłodna mleczna kula zdawała się przepalać jej ciało.

Niespodziewanie odezwał się nowy głos. Nie sędzę, żebyś kiedykolwiek dostał tę perłę, Matthew.

Wszyscy drgnęli i odwrócili się jak na komendę. Tuż za rufami ich łodzi, na motorówce, stał Frank Fong. Liana nie zdążyła nawet krzyknąć, kiedy Cullen wyszarpnął zza paska swoją trzydziestkę ósemkę i wystrzelił. Niestety, nie dość szybko. Frank zdążył unieść rękę i wycelować pierwszy. Rewolwer wypadł Cullenowi z dłoni, z trzaskiem uderzył o pokład i zsunął się do otwartego luku. On sam zgiął się w pół i upadł na kolana.

- Tatusiu! - Matthew rzucił się do ojca, próbując go podtrzymać. Roman zrobił ruch, jakby chciał rzucić się na Franka, ale zastopował go wymowny gest lufy.

- Spokojnie, dziadziu, bo będziesz następny!

- Co robisz, Frank?! - krzyknął Matthew. - To jest mój tata! Postrzelileś go!!!

Liana uklękła u boku Cullena i zobaczyła, że na koszuli pod obojczykiem rozlewa się czerwona plama. Trzęsła się ze strachu, lecz głos miała zadziwiająco spokojny.

- Odłóż broń, Frank - powiedziała. - Wszystko jest pod kontrolą, chyba źle oceniłeś sytuację.

- Czyżby? - Frank wszedł na pokład. - Widocznie nie mam wycucia.

Liana wsunęła perłę do kieszeni i ostrożnie rozdarła Cullenowi koszulę. Rana miała brzydko postrzępione brzegi i krwawiła coraz obficiej. Ściągnęła swoją bluzkę, zwinęła w kłęb i przycisnęła do rany, usiłując powstrzymać krwotok.

- Czego chcesz? - zapytał chrapliwie Cullen, odsuwając ją na bok.

- Odrobiny słońca, stary... - Frank z westchnieniem wznosił oczy ku niebu. - Do licha, nie po to leciałem na południową półkulę, żeby trafić na lejący deszcz i grzmoty.

Cullen stłumił jęk, kiedy Liana owiazywała mu ramię. Pobladł, a głowa zwiśla mu bezwładnie. Była przerażona jego stanem, ale w tej sytuacji nie mogła zrobić nic więcej. Podniosła się i stanęła przed napastnikiem.

- Dlaczego, Frank? - zapytała. - Przecież jesteś moim przyjacielem, moim kuzynem...

Przestał się uśmiechać. Po jego twarzy przemknął cień zażenowania.

- Powiedzmy, że byłem twoim przyjacielem. Kuzynem jestem nadal, ale to żaden argument. Twój ojciec i moja babcia byli bliźniakami, a jednak on ukradł jej perłę.

Pokład kołysał się coraz mocniej, deszcz rozpadał się już na dobre. Spłukiwał krew z ciała Cullena, płynął po włosach Liany, mieszał się ze łzami Matthew. To właśnie szara zasłona deszczu ułatwiła Frankowi podpełnięcie, to grzmoty zagłuszyły cichy szum elektrycznego silnika. Emocje, które towarzyszyły spotkaniu z synem, sprawiły, że i Liana, i Cullen zapomnieli o sprawie najważniejszej - o mordercy ścigającym ich dziecko.

Liana włożyła rękę do kieszeni dzinsów. Zerknęła szybko na Cullena i Matthew, po czym skupiła spojrzenie na Franku.

- Więc chodzi ci o perłę, tak?

- Oczywiście. Prawnie należy się ona mojej rodzinie. - Wycelował pistolet w Lianę. - Pomyśl, ile musiała przejść moja babcia, żeby ją dostać.

- Chcesz, żebym ci ją oddała? - zapytała z nadzieją. - Dam ci ją!

- Zaraz, zaraz, szefowo, tu nie firma, tak łatwo tego nie załatwisz.

Liana zrozumiała, że chce ich zabić. Postanowiła grać na zwłokę, zrobić cokolwiek, by odwlec to, co zdawało się nieuchronne. Zdawała sobie sprawę, że Frank jest gotów wystrzelać ich wszystkich, a potem wrzucić do wody, na dno Cmentarzyska.

- To ciotka Mei ułożyła cały plan - powiedziała, licząc na to, że porazi go ta prawda. - Wiedziałeś o tym?

Zaśmiał się kpiąco.

- Nie rozśmieszaj mnie, kochana. Staruszka nie miała z tym nic wspólnego. Naprawdę myślisz, że mnie tutaj przysłała? Przecież ona kocha cię jak własną córkę.

- Nie. Nie przysłała cię tu po to, żebyś nas pozabijał. Podpuściła za to Matthew, by wykradł Królową Perłę. Stale opowiadała mu o niej, za każdym razem, kiedy się spotykali. I miała nadzieję, że któregoś dnia jej wnuk zrobi to, o czym marzyła: pozbędzie się perły i uwolni obie rodziny od klątwy. A wiesz dlaczego?

- Zamieniam się w słuch.

- Bo musiała się już dawno zorientować, że ta perła cię opętała. Mei kocha ciebie, Frank, i chciała zapobiec twojemu nieszczęściu. Królowa Perłę jeszcze nie była twoja, a już wyrządziła ci wiele złego.

- Nie demonizuj tej ślicznej kulki - znów się zaśmiał. - Jedno, co może się w niej naprawdę podobać, to fakt, że jest warta milion albo i więcej. A co do planów ratowania mojej duszy, to i tak jestem zepsuty do szpiku kości i nic mnie już nie uratuje.

- Nieprawda, nie jesteś. - Liana wyszarpnęła z kieszeni perłę i wystawiła rękę nad wodę. - Matthew miał rację. Ciotka Mei również. Tylko ja byłam ślepa. Ta perła jest przeklęta! Pozwoliłam, żeby rządziła moim życiem! Ale koniec z tym...

Zanim Frank zdążył zareagować, otworzyła zaciśniętą dłoń. Nie patrzyła, jak Królowa Perłę spada w głębinę, która ją wydała. Patrzyła na swoją pustą dłoń i czuła ulgę w sercu. Jej dłoń była pusta, ale zniknęła

gdzieś pustka gnębiąca jej sumienie.

Oczekiwała, że Frank rzuci się do niej. Albo nawet skoczy do wody. Nic takiego się jednak nie stało. Nawet nie drgnął, a lufa rewolweru wciąż mierzyła w nich bezlitośnie.

- Twój altruizm jest wprost porażający - powiedział. - Wzruszyłem się, serio. Ale ten dramatyczny gest był pusty, nie miał żadnego znaczenia.

- Frank, proszę, dajmy już temu spokój. Perły nie ma, wszystko się skończyło. Nic nie osiągniesz, jeśli nas teraz zabijesz. Odpłyn stąd i zostaw nas w spokoju. Możesz nam zabrać paliwo, pociąć żagle. Zrób wszystko, żeby mieć pewność, że zdążysz uciec.

Matthew podszedł do matki i ojca. Lufa na chwilę powędrowała za nim, dopóki Frank nie nabrał pewności, że chłopak nie ma zamiaru wszcząć jakiejś akcji.

- Spokojnie, zdążę uciec - odparł, patrząc na nią drwiącym wzrokiem. - Lecz zanim to zrobię, opowiem ci co nieco, bo już się raczej nie zobaczymy.

- Nie chcę niczego więcej słuchać. Odejdź. Zostaw nas wreszcie.

- Nie chcesz wiedzieć, że zainstalowałem podgląd w twoim gabinecie? Że w ten sposób poznałem szyfr, otwierający twój sejf? Zawsze miałaś obsesję na punkcie swojej prywatności. Żadnych kamer, żadnych ochroniarzy. Dzięki temu mogłem bez przeszkód zainstalować ukrytą kamerę pod twoją nieobecność. Potem wystarczyło już tylko zamienić się w filmowca i nakręcić pasjonujący dokument, jak otwierasz sejf. Pewnego pięknego kwietniowego dnia, nieniekuszony przez nikogo, wystukałem sobie właściwą kombinację cyfr i wyjąłem twoją ukochaną perełkę.

Liana spojrzała na niego podejrzliwie.

- Przecież to Matthew ją wykradł. A teraz spoczęła na dnie oceanu.

- Niezupełnie, droga kuzynko. Twój zdolny synek wykradł kopię Królowej Pereł, którą przewidująco umieściłem w sejfie. Falsyfikat, choć wykonany iście po mistrzowsku. Zamówiłem go u Francuzów. Rybie łuski plus pył perłowy, zlepione żywicą i wyszlifowane. Zwykle podróbki są lekkie, ale ta miała wagę prawdziwej perły. Spytaj Cullena, jeśli nie wierzysz.

- Ktoś, kto zna się na perłach... odróżni podróbkę od prawdziwej - powiedział z trudem Cul-len, dźwigając się na kolana. Liana chwyciła jego dłoń. Była zimna i drżąca. - Pokaż ją...

- To twoje ostatnie życzenie? - zadrwił Frank.

- W porządku, zaraz ci ją pokażę.

- Więc ty ukradłeś Królową Perłę? - spytała Liana, świadoma, że każde pytanie daje im nową szansę na obezwładnienie Franka.

- No, nareszcie zaczynasz coś chwytać, kuzynko.

- A Pete? To ty go zabiłeś?

- Przykro mi. Zmarł, zanim zdążył powiedzieć, dokąd popłynęliście. Ale i tak was znalazłem. Powiem szczerze: najtrudniej było wytropić Matthew. Kiedy jednak dowiedziałem się, że jest w Australii, natychmiast domyśliłem się, jakie ma zamiary. A swoją drogą, Matthew, dobrze zrobiłeś, że zadzwoniłeś do biura mamy. Jedna z sekretarek, która cię nie zna, powiedziała mi, co się nagrało. To wystarczyło, bym wiedział, gdzie cię szukać.

- Jeśli ukradłeś perłę - powiedział Matthew - to dlaczego dotarłeś za nami aż tutaj? Ja wrzuciłbym do wody falsyfikat, a ciebie nikt by o nic nie podejrzewał. Mógłbyś cieszyć się prawdziwą.

- Proszę, jaki zdolny młody człowiek! - Frank uśmiechnął się swoim dawnym, miłym uśmiechem, za który chłopiec tak bardzo go lubił.

- Miałem perłę, oczywiście, ale zdawałem sobie sprawę, że cała sprawa z podmianą na falsyfikat wyda się wcześniej czy później. A wtedy mógłbym mieć trudności ze sprzedażą oryginału. Dlatego kiedy ukradłeś podróbkę, chciałem się upewnić, czy się jej pozbyłeś. Zyskałem tę pewność i teraz będę mógł spokojnie sprzedać prawdziwą Królową Perłę. Jest tylko jeden problem - pokiwał smutno głową - nie chcę mieć świadków.

Liana rozpaczliwie starała się odwlec egzekucję.

- To ty włamałeś się do mojego mieszkania i do poczty Matthew, prawda? A kiedy razem z Cullenem zastanawiałam się, dokąd on uciekł...

- Tak - przerwał jej niecierpliwie - zacząłem mieć kłopoty. Musiałem wprowadzić wariant awaryjny. Usiłowałem śledzić z daleka wasze poczynania. Miałem nadzieję, że nie zdążycie dogonić syna i że

nie będę musiał nikogo zabijać. Ale kiedy przyjechaliście na farmę perła i zaczęliście kręcić się po okolicy, postanowiłem działać. Pojechałem za nim na przystań, ale już zdążył odpłynąć. Wtedy stary Pete przyłapał mnie, jak kradłem mu łódkę.

- Zabiłeś go i przyplynałeś za nami?

- Nie, byłem pierwszy w zatoce. Czekałem na waszą wycieczkę.

Brrr... - wzdrygnął się teatralnie - co za upiorna sceneria! Pioruny, błyskawice, czarne niebo i woda pełna trupów. Ale nie, tu podobno są rekiny. Trzeba by cudu, żeby znaleźli po was jakieś resztki. W każdym razie będzie wiadomo, że perła przepadła razem z Matthew.

Nareszcie koniec! Koniec z Llewellynami i ich perłą! Dopełniła się klątwa Królowej Perła! - Zaśmiał się złowrogo, potem spoważniał. - No dobra - wycelował w Cullena - ty będziesz pierwszy. W sumie nic do ciebie nie mam, stary. Mało mnie obchodzi, czy twój praszczur zabił mojego. Ale muszę cię zabić, bo nawet ranny możesz być niebezpieczny. Kobiety, dzieci i starcy zostaną na koniec.

- Frank, nie! - Liana wyskoczyła przed męża, ale ten odsunął ją resztkami sił.

- Jeśli zastrzelisz mnie albo kogokolwiek, nigdy... nigdy nie dostaniesz prawdziwej perły - powiedział z trudem.

- Ja mam prawdziwą perłę!

- Jesteś... pewien?

Uśmiech zniknął natychmiast z twarzy Franka.

- Gadaj! Daję ci dziesięć sekund!

- Królowa Perła... - wyjąkał Cullen - jest u mnie. W moim sejfie... w Pikuwa Creek.

- Skąd miałyby się tam znaleźć?

Cullen mówił coraz wolniej, oddzielając słowa ciężkimi oddechami.

- W kwietniu... ja także... byłem... w Stanach.

- I co?

Ranny zawahał się na moment. Matthew podszedł do ojca i popatrzył na niego z napięciem.

- Odgadłeś kombinację szyfru, prawda, tato? Tak jak ja.

Wiedziałem, że się domyślisz. Tylko że ty zrobiłeś to pierwszy...

- Zamknij się, mały! - wrzasnął Frank, kierując broń na chłopca.

- Matthew, proszę, wycofaj się - powiedziała błagalnie Liana.
 - Nie, mam. Widzisz, nie potrzebowałem kamery jak Frank. Od razu pomyślałem, że to nie może być losowa liczba...
 - Matthew! - Liana rzuciła się do syna, ale Frank jednym ruchem lufy osadził ją w miejscu. Nie strzelił. Mimo paraliżującego strachu zrozumiała, że zabicie jej syna nie przyszkodzi mu łatwo.
 - Dobra, Llewellyn - odezwał się Frank.
 - Twój syn odgadł kombinację, a ty powiadasz, że...
 - Tata lubi takie zabawy - znów wtrącił się Matthew. - Radził, żebym wybierał liczby, które coś dla mnie znaczą. Tak samo postąpił mój dziadek. Tamto trzęsienie ziemi...
 - Zamknij się wreszcie - warknął Frank - albo zastrzelę twojego ojca, zanim zdąży powiedzieć słowo. Przysięgam! - Znów wycelował w Cullena. - No, masz teraz szansę, ostatnią. Gadaj!
 - To było łatwe. Dzień... trzęsienia ziemi w San Francisco. Najgorszy moment... w życiu Thomasa. To nie był człowiek, który wybrałby... szczęśliwą datę, nie uważasz?
- Frank parsknął śmiechem.
- Omalżeście mnie nie wystraszyli, ty i twój dzieciak. Ale dobrze znam historię Kalifornii. Trzęsienie było 18 kwietnia 1906 roku. Czyli 4, 18... dobrze mówię?
 - Nie, chodzi o datę i o godzinę, w dodatku czytane wspak! - wykrzyknął pospiesznie Matthew. - 12, 5, 6, 19, 18, 4. Znam te dane z opowieści Thomasa. Ziemia zaczęła się trząść o piątej dwanaście po południu. Zresztą pisałem o tym referat w szkole. Kiedyś, czekając w gabinecie, aż mama skończy zebranie, wypisałem sobie wszystkie liczby i spróbowałem. Nie zadziałało, więc odwróciłem kolejność. Sejf otworzył się i już wiedziałem, że muszę ukraść tę cholerną perłę.
- Frank już się nie śmiał. Cullen miał pokerową twarz, z której kiedyś sływał.
- Teraz chyba wierzysz... że podebrałem perłę z sejfu?
- Odpowiedzią był rewolwer, wycelowany wprost w jego serce.
- Bzdura, to Matthew podrzucił ci pomysł. Cullen skinął głową.
 - Racja, stary. To wszystko... kłamstwo.

- Tato!

- Spokojnie, synku. - Cullen przez chwilę łapał oddech. - Matthew... odgadł kombinację. Ale ja nigdy nie byłem... w biurze Liany. A jednak mam... prawdziwą perłę. Chcesz wiedzieć skąd?

- Marnujemy tylko czas!

- Twoja babcia... odkryła, że ukradłeś perłę. Trafiła na nią... w czasie jednej z wizyt w twoim domu. Bo trzymałeś ją u siebie, prawda?

- Gdzie? - rzucił Frank.

Liana zamarła. Cullen, podobnie jak Matthew, rozpaczliwie grał na zwłokę. Deszcz zacinał, fale rosły i coraz trudniej było ustać na śliskim, rozkołysanym pokładzie. Roman podsuwał się coraz bliżej do zafascynowanego rozmową Franka. Cullen natomiast chwiał się, jakby miał zaraz zemdleć.

- Tego mi nie zdradziła, ale... ale czuła, co się z tobą dzieje... i wiedziała, że... że jedynym wyjściem... może być wywiezienie... przeze mnie... perły do Australii. Ciągle miała poczucie winy... żałowała, że ukradła ją... mojemu dziadkowi. Uważała... że perła mi się należy. Więc... więc Mei napisała do mnie, a ja przyleciałem. W tamten weekend była... jakaś uroczystość rodzinna. Mei nie miała siły... wziąć w niej udziału... więc Betty odwiozła ją do ciebie. Tam zamieniła Królową na... perłę z mojej hodowli. Sam jej ją dałem. To, o co ci chodzi, jest u mnie... w biurze... w sejfie. Dostaniesz perłę, jeśli... jeśli będziemy żyć.

- Nie wierzę ci!

- Nie? No to obejrzyj... tę swoją perłę. Jest duża, ale... ale nie jest idealnie okrągła. Każdy fachowiec ci to powie. A prześwietlenie wykaże... że jest jądro...

Liana poczuła, że Cullen osuwa się na pokład. Otoczyła go ramieniem i podparła, a Matthew podtrzymał ojca z drugiej strony.

- Nie pokazywałeś tej perły nikomu, prawda, Frank? - zapytała. - Jasne, przecież nie mógłbyś, dopóki istnieje ta druga.

W bladym świetle błyskawicy dostrzegła wahanie na jego twarzy. Walczyła w nim czujność i narastające pragnienie, by wyjąć perłę i obejrzeć ją dla upewnienia się, że Cullen kłamie.

- Lee... dobrze mówiła. Mei wiedziała... czym się stałeś... Ona zawsze miała intuicję. I... i martwiła się o wszystkich... - Tym razem

Cullen osunął się na nią całym ciężarem i mimo pomocy syna upadł na pokład.

- Zabiłeś mi ojca! - wrzasnął Matthew.

- Cisza! - Frank niezdecydowanym ruchem przesunął dłonią po włosach, ale ręka trzymająca broń celowała bez drgnienia.

- Proszę, Frank, wracajmy do Pikuwa Creek po prawdziwą perłę - błagała go Liana. - Dam ci ją, nie pisnę ani słowa, nie wrócę do San Francisco. Wszyscy na tym skorzystamy...

- Zamknij się! - znów ryknął. - Wszyscy natychmiast się zamknijcie!

Sczepione łodzie zatańczyły na falach, obijając się z trzaskiem o siebie. Frank z wprawą rasowego wilka morskiego balansował na chwiejącym się pokładzie. Wreszcie pokusa przeważyła. Jak najostrożniej wyjął pudełeczko z perłą z kieszeni spodni i usiłował bezskutecznie otworzyć je palcami jednej ręki. W desperacji chciał zaczepić nim o klamrę pasa, ale szybko zrozumiał, że musi użyć obu dłoni.

Liana modliła się bezgłośnie, aby Roman nie zmarnował szansy. Obserwowała, jak Frank waha się, a potem podejmuje decyzję. Jak niecierpliwie otwiera kasetkę, na moment przestając celować...

I właśnie wtedy Roman rzucił się na niego. Huknął strzał, Roman na ułamek sekundy zeszywniał, ale wpadł na Franka i popchnął go na reling. Rewolwer poślizgiem załomotał po pokładzie, a kuter niebezpiecznie przechylił się na jedną burtę pod raptownym naporem dwóch ciał. Sczepieni ze sobą mężczyźni wpadli do wody.

- Dziadku! - Matthew chciał rzucić się ku burcie, ale powstrzymał go krzyk Liany.

- Nie ruszaj się, bo cię zmyje fala!

Zaczęła czołgać się po pokładzie, szukając broni Franka. Oddychała ciężko, ale ruchy miała pewne. Znalazła wreszcie rewolwer i uklękła na burcie, celując w splecionych w wodzie mężczyzn. Widziała ich, miotających się wśród wzburzonych fal, ale bała się strzelić.

- Roman, odpłyń od niego! - wrzasnęła. - Będę strzelać!

Zobaczyła pięść, wznoszącą się wysoko nad wodę, i dwie ręce, chwytające ją kurczowo. Zdawało się jej, że woda wokół walczących zaczerwieniła się od krwi.

- Roman!
- Muszę mu pomóc - Matthew przyczołgał się do niej.
- Poszukaj wiosła! Szybko!

Poczołgał się z powrotem, a Liana, wyteżając wzrok, wciąż wpatrywała się w fale. Zobaczyła jedną głowę, lecz nie rozróżniała, czyją. Po chwili Matthew wrócił z wiosłem i wystawił je za burtę.

- Roman, chwyć wiosło! - krzyknęła. - Szybko! - W pośpiechu zaczęła ściągać buty, gotowa sama skoczyć w fale. Podsunęła broń chłopcu. - Potrafisz strzelić w razie czego?

- Mamo, nie rób tego!

Ktoś chwycił wiosło. Zobaczyła siwe włosy. Odrzuciła broń na pokład.

- Wciągaj wiosło! - rozkazała synowi, przechylając się przez burtę. Chwyciła Romana za koszulę i ciągnęła z całych sił, aż ciężko dysząc, wspomagany przez wnuka, wpelzł wreszcie na pokład.

- Nie chciał puścić perły - wykrztusił. - Trzymałem go pod wodą, walczył jedną ręką...

Liana po raz drugi namacała na pokładzie rewolwer i wycelowwała w wodę.

- Frank! - krzyknęła. - Wyciągniemy cię, ale nie próbuj walczyć! Mam broń! Słyszysz mnie, Frank?

Odpowiedzią na jej wołanie był koszmarny, pełen przerażenia krzyk. Kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie nie spodziewała się zobaczyć nikogo, dostrzegła straszliwą kotłowaninę. Ze zgrozą pomyślała o nurku Cullena, zaatakowanym kiedyś przez rekina. A potem zobaczyła czarny zarys apokaliptycznego cielska wielkiego, słonowodnego krokodyla - nieubłaganego australijskiego mordercy. Przywabiła go woń krwi człowieka, który siedział teraz bezpiecznie na pokładzie.

Liana przyciągnęła do siebie syna i zakryła mu oczy, aby nie oglądał tego krwawego widowiska. Krzyki ucichły zresztą szybko.

- Dziadku... - Matthew padł z łkaniem na kolana - on cię postrzelił! Roman z wysiłkiem machnął ręką.
- Nie rób szumu, synku.

Liana uklękła przy Romanie. Tak jak Cullen, miał koszulę przesiąkniętą krwią. Rozdarła ją, żeby odsłonić ranę. Na szczęście kula

drasnęła go tylko, rozszarpując skórę na żebrach.

- W kabinie jest apteczka - zauważył rezolutnie Matthew. -

Przynieść?

- Tak - odparła i po chwili sprawnie zabandażowała postrzelonego. - Zostaniesz z dziadkiem, synku? - zapytała, a gdy skinął skwapliwie głową, opatrzyła także Cullena.

Opatrunek spowolnił krwawienie, lecz zagrożenie nie minęło. Cullen miał gorączkę, wstrząsały nim dreszcze, jego powieki były opuszczone. Liana usiadła zrozpaczona na pokładzie i delikatnie położyła sobie jego głowę na kolanach.

- Lee... - Spojrzał na nią z wysiłkiem

- Nie umieraj, Cullen, proszę... - Czułym gestem zgarnęła mu mokre kosmyki z czoła. - Musisz żyć.

- Co z małym? Co z tatą? - wyszeptał

- Ojciec jest lekko ranny, z małym wszystko w porządku. Frank nie żyje. Zaraz przeniesiemy was na „Robinette” i popłyniemy naprzeciw waszym statkom. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- Perła...

- Mam gdzieś perłę! Nieomal się uśmiechnął.

- Wiesz, że to wszystko...

- Wiem, nie musisz mówić. Perła, którą miał Frank, była prawdziwa.

To był blef, prawda? Blef starego pokerzysty.

- I co? - teraz udało mu się uśmiechnąć. - Dobry... ze mnie gracz?

Szło o najwyższą... stawkę, ale... przetrzymałem go.

Liana nie kryła łez.

- Dziękuję ci, Cullen. I przepraszam cię za wszystko.

- Kocham cię, Lee...

- Ja też cię kocham! I dlatego błagam, nie umieraj! Kocham tylko ciebie!

- A... perła?

- Przepadła na zawsze!

- Więc mam szansę, żeby... jeszcze raz... gdybyś...?

Liana już nie płakała - łkała rozdzierająco.

- Tak, zostanę z tobą, będę z tobą, jeśli tylko zechcesz! Ale nie umieraj!

- Wyrzuciłaś ją, Lee, tak... po prostu?
- Wyrzuciłam kopię. Ale liczą się intencje, prawda?
- Tak... myśli, uczucia... nie perła.
- Na szczęście obie poszły na dno. Teraz liczysz się dla mnie tylko ty. Ty i Matthew, nasze wspólne życie. Chcę, żebyśmy znów byli razem. Jeśli tylko mi wybaczysz, jeśli tylko będziesz chciał...

Przerwał jej, zaciskając palce na jej dłoni.

- Chcę, Lee. A teraz zawieź mnie do domu... - uniósł drżącą dłoń i musnął zapłakany policzek Liany - ...moja dzielna dziewczynko.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Matthew przysiadł na żerdziach ogrodzenia, otaczającego wybieg. Śnieżnobiała klacz podeszła bliżej, gdy tylko się pojawił, i zastrzygła uszami na jego widok. Pochodziła ze stada Jimiramiry, od rasowych koni z domieszką krwi wiatronogich arabów. Tego dnia Roman Llewellyn oświadczył, że jego wnuk otrzyma tego konia na swoje piętnaste urodziny.

Matthew nazwał klacz Perłą.

- I jak ci się podoba?

Odwrócił się, zaskoczony. Dziadek stał za nim. Potrafił chodzić bezgłośnie jak łowca z buszu.

- Przecież miałeś leżeć i odpoczywać.

- Smarkacz będzie mi mówił, co mam robić?!

- To nie ja ci mówię, tylko doktor Keller. Nie pamiętasz, dziadku, że kazał ci leżeć w czasie upału?

- Doktor mnie nie zna. Nie wie, na co mnie stać.

Matthew podsunął się bliżej dziadka, na wypadek gdyby trzeba było go wesprzeć.

- Ona jest piękna. To najwspanialszy prezent, jaki dostałem w moim życiu.

- Będziesz musiał tu do niej wpadać. Nie będę marnował konia dla kogoś, kto nie będzie na nim jeździł.

- Jasne, że będę wpadał. Pikuwa Creek nie jest tak daleko. Będę przyjeżdżał na całe szkolne ferie, chcesz? A w międzyczasie ty będziesz odwiedzał nas. Tata mówił, że mu to obiecałeś.

- Mówiłem o wizytach u konia, a nie u mnie - uśmiechnął się Roman.

Matthew zerknął ponad ramieniem dziadka i zobaczył parę, idącą ku

nim od strony zabudowań. Cullen i Liana, przytuleni i roześmiani, zdawali się nie widzieć świata poza sobą. Matthew przyjrzał się twarzy ojca i jeszcze bardziej poprawił mu się humor - była wciąż nieco blada, ale mniej wychudzona niż kilka dni temu. Siły Cullenowi wyraźnie wracały, a ostatnio nawet stwierdził, że już na jesieni będzie mógł znów zająć się swoimi perłami. Na razie jednak wspierał się na czułym ramieniu Liany.

Nic dziwnego, pomyślał Matthew, tata był mocno wykrwawiony. Kiedy załoga jednego z jego lugrów znalazła ich wtedy u wrót Cmentarzyska, nikt nie był pewien, czy uda się go uratować. Na szczęście natychmiastowa interwencja pokładowego lekarza ocaliła mu życie. No a potem, przez cały czas leczenia i rekonwalescencji, mama nie odstępowała od jego łóżka. Stale pojawiali się też on i dziadek.

Matthew nadal nie mógł się przyzwyczaić do widoku rodziców razem, choć oglądał ich już od miesiąca. Po ich rozwodzie nawet sobie nie wyobrażał, że mogliby wrócić do siebie. A jednak wrócili, całkowicie odmieniając jego życie. Chyba nigdy nic tak bardzo go nie ucieszyło.

- Lubię twoją matkę, mały - odezwał się Roman. - Jest silna i dzielna. Zresztą sam najlepiej o tym wiesz.

- A jego lubisz?

- Ej, nie za dużo chciałbyś wiedzieć?

- Przecież mam prawo zapytać.

- Zawsze go lubiłem. - Roman zamyślił się na chwilę. - I zawsze mi go brakowało. A ty - ożywił się - nie będziesz tęsknił za San Francisco?

- Polecimy tam od czasu do czasu. Mama chce otworzyć salon w chińskiej dzielnicy. Będzie tam sprzedawać swoje prace.

- A nie w Broome? - zmarszczył brwi dziadek.

- W Broome też. A potem może jeszcze w innym miejscu. Obiecała mi, że co jakiś czas będziemy odwiedzać przyjaciół w Kalifornii, no i ciotkę Mei. Boję się tylko - zawahał się przez moment - że mama nadal się obawia.

- Czego?

- Że trudno nam będzie przystosować się do życia w Australii.

Wiesz, dziadku, Pikuwa Creek to dla mnie wyzwanie, coś jak nowa gra, w którą zawsze chciałem zagrać, ale nigdy mi nie pozwalano. A mama

już kiedyś grała. I przegrała.

- Nie bój się, tym razem wszystko pójdzie dobrze. Wiesz przecież, że matka potrafi sobie świetnie radzić. Przede wszystkim zaś będzie mogła liczyć na wsparcie twego ojca. Kiedyś go nie miała.

Matthew nie odpowiedział. Patrzył, jak zakochana para przystanęła w oddali, jak kobieta wspięła się na palce i pocałowała ukochanego i jak' on przygarnął ją do siebie. Wyobraził sobie nagle bezcenną perłę, spoczywającą na dnie Zatoki Łabędziej i coś utworzyło się w nim, jak rozwierająca się powoli dłoń, jak rozpostarcie skrzydeł do lotu. Poczul się lekki, wolny, gotów do nowych zadań. Oto zrzucił nieznośny ciężar, pozbył się myśli o perle, a ta na zawsze zniknęła wśród fal.

Za jego plecami inna, żywa Perła zarżała dźwięcznie, wyzywająco. Odwrócił się i włożył rękę między żerdzie, cmokając delikatnie. Wcale się nie zdziwił, kiedy za moment aksamitne chrapy przyjaźnie musnęły mu dłoń.